

Robin Cook

# *"Szkodliwe Intencje"*

Tytuł oryginału  
HARMFULINTENT

## PODZIĘKOWANIA

Podczas pisania Szkodliwych intencji, tak jak przy wszystkich moich książkach, największą i najbardziej znaczącą korzyść odniosłem z doświadczeń i opinii kolegów, przyjaciół i .przyjaciół moich przyjaciół. Ponieważ książka ta dotyczy dwóch dziedzin - prawa i medycyny, zrozumiałe jest, że szczególne podziękowania kieruję do profesjonalistów. Oto oni:

Lekarze: Tom Cook

Chuck Karpas

Stan Kessler

Prawnicy: Joe Cox

Victoria Ho .

Leslie McClellan

Sędzia: TomTrettis

Terapeuta: Jean Reeds

Wszyscy oni ofiarowali mi wiele godzin swojego cennego czasu.

Jeszcze raz dla Audrey Cook,  
mojej wspaniałej matki

"Na początek zabijmy wszystkich prawników"  
Henryk VI, cz. II

Szkodliwe  
Intencje

## PROLOG

9 WRZEŚNIA 1988 r. GODZINA 11.45  
BOSTON, MASSACHUSETTS

Tego ranka, około godziny 9.30 Patty Owen poczuła pierwsze skurcze. Była .pewna, że to jest właśnie to. Niejednokrotnie obawiała się chwili, w której nie będzie w stanie odróżnić skurczów sygnalizujących początek porodu od małych kopnięć czy ogólnych niedomagań typowych dla ostatniego trymestru jej ciąży. Obawy okazały się bezpodstawne: skręcający, party ból był całkowicie inny od wszystkiego, co kiedykolwiek czuła. Był jej bliski jedynie przez swój klasycznie podręcznikowy charakter i regularność. Dokładnie, jak w zegarku, co dwadzieścia minut czuła silne, jednostajne klucie w dole pleców.

Ból zanikał, ale tylko po to, by po przerwie wybuchnąć ponownie. Pomimo kolejnej narastającej fali nie mogła pohamować przelotnego uśmiechu. Wiedziała, że maleńki Mark jest już w drodze na świat.

Próbując zachować spokój, szukała wśród rozrzuconych na kuchennym stole karteczek tej z numerem telefonu do hotelu. Dostała ją od Clarka poprzedniego dnia.

Mąż robił wszystko, by nie wyjeżdżać służbowo, zwłaszcza że termin porodu był tak bliski. Jednak bank zadecydował inaczej. Szef nalegał, żeby wziął udział w końcowej fazie negocjacji, zamykających transakcję przygotowywaną przez trzy miesiące. Ostatecznie dwaj mężczyźni uzgodnili kompromisowo, że niezależnie od stanu negocjacji Clark będzie poza domem tylko dwa dni. Wyjeżdżając z niechęcią pocieszał się, że spędzi z żoną pełny tydzień poprzedzający rozwiązanie.

Wreszcie Patty znalazła numer telefonu. Zadzwoiła od razu. Sympatyczna telefonistka połączyła ją z pokojem Clarka. Kiedy po dwóch dzwonekach nie odebrał wiedziała, że wyszedł. Dla pewności trzymała słuchawkę dłużej, z nadzieją, że może nagle odbierze, zdyszany wybiegając spod prysznica. Tak chciała usłyszeć jego uspokajający głos. Telefon dzwonił nieprzerwanie, a Patty ocierała łzy z policzków. Była bardzo szczęśliwa, od kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, ale jednocześnie zaczęło dręczyć ją przeczucie, że wydarzy się coś złego. Zrozumiała sens swoich uporczywych przeczuc, kiedy Clark przyszedł do domu z wiadomością o wyjeździe. Chociaż uczęszczali razem do szkoły rodzenia, będzie musiała przebrnąć samotnie przez poród. Zapewniał ją, że niepokój, choć naturalny, jest zupełnie niepotrzebny. Obiecywał, że zdąży wrócić przed porodem i asystować przy nim.

Ze słuchawki .dobiegł głos telefonistki, pytającej, czy ma przekazać wiadomość. Patty poprosiła, aby mąż skontaktował się z nią tak szybko, jak będzie to możliwe, i podała numer telefonu do szpitala Boston Memorial. Wiedziała, że ta lapidarna wiadomość zdenerwuje Clarka, dobrze mu tak, za to, że opuścił ją w takim momencie.

Następnie połączyła się z gabinetem doktora Ralpa Simariana. Kiedy usłyszała jego tubalny, optymistyczny głos, przerażenie ustąpiło momentalnie. Lekarz powiedział, aby Clark przywiózł ją do Boston Memorial, gdzie najpierw muszą załatwić niezbędne formalności. On sam przybędzie tam za parę godzin. Uspokoił ją, że dwudziestominutowe przerwy między bólami świadczą o wystarczającym zapasie czasu. — Ale, panie doktorze - powiedziała, kiedy miał się już rozłączyć - Clark wyjechał służbowo, będę w szpitalu sama.

— A to zbieg okoliczności - rzekł śmiejąc się Simarian - prawdziwy mężczyzna, oni wszyscy lubią przyjemności, ale gdy tylko jest do wykonania jakaś drobna praca, znikają.

- Myślał, że to będzie w przyszłym tygodniu- tłumaczyła, czując, że musi bronić Clarka. Nie znosiła, gdy ktoś go krytykował.

- Żartowałem, będzie żałował, że został wykluczony z gry. Kiedy wróci, będziemy mieli dla niego małą niespodziankę; A teraz proszę się nie bać. Wszystko będzie dobrze. W jaki sposób dotrze pani do szpitala?

Patty powiedziała o sąsiadce, która zgodziła się zawieźć ją w przypadku nieprzewidzianych okoliczności.

-Doktorze - dodała niepewnie - ponieważ nie ma mojego partnera ze szkoły rodzenia, naprawdę jestem za bardzo zdenerwowana, by przez to wszystko przejść. Nie chcę zrobić czegokolwiek, co zaszkodzi dziecku, ale jeżeli mogę być znieczulona w taki sposób, o którym rozmawialiśmy...

- Nie ma problemu -\*- powiedział doktor Simarian, nie pozwalając jej dokończyć. - Proszę nie zaprzętać ślicznej główki takimi drobiazgami. Dopilnuję wszystkiego. Zaraz zadzwonię do szpitala i powiem im/, że chce paniznieczulenie zewnątrzoponowe, zgoda?

Podziękowała lekarzowi i odłożyła słuchawkę.

Zacisnęła usta, bo właśnie w tym momencie poczuła nadejście następnej fali skurczów. Nie ma powodu do obaw, powiedziała sobie stanowczo. Doktor Simarian trzyma wszystko w swoich rękach.

Wiedziała, że dziecko jest zdrowe. Jakiś czas temu nalegała na wykonanie ultrasonografu i zbadanie wód płodowych.

Lekarz stwierdził, że ze względu na tak młody wiek, 24 lata, jest to niepotrzebne.

Ogarnięta złowieszczym przeczuciem, a także autentycznym niepokojem, wbrew jego radom, poddała się badaniom. Wynik testów był wyjątkowo zachęcający. Dziecko, które nosiła, okazało się zdrowym, normalnym chłopcem. Po otrzymaniu tak pomyślnych wiadomości Patty i Clark pomalowali pokój dziecienny na błękitno i wybrali dla syna imię - Mark.

To wszystko pozwalało na oczekiwanie normalnego porodu i normalnych narodzin.

Patty odwróciła się, zamierzając pójść do sypialni po torbę zapakowaną poprzedniego wieczoru. Uderzyła ją dramatyczna zmiana pogody. Jasne promienie wrześniego słońca wpadające przez wykuszowe okno zostały przysłonięte ciemnymi chmurami, które nagle nadciągnęły z zachodu i pograżyły pokój prawie w całkowitej ciemności. Usłyszała odległe dudnienie grzmotu.

Dreszcz przebiegł po jej plecach.

Nie będąc przesadną z natury, Patty nie potraktowała nadejścia wichury jako złej wróżby. Doszła do kanapy stojącej w salonie, przytrzymała się krawędzi oparcia i usiadła.

Pomyślała, że zadzwoni do sąsiadki, jak tylko bóle przeminą. Może uda mi się dotrzeć do szpitala przed nadejściem następnych.

Kiedy ból osiągnął zenit, spokój odzyskany po rozmowie z doktorem Simarianem pierzchnął.

Strach wypełnił jej myśli tak gwałtownie, jak gwałtownie podmuch wiatru

wypełnił całe podwórze, wyginając gałęzie drzew i niosąc pierwsze krople deszczu. Zadrzała. Marzyła, aby było już po wszystkim. Była przerażona. To wszystko przerastało jej siły - burza, służbowy wyjazd clarka, bóle porodowe o tydzień za wcześniej. Łzy spływały po policzkach Patty kiedy czekała, aż będzie mogła zawiadomić sąsiadkę. Myślała o jednym - tylko się nie bać.

- Wspaniale - powiedział z sarkazmem dr Jeffrey

Rhodes, zerkając na główny plan znieczuleń, wiszący na ścianie pokoju anestezjologów. Pojawił się nowy przypadek: Patty Owen, poród ze znieczuleniem zewnątrzoponowym. Pokiwał głową. Aż za dobrze wiedział, że jest w tej chwili jedynym anestezjologiem do dyspozycji.

Koledzy z dziennego dyżuru prowadzili swoje przypadki.

Zadzwoił na oddział porodowy, aby sprawdzić, w jakim stanie znajduje się pacjentka.

Okazało się, że nie ma pośpiechu, trwały formalności związane z jej przyjęciem.

— Czy pacjentka ma jakieś komplikacje, o których powinienem wiedzieć? - spytał z obawą. Dzień nie był dla niego pomyślny.

— Wygląda rutynowo - odpowiedziała pielęgniarzka.

- Pierwiastka, dwadzieścia cztery lata, zdrowa.

— Kto ją prowadzi?

— Simarian.

Obiecał, że odezwie się wkrótce, i odłożył słuchawkę.

Simarian! Jeffrey zadumał się. Facet dobry zawodowo, lecz protekcyjny sposób, w jaki traktował swoje pacjentki, był trochę uciążliwy. Dzięki Bogu, że to nie Braxton albo Hicks! W ich obecności ten przypadek na pewno nie przeszedłby gładko i szybko, tak jak tego gorąco pragnął.

Opuścił pokój lekarski i poszedł głównym korytarzem bloku operacyjnego, mijając rozkład zajęć, przed którym panowało normalne o tej porze ożywienie. Za parę minut rozpoczynał pracę wieczorny personel. Zmiana ekipy szpitalnej nieuchronnie powodowała chwilowy chaos.

Jeffrey pchnął podwójne, wahadłowe drzwi wychodzące na hall. Zerwał kołyszącą się na jego piersi maskę chirurgiczną. Z ulgą cisnął ją do okazałych rozmiarów pojemnika. Oddychał przez tę przeklętą rzecz ostatnie sześć godzin.

Hall był zapchany personelem medycznym przybywającym na dyżur. Ignorując wszystkich, przeszedł przez zatłoczoną przebieralnię. Zatrzymał się dopiero przed lustrem. Był ciekaw, czy wygląda tak źle, jak się czuł. Odbicie potwierdziło obawy. Oczy robiły wrażenie głęboko zapadniętych, pod nimi widniały ciemne, nie do usunięcia, wyraźnie zaznaczone cienie. Nawet wąsy, chociaż nigdy nie wyglądały imponująco, po sześciu godzinach noszenia maski chirurgicznej wydawały się rzadsze i bardziej wytarte. Jak większość lekarzy, nie poddawał się hipochondrii, wpadał jednak w przesadę. Zaprzeczał całkowicie, albo ignorował jakiegokolwiek symptomy chorobowe lub oznaki zmęczenia do czasu, aż zagrożenie było oczywiste. Dzisiaj nie było wątpliwości. Po przebudzeniu o 6 rano czuł się okropnie. Chociaż samopoczucie pogarszało się od kilku dni, pomyślał, że lekki ból głowy i dreszcze są spowodowane zjedzeniem czegoś niestrawnego poprzedniego dnia.

Kiedy fale nudności przyszły przed południem, postawił szybko nową diagnozę - wypił za dużo kawy. A kiedy objawy nasiliły się, winił zupełną, zjedzoną podczas lunchu w szpitalnej stołówce.

Dopiero po konfrontacji swego wymizerowanego odbicia w lustrze szpitalnej przebieralni Jeffrey przyjął do wiadomości, że jest chory. Przyłożył rękę do czoła, aby sprawdzić, czy ma podwyższoną temperaturę. Nie było wątpliwości. Było gorące.

Opuściwszy umywalnię, podszedł do swojej szafki.

Był szczęśliwy, że dzień dobiega końca. Wyobrażenia podsuwała wciąż jeden i ten sam obraz-- łóżko.

Usiadł na ławce i nie bacząc na kłębiący się tłum, obracał cyfrową kombinacją zamka. Żołądek nieprzyjemnie gulgotał, skurcze jelit były tak silne, że na czoło wystąpiły kropelki potu. Niestety, nawet jeżeli ktoś mógłby ulżyć jego cierpieniom, i tak musiał zostać na dyżurze jeszcze przez kilka godzin.

Zatrzymał się na ostatniej cyfrze i otworzył szafkę. Z gustownie zaprojektowanego wnętrza wyjął butelkę ze środkiem uśmierzającym ból. Było to stare lekarstwo matki, dobrze na nim wypróbowane w dzieciństwie. Stosowała zawsze ten środek, kiedy cierpiał na niestrawność. Z czasem przyjmował lek jedynie po to, by podtrzymać "jej złudzenia, absolutną pewność, że środek ten pomaga na wszystko. Jednak po latach Jeffrey nabrał zaufania do cudownego płynu, a nawet do fachowości matki. Butelkę z miksturą zawsze trzymał pod ręką.

Odkręcił nakrętkę, odchylił głowę do tyłu i pociągnął potężny łyk. Wycierając usta zauważył sanitariusza siedzącego obok i śledzącego każdy jego ruch.

- Chcesz pociągnąć? - spytał, siląc się na dowcip.

- Wyjątkowe paskudztwo!

Mężczyzna spojrział z oburzeniem, wstał z ławki i odszedł.

Jeffrey pokręcił głową, zdumiony kompletnym brakiem poczucia humoru. Z reakcji sanitariusza można było wnioskować, że zaoferował mu truciznę.

Nienaturalnie wolno zdjął strój chirurgiczny. Przez chwilę masował skronie, wreszcie podniósł się z wysiłkiem i wszedł pod prysznic. Gdy spłukał mydło, jeszcze przez pewien czas stał pod strumieniem wody, w końcu wyszedł i energicznie wytarł ciało ręcznikiem, uczesał faliste, jasnobrązowe włosy, włożył czyste, chirurgiczne ubranie, nową maskę i czepek. Czuł się zdecydowanie lepiej.

Pomijając sporadyczne "emocje" w jelitach, wydawało się, że nawet one zaczęły pracować należycie.

Poszedł z powrotem przez hall. Korytarzem bloku operacyjnego doszedł do drzwi oddziału porodowego. Oddział ten pod względem wystroju wnętrza różnił się całkowicie od sztywnego i praktycznego obszaru operacyjnego. Choć pojedyncze salki porodowe musiały być sterylne, reszta oddziału z pokojami przedporodowymi wyglądała inaczej. Ściany o pastelowych kolorach ozdobiono reprodukcjami impresjonistów, a w oknach wisiały firanki. Wnętrze to przypominało bardziej hotel niż nowoczesny szpital. Podszedł do głównego pulpitu i zasięgnął informacji o pacjentce.

-Patty Owen jest w piętnastce - powiedziała Monica Carver, Wysoka, przystojna murzynka, przełożona wieczornej zmiany.

Jeffrey oparł się o pulpit, zadowolony, że może chwilę odpocząć.

— Jak jej idzie?

— Dobrze - odpowiedziała Monica. - Ale to jeszcze trochę potrwa. Bóle nie są silne ani częste, a rozwarcie dopiero cztery centymetry.

Skinął głową. Wolałby, żeby sprawy postępowały o wiele szybciej. Zazwyczaj praktykowało się czekanie, aż rozwarcie dojdzie do sześciu- centymetrów, i dopiero wtedy wkraczało się ze znieczuleniem zewnątrzoponowym.

Monica wręczyła Jeffreyowi kartę Patty. Szybko przebiegł po niej wzrokiem. Nie było tego wiele. Kobieta była niewątpliwie zdrowa i silna.

-Idę z nią pogadać. Potem wracam na blok operacyjny. Jeżeli coś się zmieni, daj mi znać.

-Jasne - odpowiedziała wesoło Monica.

Skierował się w stronę pokoju numer 15. W połowie drogi ponownie złapał go skurcz jelit. Musiał się zatrzymać i oprzeć o ścianę. Stał zgięty, czekając, aż ból ustąpi.

A niechże to, pomyślał. Kiedy poczuł się lepiej, poszedł dalej, w kierunku piętastki. Zapukał. Miły głos pozwolił mu wejść.

-Nazywam się Jeffrey Rhodes - powiedział wyciągając rękę. - Jestem pani anestezjologiem.

Dłoń Patty Owen była wilgotna, a palce zimne. Wygładzone włosy i szeroko rozstawione oczy o spojrzeniu bezbronnego dziecka. Strach malował się na jej twarzy.

— Cieszę się, że pana widzę! - powiedziała nie puszczając jego ręki. - Chcę coś jasno powiedzieć: Jestem tchórzem. Źle znoszę ból. Chciałabym dostać ZO. Mój lekarz mówił, że mogę mieć taką prośbę.

— Rozumiem - powiedział Jeffrey - chodzi pani o znieczulenie zewnątrzoponowe.

Spełnimy każde życzenie miłej pacjentki. Wszystko będzie dobrze. W Boston Memorial odbieramy wiele porodów i naprawdę gwarantujemy znakomitą opiekę. Kiedyś będzie się pani śmiała z dzisiejszego strachu.

— Naprawdę? - spytała Patty.

— A jak pani myśli, dlaczego nasze klientki wracają tutaj po raz drugi, trzeci, a nawet czwarty? Bo były niezadowolone?

Uśmiechnęła się słabo.

Jeffrey pozostał przy niej jeszcze przez kwadrans, wypytyując o samopoczucie i alergię.

Współczuł Patty, kiedy dowiedział się o służbowym wyjeździe męża. Zaskoczyła go wiedzą na temat znieczulenia ZO. Wyjaśniła, że nie tylko o tym czytała, ale zna je również z opowiadań siostry, która przeżyła dwa porody znieczulane w ten sposób. Wyjaśnił, dlaczego nie wykonuje znieczulenia od razu, jednocześnie obiecał, że na życzenie Patty może zaaplikować denerol. Uspokoila się. Zapewnił też, że wszystkie leki, jakie otrzymuje, nie szkodzą dziecku.

Powtórzył jeszcze raz, że nie ma powodu do obaw i że znajduje się w dobrych rękach. -

Po opuszczeniu pokoju przedporodowego Jeffrey poczuł kolejny, bolesny skurcz jelit. Zdał sobie sprawę, że będzie musiał podjąć drastyczne przeciwdziałania wobec własnych objawów chorobowych, jeżeli ma przebrnąć przez poród Patty. Pomimo zastosowania tak wspaniałego lekarstwa uśmierzającego ból jego samopoczucie pogarszało się.

Wrócił tymi samymi drzwiami do bloku operacyjnego i skręcił do wnęki znieczuleń obok sali operacyjnej, w której, spędził większość dnia. Pomieszczenie było puste i prawdopodobnie nie miało być używane aż do następnego ranka.

Zlustrował korytarz, upewnił się, że nikogo nie ma, i zaciągnął kotarę. Chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że jest chory, nie zamierzał przyznać się do tego komukolwiek.

We wnęcie znajdowała się aparatura do pełnej anestezji. Z szuflady urządzenia o nazwie Narcomed III wyciągnął niewielkiego rozmiaru specjalną igłę i inne przedmioty

potrzebne do wykonania kroplówki. Wydostał z dolnej półki butelkę z płynem Ringera. Oderwał osłonę zabezpieczającą gumowy korek. Energicznym ruchem przebił go, dołączając w ten sposób do butelki przejrzystą, plastikową rurkę. Powiesił butelkę: wysoko, na specjalnym stojaku, przepuścił przez rurkę płyn, aż został pozbawiony pęcherzyków powietrza, i zamknął wykonany z tworzywa kurek odcinający. Jedynie kilka razy podłączał sobie samemu kroplówkę, ale jako lekarz miał wystarczającą wprawę, aby zrobić to sprawnie i pewnie. Przytrzymał zębami jeden koniec opaski zaciskającej, zamocował ją wokół przedramienia i czekał, aż żyły zaczną pęcznieć. Myślał o pewnej sztuczce, której nauczył się, kiedy był już po stażu i robił specjalizację. Było to dawno temu.

On i jego koledzy, zwłaszcza chirurdzy, wzbraniali się przed braniem zwolnień chorobowych, obawiając się wypadnięcia ze współzawodnictwa. Jeżeli złapali grypę lub mieli tego typu objawy, jakie nękały teraz Jeffreya, starali się znaleźć, chwilę czasu na wprowadzenie sobie dożylnie odpowiedniego płynu. Zabieg był prawie zawsze skuteczny, zwłaszcza przy większości objawów przeziębieniowych. Trudno było nie czuć się lepiej z litrem płynu Ringera krążącym w żyłach. Minęły wieki od czasu, kiedy Jeffrey robił sobie kroplówkę; Miał nadzieję, że efekt będzie tak samo silny jak wtedy. Dzisiaj, mając czterdzieści dwa lata, nie chciał wierzyć, że ostatnim razem był młodszy o dwadzieścia lat.

Już prawie wbijał igłę, gdy kotara rozchyliła się na boki.

Spojrzał w górę, na zaskoczoną twarz Reginy Vinson, pielęgniarki z wieczornej zmiany.

- Ooo! - krzyknęła -- Przepraszam.

- Nic nie szkodzi - zaczął, ale odeszła tak szybko, jak się pojawiła.

Skoro już został przyłapany na gorącym uczynku, nabrał ochoty, by poprosić ją o pomoc w przymocowaniu rurki od kroplówki do specjalnej igły, o wprowadzeniu jej do żyły.

Odsłonił kotarę i wychylił się, w nadziei, że zdąży zatrzymać Reginę. Niestety, była już daleko w zatłoczonym hallu. Kotara wróciła na swoje miejsce, a Jeffrey doszedł do wniosku, że równie dobrze poradzi sobie bez niczyjej pomocy.

Po podłączeniu rurki otworzył kurek odcinający. Prawie w tym samym momencie doznał uczucia zimna, była to reakcja na płyn gwałtownie wdzierający się w krwioobieg. Kiedy z butelki ubyla większość płynu, ramię przestało reagować na dotyk. Wyciągnął igłę, przyłożył do miejsca wkłucia sterylny tamponik i zgiął łokieć, by go przytrzymać.

Wyrzucił niepotrzebne przedmioty do kosza i wstał czekając na reakcję organizmu.

Zawroty i ból głowy całkowicie ustąpiły. Nudności też. Zadowolony z tak szybkich rezultatów, odsłonił zasłonę i poszedł w stronę przebieralni. Jedynie brzuch sprawiał mu jeszcze kłopot.

Wieczorna zmiana rozpoczęła już dyżur, dzienna zaczęła opuszczać szpital. Szatnie pełne były roześmianych ludzi. Zajęto większość pryszniców. Po pobycie w toalecie wydobyl z szafki swój środek uśmierzający ból i pociągnął jeszcze jeden, głęboki łyk. Skrzywił się z niesmakiem, zastanawiając się, jaki składnik powoduje tak koszmarną gorycz. Pustą butelkę cisnął do kosza. Wziął prysznic po raz drugi i założył nowy komplet ubrania. Kiedy szedł korytarzem, czuł się prawie po ludzku.

Zamierzał usiąść i przejrzeć gazetę. Niestety, w tym momencie usłyszał sygnał swojego bipera.

Rozpoznał numer oddziału położniczego.



— Patty Owen wzywa pana - powiedziała Monica Carver.

— Jak jej idzie?

— Całkiem dobrze. Jest trochę niespokojna, nie prosi jednak o środki przeciwbólowe, chociaż bóle są częstsze. Rozwarcie na pięć-sześć centymetrów.

— Znakomicie, zaraz tam będę.

Jeffrey był zadowolony.

W drodze na oddział zatrzymał się przy pokoju lekarskim. Zerknął na wielką tablicę, by sprawdzić wieczorną obsadę. Tak jak się spodziewał, wszyscy byli zajęci trwającymi właśnie operacjami. Wziął karteczkę i napisał, że prosi o zastępstwo na oddziale położniczym.

W pokoju przedporodowym numer 15 Patty przechodziła kolejną falę skurczów. Pomagała jej doświadczona pielęgniarka ze szkoły rodzenia. Tworzyły zgraną parę. Krople potu zraszały czoło rodzącej. Jej oczy były lekko przymknięte, obydwoma rękami chwyciła dłonie pielęgniarki. Do brzucha miała przymocowaną końcówkę monitora, kontrolującego poród i bicie serca płodu.

— Ooo. mój biały rycerz w błękitie - powiedziała

Patty na widok Jeffreyego stojącego w nogach łóżka. Ból opadł. Uśmiechała się.

— No to jak? Znieczulamy? - zaproponował.

-Zgoda.

Całe wyposażenie potrzebne do przeprowadzenia ZO było na wózku, który Jeffrey przyciągnął ze sobą. Po zamocowaniu mankietu od ciśnieniomierza zdjął z brzucha Patty końcówkę monitora i pomógł jej ułożyć się na boku. Już w rękawiczkach, przetaił okolicę lędźwiową płynem antyseptycznym.

-Najpierw wykonam znieczulenie miejscowe - powiedział przygotowując zastrzyk.

Drobnymi nakłuciami znieczulił skórę w okolicy krzyża. Pacjentka była tak rozluźniona, że nawet nie drgnęła.

Upewnił się, czy ostrze igły Touheya, używanej do znieczulenia zewnątrzoponowego, jest dokładnie na swoim miejscu. Dwoma rękoma wbił igłę w lędźwie Patty.

Posuwał ją bardzo uważnie naprzód, aż precyzyjnie dotarł do wiązadła otaczającego kręgosłup. Cofnąwszy ostrze, przymocował pustą, szklaną strzykawkę. Delikatnie nacisnął tłoczek. Kontrolując wyczuwalny opór, powrócił do posuwania igły. Nagle opór ustąpił. Jeffrey odetchnął z zadowolenia, wiedział, że jest w przestrzeni zewnątrzoponowej.

— Dobrze się pani czuje? - spytał, nabierając w szklaną strzykawkę testową dawkę składającą się z dwóch centymetrów wody do iniekcji i małej ilości epinefryny.

— Czy pan już skończył? - spytała Patty.

— Nie całkiem. Jeszcze parę minut.

Wstrzyknął testową dawkę, sprawdzając natychmiast ciśnienie krwi i puls. Nie było żadnych zmian. Gdyby igła utkwiała w naczyniu krwionośnym, rytm serca wzrósłby natychmiast, jako reakcja na epinefrynę.

Z wyuczoną ostrożnością przepchnął przez igłę Touheya mały cewnik do ZO.

-Czuję w nogach coś śmiesznego - odezwała się nerwowo pacjentka.

Jeffrey przestał popychać cewnik, który wystawał około centymetr nad końcem igły. Spytał Patty o odczucia, wyjaśniając, że zwykle, kiedy cewnik trawersuje przestrzeń zewnątrzoponową, drażni nerwy obwodowe.

Mogło to usprawiedliwiać jej doznania. W chwili ustąpienia zaburzeń czucia delikatnie posunął cewnik jeszcze o półtora centymetra. Patty nie narzekała.

Kończąc, Jeffrey wyciągnął igłę Touheya, zostawiając mały, plastikowy cewniczek na swoim miejscu. Przygotował drugą, dwucentymetrową dawkę testową marcainy 0,25% z epinefryną. Po jej wstrzyknięciu zmonitorował ciśnienie krwi Patty i sprawdził reakcję na dotyk w dolnych partiach. Po paru minutach, w których nie nastąpiły żadne zmiany, był absolutnie pewien, że cewnik znajduje się w odpowiednim miejscu. Wstrzyknął terapeutyczną dawkę znieczulającego leku – pięć centymetrów marcainy 0,25%. Mógł teraz wprowadzić cewnik, tak by w każdej chwili można było podać przez niego lek.

— To na razie wszystko - powiedział, kładąc na miejsce punkcji sterylny opatrunek i mocno zabezpieczając go plastrem - ale chciałbym, żeby leżała pani przez jakiś czas na boku.

— Nic nie czuję - poskarżyła się.

— O to przecież chodziło - odparł ze śmiechem.

— Jest pan pewien, doktorze, że to działa?

— Proszę poczekać do następnych skurczów.

Przez chwilę rozmawiał z pielęgniarką. Poleciał, jak często powinno być odczytywane ciśnienie krwi, i pomógł przymocować końcówki monitora. Pozostał w pokoju podczas następnej fali bólu, wykorzystując czas na drobiazgowe uzupełnienie karty znieczulenia. Patty podziękowała Jeffreyowi, jej wątpliwości zostały rozproszone. Nieprzyjemny zabieg, który tak dzielnie zniosła, okazał się bardzo korzystny.

Jeffrey poinformował Monikę Carver i pielęgniarkę ze szkoły rodzenia, gdzie będą mogły go znaleźć. Poszedł do jednego z ciemnych, pustych pokoi przedporodowych. Chciał się położyć.

Czuł się zdecydowanie lepiej. Był przekonany, że przymknął oczy tylko na parę chwil.

Uspokojony odgłosem deszczu uderzającego o szyby, zasnął. W półśnie kilka razy słyszał chrobot otwieranych drzwi. Poczul, jak ktoś łagodnie potrząsa jego ramieniem. Monica.

— Mamy problem - powiedziała.

Przecierając oczy, opuścił nogi z łóżka.

— Co się dzieje?

— Simarian zdecydował się robić cesarskie u Patty Owen.

— Tak szybko?

Zerknął na zegarek. Zamrugał kilka razy. Pokój był ciemniejszy niż przedtem. Okazało się, że spał półtorej godziny.

— Dziecko nadal znajduje się w pozycji główkowej, ale brak postępu porodu - wyjaśniła Monica. - Największy kłopot w tym, że serce płodu zbyt wolno powraca do normalnego bicia po każdym skurczu.

— Czas robić cesarskie.

Jeffrey zerwał się chwiejnie na nogi. Zaczekał chwilę, aż minie zawrót głowy.

— Doktorze, dobrze się pan czuje?

— Tak, w porządku.

Usiadł na krześle, by założyć specjalne, wymagane na bloku operacyjnym buty.

- Ile zostało czasu? - spytał.

— Simarian będzie mniej więcej za dwadzieścia minut- odpowiedziała, uważnie przyglądając się jego twarzy.

— Coś nie tak?

Przegarniał palcami przyspane włosy.

-Jest pan blady - powiedziała - może to wina oświetlenia.

Na dworze ulewa nasilała się.

— Jak Patty to znosi? - spytał idąc do łazienki.

— Jest przestraszona. Jeżeli chodzi o znieczulenie, działa dobrze, musi się pan jednak zastanowić nad lekiem uspokajającym. Na pewno jest jej bardzo potrzebny.

Skinął głową. Zapalił światło w łazience. Nieobca mu była myśl o podaniu Patty leku uspokajającego, lecz w zaistniałych okolicznościach musiał to rozważyć.

— Proszę się upewnić, czy jest pod tlenem. Będę gotów za minutę.

— Tak, tak, jest na tlenie - zawołała Monica opuszczając pokój.

Jeffrey badał swoje oblicze w lustrze. Rzeczywiście, był blady. Ale zauważył coś jeszcze.

Źrenice były tak zwężone, że wyglądały jak dwie kropeczki zrobione ołówkiem. Nigdy jeszcze tak małych nie widział. Nic dziwnego, że miał kłopot z odczytaniem godziny.

Ochlapał twarz zimną wodą. To go wreszcie obudziło. Ponownie spojrzął na źrenice. Były ciągle maleńkie.

Wziął głęboki oddech, obiecując sobie, że gdy tylko przebrnie przez ten poród, popędzi do domu i położy się do łóżka.

Monica miała rację. Patty była zakłopotana, wystraszona i zdenerwowana oczekującym ją cesarskim cięciem.

Jakby czuła się osobiście odpowiedzialna za nieudany poród. Łzy napłynęły do jej oczu, gdy głośno narzekała na nieobecność męża. Jeffrey dokładał wszelkich starań, by odzyskała zaufanie. Podał dożylnie 5 mg diazepamu. Pomyślał, że lek, jeżeli działa na nie narodzone dziecko, to działanie to musi być minimalne. Patty gwałtownie uspokoiła się.

— Czy będę spała podczas cesarskiego?

— Będzie bardzo wygodnie - odpowiedział wymijająco - jedną z największych zalet znieczulenia zewnątrzoponowego jest to, że nawet kiedy już trwa, mogę rozszerzyć jego działanie na wyższy poziom, nie przeszkadzając dziecku.

-To chłopiec - wyjaśniła. - Ma na imię Mark.

Uśmiechnęła się blado. Jej powieki zaczęły opadać. Zaczynał działać lek uspokajający.

Przenosiny z oddziału porodowego na blok operacyjny odbyły się bez żadnych niespodzianek. Patty przebyła tę krótką podróż w maseczce tlenowej. Trwały zwykle przygotowania. Instrumentariuszka układała narzędzia.

Pielęgniarka zwana dyspozycyjną pomogła przenieść pacjentkę na stół operacyjny. Patty miała ciągle podłączony monitor płodowy. Na razie pozostawiono go na swoim miejscu.

Jeffrey nie znał wieczornego personelu. Na plakietce dyspozycyjnej widniało nazwisko: Sheila Dodenhoff.

— Będę potrzebował marcainę 0,5% - odezwał się, kiedy zmieniała przenośną maskę tlenową na tlen dostarczany przez aparaturę do pełnej anestezji. Mankiet do mierzenia ciśnienia przymocował do lewego ramienia Patty.

— Stanę na wysokości zadania - odpowiedziała z uśmiechem Sheila.

Pracował szybko, lecz rozważnie. Wszystkie czynności notował w karcie znieczuleń. Szczycił się, w przeciwieństwie do innych lekarzy, czytelnym charakterem pisma.

Po przymocowaniu końcówki EKG, do palca wskazującego lewej ręki Patty, przykleił oksymetr, wskaźnik stężenia tlenu. Kiedy wróciła Sheila, właśnie zabezpieczał venflon, tkwiący w żyłę pacjentki.

-Przyniosłam - powiedziała, podając Jeffreyowi trzydziestocentymetrową ampułkę zawierającą marcainę 0,5%.

Odebrał medykament i jak zwykle sprawdził etykietkę. Postawił ją na urządzeniu zwanym Narcomed III.

Wyjął z szuflady dwucentymetrową ampułkę spinalmarcainy 0,5% z epinefryną i nabrał zawartość do strzykawki. Obróciwszy Patty na prawy bok, wstrzyknął do cewnika ZO dwa centymetry płynu.

-Jak się sprawy mają? - usłyszał zza drzwi grzmiący głos.

Odwrócił się i zobaczył doktora Simariana naciągającego maseczkę chirurgiczną.

— Będziemy gotowi za minutę.

— Jak serduszko maleństwa?

— W tej chwili w porządku.

— Umyję się i będziemy gotowi do drogi.

Po wyjściu Simariana drzwi wahały się jeszcze przez moment. Studiując EKG i odczyt ciśnienia krwi, Jeffrey lekko uściśnął ramię leżącej kobiety.

— Dobrze się pani czuje? - spytał, odsuwając na bok maskę tlenową.

— Myślę, że tak.

— Proszę relacjonować wszystkie odczucia. Czy normalnie czuje pani stopy?

Potaknęła. Sprawdził czucie powierzchowne i wróciwszy do szczytu stołu jeszcze raz skontrolował odczyty monitorów. Był przekonany, że cewnik ZO nie poruszył się, nie dotarł do rdzenia kręgowego ani do żadnego z rozszerzonych w czasie ciąży naczyń krwionośnych Batesona.

Pomyślał z satysfakcją, że wszystko jest w porządku. Sięgnął po przyniesioną przez Sheilę ampułkę marcainy.

Przy pomocy, kciuka odłamał jej szklane zakończenie.

Nabierając do strzykawki 12 centymetrów leku, ponownie sprawdził etykietkę. Chciał rozszerzyć znieczulenie do poziomu szóstego, a nawet czwartego kręgu piersiowego.

Odkładając marcainę, napotkał wzrok Sheili. Stała w pewnym oddaleniu, po lewej stronie, i dosłownie wytrzeszczała na niego oczy.,

-Czy coś się stało? - spytał.

Patrzyła jeszcze przez chwilę, raptownie odwróciła się na pięcie i wyszła z sali operacyjnej. Chciał złapać spojrzenie instrumentariuszki, lecz ta zajęta była wciąż układaniem narzędzi. Wzruszył ramionami. Coś się działo. Coś, o czym nie miał pojęcia.

Nie było czasu na dalsze zastanawianie się. Wstrzyknął marcainę. Zablokował cewnik i stanął u głowy stołu operacyjnego. Kiedy odłożył strzykawkę, zanotował w karcie czas podania i dokładną ilość leku. Jednostajny dźwięk monitora, odzwierciedlający tętno, lekko przy- śpieszył. Natychmiast spojrzął na ekran EKG. Jeżeli w pracy serca miały nastąpić zmiany, Jeffrey oczekiwał raczej coraz wolniejszych uderzeń wskazujących na postępującą blokadę układu współczulnego. Tymczasem było odwrotnie. Puls przyspieszał. Stanowiło to sygnał zbliżającej się katastrofy.

Pierwszą reakcją było zaciekawienie, nie niepokój.

Analityczny umysł szukał po omacku logicznego wyjaśnienia. Zerknął na odczyt ciśnienia krwi i na oksymetr.

W porządku. Spojrzał do tyłu, na EKG. Puls był stale przyśpieszony, jednak o wiele bardziej niepokojąca była nieregularność pracy serca.

Głośno przełknął ślinę. Strach ścisnął mu gardło. Czy to możliwe, że weszła dożylnie? Wbrew wynikom dawki testowej? W swojej karierze zawodowej Jeffrey spotkał się już kiedyś z przeciwną reakcją na znieczulenie miejscowe. Przypadek ten dręczył go do dziś. Arytmia nasilała się. Dlaczego uderzenia serca są coraz szybsze i skąd nieregularny rytm? Jeżeli dawka leku znieczulającego weszła dożylnie, dlaczego ciśnienie krwi nie spada? Nie znał odpowiedzi na te pytania. Działo się coś nienormalnego. Coś, czego nie potrafił wyjaśnić i coraz mniej rozumiał.

-, Nie czuję się dobrze - powiedziała Patty wydostając głowę spod maski tlenowej.

Popatrzył na jej twarz. Znowu malował się na niej strach.

— O co chodzi? - spytał zakłopotany obrotem wydarzeń.

— Czuję się śmiesznie.

— Jak to rozumiesz?

Przeniósł wzrok na monitory. Istniała zawsze obawa odczynu alergicznego na znieczulenie miejscowe. Chociaż uczulenie rozwijające się w ciągu dwóch godzin od podania pierwszej dawki wydawało się mocno naciągniętą bzdurą. Zauważył, że ciśnienie krwi nieznacznie wzrosło.

-Aaaaaaa! - krzyknęła Patty.

Spojrzał na jej twarz, wykrzywioną w przerażającym grymasie.

— Co się dzieje?

— Czuję ból w żołądku - chrapliwy głos wydobywał się przez zaciśnięte zęby - rozsadza żebra. To coś innego niż ból porodowy. Proszę... - zawodziła.

Prostując nogi zaczęła rzucać się na stole. Pojawiła się Sheila z krzepkim pielęgniarzem.

Usiłowali ją przytrzymać.

Ciśnienie krwi zaczęło opadać.

-Trzeba ją zaklinować, wałek pod prawy bok! -wrzeszczał Jeffrey.

Przygotował zastrzyk z efedryny, mającej spowodować podniesienie ciśnienia krwi, zastanawiał się, jak daleko spadnie w tym czasie. Nie miał pojęcia, co mogło się stać, jednak nie chciał podejmować zdecydowanych kroków, nie wiedząc dokładnie, przeciwko czemu.

Odgłosy rżenia przeniosły uwagę na jej twarz. Zerwał maskę tlenową. Ku jego zdziwieniu i przerażeniu kobieta śliniła się jak wściekły pies. Na dodatek obficie łzawiła. Mokry kaszel sugerował, że ilość wydzieliny w drogach oddechowych gwałtownie rosła.

Wykazywał najwyższy profesjonalizm. Wyksztalił w sobie sposób postępowania w takich sytuacjach. Myśli gnały naprzód. Brał pod uwagę wszystkie informacje, stawiał hipotezy, zaraz je odrzucając. Odessał nosogardziel pacjentki. Wstrzyknął dożylnie atropinę i zaraz efedrynę.

Wznowił odsysanie, po czym podał drugą dawkę atropiny. Wydzielina toczyła się wolniej. Ciśnienie krwi stabilizowało się. Zawartość tlenu również wracała do normy.

Ale Jeffrey ciągle nie znał przyczyny. Mógł jedynie podejrzewać reakcję uczuleniową na marcainę. W nadziei, że atropina będzie miała pozytywny wpływ na pracę serca, obserwował EKG. Ale uderzenia były wciąż nieregularne. Były bardziej nieregularne niż wtedy, kiedy puls był przyśpieszony. Przygotował 4 mg propranololu, ale zanim go wstrzyknął, zauważył drgania mięśni, zniekształcające rysy twarzy Patty seria

niekontrolowanych skurczów i spazmów. Drgawki gwałtownie rozprzestrzeniły się na pozostałe grupy mięśni.

-Trzymaj ją, Trent! - krzyknęła Sheila do pielęgniarza. - Łap nogi!

Kiedy EKG zaczęło rejestrować daleko dziwniejsze zmiany, zapowiadające poważne kłopoty z elektrycznym przewodzeniem serca, Jeffrey wstrzyknął propranolol.

Szybko odessał zielonkawą żółć, którą zwymiotowała Patty. Zerknął na odczyt oksymetru. Nagle zadźwięczał alarm monitora płodowego. Ustawała praca serca dziecka. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Patty doznała potężnego wstrząs przypominającego silny atak padaczki. Kończyny wykonywały nieskoordynowane ruchy we wszystkich kierunkach, a plecy wygięły się w łuk.

— Co tu się dzieje, do diabła? - ryknął Simarian pokonując drzwi.

— Marcaina! - krzyknął Jeffrey. - Mamy do czynienia z jakimś rodzajem przytłaczającej reakcji.

Nie miał czasu na wyjaśnienia. Nabierał do strzykawki scolinę.

-O Chryste - jęknął Simarian.

Szybko okrążył stół, by pomóc ułożyć Patty na płasko. Jeffrey wstrzyknął scolinę i dodatkową dawkę diazepam. Dziękował Bogu, że lepiej zamocował venflon.

Teraz to procentowało, mógł błyskawicznie podawać coraz to inne dawki prosto do żyły.

Sygnal oksymetru zaczynał zanikać. Oznaka, że nasycenie tlenu we krwi obniża się.

Ponownie zajęł się drogami oddechowymi Patty.

Oczyścił je i próbował wtłoczyć czysty tlen. Gdy scolina działała rozluźniająco na mięśnie, odruchy typu padaczkowego spowolniały. Wsunął rurkę dotchawiczną, sprawdził jej pozycję i dobrze przewentylował tlenem. Dźwięk oksymetru natychmiast wrócił do swojego normalnego tonu.

Ale monitor płodowy alarmował nieustannie. Serce dziecka biło coraz wolniej, nie chciało podjąć prawidłowej pracy.

-Musimy wydostać dziecko! - krzyknął Simarian,

Naciągał jałowe rękawiczki.

Jeffrey stale obserwował ciśnienie krwi, które zaczynało znowu spadać. Podał jeszcze jedną dawkę efedryny.

Ciśnienie podniosło się. Spojrzał na EKG. Nie było poprawy po propranololu. Nagle, ku jego przerażeniu, zobaczył, że linia EKG rozdrobniła się w pozbawione sensu migotanie. Serce Patty przestało bić.

- Praca serca zatrzymana! - krzyknął Jeffrey.

Ciśnienie krwi spadło do zera. Alarmy EKG i oksymetru zaczęły przeraźliwie piszczeć.

-O Boże! - wrzasnął Simarian.

Okrywał właśnie pacjentkę do operacji. Pośpiesznie ruszył w górę stołu i poprzez uciskanie klatki piersiowej rozpoczął zewnętrzny masaż serca. Sheila połączyła się z głównym pulpitem bloku operacyjnego. Pomoc była w drodze. Dodatkowe pielęgniarki wtoczyły z łoskotem wózek reanimacyjny. Błyskawicznie przygotowały defibrylator.

Przybiegła także pielęgniarka - anestetyczka. Stanęła u boku Jeffreya.

Zawartość tlenu we krwi podniosła się nieznacznie.

-Defibrylacja, natychmiast - rozkazał Jeffrey. Simarian odebrał łopatki defibrylatora od pielęgniarki. Przyłożył je do nagiej piersi Patty. Wszyscy cofnęli się od stołu operacyjnego. Nacisnął guzik. Efekt elektrowstrząsu nie był widoczny, ponieważ mięśnie

zwiotczały na skutek działania scoliny. Zauważalny był jedynie na ekranie EKG, gdyż migotanie zniknęło. Jednak kiedy fosforyzujący błysk powrócił, nie wykazywał prawidłowej pracy serca. Wyznaczał płaską linię z kilkoma nieznacznymi załamaniami.

-Wznówić masaż - nakazał Jeffrey wbijając wzrok w ekran EKG.

Nie mógł uwierzyć w brak elektrycznej aktywności.

Muskularny pielęgniarz wymienił Simariana i rozpoczął uciskanie klatki piersiowej Patty. Robił to lepiej. Monitor płodowy ciągle brzęczał. Serce dziecka biło zbyt wolno.

-Musimy je wydostać - upierał się Simarian.

Zmienił rękawiczki, biorąc w pośpiechu od instrumentariuszki dodatkowe, jałowe serwety. Mimo trwającego masażu obłożył pole operacyjne. Wziął ze stołu z narzędziami odpowiedni skalpel i przystąpił do pracy. Otworzył brzuch Patty typowym, pionowym nacięciem. W wyniku bardzo niskiego ciśnienia, krwawienie było znikome.

W tym momencie wkroczył do akcji pediatra. Przygotowywał się do odebrania dziecka.

Jeffrey całą uwagę skupił na pacjentce. Odsysał ją, zaskoczony ilością wydzieliny, nawet po dwóch dawkach atropiny. Z zadowoleniem stwierdził, że źrenice Patty nie są poszerzone, ale zaskoczyła go ich mikroskopijna wielkość. Ponieważ utlenowanie utrzymywało się, nie zdecydował się na wprowadzenie żadnych medykamentów do organizmu Patty, do czasu, aż dziecko zostanie przyjęte.

Wyjaśnił anestetyczce, co zaszło.

— Myślisz, że to reakcja na marcinę?

— Jedyne, co mogę wymyślić - przyznał.

W następnej minucie z brzucha Patty zostało wydobyte bezgłośnie, sine, zwiotczałe dziecko. Po odcięciu pępowiny przekazano je natychmiast czekającemu pediatrze. Z kolei zajął się nim zespół opieki nad noworodkami, dysponujący własną ekipą reanimacyjną. Anestetyczka dołączyła do tej grupy.

-Nie podoba mi się to płaskie EKG – powiedział do siebie Jeffrey, wstrzykując uderzeniową dawkę epinefryny. Popatrzył na ekran. Żadnej zmiany. Spróbował jeszcze jednej dawki atropiny. Nic. Zirytowany pobrał próbkę krwi tętnicznej i posłał ją do laboratorium, do zbadania.

W tym momencie na salę operacyjną wszedł jeden z kardiochirurgów - Ted Overstreet. Uporał się właśnie ze swoim przypadkiem wieńcowego przeszczepu omijającego. Gdy Jeffrey naświetlił sytuację, bez chwili wahania zaproponował otworenie klatki piersiowej.

Wróciła anestetyczka, mówiąc, że dziecko nie jest w dobrej formie.

— Ma tylko trzy stopnie w skali Apgar, oddycha, lecz serce nie pracuje jak należy.

Napięcie mięśniowe też nie jest dobre. Szczerze mówiąc, stan jest fatalny.

— Jak to? - spytał Jeffrey pokonując ogarniające go przygnębienie.

— Lewa nóżka porusza się prawidłowo, prawa nie.

Jest zupełnie wiotka. Z rączkami jest odwrotnie. Zwiesił głowę. Najwidoczniej nastąpiło uszkodzenie mózgu na skutek braku tlenu w macicy. Przygniotła go ta refleksja, nie miał jednak czasu na żal, musiał ratować Patty i jak najszybciej spowodować wznowienie pracy jej serca.

Z laboratorium nadeszły wyniki analizy krwi. PH było 7,28. Uwzględniając okoliczności, jest całkiem dobre, pomyślał. Podał dożylnie Calcium Chloride. Minuty wlokły się jak godziny. Wszyscy wpatrzeni w ekran EKG oczekiwali na oznakę życia, na odpowiedź

wobec dotychczasowych wysiłków. Ale monitor niweczył wszelkie nadzieje. Niezmiennie wytyczał płaską linię.

Pielęgniarski nie przestawał uciskać klatki piersiowej, a respirator napelniał płuca Patty czystym tlenem. Źrenice pozostawały zwężone, sugerując, że mózg otrzymuje wystarczającą ilość tlenu. Jednak serce nie działało, ani mechanicznie, ani elektrycznie. Jeffrey na próżno powtarzał w myślach wszystkie podręcznikowe zasady postępowania. Jeszcze raz-próbował pobudzić serce, zwiększając moc wyładowania defibrylatora do 400 Jouli.

W chwili gdy pediatrizy wreszcie ustabilizowali stan noworodka, można było zabrać go z bloku operacyjnego.

Zespół pediatriczny z kurczowo trzymającymi się rezydentami i pielęgniarkami oddalał się. Małeńki Mark był w drodze do oddziału intensywnej opieki dla nowo narodzonych. Jeffrey patrzył za odchodzącymi. Czuł w sercu ból. Zwiesiwszy ze smutkiem głowę, odwrócił się w stronę Patty. Co robić?

Spojrzał na Teda, stojącego ciągle obok. Spytał go, jak powinien postąpić. Był zrozpaczony.

-Tak jak mówiłem, powinniśmy ją otworzyć i popracować na otwartym sercu. W tej sytuacji jest niewiele do stracenia.

Jeffrey jeszcze przez chwilę obserwował płaskie EKG. Westchnął ciężko. W końcu odezwał się bez przekonania:

-Dobra, spróbujemy i tego.

Nie chciał się poddać, a żaden inny pomysł nie przychodził mu do głowy. Jak zauważył Ted, nie mieli nic do stracenia. Próbować zawsze warto.

Overstreet przygotował się do operacji w niecałe dziesięć minut. Aby móc błyskawicznie obłożyć pole operacyjne i zrobić cięcie, nakazał zaprzestanie masażu klatki piersiowej. W parę sekund trzymał nagie serce Patty. Natychmiast podjął masaż. Bezpośrednio w lewą komorę wstrzyknął epinefrynę. Gdy i to zawiodło, próbował spowodować pracę serca przez bezpośrednie podłączenie elektrod do kardiościany. Sprawdził efekt na EKG, niestety, serce nie odpowiadało.

Ted ponownie podjął masaż wewnętrzny.

-Może ktoś ma ochotę, poubijać - powiedział po paru minutach - bo teraz moje serce nie wytrzyma dłużej. Boję się, że ping-pong skończony, chyba że macie pod ręką jakieś serce do transplantacji. Bo to odbywa daleką podróż.

Jeffrey wiedział doskonale, że Ted nie jest tak gruboskórny, jak można było sądzić po tym, co mówił. Jego nonszalancki sposób bycia był jedynie mechanizmem obronnym, a nie całkowitym brakiem litości. Tym razem poczuł się jednak dotknięty do żywego.

Powstrzymał potok przekleństw.

Ted kontynuował masaż. Słysząc było jedynie aparaturę, reagującą na jego wysiłki.

Ciszę przerwał Simarian.

-Zgadzam się - powiedział po prostu, zrywając rękawiczki.

Ted spojrzał na Jeffreya. Widząc przytakujące skinienie głowy, wyjął rękę z piersi Patty.

-Przykro mi - powiedział.

Jeffrey znowu potaknął. Wziął głęboki oddech i wyłączył respirator. Popatrzył za siebie. Był to straszny widok, z gatunku tych, które zostają w pamięci do końca życia. Patty Owen leżała z brutalnie rozciętym brzuchem i klatką piersiową. Podłoga usiana była opakowaniami i resztkami lekarstw.



Był zdruzgotany i otępiały. To najgorszy przypadek w jego zawodowej karierze. Był świadkiem wielu tragedii, lecz ta stała się najstraszniejszą i najbardziej niespodziewaną.

Spojrzał na aparaturę anestetyczną, również pokrytą odpadkami. W pobojowisku leżała niekompletna karta znieczuleń. Powinien uaktualnić notatki. Nie miał wcześniej czasu na prowadzenie zapisu. Szukał na wpół opróżnionej ampułki marcainy, czując do niej irracjonalną nienawiść. Przecież opierając się na wynikach dawki testowej, niewiarygodne wydawało się, by przyczyną tragedii była reakcja uczuleniowa na to lekarstwo. Nie mógł opanować chęci, aby cisnąć fiolką o ścianę, po to tylko, by wyładować swą wściekłość. Jednak za dobrze nad sobą panował. Zresztą nie znalazł jej wśród wszechobecnego bałaganu.

-Sheila - zawołał do pielęgniarki, która właśnie zaczynała sprzątać - co się stało z ampułką marcainy?

Zatrzymała się na moment, posyłając mu nienawistne spojrzenie.

-Jeżeli lekarz nie wie, gdzie ją położył, tym bardziej ja nie wiem - odpowiedziała z wrogością.

Pokiwał głową przenosząc wzrok na ciało Patty odłączane od monitorów. Rozumiał złość Sheili. Też był wściekły. Patty nie zasłużyła na takie traktowanie. Nie przewidział jednego - ona nie była zła za traktowanie Patty. Dostawała wręcz szału, patrząc na Jeffreya.

1

PONIEDZIAŁEK

15 MAJA 1989 r. GODZINA 11.15

Złocisty promień porannego słońca wdzierał się przez okno usytuowane wysoko w ścianie, po lewej stronie Jeffreya. Promień jak sceniczny reflektor przecinał salę sądową i uderzał w drewnianą, kasetonową ścianę za ławą sędziowską. Miliony drobin kurzu iskrzyło i wirowało w intensywnym snopie światła. Już od pierwszej rozprawy uderzał Jeffreya teatralny charakter systemu sądowego.

Ale dzisiejszy dramat nie był widowiskiem telewizyjnym. Jego cała kariera, całe życie wisiały na włosku.

Biorąc głęboki oddech, otworzył oczy z nadzieją, że sceny rozgrywające się przed nim znikną w magiczny sposób, że obudzi się z najgorszego nocnego koszmaru jaki kiedykolwiek śnił. Ale to nie był sen. Osiem miesięcy wcześniej, podczas drugiej rozprawy, został uwikłany w przedwczesną śmierć Patty Owen. I dlatego siedział teraz na sali sądowej, w centrum Bostonu, czekając na orzeczenie przysięgłych, czy zakwalifikują jego czyn jako czyn kryminalny.

Spojrzał ponad głowę adwokata na zebrany tłum. Docierała do niego podniecona paplanina przyciszonych głosów. Był głęboko upokorzony publicznym spektaklem, ujawnionym tak bezceremonialnie. Jego całe życie zostało wydobyte na światło dzienne i pocięte na drobne kawałki. Kariera zawodowa chyliła się ku upadkowi. Był przybity i odrętwiały.

Westchnął. Adwokat Jeffreya, Randolph Bingham, upominał go o zachowanie samokontroli i spokoju. Ba, łatwo powiedzieć, po tych wszystkich nie przespanych nocach, dolegliwościach serca, lękach - czuł się coraz bardziej spięty.

Sędziowie przysięgli podejmowali decyzję. Werdykt był w drodze.

Jeffrey obserwował arystokratyczny profil Randolpha.

Podczas ostatnich koszmarnych ośmiu miesięcy mężczyzna ten, choć był starszy tylko o pięć lat, stał się dla niego ojcem. Czasami Jeffrey darzył go niemal uwielbieniem, innymi razy czymś bardziej przypominającym gniew i nienawiść. Jednak zawsze, do tej chwili, ufał w jego prawniczą zręczność.

Zerkając w stronę grona oskarżycieli, zatrzymał wzrok na prokuratorze okręgowym. Czuł wyjątkową antypatię do tego człowieka, który, jak się wydawało, skwapliwie zajął się tym przypadkiem, aby wykorzystać go w karierze politycznej. Doceniał wrodzoną inteligencję mężczyzny. Niechęć ku niemu narastała stopniowo, podczas poprzednich rozpraw.

Obserwując go rozmawiającego z asystentem, zdał sobie sprawę, że stał się osobliwie wolny od emocji. Przecież to jego praca, nic więcej.

Spojrzał w kierunku pustej ławy sędziowskiej. W trakcie procesu paraliżowała go świadomość, że dwunastu obcych ludzi ma zdecydować o jego losie. Nigdy przedtem nie czuł się tak bezbronny. Do ostatnich wydarzeń żył w przeświadczeniu, że decyduje sam o swoim losie.

Proces udowadniał, jak bardzo się mylił.

Sędziowie obradowali dwa dni. Dla Jeffreya były to dwa niespokojne dni i dwie nie przespane noce. Oczekiwał teraz na ich powrót. Zastanawiał się, czy dwa dni to dobry, czy zły znak. Randolph, irytująco wierny konserwatywnym zasadom, nic nie kalkulował. Mógł skłamać, dać tym samym Jeffreyowi kilka godzin względnego spokoju, nie było to jednak w jego stylu.

Mimo najlepszych intencji, nie mogąc pohamować zniecierpliwienia, zaczął szarpać wąsy. Kiedy zdał sobie sprawę z tego, co robi, położył dłonie na stole.

Przez lewe ramię obejrzał się na swoją, już wkrótce była żonę - Carol. Głowę miała spuszczoną. Czytała.

Nie potrafił zirytować się na jej spokój. Czuł wdzięczność, że po prostu jest i że wykazuje aż tyle wsparcia.

Przecież wcześniej, przed rozprawą, doszli zgodnie do wniosku, że dalsze życie będą wiedli osobno.

Osiem lat temu, kiedy brali ślub, nie stanowiło przeszkody to, że Carol była nadzwyczaj towarzyską osobą, a usposobienie Jeffreya skłaniało się dokładnie w przeciwną stronę.

Nie przeszkadzało także to, że wzbraniała się przed powiększeniem rodziny, dopóki nie zrealizuje planów zawodowych dotyczących kariery w bankowości.

Trwało to do czasu, aż zorientował się, że "później" oznacza nigdy. Teraz myślała o osiedleniu się na zachodzie,

w Los Angeles. Jeffrey był w stanie zaakceptować pomysł przeprowadzki do Kalifornii, jednak dręczył go problem posiadania prawdziwej rodziny. Z biegiem lat coraz bardziej pragnął dziecka. Martwił się, że nadzieje i aspiracje Carol zmierzają w całkowicie przeciwnym kierunku, nie potrafił jej jednak powstrzymać. Początkowo odrzucał możliwość rozwodu, w końcu ustąpił. Później, w trakcie jego procesów, zaproponowała, by odłożyć domowe sprawy do czasu rozwiązania problemów prawnych.

Jeffrey głośno westchnął. Randolph upomniał go spojrzeniem pełnym dezaprobaty. Nie zwrócił na to uwagi.

Gdy myślał o przebiegu wydarzeń, doznawał nieomal zawrotów głowy. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Po fatalnej śmierci Patty Owen, w bardzo krótkim czasie

otrzymał nakaz stawiennictwa na rozprawę sądową w celu wyjaśnienia zaniedbań w leczeniu. Ponieważ opinie otoczenia były sporne, sam proces nie zaskoczył go, zaskoczyła go podejrzana szybkość, z jaką został wytoczony.

Od początku Randolph ostrzegał go, że będzie to bardzo trudny przypadek. Jeffrey nie zdawał sobie sprawy, jak trudny. Wcześniej kierownictwo Boston Memorial Hospital zawiesiło go w czynnościach. Posunięcie to wydawało się kapryśną i niedorzeczną omyłką. Nie otrzymał żadnego poparcia, nie przeprowadzono głosowania nad wotum zaufania. Ani Randolph, ani Jeffrey nie dostrzegali żadnych racjonalnych przesłanek w tej decyzji. Chciał wytoczyć przeciwko szpitalowi proces, jednak Randolph odradził mu ten krok. Sądził, że wynik procesu będzie korzystniejszy po ogłoszeniu wyroku w sprawie o zaniedbania w leczeniu.

Zawieszenie w czynnościach okazało się tylko zwiastunem mających nadejść poważniejszych kłopotów. Pełnomocnikiem strony skarżącej o zaniedbania w leczeniu był młody, agresywny facet - Matthew Davidson z firmy prawniczej w St. Louis, specjalizującej się w procesach lekarskich tego typu. Wspierała go mała, ogólnoprawna kancelaria z Massachusetts. Pozwanymi byli:

Jeffrey, Simarian, Overstreet, a nawet zakład farmaceutyczny produkujący marcainę. Jeffrey był pierwszy raz obiektem sprawy o zaniedbania w leczeniu. Został uprzedzony przez Randolpha, że zrobi to na nim wstrząsające wrażenie. Pełnomocnicy oskarżają wszystkich, niezależnie od tego, czy jest jakikolwiek dowód bezpośredniego udziału w domniemanym przypadku niewłaściwego leczenia.

Początkowo dodawało mu otuchy to, że był jednym z wielu, ale nie na długo. Szybko stało się jasne, że zostanie sam. Doskonale pamiętał punkt zwrotny w sprawie, tak jakby to było wczoraj. Stało się to w trakcie jego własnego zeznania, we wstępnej fazie pierwszej cywilnej rozprawy o zaniedbania. Zeznawał jako pierwszy. Davidson zadał parę błahych pytań wyjaśniających podłoże wypadku. Nagle zaczął mocno przyciskać.

- Doktorze - powiedział, zwracając pociągłą, przystojną twarz w stronę Jeffrey'a. Nadał tytułowi wyraźne, pejoratywne znaczenie. Podszedł do miejsca dla świadków przybliżając twarz na odległość kilku centymetrów od twarzy Jeffrey'a. Był w nienagannie skrojonym, ciemnym, w drobne prążki garniturze, jasnej, lawendowej koszuli, ozdobionej paskowym krawatem. Pachniał drogą wodą kolońską. - Czy kiedykolwiek brał pan nałogowo jakiś narkotyk?

-Zgłaszam sprzeciw - zawołał Randolph, zrywając się na równe nogi.

Jeffrey miał wrażenie, że ogląda scenę z dramatu, a nie fragment swojego życia.

Obrońca uzasadniał sprzeciw:

— Pytanie nie dotyczy omawianych kwestii. Oskarżyciel próbuje rzucić niekorzystne światło na mojego klienta.

— Nie tak bardzo - skontrował Davidson — pytanie jest w najwyższym stopniu związane z okolicznościami omawianej sprawy, które to okoliczności będą ujawnione podczas przesłuchań dalszych świadków.

Przez chwilę na sali sądowej panowała cisza. Prasa nadała temu przypadkowi znaczny rozgłos. Pod tylną ścianą tłoczyli się ludzie.

Sędzią był przysadzisty mężczyzna o nazwisku Wilson.

Popchnął powyżej garbu na nosie grube okulary w czarnej oprawie. Odchrząknął.

— Jeżeli pan ze mnie żartuje, panie Davidson, drogo pan za to zapłaci.

— Jakżebyś śmiał!

— Oddalam sprzeciw. Strona oskarżająca, proszę kontynuować.

— Dziękuję - odparł Davidson, kierując z powrotem wzrok na Jeffreya.

— Czy chce pan, bym powtórzył pytanie, doktorze?

— Nie - odrzekł Jeffrey. Pamiętał pytanie wystarczająco dobrze.

Zerknął na Randolpha, ale ten był zajęty zapisywaniem czegoś w żółtym, służbowym bloczku. Posłał Davidsonowi długie, pełne nienawiści spojrzenie. Czuł, że nadchodzą kłopoty.

-Tak, miałem kiedyś drobny problem z narkotykami - powiedział opanowanym głosem. Był to stary sekret. Nigdy nie wyobrażał sobie, że zostanie odkryty, zwłaszcza przed obliczem sądu. Niedawno myślał o nim podczas wypełniania formularza niezbędnego do odnowienia licencji na leczenie w stanie Massachusetts. Sądził, że informacje zawarte w formularzu są poufne.

— Czy może powiedzieć pan ławie przysięgłych, jakiego rodzaju narkotyk brał pan nałogowo? - spytał Davidson, odsuwając się w sposób sugerujący, że przebywanie w pobliżu Jeffreya dłużej, niż tego wymagały okoliczności, budzi w nim odrazę.

— Morfinę - odpowiedział wyzywającym tonem.

-Pięć lat temu. Miałem kłopoty z bólem pleców po poważnym wypadku rowerowym. Spostrzegł Randolpha pocierającego prawą brew. Był to wcześniej ustalony gest dla zasygnalizowania, że adwokat pragnie, aby ograniczył się do prostej odpowiedzi na zadane pytanie, nie udzielając dodatkowych informacji.

Zignorował go. Był wściekły, że fragment przeszłości, nie mający nic wspólnego ze sprawą, został wydobyty na światło dzienne. Chciał się bronić. Chciał udzielić wyjaśnień. Trzeba było wybudzić wyobraźnię, żeby nazwać go narkomanem.

— Jak długo brał pan morfinę?

— Mniej niż miesiąc - warknął przez zęby-- była to typowa sytuacja, kiedy potrzeba i ochota niedostrzegalnie łączą się ze sobą.

— Rozumiem, właśnie w taki sposób pan to sobie wyjaśnił?

— W taki sposób wyjaśnił mi to mój lekarz - odparł

Jeffrey, odkręcając nieznacznie głowę do tyłu i kierując te słowa również do Randolpha. Adwokat znowu drapał brew z przerażeniem. - Wypadek zdarzył się podczas trwania głębokiego kryzysu w domu. Morfinę przepisał mi pewien chirurg - ortopeda.

Przekonałem samego siebie, że muszę brać narkotyk dłużej, niż potrzebowałem w rzeczywistości. Po paru tygodniach zdałem sobie sprawę z tego, co się stało. Wziąłem urlop chorobowy ze szpitala i zgłosiłem się dobrowolnie na leczenie. A także do poradni małżeńskiej.

- Czy zdarzyło się doktorowi przeprowadzać znieczulenie, kiedy... - Davidson przerwał, jak gdyby zastanawiał się nad sformułowaniem pytania - ...kiedy był pan pod wpływem narkotyku?

-Sprzeciw! - krzyknął Randolph. - Linia prowadzenia przesłuchania jest absurdalna. To nic innego jak potwarz.

Sędzia pochylił głowę, spojrzął znad okularów, które zsunęły się na czubek nosa.

-Panie Davidson -- powiedział protekcyjnie - znowu mamy ten sam spór. Ufam, że ma pan przekonywający powód dla swych jawnych popisów.

- Oczywiście, Wysoki Sądzie. Zamierzamy wykazać, że zeznanie ma ścisły związek z bliskim nam przypadkiem.

-Sprzeciw odrzucony, proszę kontynuować.

Jeffrey posłał piorunujące spojrzenie pełnomocnikowi oskarżenia. Jedyną rzeczą w życiu, której był absolutnie pewien, to właśnie poczucie odpowiedzialności zawodowej, swoich kompetencji i należytego wywiązywania się z obowiązków. Do szału doprowadzał go fakt, że ten mężczyzna sugerował coś innego.

— Nigdy nie naraziłem na szwank pacjenta - warknął Jeffrey.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie – odrzekł Davidson.

Randolph wstał i powiedział:

Wysoki Sądzie, czy mogę zbliżyć się do ławy?

-Jak pan sobie życzy - zgodził się sędzia.

Obydwaj, Randolph i Davidson, podszli do sędziego. Adwokat był rozdrażniony. Mówił chrapliwym szeptem. Mimo że Jeffreya dzieliły od mężczyzn tylko cztery metry, nie rozumiał rozmowy. Dosłyszał jedynie powtarzające się kilkakrotnie słowo "odroczenie". Sędzia odchylił się do tyłu, popatrzył na niego i powiedział:

— Doktorze Rhodes, pański adwokat przypuszcza, że potrzebuje pan odpoczynku, czy to prawda?

— Niepotrzebny mi odpoczynek - odpowiedział z wściekłością.

Randolph rozłożył bezradnie ręce.

-Dobrze - skwitował sędzia - w takim razie pozwólmy panu Davidsonowi prowadzić dalej przesłuchanie, abyśmy mogli jak najszybciej udać się na lunch.

— W porządku, doktorze - zaczął Davidson – czy kiedykolwiek prowadził pan znieczulenie pod wpływem, morfiny?

— Mogło się tak zdarzyć, jeden czy dwa razy... - zaczął Jeffrey - ale...

— Tak czy nie? Proste tak lub nie, tylko tyle chcę wiedzieć.

— Sprzeciw! - wykrzyknął Randolph. - Kolega nie pozwala udzielić świadkowi odpowiedzi.

— Wprost przeciwnie. Zadałem proste pytanie i oczekuję prostej odpowiedzi. Tak lub nie.

— Oddalam sprzeciw - włączył się sędzia. - Świadek będzie miał możliwość rozwinięcia odpowiedzi w dalszym ciągu przesłuchania. Proszę odpowiedzieć na pytanie, doktorze Rhodes.

-Tak - padła odpowiedź. Jeffrey nieomal czuł gotującą się krew.

— Czy od czasu kiedy wyleczył się pan z uzależnienia wobec morfiny... - Davidson rozpoczął pytanie oddalając się od Jeffreya. Z emfazą wypowiedział słowa "uzależnienie" i "morfina". Zawiesił głos, zatrzymując się przed ławą przysięgłych, odwrócił się i dodał - ...czy kiedykolwiek wziął pan ponownie morfinę?

— Nie.

— Czy brał pan morfinę tego dnia, kiedy na nieszczęście dla Patty Owen przeprowadzał pan znieczulenie?

— Absolutnie nie!

— Czy jest pan tego pewien, doktorze?

— Tak, jestem pewien! - wrzasnął Jeffrey.

— Nie mam więcej pytań - powiedział Davidson i wrócił na miejsce.

Randolph zrobił wszystko, co było w jego mocy. Podkreślił, że problem uzależnienia był nieznaczący i krótko trwały, że Jeffrey nigdy nie wziął więcej morfiny, niż wynosiła dawka terapeutyczna. Zaznaczył, że doktor Rhodes podjął leczenie na własną prośbę. Posiada zaświadczenie o wyleczeniu i nigdy nie był obiektem jakichkolwiek działań

dyscyplinarnych. Mimo tych wszystkich zapewnień obydwaj wiedzieli, że zadano im śmiertelny cios.

Nagle w drzwiach sali pojawił się umundurowany oficer sądowy. Jeffrey ocknął się, jego myśli wróciły do rzeczywistości. Puls stał się szybszy. Był przekonany, że za chwilę zostaną zaanonsowani sędziowie przysięgli. Ale oficer udał się w stronę pomieszczeń sędziowskich i znikł za ich drzwiami.

Jeffrey wrócił myślami do rozprawy o zaniedbania w leczeniu.

Podczas dalszych przesłuchań Davidson, jak obiecywał, wykazał, że kwestia uzależnienia ma ścisły związek ze sprawą. Stanowiło to kompletną niespodziankę dla Jeffreya, choć przedstawione dowody świadczyły o tym niezbicie. Pierwszym zaskoczeniem były zeznania Reginy Vinson.

Po zwykłych pytaniach wprowadzających Davidson spytał pielęgniarkę, czy widziała doktora Jeffreya Rhodesa w decydującym dla Patty Owen dniu.

-Widziałam.

Jeffrey znał ją przelotnie. Wiedział, że jest jedną z pielęgniarek wieczornej zmiany bloku operacyjnego. Jednak nie przypominał sobie, by spotkali się tego dnia.

— Gdzie był doktor Rhodes?

— Był we wnęce anestezjologicznej przy sali operacyjnej numer jedenaście - odpowiedziała, patrząc Jeffreyowi prosto w oczy.

Ogarnęło go uczucie, że usłyszy coś niepochebnego.

Nie domyślał się, co to będzie. Pamiętał, że pracował w tej sali przez większą część feralnego dnia.

Randolph pochylił się i spytał przyciszonym głosem:

- Do czego ona zmierza?

— Nie mam pojęcia - wyszeptał, nie mogąc oderwać oczu od pielęgniarki. Z niepokojem wyczuwał wręcz fizyczną wrogość kobiety.

— Czy doktor Rhodes panią widział? - spytał Davidson.

- Tak.

Naraz przypomniał sobie wszystko. Przed oczami pojawił się obraz odsłoniętej kotary i wystraszonej twarzy Reginy. Fakt, że był w tym dniu chory, nie miał żadnego związku z problemem uzależnienia. Dlatego nie opowiadał Randolphowi tej historii.

Zastanawiał się, czy adwokat powinien wszystko wiedzieć, ale bał się po prostu przyznać do tego, co zrobił. Wtedy traktował swe zachowanie jako wyraz poświęcenia i samoofiary. Po nieoczekiwanym zgonie pacjentki, nie był tego tak bardzo pewien.

Trącił ramię Randolpha. Niestety, za późno.

Davidson, formułując następne pytanie, patrzył po kolei na sędziów przysięgłych.

— Czy było coś dziwnego w tym, że doktor Rhodes znajdował się we wnęce sali operacyjnej numer jedenaście?

— Tak - odpowiedziała. - Kotara była zaciągnięta, a sala operacyjna nieczynna.

Davidson przyglądał się sędziom długo. Wreszcie odezwał się.

— Proszę powiedzieć sędziom, co doktor Rhodes robił we wnęce anestezjologicznej obok pustej sali operacyjnej, przy zasłoniętej kotarze.

— Szprycował się - powiedziała złośliwie. — Robił sobie dożylny zastrzyk.

Szmer podniecenia przeleciał przez salę. Zaskoczony

Randolph spojrział na Jeffreya siedzącego ze spuszczoną głową.

-Mogę to wyjaśnić - powiedział bez przekonania.

Davidson szedł dalej.

-- Co zrobiła pani, gdy zobaczyła szprycującego się doktora Rhodesa?

-Poszłam do przełożonej, a ta próbowała zawiadomić szefa anestezjologów. Niestety, był nieosiągalny.

Po fatalnych zeznaniach Reginy Randolph poprosił o przerwę. Gdy zostali sami, zażądał wyjaśnienia epizodu ze "szprycowaniem się". Jeffrey przyznał, że tego tragicznego dnia był chory, wytłumaczył, że tylko on mógł być do dyspozycji. Opowiedział o kroplówce, o środku uśmierzającym ból, który popijał, o wszystkim, co zrobił po to tylko, by zachować zdolność do normalnej pracy.

— Czego jeszcze mi nie powiedziałaś?

— To wszystko.

— Dlaczego zrobiłeś to dopiero teraz?

Jeffrey spuścił głowę. Tak naprawdę, nie był tego całkowicie pewien.

- Nie wiem - powiedział. - Nie lubię przyznawać się do choroby. Większość lekarzy tak postępuje. Może to swoista obrona wobec przebywania wśród pacjentów.

Lubimy wierzyć, że choroby nie mają się nas.

— Nie prosiłem o wstępny artykuł - prawie krzyczał Randolph - zachowaj takie teksty dla "New England Journal of Medicine". Chciałbym wiedzieć, dlaczego TY nie mogłeś powiedzieć MNIE, swojemu prawnikowi, że widziano cię, jak szprycowałeś się tamtego dnia rano.

— Bałem się - przyznał Jeffrey. - Zrobiłem dla Patty Owen wszystko, co było w mojej mocy. Każdy może przeczytać zapis karty i każdy o tym zaświadczy. Ostatnią rzeczą, do której chciałem się przyznać, to fakt, że nie byłem w najlepszej formie. Nie chciałem, by kwestionowano mój profesjonalizm. Może obawiałem się mniejszego zaangażowania z twojej strony, gdybyś podejrzewał choć cień mojej winy.

— Jezu Chryste! - zawołał Randolph.

Później, już na sali sądowej, przesłuchując Jeffrey'a jako swojego świadka, adwokat, o ile tylko mógł, zbijał argumenty oskarżenia. Podniósł fakt, że Regina nie mogła widzieć, czy Jeffrey wstrzykuje sobie narkotyk, czy wkłupa igłę do żyły, by za pomocą kroplówki nawodnić organizm.

Jednak Davidson nie był jeszcze pokonany. Powołał na miejsce dla świadków Sheilę Dodenhoff. Podobnie jak Regina, podczas składania zeznań, również ona przeszywała Jeffrey'a nienawistnym wzrokiem.

-Panno Dodenhoff - zaczął Davidson - czy będąc dyżurną pielęgniarką, w trakcie trwania tragedii Patty

Owen, zauważyła pani cokolwiek osobliwego, co miało związek z osobą oskarżonego, doktora Rhodesa?

— Tak, zauważyłam - powiedziała triumfalnie.

— Czy może powiedzieć pani sędziom, co to było? - zapytał Davidson, jawnie rozkoszując się chwilą.

— Zauważyłam, że jego źrenice były maleńkie jak łebki od szpilek. Widać było wyraźnie, ponieważ jego oczy są takie niebieskie. Właściwie ledwie je było widać.

Po niej Davidson powołał na świadka światowej sławy oftalmologa z Nowego Jorku, autora obszernego i wyczerpującego dzieła na temat funkcjonowania źrenicy.

Złożywszy znakomite listy uwierzytelniające, poprosił doktora o wymienienie i nazwanie najbardziej rozpowszechnionego lekarstwa powodującego zwężenie źrenic, lub powodującego miosis, jeżeli doktor wolalby tak ten stan nazwać.

— Ma pan na myśli lek ogólnoustrojowy, czy krople do oczu? - spytał oftalmolog.

— Lek ogólnoustrojowy.

— Morfina - z ogromną pewnością odpowiedziała sława. Po czym rozpoczął wykład o jądrze Westphal-Edingera całkowicie niezrozumiałym, medycznym językiem. Lecz Davidson zdołał przerwać i przekazał świadka Randolphowi.

W dalszym ciągu rozprawy Randolph usiłował sprostować fałszywe interpretacje, wyjaśniając, że Jeffrey znajdował się pod wpływem środka uśmierzającego ból, stosowanego przy biegunkach. Ponieważ w skład lekarstwa wchodziło opium, które z kolei zawiera morfinę, adwokat sugerował, że to właśnie było przyczyną zwięzienia źrenic. Wyjaśnił też, dlaczego Jeffrey zaaplikował sobie kroplówkę - zwalczył objawy grypy, często powodujące odwodnienie. Niestety, widać było, że sąd nie zaakceptował wyjaśnień, zwłaszcza kiedy Davidson powołał na świadka znanego i szanowanego internistę.

-Proszę powiedzieć, panie doktorze - zaczął obłudnie - czy wśród lekarzy rozpowszechniony jest zwyczaj podłączania się do kroplówki, tak jak nam sugerowano i jak postąpił doktor Rhodes?

-Nie - odpowiedział internista. - Słyszałem banialuki o stażystach zabawiających się w ten sposób, ale nawet jeżeli to prawda, zaręczam, że takie praktyki nie są powszechnie stosowane.

Końcowy akord rozprawy stanowiło zeznanie Marvin'a Hicklemana, jednego ze sprzątaczy bloku operacyjnego.

-Panie Hickleman, czy porządkował pan salę operacyjną po operacji przeprowadzonej na Patty Owen?

- Tak.

-Rozumiem, że znalazł pan coś w specjalnym pojemniku na odpadki, znajdującym się z tyłu urządzenia do pełnej anestezji. Czy mógłby pan powiedzieć sądowi, co zostało znalezione?

— Znalazłem pustą ampulkę marcainy.

— O jakim stężeniu?

- Była to marcaina 0,75%.

Jeffrey odchylił się do tyłu i szepnął do Randolpha:

-Używałem 0,5%, jestem pewien.

Davidson, jak gdyby usłyszał, zadał natychmiast kolejne pytanie Hicklemanowi:

— A czy znalazł pan ampulkę o stężeniu 0,5%?

— Nie, nie znalazłem.

Świadka przejął Randolph. Starał się zdyskredytować oświadczenie Hicklemana, ale pogorszył tylko sprawę.

— Czy pan zawsze przegląda śmieci podczas sprzątanía sali operacyjnej, sprawdzając stężenia na opakowaniu?

— Nieee...

— Ale zrobił to pan w tym konkretnym przypadku?

— Tak!

— Czy można wiedzieć, dlaczego?

-Prosiła o to pielęgniarka przełożona.

Ostateczny cios zadał doktor Leonard Simon z Nowego Jorku, renomowany anestezjolog. Jeffrey rozpoznał go.

Davidson zmierzał prosto do celu.



-Doktorze Simon, czy marcaina 0,75% zalecana jest w połączeniu do znieczulania zewnątrzoponowego?

— Absolutnie nie, faktycznie jest zabroniona. Wyraźne ostrzeżenie widnieje na opakowaniu i na ulotce umieszczonej wewnątrz. Wie o tym dobrze każdy anestezjolog.

— Czy może pan wytłumaczyć, dlaczego jest zabroniona?

— Zostało ustalone, że sporadycznie powoduje poważne reakcje.

— Jakiego rodzaju?

- Zatrucie centralnego układu nerwowego.

— Czy to oznacza bardzo silny atak typu padaczkowego?

— Tak, znane jest występowanie takich ataków.

— Jakie jeszcze reakcje?

— Zaburzenia pracy serca.

— To znaczy... ?

— Arytmię i zatrzymanie pracy serca.

- Czy zdarzyło się, że tego typu reakcje były śmiertelne?

-Dokładnie tak - powiedział doktor Simon, dobijając tym samym Jeffreya.

Rezultat był taki, że tylko on został uznany za winnego zaniedbań w leczeniu. Simarian, Overstreet, Boston Memorial Hospital i przedsiębiorstwo farmaceutyczne zostali uniewinnieni. Sąd zarządził odszkodowanie na rzecz Patty Owen w wysokości jedenastu milionów dolarów, o dziewięć milionów więcej, niż obejmowało ubezpieczenie ryzyka zawodowego Jeffreya. Po rozprawie Davidson był jawnie rozczarowany, że zakończył gnębienie lekarza.

Inni oskarżeni zostali uniewinnieni i odeszli ze swoimi pieniędzmi. Istniała niewielka szansa na wyciągnięcie dużo większej sumy od tej, którą zdobył - całkowitego ubezpieczenia Jeffreya. Nawet w przypadku zajęcia do końca życia jego poborów.

Dla Jeffreya wynik sprawy był druzgocący, zarówno w życiu osobistym jak i zawodowym. Całe wyobrażenie, jakie miał o sobie i o swojej wartości, wynikało z poczucia obowiązku, zaangażowania, ofiarności i poświęcenia dla zawodu. Wszystko zostało zniweczone-, do tego stopnia, że zaczął w sobie wątpić. Musiał chyba przypadkowo użyć marcainy 0,75%.

Nie miał jednak czasu na pogrążenie się w rozpacz.

Prasa szeroko pisała na temat "operowania pod wpływem operowania" na haju" czy "szprycowania się" doktora Rhodesa. W wyniku tych doniesień opinia publiczna rozpętała dziką, niepokohowaną kampanię antynarkotyczną, jakiej od dłuższego czasu nie było. W tej sytuacji prokurator okręgowy czuł się zmuszony do wniesienia oskarżenia kryminalnego, Nie mogąc w to kompletnie uwierzyć, Jeffrey znalazł się w roli oskarżonego o morderstwo drugiego stopnia, czyli o nieumyślne spowodowanie śmierci. Pod takim zarzutem siedział teraz na ławie oskarżonych, czekając werdykt sędziowski.

Zadumę przerwało mu ponowne pojawienie się na Sali oficera sądowego. Wyszedł z pokoju sędziowskiego i od razu zniknął w sali obrad. Dlaczego tak to przeciągają? Czekanie było torturą.

Jeffreya trapiło złudzenie powtarzalności sytuacji. Nie było w tym nic dziwnego - czterodniowy proces kryminalny zbytnio nie różnił się od rozprawy cywilnej, Tylko tym razem stawka była większa.

Strata pieniędzy - to jedno. I tak nie miał ich zbyt wiele. Zupełnie czymś innym było widmo skazania za czyn kryminalny. Nie mógł pogodzić się z myślą, że czeka go całe

życie za kratkami. Nie wiedział, czy wynika to z racjonalnego zagrożenia, czy z irracjonalnej fobii. Zwierzył się kiedyś Carol, że spędzi resztę życia w innym kraju, jeżeli stanie w obliczu kary więzienia.

Niektóre zwroty sędziny jeszcze -dzwoniły w uszach, podsycając strach. Dwa dni wcześniej pouczała przysięgłych udających się na naradę.

- Członkowie ławy - mówiła Janice Maloney - zanim uznacie oskarżonego Jeffreya Rhodessa za winnego morderstwa drugiego stopnia, musicie upewnić się ponad wszelką wątpliwość, że śmierć Patty Owen spowodowana była działaniem oskarżonego, a czyn jego stanowił bezpośrednie zagrożenie dla innej osoby i był przejawem zdeprawowanego umysłu, obojętnego na ludzkie życie.

Czyn uznawany jest za "bezpośrednio zagrażający" i za "przejaw zdeprawowanej osobowości", jeżeli w sądzie szczebla podstawowego zostało bezsprzecznie uzasadnione, że doprowadził do śmierci lub poważnego zranienia innych, jest to także taki czyn, który bierze się ze złej woli, nienawiści lub szkodliwych intencji.

Jeffreyowi wydawało się, że wynik rozprawy zależy od tego, czy ława przysięgłych uwierzyła w to, że brał morfinę. Jeżeli uwierzyła- dojdzie do wniosku, że intencje były szkodliwe. Ciekawe, jak on oceniłby ten przypadek, będąc na miejscu jednego z sędziów. Ostatecznie, wykonywanie anestezji zawsze było bezpośrednim zagrożeniem. Jedyną różnicę wyróżniającą takie działanie od czynu kryminalnego stanowiła zgoda pacjenta.

Najbardziej wstrząsnęły Jeffreyem słowa sędziny kierowane do sędziów przysięgłych, słowa dotyczące wymiaru kary. Poinformowała ławę, że nawet przekonanie o mniejszej winie w nieumyślnym spowodowaniu śmierci wymagać będzie od niej zasądzenia minimum trzech lat więzienia.

Trzy lata! Jeffrey otarł czoło dłonią. Palce pozostały mokre.

- Proszę wstać, sąd idzie! - zawołał oficer przemierzając salę. -

Wszyscy powstali: Wielu wyciągało szyję, mając nadzieję, że z min pojawiających się kolejno przysięgłych wyczytają ślad werdyktu.

Lapidarne zawiadomienie urzędnika sądowego zaskoczyło Jeffreya, pochłoniętego własnymi myślami. Poderwał się gwałtownie z miejsca. Ruch ten wywołał silny zawrót głowy, musiał oprzeć się o blat stołu, żeby utrzymać równowagę.

Zaden z wchodzących sędziów nie spojrzał na Jeffreya. Czy to dobry, czy zły znak? Chciał zapytać Randolpha, ale bał się odpowiedzi.

-Jego Eminencja, sędzia Janice Maloney! - zaanonsował oficer wchodzącą na salę. Była szczupłą kobietą o wyrazistych oczach, Odsunęła na bok przygotowaną dla niej karafkę i ułożyła przed sobą dokumenty.

- Proszę usiąść - kontynuował. - Członków ławy przysięgłych proszę o pozostanie na stojąco, Jeffrey zajął miejsce, wciąż obserwując sędziów. Coraz bardziej deprymował go fakt, że żaden z nich nawet na niego nie spojrzał. Skupił uwagę na kobiecie stojącej daleko, po lewej stronie, w pierwszym rzędzie. Podczas procesu często patrzyła w jego kierunku. Intuicja podpowiadała mu, że starsza pani myśli o nim w szczególnie ciepły sposób. Nie teraz... Spuściła oczy trzymając przed sobą złożone ręce.

Sekretarz poprawił okulary. Zajmował miejsce przy stole, poniżej ławy sędziowskiej, po prawej stronie. Leżały przed nim akta sprawy.

-Proszę oskarżonego o powstanie, i patrzenie w kierunku ławy przysięgłych-powiedział.

Jeffrey wstał. Tym razem zrobił to powoli. Teraz wszyscy sędziowie wpatrywali się w niego. Mieli kamienne twarze. Czuł puls dudniący w uszach.

-Pani przewodnicząca ławy przysięgłych! - zawołał sekretarz.

Przewodniczącą była przystojna kobieta, w wieku mniej więcej trzydziestu lat.

- Czy sędziowie przysięgli uzgodnili werdykt?

- Tak - odpowiedziała.

- Proszę o odebranie werdyktu od przewodniczącej.

Urzędnik sądowy podszedł do niej, wziął z jej rąk zwykłą kartkę papieru. Następnie wręczył ją sędzinie.

Janice Maloney czytała werdykt, odchylając głowę do tyłu, by dobrze widzieć przez dwuogniskowe szkła. Czytała wolno. Wreszcie skinęła głową i, wręczyła papier sekretarzowi, który czekał, stojąc.

Wyglądało na to, że jemu też się nie spieszyło. Jeffreya irytowały te wszystkie opóźnienia.

Sąd wydawał się sztuczny i śmieszny ze swoim archaicznym protokołem.,

Serce biło szybciej. Dłonie stały się wilgotne.

Sekretarz odchrząknął i powiedział w stronę ławy przysięgłych:

-Pani przewodnicząca, proszę powiedzieć: czy oskarżony jest winny, czy niewinny domniemanego oskarżenia o morderstwo drugiego stopnia?

Jeffrey poczuł drżenie nóg. Lewą ręką wsparł się o stół. Nie był specjalnie religijny, ale przyłapał się na modlitwie: Boże, proszę...

- Winny! - powiedziała przewodnicząca czystym dźwięcznym głosem.

Jeffrey zachwiał się. Miał wrażenie, że sala sądowa odpływa w dal. Poczul dotyk dłoni na prawym ramieniu.

-To dopiero pierwsza runda- szeptał Randolph - jak tylko dostaniemy orzeczenie o zaniedbaniu w leczeniu ^ złożymy apelację.

Sekretarz spojrział karcąco w ich stronę. Odwrócił się do ławy przysięgłych i powiedział:

-Pani przewodnicząca, członkowie ławy, nawiązując do werdyktu, proszę o zaprotokołowanie – sędziowie przysięgli pod przysięgą wypowiedzieli się, że oskarżony jest winny, tak jak wnioskowało powództwo - czy to powiedziała pani przewodnicząca?

— Tak.

— A wy, członkowie ławy, czy tak samo sądzicie?

— Tak.

Sekretarz zajął się leżącymi przed nim aktami. Sędzina rozpoczęła rozwiązywanie ławy przysięgłych. Dziękowała ławnikom za poświęcony czas i dokładne rozważenie przypadku, doceniła również ich wkład w podtrzymanie dwustuletniej tradycji sądownictwa.

Jeffrey usiadł ciężko, czując odrętwienie i chłód.

Randolph przypomniał mu, że sędzia w rozprawie dotyczącej zaniedbań w leczeniu nigdy nie powinien dopuścić do ujawnienia i dyskusowania kwestii narkotyków.

-Prócz tego wszystkie dowody są pośrednie. Nie ma ani skrawka bezpośredniego dowodu, że brałaś wtedy morfinę. Nikt nie może o tym zaświadczyć.

Jeffrey nie słuchał. Werdykt był tak przygniatający, że nie potrafił rozważyć spokojnie tego, co się stało. Zdał sobie sprawę, że gdzieś głęboko w nim istniało przekonanie, iż nie będzie skazany. Przecież jest niewinny. Nigdy przedtem nie miał do czynienia z systemem prawnym.

Ufał zawsze, że prawda zwycięży. Przekonanie to okazało się fałszywe. Czekalo go więzienie.

Więzienie! Jakby dopełniając przeznaczenia, podszedł oficer sądowy, by zakuć go w kajdanki. Jeffrey gapił się bezmyślnie na wypolerowaną powierzchnię stali. Zakucie w kajdanki bardziej zmieniło go w zbrodniarza niż werdykt przysięgłych.

Randolph szeptał dla dodania otuchy. Sędzina nadal była zajęta rozwiązywaniem ławy przysięgłych. Nic z tego nie słyszał. Pochłoneła go rozpacz, konkurująca z obawą przed zamknięciem w małym pomieszczeniu. Wspomnił dzieciństwo. Jako mały chłopiec został przez brata zawinięty szczelnie w koce, uczucie strachu przed uduszeniem powracało ze zdwojoną siłą.

— Wysoki Sądzie - powiedział prokurator okręgowy - w imieniu Stanu wnioskuję o orzeczenie kary.

— Wniosek odrzucony - odpowiedziała sędzina. -

Sąd przeprowadzi postępowanie orzekające o wymiarze kary po zapoznaniu się z materiałem dowodowym. Panie Lewis, jaki termin możemy wyznaczyć?

Sekretarz zajrzał do kalendarza rozpraw.

— Wolny jest 7 lipca.

— W takim razie 7 lipca.

— W imieniu Stanu ośmielałam się prosić o odrzucenie ewentualnego zwolnienia oskarżonego za kaucją lub proszę o znaczne podwyższenie jej kwoty - kontynuował prokurator okręgowy. :- Stanowisko Stanu jest następujące: kaucja powinna wzrosnąć z 50 000 do 500 000 dolarów.

— Rozumiemy - wtrąciła sędzina. - Wysłuchajmy pańskich argumentów.

Prokurator opuścił miejsce strony oskarżającej i stanął przed obliczem sądu.

-Natura wniesionego oskarżenia, połączona z właśnie ogłoszonym werdyktem, wymaga podwyższenia kaucji po to, by podkreślić powagę zbrodni udowodnionej oskarżonemu. Wyobrażam sobie, jaki powstałby rwetes, gdyby doktor Rhodes wołał czmychnąć niż stanąć w obliczu kary sądowej.

Sędzina zwróciła się do Randolpha. Adwokat wstał.

— Wysoki Sądzie - zaczął - chciałbym podkreślić, że mój klient jest w najwyższym stopniu przywiązany do środowiska. Zawsze demonstrował odpowiedzialne zachowanie. Nigdy nie był notowanym kryminalistą. Jest wzorowym członkiem społeczeństwa. Człowiekiem produktywnym i przestrzegającym prawa. Odnoszę wrażenie, że kaucja w wysokości 50 000 dolarów jest więcej niż wystarczająca, 500 000 byłoby przesadą.

— Czy pański klient kiedykolwiek wyraził zamiar uchylenia się od odbycia kary? - spytała sędzina, patrząc znad okularów.

— Nie wierzę, by doktor Rhodes myślał lub mówił o czymś takim.

Sędzina przyjrzała się Randolphowi i przenosząc wzrok na prokuratora okręgowego, powiedziała:

-Kaucja zostaje nieodwołalnie ustalona na 500 000 dolarów. Doktorze Rhodes, jako uznany za zbrodniarza, nie może pan opuszczać stanu Massachusetts. Czy to jasne? Jeffrey potulnie skinał głową.

- Wysoki Sądzie...! - protestował Randolph.

Lecz sędzina uderzyła młotkiem i wstając jednoznacznie zakończyła rozprawę.

-Wszyscy powstać! - nakazał urzędnik sądowy.

Janice Maloney zawirowwała togą jak derwisz i majestatycznie opuściła salę sądową, znikając w swoim gabinecie. Natychmiast wybuchł gwar.

-Tędy, doktorze Rhodes.

Oficer sądowy, stojący obok Jeffreya, zrobił gest w kierunku bocznych drzwi. Jeffrey wstał. Ruszył do przodu potykając się. Obrzucił szybkim spojrzeniem Carol.

Patrzyła na niego ze smutkiem. -

Został zabrany do pokoju zatrzymań. Całe umeblowanie stanowił prosty stół i spartańskie, drewniane krzesła. Ogarnęła go jeszcze większa panika. Usiadł na krześle podsunętym przez Randolpha. Chociaż robił wszystko, co mógł, by zachować zimną krew, nie był w stanie opanować drżenia rąk. Jego oddech stał się krótki.

Randolph starał się uspokoić Jeffreya. Głośno oburzał się na werdykt ławy przysięgłych i roztaczał optymistyczną wizję przyszłej rozprawy apelacyjnej. Wkrótce do wąskiego pokoju doprowadzono Carol. Randolph poklepał ją po ramieniu.

- Porozmawiaj z nim, ja tymczasem zadzwonię do faceta, który gotów będzie poręczyć kaucję.

Potaknęła i popatrzyła na Jeffreya.

-Przykro mi - powiedziała, kiedy Randolph wyszedł.

Jeffrey pokiwał głową. Była tak dobra, zostając przy nim. Łzy zakreśliły mu się w oczach. Zaciśnął usta, by powstrzymać płacz.

— To wszystko jest bardzo nie w porządku - powiedziała, siadając obok niego.

— Nie mogę iść do więzienia - potrafił wykrztusić tylko tyle. Potrząsnął głową. - Ciągłe nie mogę uwierzyć, że to wszystko się stało.

— Randolph będzie apelował. To jeszcze nie koniec.

— Apelacja - powiedział z rozgoryczeniem. - Przegrałem dwa razy.

— To nie jest to samo. Tym razem dowody będą rozpatrywali doświadczeni sędziowie, a nie dwanaście rozemocjonowanych osób.

Randolph wrócił od telefonu mówiąc, że jest już w drodze Michael Mosconi, poręczyciel kaucji. Po chwili rozpoczął z Carol ożywioną dyskusję o postępowaniu w procesie apelacyjnym. Jeffrey oparł łokcie na stole i pomimo przeszkadzających kajdanków ukrył twarz w dłoniach. Myślał o medycznej licencji, zastanawiając się, jaki wpływ będzie miał na nią dzisiejszy werdykt. Nie był dobrej myśli.

Nie minęło wiele czasu, jak do pokoju wszedł Mosconi z aktówką w ręce. Jego biuro oddalone było zaledwie parę kroków od gmachu sądu. Mieściło się w narożnym domu naprzeciw Government Center. Był niedużym mężczyzną, o wielkiej, prawie łysej głowie. Reszta włosów tworzyła z tyłu ciemny wianuszek sięgający od ucha do ucha. Parę czarnych kosmyków zaczesanych było dokładnie w poprzek łysiny, bezskutecznie usiłując ją ukryć.

Miał zdecydowanie czarne oczy, sprawiające wrażenie samych źrenic. Ubrany był dość osobliwie - ciemnoniebieski garnitur ze sztucznego włókna, czarna koszula i biały krawat.

— Dobra - powiedział, siadając przy stole i otwierając skoroszyt podpisany nazwiskiem Jeffreya.

— O ile wzrosła kaucja?

Wpisał początkową kaucję 50 000 dolarów, zaznaczając 5 000 za swoje usługi.

-O 450 000 - odpowiedział Randolph.

Mosconi zagwizdał przez zęby, przerywając wypełnianie papierów.

-Co, pewnie myślą, że złapali wroga publicznego nr 1?

Ani Randolph, ani Jeffrey nie czuli się zobowiązani do odpowiedzi.

Mosconi wrócił do pracy papierkowej, nie przejmując się brakiem reakcji. Zrobił wcześniej odpis prawa własności i stanu obciążenia hipoteki na dom Jeffreya i Carol w Marblehead. Przy wstępnej kaucji zabezpieczył zobowiązanie zapłaty zastawem 50 000 dolarów na dom. Dom był wyceniony prawie na 800 000, z istniejącym zadłużeniem hipotecznym wynoszącym około 300 000.

-Prawda, że cudownie się zgadza? - powiedział. -

W ten sposób będę mógł dostarczyć poręczenie na 450 000, zastawiając wasze małe gniazdko w Marblehead.

Co wy na to? Jeffrey skinął głową. Carol wzruszyła ramionami.

-Jest jeszcze maleńki kłopot z moim wynagrodzeniem, które w tym przypadku wynosi 45 000. Chciałbym dostać je w gotówce.

-Nie mam takiej ilości gotówki - powiedział Jeffrey.

Mosconi wstrzymał uzupełnianie formularzy.

— Jestem pewien, że możesz ją zdobyć - wtrącił Randolph.

— Przypuszczam, że tak - odpowiedział Jeffrey, ogarnięty całkowitą depresją.

— A więc tak czy nie? - zapytał Mosconi. — Nie zajmuję się tymi bzdurami dla zabawy.

— Zdobędę tę gotówkę - powtórzył Jeffrey.

— Normalnie inkasuję zapłatę z góry, ale ponieważ jest pan lekarzem... - zachichotał - pozwolę sobie zauważyć, że zwykle mam do czynienia z odrobiną inną klientelą.. No, od pana wyjątkowo przyjmę czek. Z jednym zastrzeżeniem. Jeżeli zgromadzi pan pieniądze i znajdą się one na pańskim koncie jutro, o tej samej porze. Czy jest to możliwe?

— Nie wiem.

— Jeżeli pan nie wie, to będzie musiał pan zostać w areszcie do czasu ich zdobycia.

— Pożyczę.

Myśl o spędzeniu choćby kilku nocy w więzieniu była nie do zniesienia.

-Czy ma pan przy sobie książeczkę czekową?

Jeffrey potaknął.

Mosconi wrócił do wypełniania formularzy.

— Mam nadzieję, że rozumiemy się dobrze, doktorze. Robię dla pana wielki wyjątek, przyjmując czek.

Rzuciłoby to złe światło na mój zespół. Zachowajmy tajemnicę. Dobra? Czy pieniądze znajdą się na pańskim koncie w ciągu 24 godzin?

— Zadbam o to jeszcze dzisiaj.

— Wspaniale - podsunął papiery w kierunku Jeffrey a.

— Jeżeli obydwójce podpiszecie ten zapis, pobiegnę na dół, do sekretariatu, i dopełnię formalności.

Jeffrey podpisał od razu, Carol po dokładnym przeczytaniu. Wyjęła książeczkę czekową z kieszeni męża i przytrzymała ją, by mógł wypełnić czek na sumę 45 000 dolarów.

Mosconi odebrał czek i wrzucił go do aktówki.

— Zaraz wracam - powiedział z szelmowskim uśmiechem.

— Czarujący facet, ale czy musi ubierać się w ten sposób?

— Robi ci grzeczność - odpowiedział Randolph. -

Ale to prawda, że trudno zaliczyć cię do nizin społecznych, którymi zwykle się zajmuje. Zanim wróci, powinniśmy zastanowić się, co spowoduje trwające dochodzenie.

— Kiedy złożymy apelację?

— Już wkrótce.

— A więc jestem zwolniony za kaucją, do czasu aż zostanie rozpatrzona apelacja?

— Prawdopodobnie.

— Bogu dzięki i za tę małą przysługę.

Randolph wyjaśnił szczegóły trwającego dochodzenia i uprzedził Jeffreya, czego może spodziewać się po procesie ustanawiającym wymiar kary. Z dużą ostrożnością wymieniał obiecujące aspekty apelacji.

— Muszę przyznać, że nasz system prawny nie pozostawia mi wielkich nadziei.

— Bądź optymistą.

Jeffrey popatrzył na żonę, czuł, że ogarnia go wściekłość. Carol proponuje optymizm!

Przy tak beznadziejnych okolicznościach! Zdał sobie sprawę ze swojej złości.

Na wszystko i wszystkich! Na system prawny, na los, na Carol, nawet na adwokata. Złość jest prawdopodobnie dużo zdrowsza od pogrążenia się w depresji, pomyślał.

-Wszystko załatwione - Mosconi pojawił się w drzwiach, wymachując urzędowo wyglądającym dokumentem. - Można prosić? - zwrócił się do oficera sądowego, by rozkuł kajdanki.

Jeffrey roztarł z ulgą uwolnione nadgarstki. Marzył, aby jak najszybciej wydostać się z gmachu sądu. Wstał.

— Jestem pewien, że nie muszę panu przypominać, doktorze Rhodes, o 45 000 dolarów. Proszę pamiętać, że poręczyłem za pana łamiąc zasady.

— Doceniam to.

Razem opuścili pokój zatrzymań. Kiedy znaleźli się w hallu, Michael Mosconi rozstał się z nimi i popędził w przeciwnym kierunku.

Wychodząc z gmachu sądu na duży, wykładany cegłą plac, Jeffrey uzmysłowił sobie, że nigdy nie czuł tak wyraźnie świeżego, pachnącego oceanem powietrza. Było słoneczne, wiosenne popołudnie. Małe, puszyste białe chmurki pędziły w dal po błękitnym niebie. Słońce grzało mocno, lecz powietrze było rześkie. Zaskoczyło go, że groźba więzienia tak wyostrzyła odczucia.

Randolph zatrzymał się przed krzykliwie nowoczesnym Boston City Hall.

— Przepraszam za taki obrót spraw, naprawdę dołożyłem wszelkich starań.

— Wiem - powiedział Jeffrey. - Wiem też, jakim podłym byłem klientem, jak bardzo utrudniłem ci pracę.

— To nic, podczas rozprawy apelacyjnej racja będzie po naszej stronie. Zadzwoń. Do widzenia, Carol.

Patrzyli za Randolphem krocącym w kierunku State Street, gdzie on i jego współpracownicy zajmowali piętro w jednym z najnowocześniejszych bostońskich biurów.

- Nie wiem, czy kochać go, czy nienawidzić – nie wiem nawet, czy wykonał dobrą robotę, tym bardziej że uznano mnie winnym.

— Nie był wystarczająco waleczny.

Carol ruszyła w kierunku parkingu.

— Nie wracasz do pracy?

Pracowała w Banku Inwestycyjnym, znajdującym się w dzielnicy finansjery, dokładnie w przeciwnym kierunku.

-Wzięłam wolny dzień - powiedziała przez ramię. -  
Chodź, możesz podrzucić mnie do mojego samochodu.

Dogonił ją i poszli razem, okrążając City Hall.

-Jak zamierzasz w 24 godziny uzbierać 45 000 dolarów? - spytała, odrzucając w charakterystyczny sposób głowę. Miała ładne, modnie podcięte, proste, ciemnoblonde włosy. Rodzaj fryzury sprawiał, że spadały jej ciągle na twarz.

Poczuł wzburzenie. Sprawy finansowe były jedną ze spornych kwestii w ich małżeństwie. Lubiała wydawać pieniądze, a on lubił je oszczędzać. Kiedy się pobierali, jej pobory były dużo niższe i dlatego uważała za stosowne wydawać właśnie jego pieniądze. W chwili gdy wzrosły, zaczęła je w całości przelewać na własne konto lokat inwestycyjnych, zachowując zasadę, że koszty utrzymania nadal pokrywali z pieniędzy Jeffreya. Rozumowała tak - gdyby nie pracowała i tak na wszystkie wydatki używałiby dochodów Jeffreya.

Nie odpowiedział od razu na jej pytanie. Doszedł do wniosku, że kieruje złość w niewłaściwą stronę. Nie był na nią zły. Zainteresowanie żony, skąd wziąć 45 000, było uzasadnione i w niczym nie przypominało dawnych dyskusji o finansach. Denerwował go system prawny i prawnicy, wprowadzający ten system w życie. Jak mogą żyć w zgodzie ze sobą prokurator okręgowy czy pełnomocnik strony oskarżającej, kłamiąc tak bardzo? Zorientował się w trakcie zeznań, że nie wierzą we własne wywody.

Wszystkie rozprawy miały amoralny przebieg. Przeciwnie strony pozwalały, by ich cele zostały uświęcone oszukańczymi środkami.

Usiadł za kierownicą. Zrobił głęboki wdech, by się uspokoić.

— Planuję zwiększenie hipotecznego zadłużenia domu w Marblehead. Musimy wstąpić do banku.

— Nie sądzę, by bank podwyższył dług hipoteczny, gdy właśnie podpisaliśmy zastaw - powiedziała Carol. W tej dziedzinie była czymś w rodzaju autorytetu. Dokonywała takich ekspertyz.

-Dlatego chcę jechać prosto do banku.

Jeffrey uruchomił samochód i wyjechał z parkingu.

-Nikt się nie domyśli. Minie dzień lub dwa, zanim podpisany zastaw trafi do komputerów.

— Myślisz, że powinieneś to zrobić?

— Czy masz inny pomysł, jak zdobyć czterdzieści pięć tysięcy dolarów do jutrzejszego dnia?

— Niestety nie.

Wiedział, że Carol ma tę sumę w swoim portfelu lokat inwestycyjnych, ale nigdy w życiu nie poprosiłby o nią.

-Spotkamy się przed bankiem - powiedziała wysiadając przed garażem, gdzie zaparkowany był jej samochód.

Podczas dalszej samotnej jazdy na północ, przez Tobin Bridge, ogarnęło go wyczerpanie. Wydawało się, że czyni świadomy wysiłek, aby oddychać. Myślał, dlaczego zawraca sobie głowę bzdurnymi finansami. To wszystko nie było warte zachodu. Szczególnie w chwili, kiedy nabrał pewności, że stracił licencję medyczną. Właściwie nie znał się na niczym innym oprócz medycyny, a tak naprawdę, - oprócz anestezjologii. Pomijając prace



fizyczne typu noszenia skrzynek w sklepie warzywnym, nie był w stanie wymyślić niczego innego, do czego by się nadawał.

Był przestępcą, bezwartościowym czterdziestodwulatkiem, człowiekiem w średnim wieku nie posiadającym kwalifikacji, zerem.

Kiedy dojechał do banku, nie wysiadł z zaparkowanego samochodu. Opadł ciężko, opierając czoło na kierownicy. Może powinien o wszystkim zapomnieć, pojechać do domu i zasnąć.

Nie zadał sobie trudu, by zobaczyć, kto otwiera drzwi od strony pasażera.

— Dobrze się czujesz? - spytała Carol.

— Jestem trochę załamany.

— Och, to zrozumiałe. Ale zanim unieruchomią cię naprawdę, chodź wyprowadzić w pole pracowników banku.

— Jak ty wszystko rozumiesz - powiedział z irytacją.

— Jedno z nas musi być praktyczne. A poza tym nie chcę zobaczyć, jak idziesz do więzienia. Jeżeli nie przelejesz pieniędzy na konto czekowe, to tam skończysz.

-Mam dziwne przeczucie, że i tak tam skończę, niezależnie od tego, co zrobię.

Z ogromnym wysiłkiem wysiadł z samochodu. Popatrzył na Carol i dodał:

- Interesujące jest tylko to, że ja zamierzam wylądować w więzieniu, ty w Los Angeles, ale nie wiem, kto na tym gorzej wyjdzie.

-Bardzo śmieszne - powiedziała. W głębi serca odczuła ulgę, że w końcu zażartował. Dudley Farnsworth był dyrektorem oddziału Marblehead w banku Jeffreya. Tak się złożyło, że kiedyś był on młodszym urzędnikiem oddziału bostońskiego i właśnie w tym oddziale, czternaście lat temu, Jeffrey dokonał transakcji nabycia pierwszej nieruchomości. Kupił wtedy tanią kawalerkę, a Dudley przygotowywał całą operację finansową.

Spotkał się z nimi tak szybko, jak tylko mógł. Zaprowadził do swojego, prywatnego gabinetu, zapraszając, by usiedli w skórzanych fotelach stojących vis-a-vis biurka.

— Co mogę dla was zrobić? - spytał. Był w wieku Jeffreya, lecz ze względu na siwe włosy wyglądał starzej.

— Chcieliśmy zwiększyć obciążenie hipoteczne domu.

— Jestem pewien, że nie będzie problemu. Podszedł do szafy kartotecznej i wyciągnął teczkę.

— O jaką sumę chodzi?

— Czterdzieści pięć tysięcy dolarów. Dudley usiadł i otworzył teczkę.

— Nie ma przeszkód - powiedział, patrząc na kolumny cyfr. - Możecie podjąć nawet więcej.

— Czterdzieści pięć tysięcy w zupełności wystarczy - powiedział Jeffrey - ale potrzebuję ich do jutra.

— O! To chyba będzie trudne.

— A może mógłbyś zorganizować pożyczkę na dom z prawem wykupu - zaproponowała Carol. - Wtedy, kiedy dług hipoteczny zostanie spłacony, możesz użyć tych pieniędzy do spłaty pożyczki.

Dudley potakiwał z uniesionymi brwiami.

-Jest to pomysł, ale powiem wam coś, posuńmy sprawę do przodu. Wypełnijmy formularze dotyczące obciążenia hipotecznego. Zobaczą, co się da zrobić. Jeżeli nie będzie innego wyjścia, skorzystam z propozycji Carol.

Czy możesz przyjść jutro rano?

-Jeśli uda mi się wstać z łóżka - odparł Jeffrey.

Dudley rzucił na niego okiem. Wyczuwał, że coś jest nie w porządku, ale był zbyt uprzejmy, żeby zapytać.

Po dopełnieniu formalności wyszli z banku kierując się do swoich samochodów.

— Może zatrzymam się po drodze i kupię coś dobrego na obiad? - zaproponowała Carol. - Na co masz dzisiaj ochotę? Co powiesz na swoją ulubioną cielęcinę z rusztu?

— Nie jestem głodny.

— Może teraz nie, ale później będziesz.

— Wątpię.

— Przecież cię znam, wiem, że zgłodniejesz. I tak zatrzymam się przed zieloniakiem.

Kupię coś na dzisiejszy wieczór. Zdecyduj, co to ma być.

— Weź, co chcesz. Nie wyobrażam sobie, bym mógł coś przełknąć.

W domu wprowadził samochód do garażu i poszedł prosto do swojego pokoju. Od zeszłego roku zajmowali oddzielne pokoje. Był to pomysł Carol, ale sam się sobie dziwił, jak szybko polubił tę sytuację. Stanowiło to jeden z pierwszych, widocznych sygnałów, że ich małżeństwo nie było tym, czym być powinno.

Zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz. Spojrzał na książki i periodyki starannie ustawione według wysokości na półkach. Na razie nie były potrzebne. Podszedł do biblioteki, wyciągnął "Znieczulenie zewnątrzoponowe" Bromage'a i cisnął książką o ścianę. Zrobiła w tynku małą dziurkę i trzasnęła o podłogę. Nie poprawiło to jego nastroju. Przeciwnie, poczuł się nawet bardziej wyczerpany tym niewielkim wysiłkiem. Podniósł ją, wygładził kilka pogiętych stron i wsunął z powrotem na przeznaczone dla niej miejsce. Z przyzwyczajenia dosunął wystający grzbiet, by stał w jednej linii z pozostałymi.

Usiadł przy oknie, na bujanym fotelu, i zaczął bezmyślnie gapić się na dereń, którego kwiaty marniały, tracąc wiosenną świeżość. Ogarnął go przygniatający smutek.

Usłyszał samochód Carol wjeżdżający do garażu. Trzasnęły drzwi. Parę minut później rozległo się ciche pukanie. Zignorował je. Chciał pozostać sam.

Walczył z głębokim poczuciem winy. Prawdopodobnie wkroczył w najgorszy etap. Jak żyć z udowodnioną winą?

Tracił zaufanie do siebie. Może jednak nie miał racji w tej fatalnej historii? Może rzeczywiście pomylił stężenia?

Może śmierć Patty Owen była jego błędem?

Mijały godziny, Jeffrey zmagał się w myślach z narastającym poczuciem braku własnej wartości. Wszystko, co do tej pory robił, wydawało się głupie i bezcelowe.

Jego życie było-porażką. Nie sprawdził się ani jako lekarz, ani jako mąż. Nie był w stanie przypomnieć sobie choćby jednego sukcesu. Porażką było nawet doświadczenie związane z formowaniem drużyny juniorów w koszykówce.

Słońce chyliło się ku zachodowi, dotykając horyzontu.

Pomyślał, że jest niewiele osób, które biorąc pod uwagę emocjonalne i profesjonalne życie praktykującego lekarza, potrafiłyby zrozumieć ogromny koszt procesu sądowego.

Nawet wygranie tej sprawy zmieniliby jego życie na zawsze. Przegrana stała się katastrofą. I nie miało to nic wspólnego z pieniędzmi.

Patrzył na niebo zmieniające barwę z ciepłej czerwieni na zimną purpurę i srebro. Dzień umierał ze słabnącym światłem. Nagle wpadł na pomysł. Nie był całkowicie bezbronny! Mógł zrobić coś, co miałoby wpływ na przeznaczenie. Pierwszy raz od tygodni widział celowość działania. Zerwał się z fotela i podszedł do szafy. Wyciągnął swoją dużą torbę lekarską i postawił na biurku. Odnalazł w torbie dwie butelki dożylnego płynu Rirtgera, dwa komplety do infuzji i jedną małą igłę do podłączenia kroplówki. Wyjął dwie fiolki, jedną ze scoliną, drugą z morfiną. Nabrał do strzykawki 75 mg scolinę i wstrzyknął do butelki z płynem Ringera. Następnie nabrał 75 mg morfiny..Była to końska dawka.

Jako anestezjolog znał najskuteczniejszy sposób na popełnienie samobójstwa. Nie znali go lekarze innych specjalności, choć ta grupa zawodowa, pod względem skuteczności prób samobójczych, górowała wyraźnie nad innymi.

Niektórzy strzelali do siebie, ale była to mało estetyczna metoda, a na dodatek, o dziwo, nie zawsze skuteczna. Inni przedawkowywali leki, co też nie zawsze przynosiło pożądane rezultaty. Zbyt często odnajdowano w porę niedoszłych samobójców i poddawano płukaniu żołądka.

W wielu przypadkach ilość wstrzykniętego narkotyku wystarczała jedynie do wywołania śpiączki.

Poczuł, że kiedy czynił przygotowania, depresja odrobinę ustąpiła. Dodało mu to odwagi. Zdjął wiszący nad łóżkiem obraz, używając haka do powieszenia obydwu butelek. Usiadł na brzegu łóżka i wkłuł się do żyły na wierzchu lewej ręki, podłączając rurkę wychodzącą z butelki zawierającej czysty płyn Ringera. Podłączenie butelki ze scoliną wtłoczył tak, że jedynie niebieski kurek oddzielał go od śmiertcionośnej zawartości.

Ostrożnie, by nie poruszyć kroplówki, położył się na plecach. Chciał wstrzyknąć sobie potężną dawkę morfiny, by następnie otworzyć kranik dzielący go od roztworu scolinę. Morfina wyśle go do odległej krainy, zanim mieszanka scolinę zacznie paraliżować układ oddechowy. Nie mogąc nabrać powietrza - umrze. To było jasne jak słońce.

Wprowadził igłę strzykawki do venflonu, chcąc wstrzyknąć morfinę do żyły na wierzchu ręki. Kiedy zaczynał wpuszczać narkotyk, rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

Zacisnął oczy. Nie odpowiadając na pukanie, powstrzymał naciśnięcie tłoczka. Miał nadzieję, że Carol odejdzie, myśląc, że śpi. Jednak zaczęła pukać głośniejsze i natarczywiej.

-Jeffrey! Zrobiłam obiad.

Nastała chwila ciszy. Pomyślał, że dała za wygraną.

Nie! Usłyszał przekręcaną gałkę i drzwi zaczęły stukać o futrynę.

-JEFFREY - DOBRZE SIĘ CZUJESZ?

Zaczerpnął powietrza, wiedział, że musi się odezwać, inaczej cisza może ją zaintrygować tak bardzo, że wyważy drzwi. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było to, żeby wtargnęła do pokoju i zobaczyła kroplówkę.

— Czuję się dobrze - zawołał w końcu.

— Dlaczego nie odpowiadasz?

— Spałem.

— Dlaczego drzwi są zamknięte na klucz?

-• Myślę, że nie chciałem, aby mi przeszkadzano - odpowiedział z zamierzoną ironią.

-Przygotowałam obiad.

— To miło... z twojej strony, ale ja wciąż nie jestem głodny.

— Zrobiłam twoją ulubioną cielęcinę z rusztu. Powinieneś coś zjeść.

— Carol, proszę, nie jestem głodny.

— Więc przyjdź, i zjedz ze względu na mnie. Zrób mi przyjemność.

Z wściekłością odłożył strzykawkę na nocną szafkę i wyciągnął kroplówkę z żyły.

Przekreślił klucz, otwierając szarpnięciem drzwi na tyle, by Carol nie mogła zajrzeć do środka.

— Posłuchaj! - warknął. - Powiedziałem ci wcześniej, że nie będę głodny. Teraz powtarzam, że nie jestem głodny. Nie chcę jeść i nie podoba mi się, że próbujesz wmówić mi, iż sprawiam ci przykrość, rozumiesz?

— Jeffrey, chodź, myślę, że nie powinieneś być sam.

Zrobiłam zakupy i gotowałam specjalnie dla ciebie. W końcu możesz wyjść i chociaż spróbować.

Zorientował się, że nie opędzi się od niej. Była osobą, która jak sobie coś ubzdura, to nie było sposobu, by ją od tego odwieść.

-No dobrze - powiedział. - W porządku.

— Co ci się stało w rękę?

— Nic - spojrzał na wierzch ręki. - Nic takiego.

Kropla krwi wyciekła z miejsca wkłucia kroplówki.

Gorączkowo poszukiwał wytłumaczenia.

-Ale ręka krwawi.

— Skaleczyłem się papierem. - Nigdy nie był dobry w kłamaniu. Z tylko jemu zrozumiałą ironią dodał: -Żyję. Zobacz. Uwierz mi, będę żył. Schodzę na dół za minutę.

— Obiecujesz?

— Obiecuję.

Ponownie zamknął drzwi na klucz, odłączył rurkę kroplówki od ćwierćlitrowych butelek, wrzucił je do torby, a torbę schował głęboko w szafie. Opakowania i zużyte przybory do infuzji cisnął do kosza w łazience.

Carol bezbłędnie wyczuła moment, pomyślał ze skrucą.

Uprzytomnił sobie, jak daleko zabrnął. Nigdy poważnie nie myślał o samobójstwie.

Urażało jego uczciwości, chociaż przyznawał, traktując problem racjonalnie, że głęboka, beznadziejna rozpacz może skłonić do ostatecznego kroku.

Osobliwie, a może nie było w tym nic osobliwego, jedynymi samobójstwami, z jakimi się zetknął, były samobójstwa lekarzy, doprowadzonych do ostateczności przez motywy znane teraz Jeffreyowi. Miał na myśli kolegę Chrisa Eversona. Nie pamiętał dokładnie daty śmierci.

Chris był również anestezjologiem. Przed laty razem robili specjalizację. On pamiętałby na pewno, jak młodzi lekarze zwalczali symptomy grypy płynem Ringera. Uświadomił sobie nagle, że jego kolega był również oskarżony o zaniedbania w leczeniu. Chodziło wtedy o pacjenta, u którego wystąpiła straszna reakcja na miejscowe znieczulenie, właśnie podczas ZO.

Zamknął oczy, próbując przypomnieć sobie szczegóły tego przypadku. Pamiętał, że serce pacjenta przestało pracować zaraz po podaniu przez Chrisa dawki testowej – tylko dwóch centymetrów. Chociaż udało się przywrócić akcję serca, pacjent nie odzyskał przytomności i zmarł.

W tydzień po wypadku wniesiono oskarżenie przeciwko Chrisowi, Valley Hospital i każdemu, kto nawet w najmniejszym stopniu uczestniczył w tym epizodzie. Strategia była taka sama - wyciągnąć jak największą sumę pieniędzy.

Jednak Everson nigdy nie znalazł się w sądzie. Popełnił samobójstwo jeszcze w trakcie sprawy lekarskiej, nim zakończono przesłuchania i skompletowano oskarżenie.

Chociaż przebieg czynności anestezyjologicznych został scharakteryzowany jako "bez zarzutu", to i tak ostateczne postanowienie wydano na korzyść strony oskarżającej.

Przyznane odszkodowanie było największym w historii spraw lekarskich o zaniedbania w leczeniu na terenie stanu Massachusetts. Odszkodowanie przyznane w sprawie Patty Owen znacznie je przewyższało.

Jeffrey pamiętał dokładnie swoją reakcję na wiadomość o samobójstwie Chrisa. Wtedy, nie wiedząc, na czym polega system prawny, nie domyślając się nawet, co pchnęło przyjaciela w stronę tak strasznego rozwiązania, było to dla niego niewiarygodne. Chris cieszył się reputacją doskonałego anestezjologa, jednego z najlepszych.

Był świeżo po ślubie z piękną pielęgniarką pracującą też w Valley Hospital. Wydawało się, że wszystko układa się po jego myśli. A potem ten koszmarny cios...

Delikatne pukanie przywróciło go do rzeczywistości.

Carol stała znowu przed drzwiami.

— Jeffrey! - zawołała. - Lepiej przyjdź, zanim wszystko wystygnie.

— Już idę.

Rozumiał teraz Chrisa aż za dobrze. Sam przeszedł przez całą drogę sądową, podczas gdy tamten ledwie na nią wkroczył. Gdyby można było cofnąć czas. Po samobójstwie przyjaciela nie zrobił nic ponad uczestnictwo w pogrzebie. Nigdy nie spotkał się z żoną Chrisa - Kelly, choć na cmentarzu obiecywał, że to zrobi.

Nie przystawało do niego takie zachowanie, dziwił się, dlaczego postąpił bezdusznie.

Przychodziło mu na myśl jedyne usprawiedliwienie. Odczuwał potrzebę wyciszenia tego epizodu. Samobójstwo kolegi, z którym mógł łatwo się identyfikować, zasadniczo zmieniło obraz całej historii. Być może uczciwe stawienie temu czoła, było dla Jeffreya za wielkim wyzwaniem. Było czymś w rodzaju stawiania diagnozy, czego wraz z innymi lekarzami unikał, nazywając "kliniczną obojętnością".

Pamiętał wrażenia z ostatniego spotkania z Chrisem.

Jak nisko upadł, pomyślał wtedy. A gdyby nie przeszkodziła mu Carol - czy inni myśleliby o nim w taki sam sposób?

Nie. Samobójstwo nie stanowiło alternatywy. Nie teraz. Nie znosił sentymentalizmu, ale dopóki trwało życie, była nadzieja. A jakie były następstwa śmierci Chrisa?

Wraz z jego odejściem zniknęli wszyscy - ci, którzy chcieli jego imię zbezczeszczyć, i ci, którzy chcieli je oczyścić. Mimo rozpacz i przygnębienia ogarnęła go wściekłość. Choć nie zrobił nic złego, system prawny i procedura sądowa zrobiły z niego mordercę. Czy zazna kiedykolwiek spokoju, o ile nie zrobi wszystkiego, co możliwe, by oczyścić swoje imię?

Na myśl o swoim przypadku wpadał w złość. Wszystko było zwykłym interesem dla prawników, nawet dla Randolpha, ale nie dla niego. To jego życie wisiało na włosku. Jego kariera. Wszystko. Największą ironią było to, że w dniu tragicznej śmierci Patty Owen dołożył wszelkich starań, by się dobrze spisać. Tylko po to robił sobie kroplówkę i brał ohydne lekarstwo uśmierzające ból. Był to jego wyuczony zawód. Motywem jego działania było poświęcenie, a jaką dostał zapłatę?

Jeżeli kiedykolwiek dane mu będzie wrócić do medycyny, obawiał się, że przy podejmowaniu medycznych decyzji długo odczuwałby skutki tego przypadku. Jakiej opieki może oczekiwać społeczeństwo od lekarzy przywróconych do zawodu po procesie o zaniechania w leczeniu? Jak zmienić ten system? Nie eliminowano w ten sposób złych lekarzy, ponieważ, o ironio, ci byli sądzeni raczej rzadko. System powodował, że marnowało się wielu dobrych lekarzy.

Gdy mył się przed zejściem na dół, odżyło jeszcze jedno, nieświadomie tłumione wspomnienie. Jeden z najlepszych i najbardziej cenionych internistów, jakiego kiedykolwiek spotkał, zabił się przed pięcioma laty, tej samej nocy kiedy otrzymał nakaz stawiennictwa na sprawę o zaniechania w leczeniu. Strzelił sobie w usta ze strzelby myśliwskiej. Nie czekał nawet na rozpoczęcie wstępnego dochodzenia, tym bardziej na rozprawę sądową. Wtedy Jeffrey doszukiwał się w tym czynie jakiejś tajemnicy, ponieważ wszyscy wiedzieli, że oskarżenie było bezpodstawne. W rzeczywistości lekarz uratował pacjentowi życie.

Jeffrey wiedział teraz, jakie są źródła ludzkiej desperacji.

Po wyjściu z łazienki przebrał się w swoim pokoju, wkładając czyste spodnie i koszulę. Gdy otworzył drzwi, od razu poczuł przygotowaną przez Carol potrawę. Nadal nie był głodny, jednak postanowił zmusić się do jedzenia.

Stojąc na szczycie schodów, przyrzekł zwalczać w sobie jakiegokolwiek przygnębiające myśli. Z takim postanowieniem ruszył do kuchni.

2

WTOREK

16 MAJA 1989 r. GODZINA 9.12

Jeffrey, zaskoczony godziną, zerwał się z łóżka. Obudził się wcześniej około piątej rano. Siedział w bujanym fotelu, przy oknie. Zesztywniały, szybko zrzucił ubranie i wskoczył w pościel. Myślał, że nie zaśnie ponownie. Jak widać, udało się.

Wziął szybki prysznic. Wyszedł z pokoju, rozglądając się za Carol. Kiedy powrócił do normalności z samego dna rozpacz, potrzebował odrobiny sympatii i kontaktu z drugim człowiekiem. Miał nadzieję, że Carol, zanim wyjdzie do pracy, porozmawia z nim chwilę. Chciał przeprosić za minioną noc, za to, że nie docenił jej starań.

Uprzytomnił sobie, jak dobrze się stało, że mu przeszkodziła i wywołała uczucie złości. Bezwiednie uchroniła go przed samobójstwem. Pierwszy raz w życiu niepohamowana złość przyniosła korzyść.

Ale Carol dawno wyszła. Karteczka od niej oparta była o stojące na kuchennym stole pudełko z pszennymi płatkami. Pisała, że nie chce przeszkadzać, jest pewna, że potrzebny mu wypoczynek. Musiała wyjść wcześniej do pracy i ma nadzieję, że Jeffrey ją zrozumie. Nasypał płatków do miseczki i wyjął mleko z lodówki.

Zazdrościł jej. Marzył o pracy, która zaabsorbowałaby bez reszty umysł. Chciał być użytecznym, była to szansa na zachowanie szacunku dla samego siebie. Nawet nie przeczuwał, jak bardzo praca go określała.

Wrócił do pokoju i zrobił porządek z zużytym sprzętem medycznym. Zapakował go w starą gazetę i wyniósł do pojemnika na śmieci stojącego w garażu. Nie chciał, by Carol cokolwiek znalazła. Czuł się okropnie podczas tej pracy. Patrząc na gazetę, wiedząc, co pod nią jest, doznał uczucia wstydu, że z własnej woli chciał odebrać sobie życie.

Miewał w przeszłości samobójcze myśli, ale były to raczej fantazje o zemście, skierowanej, w co głęboko wierzył, przeciwko komuś, kto skrzywdził go moralnie. Na przykład wtedy, kiedy dziewczyna z ósmej klasy beztrąsko przeniosła swoje uczucia z niego na najlepszego przyjaciela. Ale ostatniej nocy to zupełnie coś innego. Na myśl o tym, że był o krok od skończenia ze sobą, nogi robiły się miękkie. Zastanawiał się, wracając z garażu, jakie wrażenie na przyjaciółach i rodzinie wywarłoby jego samobójstwo.

Przyszliby pocieszyć Carol. Nie musiałyby przechodzić przez rozwód. Czy komukolwiek brakowałoby go? Prawdopodobnie nie...

- A niech to szlag trafi! - wykrzyknął, uświadamiając sobie absurdalność toku rozumowania. Przypomniawszy sobie swoje postanowienie, że nie podda się czarnym myślom. Tak niska samoocena nie odbije się korzystnie na reszcie życia.

Jednak trudno było wymazać próbę samobójstwa z pamięci. Wrócił myślami do Chrisa Eversona. Czy jego samobójstwo wywołane było raptownym załamaniem, które, tak jak na Jeffrey'ego, spadło jak grom z jasnego nieba? Czy je planował? Jakkolwiek było, śmierć Chrisa to ogromna strata dla wszystkich - rodziny, społeczeństwa, medycyny. Idąc do swojego pokoju zatrzymał się przed oknem bawialni. Patrzył w dal niewidzącymi oczami. Jego życie też było stracone. Z punktu widzenia produktywności utrata medycznej licencji i perspektywa więzienia powodowały w efekcie takie same straty jak popełnione skutecznie samobójstwo.

- Cholera! - zaklął. Chwyciwszy z kanapy poduszkę, walił w nią pięściami, wyrzucając z siebie stek przekleństw.

Opanował się szybko. Przygnębiony usiadł na podłodze z podciągniętymi kolanami. Oparł na nich łokcie i bezmyślnie kręcił młynka palcami. Widział siebie w więzieniu. Odrażające miejsce. Parodia sprawiedliwości! Sądowe bzdury aż nadto zmieniły życie, większym nonsensem było przekroczenie progu więzienia niż wykonanie zakończonego śmiertelnymi obrażeniami salta z wysoko zawieszzonego trapezu. Zaczął myśleć o kolegach i przyjaciółach-lekarskich ze szpitala. Początkowo dodawali otuchy, lecz tylko do czasu, aż został wniesiony akt oskarżenia o czyn kryminalny. Wtedy zaczęli unikać go jak zadżumionego. Czuł się odizolowany i samotny. Przede wszystkim był wściekły.

-To nieuczciwe - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Dokładnie wbrew swojemu usposobieniu, w chwili koszmarnego zawodu, chwycił ze stołu pamiątkowy kryształ należący do Carol i cisnął nim nadzwyczaj celnie w oszklony kredens, widoczny przez luk w ścianie jadalni.

Hałas tłuczonego szkła wyrwał go z tego stanu.

-O rany! - powiedział patrząc na to co zrobił.

Przyniósł śmietniczkę i zmiotkę. Zbierając potłuczone szkło postanowił, że nie pójdzie do więzienia! W żadnym wypadku! Wywinie się od procesu apelacyjnego!

Ożywiło go szybkie i stanowcze podjęcie decyzji. Sprawdził godzinę. Zaraz otworzą bank. W podnieceniu poszedł do swojego pokoju i odnalazł paszport. Miał szczęście, że po podwyższeniu kaucji nie kazano mu go oddać. Zadzwoił do Panamu. Dowiedział się, że powinien pojechać autobusem na nowojorskie lotnisko Kennedy'ego, a stamtąd odlecieć do Rio. Miał duży wybór lotów. Zdecydował się na samolot odlatujący o godzinie 23.45, lądujący w kilku egzotycznych miejscach po drodze.

Serce łomotało na myśl o tym, co go czeka. Zadzwoił do Dudleya, starając się mówić jak najbardziej opanowanym głosem. Spytał, jak idzie załatwianie pożyczki.

-Wszystko załatwione - powiedział z dumą Dudley. - Uzyskałem aprobatę wykorzystując pewne układy.

Jeffrey usłyszał, jak dyrektor pstryknął palcami dla przypieczerowania własnego sukcesu.

— Kiedy wpadniesz? Chcę dokładnie wiedzieć, żebyś mógł mnie zastać.

— Będę niebawem - odpowiedział, planując jednocześnie rozkład zajęć - synchronizacja będzie kluczem do powodzenia. - Mam jeszcze jedną prośbę, chciałbym dostać tę sumę w gotówce.

— Żartujesz!

— Wręcz przeciwnie, jestem bardzo poważny.

— Ale to trochę wbrew przepisom.

Jeffrey nie przemyślał wcześniej tego, rozumiał opory Dudleya. Zdał sobie sprawę, że jeżeli chce dostać tę sumę, musi udzielić przekonujących wyjaśnień, jednocześnie pojął, jak bezwzględnie potrzebuje pieniędzy.

Nie może jechać do Ameryki Południowej mając w kieszeniach trochę-drobnych.

— Dudley - zaczął - znalazłem się w okropnych tarapatach.

— Nie chcę o tym słyszeć.

— To nie to, o czym myślisz. Nie hazard ani nic w tym rodzaju. Muszę zapłacić facetowi, który poręczył kaucję.

Nie czytałeś w gazetach o moich kłopotach?

— Nie, nie czytałem.

— Byłem oskarżony o zaniedbania w leczeniu, potem sądzony o spowodowanie tragicznego wypadku przy znieczulaniu. Nie będę ci w tej chwili zawracał głowy szczegółami. Cały kłopot polega na tym, że muszę zapłacić 45 000 dolarów facetowi od kaucji. Już wszystko załatwił. Powiedział, że chce gotówkę.

— Jestem pewien, że przyjmie czek kasowy.

— Posłuchaj, Dudley, powiedział "w gotówce".

Obiecałem gotówkę. Nic na to nie poradzę. Zrób mi przysługę. Nie stawiaj w jeszcze trudniejszej sytuacji.

Nastąpiła pauza. Miał wrażenie, że usłyszał westchnienie Dudleya.

— Czy odpowiadają ci studolarowe banknoty?

— Jasne. Setki będą idealne.

Zastanawiał się, ile miejsca zajmie czterysta pięćdziesiąt studolarowych banknotów.

— Będą przygotowane. Mam nadzieję, że nie zamierzasz z nimi długo wędrować.

— Tylko po Bostonie.

Odłożył słuchawkę. Sądził, że Dudley nie zawiadomi policji, że nie będzie sprawdzał jego historii. Wiedział, że nie przeszkodzi to planom, ale czuł, że im mniej ludzi będzie myślało o nim, dopóki nie odleci z Nowego Jorku, tym lepiej.

Wziął notatnik, usiadł i zaczął pisać wiadomość dla Carol. Zaczął od tego, że podjął 45000 dolarów, a wszystko inne pozostawia jej, jednak list brzmiał niezręcznie.

Poza tym, zdał sobie sprawę, że nie chce zostawiać żadnego śladu zdradzającego jego zamiary, na wypadek, gdyby musiał z jakiegoś powodu odłożyć wyjazd. Zmiał papier, podpalił i wrzucił do kominka. Zdecydował, że zadzwoni. Rozmowa będzie bardziej osobista niż list. No i bezpieczniejsza.



Co ze sobą zabrać? Nie chciał obciążać się dużym bagażem. Podstawowymi, zwykłymi ubraniami wypełnił małą walizkę. Nie sądził, aby Ameryka Południowa wymagała szczególnie eleganckich strojów. Przybory toaletowe i bieliznę wrzucił do nesesera. Zamykając szafę dostrzegł torbę lekarską. Zawahał się. Co zrobi, jeżeli coś się nie uda? Żeby nie być narażonym na niespodzianki, otworzył torbę, wyjął komplet do kroplówki, kilka strzykawek, ćwierćlitrową butelkę płynu dożylnego, ampułki ze scoliną i morfiną. Ułożył wszystko w neseserze, pod bielizną. Nie chcąc się przyznać, że pielęgnuje wciąż myśl o samobójstwie, wytłumaczył sobie, że narkotyki stanowią jak gdyby polisę ubezpieczeniową.

Pewnie nie będzie ich potrzebował, ale niech leżą na wypadek, gdyby...

Czuł się obcy i przygnębiony rozglądając się po domu prawdopodobnie ostatni raz.

Przechodząc z pokoju do pokoju, dziwił się, że nie doznaje większych wzruszeń.

Tak wiele przypominało o dobrych i złych wydarzeniach.

Uświadomił sobie, że w tym miejscu przeżył nieudane małżeństwo. Lepiej pozostawić to za sobą. Pierwszy raz od wielu miesięcy poczuł się silny. Był jak nowo narodzony. Z walizką w bagażniku i neseserem na siedzeniu obok, Jeffrey wyjechał z garażu, zamykając drzwi zdalnie sterowanym urządzeniem elektronicznym. Był w podróży. Nie oglądał się za siebie. Pierwszym etapem był bank.

W miarę zbliżania się do niego stawał się coraz bardziej spięty. Zaczynał nowe życie w dziwnym stylu, z rozmysłem łamiąc prawo, lekceważąc sąd. Czy potrafi z tym żyć?

Na parking bankowy wjechał mocno zdenerwowany.

Miał sucho w ustach. Co będzie, jeżeli Dudley zawiadomił policję o niecodziennej prośbie wypłacenia pieniędzy gotówką? Niepotrzebna była wyobraźnia wybitnego umysłu do podania, w wątpliwość zamiarów Jeffreya dotyczących przeznaczenia pieniędzy.

Dla nabrania odwagi posiedział chwilę w zaparkowanym samochodzie. Wziął neseser i wszedł do banku. Czuł się jak złodziej, chociaż formalnie pieniądze, które miał odebrać, należały do niego. Biorąc głęboki oddech podszedł do urzędniczki i poprosił o skontaktowanie z Dudleyem.

Dyrektor przyszedł rozpromieniony. Prowadząc obojętną rozmowę zaprowadził go do gabinetu i wskazał fotel. Sądząc po zachowaniu, nic nie podejrzewał. Niepokój Jeffreya sięgnął zenitu. Trząsł się cały.

-Kawa czy lekki drink? - zaproponował Dudley.

Pomyślał, że kofeina pogorszy jego stan. Poprosił o sok, chcąc czymś zająć ręce.

-Dobry wybór.

Ten człowiek był tak serdeczny, że Jeffrey obawiał się pułapki.

-Zaraz wrócę z gotówką - powiedział, wręczając mu szklanekę z sokiem pomarańczowym.

Wrócił po kilku minutach, niosąc zniszczoną, brezentową torbę z pieniędzmi. Wysypał zawartość na biurko - dziewięć paczek, każda po pięćdziesiąt studolarowych banknotów. Jeffrey nie widział nigdy tak dużej sumy pieniędzy zgromadzonej w jednym miejscu. Był zakłopotany.

— Zebranie tego, w tak krótkim czasie, przysporzyło dużo pracy.

— Doceniam wasze wysiłki.

-Domyślam się, że chcesz przeliczyć.

Zaprzeczył i szybko podpisał pokwitowanie odbioru gotówki.

-Czy na pewno nie chcesz czeku kasowego na okaziciela? Niebezpiecznie jest spacerować z taką sumą.

Mógłbyś zadzwonić do faceta od kaucji i poprosić, żeby odebrał pieniądze tutaj. Czek kasowy jest tak samo dobry jak gotówka.. Zawsze może odebrać ją w którymś z naszych oddziałów bostońskich. To o niebo bezpieczniejsze.

- Powiedział "gotówką", więc dam gotówkę.

Zaczął go denerwować zbytne zainteresowanie dyrektora.

-Jego biuro jest niedaleko - wyjaśnił.

-Pewien jesteś, że nie chcesz przeliczyć?

Napięcie Jeffreya zaczynało zamieniać się w irytację.

Zmusił się do uśmiechu. i - Nie mam czasu, powinienem być w mieście przed .dwunastą. Już jestem spóźniony.

Zapakował pieniądze do nesesera i wstał.

-Gdybym wiedział, że nie będziesz liczył, wyciągnąłbym po parę banknotów z każdej paczki – roześmiał się Dudley.

Jeffrey pobiegł do samochodu, wrzucił torbę i ze szczególną ostrożnością wyjechał z parkingu. Najważniejszą sprawą było wykupienie biletu. Upewnił się, że nikt za nim nie jedzie. Oby nadal szło tak dobrze.

Skierował się prosto na lotnisko. Zaparkował na najwyższym piętrze parkingu centralnego. Zostawił bilet parkingowy w popielnicze. Powie Carol przez telefon, żeby odebrała samochód.

Z torbą w jednej ręce, a walizką w drugiej, podszedł prosto do kas Panamu. Usiłował zachowywać się jak businessman wyjeżdżający służbowo, jednak nerwy były w strzępach, a żołądek w agonialnym stanie. Jeżeli rozpoznają go, wszyscy się dowiedzą, że chciał uciec. Nakazano mu wyraźnie, aby nie opuszczał stanu Massachusetts.

Stawał się coraz bardziej spięty, czekając w kolejce.

Gdy nadeszła jego kolej, kupił bilet do Rio, przez Nowy Jork, na interesujący go lot. Z Bostonu do Nowego Jorku miał połączenie lokalne o godzinie 13.30. Agent przekonywał go, że dużo prościej byłoby polecieć późnym, popołudniowym lotem, bezpośrednio na lotnisko Kennedy'ego, eliminując w ten sposób podróż autobusem z lotniska La Guardia. Odmówił. Czuł, że im szybciej wydostanie się z tego miasta, tym lepiej.

Zbliżył się do ochronnej bramki. Obok niej spacerował obojętnie umundurowany stanowy policjant. Podniósł do góry neseser i walizkę i postawił na ruchomej taśmie, patrząc, jak zbliżają się do urządzenia. Nagle wpadł w popłoch. Zupełnie zapomniał o ampułce morfiny. Co będzie, jeżeli urządzenie ją wykryje? Zobaczą wtedy stertę pieniędzy. Jak zareagują na tak dużą kwotę?

Próba wyciągnięcia nesesera z maszyny nie wchodziła w grę. Za późno. Spojrzał na kobietę wpatrującą się w ekran. Jej twarz, oświetlona zielonym światłem, wyglądała niesamowicie, w oczach kryła się nuda. Popychali go ludzie czekający za nim. Nie spuszczać wzroku z policjanta, przekroczył wykrywacz metali. Ten uchwycił jego spojrzenie i uśmiechnął się. Ostatnim wysiłkiem woli Jeffrey wykonał dziwny grymas mający być odwzajemnieniem uśmiechu. Popatrzył do tyłu na kobietę studiującą ekran. Twarz bez wyrazu zmieniła się. Wyglądała na zaintrygowaną. Zatrzymała taśmę i skinęła na koleżankę.

Serce mu zamarło. Kobiety badały na ekranie zawartość nesesera. Policjant jeszcze nic nie zauważył. Ziewał.

Wreszcie taśma znowu ruszyła. Pojawił się neseser, ale jedna z kobiet położyła na nim rękę.

- Czy należy do pana?

Zawahał się, jednak nie było wątpliwości, że to jego bagaż. Paszport był w środku.

— Tak - odpowiedział niepewnie.

— Czy jest w nim zestaw środków uspokajających zawierający małe nożyczki?

Jeffrey przytaknął.

-W porządku - powiedziała, przesuwając neseser w jego kierunku.

Oszołomiony, lecz z uczuciem ulgi, szybko zabrał bagaż w najdalszy kąt poczekalni i usiadł. Ukrył się za porzuconą przez kogoś gazetą. Kiedy sąd ogłosił wyrok, nie uważał się za kryminalistę. Teraz tak o sobie myślał.

Gdy ogłoszono właściwy lot, ruszył do samolotu, przepychając się wśród innych pasażerów. Chciał jak najszybciej zająć miejsce w samolocie. Z walizką na półce i neseserem wciśniętym pod nogi oparł się wygodnie w fotelu. Zamknął oczy. Nareszcie mógł się odprężyć, choć serce ciągle biło przyspieszonym rytmem. Dopiero teraz zrozumiał w pełni powagę i nieodwołalność decyzji.

Jeszcze prawa nie złamał, lecz gdy przekroczy granicę stanu Massachusetts - będzie przestępcą. Bez odwołania.

Sprawdził czas. Zaczynał się pocić. Była godzina 13.27, zostały tylko trzy minuty do zaryglowania drzwi.

Czy postępował słusznie? Pierwszy raz od chwili podjęcia decyzji ogarnęły go poważne wątpliwości. Doświadczenie życiowe przemawiało przeciwko niej. Żył zawsze zgodnie z prawem, uznając autorytet władzy.

Jeszcze raz zaczął wszystko roztrząsać. Nigdy nie doznał tak rozdzierającego niezdecydowania i zamętu. Znowu spojrział na zegarek. Dwadzieścia dziewięć minut po trzynastej. Odgłos zatraskiwanych przez obsługę samolotu skrytek nad głowami pasażerów doprowadzał go do szału. Drzwi do kabiny pilotów zamknięto z głośnym szczęknięciem. Na pokład wszedł urzędnik linii lotniczych i wręczył ostateczną listę pasażerów. Życie Jeffrey a kończyło się bezpowrotnie, sytuacja przypominała tę z poprzedniej nocy, kiedy zabrakło sekund do otworzenia kurka kropłówki.

Jak ucieczka wpłynie na wynik apelacji? Może uczyni go jeszcze bardziej winnym? Czy nadarzy się drugi raz taka sposobność do ucieczki, jeżeli stawi się w sądzie? Co będzie robił w Ameryce Południowej? Nie znał hiszpańskiego ani portugalskiego. Ujrzał pełnię grozy. Nigdy od siebie nie ucieknie.

- Proszę zaczekać? - krzyknął słysząc odgłos zamykania drzwi samolotu.

Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu.

- Zaczekajcie, muszę się wydostać! - krzyczał.

Odpiął pas bezpieczeństwa i szarpnął neseser mocno wciśnięty pod fotel. Ku jego przerażeniu otworzył się.

Zawartość częściowo rozsypała się po podłodze, w tym paczki studolarowych banknotów.

Pospieszenie poupychał wszystko z powrotem. Wyjął ze skrytki nad głową walizkę. Nikt się nie odzywał. Wszyscy w oszołomieniu patrzyli na spanikowanego pasażera.

Ruszył przed siebie do kabiny stewardów.

-Muszę się wydostać - powtórzył.

Pot spływał mu na oczy, utrudniając patrzenie. Wyglądał jak oszalały.

-Jestem lekarzem - dodał na usprawiedliwienie.

- Nagły wypadek!

-W porządku - powiedziała spokojnie stewardesa.

Załomotała w drzwi, a następnie dała znak przez okno urzędnikowi z obsługi naziemnej, stojącemu ciągle niedaleko pasa startowego. Drzwi otworzyły się wolno. Zbyt wolno! Wybiegł z samolotu. Szczęśliwie nikt nie pytał o przyczynę zmiany planów. Popędził przez pas startowy. Drzwi do terminalu nie były zamknięte na klucz. Ruszył w poprzek strefy odgradzonej bramkami, ale daleko nie uszedł. Człowiek przy bramce przywołał go do swojego stanowiska.

- Pana nazwisko? - spytał obojętnie.

Jeffrey zawahał się. Nie chciał ujawniać nazwiska. Nie chciał niczego wyjaśniać.

- Nie mogę oddać biletu, jeżeli nie poda pan nazwiska - powiedział lekko rozdrażniony strażnik.

Przedstawił się szybko i otrzymał bilet. Wsuwając go do kieszeni, minął kontrolę bezpieczeństwa i wszedł do męskiej toalety. Musiał się uspokoić. Był strzępkim człowieka.

Postawił bagaż na podłodze, opierając się o krawędź umywalki. Nienawidził siebie za brak zdecydowania. Jaką miał alternatywę? Przewycięzył wracającą depresję.

Wrócił myślami do Chrisa Eversona, który miał dosyć hartu, by nie cofnąć się przed podjętą decyzją. Znowu żałował, że nie okazał się prawdziwym przyjacielem. Gdyby wiedział wtedy, co wie teraz! Zrozumiał, przez co przeszedł Chris. Nie mógł sobie wybaczyć, że nawet do niego nie zadzwonił. Nie zadzwonił też do Kelly, młodej wdowy. Ochlapał twarz zimną wodą. Wyszedł do poczekalni, sprawiając pozorne wrażenie spokoju. Czuł się przerażająco samotny i odepchnięty. Przytłaczała go myśl o powrocie do domu, do pustego domu. Nie miał pojęcia, dokąd mógłby pójść jeszcze. Bez pomysłu ruszył w kierunku parkingu.

Gdy dotarł do samochodu, włożył walizkę do bagażnika, a neseser położył na przednim siedzeniu. Usiadł za kierownicą, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami.

Przez kilka godzin tkwił w bezruchu, analizując wszystkie swoje słabości, wady i uchybienia. Był w wyjątkowo ponurym nastroju. Opętany wspomnieniami o Chrisie Eversonie, nie zauważył, kiedy zaczął zastanawiać się, jak wygląda teraz życie Kelly Everson.

Spotkał ją towarzysko trzy, może cztery razy, jeszcze przed śmiercią Chrisa. Przypomniał sobie, że rozmawiając z Carol, kilka razy skomplementował Kelly. Żona nie była tym zachwycona.

Zastanawiał się, czy pracuje nadal w Valley Hospital, czy nadal mieszka w okolicach Bostonu. Pamiętał ją jako dwudziestocztero- lub dwudziestopięcioletnią kobietę o szczupłej, wysportowanej sylwetce. Jej długie, spięte spinką włosy były brązowe, z przebłyskami czerwieni i złota. Przypomniał sobie jej otwartą twarz, ciemnobrązowe oczy, bogatą mimikę, często pojawiający się uśmiech. Ale najlepiej pamiętał to, co emanowało z jej całej postaci.

Figlarność wspaniale stapiającą się z kobiecym ciepłem i bezpośredniością, która sprawiała, że trzeba ją było natychmiast polubić.

Przeskakując myślami z Chrisa na Kelly, przyłapał się na tym, że właśnie ona, bardziej niż ktokolwiek inny, mogłaby zrozumieć to, przez co teraz przechodzi. Straciła męża, którego psychikę wyczerpało i zniszczyło oskarżenie o zaniedbania w leczeniu. Będzie

prawdopodobnie umiała wczuć się w stan emocjonalny Jeffreya. Może zasugeruje, co zrobić, jak dalej postępować? Może po prostu zapewni tak bardzo potrzebną, zwykłą sympatię?

Miał niejasne wrażenie, że powinien zadzwonić, choćby tylko po to, by uspokoić sumienie.

Wrócił do terminalu. Wszedł do pierwszej budki telefonicznej i zaczął wertować spis numerów. Wstrzymał oddech omijając wskazującym palcem nazwiska. Zatrzymał się na K. C. Everson w Brooklinie. Początek był obiecujący. Wrzucił monetę i wybrał numer. Telefon zadzwonił kilka razy, już prawie odkładał słuchawkę, gdy ktoś po drugiej stronie odebrał. Usłyszał miły głos.

Zdał sobie sprawę, że nie wie, jak zacząć rozmowę.

Zdecydował się na lapidarne "dzień dobry" i przedstawił się. Sądził, że Kelly nie pamięta go, ale zanim zdążył coś powiedzieć, usłyszał entuzjastyczne:

— Cześć, Jeffrey! Nie okazała zdziwienia, była najwyraźniej ucieszona.

— Bardzo miło, że dzwonisz. Kiedy przeczytałam o tej fatalnej sprawie, myślałam o telefonie, ale nie mogłam się zmobilizować. Obawiałam się, że mnie nawet nie pamiętasz. Obawiała się, że ON nie pamięta JEJ! Podtrzymując temat, przeprosił, że mimo obietnic nie zadzwonił wcześniej

— Nie musisz przeproszać, tragedie onieśmielają ludzi. Lekarze długo nie mogą pogodzić się z samobójstwem kolegi. Nie oczekiwałam telefonu. Byłam wzruszona, że znalazłeś czas, by uczestniczyć w pogrzebie. Chrisowi byłoby przyjemnie, gdyby wiedział. Szanował cię.

Kiedyś powiedział, że jesteś najlepszym anestezjologiem, jakiego znał.

Nie wiedział, co powiedzieć. Im więcej mówiła, tym bardziej czuł się nieswojo. Zmienił temat:

— Cieszę się, że zastałem cię w domu.

— To jest najodpowiedniejsza pora, żeby mnie złapać. Właśnie wróciłam z pracy. Pewnie wiesz, że nie zostałam w Valley?

— Nie, nie wiedziałem o tym.

— Po śmierci Chrisa pomyślałam, że zdrowiej będzie pójść gdzie indziej. Wyniosłam się poza miasto. Pracuję w St. Joseph's Hospital, na oddziale intensywnej opieki.

Wolę to niż reanimację. Zgaduję, że jesteś ciągle w Boston Memorial?

— Tak jakby.

Był znowu niezdecydowany i skrupowany. Obawiał się, że Kelly odmówi, jeżeli zaproponuje spotkanie. Poza tym, czy jest mu coś winna? Ma swoje życie. Jednak podjął ryzyko. Musiał próbować.

— Kelly - powiedział w końcu - czy mógłby wpaść i przez chwilę pogadać?

— Kiedy proponujesz? - spytała bez najmniejszego wahania.

— Kiedy tylko będzie ci pasowało. Ja... ja mógłbym przyjść teraz, jeżeli nie jesteś zbyt zajęta.

— Dobrze, przyjdź.

— Jeżeli ci nie pasuje, mógłbym...

— Nie, nie, fajnie, czekam - powiedziała, nie dając mu dokończyć i udzielając wskazówek, jak dojechać do jej domu.

Michael Mosconi usadowił się przed telefonem, by zadzwonić do pracującego w Boston National Bank Owena

Shatterly. Przed nim na biurku, na otwartej księdze aresztowań, leżał czek Jeffreya. Nigdy nie przypuszczał, że

będzie się denerwował, jednak kiedy wybierał numer, czuł dziwny ucisk w żołądku. Tylko raz w ciągu całej kariery poręczyciela kaucji przyjął czek. Tamta transakcja zakończyła się szczęśliwie. Ale koledzy opowiadali niesamowite historie. Jeżeli cokolwiek się nie powiedzie, największym problemem będzie towarzystwo ubezpieczeniowe, które zabroniło przyjmowania czeków już w pierwszym punkcie. Gadając tyle na temat czeku i gotówki, podał właściwie Jeffreyowi sposób, jak wystrychnąć go na dudka. Nie miał pojęcia, dlaczego tak zbzikował. No, przecież był to wyjątkowy przypadek. Na Boga! Ten gość jest lekarzem. Czterdzieści pięć tysięcy dolarów trafia się wyjątkowo rzadko. Dlatego zaproponował lepsze warunki. Była to życiowa decyzja.

Ktoś w banku odebrał telefon i kazał Michaelowi czekać. Ze słuchawki płynęła muzyka. Bębnił palcami o blat biurka. Dochodziła czwarta po południu. Dzwonił, by upewnić się, że czek doktora ma pokrycie. Shatterly był wieloletnim przyjacielem, wiedział, że bez problemu dostanie od niego taką informację.

Kiedy zgłosił się, Mosconi wytłumaczył, czego potrzebuje. Nie musiał nic więcej mówić. Shatterly powiedział tylko - zaczekaj sekundę. Usłyszał stukanie klawiszy komputera.

— Na ile opiewa czek?

— Czterdzieści pięć patyków.

— Cała suma to 23 dolary z kawałkiem.

Michael zaniemówił. Przestał bębnić palcami.

-Czy jesteś pewien, że nie było dzisiaj żadnej wpłaty?

-Żadnej, tym bardziej 45 000 tysięcy.

Odłożył słuchawkę.

-Jakieś kłopoty? - wyzierając znad starego, wyczytanego Penthouse'a spytał Devlin O'Shea. Był roslym mężczyzną, bardziej przypominającym cyklistę z lat sześćdziesiątych niż byłego policjanta z Bostonu. W płatku lewego ucha błyszczał mały złoty kolczyk w kształcie krzyża maltańskiego. Włosy zaczesywał w schludny koński ogonek. W ten nieszkodliwy sposób grał policjantom na nosie, podkreślając, że nigdy więcej nie musi stosować się do regulaminowego sposobu ubierania. Wylano go z policji p udowodnieniu korupcji.

Siedział wygodnie rozparty na kanapie, naprzeciw biurka Michaela. To, co miał na sobie, było ulubionym uniformem - drelichowa kurtka, wytarte dżinsy i czarne kowbojskie buty.

-Może mogę ci pomóc?

Mosconi obserwował go, obejmując wzrokiem masywne łąpska ozdobione wzorzystymi tatuażami. Brak zęba nadawał mu wygląd knajpianego awanturnika, jakim zresztą sporadycznie bywał.

- Może - odpowiedział, układając plan działania.

Devlin wpadł do biura w nadziei, że dostanie nowe zlecenie. Nie miał nic do roboty. Właśnie udało mu się schwytać mordercę, który zwolniony za kaucją uciekał do Kanady. Polował na premie wypłacane za dostarczanie przestępców do więzienia, a Michael zatrudnił go, jeżeli zachodziła taka potrzeba.

Mosconi doszedł do wniosku, że Devlin jest właściwym człowiekiem. Skutecznie przypomniał Jeffreyowi o zobowiązaniu. Był nawet za dobry do tej sprawy.

Wyjaśnił pokrótce sytuację. Były policjant odrzucił gazetę i wstał. Miał 2 metry wzrostu i ważył 130 kilogramów. Zaokrąglony brzuch wylewał się nad wielką, srebrną klamrą paska, jednak pod warstwą tłuszczu były mocne mięśnie.

— Pewnie, że mogę z nim pogadać - powiedział.

— Ale bądź miły, wpłyn tylko na niego. Pamiętaj, że jest lekarzem. Chodzi o to, aby o mnie nie zapomniał.

— Zawsze jestem miły. Delikatność, staranny ubiór, nienaganne maniery. To jest mój urok - odrzekł Devlin.

Opuścił biuro zadowolony z trafiającej się roboty. Nie znosił bezczynności. Miał jedno życzenie - większe zarobki. Ale teraz nie zawracał sobie tym głowy. Czekał go wyjazd do Marblehead. Przy okazji odwiedzi-włoską restauracyjkę, a potem wpadnie na kilka piw do ulubionego barku na przystani.

Kelly mieszkała w uroczym, piętrowym domu, w stylu kolonialnym, z dzielonymi oknami. Z nieskazitelną bielą ścian kontrastowały czarne okiennice. Na przeciwległych końcach sterczały dwa kominy, obłożone starą cegłą. Z prawej strony znajdował się garaż, a pośrodku, przed frontowymi drzwiami, zadaszony ganek.

Jeffrey zatrzymał się w uliczce naprzeciwko, zaskoczony ilością drzew tak blisko śródmieścia Bostonu. Dom usadowiony był w przytulnym miejscu, wśród klonów, dębów i brzoź.

Zastanawiał się, co powie. Nigdy przedtem nie przychodził do cudzego domu, oczekując "sympatii i zrozumienia". Nie wykluczał zawodu, mimo że rozmowa telefoniczna była przyjazna. Mobilizując odwagę, energicznie wrzucił bieg i wjechał na podjazd. Podeszedł do drzwi frontowych z neserem w ręce. Czuł się absurdalnie z bagażem. Nawet z racji obowiązków zawodowych unikał chodzenia z torbą lekarską, jednak bał się zostawić w samochodzie tak dużą gotówkę.

Kelly otworzyła drzwi, zanim zdążył nacisnąć dzwonek. Była w czarnych raj tuzach, z różową górą, różowej opasce na głowie i ocieplających getrach. Miała bosc stopy.

-Popołudniami chodzę przeważnie na aerobic wyjaśniła, rumieniąc się lekko. Mocno uścisnęła Jeffreya.

Poczuł wzruszenie, nie pamiętał, kiedy go ktoś obejmował. Opanował się i odwzajemnił uścisk.

Odchyliła się do tyłu, tak że mogła mu zajrzeć prosto w oczy. Był wyższy o dobre piętnaście centymetrów.

-Tak cieszę się, że mnie odwiedziłeś! Wejdz, wejdz!

Wzięła go za rękę i poprowadziła do środka, kopniakiem zamykając drzwi.

Znaleźli się w szerokim korytarzu z łukowymi przejściami - na prawo do jadalni, na lewo do salonu. Stał tu mały stolik, a na nim, dla ozdoby, srebrny serwis do herbaty.

Na końcu, w tyle domu, eleganckie kręcone schody prowadziły na piętro.

— Co powiesz na filiżankę herbaty?

— Nie chcę zawracać ci głowy.

Trzymając wciąż jego rękę, poprowadziła go przez jadalnię do kuchni połączonej z wygodnym pokojem rodzinnym. Wyglądał jak dodany do całości. Jego szerokie okna wychodziły na ogród. Wewnątrz dom nie był wielki.

Postawił neser obok przytulnej, wełnianej kanapy, na której go posadziła.

— Co w tym nosisz? - spytała. - Myślałam, że lekarze chodzą na wizyty domowe z małymi, czarnymi torbami. - Wyglądasz na agenta ubezpieczeniowego – śmiała się krystalicznie, chodząc po kuchni. Wyjęła z zamrażalnika ciasto serowe.

— Gdybym pokazał ci, co jest w środku, nie mogłabyś uwierzyć.

— Dlaczego tak mówisz?

Nie odpowiedział. Na szczęście jej uwagę pochłonęło coś innego. Wzięła nóż z wieszadła nad zlewem i ukroiła dwa kawałki ciasta.

-Cieszę się, że zdecydowałaś się wpaść, zaraz będę dotrzymywała ci towarzystwa.

Włożyła dużą torebkę herbaty do dzbanka, a gdy czajnik zaczął przeraźliwie gwizdać, zalala ją wrzątkiem.

Przygotowała dwie filiżanki. Postawiła wszystko na tacy i przyniosła na niski stolczyk stojący przed kanapą. -

-Gotowe! Czy o czymś nie zapomniałam? Serwetki! - wykrzyknęła wracając z kuchennej wnęki.

Usiadła wreszcie z uśmiechem i nalewając herbatę powiedziała:

-Naprawdę cieszę się, że wpadłeś, w dodatku nie wiedząc o cieście serowym.

Zdał sobie sprawę, że poza pszennymi płatkami, ledwie tego ranka tkniętymi, nie jadł przez cały dzień. Ciasto było pyszne.

-Czy chciałeś ze mną porozmawiać o czymś konkretnym? - spytała odstawiając filiżankę.

Zachwycała go jej otwartość, tak ułatwiająca rozmowę.

— Zacznę od przeprosin za to, że nie okazałem Chrisowi dość życzliwości. Po tym, co przeżyłem w ciągu ostatnich paru miesięcy, mogę ocenić dokładnie, przez co przeszedł. Wtedy nie miałem o tym pojęcia.

— Myślę, że nikt nie miał. Nawet ja.

— Nie miałem zamiaru wywoływać bolesnych wspomnień.

— Nie przejmuj się. W końcu pogodziłam się z tym.

Tym bardziej powinnam do ciebie zadzwonić. Jak się trzymasz?

Nie spodziewał się, że rozmowa tak szybko skieruje się na jego kłopoty. Jak się trzymał?

W ciągu ostatnich 24 godzin usiłował popełnić samobójstwo i uciec z kraju.

- Jest mi ciężko. - To wszystko, na co się zdobył.

Ucisnęła mocno jego rękę.

— Myślę, że ludzie nie mają najmniejszego pojęcia, jaką cenę płaci się w sprawach lekarskich, nie mówię o pieniądzach.

— Wiesz o tym najlepiej. Ty i Chris zapłaciliście największą.

— Czy to prawda, że grozi ci więzienie?

— Na to wygląda.

- To absurd!

Zaskoczyła Jeffreya porywczosć, z jaką to wykrzyknęła.

— Będziemy się odwoływać, jednak nie bardzo wierzę w wygranie apelacji.

— Jak to się stało, że zrobiono z ciebie kozła ofiarnego? Co ze szpitalem i innymi lekarzami?

— Wszyscy zostali wyłączeni ze sprawy... Parę lat temu miałem przejściowe kłopoty z morfiną. Typowa historia. Gdy podczas wypadku rowerowego doznałem obrażeń pleców, lekarz mi ją przepisał. W trakcie śledztwa zasugerowano, że dałem w żyłę na krótko przed rozpoczęciem fatalnego znieczulenia. Potem ktoś znalazł pustą ampulkę po



marcainie 0,75% w pojemniku na odpadki urządzenia do pełnej anestezji. Użyłem stężenia przeciwwskazanego do anestezji w położnictwie. Nikt nie znalazł ampułki 0,5%,

— Ale nie użyłeś 0,75%, prawda?

— Zawsze czytam napis, na każdym medykamencie, ale jest to ten rodzaj odruchowego działania, który trudno pamiętać. Nie mogę uwierzyć, że użyłem 0,75%, cóż mogę powiedzieć. Znalaziono to, co znalaziono.

— Hej, nie zaczynaj w sobie wąpić. Od tego zaczął Chris.

— Łatwo powiedzieć.

— Do czego jest używana marcaina 0,75%?

— W wielu przypadkach. Zawsze kiedy potrzebna jest szczególnie długo działająca blokada na małym obszarze. Często jest używana w chirurgii ocznej.

— Czy była tego dnia jakaś operacja oczna w sali,

gdzie zdarzył się twój wypadek? A może inna, wymagająca marcainy 0,75%?

Zastanawiał się przez chwilę. Pokręcił głową.

— Nie sędzę, ale pewności nie mam.

— Warto by sprawdzić - powiedziała Kelly. — Nie będzie miało to wielkiego znaczenia w sensie prawnym, ale jeżeli sobie samemu wyjaśnisz obecność marcainy 0,75%, zrobisz pierwszy krok na długiej drodze odbudowywania pewności siebie. Jestem przekonana, że kiedy w grę wchodzi oskarżenie o zaniedbania w leczeniu, lekarze muszą, tak samo jak prawnicy przygotowujący wystąpienia sądowe, pilnie strzec poczucia własnej wartości.

— Masz rację.

Myślał o jej pytaniach. Nie był w stanie uwierzyć, że nikt nie spytał o przypadki z tej samej sali operacyjnej.

Przypadki poprzedzające operację Patty Owen. Sam też na to nie wpadł. Zastanawiał się, jak zbadać to teraz, skoro pozbawiono go nawet prawa wstępu do szpitala.

- Jeżeli już mówimy o poczuciu własnej wartości, jak z tym u ciebie?

Uśmiechnęła się, wiedział jednak, że pod beztróską kryła się śmiertelna powaga.

— Odnoszę wrażenie, że rozmawiam z ekspertem - powiedział. - Czytasz coś z dziedziny psychiatrii?

— Niechętnie. O tym, jak ważna jest pewność siebie, dowiedziałam się dużo trudniejszą metodą - przez doświadczenie.

Spojrzała na Jeffrey'a bez uśmiechu. Wypiła łyk herbaty. Odeszła na chwilę w pełną smutku zadumę, patrząc w okno na zarośnięty ogród. Nagle przerwała ciszę.

— Jestem przekonana, że do samobójstwa pchnął Chrisa brak poczucia wartości. Nigdy by tego nie zrobił mając o sobie lepsze mniemanie. To nie tragiczny wypadek spowodował, że znalazł się na krawędzi. Był taki jak ty. Nie pozostało nic innego jak czuć się winnym. Targnął się na życie, bo stracił zaufanie do siebie. Nie potrafił dalej żyć z takim przeświadczeniem. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak nieodporni są lekarze, nawet najlepsi, na wstrząs wywołany znalezieniem się na ławie oskarżonych.

Im lepszy lekarz; tym większy cios. Fakt, że oskarżenie jest bezpodstawne, nie ma z tym nic wspólnego.

— Masz wiele racji. Kiedy usłyszałem, że Chris odebrał sobie życie, byłem zdumiony.

Wiedziałem, jakim był człowiekiem, jakim lekarzem. Teraz nie dziwi mnie jego samobójstwo. Patrząc z perspektywy mojej sytuacji, jestem zaskoczony, że wielu lekarzy oskarżonych o zaniedbania w leczeniu nie pociąga takie rozwiązanie. Szczerze mówiąc, sam próbowałem ostatniej nocy.

— Co próbowałaś? - spytała ostrym tonem. Wiedziała, co miał na myśli, ale nie chciała uwierzyć.

Westchnął. Nie był w stanie spojrzeć jej w oczy.

-Ostatniej nocy próbowałem popełnić samobójstwo. Byłem o włos od tego, co zrobił Chris. Znasz ten sposób - scolina z morfiną. Podłączyłem sobie kroplówkę - to wszystko. Upuściła filiżankę. Złapała Jeffreya za ramiona i zaczęła potrząsać. Przestraszył go ten gest.

-Nie waż się tego zrobić! Nawet nigdy o tym nie myśl!  
Przeszywała go wzrokiem, wciąż ściskając ramiona.

Wymamrotał, że niepotrzebnie się przejmuje, skoro i tak zabrakło mu odwagi, by dokończyć to, co zaczął.

Potrząsnęła nim znowu.

Nie wiedział, co powinien zrobić, jeszcze mniej, co powiedzieć. Szarpała go z coraz większą pasją.

— Samobójstwo nie jest odwagą - powiedziała ze złością. - To tchórzostwo. Egoizm. Rani każdego, kto cię kocha. Chcę, żebyś obiecał, że jeżeli kiedykolwiek znowu pomyślisz o samobójstwie, natychmiast zadzwonisz, obojętnie o której godzinie, w dzień czy w nocy. Pomyśl o żonie. Nie wyobrażasz sobie, jakim poczuciem winy przepełniło mnie samobójstwo Chrisa. Byłam zdruzgotana. Czułam, że w jakimś stopniu zawiodłam go. Teraz wiem, że to nieprawda. Jego śmierć jest tym, z czym nie pogodzę się prawdopodobnie nigdy.

— Carol i ja jesteśmy w trakcie rozwodu.

-Z powodu sprawy sądowej?

Jej twarz złagodniała.

— Nie, planowaliśmy wcześniej. Była na tyle miła, żeby odłożyć tę kwestię na później.

— O, biedny człowieku, trudno wyobrazić sobie gorszą sytuację, jednocześnie borykać się z oskarżeniem i rozpadem małżeństwa.

— To moje ostatnie zmartwienie.

- Mówię serio, obiecaj, że zadzwonisz, zanim zrobisz głupstwo.

— Nie sądzę, żeby...

— Obiecujesz? - nalegała.

— W porządku, obiecuję.

Zabrała się do sprzątania, uspokojona tym twierdzeniem. Zmiatając kawałeczki potłuczonej chińskiej porcelany, zaczęła mówić:

-Dałabym wszystko za choć najmniejszy sygnał tego, co planował Chris. Wydawał się tak walecznie usposobiony mówiąc o komplikacjach anestezyjologicznych jako drugorzędnych wobec problemu zatrucia organizmu przez zanieczyszczony środek znieczulający. Jego nastrój nie wskazywał na to, że wkrótce nie będzie żył.

Obserwował, jak krzątała się przy zlewie. Kiedy wróciła i znowu usiadła, zapytał:

— Co miał Chris na myśli mówiąc o zanieczyszczeniu leku do miejscowego znieczulenia?

— Nie mam zielonego pojęcia. Wyglądał na autentycznie podnieconego tą myślą.

Popierałam jego zapach.

Przedtem był w depresji, głębokiej depresji. Ten pomysł wyraźnie go podbudował.

Ślęczał kilka dni nad podręcznikami z dziedziny farmakologii i fizjologii. Zrobił wiele notatek. Pracował nad tym tej nocy, kiedy... Położyłam się spać.

Znalazłam go rano, z podłączoną kroplówką.

Butelka była pusta.

— To straszne.

— To było najtragiczniejsze doświadczenie w całym moim życiu.

Przez chwilę zazdrościł Chrisowi, że pozostawił kogoś, kto go kochał tak głęboko. Jak by to wyglądało z nim? Spróbował otrząsnąć się z czarnych myśli. Zastanowiła go wzmianka o zanieczyszczeniu w medykamencie.

To było bardzo interesujące.

— O jakiego rodzaju zanieczyszczeniu myślał Chris?

— Doprawdy nie wiem. Było to dwa lata temu. Nigdy nie opowiadał o tym z detalami. W każdym razie nie mnie.

— Czy wtedy wspominałaś komuś o jego teorii?

— Powiedziałałam prawnikom. Dlaczego pytasz?

— Coś mnie intryguje.

— Jeszcze ciągle przechowuję jego notatki – jeśli masz ochotę, możesz je obejrzeć.

— Z przyjemnością.

Poprowadziła Jeffreya przez kuchnię i pokój jadalny, w poprzek korytarza, przez salon.

Zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami.

-Gabinet Chrisa. Zdaję sobie sprawę, że postąpiłam niezbyt rozsądnie, ale po jego śmierci po prostu zamknęłam drzwi i zostawiłam wszystko tak, jak było. Nie pytaj, dlaczego.

Bądź przygotowany, że może być trochę kurzu.

Otworzyła drzwi i odsunęła się na bok.

Powoli wszedł do pokoju. Panujący w nim nieład kontrastował z resztą domu. Wszystko pokryte było grubą warstwą kurzu, a z sufitu zwisało kilka pajęczyn. Okna zakrywały zasłony. Jedną ścianę stanowiła biblioteka, od podłogi do stropu wypełniona książkami.

Rozpoznał je natychmiast. W większości były to tradycyjne podręczniki anestezyjologiczne. Pozostałe dotyczyły bardziej ogólnych kwestii medycznych.

Pośrodku stało ogromne biurko, zavalone papierami i książkami. W rogu - głęboki fotel wyściełany czarną skórą, wysuszoną i spękaną. Obok wznosiła się sterta książek.

Kelly stała ze splecionymi rękami, oparta o futrynę.

— Ale bałagan.

— Nie masz nic przeciwko temu, że się rozejrzę?

— Czuj się jak u siebie. Jak mówiłam, doszłam już do równowagi po stracie Chrisa. Od pewnego czasu nawet myślałam o posprzątaniu tego pokoju. Nie minie mnie to.

Okrażył biurko, zaświecił stojącą na nim lampę. Nie był przesądny, nie wierzył w siły nadprzyrodzone, jednak wyczuwał nieomal obecność przyjaciela, próbującego mu coś przekazać.

Na wierzchu leżał otwarty podręcznik Goodmana i Gillmana - "Farmakologiczne podstawy leczenia". Obok - "Toksykologia kliniczna". Oprócz książek zwrócił uwagę na stos odręcznych notatek. Goodman i Gillman otwarty był na rozdziale dotyczącym marcainy. Podkreślono w nim zdania dotyczące ubocznych skutków działania leku.

— Czy jego przypadek dotyczył także marcainy?

— Tak, myślałam, że o tym wiesz.

Nie wiedział, którego z leków używał Chris. Sporadyczne komplikacje zdarzają się we wszystkich rodzajach znieczuleń. Zgarnął notatki. Prawie natychmiast zakręciło go w nosie. Kichnął. Kelly, powstrzymując śmiech, zakryła usta wierzchem dłoni.

-Uprzedzałam, że może być kurz.

Kichnął znowu.

-Może weź, co chcesz, i przenieśmy się do pokoju zaproponowała.

Z załzawionymi oczami, ułożył w jeden stos książki i notatki. Zanim zamknęła drzwi, kichnął po raz trzeci.

Gdy znaleźli się w kuchni, zaproponowała:

— Może zostaniesz na wczesnym obiedzie. Zrobię coś szybkiego. Nic specjalnego, ale posilimy się.

— Myślałem, że wychodzisz na aerobic.

Był zachwycony propozycją, ale nie chciał sprawiać kłopotu.

— Mogę ćwiczyć każdego dnia.

— Jeżeli to nie kłopot...

— To przyjemność. Rozgość się na kanapie. Zdejmij buty, jeśli chcesz.

Usiadł i położył książki na stoliku. Patrzył na nią przez chwilę "jak-kręciła się po kuchni, zaglądając do lodówki i szafek. Usadowił się na kanapie. Przede wszystkim chciał przeczytać odręcznie napisane streszczeni komplikacji anestezyjologicznych, które wystąpiły u pacjenta Chrisa.

— Wskoczę na chwilę do sklepu. Siedź i czekaj.

— Nie fatyguj się z mojego powodu.

Zrobił ruch, jak gdyby chciał wstać. Był szczęśliwy, że Kelly tak o niego dba.

- Nonsens, będę z powrotem w mgnieniu oka.

Usłyszał, jak uruchomiła samochód, wyjechała z garażu i pomknęła ulicą.

Skupił uwagę na streszczeniu.

Henry Noble, 57-letni biały mężczyzna, został przyjęty do Valley Hospital, aby poddać się operacyjnemu usunięciu prostaty, na tle nowotworowym. Na żądanie doktora Wallensterna operacja miała być przeprowadzona ze znieczuleniem zewnątrzoponowym. Wizytowałem mężczyznę wieczorem, w dniu poprzedzającym operację. Był lekko wystraszony.

Stan zdrowia dobry. Stan serca dobry, EKG prawidłowe. Ciśnienie krwi w normie.

Wyniki neurologiczne w normie. Brak jakichkolwiek uczuleń, ze szczególnym uwzględnieniem uczuleń na leki. Poddawany ogólnemu znieczuleniu - narkozie w roku 1977 podczas operacji przepukliny. Wielokrotnie miejscowo znieczulany przy zabiegach dentystrycznych, bez żadnych komplikacji. Z powodu jego zaniepokojenia przepisałem 10 mg diazepam i zaordynowałem podać doustnie, na godzinę przed przewiezieniem na operację. Następnego ranka przybył na operację w dobrym stanie ducha. Diazepam podziałał skutecznie. Lekko podsypiał, jednak można go było obudzić. Dowieziony został do sali znieczuleń i ułożony w prawidłowej, bocznej pozycji. Nakłucie zewnątrzoponowe zostało zrobione igłą Touheya - osiemnastką, bez żadnych trudności. Nie było reakcji na dwucentymetrową dawkę lidokainy, podanej dla ułatwienia przeprowadzenia punkcji zewnątrzoponowej. Dla potwierdzenia, że igła znajduje się w przestrzeni zewnątrzoponowej, wstrzyknięta została dwucentymetrowa dawka wody do iniekcji z epinefryną. Cewnik do ZO o małym przekroju został przepchnięty przez igłą Touheya. Pacjent został odwrócony na wznak. Dawka testowa marcainy 0,5% z małą ilością epinefryny przygotowana została z 30 mg ampulki. Dawkę wstrzyknięto. Natychmiast po

wstrzyknięciu pacjent skarżył się na, jak to określił, zawroty głowy. Po nich nastąpiły silne, bolesne skurcze jelit. Rytm serca przyspieszył, nie na tyle, by można było podejrzewać, że dawka testowa wstrzyknięta została w naczynie krwionośne. Pojawiło się ogólne napięcie mięśni. Doszło do tego obfite ślinienie, sugerujące reakcje przywspółczulne. Atropina podana została dożylnie. Dało się zauważyć zwężenie źrenic. Pacjent doznał bardzo silnego ataku typu padaczkowego, na który zareagowano scoliną i valium dożylnie. Następnie był intubowany i utrzymywany pod tlenem. Serce przestało pracować.

Przejawiało wyjątkowy opór na leki. W końcu praca serca została przywrócona. Pacjent był podtrzymywany, ale nie odzyskał przytomności. Przeniesiono go do oddziału intensywnej opieki medycznej. Przez tydzień pozostawał w stanie śpiączki i był wielokrotnie reanimowany po doznawanych zapaściach. O tym, iż doznał całkowitego paraliżu na skutek leku znieczulającego świadczyło, że powikłania objęły nie tylko rdzeń kręgowy, ale także nerwy czaszkowe. Po tygodniu wystąpiło ostateczne, nagłe zatrzymanie krążenia, po którym serca nie udało się pobudzić. Podniósł wzrok znad notatki. Podczas lektury lapidarnego streszczenia Chrisa ożyło paniczne przerażenie, które odczuwał walcząc z desperacją o ocalenie Patty Owen. Taką intensywność wspomnień wywołało uderzające podobieństwo przypadków, chociaż bez tak dramatycznych ataków i przerwanej nieodwołalnie pracy serca. Ze wstrząsającą wyrazistością przypomniał sobie moment, w którym zobaczył ślinienie i łzawienie. Oprócz tego ból brzuszny i małe źrenice. Żaden z tych objawów nie był typowy dla ubocznych działań leków do znieczulania miejscowego, chociaż dopuszczały możliwości występowania całej gamy niepożądanych reakcji neurologicznych, także zaburzenia pracy serca w odosobnionych wypadkach. Studiował kolejną stronę notatek. Niektóre słowa były wyodrębnione. Dwa z nich to "muskarynowy" i "nikotynowy". Przypomniał je sobie niejasno z czasu studiów. Związane były z działaniem autonomicznego systemu nerwowego. Następnie zaznaczono fragment - "...nieodwracalna wysoko-rdzeniowa blokada z porażeniem nerwu czaszkowego...", a po nim seria wykrzykników.

Nagle usłyszał samochód Kelly, wjeżdżający do garażu.

Zerknął na zegarek. Rzeczywiście była szybką klientką.

Następną kartką ze sterty zapisków był opis NMR - rezonansu magnetycznego - z okresu kiedy Henry Noble leżał sparaliżowany i bez przytomności. Zarejestrowane wyniki były normalne.

-Hej - zawołała radośnie wchodząc w drzwi - brakowało mnie? - śmiała się stawiając paczkę na blacie kuchennym.

Podeszła, stanęła za oparciem kanapy i zaglądając przez ramię Jeffrey'a, wskazała na zaznaczone wyrazy i fragmenty tekstu.

— Co znaczą te bazgroły?

— Nie wiem - przyznał - jednak notatki są fascynujące. Jest tak wiele podobieństw między naszymi przypadkami. Nie wiem, co o tym sądzić.

— A więc miło mi, że ktoś ma korzyść z tego bałaganu - powiedziała wracając do kuchni. - Przeszanę czuć się kompletną dziwaczką z powodu zachowania tego wszystkiego.

— Nie sądzę, żeby przechowywanie tego materiału było dziwactwem.

Sięgnął po następną stronę. Był to, pisany na maszynie skrócony opis sekcji zwłok Henry'ego Noble'a, przedstawiony przez anatomopatologa. Chris podkreślił wers -

"...w badaniu mikroskopowym kolejnych warstw widoczne zwyrodnienia aksonów komórek nerwowych..." – po nim postawił serię znaków zapytania. Następny, podkreślony fragment brzmiał - "...toksykologicznie negatywny..." i zaznaczony był dużym wykrzyknikiem. Wszystko pozostawało dla Jeffreya wielką tajemnicą. Resztę notatek stanowiły "konspekty z rozdziałów książki Goodmana i Gillmana o tematyce farmakologicznej. Szybkie spojrzenie wystarczyło, by zorientować się, że dotyczą one głównie powiązań z autonomicznym układem nerwowym. Zdecydował, że przejrzy ten trudny materiał później. Ułożył kartki, położył je na stoliku i przycisnął dwoma medycznymi dziełami.

Postanowił dołączyć do Kelly stojącej przy zlewozmywaku.

— W czym mogę pomóc?

— Powinieneś chyba odpocząć.

— Wołałbym coś zrobić.

— Jak chcesz. Co myślisz o podpaleniu rożna, na tarasie z tyłu domu? Zapałki są w szufladzie - wskazała liściem sałaty.

Wyszedł na zewnątrz. Rożen był jednym z tych kopulastych, zaokrąglonych typów, zasilanych z butli gazowej.

Szybko zorientował się, jak działa zawór, zapalił go i zamknął kopułę.

Zanim wszedł do środka, rozejrzał się po pozbawionym opieki obejściu. Wysoka trawa była zielona świeżą, wiosenną zielenią. Tej wiosny spadło dużo deszczu, roślinność była szczególnie bujna. Z gąszcza drzew wyglądały koronkowe liście paproci.

Pokiwał głową z niedowierzaniem. Wydawało się nieprawdopodobne, że zaledwie poprzedniej nocy usiłował popełnić samobójstwo, że tego popołudnia próbował na zawsze odlecieć do Ameryki Południowej. A teraz stoi tutaj, na tarasie, w Brooklinie, przygotowując rożen do obiadu, który będzie jadł z atrakcyjną, wrażliwą, rozbijającą bezpośrednią kobietą. Wszystko wydawało się zbyt piękne, by było prawdziwe.

Zaczerpnął zimnego powietrza, rozkoszując się jego czystością. Przez chwilę obserwował drozda wyciągającego dżdżownicę z wilgotnej gleby.

Obiad był pyszny. Rozmowa toczyła się łatwo i naturalnie. Jedli płaty marynowanego tuńczyka, ryżowy pilaw i zieloną sałatę. Kelly wyciągnęła, głęboko zachomikowaną w lodówce, butelkę chardonnayu. Wino było zimne i rześkie. Ze zdziwieniem stwierdził, że śmieje się pierwszy raz od wielu miesięcy.

Z kawą i resztą mrożonego ciasta przenieśli się na kanapę.. Widok notatek i książek Chrisa przypomniał o powadze sytuacji.

— Niechętnie wracam do tego - powiedział w przerwie rozmowy - ale jaki był wyrok w sprawie sądowej?

— Sąd przychylił się do stanowiska oskarżyciela - powiedziała Kelly. - Grzywna została rozdzielona pomiędzy szpital, Chrisa i zespół chirurgiczny. Zrobiono to w jakiś szalenie skomplikowany sposób. Myślę, że ubezpieczenie Chrisa pokryło większość tej sumy. Na szczęście dom zapisany był tylko na moje nazwisko, a więc nie mogli zaliczyć go do rozporządzalnego majątku męża.

— Czytałem raport-streszczenie, które napisał. Naprawdę nie było żadnego uchybienia w leczeniu.

— W takim przypadku, wywołującym silne emocje, nie ma znaczenia, czy popełniono przestępstwo, czy nie.

Dobry oskarżyciel zawsze nakłoni przysięgłych do identyfikowania się z pacjentem.

Potaknął. Niestety, była to prawda.

— Wolno mi będzie jeszcze o coś spytać? Czy nie sprawi ci przykrości, jeżeli pożyczę notatki?

— Wielkie nieba! Nie! Traktuj je jak swoje. Dlaczego tak się nimi interesujesz?

— Dotyczą Wielu pytań, które stawiałem sobie. Zetknąłem się z drobnymi sprzecznościami. Jestem zaskoczony, że te same niezgodności pojawiły się w przypadku Chrisa. Nie pomyślałem o zanieczyszczeniu. Chciałbym przejrzeć zapiski kilka razy. Nie jest jeszcze całkiem dla mnie jasne, o czym myślał. Poza tym, jeżeli je wezmę, będę miał pretekst do ponownej wizyty.

— Nie potrzebujesz go, czuj się zaproszony każdego dnia, o każdej porze. Odprowadziła go do samochodu. Obiad był tak wczesny, że na zewnątrz było jeszcze widno.

— Nie masz pojęcia, jaką wielką radością była dla mnie ta wizyta - podziękowała serdecznie.

Wrzucił do samochodu neseser, do którego włożył notatki Chrisa. Kelly wychyliła głowę przez okno.

— Pamiętaj, obiecałeś! Jeżeli zaczną ci przychodzić do głowy głupie pomysły, masz się ze mną skontaktować.

— Będę pamiętał.

Jechał do domu zadowolony. Kilka godzin spędzonych z Kelly zdecydowanie poprawiło mu nastrój. Zdumiewało go, że w takich okolicznościach potrafił być bezpośredni.

Zdawał sobie sprawę, że była to głównie jej zasługa - nie jego. Biorąc ostry zakręt, przytrzymał spadający z siedzenia neseser. Pomyślał o jego dziwnej zawartości. Przybory toaletowe, bielizna, 45 000 dolarów w gotówce i sterta notatek pisanych przez samobójcę.

Chociaż nie spodziewał się znaleźć w nich czegokolwiek rozgrzeszającego, samo ich posiadanie dodawało nadziei.

Może korzystając z notatek Chrisa coś odkryje, coś, czego nie był w stanie zobaczyć. Mimo że przykro mu było rozstawać się z Kelly, był zadowolony, że tak wcześnie dociera do domu. Zamierzał gruntowniej zagłębić się w papiery i dla pełniejszego ich zrozumienia skorzystać z kilku własnych książek.

3  
WTOREK  
16 MAJA 1989 r. GODZINA 19.49

Jeffrey zatrzymał samochód przed drzwiami garażowymi. Pachniało oceanem. Całe Marblehead, jak półwysep wchodzący w Ocean Atlantycki, znajdowało się w pobliżu wody. Wziął neseser i ruszył w górę po frontowych schodach. Zwrócił uwagę na otaczające go piękno. Szaleńczy śpiew ptaków w zawsze zielonych drzewach rosnących na trawniku konkurował z dobiegającym z oddali wrzaskiem mew. Biegnąca wzdłuż domu rabata rododendronów okryta była rozwiniętymi kwiatami, tworzącymi istną orgię barw. Przez ostatnich kilka miesięcy, pochłonięty własnymi problemami, przeoczył zachwycającą zmianę ponurej zimy we wspaniałą wiosnę. Wizyta u Kelly wywarła ogromny wpływ na jego kondycję psychiczną.

Gdy dotarł do drzwi frontowych, przypomniał sobie o pozostawionej w samochodzie walizce. Pomyślał, że zabierze ją później. Przekreślił klucz i wszedł do domu.

W przedpokoju zatarasowała mu drogę Carol. Poznał po wyrazie twarzy, że jest wściekła. Postawił neseser na podłodze.

— Dochodzi ósma - powiedziała.

— Jestem całkowicie świadomy godziny.

— Gdzie byłeś?

Zdjął marynarkę. Drażniło go jej śledztwo. Może powinien zadzwonić? Kiedyś by tak zrobił.

-Ja nie pytam, gdzie byłaś.

- Jeżeli zamierzam opóźnić powrót do prawie ósmej wieczór, zawsze dzwonię. To jest zwykła grzeczność.

- Podejrzewam, że nie jestem specjalnie uprzejmy.

Był zbyt zmęczony, by się kłócić. Podniósł neseser, zamierzając pójść prosto do swojego pokoju. W drzwiach prowadzących do kuchni ujrzał wielkiego mężczyznę niedbale opartego o futrynę. Spostrzegł koński ogon, drelichowe ubranie, kowbojskie buty, tatuaże i dyndający w uchu maleńki, złoty kolczyk. W rękę trzymał butelkę piwa.

Spojrzał pytająco na Carol.

- Podczas gdy poza domem robiłeś Bóg wie co, musiałam cierpliwie znosić towarzystwo tej świni. Wszystko z twojego powodu. Gdzie byłeś?

Nie miał pojęcia, o co chodziło. Nieznajomy mrugnął i uśmiechnął się do Carol, odbierając epitet jak komplement.

-Miło mi będzie dowiedzieć się również, gdzie byłeś, młodzieniaszku, wiem już, gdzie nie byłeś.

Pociągnął łyk z butelki. Wyglądało, że dobrze się bawi.

-Kim on jest? - spytał Jeffrey.

-Devlin O'Shea - wyręczył ją nieznajomy.

Oderwał się od futryny i stanął obok Carol.

-Ja i ta rezolutna kobieta czekaliśmy na ciebie kilka godzin.

Zrobił gest, jakby chciał uszczypnąć jej policzek, ale powstrzymała jego rękę. - Ostra maleńka!

— Chcę wiedzieć, co tu się dzieje - zażądał Jeffrey.

— Pan O'Shea jest czarującym zausznikiem Michaela Mosconiego - odpowiedziała ze złością.

— Zausznik - powtórzył Devlin - och, podoba mi się to. Brzmi seksownie.

— Czy byłeś w banku i widziałeś się z Dudleyem? - spytała.

— Oczywiście.

Zorientował się nagle, co było powodem obecności wielkiego mężczyzny.

— Noo, co się stało? - zawtórował Devlin. - Z naszych źródeł wiadomo, że nie dokonano żadnej wpłaty, jak było obiecano. Tak się nieszczęśliwie składa.

— Zaistniał pewien problem... - zająknął się Jeffrey.

Nie był przygotowany na tego typu pytania.

— Jakiego rodzaju problem? - spytał napastnik, stukając go wyprostowanym, wskazującym palcem kilkakrotnie w pierś.

— Jakieś papierkowe historie, biurokracja, z którą każdy styka się w banku.

— A jeżeli ja ci nie wierzę? - powiedział O'Shea i trzasnął Jeffrey'ego otwartą dłonią w bok głowy.

Cios był zaskoczeniem. W uchu dzwoniło.



— Nie wolno ci przychodzić i okładać mnie w moim domu.

— Czyżby? - zapytał Devlin nienaturalnie cienkim głosem. Przerzucił piwo do prawej ręki i lewą uderzył

Jeffreya z drugiej strony. Ruch był tak szybki, że nie miał czasu na obronę. Zatoczył się do tyłu opierając się o ścianę, z przodu naciskał go ten ogromny zwierz.

— Pozwól, że przypomnę o czymś, udowodniono ci przestępstwo, jesteś zbrodniarzem, mój przyjacielu, i jedynie za sprawą wielkoduszności pana Mosconiego nie gnijesz jeszcze w więzieniu.

— Carol! - krzyknął Jeffrey, strach mieszał się ze złością - dzwoń po policję!

— Ha, ha! - Wezwij policję! Doktorku, jesteś bardziej pocieszny, niż myślałem. Należę do tych, którzy mają prawo po swojej stronie. Ja - nie ty. Przyszedłem jako... -przerwał - hej, kochanie, jak mnie nazwałaś?

— Zausznik - odpowiedziała mając nadzieję, że tym go uspokoi. Scena napawała ją strachem. Nie miała pojęcia, co zrobić.

— Tak jak ona powiedziała, jestem zausznikiem, zausznikiem przysłanym, aby przypomnieć o zobowiązaniu wobec pana Mosconiego. Dzisiejszego popołudnia doznał lekkiego rozczarowania, dzwoniąc do banku. Co się stało z pieniędzmi, które miały znaleźć się na twoim koncie?

-W banku zaistniała pomyłka - powtórzył Jeffrey.

Miał nadzieję, że olbrzym nie zajrzy do nesesera. Dałoby mu to pewność, że planował ucieczkę.

-Nastąpił przykry, biurokratyczny zator, rano będzie cała suma. Od strony papierkowej wszystko zostało załatwione.

— No to jak, nie będziesz mnie chyba więcej fatygował? - spytał Devlin, po czym dał Jeffreyowi potężnego prztyczka w czubek nosa.

— W banku zapewniono, że nie będzie dalszych trudności.

Dotknął nosa i spojrzał na palec. Spodziewał się zobaczyć krew. Nie było śladu.

-A więc pieniądze będą jutro rano?

— Dokładnie-tak.

— W takim razie oddałam się, ale nie muszę dodawać, że jeżeli suma nie pojawi się - wrócę.

Podszedł do Carol. Oddał butelkę mówiąc:

-Dzięki za piwo, złotko.

Znowu chciał uszczypnąć jej policzek. Spróbowała go spoliczkować, ale błyskawicznie złapał jej rękę.

-Naprawdę jesteś ostra! No dobra, jestem pewien, że moje odejście sprawi wam przykrość, ale czekają na mnie - zaśmiał się chrapliwie i zatrzasnął drzwi.

Przez kilka chwil nie poruszali się. Usłyszeli wyjeżdżający z ulicy samochód. Milczenie przerwała Carol.

-Co wydarzyło się w banku? Dlaczego nie mieli pieniędzy?

Nie odpowiedział. Patrzył w osłupieniu na żonę. Był wstrząśnięty swoją reakcją na Devlina. Odczucia balansujące wcześniej między złością a strachem bez reszty uległy strachowi. Zrozumiał, że prawo nie chroni go przed tym typem. Wyobrażał sobie, że ludzie tego pokroju wypełniają więzienia. Na przekór irlandzkiemu nazwisku wydawał się charakterem wziętym prosto z mafii.

-Odpowiedz mi - nalegała. - Gdzie byłeś?

Trzymając przez cały czas neseser, ruszył w stronę swojego pokoju. Chciał być sam. Widziane w nocnych koszmarach więzienie wypełniło się tłumem Devlinów, wirujących i osaczających go.

— Mówię do ciebie! - wrzasnęła.

— Zostaw mnie - powiedział spokojnie.

Zrobił kilka kroków.

-Nie puszczę cię, dopóki się nie odezwiesz i nie powiesz, gdzie byłeś.

-Zostaw mnie - powtórzył groźnie.

Skoczyła za nim.

-Nie tylko ty jesteś wyczerpany! - krzyknęła za jego plecami. - Chyba zasługuję na wyjaśnienia. Musiałam zabawiać tego potwora przez kilka godzin.

Zatrzymał się przed drzwiami pokoju.

— Przepraszam - powiedział. Był jej to winien.

— Dotychczas byłam wyrozumiała, teraz chcę wiedzieć, co wydarzyło się w banku. Dudley powiedział wczoraj, że nie będzie żadnych problemów.

— Porozmawiamy później.

Potrzebował czasu na uspokojenie.

— Chcę porozmawiać teraz - upierała się.

Wszedł do pokoju. Zagroził drogę, gdy próbowała wepchnąć się za nim.

-Później!

Zatrzasnęła drzwi. Usłyszała przekręcanie zamka. Zawiedziona, z krzykiem zaczęła łomotać.

-Jesteś nieznośny! Nie wiem dlaczego zgodziłam się zaczekać z rozwodem. To jest podziękowanie za to, co zrobiłam!

Szlochając, kopnęła drzwi. Pobiegła na dół, przez hall, do swojego pokoju.

Jeffrey usiadł na łóżku, rzucając obok neseser. Nie zamierzał wyprowadzać jej z równowagi. Wiedział, że należą się jej wyjaśnienia, nie miał jednak ochoty na zwierzenia przed podjęciem decyzji co do dalszych planów.

Jeżeli przyzna się, że ma gotówkę, ona natychmiast wymusi zanieśnięcie pieniędzy do banku.

Potrzebował czasu na przemyślenie wszystkiego. Nie wiedział, co ma uczynić. Po raz kolejny tego dnia poczuł się samotny.

Wszedł do łazienki. Napełnił wodą szklankę. Pijąc musiał ją trzymać obydwoma rękami. Był osłabiony nadmiarem wrażeń. Spojrzał w lustro. Zobaczył zadrapany nos i jasnoczerwone uszy. Wstrząsnął się na wspomnienie, jak czuł się bezbronny wobec tego mężczyzny.

Wrócił do sypialni i spojrzął na neseser. Otworzył z trzaskiem zamki, odchylił wieko i odsunął na bok notatki Chrisa Eversona. Przyglądając się zgrabnym paczkom studenckich banknotów zdał sobie sprawę, że najchętniej cofnąłby czas. Byłby teraz w drodze do Rio. Wszystko było lepsze od chwili obecnej. Ciepłe godziny z Kelly, wspaniały obiad - wydawały się scenami z innego życia.

Zerknął na zegarek. Było niewiele po ósmej. Ostatni, międzymiastowy samolot Panamu odlatywał o 21.30. Jeżeli pośpieszy się może go złapać. Pamiętał, jak fatalnie czuł się w samolocie. Czy będzie w stanie przetrwać i to?

Znowu poszedł do łazienki zbadać pałacę uszy i podrapany nos. Czego jeszcze mógłby dopuścić się człowiek pokroju Devlina, gdyby siedzieli zamknięci dzień po dniu w tej samej celi? Wrócił do nesesera. Zamknął wieko, zatrzasnął zamki. Wyjeżdżał do Brazylii. Opuszczając dom Rhodesa, Devlin miał szczerzy zamiar postąpić zgodnie z pierwotnym planem - zjeść włoską potrawę i popić ją piwem na przystani. Jednak kiedy oddalił się o trzy przecznice, zjechał na pobocze. Powtórzył w myślach rozmowę, jaką przeprowadził z doktorem. Za brak pieniędzy od razu obciążył bank. Devlin był przekonany, że to kłamstwo. Dlaczego kłamał?

Lekarze zawsze myślą, że są mądrzejsi od innych. Coś tu nie tak. Zrobił nawrót, pojechał tą samą drogą, którą przybył. Krążąc w pobliżu domu Rhodesa, zastanawiał się, jak postąpić dalej. Na przecznicy za domem wykonał kolejny nawrót i ponownie minął dom. Zwolnił, znalazł miejsce do parkowania i zatrzymał się.

Przewidywał dwojaki sposób postępowania. Albo wróci do doktora i spyta, dlaczego kłamie, albo posiedzi przyczajony i poczeka jakiś czas. Wiedział, że wzbudził piekielny strach w mężczyźnie. Często reakcją ludzi, którzy czują się winni, jest nadmierna gadatliwość. Postanowił zaczekać na wychodzącego Jeffreya. Jeżeli nic nie wydarzy się w ciągu mniej więcej godziny, pojedzie po jakieś jedzenie i złoży późną wizytę.

Wyłączył silnik i dla wygody obniżył oparcie siedzenia. Myślał o doktorze, zastanawiając się, co udowodniono temu facetowi. Mosconi nic nie powiedział. Według oceny Devlina facet nie był typem kryminalisty. Cóż - pozory mylą.

Komary przeszkodziły mu w zadumie. Podkręcił okno. Temperatura wewnątrz samochodu wzrosła. Ponownie zaczął analizować plan. Zdecydował, że jednak odjedzie, gdy nagle zobaczył ruch przy garażu.

-Co my tu mamy? - mruknął, schylając się nisko.

Nie mógł rozpoznać, czy to pani, czy pan Rhodes.

Raptem zorientował się, że to Jeffrey mija krawędź garażu i mknie w linii prostej do samochodu. Biegł zgarbiony, z neseserem w dłoni, jakby nie chciał, aby widziano go z wnętrza domu.

-To zaczyna być interesujące - szepnął Devlin.

Jeżeli będzie w stanie udowodnić, że doktor chciał uciec, jeżeli złapie go i zawlecze do więzienia, do jego kieszeni wpłyną duże pieniądze.

Nie zamykając drzwi w obawie, że Carol może usłyszeć, Jeffrey zwolnił hamulec ręczny i pozwolił, by samochód zsunął się cicho z podjazdu aż do ulicy. Uruchomił silnik i odjechał. Wyciągał szyję, żeby jak najdłużej widzieć dom, lecz żona nie ukazała się. Dopiero za latarnią zatrzasnął drzwi i zapiął pas. Wydostanie się z domu było łatwiejsze, niż przypuszczał.

Uspokoił się trochę, zanim dotarł do tłocznej Lynn Way, z mnogością samochodów i jaskrawymi neonami.

Ulgę sprawiała myśl, że wkrótce zostawi Devlina i groźbę więzienia daleko za sobą. W miarę jak zbliżał się do

Logan International Airport, powróciły wcześniejsze obawy. Dotknięcie do bolących ciągle uszu utwierdziło jednak Jeffreya w słuszności decyzji. Przysiął, że przejdzie przez to, nie zwracając uwagi na skrupuły i narastające napięcie.

Podszedł do kas, aby zmienić godzinę odlotu do Rio.

Bilet na lot międzymiastowy był ważny. Okazało się, że nocny lot do Brazylii jest dużo tańszy od popołudniowego, i dlatego otrzymał sporą refundację.

Trzymając bilet w ustach, walizkę w jednej ręce, a neseser w drugiej, poszedł w kierunku bramki kontrolnej.

Stracił przy kasie dużo czasu. Był to ostatni lot, nie mógł się spóźnić.

Postawił walizkę na taśmie urządzenia prześwietlającego bagaż. Miał już zrobić to samo z neseserem, gdy ktoś złapał go za kołnierz.

— Wyjeżdżamy na wakacje, doktoru? - spytał Devlin z uśmiechem. Wyrwał bilet lotniczy z jego ust.

Trzymając go cały czas, jednym trzepnięciem prawej ręki otworzył okładkę i przeczytał cel podróży.

— Trafiłem! - wykrzyknął na widok Rio de Janeiro.

Już widział siebie przy jednym ze stołów do gry w Vegas.

Teraz był przy forsie.

Schował bilet do kieszeni drelichowej marynarki, sięgając jednocześnie do tylnej kieszeni po kajdanki. Wzbudziło to poruszenie wśród osób stojących za Jeffreyem w kolejce do kontroli bagażu.

Znajomy widok kajdanków wyrwał go z chwilowego, oszołomienia. Nagłym, niespodziewanym ruchem zakołysał neseserem i ostrym łukiem wycelował w Devlina.

Ten, skoncentrowany na otwieraniu kajdanków, nie zauważył nadchodzącego ciosu.

Neseser uderzył w lewą skroń, nad samym uchem, powalając go na ścianę urządzenia prześwietlającego bagaż. Kajdanki brzęknęły o podłogę.

Umundurowany policjant stanowy spojrział zza wystawionej na pokaz strony Heralda, Jeffrey skoczył jak królik gnając sprintem z powrotem w kierunku poczekalni i kas biletowych.

Ucieczka przypominała bieg przelajowy. Kiedy dobiegł do połączenia hali dworcowej z głównym terminalem, zerknął do tyłu na obszar strefy kontrolnej. Dostrzegł Devlina wskazującego policjantowi w jego kierunku.

Zobaczył przed sobą ruchome schody przywożące pasażerów z niższego piętra. Rzucił się w dół, pod prąd, roztrącając ludzi i ich bagaże. Piętro niżej, na poziomie przylotów, kłębił się tłum z kilku samolotów, które właśnie wylądowały. Torując sobie drogę, okrążył strefę bagażową i wybiegł na ulicę przez drzwi otwierane fotokomórką.

Chwytając łapczywie powietrze, pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. Musiał natychmiast wydostać się z lotniska. Tylko jak? Taksówki podjeżdżały często, ale czekała na nie długa kolejka. Nie miał czasu. Mógł pobiec dalej, w kierunku parkingu, gdzie zostawił samochód.

Tam mógł czekać Devlin. Prawdopodobnie śledził go do samego lotniska.

Nagle nadjechał ciężko turkocząc autobus kursujący po lotnisku. Bez sekundy wahania wyskoczył na ulicę, stanął na jego drodze, rozkładając szeroko ręce.

Autobus zatrzymał się z piskiem hamulców. Kierowca otworzył drzwi. Gdy Jeffrey wpadł do środka kierowca powiedział:

- Panie, albo pan głupi, albo szalony. Mam nadzieję, że to głupota, bo nie cierpię wariatów na pokładzie.

Pokręcił z niedowierzaniem głową, wrzucił bieg i nacisnął pedał gazu.

Chwytając się dla utrzymania równowagi półki nad głową, zgiął się, aby wyrzeć przez okno. Zobaczył Devlina i policjanta przepychających się przez tłum otaczający bagażową karuzelę. Nie wierzył swojemu szczęściu. Nie zobaczyli go!

Zajął miejsce, stawiając na kolanach neseser. Wciąż trudem łapał powietrze. Następnym przystankiem był "Terminal Centralny", obsługujący Deltę, United i TWA. Wysiadł na nim. Wyprzedzając tłum, przebiegł obok kolejki do taksówki. I tutaj czekało sporo osób.

Wahał się przez chwilę rozważając wszystkie możliwości. Mobilizując odwagę podszedł prosto do dyspozytora.

- Jestem lekarzem, natychmiast jest mi potrzebny samochód - powiedział z tak dużą pewnością, na jaką mógł się zdobyć. Niechętnie wykorzystywał pozycję zawodową, nawet w istniejących okolicznościach.

Mężczyzna trzymający bloczek i ogyzek ołówka zmierzył go od góry do dołu. Bez słowa wskazał na następny pojazd.

Jeffrey zatrzasnął drzwi taksówki. Kierowca spojrział na niego w lusterko. Był to młody chłopak z długimi, strąkowatymi włosami.

— Dokąd?

— Wyjedź z lotniska.

— Muszę znać cel podróży, człowieku.

— W porządku. Do miasta.

— Gdzie do miasta?

— Zdecyduję, kiedy się tam dostaniemy - powiedział Jeffrey oglądając się przez tylną szybę. - Po prostu jedź!

— O Boże - wymamrotał kierowca, kręcąc z niedowierzaniem głową. Był zdenerwowany. Po pierwsze dlatego, że złapał tak krótki kurs. Czekał w kolejce pół godziny i miał nadzieję na jazdę w jakieś miejsce typu Weston. Po drugie, pasażer był dziwakiem, albo może czymś gorszym. Kiedy przejeżdżali obok samochodu policyjnego, facet położył się płasko na tylnym siedzeniu. Tego właśnie potrzebował - szaleńca z kłopotami.

Jeffrey powoli podniósł głowę, patrol musiał zostać daleko w tyle. Obejrzał się. Nikt ich nie gonił. Nie było syren ani migających świateł. Wyprostował się. Wreszcie zapadła noc. Miał przed sobą morze rozmigotane kołyszącymi się falami. Próbował zebrać myśli. Czy dobrze postąpił uciekając? Bał się Devlina panicznie, ale czy powinien uciekać, zwłaszcza że był tam policjant?

Z przerażeniem przypomniał sobie, że Devlin skonfiskował bilet, dowód, że zamierzał czmychnąć pod kaucją.

Starczało, by wpakować go do więzienia. Jaki wpływ będzie miało usiłowanie ucieczki na proces apelacyjny? Nie chciał być w pobliżu, kiedy dowie się o tym Randolph.

Nie znał się dobrze na subtelnościach przepisów prawnych, jednak aż za dobrze wiedział, że przez niepoważne i nie przemyślane zachowanie - udało mu się zmienić w prawdziwego zbiega. Teraz będzie musiał stawić czoło nowemu oskarżeniu, a może nawet całemu kompletowi oskarżeń.

Auto wjechało w tunel. Ruch był stosunkowo mały, jechali szybko. Zastanawiał się, czy powinien udać się prosto na policję. Może lepiej będzie zgłosić się i przyznać? A może powinien jechać na dworzec autobusowy i szybko wynieść się z miasta? Myślał o wypożyczeniu samochodu, uzyskałby w ten sposób większą niezależność.

Nie był to dobry pomysł, jedyne czynne o tej porze wypożyczalnie znajdowały się na lotnisku.

Nie wiedział, co począć. Każdy plan miał ujemne strony. I za każdym razem, kiedy był pewien, że dosięgnął dna, potrafił znaleźć jeszcze trudniejszą sytuację.

4

WTOREK

16 MAJA 1989 r. GODZINA 21.42

- Mam dobrą i złą wiadomość - powiedział Devlin do Michaela Mosconiego. - Którą chcesz usłyszeć pierwszą?

Dzwonił z jednego z automatów w strefie bagażowej lotniska, znajdującej się poniżej poziomu odlotów Panamu. Nie znalazł Jeffreya. Policjant oddalił się po posiłki.

— Nie mam nastroju na zabawę w zgadywanke, powiedz, co masz powiedzieć, i skończmy z tym.

— No dalej, rozchmurz się, dobra czy zła?

— Dawaj dobrą i radzę, żeby była naprawdę dobra.

— To zależy od twojego punktu widzenia. Dobra wiadomość to to, że jesteś mi winien parę dolców. Kilka minut temu zatrzymałem doktorka podczas zakotwiczania się na samolot do Rio.

— Nie, cholera!

-- Nie, cholera? Mam na dowód bilet.

— To wspaniale, Dev! - wykrzyknął podniecony Mosconi. - O Boże, kaucja tego faceta wynosi 500 000 dolarów! Byłbym zrujnowany! Jak, u diabła, to ci się udało? Uznaję twoją wyższość, jesteś cudowny!

— Oo, jak miło być kochanym, ale zapomniałeś o złej wiadomości.

— W porządku, dawaj ją!

— Nie wiem, gdzie w tej chwili znajduje się doktorek.

Przepadł gdzieś w Bostonie. Trzymałem go, ale ten skurwysyn walnął mnie swoim neseserem, zanim zdążyłem go skuć. Nigdy bym się nie spodziewał tego po lekarzu. To wszystko.

— Musisz go znaleźć! Dlaczego mu zaufałem? Chyba mi na mózg padło!

— Wyjaśniłem sytuację policji z lotniska. Będą za nim węszyć. Mam nosa, że nie będzie próbował czmychnąć drugi raz, na pewno nie z Logan. Aha, zgarnąłem jego samochód.

— Chcę tego faceta. Masz go dostarczyć prosto do więzienia. Devlin, słyszysz mnie?

— Słyszę, szefie, ale nie słyszę żadnych liczb. Co proponujesz za dostarczenie tego niebezpiecznego kryminalisty?

— Wolne żarty, Dev!

— Hej, nie żartuję. Może doktor nie jest aż tak bardzo niebezpieczny, ale chcę wiedzieć, jak ważny dla ciebie jest ten facet. Najlepiej mi to wyjaśnisz, rzucając wysokość kwoty, którą otrzymam.

— Złap go! Potem porozmawiamy o liczbach.

— Michael, masz mnie za głupca?

Nastąpiła pełna napięcia cisza. Przerwał ją Devlin.

— No to może skoczę coś przekąsić, a potem zabawię się. Do zobaczenia, koleś.

— Czeka! W porządku, pół na pół. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

— Pół na pół? To nie jest zwykła sprawa, mój przyjacielu.

— Tak, ale trudno nazwać tego faceta uzbrojonym przestępcą, mordującym z zimną krwią, tak jak ci, którymi zwykle się zajmujesz.

— Nie widzę różnicy - powiedział Devlin – jeżeli zatrudnisz kogoś innego, zażąda dziesięciu procent od całości, co wynosi pięćdziesiąt tysięcy. Coś ci powiem, znamy się od dawna, zrobię to za czterdzieści kawałków, możesz zatrzymać dziesięć za wypełnianie papierków.

— Zgoda, skurwielu, ale masz go złapać, zanim skonfiskują moje poręczenie. Zrozumiałeś?

— Będę miał kłopot z podzielnością uwagi. Zwłaszcza teraz, skoro tak bardzo chcesz być wielkodusznym.

Musimy zablokować tradycyjne wyjazdy z miasta. Lotnisko jest już obstawione, pozostał dworzec autobusowy, koleje i wypożyczalnie samochodów.

— Zawiadomię sierżanta na służbie. Dzisiaj w nocy powinien być Albert Norstadt, a więc bez problemów. Co zamierzasz zrobić?

— Zaryzykuję z domem lekarza, przypuszczam, że zostanie tam zdjęty albo zadzwoni do żony. Jeżeli zadzwoni, ona prawdopodobnie pojedzie do niego, wszystko jedno, gdziekolwiek by był.

— Kiedy go złapiesz, traktuj, jakby zamordował dwanaście osób, nie roztkliwiaj się. I jeszcze coś, Dev, dla mnie to interes. Od tego momentu nie dbam o to, czy dostarczysz go żywego, czy umarłego.

— Tak długo, jak zabezpieczysz jego pobyt w mieście, ja będę go łapał. Jeżeli będziesz miał jakieś kłopoty z policją, dzwoń do mnie, do samochodu.

Nastrój taksówkarza poprawiał się wraz ze wzrostem sumy na liczniku. Jeffrey kazał jeździć chłopakowi bez celu po Bostonie. Gdy po raz trzeci okrążali peryferie Boston Garden, licznik wskazywał trzydzieści dolarów.

Bał się jechać do domu. Z pewnością było to pierwsze miejsce, które Devlin obstawi. To samo z dworcem autobusowym i kolejowym. Przypuszczał, że władze zostały postawione w stan gotowości. Każdy policjant w Bostonie mógł go szukać.

Pomyślał, że zadzwoni do Randolpha. Zorientuje się, co prawnik jest w stanie zrobić - o ile w ogóle coś może - aby przywrócić sprawom stan sprzed incydentu na lotnisku.

Postanowił zatrzymać się w hotelu. Tanim, marnym hotelu. Te droższe i lepsze na pewno staną się obiektem poszukiwań Devlina.

Pochylając się do tafla z pleksi, oddzielającej go od kierowcy, zapytał, czy zna jakieś tanie hotele. Chłopak przez moment zastanawiał się.

- No - powiedział - jest na przykład Plymouth Hotel.

Był to zajazd dla ciężarówek.

— Coś mniej znanego. Nie dbam o dzielnicę, może być kiepska. Szukam czegoś ustronnego, nie wykazanego w spisach.

— Może Essex?

— Gdzie to jest?

-W przeciwną stronę do grzecznych dzielnic.

Essex był rudera, bardziej domu noclegowego niż hotelu. Ulubionym miejscem dzielnicowych dziwek.

— I tam są niskie ceny?

— Tak niskie, że aż strach.

— Znakomicie, jedźmy tam.

Osunął się na siedzenie. To, że nigdy nie słyszał o Essex, brzmiało obiecująco, zwłaszcza że znał okolice Bostonu od prawie dwudziestu lat, od rozpoczęcia studiów.

Kierowca skręcił w lewo, z Arlington Street w Boylston, kierując się w stronę miasta. W przeciwieństwie do spokojnego otoczenia Boston Garden, przy zasłanych śmieciami ulicach stały zniszczone budynki z licznymi sklepami porno. Na schodkach czynszowych kamienic gromadzili się bezdomni. Kiedy zatrzymali się na światłach, krostowata dziewczyna w sprośnie krótkiej sukience popatrzyła na Jeffreya i znacząco uniosła brwi. Wyglądała na nie więcej niż piętnaście lat.

Czerwony neon na froncie Essex Hotel wniósł trafną poprawkę do nazwy, zmieniając ją w SEX EL, pozostałe litery były niewidoczne. Przeżył chwilową rozterkę, widząc, jak obskurnie wygląda to miejsce. Patrząc z bezpiecznego wnętrza taksówki, uważnie lustrował brudną, ceglana fasadę hotelu. "Zniszczony" było zbyt życzliwym określeniem. Jakiś pijak, wciąż kurczowo trzymający butelkę owiniętą w papierową torebkę, leżał po prawej stronie frontowych drzwi.

-Chciałeś tani, człowieku - powiedział kierowca -masz tani.

Jeffrey wręczył mu studolarowy banknot, wyjęty z nesesera.

-Nie masz nic mniejszego?

- Nie mam czterdziestu dwóch dolarów.

Chłopak westchnął i wykonał wyćwiczony, biernie-agresywny rytuał wydawania reszty. Dał mu dodatkowe dziesięć dolarów, nie chciał zostawiać na swoim tropie niezadowolonego faceta.

Ponownie spojrzął na hotel. Po prawej stronie stał pusty budynek, którego okna, oprócz parteru, zakryte były dyktą. Na parterze znajdował się lombard i sklep video.

Po lewej wznosiła się rudera równie zniszczonego jak hotel budynku biurowego. Obok był sklep z alkoholem, z oknami zakratowanymi jak w fortecy. Sąsiadował z pustym placem zasypanym butelkami i połamanymi ceglami.

Z neseserem w dłoni i wyglądem nie przystającym do takiego miejsca, Jeffrey wspiął się po schodach i wszedł do hotelu.

Wnętrze było-tej samej klasy co otoczenie. Umebłowanie hallu stanowiła wyświechtana kanapa i pół tuzina metalowych krzeseł. Jediną dekoracją ścian był automat telefoniczny. Na drzwiach windy wisiał w poprzek napis

NIECZYNNE. Ciężkie drzwi ze zbrojoną szybą prowadziły na klatkę schodową.

Podszedł ze ściśniętym żołądkiem do recepcji.

Nędznie ubrany mężczyzna około sześćdziesiątki rzucił podejrzliwe spojrzenie zza kontuaru. Do Essex tylko handlarze narkotyków wchodzili z torbami. Recepcjonista wpatrywał się w mały ekran czarno-białego telewizora wyposażonego w przestarzałą antenę sterzącą jak uszy królika. Jego włosy były w nieładzie, a twarz pokrywał trzydniowy zarost. Na koszuli wisiał krawat, na dole poplamiony sosem.

— W czym mogę pomóc? - spytał. Wydawało się, że pomoc była ostatnią rzeczą, jaką mógł zaoferować.

— Chciałbym dostać pokój.

— Czy dokonano rezerwacji?

Jeffrey podejrzewał, że kpi. Rezerwacja w domu noclegowym jak ten? Ale nie chciał go urazić. Postanowił prowadzić grę dalej.

—



Nie, nie rezerwowałem.

— Stawki wynoszą dziesięć dolarów za godzinę lub dwadzieścia pięć za noc.

— A dwie noce?

— Pięćdziesiąt dolarów plus stawka z góry.

Jeffrey wpisał się do książki meldunkowej jako Richard Bard. Dał recepcjoniście resztę, którą otrzymał od taksówkarza, dodał piątkę i kilka jednodolarówek z portmonetki.

Dostał klucz z przymocowaną łańcuszkiem plakietą, na której wryto numer - 5F.

Kręcone schody stanowiły pierwszą i ostatnią aluzję, że budynek ten był kiedyś elegancki. Trepy stopni wykonano z białego marmuru, teraz zabrudzonego i zniszczonego. Wykutą z żelaza balustradę ozdabiałały dekoracyjne świderki i zakrętasy.

Okna pokoju wychodziły na ulicę. Jedyne oświetlenie pochodziło od czerwonego światła neonu nad wejściem, cztery piętra niżej. Po zapaleniu światła przyjrzał się swojemu nowemu mieszkaniu. Ściany nie były od wieków odnawiane. To, co kiedyś było farbą, odpadało płatami.

Trudno było z całym przekonaniem ustalić jej kolor, wydawało się, że oscylował między szarym a zielonym. Skąpe umeblowanie składało się z pojedynczego łóżka, nocnej szafki, lampki bez abażura, karcianego stolika i jednego drewnianego krzesła. Kordonkową narzutę pokrywały zielonkawe plamy. Do łazienki prowadziły drzwi z cienkiej sklejki. Wahał się przez chwilę, czy wejść, ale czy miał inny wybór? Podjął najlepszą, jedyną decyzję w swoim kłopotliwym położeniu i wprowadził ją w życie. Przekroczył próg i zamknął drzwi na klucz. Tym razem rzeczywiście sięgnął dna. Głębiej już nie mógł się pograżyć.

Położył się w poprzek łóżka, trzymając stopy na podłodze. Dopóki nie dotknął plecami materaca, nie zdawał sobie sprawy ze swojego wyczerpania. Nie miał czasu na sen.

Musiał opracować strategię działania. Najpierw kilka telefonów.

Ponieważ ten podły hotel nie miał telefonów w pokojach, zmuszony był zejść do hallu.

Wziął ze sobą neseser, nie chciał zostawiać go bez opieki nawet na chwilę.

Recepcjonista z niechęcią oderwał się od gry drużyny Red Sox, by rozmiąć pieniądze do automatu.

Zadzwoił najpierw do Randolpha Bingham. Nie musiał być prawnikiem, aby zdawać sobie sprawę, jak bardzo potrzebował porady. Kiedy czekał na połączenie, frontowymi drzwiami weszła krostowata dziewczyna, ta sama, którą widział przez okno taksówki. Prowadziła ze sobą nerwowo wyglądającego, łysego mężczyznę z przytwierdzoną do kłapy marynarki plakietką. "Cześć, jestem Harry". Jeffrey odwrócił się tyłem do recepcjonisty, nie chciał przyglądać się zawieranej tam transakcji. Usłyszał w słuchawce znajomy, arystokratyczny głos Randolpha.

-Wpadłem w tarapaty - powiedział bez przedstawiania.

Adwokat natychmiast rozpoznał jego głos. W kilku zdaniach Jeffrey opowiedział mu, co zaszło. Niczego nie pominął, nawet zaatakowania Devlina w obecności policjanta i wynikającej z tego gonitwy po dworcu lotniczym.

— Mój dobry Boże - zdołał wykrztusić Randolph, potem ze złością dodał - wiesz, że nie pomoże to w apelacji i będzie miało wpływ na sentencję.

— Tyle wiem. Nie po to dzwonię, aby usłyszeć, że jestem w kłopotach. Nie liczyłem na poradę bez korzyści.

Chcę wiedzieć, co możesz zrobić, żeby mi pomóc.

— Hmm, zanim zrobię cokolwiek, musisz zmienić postępowanie.

— Ale...  
— Żadnych ale. I tak doprowadziłeś do wyjątkowo ryzykownej pozycji w stosunku do sądu.  
— Jeżeli ujawnię się, czyż sąd nie odmówi, z największą przyjemnością, możliwości przebywania na wolności za kaucją?  
— Jeffrey, nie masz wyboru, nie możesz zrobić dokładnie nic więcej.  
Randolph mówił coś jeszcze.

-Przepraszam - przerwał mu Jeffrey - ale nie jestem przygotowany na pójście do więzienia. Pod żadnym warunkiem. Proszę, rób, co tylko możesz. Odezwę się.  
Odwiesił słuchawkę. Nie miał pretensji do Randolpha. Przypominało to sytuację dobrze znaną z medycyny - pacjent nie chce słuchać proponowanych przez lekarza zaleceń. Trzymając wciąż rękę na słuchawce, odwrócił się w stronę recepcji. Chciał zobaczyć, czy ktoś nie podsłuchiwał rozmowy. Dziewczyna z facetem zniknęła na schodach, a recepcjonista znowu przykleił wzrok do mikroskopijnego telewizora. Na kanapie, kartkując gazetę, siedział mężczyzna wyglądający na siedemdziesiątkę.  
Wrzucił monetę do automatu.

— Gdzie jesteś? - usłyszał głos Carol, gdy tylko wymamrotał stłumione "cześć".  
— Jestem w Bostonie.  
Nie zamierzał powiedzieć nic szczególnego, ale czuł, że jest jej winien tę rozmowę.  
— Dlaczego nie powiedziałeś, że opuszczasz dom?  
Byłam przy tobie przez te wszystkie miesiące i tak mi za to dziękujesz? Obszukałam wszystko, zanim zorientowałam się, że nie ma samochodu.  
— Właśnie o samochodzie muszę porozmawiać.  
— Nie interesuje mnie twój samochód.  
— Carol, posłuchaj!  
Zwijając dłoń wokół mikrofonu, zniżył głos.  
— Samochód stoi na lotnisku, na centralnym parkingu. Kwit włożyłem do popielniczki.  
— Chciałeś utracić kaucję przez konfiskatę? - spytała z niedowierzaniem. - Stracilibyśmy dom, podpisałam zastaw w dobrej wierze...  
— Są rzeczy ważniejsze niż dom! Poza tym dom lotniskowy nie jest objęty zastawem. Możesz go wziąć, jeżeli martwisz się o pieniądze.  
— Wciąż nie odpowiedziałeś. Czy zamierzałeś utracić kaucję przez konfiskatę?  
— Nie wiem.

Naprawdę nie wiedział. Ciągle nie miał czasu na przemyślenie tej sprawy.  
— Posłuchaj, samochód stoi na drugim poziomie, chcesz go zabrać, dobrze, nie chcesz, drugie dobrze.  
— Chcę porozmawiać o rozwodzie, jest już wystarczająco długo odraczany. Z takim przejęciem, z jakim traktowałam twoje problemy, chcę teraz wziąć się za swoje życie.  
— Zwracam ci je - odpowiedział zirytowany, rozłączając się na dobre.  
Zwiesił głowę. Zamierające uczucia były czymś obrzydliwym. On ucieka, a ona martwi się jedynie o pieniądze i rozwód. Pozbyła się go na dobre.  
Patrzył na telefon. Chciał zadzwonić do Kelly. Co jej powie? Przyzna się do nieudanej próby ucieczki? Nie.  
Podniósł neseser i unikając wzroku obu mężczyzn pomaszerował przez hall.

Pokonał cztery kondygnacje schodów i wrócił do przytłaczającego obskurnością pokoju. Stał przy oknie skąpanym w jarzącym, czerwonym świetle neonu. Podchodząc do łóżka zastanawiał się, czy zaśnie. Musiał działać. Wbił wzrok w neseser.

5  
WTOREK  
16 MAJA 1989 r. GODZINA 22.51

Jedynie ekran telewizora oświetlał pokój. Pistolet kaliber 45 i pół tuzina ampulek marcainy pobłyskiwały w nikłej poświacie. Na ekranie trzech Jamajczycy, będący najwyraźniej u kresu wytrzymałości, stali w ciasnym, hotelowym pokoju. Każdy z nich ścisnął w rękach AK-47, tak zwany kałasznikow, dobrą, sprawdzoną broń szturmową. Najbardziej krzepki zerknął na zegarek. Mieli zroszone potem czoła. Pełna napięcia scena na ekranie telewizora kontrastowała z donośnymi, monotonnymi rytmami reggae, rozbrzmiewającymi z radia stojącego na nocnym stoliku. Drzwi zostały wyważone. Pierwszy wpadł Crockett z lufą dziewięciomilimetrowego pistoletu automatycznego skierowaną w sufit. Jak kot, jednym susem, przyłożył broń do piersi najbliższego Jamajczyka, przerywając ciszę śmiertelnym trafieniem. Następnym dosięgnął drugiego mężczyznę. W tym momencie w drzwiach pojawił się Tubbs, w samą porę, by zająć się trzecim. Wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy. Crockett pokiwał głową. Jak zwykle ubrany był w drogą, lnianą marynarkę od Armaniego, a pod nią widać było niedbały podkoszulek.

- Dobrze zgrane w czasie, Tubbs. Miałbym trudności z zabiciem trzeciego gogusia. Gdy w końcowej scenie na ekranie pojawili się zwycięscy bohaterowie, Trent Harding dołączył do fikcyjnego towarzystwa.

- Dobra robota! - zawołał tryumfalnie.

Przemoc działała na niego pobudzająco. Identyfikował się z obrazem Dona Johnsona, który regularnie dziurawił czyjąś pierś nabojami. Czasami myślał, że powinien egzekwować prawo. Kiedy wstąpił do marynarki wojennej, chciał wybrać żandarmerię. Jednak został felczerem. Odpowiadało mu to. Wyzwanie stanowiła ogromna ilość nowych zagadnień. Usłyszał o tym pierwszy raz podczas podstawowego szkolenia. Dziwnie pociągała go perspektywa uczestniczenia w zajęciach z anatomii i pomagania chłopcom, przychodzącym po poradę.

Trent wstał z kanapy i przeszedł z salonu do kuchni.

Mieszkanie z jedną sypialnią i dwiema łazienkami było wygodne. Stać go było na lepsze, ale lubił to miejsce.

Mieszkał na najwyższym piętrze pięciokondygnacyjnego budynku na tyłach Beacon Hill. Okna sypialni i salonu wychodziły na Garden Street. Z kuchni i większej łazienki widać było dziedziniec wewnętrzny.

Wyjął z lodówki butelkę amstel lighu, odkręcił kapsel i pociągnął długi, rozkoszny łyk. Miał nadzieję, że piwo go uspokoi. Po godzinie oglądania Miami Vice był spięty i rozdrażniony. Chętnie wpadłby do jakiegoś miejscowego barku i wywołał awanturę. Znajdował zwykle jednego lub dwóch chłopaczków na Cambridge Street, doskonale nadających się do zaczepki.

Wyglądał na młodzieńca szukającego kłopotów. Widać to było po nim. Miał dwadzieścia osiem lat, krępa, muskularną budowę, utlenione na blond włosy o zupełnie płasko,

modnie obciętym czubie. Jego oczy były zimne, kryształowo niebieskie. Nad lewym okiem, aż do ucha, biegła blizna. Zawdzięczał ją obtłuczonej butelce po piwie, którą oberwał podczas bójki w barze w San Diego. Skończyło się kilkoma szwami, ale przeciwnik musiał, mieć reperowaną całą twarz. Zrobił błąd mówiąc Trentowi, że jest maminsynkiem. Za każdym razem, gdy wspominał ten epizod, krew gotowała się w żyłach.

Skóra cierpła mu na myśl o codziennej, cholernej harówce.

Wrócił przez salon do sypialni i postawił piwo na telewizorze. Pistolet kaliber 45 był łapówką od marynarzy za amfetaminę. Idealnie pasował do jego dużej dłoni. Chwytnąjąc go oburącz skierował lufę prosto w ekran telewizora. Zataczając kółeczka przesunął broń, celując przez otwarte okno.

Po drugiej stronie ulicy kobieta otwierała okno sypialni.

- Nie masz szczęścia, dziecino - wyszeptał.

Opuszczając lufę, dokładnie ustawił przyrządy celownicze, mierząc w tułów kobiety.

Powoli, rozważnie nacisnął zimny metal języka spustowego.

Gdy mechanizm szczęknął, Trent wykrzyknął "paff", pozorując odskok pistoletu w powietrzu na skutek odrzutu. Uśmiechnął się. Mógł łatwo przedziurawić kobietę, gdyby włożył nabój. Oczami wyobraźni widział ją powaloną na plecy w mieszkaniu, ze zgrabną dziurką w piersiach i wyciekającą stróżką krwi. Położył pistolet na telewizorze, obok butelki z piwem.

Wziął z biurka ampulkę marcainy. Podrzucił ją nad głowę, łapiąc obydwoma rękami za plecami. Wolno wrócił do kuchni, by wydobyć ze skrytki potrzebne przybory.

Otworzył wiszącą szafkę obok lodówki.

Zdjął szklanki z półki. Delikatnie uniósł prostokąt sklejki, maskujący sekretną kryjówkę - małą niszę w przestrzeni między tyłem szafki a zewnętrzną ścianką.

Wyjął z niej samotną fiolkę wypełnioną żółtym płynem i opakowanie strzykawek z igłami.

Fiolkę kupił w Miami, od Kolumbijczyka. Strzykawki zawdzięczał pracy w szpitalu.

Wyciągnął spod zlewu małą butlę gazową i wszystko zaniósł do salonu.

Pociągnął jeszcze jeden łyk piwa. Ustawił butlę gazową na małym trójnogu, przechowywanym pod łóżkiem.

Spokojnie zapalił papierosa.

Podpalił palnik. Po nabraniu małej ilości płynu podgrzał czubek igły, aż rozgrzał się do czerwoności.

Trzymając igłę nad płomieniem, wziął ampulkę marcainy, podgrzewając jej wierzchołek do czasu, aż również zrobił się czerwony. Zręcznym ruchem wepchnął gorącą igłę w roztopione szkło, umieszczając w ampulce kroplę żółtego płynu. Następna operacja wymagała największej wprawy. Zaczął obracać fiolkę, wsuwając jej koniuszek z powrotem w najgorętszą część płomienia. Trzymał ją tam przez kilka sekund, wystarczająco długo, by miejsce po nakłuciu zmiękło i zlepilo się. Ciągłe obracał ampulkę, aż szkło zdecydowanie oziębilo się.

- A niech to szlag trafi - powiedział na widok mikroskopijnego dołeczka na samym koniuszku, który spowodował niepożądane skrócenie ampulki. Nie mógł ryzykować pozostawienia takiej wady. Jeżeli ktoś, superostrożny zauważy, wyjdzie na jaw, że fiolka jest uszkodzona, albo jeszcze gorzej - może coś podejrzewać. Rozgoryczony cisnął ampulkę do kosza.

Co za pech, pomyślał biorąc następną. Musiał próbować dalej. Coraz bardziej zdenerwowany powtarzał te same czynności, przeklinając wściekle, kiedy druga, a nawet trzecia próba zakończyła się niepowodzeniem. Wreszcie, za czwartym razem miejsce przebicia zostało odpowiednio zalane, zagięty koniuszek osiągnął gładki, półkolisty kształt.

Kontrolował uważnie ampulkę, patrząc na nią pod światło. To co zrobił, było bliskie perfekcji. Musiał bardzo dokładnie przyglądać się, aby dostrzec miejsce przekłucia szkła. Pomyślał, że ta jest wykonana najlepiej ze wszystkich, które zrobił dotychczas.

Opanowanie tak trudnego procesu dawało ogromną satysfakcję. Kiedy kilka lat temu wpadł na ten pomysł, nie miał pojęcia, czy zadziała. Tracił całe godziny na to, co teraz zajmowało parę minut.

Trent odłożył fiolkę z żółtym płynem, pistolet i pozostałe ampulki do schowka. Umieścił na swoim miejscu fałszywy tył szafki, a szklanki postawił na półce.

Kilkakrotnie mocno potrząsnął sfalszowaną ampulką marcainy. Kropla żółtego płynu dość długo nie rozpuszczała się. Odwrócił ampulkę do góry dnem, sprawdzając jej szczelność. Miejsce przekłucia było hermetyczne.

Podniecony myślał, że już niedługo w St. Joseph's Hospital zobaczą efekty jego pracy. Chodziło przede wszystkim o zarozumiałych lekarzy, o spustoszenie, jakie wywoła w tym wyniosłym środowisku. W najśmielszych marzeniach nie przewidywał tak pomyślnego obrotu spraw.

Nienawidził lekarzy. Zachowywali się jak wszystkowiedzący, szczególnie w marynarce wojennej. Przeważnie wiedział dwukrotnie więcej, a musiał wykonywać ich rozkazy. Szczególnie wściekał się na wspomnienie świętstwa pewnego lekarza, który puścił go kantem za przywłaszczenie kilku amfetamin. Co za hipokryzja! Wszyscy doskonale wiedzą, że lekarze latami kradną medykamenty, narzędzia. Nie gardzą żadnym łupem. Natknął się też na lekarza zboczeńca, skarżącego się dowódcy Trenta na jego rzekomo homoseksualne zachowanie. Miarka się przebrała. Zamiast stawać przed sądem wojskowym lub poddać się nie wiadomo jakim planom przełożonych Trent wystąpił z marynarki.

I tak zdążył zdobyć odpowiednie przeszkolenie, nie miał żadnych kłopotów w podjęciu pracy pielęgniarsza.

Przy powszechnym niedoborze personelu medycznego okazało się, że może dostać pracę, gdzie tylko sobie życzy. Chciał go każdy szpital, zwłaszcza że odpowiadała mu praca na bloku operacyjnym. Jeszcze w marynarce zdobył doświadczenie w tej dziedzinie.

Jedynym zmartwieniem podczas pracy w cywilnym szpitalu, pomijając lekarzy, był personel pielęgniarski.

Zdarzały się osoby prawie tak złe jak lekarze. Były to przede wszystkim przełożone.

Zawsze próbowały powiedzieć coś, co już doskonale wiedział. Nie denerwowały go jednak na równi z lekarzami, którzy sprzysięgli się, aby ograniczyć jego niezależność znaną mu z pracy w marynarce wojennej.

Włożył sfalszowaną ampulkę marcainy do kieszeni białego, szpitalnego ubrania, wiszącego w szafie w przedpokoju. Rozmyślając o pozycji w szpitalu, przypomniał sobie doktora Doherty. Na myśl o tym mężczyźnie zacisnął zęby. Ale to nie wystarczyło. Nie był w stanie nad sobą zapanować. Trzasnął drzwiami szafy z siłą, która wprawiała w drganie nieomal cały budynek. Tego dnia Doherty odważył się skrytykować Trenta przy kilku

pielęgniarkach. Zwrócił uwagę na, jak się wyraził, sfuszerowaną technikę aseptyczną. Kretyn, który ani nie wkładał sterylnego czepka, ani nie potrafił odpowiednio założyć maseczki chirurgicznej! Nawet nosa nie zakrywał! Trent był wściekły.

-Mam nadzieję, że ampułka dostanie się tobie, Doherty- warknął.

Niestety nie było sposobu, aby mieć tę pewność.

Szansa kształtowała się jak jeden do dwudziestu, chyba że poczeka, aż Doherty zostanie wyznaczony do wykonania znieczulenia zewnątrzoponowego.

-Och, kto-by się tym przejmował - machnął ręką odpędzając pomysł. I tak będzie dobra zabawa, wszystko jedno, kto dostanie ampułkę.

Chociaż obecna rola zbiega wzmagała niezdecydowanie Jeffreya, nawet przez ułamek sekundy nie wracał myślami do samobójstwa. Nie wpadał w depresję. Logiczne było, że po nowych wydarzeniach niepokoiła go możliwość nadejścia kolejnej fali załamania. Postanowił definitywnie skończyć z pokusą. Wyjął z nesesera ampułkę morfiny, odłamał końcówkę i wylał zawartość do sedesu.

Jego samopoczucie poprawiło się. Panował nad sobą.

Zajął się przepakowywaniem zawartości nesesera. Ułożył pieniądze równo na dnie, przykrywając bielizną. Przełożył drobiazgi z harmonijkowego schowka, pod wiekiem nesesera, aby zrobić miejsce na notatki Chrisa. Posegregował je według rozmiarów. Część pisana była na papierze notatnikowym z nadrukiem u góry "Z biurka Christophera Eversona", inne na kartkach żółtego papieru używanego w sądzie.

Bezmyślnie przeglądał zapiski. Cieszyła go każda czynność odsuwająca umysł od bieżących kłopotów.

Po powtórным przeczytaniu historia Henry'ego Noble'a wydała się szczególnie fascynująca. Uderzające podobieństwa między przypadkiem Chrisa i jego własnym z Patty Owen dotyczyły przede wszystkim początkowych symptomów. Zasadnicza różnica leżała w bardziej gwałtownej reakcji Patty. Ponieważ zarówno u Chrisa, jak i u niego w grę wchodziła marcaina, fakt, że symptomy były podobne, nie stanowił niespodzianki. Niezwykle wydawało się to, że w obydwu sytuacjach początkowe objawy nie były takie, jakich można spodziewać się w paradoksalnej reakcji na środek do miejscowego znieczulenia. Będąc od wielu lat praktykującym anestezjologiem, Jeffrey znał dobrze różne rodzaje symptomów pojawiających się, gdy pacjent nie toleruje leku do znieczulenia miejscowego.

Problemy pojawiały się, gdy duża dawka docierała do strumienia krwi, atakując serce albo system nerwowy.

Zwykle atakowany był system centralny lub autonomiczny, poprzez stymulację albo depresję czy kombinację obydwu.

Wszystkie reakcje były rozległe, uczył się o nich, z niektórymi spotkał się w praktyce lub znał je ze słyszenia. Żadna z nich nie była taka, z jaką spotkał się u Patty Owen - nie powodowała nadmiernego ślinienia, łzawienia, nagłego pocenia, bólu brzuszno-oraz zwięzonych źrenic. Niektóre z nich mogły wystąpić przy reakcji uczuleniowej na lek, ale na pewno nie z przedawkowania. Nie miał powodu, aby nie wierzyć w wyniki badań, wykluczające uczulenie pacjentki na marcinę.

Sądząc po notatkach Chris był podobnie zagubiony.

Napisał, że symptomy, które wystąpiły u Henry'ego Noble'a, okazały się bardziej muskarynowe niż cokolwiek innego, mając na myśli rodzaj tych, których spodziewał się

podczas pobudzenia części przywspółczulnego układu nerwowego. Symptomy nazywano muskarynowymi, ponieważ odzwierciedlały efekt działania medykamentu zwanego muskaryną, pochodzącego od pewnego rodzaju grzybów.

Jednak przy zastosowaniu środka do znieczulenia miejscowego takiego jak marcaina nie było przewidziane pobudzenie układu przywspółczulnego. Dlaczego wystąpiły symptomy muskarynowe? Istna łamigłówka.

Zamknął oczy. Choć znał podstawy, wiele fizjologicznych detali uleciało mu z pamięci. Wiedział aż za dobrze, że leki do znieczulenia miejscowego działają na współczulną część układu autonomicznego, a nie przywspółczulną, tak jak stało się w obydwu przypadkach. W tej chwili nie potrafił jednoznacznie tego wyjaśnić.

Koncentrację Jeffreya przerwały głucho uderzenia dochodzące zza ściany, po których nastąpiły przesadne jęki symulowanej ekstazy. Przed oczami stanął mu przykry widok krostowatej dziewczyny z łysym mężczyzną. Jęczenie osiągnęło szczyt, a potem zaczęło cichnąć.

Podszedł do okna, by się przeciągnąć. Znowu stał skąpany w czerwonym świetle neonu. Grupka bezdomnych dreptała w miejscu, na prawo od wejścia hotelowego, prawdopodobnie przed sklepem alkoholowym. Kilku złodziei rozpracowywało ulicę. Z boku stali młodzi chuligani, zachowywali się tak, jakby mieli zastrzeżone prawo przechadzania się w tym obrębie. Nie potrafił odpowiedzieć, czy byli stręczycielami, czy sprzedawcami narkotyków. Co za towarzystwo, pomyślał.

Odszedł od okna, dosyć się już napatrzył. Notatki Chrisa leżały porozrzucane na łóżku. Jeffrey spróbował zrewidować listę niepomysłnych zbiegów okoliczności dotyczących Noble'a i Owen. Jeszcze raz skoncentrował uwagę na przypuszczeniu, które tak pochłonęło Chrisa - możliwość zanieczyszczenia marcainy. Zakładając, że obydwaj nie popełnili karygodnego błędu medycznego, na przykład użycia w przypadku Patty Owen marcainy 0,75%, która została znaleziona w odpadkach, i w świetle faktu, że pacjenci mieli niespodziewane symptomy przywspółczulne, bez reakcji alergicznych, teoria Chrisa o zanieczyszczeniu była logiczna i słuszna.

Wracając do okna zastanawiał się, jakie mogą być następstwa przyjęcia za pewnik zanieczyszczenia marcainy.

Jeżeli będzie w stanie udowodnić tę teorię, zrobi duży krok w kierunku uwolnienia się od odpowiedzialności za śmierć Patty Owen. Wina spadnie na przedsiębiorstwo produkujące lek. Nie był pewien, w którą stronę obróci się skomplikowana machina prawa, jeżeli słuszność teorii zostanie udowodniona. Po pierwszych potyczkach z systemem prawnym zdawał sobie sprawę, że zwrot będzie powolny. Może Randolph znajdzie sposób na zmuszenie mechanizmu do szybszego obrotu. Uśmiechnął się do myśli - może ocali życie i karierę zawodową? Ale jak udowodnić, że w ampulce użytej dziewięć miesięcy temu było zanieczyszczenie?

Nagle doznał olśnienia. Rzucił się do notatek, by ponownie przeczytać opis przypadku Noble'a. Chodziło o fragment, w którym Chris pisał o pierwszym podaniu środka znieczulającego.

Chris nabrał dwa centymetry marcainy z 30-centymetrowej ampulki do dawki testowej, dodając samodzielnie 1:200 000 epinefryny. Dziwne reakcje pacjenta zaczęły się wkrótce po wstrzyknięciu dawki testowej. U Patty Owen Jeffrey użył nowej, 30-centymetrowej ampulki marcainy, dopiero na sali operacyjnej. Właśnie po tej marcainie wprowadzonej do organizmu pacjentki zaczęły się odwrotne reakcje. Tak jak miał w zwyczaju, użył do dawki testowej oddzielnej, dwucentymetrowej ampulki. Jeżeli marcaina rzeczywiście

była zanieczyszczona, dotyczyło to, w obu przypadkach, 30-centymetrowych ampulek. Znaczyło to, że Patty otrzymała znacznie większą dawkę niż Noble pełną terapeutyczną dawkę, w przeciwieństwie do dwucentymetrowej dawki testowej. Wyjaśniało to, dlaczego jej reakcja była o wiele silniejsza od reakcji Noble'a i dlaczego mężczyźnie udało się przeżyć jeszcze tydzień.

Po raz pierwszy od miesiący dojrzał iskierkę nadziei.

Dawne życie nie odeszło zbyt daleko, mógł je zawrócić.

Nigdy nie zastanawiał się nad możliwością zanieczyszczenia. Teraz wyglądało to całkiem realnie. Zebranie dowodów wymagało czasu i poważnego wysiłku. Od czego zacząć?

Przede wszystkim potrzebuje więcej informacji. Będzie musiał przebić się przez farmakokinetykę leków do znieczuleń miejscowych i fizjologię autonomicznego systemu nerwowego. Było to względnie łatwe.

Potrzebował tylko książek. Najtrudniejszą sprawę stanowiło wyszukanie rodzaju zanieczyszczenia. Potrzebował dostępu do pełnego raportu patologicznego Patty Owen. Zapoznał się tylko z jego częścią, podczas wstępnego dochodzenia. Pozostało jeszcze pytanie Kelly - jak fiołka marcainy 0,75% znalazła się w pojemniku na odpadki zestawu urządzeń do pełnej anestezji.

Zbadanie tych zagadnień byłoby trudne, nawet w naj- bardziej sprzyjających okolicznościach. Teraz, kiedy udowodniono mu morderstwo i jest zbiegiem, było to praktycznie niemożliwe. Musi dostać się do Boston Memorial.

Jak to zrobić?

Poszedł do łazienki. Stojąc przed lustrem, badał rysy twarzy w bezlitosnym, jarzeniowym świetle. Czy może na tyle zmienić wygląd, by stać się nierozpoznawalnym? Ze szpitalem związany był od czasów sekretarzowania podczas studiów medycznych. Setki ludzi zna go z widzenia.

Przyłożył rękę do czoła, odgarniając do tyłu jasnobrązowe włosy. Przegarnął je, przerzucając większość na prawą stronę. Czoło jakby poszerzyło się. Nigdy nie używał okularów. Może powinien się o nie postarać? Przez wszystkie lata pracy w Boston Memorial nosił wąsy. Zgoli je!

Ogarnięty tą intrygującą myślą poszedł do pokoju po przybory toaletowe. Wrócił przed lustro i po namydleniu szybko zgolił wąsy. Czuł się dziwnie obco, przesuwając językiem po nagiej, górnej wardze. Następnie zaczesał do tyłu zmoczone włosy, odsłaniając całe czoło. Dodało mu to odwagi - już zaczynał wyglądać inaczej. Zgolił jeszcze i tak niezbyt długie baki. Różnica nie była duża, dokonał -jednak wszelkich możliwych poprawek. Czy to wystarczy, aby przejść nie zauważonym obok innych lekarzy? Potrzebował jeszcze karty identyfikacyjnej. Szpital miał od lat dobrą ochronę. Złapią go natychmiast, jeżeli nie pokaże znaczka identyfikacyjnego. Potrzebne też było zezwolenie, takie jak mieli lekarze, gwarantujące dostęp do wszystkich zakamarków szpitala.

Myślał intensywnie. Nie tracił nadziei. W szpitalu była jeszcze jedna grupa pracowników, mająca wstęp właściwie wszędzie - personel porządkowy. Nikt nie kwestionował obecności sprzątających. Spędzając wiele nocy w szpitalu pamiętał, że można ich było spotkać w każdym miejscu. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Wiedział również, że od godziny dwudziestej trzeciej do siódmej rano pracowała zmiana sprzątaczy zwanych



mentarnymi. Była to ciężka zmiana, ale idealnie pasująca do jego sytuacji. Doszedł do wniosku, że o tej porze byłby najmniej narażony na stykanie się z ludźmi, którzy go znali. W ciągu ostatnich paru lat pracował głównie w dzień.

Podniecony nowymi perspektywami, tęsknił, by natychmiast rozpocząć realizację planów. Oznaczało to wycieczkę do biblioteki. Jeżeli wyjdzie teraz, zostanie godzina do jej zamknięcia. Wsunął notatki Chrisa do nesesera i zamknął wieko.

Schodząc po schodach zawahał się. Stęchły, kwaśny zapach przypomniał mu o Devlinie.

Pamiętał jego oddech, kiedy złapał go na lotnisku. Wprowadzając swój plan w życie zapomniał uwzględnić w nim Devlina. Wiedział co nieco o płatnych łowcach kaucji.

Niewątpliwie był on jednym z nich. Nie miał żadnych złudzeń co do tego, jak skończyłoby się ich spotkanie, zwłaszcza po epizodzie na lotnisku. Po chwili niezdecydowania,

pogodzony z tym, co może nastąpić, ruszył schodami w dół. Jeżeli miał zamiar coś wyjaśnić, musiał wykorzystać każdą szansę, będąc jednocześnie czujnym, dla własnego bezpieczeństwa. Poza tym powinien przygotować się, mimo wszystko, na spotkanie z Devlinem. W hallu na dole nie było już mężczyzny oglądającego czasopisma.

Recepcjonista wciąż wpatrywał się w mecz w telewizorze. Jeffrey wymknął się na zewnątrz nie zauważony. Dobry znak, zażartował. Pierwsza próba w pozostaniu nie zauważonym powiodła się. A ponadto nie opuściło go jeszcze poczucie humoru.

Wesołość, jaką z trudem przywołał, pierzchła natychmiast, gdy dokonał przeglądu scenerii ulic. Poczul przyływ obezwładniającej paranoi uprzytamniając sobie podwójną prawdę - jest uciekinierem i niesie prawie czterdzieści pięć tysięcy dolarów w gotówce. Dokładnie po przeciwnej stronie ulicy, w cieniu korytarza opuszczonego budynku, dwóch mężczyzn paliło crack.

Ściskając mocniej neseser, zszedł po frontowych schodach hotelu Essex. Ominął biedaka, który leżał wciąż w "niedbalej pozie na chodniku, ściskając w dłoni butelkę zapakowaną w brązową torebkę. Zamierzał przejść pięć lub sześć przecznic, do Lafayette Center, i tam, w okolicy dobrych hoteli, złapać taksówkę.

Kiedy znalazł się na wysokości sklepu monopolowego, dostrzegł jadący z przeciwka samochód policyjny. Bez zastanowienia wszedł do sklepu. Wydawało się szaleństwem, że nie wie, kogo bardziej się obawia - ludzi na ulicy czy policji.

— Czym mogę służyć? -- spytał zza lady brodaty mężczyzna. Wóz policyjny zwolnił i przejechał dalej. Odetchnął. To nie było takie proste.

— Czym mogę panu służyć? - powtórzył sprzedawca.

Kupił butelkę wódki. Na wypadek gdyby policja krążyła w pobliżu, chciał, żeby wizyta w sklepie była uzasadniona. Nie było to potrzebne. Kiedy wychylił się ze sklepu, stwierdził, że samochód policyjny zniknął z pola widzenia. Z ulgą poszedł w prawą stronę. Musiał się pośpieszyć. Ale nie uszedł daleko. Właściwie po kilku krokach wpadł na bezdomnego mężczyznę, którego widział przedtem. Wystraszony, uniósł prawą rękę, by ochronić się przed atakiem.

-Dostałeś jakąś resztę, bracie? - spytał niewyraźnie facet. Był pijany. Tuż przy skroni widoczne było świeże skaleczenie. Jedno szkło przyćmionych okularów było popękane.

Odskoczył od napastnika. Był mniej więcej wzrostu Jeffrey'a, z ciemnymi, prawie czarnymi włosami. Jego twarz pokrywał silny zarost. Ale uwagę przykuwało coś innego - ubranie mężczyzny. Miał na sobie podarty garnitur, uzupełniony błękitną, oksfordzką koszulą - brudną i poplamioną, bez kilku guzików. Do tego dopasowany był uczelniany, prążkowany krawat, rozluźniony przy kołnierzyku i nakrapiany zielonymi plamami.

Jeffrey odniósł wrażenie, że ten człowiek wybrał się pewnego dnia do pracy i nigdy nie wrócił do domu.

- Coś nie tak? - spytał mężczyzna załamując pijany głos. - Nie mówisz po angielsku? Sięgnął do kieszeni po resztę ze sklepu monopolowe- go. Wkładając pieniądze w dłoń mężczyzny obserwował jego twarz. Szkliste oczy wyglądały na życliwe. Ciekawe: co doprowadziło tego człowieka do tak rozpaczliwego stanu? Odczuwał osobliwe pokrewieństwo z tym osobnikiem i jego nieznanymi kłopotami. Wstrząsnął się na myśl, jak cienka linia odgradza go od podobnego losu.

Porównanie było tym łatwiejsze, że mężczyzna wydawał się zbliżony wiekiem.

Tak jak się spodziewał, łatwo złapał taksówkę przy drogim hotelu. Po piętnastu minutach wchodził do biblioteki medycznej. Było kilka minut po dwudziestej trzeciej.

Czuł się jak w domu wśród książek i wąskich kabin do pracy. Skorzystał z jednego z komputerowych katalogów - wyszukał numery porządkowe książek z zakresu fizjologii autonomicznego systemu nerwowego i farmakologii znieczuleń miejscowych. Z książkami pod pachą poszedł do jednej z kabin i zamknął drzwi. Po chwili pochłonęły go zawilości przewodzenia nerwowego.

Bardzo szybko zrozumiał, dlaczego Chris podkreślił słowo "nikotynowy". Na ogół ludzie znają nikotynę jako aktywny składnik papierosów. W rzeczywistości jest to narkotyk, a bardziej specjalistycznie - trucizna, która powoduje pobudzenie, a następnie blokadę autonomicznego zwoju nerwowego. Wiele symptomów działania nikotyny jest takich samych jak te, które powoduje muskaryna: ślinienie, pocenie, ból brzuszny i łzawienie - identyczne symptomy wystąpiły u Patty Owen i Noble'a. Co więcej, w zadziwiająco niskim stężeniu, nikotyna powoduje śmierć.

Wszystko to znaczyło, że zanieczyszczenie musiało być mieszaniną odpowiadającą środkom do znieczuleń miejscowych do tego stopnia, jak coś w rodzaju nikotyny.

Ale to nie mogła być nikotyna, myślał. Toksykologiczny wynik sekcji Noble'a był negatywny. Nikotyna została wykazana.

Jeżeli rzeczywiście istniało zanieczyszczenie, musiało być w ekstremalnie małej ilości.

Idąc dalej tym tokiem rozumowania, było nadzwyczaj silne. Nie miał pojęcia, co to mogło być. Ale podczas lektury natknął się na coś, co pamiętał jeszcze z czasów studiów - toksynę Botulinum, jedną z najbardziej trujących substancji znanych ludziom.

Odzwierciedlała środki do znieczuleń miejscowych w zdolności "zamrażania" błon komórek nerwowych w złączach, ale wyniki działania tej substancji były totalnie różne - blokowała efekty muskarynowe, a nie pobudzała.

Zanim się zorientował, zaczęto zamykać bibliotekę na noc. Wolno składał notatki Chrisa Eversona, dołączając do nich swoje, które właśnie zrobił. Niosąc książki w jednej ręce, a neseser w drugiej, zszedł na dół, na pierwsze piętro. Zostawił je na ladzie.

Nagle stanął jak wryty.

Ludzie przed nim zatrzymywani byli przez strażnika w celu sprawdzenia plecaków i toreb. Była to rutynowa praktyka, stosowana dla zmniejszenia do minimum kradzieży książek, ale była to praktyka, o której zapomniał.

Ze strachem myślał, jak zareaguje strażnik na widok paczek studenckich banknotów. Tym bardziej że były ustawione grzbietami do góry.

Wycofał się do działu periodyków i wszedł do pierwszego, osłoniętego na wysokość ramion miejsca. Otworzył neseser i zaczął upychać paczki banknotów do kieszeni. Z marynarki wyciągnął butelkę wódki, robiąc tym samym miejsce dla pieniędzy. Butelkę

włożył do nesesera, lepiej będzie, jeżeli strażnik weźmie go za pijaka, niż sprzedawcę narkotyków lub złodzieja.

Opuścił bibliotekę bez żadnego incydentu. Miał wrażenie, że przyciąga uwagę wybrzuszonymi kieszeniami, ale w tej chwili nie mógł nic na to poradzić.

O tej porze nocy, na Huntington Avenue, taksówka była praktycznie nie do zdobycia. Po dziesięciu minutach nadjechała kolejka zielonej linii. Wsiadł, czując, że dużo rozsądniej będzie znajdować się w ruchu.

Zajął miejsce bokiem do kierunku jazdy, neseser ulokował na kolanach. Uwierały go paczki pieniędzy schowane w kieszeniach spodni. Zaczął rozglądać się dookoła. Zgodnie z doświadczeniami, jakie wyniósł z metra bostońskiego, nikt nie mówił ani słowa. Ludzie patrzyli przed siebie oczami bez wyrazu, jak w transie. Napotykał tylko wzrok pasażerów siedzących naprzeciwko, ale ci posepnie odwracali spojrzenia, jakby był przezroczysty. Zdumiewające, jak wielu z nich wyglądało w jego wyobraźni na kryminalistów.

Przymknął oczy, przebiegając w myślach materiał poznany w bibliotece i rozważając go w świetle swoich tragicznych doświadczeń z Patty Owen, a także Chrisa z Noble'em.

Zaskoczony był jednym fragmentem informacji dotyczącym znieczuleń lokalnych. W rozdziale zatytułowanym "Reakcje paradoksalne" przeczytał, że sporadycznie występuje zwężenie źrenic. Było to dla Jeffreya czymś nowym. Wyłączając Owen i Noble'a, nigdy tego nie widział i nigdy przedtem o tym nie czytał. Nie znał żadnego wyjaśnienia fizjologicznego mechanizmu, sam nie był w stanie tego wytłumaczyć. Dalej, w tym samym rozdziale, przeczytał, że widoczne jest zwykle rozszerzenie lub powiększenie źrenic. Skoncentrował się na problematycznych rozmiarach źrenic. Nie miało to zbyt dużego sensu, spowodowało jeszcze większy zamęt.

Kiedy wagonik metra wjechał pod ziemię, wystraszyła go nagła zmiana odgłosów. Z przerażeniem otworzył oczy. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo stał się nerwowy. Głębokie, równomierne oddechy powoli przywróciły mu spokój.

Po kilku minutach wrócił myślami do fatalnych przypadków. Uprzytomnił sobie, że istniało jeszcze jedno podobieństwo, którego do tej pory nie brał pod uwagę.

Henry Noble był sparaliżowany, kiedy przez tydzień utrzymywał się przy życiu.

Wyglądało to tak, jakby miał nieodwracalne znieczulenie rdzeniowe. Ponieważ Patty zmarła, nie mógł przewidzieć, czy byłaby sparaliżowana.

Ale jej dziecko przeżyło dotknięte paraliżem szczątkowym. Przypuszczano, że wywołało go niedotlenienie mózgu. Teraz nie miał tej pewności. Zawsze zastanawiało go to osobliwe, asymetryczne rozmieszczenie. Może ten paraliż stanowił dodatkową wskazówkę pomocną w zidentyfikowaniu zanieczyszczenia.

Wysiadł z metra przy Park Street i wspinał się po schodach. Omijając z daleka kilku policjantów pospieszył w dół Winter Street, zostawiając zatłoczoną okolicę w tyle. Coraz poważniej myślał o dostaniu się do Boston Memorial Hospital i o dokończeniu czytania.

Pomysł przekwalifikowania się na sprzątacza miał wiele zalet, ale pociągał za sobą jeden problem – aby złożyć podanie o pracę, musiał zapewnić sobie pewien rodzaj identyfikacji, tak dobry, jak na przykład ważny, pewny numer ubezpieczenia socjalnego. Wiedział, że w dobie komputerów nie może spodziewać się przyjęcia z podrobionym dokumentem.

Zmagając się z tym problemem wszedł w ulicę, przy której stał Essex Hotel. Nie dochodząc do nadal otwartego sklepu monopolowego, zatrzymał się. Przypomnił sobie mężczyznę w porwanym garniturze, odpowiadającego mu mniej więcej wiekiem i wzrostem.

Przecinając ulicę, zbliżył się do pustej parceli obok sklepu z alkoholem. Strategicznie ulokowana lampa uliczna rzucała kawał dobrego światła. Blżej niż w połowie drogi do placu z jednego z graniczących z nim budynków sterczał betonowy nawis, przypominający starą rampę towarową. Widać było siedzących na niej ludzi i kilku pijanych leżących na ziemi.

Jeffrey przystanął. Słyszał rozmowy. Przewyciężając strach ruszył w kierunku grupy. Stąpając ostrożnie po potłuczonych ceglach, zbliżył się do rampy.

Zaatakował go cuchnący odór nie mytych ciał. Rozmowa urwała się.

Kilka par kaprawych oczu przyglądało się mu w częściowej ciemności.

Czuł, że jest nieproszonym gościem w tym innym świecie. Z rosnącym niepokojem wypatrywał mężczyzny w porwanym ubraniu, przenosząc szybko spojrzenie z jednej ciemnej postaci na drugą. Co robi, jeżeli nagle skoczą na niego?

W końcu dojrzał człowieka, którego szukał. Był jednym z siedzących w półokręgu.

Zmuszając się do zrobienia kroku, zbliżył się. Nikt nie powiedział ani słowa.

W powietrzu wisiał tak silny ładunek oczekiwania, że lada iskierka mogła spowodować eksplozję. Wszystkie oczy patrzyły na niego.

— Jak się masz - powiedział cicho Jeffrey, kiedy znalazł się naprzeciwko swojego człowieka. Mężczyzna nie poruszył się.

— Pamiętasz mnie? - brzmiało to idiotycznie, ale nie był w stanie nic innego wymyślić. - Dałem ci trochę drobnych, mniej więcej godzinę temu, tam z tyłu, przed sklepem monopolowym - wskazał przez ramię.

Mężczyzna nie odpowiadał.

-Pomyślałem, że potrzebujesz więcej.

Sięgnął do kieszeni i przesuwając paczkę studolarowych banknotów dotarł do drobnych. Pokazał je. Mężczyzna wychylił się i wziął monety.

— Dzięki, bracie.

— Mogę dać więcej - powiedział Jeffrey. - Właściwie to mam tutaj pięci dolarowy banknot i mogę się o niego założyć, iż jesteś tak pijany, że nie pamiętasz numeru swojego ubezpieczenia socjalnego.

— O so si chozi? - wybełkotał mężczyzna, usiłując stanąć na nogi. Dwaj inni poszli za jego przykładem.

Znajomy Jeffreya chwiał się, jak gdyby chciał upaść.

Okazał się bardziej pijany niż przedtem.

— 139-32-1560 - taki jest mój numer ubezpieczenia.

— Tak, na pewno - powiedział Jeffrey, zbywając to, co usłyszał, machnięciem ręki. - Właśnie go wymyśliłeś.

— Nie, do cholery! - odpowiedział pijany z oburzeniem. Rozpaczliwym ruchem, który prawie zwałił go z nóg, sięgnął po dokumenty. Zatoczył się znowu, szamocząc się z kieszenią, w której trzymał portfel. Kiedy już mu się udało, gmerał w nim, niezdarnie, aż wyciągnął prawo jazdy. Podczas szamotaniny portfel wypadł mu z rąk.

Jeffrey podniósł go. Przy okazji zauważył, że nie ma w nim pieniędzy.

— Popatrz tutaj, tak jak mówiłem... – powiedział pijany podając mu prawo jazdy i odbierając pusty portfel.

Nie można było dostrzec numeru, ale nie o to chodziło.

-Daję słowo, podejrzewałem, że masz rację - powiedział Jeffrey po udawanym przestudiowaniu dokumentu.

Wręczył pięciodolarowy banknot mężczyźnie, który ten chwycił łapczywie. Ale ktoś inny wyrwał mu go z ręki.

-Dawaj Fól - ryknął poszkodowany.

Jeffrey sięgnął natychmiast do kieszeni i wyciągnął więcej monet.

-Reszta dla wszystkich! - krzyknął i rzucił pieniądze na ziemię. Brzęknęły o potłuczone cegły.

Powstał tumult. Wszyscy rzucili się w ciemności na kolana. Wykorzystał zmianę sytuacji, odwrócił się i oddalił tak szybko, jak tylko pozwoliła mu na to odwaga.

Gdy znalazł się w swoim pokoju, oparł prawo jazdy o brzeg umywalki i porównał fotografię ze swoim wizerunkiem. Nos był zupełnie inny. Na to nic nie można było poradzić. Ale jeżeli przyciemni włosy i używając żelu zaczesze je gładko do tyłu, jeżeli doda przyciemnione okulary - może wszystko się zgodzi. W końcu najistotniejszym osiągnięciem był ważny, prawdziwy numer ubezpieczenia socjalnego i towarzyszące mu prawdziwe nazwisko i adres - Frank Amendola, 1617 Sparrow Lane, Framingham, Massachusetts.

6

ŚRODA

17 MAJA 1989 r. GODZINA 6.15

Rozpoczynanie pracy przed godziną siódmą rano nie należało do obowiązków Trenta Hardinga, mimo to już o szóstej piętnaście przebierał się w szatni oddziału chirurgicznego szpitala St. Josepfts. Stał niedaleko umywalni, w miejscu, z którego mógł obserwować swoje odbicie w lustrach wiszących na ścianach łazienki. Napiął mięśnie ramion i karku tak, że napęczniały. Pochylił się lekko, by sprawdzić ich rzeźbę. Był zadowolony z tego, co zobaczył.

Chodził do klubu cztery razy w tygodniu, ćwicząc na Atlasie aż do wyczerpania sił. Ciało wyglądało jak fragment posągu. Ludzie zauważali je i podziwiali - był tego pewien.

Wszystko za mało. Myślał o jeszcze większym utwardzeniu bicepsów i o umocnieniu czworobocznych mięśni nóg. Zamierzał poświęcić temu nadchodzący tydzień.

Miał w zwyczaju przyjeżdżać do pracy przed czasem, jednak tego szczególnego ranka zjawił się wcześniej niż zwykle. Był tak podniecony, że obudził się przed dzwonkiem budzika. Nie mógł ponownie zasnąć, zdecydował, że od razu pojedzie do szpitala. Lubił mieć czas wypełniony co do minuty. Myśl o umieszczeniu sfalszowanej marcainy w miejsce dobrej ampułki, nie zawierającej zanieczyszczenia, działała niewiarygodnie pobudzająco.

Wywoływała dreszcz rozkoszy jak przy podłożeniu bomby zegarowej. Był jedynym człowiekiem, który wiedział o zbliżającym się niebezpieczeństwie, jedynym, który, kontrolował sytuację.

Rozejrzał się dookoła. Był już w czystej, wyjałowionej, szpitalnej odzieży. Parę osób weszło do przebieralni po zakończonej właśnie zmianie. Ktoś, nucąc piosenkę

Stevie Wondera zniknął pod prysznicem, ktoś wszedł do kabiny toalety, ktoś myszkował w swojej szafce. Wszyscy byli poza zasięgiem wzroku. Sięgnął do kieszeni, po sfalszowaną ampułkę marcainy. Osłaniając dłonią, na wypadek gdyby niespodziewanie ktoś się pojawił, wsunął ją w slipy. Poczł zimno. Skrzywił się lekko, układając ampułkę tak, by nie przeszkadzała. Zamknął szafkę i ruszył w kierunku wyjścia z szatni.

Zapach świeżej kawy przyjemnie wypełniał hall, wprowadzając delikatne ożywienie. Spostrzegł pielęgniarzy, pielęgniarki anestetyczki, kilku lekarzy i sprzątających. Wkrótce zejdą ze swojej zmiany. Zakończono już operowanie nagłych przypadków, a wszystkie planowe zalecenia, za które odpowiadała nocna zmiana, zostały wykonane. Hall rozbrzmiewał beztróską rozmową.

Nikt nie zwracał uwagi na Trenta, on również nie próbował nikogo pozdrowić. Większość personelu nie rozpoznawała go, ponieważ był członkiem dziennej zmiany.

Minął hall i wszedł na oddział operacyjny. Wysoką tablicę zapełniał plan na nadchodzący dzień. Nikt przy nim nie stał. Zatrzymał się, uważnie przebiegając grafik wzrokiem.

Interesowały go dwie sprawy - do której sali operacyjnej został przydzielony i czy są w planie operacje wymagające znieczulenia miejscowego. Były! Stwarzało to realną szansę użycia "jego" marcainy jeszcze tego dnia.

Podążył dalej głównym korytarzem bloku operacyjnego do składnicy leków, praktycznie usytuowanej w środku oddziału. Blok operacyjny szpitala St. Joseph's miał kształt litery U. Sale rozmieszczono jak gdyby na zewnątrz tej litery, natomiast składnica zajmowała jej wnętrze.

Idąc pewnym krokiem, jak po oprzyrządowanie potrzebne do operacji, okrążył cały oddział. Jak zwykle nie spotkał nikogo. Składnica nie była używana między 6.15

a 6.45. Zadowolony z wyniku wizji lokalnej, poszedł prosto do sekcji, gdzie przechowywano płyny do infuzji, leki nienarkotyczne oraz nie kontrolowane. Nie musiał szukać środków do znieczuleń miejscowych. Dawno sprawdził, gdzie stoją.

Ponownie rozejrzał się dookoła. Sięgnął po pudełko z trzydziestocentymetrowymi ampułkami marcainy 0,5%.

Zręcznie uniósł przykrywkę. W pudełku przeznaczonym na pięć ampulek pozostały jeszcze trzy. Zamienił jedną z nich na swoją, tę ze slipów. Skrzywił się. Zdziwiający, jak zimne było szkło o temperaturze pokojowej. Zamknął pudełko i ostrożnie wsunął je na pierwotne miejsce.

Nikt się nie pojawił. Spojrzał za siebie, na pudełko z marcaina. Poczł dreszcz podniecenia. Znowu tego dokonał! Nikt nigdy nie znajdzie rozwiązania! To było tak diabelnie proste! Zależnie od planu operacji i odrobiny szczęścia ampulka może być wkrótce użyta, nawet dzisiejszego ranka.

Przez chwilę myślał o usunięciu z pudełka dwóch dobrych fiolek tylko po to, by spowodować przyspieszenie tego, co miało nastąpić. Z niecierpliwością oczekiwał zabawnego zamieszania wywołanego zamianą ampulek.

Zrezygnował jednak z tego pomysłu. A jeżeli ktoś sprawdza ilość marcainy?

Wyszedł ze składnicy kierując się z powrotem do szatni. Musiał pozbyć się dobrej ampulki. Po południu, jeżeli nic się nie wydarzy, przyjdzie jeszcze raz do magazynu.

W razie użycia sfalszowanej fiołki dowie się o tym dość szybko. Wiadomości o poważnych komplikacjach rozprzestrzeniają się jak pożar wśród personelu bloku operacyjnego.

Wyobrażał sobie fiołkę niewinnie stojącą w pudełku.

Był to rodzaj rosyjskiej ruletki. Odczuwał podniecenie\*

Próbował uspokoić się idąc w kierunku przebieralni. Żeby tylko dostał ją Doherty!

Na myśl o anestezjologu jego szczęki zaciskały się bezwiednie. Nazwisko tego człowieka wywoływało wściekłość, przypominało upokorzenie, jakiego doznał poprzedniego dnia.

Podchodząc do swojej szafki walnął w nią otwartą dłonią. Kilka osób spojrzało w jego kierunku, ale zignorował to. Jak na ironię, przed ponizającym epizodem lubił doktora Doherty. Był nawet uprzejmy dla tego konowala.

Nadal zły, obrócił cyfrową kombinację zamka i otworzył drzwi szafki. Przyciskając się do niej jak najbliżej, wysunął ampułkę ze slipów i z uczuciem ulgi wrzucił do kieszeni białego fartucha wiszącego w szafce. Może powinien dla Doherty'ego poczynić jakieś specjalne przygotowania?

Jeffrey odetchnął z ulgą zamykając za sobą drzwi pokoju w hotelu Essex. Minęła dopiero jedenasta rano, a on zdążył już wrócić z zakupami. Przez półtorej godziny chodził po mieście z obawą, że zdemaskuje go ktoś znajomy. Z daleka omijał policjantów.

Położył paczki i neseser na łóżku. Z najmniejszej torebki wyjął farbę do włosów, której kolor określano jako "czerń nocy". Zrzucił ubranie i poszedł prosto do łazienki. Następne czynności wykonywał ściśle według instrukcji wydrukowanej na opakowaniu. Nałożył żel, zaczesując włosy z czoła gładko do tyłu. Stał się innym człowiekiem.

Pomyślał, że wygląda jak sprzedawca samochodów lub bohater filmu z lat trzydziestych. Porównując swoje odbicie w lustrze z małą fotografią na prawie jazdy, doszedł do wniosku, że może uchodzić za Franka Amendolę, pod warunkiem, że ktoś nie będzie przyglądał się zbyt wnikliwie. A przecież nie dokończył jeszcze dzieła.

Wrócił do pokoju, otworzył największą paczkę wyjmując z niej ciemnoniebieski garnitur z bistoru, kupiony w podziemiach domu towarowego, gdzie na miejscu dokonywano niezbędnych przeróbek. Nie zgodził się na zbyt duże zmiany. Nie chciał, aby leżał za dobrze. Właściwie musiał stawić zdecydowany opór niektórym sugestiom Mike'a, głównego krawca, zachwyconego, że może na poczekaniu dopasować garnitur.

Rozpakował kilka białych koszul i parę nieatrakcyjnych krawatów. Założył jedną z nich, wskoczył w ubranie i dodał krawat. Przetrzęsął torby, aż znalazł okulary w ciemnej oprawce. Wrócił do lustra w łazience. Znowu porównał swoje odbicie z fotografią. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Obiektywnie oceniając wyglądał okropnie, ale z punktu widzenia podobieństwa do Franka Amendoli wyglądał znakomicie. Zdumiewające, jak mało znaczą rysy twarzy w stworzeniu ogólnego wrażenia.

Jedna z paczek zawierała płócienną torbę z paskiem na ramię i mnóstwem przegródek. Przełożył do niej pieniądze. Miał wrażenie, że neseser zbyt rzuca się w oczy, że stanowi znak rozpoznawczy dla policji, że tak charakterystyczny przedmiot staje się częścią rysopisu.

Wpadł na pewien pomysł, martwiąc się, że w każdej chwili może pojawić się Devlin. Wyjął z nesesera strzykawkę i fiolkę scoliny. Nabrał 40 mg leku i po zabezpieczeniu igły wsunął strzykawkę do bocznej kieszeni marynarki. Nie wiedział, jak i kiedy użyje scoliny, przygotował ją na wszelki wypadek. Coś w rodzaju broni psychologicznej

W lustrzanych okularach, z płócienną torbą na ramieniu, ostatni raz zerknął na pokój, zastanawiając się, czy o niczym nie zapomniał. Zwlekał z wyjściem zdając sobie doskonale sprawę, że z chwilą przestąpienia progu wróci strach przed możliwością zdemaskowania. Jednak aby prowadzić śledztwo, musiał dostać się do Boston Memorial Hospital, musiał postarać się o pracę sprzątacza.

Winda zatrzymała się na piętrze, gdzie mieściło się biuro Michaela Mosconi. Devlin brutalnie torował sobie drogę, nie pozwalając innym pasażerom wyjść przed nim. Odczuwał perwersyjną przyjemność w prowokowaniu ludzi, zwłaszcza mężczyzn typu "urzędas", mając po trosze nadzieję, że jeden z nich będzie chciał wykazać się, walecznością.

Był w podłym nastroju z powodu niewyspania. Większą część nocy przesiedział w samochodzie, obserwując dom Rhodesa. Spodziewał się zobaczyć doktora skradającego się w środku nocy, lub w ostateczności Carol nagle opuszczającą mieszkanie. Ale nic się nie wydarzyło. Dopiero parę minut po ósmej żona Jeffreya wyjechała z garażu w swojej mazdzie RX7, zostawiając ślady hamowania na środku ulicy. Z niewielką nadzieją, ale z dużym wysiłkiem podążył więc, klucząc między samochodami. Z trudem śledził ją przez całą drogę. Weszła do swojego biura na dwudziestym drugim piętrze jednego z nowszych biurowców. Zostawił ją wtedy na jakiś czas w spokoju. Aby zrobić następny ruch, potrzebował dodatkowych informacji o Jeffreyu.

-No i co? - spytał Michael wyczekująco.

Devlin nie odpowiedział od razu, co najwyraźniej doprowadziło Mosconiego do furii. Ten facet był taki ambitny. Opadł na kanapę naprzeciw biurka i położył nogi na małym stoliku.

— Co, no i co?

— Gdzie lekarz?

— Zabij mnie - powiedział Devlin.

— Co to znaczy?

— To chyba całkiem jasne.

— Dla ciebie może tak, ale nie dla mnie.

— Nie wiem, gdzie jest ten mały skurwysyn!

— O matko! - wykrzyknął Michael unosząc w rozgoryczeniu ręce. - Mówiłeś, że złapiesz faceta bez problemu! Musisz go złapać! Żarty się skończyły!

— Nawet nie pokazał się w domu.

— A niech to jasny szlag trafi - Mosconi wpadał w coraz większą panikę. - Zamierzam odejść z interesu. Devlin zmarszczył czoło. Ambicja Michaela była urażona bardziej niż zwykle. Rzeczywiście stracił doktora przez niego.

— Nie przejmuj się, znajdę go. Lepiej powiedz, co jeszcze o nim wiesz.

— Nic! Powiedziałem ci wszystko.

— Co z jego pozostałą rodziną? Przyjaciółmi?

— Powtarzam, nic nie wiem o tym facecie. Miałem jedynie stan obciążenia hipoteki i odpis prawa własności na jego dom. I wiesz co, ten skurwysyn i tu mnie przerobił. Dzisiaj rano miałem telefon z banku, od Owena Shatterly. Właśnie odkrył, że Jeffrey Rhodes podniósł swój dług hipoteczny, zanim wpłynął mój zastaw.

Teraz nawet zabezpieczenie nie pokrywa mojego poręczenia.

Devlin roześmiał się.

— Co. u diabła, tak cię śmieszy?

— Ubawiło mnie, że ten niewinny doktorek jest przyczyną tak wielu kłopotów.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego. Owen powiedział także, że Rhodes wziął czterdzieści pięć tysięcy dolarów, o które podniósł swoje zadłużenie w gotówce.

- O Jezu, kto by przypuszczał, że neser tego faceta jest trefny. Nigdy nie dostałem w łeb taką forszą!



— Bardzo śmieszne - powiedział Michael z przekąsem. - Kłopot w tym, że sytuacja zmienia się ze złej na gorszą. Dzięki Bogu, mam przyjaciela, Alberta Norstadta. Pracuje w głównej kwaterze policji. Nie będą nadawali biegu tej cholernej sprawie, dopóki doktor czegoś nie przeskrobie.

— Czy myślą, że Rhodes jest ciągle w mieście?

— O ile wiem, nie zrobili wiele. Dobrze, że chociaż obstawili lotnisko, dworce autobusowe i kolejowe, wypożyczalnie samochodów, nawet przedsiębiorstwa taksówko we.

— Aż nadto - przyznał Devlin. Nie chciał, żeby policja złapała Jeffreya. - Jeżeli jest w mieście, znajdę go do jutra. Jeżeli bryknął, będzie to trwało trochę dłużej, ale dostanę go. Odpreż się.

— Masz go znaleźć jeszcze dzisiaj! Jeżeli nie jesteś w stanie tego zrobić, zatrudnię jakiś inny talent.

— Posłuchaj - powiedział Devlin zabierając nogi ze stolika i podnosząc się z kanapy. Nie chciał, by ktokolwiek wścibiał nos w jego robotę. - Wiesz, że zrobię to lepiej od innych. Znajdę tego faceta i przestań się niecierpliwić.

— Chcę go mieć teraz, nie w przyszłym roku.

— Uspokój się, minęło dopiero dwanaście godzin.

— No to po co, do cholery, tutaj siedzisz? Z czterdziestoma pięcioma tysiącami w kieszeni nie będzie wечно się włóczył. Masz zacząć od lotniska. Przecież musiał jakoś dotrzeć do miasta, nie spacerem, do cholery.

Pomiń tych osłów i porozmawiaj z ludźmi od transportu

- kolei i autobusów. Może ktoś będzie pamiętał chudego faceta z wąsami i neserem.

— Myślę, że lepiej obstawić żonę.

— Na mnie nie zrobili wrażenia bardzo zakochanych.

Chcę, żebyś spróbował od lotniska. Jeżeli nie, wyślę kogoś innego.

— No dobra-, dobra. Chcesz, żebyśmy zaczął od lotniska, zacznę od lotniska.

— Informuj mnie.

Devlin opuścił biuro. Jego nastrój nie poprawił się.

Normalnie nigdy nie pozwoliliby, aby ktoś taki jak Michael stawiał warunki. Ale w tej sytuacji lepiej było udobruchać tego mężczyznę. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, była konkurencja, zwłaszcza przy tej robocie. Wyłonił się nowy kłopot - jeżeli miał jechać na lotnisko, musiał wynająć kogoś do śledzenia żony Jeffreya i obserwowania domu. Czekał na windę zastanawiał się, do kogo zatelefonować.

Jeffrey przystanął na szerokich schodach wejściowych do Boston Memorial Hospital.

Mimo udanej mistyfikacji, teraz kiedy miał przekroczyć próg szpitala, ogarnęło go przerażenie. Obawiał się, że rozpozna go pierwszy napotkany znajomy.

Wyobrażał sobie, co usłyszy: "Jeffrey Rhodes, czy to ty? Co to, wybierasz się na maskaradę? Podobno poszukuje cię policja, czy to prawda? Jakże to przykre, że udowodniono ci morderstwo drugiego stopnia.

Pewno, że świadczy to o tym, jak trudno jest wykonywać zawód lekarza w Massachusetts".

Cofając się o jeden stopień przetrzucił płócienną torbę na drugie ramię. Zadarł głowę przyglądając się gotyckim szczegółom nad gzymsem zwieńczającym frontowe wejście. Napis umieszczony powyżej drzwi głosił: Boston Memorial Hospital - schronienie dla chorych, słabych i udręczonych. Nie był ani chory, ani słaby, ale na pewno udręczony.

Im dłużej wahał się, tym trudniej było wejść do środka. Nagle znieruchomiał. Spostrzegł Marka Wilsona.

Znał dobrze tego anestezjologa. Uczyli się razem. Jeffrey był o rok wyżej. Mark również miał wąsy, trochę rzadsze, stanowiło to powód nieustannych żartów między nimi. Nadchodził od strony Beacon Street, kierując się do frontowego wejścia. Wyglądał na cieszącego się rześkim, wiosennym dniem.

Był to kopniak, którego Jeffrey potrzebował. Pokonując w panice obrotowe drzwi, wszedł do głównego hallu. Natychmiast zginął w tłumie ludzi. Hall oprócz funkcji wejścia spełniał rolę łącznika między korytarzami prowadzącymi do trzech skrzydeł szpitala.

W obawie, że Mark depta mu po piętach, pośpieszył wokół okrągłej kabiny informacyjnej w środku hallu i poszedł dalej centralnym korytarzem. Przewidywał, że kolega uda się w kierunku wind prowadzących do kompleksu chirurgicznego.

W ciągu dwudziestu lat pracy nie przeniósł żadnej ze znajomości szpitalnych na teren prywatny. Mimo to, wciąż czujny, wszedł do biura zatrudnienia i odebrał formularz od wyjątkowo serdecznego urzędnika. To, że on nie spoufalał się z kadrą urzędniczą, nie oznaczało, że urzędnicy nie będą spoufalali się z nim.

Wypełnił formularz używając nazwiska Frank Amendola, numeru jego ubezpieczenia socjalnego i adresu we Framingham. W rubryce dotyczącej rodzaju pracy, którą preferuje zainteresowany, wpisał - porządkowy. W następnej, pytającej o czas pracy, wpisał - noc. Jako refe-

Jako referencje wymienił nazwy kilku szpitali znanych mu z sympozjów anestezjologicznych. Miał nadzieję, że sprawdzenie danych, jeżeli w ogóle to robią, zajmie trochę czasu.

Przy wysokich wymaganiach wobec pracowników szpitala i oferowanych jednocześnie niskich zarobkach podejrzewał, że każde podanie jest mile widziane. Nie przypuszczał, by o jego zatrudnieniu w charakterze sprząającego zdecydowano dopiero po sprawdzeniu referencji.

Kiedy złożył wypełniony formularz, poproszono go o dokonanie wyboru - czy chce, by przeprowadzono z nim wywiad natychmiast, czy woli termin późniejszy. Wybrał pierwszą ewentualność.

Po krótkim oczekiwaniu wprowadzono go do biura Carla Bodanskiego, jednego ze szpitalnych kadrowców.

W małym pokoju bez okien jedną ze ścian zdominowała wysoka tablica z, maleńkimi haczykami, z których zwisały setki plakietek z nazwiskami. Na drugiej wisiał kalendarz. Dwuskrzydłowe drzwi wypełniały trzecią ścianę.

Wszystko było praktyczne i w dobrym guście. Carl Bodanski dobiegał czterdziestki. Miał ciemne włosy i przystojną twarz. Był w gustownym, nieprzesadnie modnym, matowym garniturze. Jeffrey zorientował się, że widywał tego człowieka wiele razy w szpitalnej kafejce. Jednak nigdy ze sobą nie rozmawiali.

-Proszę spocząć - odezwał się ciepło urzędnik, nie podnosząc głowy znad formularza. Kiedy w końcu spojrzął na Jeffrey'a, ten wstrzymał oddech. Bał się, że zobaczy oznakę rozpoznania. Ale nie! Bodanski zaproponował coś do picia - kawę, colę, sok.

Jeffrey odmówił nerwowo.

— A więc pracowałeś w szpitalach?

— O tak, całkiem sporo - uśmiechnął się słabo. Zaczynał się odprężyć.

— I chcesz pracować jako sprzątac, na nocnej zmianie? - kadrowiec upewniał się, czy nie zaszła pomyłka.

To było zbyt piękne - kandydat na sprzątającego, nocna zmiana... I w dodatku nie wygląda na kryminalistę czy nielegalnego cudzoziemca, mówi po angielsku...

— Tak, te godziny najbardziej mi odpowiadają - zorientował się, że to, co mówi, jest trochę zaskakujące, i natychmiast podał wyjaśnienie. - W ciągu dnia lub wieczorami będę uczęszczał na kilka kursów w Suffolk University.

— Z jakiej dziedziny?

— Z prawa - odparł Jeffrey. Był to pierwszy temat, jaki mu przyszedł na myśl.

— Bardzo ambitnie. Zajmie ci to parę lat?

— Mam nadzieję.

Zobaczył błysk w oczach Bodanskiego. Oprócz kłopotów z naborem sprzątających borykał się z problemem wysokiej rotacji. Dotyczyło to zwłaszcza nocnej zmiany.

— Od kiedy chcesz zacząć?

— Tak szybko, jak to możliwe, nawet dzisiaj.

— Dzisiaj w nocy?

— Właśnie przyjechałem do miasta, potrzebuję pracy. Muszę się z czegoś utrzymać.

— Z Framingham? - spytał kadrowiec, zerkając na podanie.

— Zgadza się. Nie chciał wdawać się w dyskusję o miejscu, w którym nigdy nie był. - Jeżeli nie potrzebujecie mnie, pójdę do St. Josephs albo Boston City.

— O nie. Nie ma takiej potrzeby. Tylko te sprawy zajmują trochę czasu. Z pewnością rozumiesz. Musisz dostać odpowiednie ubranie i kartę identyfikacyjną. No i trzeba uzupełnić papierki.

— Jestem do dyspozycji, dlaczego nie możemy załatwić wszystkiego od ręki?

— Zaczekaj moment.

Bodanski podniósł się zza biurka i opuścił gabinet.

Jeffrey został na swoim miejscu. Miał nadzieję, że nie wykazał się za dużą gorliwością.

Rozejrzał się po gabinecie. Na biurku stała fotografia w srebrnej ramce. Na zdjęciu uśmiechała się kobieta, z dwójką dzieci o różowych policzkach. To był jedyny prywatny, ale bardzo sympatyczny akcent w całym pokoju. Bodanski powrócił z niskim mężczyzną o kruczoczarnych, lśniących włosach i przyjacielskim uśmiechu.

Był w ciemnozielonym uniformie służby porządkowej. Przedstawił się jako Jose Martinez. Jeffrey widział go wiele razy. Ale i w jego twarzy nie spostrzegł żadnego znaku rozpoznania.

— Jose jest szefem personelu porządkowego. Wyjaśniłem mu, że chcesz podjąć pracę z marszu. Jest skłonny przyspieszyć procedurę, więc oddaję cię w jego ręce.

— Czy to znaczy, że jestem przyjęty?

— Oczywiście, witamy w drużynie Memorial. Kiedy skończycie, wróć tutaj. Musisz zrobić zdjęcie do karty identyfikacyjnej. Dostaniesz też plakietkę. Są niebieskie, poprzeczne albo okrągłe. Może chcesz wybrać kształt?

— Wszystko mi jedno.

Poszli do głównej kwatery porządkowych, znajdującej się na pierwszym podziemnym piętrze. Martinez miał miły hiszpański akcent i zaraźliwe poczucie humoru.

Wszystko było dla niego śmieszne i wywoływało chichot.

Tak też było z pierwszą parą spodni, które przydzielił Jeffreyowi. Nogawki sięgały ledwie za kolana.

-Trzeba będzie amputować - powiedział ze śmiechem.

Po kilku przymiarkach znaleźli odpowiedni uniform.

Następnie została mu przydzielona szafka. W końcu kazał Jeffreyowi zmienić koszulę.

- Majtki możesz zostawić - dodał. - Teraz oprowadzę cię po szpitalu. Koszula sprzątacza zastąpi na razie kartę identyfikacyjną.

- Nie chcę zabierać ci więcej czasu, niż potrzeba.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, był spacer po szpitalu w dzień, kiedy istniało największe prawdopodobieństwo, że zostanie rozpoznany.

-Mam czas, nie ma sprawy. Jest to część naszego rutynowego wprowadzenia.

Jeffrey z ociąganiem założył ciemnozieloną koszulę, a prywatne ubranie schował do szafki. Z płócienną torbą na ramieniu, przygotowany na najgorsze, zgodził się iść wszędzie, gdzie go poprowadzi. Najchętniej założyłby torbę na głowę.

Podczas obchodu Martinez bezustannie trajkotał.

Przedstawił go obecnym akurat członkom ekipy porządkowej. W pralni wszyscy byli tak zajęci, że nie zwracali na nich większej uwagi. Klientela kawiarenki potraktowała ich zdecydowanie chłodno. Szczęśliwie nie siedział tam nikt dobrze znany Jeffreyowi.

Piętro wyżej odwiedzili ambulatorium i pomieszczenia pogotowia. Na widok kilku znanych z bloku operacyjnego chirurgów Jeffrey miał ochotę zanurzyć się w tłum ludzi kłębiących się w hallu. Na szczęście zignorowano ich.

Lekarze zajęci byli pacjentami z wypadku samochodowego.

Podeszli do głównych wind w północnym skrzydle.

-Pokażę ci teraz laboratoria, a potem oddział chirurgiczny.

Jeffrey poczuł ucisk w gardle.

— Czy nie powinniśmy wrócić do pana Bodanskiego?

— Możemy wędrować tyle czasu, ile zabierze nam obejrzenie wszystkiego - powiedział Martinez wskazując windę, której drzwi właśnie się otworzyły. - Poza tym ważne jest, żebyś zobaczył patologię, chemię i blok operacyjny. Dostaniesz ten rejon na dzisiejszą noc. Jedyne o tej porze mamy możliwość dostania się tam. Będiesz pracował z czterema osobami. Szef grupy nazywa się David Arnold. To dobry człowiek.

Jeffrey skinął głową. Gdy zbliżali się do właściwego piętra, zaczął odczuwać nieprzyjemne sensacje w żołądku. Drgnął, kiedy Martinez dotknął jego ramienia i lekko popchnął do przodu mówiąc:

-To jest nasze piętro.

Wziął głęboki oddech, przygotowując się na spotkanie z tą częścią szpitala, w której żył praktycznie przez dwie dekady.

Zamarł. Przez sekundę nie był w stanie się ruszyć.

Dokładnie na wprost niego stał, czekając na windę, Mark Wilson. Spojrzał na Jeffrey'a. Spodziewał się usłyszeć "o rany, czy to ty?"

-Wysiadasz czy nie? - spytał Mark.

-My wysiadamy - odpowiedział Martinez.

Minęło parę sekund, zanim pojął, że nie został rozpoznany. Przez zamykające się drzwi jeszcze raz spojrzął na kolegę. Nie było śladu reakcji, że go poznaje.

Popchnął okulary wyżej na nos.

-Dobrze się czujesz?

-Tak, tak, dobrze.

Istotnie, czuł się o wiele lepiej.

Obchód laboratoriów patologicznych i chemicznych okazał się dużo mniej stresujący niż przebywanie w okolicach wind. Zobaczył wiele osób, które znał, ale reakcje wszystkich były identyczne jak Marka.

Obawa powróciła, gdy weszli do hallu chirurgii. O tej porze, wczesnym popołudniem, co najmniej dwadzieścia znajomych osób siedziało tutaj popijając kawę, rozmawiając lub czytając gazety. Wystarczyło, by jedna z nich zorientowała się kim jest w rzeczywistości! Podczas gdy Martinez sprawdzał, jak wykonała swoje obowiązki nocna zmiana, Jeffrey z uporem maniaka przyglądał się swoim butom. Starał się nie patrzeć na nikogo, ale po piętnastu minutach pełnego wyczekiwania napięcia zdał sobie sprawę, że nic się nie wydarzy. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Przeszedł jeszcze jeden sprawdzian w męskiej przebieralni, tak samo denerwujący jak spotkanie z Markiem Wilsonem. Stał twarzą w twarz z bliskim kolegą anestezyjologiem. Wykonali coś na kształt tańca, próbując wyminąć się przy umywalniach. Był zdumiony i zadowolony.

Jego metamorfoza była dużo lepsza, niż się spodziewał.

— Czy wiesz coś na temat wyjąłowego ubioru? -spytał Martinez.

— Tak, wiem.

— Dobra, w takim razie nie musimy tutaj wchodzić.

Dzisiaj w nocy David Arnold oprowadzi cię po bloku operacyjnym. Teraz mają mnóstwo pracy.

— Rozumiem.

Z ulgą zakończył zwiedzanie szpitala. Po przebraniu się w prywatne ubranie Martinez zaprowadził go z powrotem do biura Carla Bodanskiego. Czekwały tam dodatkowe dokumenty dotyczące wysokości potrącenia na rzecz opieki zdrowotnej i podatku. Zaczął podpisywać się prawdziwym nazwiskiem, ale natychmiast zorientował się i w żądane miejsce wstawił nazwisko - Frank Amendola.

Gdy tylko wyszedł na ulicę, napięcie opadło. Ba, poczuł śmiałość. Na razie wszystko szło zgodnie z planem.

Devlin wchodził schodami prowadzącymi ze stacji kolejowej do strefy przylotów. Metalowe blaszki chroniące obcasy kowbojskich butów głośno stuknęły o brudny beton. Był wściekły. Chętnie udusiłby kogoś, obojętnie kogo! Tak jak podejrzewał, szukanie doktora na terenie dworca lotniczego było totalnym marnowaniem czasu.

Pytał dozorców parkingu, czy nie zauważyli faceta, który około dziewiątej wieczorem przyjechał kremowym mercedesem 240 D. Oczywiście nikt nic nie widział. Dotarł do nazwiska i numeru telefonu chłopaka sprzedającego na stacji kolejki żetony. Nic z tego. Ten młodzieniec nie pamiętałby nawet swojej matki, gdyby kupowała żeton.

W końcu znalazł się na przystanku. Kiedy nadjechał autobus obsługujący lotnisko, wsiadł do niego przednimi drzwiami. Usiłował być miły.

-Przepraszam bardzo - powiedział do kierowcy, szczupłego, ciemnego mężczyzny w okrągłych, drucianych okularach. - Czy mógłbym uzyskać pewną informację?

Zapytany zamrugął. Spojrzał w dół, na wytatuowaną rękę Devlina, potem w górę, na twarz.

-Nie mogę zamknąć drzwi, dopóki nie usiądziesz, i nie mogę ruszyć, dopóki drzwi nie są zamknięte.

Devlin zmrzył oczy. Popatrzył na pasażerów. Zajęci byli układaniem bagażu na półkach.

-To zabierze ci tylko sekundę- powiedział ledwie się powstrzymując. - Widzisz, szukam mężczyzny, który być może wsiadł do jednego z tych autobusów wczoraj około godziny 21.30. Ten cholerny goguś jest biały i ma wąsy. Miał jedynie neseser. Podejrzewam...

— Zastanowię się nad tym, jeżeli usiądziesz.

— Posłuchaj, koleś, próbuję być miły.

— Tracisz czas, kończę zawsze o 15.30.

— Rozumiem - Devlin zrobił ostateczny wysiłek, by zachować pozory spokoju. - Czy mógłbym dostać nazwiska kierowców, którzy jeździli ostatniej nocy?

— Dlaczego nie dowiesz się w biurze? A teraz czy zechcesz zająć miejsce?

Zamknął oczy. Ten mały zarozumialec igrał z losem.

-Albo siadaj, albo opuść autobus!

Tego było za wiele. Szybkim ruchem chwycił kierowcę za przód koszuli i uniósł go z fotela. Przyciągnął jego twarz na centymetr do swojej.

-Coś ci powiem, braciszku. Nie podoba mi się twój stosunek do mnie. Wszystko, czego chcę, to prostej odpowiedzi na proste pytanie.

-Hej! - krzyknął jeden z pasażerów.

Trzymając ciągle przestraszonego kierowcę, Devlin odwrócił się. Szedł w jego kierunku mężczyzna w urzędniczym garniturku. Miał twarz czerwoną z oburzenia.

-Co tu się dzieje?

Devlin złapał go za głowę, tak jakby obejmował piłkę do koszykówki. Przyciągnął krok do przodu, a potem mocno pchnął do tyłu. Mężczyzna potknął się i upadł na plecy w przejściu między fotelami.

W tym czasie kierowca coś usiłował powiedzieć. Kiedy opuścił go na siedzenie, zmaltretowany kasłał przez chwilę, po czym zachrypniętym głosem wymienił dwa nazwiska.

-Nie znam ich numerów, ale obydwaj mieszkają w Chelsea.

Zapisał nazwiska w małym notesie, który nosił zawsze w lewej kieszeni z przodu drelichowej bluzy. Usłyszał sygnał bipera. Odłączył go od paska, nacisnął guzik i ujrzał na ekranie numer Mósconiego. Chciał z nim rozmawiać.

-Dzięki, bracie - powiedział do kierowcy i wysiadł z autobusu, który szybko odjechał w chmurze spalin, z wciąż otwartymi drzwiami.

Patrzył za nim, zastanawiając się, co zrobi, jeżeli za kilka minut zgarnie go lotna brygada. Jediną szansą było to, że znał gliny. Usunięto go z policji około pięciu lat temu, ale wciąż miał tam jeszcze wielu przyjaciół. Oprócz rekrutów znał wszystkich.

Wolno podszedł do automatu telefonicznego. Podejrzewał, że Michael sprawdza, czy rzeczywiście pojechał na lotnisko.

— Mam dobre wiadomości, palancie – powiedział Mosconi. - Chociaż nie powinienem ci tego mówić, wiem, gdzie zakotwiczył się Jeffrey Rhodes.

— Gdzie?

— Nie tak szybko. Jeżeli powiem, radośnie tam pobiegiesz i zwiniesz faceta. Ale to nie będzie warte czterdziestu kawałków. Mogę zadzwonić do kogoś innego. Kapujesz o co chodzi?

— Jak zdobyłeś tę informację?

- Norstadt, z głównej kwatery policji. W trakcie obstawiania przedsiębiorstwa taxi zgłosił się kierowca, który powiedział, że wiozł gościa pasującego do rysopisu doktora. Stwierdził, że zachowywał się dziwnie. Po pierwsze nie znał nawet celu podróży, przez jakiś czas po prostu krążyli po okolicy.

— Dlaczego policja nie aresztowała doktora?

— Może do tego dojść, ale na razie są zajęci. Właśnie przyjechała jakaś grupa rockowa. Poza tym nie są zainteresowani Rhodesem, dopóki nie stanowi dużego zagrożenia.

— No to mów, o co chodzi.

— Dziesięć kawalków. Bierzesz to albo zostawiasz sprawę.

Devlin zastanowił się przez moment.

— Biorę!

— Hotel Essex. I jeszcze coś, Dev, możesz go trochę poturbować. Za dużo zdrowia mnie kosztował.

— To dla mnie przyjemność - nie tylko powiedział, ale i pomyślał. Nie dość, że Jeffrey uderzył go neseserem, to jeszcze doprowadził do tego, że stracił trzydzieści tysięcy dolarów. Taka okazja może się więcej nie trafić.

W drodze na przystanek autobusowy udało mu się zatrzymać taksówkę, która za pięć dolarów zawiozła go na parking, gdzie zostawił samochód.

Wyjeżdżał z lotniska w zdecydowanie lepszym nastroju. Strata trzydziestu tysięcy to wstyd, ale dziesięć też było nie do pogardzenia. Skoro znał kryjówkę, praca była prosta jak drut. No i będzie miał trochę zabawy.

Pojechał prosto do hotelu Essex. Zaparkował po drugiej stronie ulicy, dokładnie przy hydrancie przeciwpożarowym. Znał ten przybytek. Służąc w policji uczestniczył w kilku obławach na handlarzy narkotyków działających w tym hotelu.

Wszedł po schodach. Nim otworzył frontowe drzwi, sięgnął pod lewe ramię i odpiął rzemyczek, zabezpieczający spust pistoletu kaliber 38. Był pewien, że poszukiwany nie ma broni - ale ostrożności nigdy za wiele. Już raz doktor go zaskoczył.

Jedno szybkie spojrzenie ogarniające wnętrze wystarczyło, by zorientował się, że Essex nie zmienił się ani o jotę od czasu jego ostatniej wizyty. Pamiętał nawet ten sam stęchły zapach, jakby w piwnicy hodowano grzyby.

Podszedł do kontuaru. Kiedy recepcjonista oderwał wzrok od telewizora, okazało się, że i jego pamięta.

Chłopcy z policji nazywali go "samopluj", ze względu na wiecznie zaślinioną dolną wargę, wiszącą jak u buldoga.

— Czym mogę służyć?

— Szukam jednego z twoich gości. Nazywa się Jeffrey Rhodes, ale mógł zarejestrować się pod innym nazwiskiem.

— Nie udzielamy żadnych informacji o naszych gościach

Devlin pochylił się do przodu, przeciągając milczenie wystarczająco długo, by recepcjonista poczuł się nieswojo.

-A więc nie udzielacie żadnych informacji o waszych gościach? - powtórzył, potakując ze zrozumieniem głową.

-Właśnie.

-Co, u diabła, sobie myślisz, że to jest Ritz-Carlton?

Ci, których tutaj meldujesz, to zgraja alfonsów, prostytutek i handlarzy narkotyków.

Mężczyzna cofnął się o krok, obserwując Devlina z trwogą. Ten, z prędkością światła, trzasnął dłonią w blat, wywołując ogłuszający huk. Urzędnik drgnął. Widać było, że jest zastraszony.

-Ludzie dzisiaj utrudniają mi wszystko! – ryknął były policjant. Ściszym głosem dodał:  
- Zadałem proste pytanie.

-Nie mamy zameldowanego Jeffreya Rhodesa.

-Nic dziwnego, pozwól, że go opiszę. Jest mniej więcej twojego wzrostu, około czterdziestki, z wąsami, raczej szczupły, włosy brązowe. Wygląda przyzwoicie. I chodzi z neseserem.

— To może być Richard Bard...

— Kiedy pan Bard wpisał się na listę gości tego wspaniałego hotelu?

— Wczoraj, około dziesiątej w nocy – odpowiadał usłużnie recepcjonista. Mając nadzieję, że udobrucha napastnika, przekreślił stronę w rejestrze, wskazując drżącą ręką nazwisko.

- Oto jego podpis.

— Czy Bard jest w hotelu?

— Wyszedł około południa, ale wyglądał zupełnie inaczej. Miał czarne włosy i był bez wąsów.

— A teraz zadam decydujące pytanie: który pokój zajął?

- 5 F.

-Nie przypuszczam, aby zbyt dużą fatygą było dla ciebie zaprowadzenie mnie na górę, czy tak?

Mężczyzna potrząsnął głową. Przekreślił zamek w szufladzie kasy, wziął zapasowy klucz i wyszedł zza kontuaru. Weszli na klatkę schodową. Przy windzie Devlin zauważył :

-Bardzo wolno zachodzą tu zmiany. Kiedy byłem w tym miejscu pięć lat temu, podczas obławy na handlarzy narkotyków, na windzie wisiał ten sam napis.

— Jesteś gliną? - spytał recepcjonista.

— W pewnym sensie.

Wspinali się po schodach w milczeniu. Pomyślał, że zanim dotrą do piątego piętra, jego przewodnik dostanie chyba ataku serca. Oddychał ciężko i pocił się obficie.

Pozwolił mu odpocząć przed korytarzem z pokojem 5F.

Stając po bezpiecznej stronie, zapukał do drzwi. Nie słysząc odpowiedzi, odsunął się na bok i pozwolił mężczyźnie otworzyć zamek. Dokonał szybkiego przeglądu pomieszczeń. Były puste.

-Poczekam tutaj na pana Barda - powiedział Devlin podchodząc do okna. Odwrócił się do recepcjonisty i dodał: - Nie chcę, żebyś cokolwiek mu powiedział, kiedy wejdzie.

Umówmy się, że jestem małą niespodzianką.

Zrozumiałeś?

Mężczyzna potaknął gorliwie.

— Pan Rhodes, alias Bard, zbiegł przed wymiarem sprawiedliwości. Są podstawy do aresztowania. Jest niebezpiecznym człowiekiem, któremu udowodniono morderstwo.

Jeżeli powiesz cokolwiek, co może wzbudzić podejrzenie, trudno przewidzieć, jaka będzie jego reakcja.

Wiesz, o czym mówię?

— Dokładnie. Pan Bard zachowywał się dziwnie od samego początku. Myślałem nawet o zawiadomieniu policji.

— Oo, myślałeś, z pewnością...

— Nie powiem ani słowa - obiecał, wycofując się z pokoju.



— Liczę na ciebie - krzyknął Devlin zamykając drzwi na klucz. Gdy tylko został sam, rzucił się do nesesera. Cisnął go na łóżko i trzęsącymi rękami otworzył zamki. Podniósł wieko. Przerzucił papiery, niczego nie znajdując. Sprawdził każdą przegrodę harmonijkowego schowka.

-Cholera jasna!

Miał nadzieję, że Rhodes okaże się głupcem zostawiając pieniądze w neseserze, niestety były tylko papiery i bielizna. Podniósł kartkę z nadrukiem "Z biurka Christophera Eversona". Zapisana była naukowym żargonem. Przez chwilę zastanawiał się, kim jest Christopher Everson.

Przestał zajmować się papierami. Zrewidował dokładnie pokój, na wypadek gdyby Jeffrey ukrył w nim pieniądze. Nigdzie ich nie było. Musiał je mieć przy sobie. Przede wszystkim z tego powodu tak szybko przystał na warunki Mosconiego. Postanowił zagarnąć czterdzieści pięć tysięcy od doktora i dołożyć je do dziesięciu, które zainkasuje od Michaela.

Ułożył się wygodnie na łóżku i wyciągnął pistolet z kabury. Dobry doktorek ciągle stanowił źródło niespodzianek. Doszedł do wniosku, że lepiej być przygotowanym na wszystko.

Jeffrey odczuwał zdecydowanie mniejsze skrępowanie swoim przebraniem i nową tożsamością. Stan ten wywołał brak jakichkolwiek komplikacji podczas wizyty w Boston Memorial Hospital. Jeżeli ludzie, z którymi łączyły go tak serdeczne stosunki nie rozpoznali go, tym bardziej nie miał powodów do obaw na zewnątrz, wśród społeczności, gdzie może udowodnić tożsamość. Podbudowany nowym doświadczeniem, zatrzymał taksówkę i pojechał do St. Joseph's Hospital.

St. Joseph's Hospital, znacznie starszy niż Memorial, był ceglana budowla z przełomu wieku, wielokrotnie odnawiana. Usytuowanie na terenie z zielenią podnosiło jego atrakcyjność. Pierwotnie był katolickim szpitalem charytatywnym, lecz z biegiem lat zmienił się w prężnie działający szpital miejski. Ponieważ znajdował się na peryferiach Bostonu, w niczym nie przypominał szpitala śródmiejskiego, o surowej, wielkomięskiej architekturze.

Zatrzymał się pytając o drogę do oddziału intensywnej terapii. Kabinę zajmowały wolontariuszki, starsze, ubrane na różowo panie. Siwa kobieta z uśmiechem skierowała go na drugie piętro. Bez trudu odnalazł interesujący go oddział i wszedł do środka.

Poczuł się jak u siebie w domu, wśród stojących w pozornym nieładzie skomplikowanych technicznie urządzeń.

Wszystkie łóżka były zajęte. Aparaty syczały i brzęczały.

Kiście butelek wisiały na stojakach do kroplówek jak szklane owoce. Wszystko oplatały rurki i przewody.

Wśród tego elektronicznego chaosu pracowały pielęgniarki. Zaabsorbowane swoimi obowiązkami, nie zwróciły uwagi na przybysza.

Dostrzegł Kelly przy pulpicie pielęgniarek. Właśnie odebrała telefon. Ich oczy spotkały się na moment, dała znak, by chwilę zaczekał. Zauważył, że notowała wartości wyników laboratoryjnych. Po skończonej rozmowie przedyskutowała liczby jednej z pielęgniarek, która dała znak, że zrozumiała i że tak ustawi spływanie kroplówki.

— W czym mogę pomóc? - przeniosła uwagę na Jeffreya. Ubrana była w białą bluzę i białe spodnie, a włosy miała uczesane we francuski warkocz.

- Już pomogłaś - odparł ze śmiechem.
- Słucham?
- To ja, Jeffrey!
- Jeffrey?
- Jeffrey Rhodes, nie mogę wprost uwierzyć, że nikt mnie nie rozpoznaje! Przecież to nie operacja plastyczna.
- Kelly uniosła dłoń, tłumiąc śmiech.
- Co ty tu robisz? Gdzie wąsy, co się stało z włosami?
- To długa historia. Masz minutkę?
- Jasne. - Uprzedziła inną pielęgniarkę, że bierze teraz swoją przerwę. - Wejdz - powiedziała, wskazując drzwi w głębi, za pulpitem. Wprowadziła go do pokoiku na zapleczu, zastępującego świetlicę, w którym można było schronić się, aby odpocząć.
- Co powiesz na małą kawę?
- Z największą przyjemnością.
- Napełniła dwa kubki.
- -A więc o co chodzi w tej całej przebierance?

Postawił płócienną torbę i zdjął okulary – zaczynały uciskać nos. Wziął kawę i usiadł. Kelly usadowiła się wygodnie, trzymając kubek obydwoma rękami. Zaczynając od chwili, kiedy opuścił jej dom poprzedniego wieczoru, opowiedział wszystko, co się wydarzyło

- niepowodzenia na lotnisku, okoliczności, w jakich został zbiegiem, włączając w to atak na Devlina mocującego się z kajdankami.
- Zamierzałeś uciec z kraju?
- Taki miałem zamiar.
- Nie zamierzałeś zadzwonić do mnie z tą wiadomością?
- Chciałem, przy najbliższej sposobności.
- Gdzie się zatrzymałeś?
- W domu noclegowym w mieście. Pokręciła głową. Była skonsternowana.
- Och, Jeffrey, to wszystko bardzo źle brzmi. Może powinieneś się ujawnić? Takie postępowanie nie pomoże w apelacji.
- Jeżeli zgłoszę się, natychmiast wsadzą mnie do więzienia i prawdopodobnie odmówią zezwolenia na ponowne zwolnienie za kaucją. W zasadzie apelacja powinna stanowić odrębną kwestię. W każdym razie nie mogę iść do więzienia, za dużo mam do zrobienia.
- Co to znaczy?
- Przeczytałem notatki Chrisa - mówił ledwie opanowując podniecenie - spędziłem też trochę czasu w bibliotece, gdzie dokonałem pewnego odkrycia. Myślę, że Chris wpadł na właściwy trop, podejrzewając zanieczyszczenie w marcainie podanej Henry'emu Noble. Zaczynam podejrzewać to samo, jeżeli chodzi o marcainę, którą zaaplikowałem Patty Owen. Chcę zbadać obydwa przypadki bardziej wnikliwie.
- Odnoszę wrażenie, że gdzieś to już słyszałam.
- Co masz na myśli?
- Mówisz identycznie jak Chris, kiedy zaczął podejrzewać istnienie zanieczyszczenia. Następną rzeczą, o której się dowiedziałam, było jego samobójstwo.
- Przepraszam, nie chciałem cię ranić, grzebiąc w przeszłości.
- Nie martwi mnie przeszłość, tylko ty. Martwię się o ciebie. Wczoraj byłeś w depresji, dzisiaj zachowujesz się trochę jak maniak. Co będzie jutro?

— Jutro będę normalny. Słowo honoru. Myślę, że jestem bardzo blisko prawdy. Przekrzywiła głowę na bok i unosząc brew przyglądała się Jeffreyowi badawczo.

— Chcę być pewna, że pamiętasz o złożonej obietnicy.

— Pamiętam.

-Tak będzie lepiej dla ciebie - odezwała się groźnie.

Po chwili dodała z uśmiechem:

— Skoro doszliśmy do porozumienia, może wyjaśnisz mi, co cię tak ekscytuje w pomysłach o zanieczyszczeniu?

— Wiele spraw. Po pierwsze, trwały paraliż Noble'a. Najwyraźniej przestały funkcjonować nerwy czaszkowe. Nic takiego nie występuje w anestezji kręgosłupa, a więc nie mogło to być nieodwracalne znieczulenie rdzeniowe, jak twierdzono. W moim przypadku dziecko również trwało w paraliżu z asymetrycznym podziałem.

— Czy paraliż Noble'a nie był uważany za wtórny, na skutek niedotlenienia spowodowanego wstrzymaniem akcji serca?

— Masz rację, ale Chris napisał, że przy autopsji, w badaniu mikroskopowym kolejnych wycinków, widoczne było zniekształcenie nerwów obwodowych.

— Przekonałeś mnie.

— Nie zobaczyłabyś żadnych zniekształceń przy takim stopniu niedotlenienia, jakie wystąpiło u Noble'a.

Gdyby utracił tyle tlenu, że doprowadziłyby to do zwyrodnienia nerwów obwodowych, nikomu nie udało się przywrócić go do życia. Poza tym znieczulenie miejscowe nie wywołuje zniekształceń nerwów. Blokuje jedynie ich działalność. Środki do znieczulenia lokalnych stanowiąc nie są trucicielami komórek.

— Przypuszczam, że masz rację. Jak zamierzasz to udowodnić?

— Nie będzie to łatwe, zwłaszcza w mojej sytuacji zbiega. Ale i tak dokonam tego. Chcę zadać ci jedno pytanie. Czy zgodzisz się mi pomóc? Jeżeli moja teoria jest słuszna i udowodnię ją, oczyszczę swoje imię, a tym samym i Chrisa.

- Oczywiście, że pomogę, myślisz, że musiałeś o to pytać?

— Chcę, byś zastanowiła się poważnie, mogą wyniknąć kłopoty z mojego statusu zbiega. Każda pomoc może być interpretowana jako współudział w przestępstwie. Może nawet sama pomoc jest przestępstwem. Właściwie nie wiem.

— Wykorzystam szansę, nie zrobiłam nic, by oczyścić imię Chrisa. Poza tym - dodała lekko się rumieniąc - zrobiłabym wszystko, by ci pomóc.

— Pierwszy krok to udokumentowanie, że obie ampułki marcainy pochodziły z tych samych zakładów farmaceutycznych. To powinno być proste. Trudniej będzie sprawdzić, czy pochodziły z tej samej partii, co podejrzewam. Chociaż od przypadku Chrisa do mojego upłynęło wiele miesięcy, istnieje taka możliwość. Martwię się, że w obiegu znajduje się więcej zanieczyszczonych ampułek.

— Boże! Skóra cierpnie na samą myśl!

— Czy utrzymujesz kontakt z kimś w Valley Hospital, kto może znać nazwę zakładów dostarczających marcainę? Wiem, że Memorial odbiera ten lek z Arolen w New Jersey.

— Oczywiście, większość personelu, z którym pracowałam w Valley, nadal tam jest. Od czasu do czasu kontaktuję się z przełożoną - Charlottą Henning. Zadzwońię do niej, gdy tylko skończę pracę.

— Znakomicie! Jeżeli chodzi o mnie, jestem nowym

członkiem załogi porządkowych w Boston Memorial Hospital.

— Co?!

Opowiedział jej, jak poszedł w nowym wcieleniu i zgłosił się na stanowisko sprzątającego na nocnej zmianie.

— Wcale mnie nie dziwi, że nikt cię nie rozpoznał. W każdym razie sama dałam się nabrać.

— Ale tam są ludzie, z którymi pracowałem całymi latami!

Drzwi do pokoiku uchyliły się i jedna z pielęgniarek zajrzała do środka.

-Kelly, będziesz potrzebna za parę minut. Przygotowujemy się do przyjęcia nowego pacjenta.

Powiedziała, że za moment przyjdzie. Pielęgniarka skinęła głową i wycofała się dyskretnie.

— A więc przyjęli cię do pracy bez namysłu?

— Tak właśnie zrobili. Zaczynam dziś w nocy.

— Co zamierzasz zrobić, gdy już tam będziesz?

— Zacznę od sprawdzenia twojej sugestii. Zamierzam wyjaśnić dlaczego w odpadkach znaleziono marcainę 0,75%. W związku z tym muszę przekonać się, jakie inne operacje przeprowadzono tego dnia w tej sali. Chcę poznać cały raport patologiczny Patty Owen. Ciekaw jestem, czy zrobiono badania mikroskopowe nerwów obwodowych podczas sekcji zwłok. Interesują mnie również wyniki toksykologiczne.

— Cóż ci mogę powiedzieć? Bądź ostrożny. - Wyrzuciła fusy i opłukała kubek nad zlewem. - Przepraszam, muszę wracać do pracy.

Zrobił to samo ze swoim kubkiem.

-Dzięki, że poświęciłaś mi tyle czasu i pogadałaś ze mną - powiedział, gdy otwierała drzwi.

Do pokoju dobiegł dźwięk respiratorów. Podniósł torbę, włożył okulary i podążył za nią.

— Zadzwoisz dzisiaj w nocy? Jak tylko będę mogła, porozmawiam z Charlottą.

— O której zwykle chodzisz spać? - zapytał.

— Na pewno nie przed jedenastą.

— Zadzwonię przed pracą.

Patrzyła, jak się oddalał. Chciała mieć tyle odwagi, żeby zaproponować mu zamieszkanie u niej.

Od kiedy Carl Bodanski pełnił swoje obowiązki szefa, nie miał jeszcze tak nadzwyczaj owocnego dnia. Tak bardzo irytująca go liczba pustych haczyków zmniejszyła się znacznie. Kilka stanowisk zostało obsadzonych.

Największym sukcesem było znalezienie dodatkowego pracownika do ekipy sprzątaczy na nocną zmianę. Zajęty był właśnie wieszaniem najnowszej plakietki na ogromnej tablicy. Na plakietce widniało nazwisko - Frank Amendola.

Odsunął się o parę kroków, lustrując uważnie tablicę.

Ostatnie nazwisko było trochę przekrzywione. Delikatnie przygiął cienkie, metalowe haczyki, utrzymujące plakietkę. Cofnął się ponownie. Dużo lepiej.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

-Wejść!

Zobaczył swoją sekretarkę - Marthę Reton. Weszła do pokoju zamykając za sobą drzwi.

Coś się działo. Zachowywała się dziwnie.

— Przepraszam, że przeszkadzam, panie Bodanski.

— Nic nie szkodzi, czy coś się stało?

Był osobnikiem odbierającym każdą zmianę w ustalonym porządku jako zagrożenie.

— Pewien mężczyzna chce się z panem zobaczyć.

— Kto to jest?

Przychodziło do niego mnóstwo ludzi. Dlaczego ona robi z tego jakiś problem?

-Nazywa się Horace Mannly, jest z FBI.

Poczuł delikatny dreszcz przebiegający po kręgosłupie. FBI, pomyślał z niepokojem.

Przypomniał sobie różne drobne wykroczenia, które popełnił w minionych miesiącach.

Nie zapłacił za parking. Odjął cenę telefaxu od swoich zeszłorocznych dochodów, chociaż nie używał tego urządzenia do celów zawodowych.

Przyjął odpowiednią pozycję przy biurku. Może dzięki profesjonalnemu wyglądowi zdoła odparować podejrzenia.

-Przyślij do mnie pana Mannly.

Martha ulotniła się. W chwilę później do gabinetu wszedł otyły mężczyzna.

-Pan Bodanski? - Powoli podszedł do biurka. - Agent Mannly - powiedział wyciągając rękę.

Kadrowiec uściśnął dłoń. Była lepka. Powstrzymał grymas.

Agent miał duże wole, zakrywające węzeł krawata.

Nadzwyczaj małe oczy, nos i usta skupione były w bladej płaszczyźnie twarzy.

— Zechce pan spocząć - zaproponował Bodanski, a kiedy obydwaj usiedli, spytał: - Co mogę dla pana uczynić?

— Komputery są po to, by nam ułatwiać pracę, ale czasami przysparzają dodatkowej pracy. Wie pan, co mam na myśli...

— Dokładnie tak.

— W pewnym momencie wielki komputer wypuł nazwisko Frank" Amendola. Czy to prawda, że ten człowiek pracuje dla was? Nie będzie panu przeszkadzało, że zapalę? .

— Tak. Nie. Tak znaczy, że właśnie zatrudniłem Franka Amendolę, a nie, że nie mam nic przeciwko temu, by pan zapalił.

Chociaż odczuł ulgę, że nie był obiektem indagacji, doznał rozczarowania. Powinien domyślić się, że ta nieszczęsna nocna zmiana to już było za dużo szczęścia.

Horace Mannly zaciągnął się papierosem.

— Nasze biuro otrzymało poufną informację o zatrudnieniu Franka Amendoli w Boston Memorial Hospital.

— Przyjeliśmy go dzisiaj. Czy jest wam potrzebny?

— Oo, nawet bardzo, ale nie jest to sprawa kryminalna. Chodzi o jego żonę, ona go poszukuje, nie FBI. Jakiś rodzinny dylemat. Czasem i w takie rzeczy jesteśmy wplątani.

Zona robi wielki szum, pisze do swojego kongresmana i do Urzędu, stąd to całe zamieszanie. Numer jego ubezpieczenia socjalnego był oznaczony sygnaturą "osoba poszukiwana". Tu chłopaki wbijają dla kontroli numer, a u nas dzwoni dzwoneczek.

Dobre, nie? Jak zachowuje się ten facet?

— Wydaje się trochę nerwowy - powiedział z ulgą

Bodanski, szczęśliwy, że Amendola nie był niebezpieczny. - W każdym razie zachowuje się normalnie. Robi wrażenie inteligentnego. Mówił, że będzie studiował prawo. Pomyśleliśmy, że jest dobrym kandydatem do pracy.

Czy powinniśmy coś zrobić?

— Nie wiem. Nie sędzę, miałem tylko sprawdzić, zobaczyć, czy rzeczywiście się pojawił. Proszę nic nie robić, aż się odezwiemy. W porządku?

— Będziemy szczęśliwi ze współpracy, dołożymy wszelkich starań.

— Wspaniale - powiedział Mannly. Jego twarz poczerwieniała, gdy z trudem dźwignął się na nogi.

— Dzięki za poświęcenie mi czasu. Dam znać, jak tylko będę coś wiedział.

Agent wyszedł, ale dym papierosa jeszcze długo unosił się w powietrzu. Bodanski odpukał leciutko w biurko, z nadzieją, że kłopoty Amendoli na gruncie rodzinnym nie pozbawią go dobrego pracownika.

Ani otoczenie wokół Essexu, ani nawet sam hotel nie był w stanie zepsuć cudownego humoru Jeffreya, kiedy pokonywał sześć stopni schodów prowadzących do drzwi frontowych. Może był trochę szalony, ale nareszcie odnosił wrażenie, że sprawy zbliżają się do końca. Odkąd pamiętał, po raz pierwszy czuł, że panuje nad wydarzeniami, a nie odwrotnie.

Wracając taksówką ze szpitala St. Joseph's, zastanawiał się, co spowodowało, że zaakceptował teorię o zanieczyszczeniu. To paraliż upewnił go o szkodliwej zawartości ampulek marcainy.

Przechodząc przez hall nagle zwolnił. Recepcjonista nie oglądał telewizji! Czał się w magazynku, na zapleczu.

Poprzednio te drzwi były zamknięte. Gdy ich oczy spotkały się, mężczyzna skinął głową. Wyglądało na to, że się go boi.

Wszedł na klatkę schodową i zaczął wspinać się do pokoju. Nie potrafił wytłumaczyć zachowania recepcjonisty, zawsze wydawał się trochę ekscentryczny, ale nigdy tak tajemniczy. Zastanawiał się, co to może oznaczać, jednak niczego nie podejrzewał.

Kiedy dotarł do piątego piętra, przechylił się przez balustradę schodów spoglądając w dół. Zobaczył na parterze mężczyznę obserwującego go z zadartą głową. Na widok Jeffreya błyskawicznie zniknął z pola widzenia.

To nie przewrażliwienie, pomyślał mijając drzwi z klatki schodowej. Ten człowiek najwyraźniej trzymał go na oku z bezpiecznej odległości. Ale dlaczego?

Posuwał się wzdłuż korytarza zaabsorbowany dziwnym zachowaniem recepcjonisty.

Nagle przypomniał sobie o mistyfikacji. Oczywiście! To musi być to! Ten człowiek nie rozpoznał go sądząc, że to ktoś obcy. Co będzie, jeśli zdecyduje się wezwać policję?

Stojąc przed drzwiami szukał w kieszeniach klucza.

Przypomniał sobie, że schował go do torby. Przesunął ją do przodu i otworzył środkową przegródkę. Postanowił zmienić hotel. Nie chciał mieć kolejnego zmartwienia z recepcjonistą.

Po otwarciu zamka schował klucz z powrotem do torby, chciał mieć go pod ręką, gdy będzie opuszczał pokój. Przekraczając próg ponownie zaczął zastanawiać się nad teorią o zanieczyszczeniu. Nagle zdrętwiał.

-Witaj w domu, doktorku - powiedział Devlin.

Leżał rozciągnięty na łóżku, z pistoletem wiszącym niedbale u boku. - Nie masz pojęcia, jak bardzo czekałem na nasze ponowne spotkanie, po tym jak potraktowałeś mnie na

lotnisku. Uniósł się na łokciu. Popatrzył z ukosa na Jeffreya. - Rzeczywiście, zmieniłeś się. Nie jestem pewien, czybym cię poznał - roześmiał się serdecznym, głębokim śmiechem, który przeszedł w urywany, papierosowy kaszel.

Splunął obok łóżka i uderzył się pięścią w pierś.

Odchrząknął, po czym odezwał się chrapliwie:

-Nie zostajesz? Wejdz, usiądź, czuj się swobodnie.

Z takim samym nieprzewidzianym refleksem, który kazał uderzyć Devlina neseserem, Jeffrey wyskoczył z pokoju. Zatraskując drzwi stracił równowagę, padając na kolana.

Gdy uderzył o wyświechtany dywan, w pokoju rozległa się eksplozja. Poczul spadające drzazgi. Nabój trzydziestki ósemki rozerwał drzwi z cienkich listewek i wylądował w przeciwległej ścianie.

Zerwał się na nogi. Popędził przed siebie korytarzem, do klatki schodowej. Nie mógł uwierzyć, że strzelano do niego. Devlin robił to na pewno dla zarobku, lecz pasował do kategorii ludzi myślących w sposób "żywy albo martwy". Po prostu oszalał!

Gdy z poślizgiem zahamował przy klatce schodowej, łapiąc ręką za futrynę, co ułatwiło zmianę kierunku, usłyszał za sobą trzask rozłupywanych drzwi pokoju. Przepychając się ramieniem przez drzwi prowadzące na klatkę schodową, usłyszał drugi strzał. Tym razem kula świsnęła przez szybę tuż za nim, rozwalając okno na końcu korytarza. Usłyszał śmiech Devlina. Ten potwór zabawiał się!

Rzucił się w dół po krętych schodach, przytrzymując się poręczy dla utrzymania równowagi. Przeskakiwał po kilka stopni. Torba wlokła się za nim jak porzecz. Dokąd bieć? Co robić? Prześladowca był niedaleko.

Już prawie osiągnął parter. Pokonywał ostatni zakręt, gdy usłyszał nad sobą trzaśnięcie drzwi, a potem echo ciężkich kroków na klatce schodowej. W panice wykonał ostatni sus, lądując na parterze. Rzucił się do drzwi, chwytając za ich pionowy uchwyt. Szarpnął, ale nie otworzyły się. Szarpał z zapamiętaniem, nie ustępowały ani o włos. Były zamknięte na klucz!

Oszalały z przerażenia pokazywał na migi recepcjoniście, że drzwi od klatki schodowej są zamknięte. Widział go przez zbrojoną szybę, trzęsącego się ze strachu. Za plecami słyszał dudnienie kroków Devlina. Jeszcze parę sekund i go dopadnie! Recepcjonista z obojętną miną wzruszył ramionami, udając, że nie rozumie, o co chodzi.

Nagle odgłos kroków ucichł. Odwrócił się powoli. Napastnik stał na pół piętrze przyglądając się ofiarze uwięzionej w pułapce. Mierzył do niego z pistoletu.

Czy to już koniec? Czy skończy życie w tym podłym miejscu? Ale Devlin nie nacisnął na spust.

-Nie powiesz mi chyba, że drzwi są zamknięte - odezwał się z fałszywą sympatią. -

Przykro mi, doktorku.

Zszedł powoli po kilku ostatnich schodach, celując cały czas w głowę.

-Śmiesznie, wolałbym, żeby były otwarte, byłoby uczciwiej.

Stanął dokładnie za Jeffreyem. Uśmiechał się z wyraźną satysfakcją.

-Odwróć się.

Osaczony wykonał zwrot podnosząc bezwiednie ręce do góry. Devlin pchnął go brutalnie na drzwi i przydusił całym swoim ciężarem. Zerwał z ramienia płócienną torbę, pozwalając jej upaść na podłogę. Nie chcąc popełnić błędu, wykręcił ręce Jeffrey'a do tyłu i nałożył kajdanki.

Zrewidował go, odwrócił twarzą do siebie i podniósł płócienną torbę.

-Jeżeli tutaj jest to, o czym myślę, zrobiłeś ze mnie szczęśliwego człowieka.

Otworzył zamek i włożył rękę do torby. Jego usta ułożyły się w szeroki uśmiech.

Triumfalnie wyciągnął paczkę studolarowych banknotów owiniętych banderolą.

-Oo, są pieniądze!

Szybko wrzucił paczkę z powrotem. Nie chciał, aby recepcjonista zaczął coś podejrzewać na widok pieniędzy.

Z torbą na ramieniu grzmotnął w drzwi klatki schodowej. Mężczyzna pospiesznie przekręcił klucz. Chwytnąjąc Jeffreya za kark, pchnął go do hallu.

— Co to, nie wiesz, że zamykanie drzwi od klatki schodowej jest pogwałceniem przepisów?

— Nie wiedziałem.

— Nieznajomość przepisów nie jest żadną obroną.

Zapamiętaj, albo przyśle inspekcję budowlaną.

Recepcjonista przytaknął. Spodziewał się podziękowania, może napiwku za współpracę i pomoc. Ale Devlin zignorował go prowadząc więźnia przez hall, do wyjścia.

Przemaszerowali przez jezdnię, do samochodu zaparkowanego przy hydrancie.

Przechodnie zatrzymywali się, uważnie ich obserwując. Devlin otworzył drzwi od strony pasażera i kazał Jeffreyowi wsiąść. Potem zatrzaskał i zamknął je kluczykiem. Okrążył samochód.

Z przytomnością umysłu, której nie spodziewał się w tych warunkach, Jeffrey pochylił się do przodu i wsunął prawą rękę do bocznej kieszeni marynarki. Palce chwyciły schowaną tam strzykawkę. Paznokciem swobodnie zsunął zabezpieczenie igły, delikatnie wyciągnął strzykawkę z kieszeni i oparł się o fotel.

Devlin otworzył drzwi, cisnął torbę na tylne siedzenie i usiadł za kierownicą. W chwili kiedy przekręcał kluczyk, by uruchomić silnik, Jeffrey rzucił się na niego, dla zwiększenia siły ataku zapierając się nogami o drzwi samochodu. Kompletnie go zaskoczył. Zanim odzyskał orientację, wbił mu szybko igłę w prawe biodro i nacisnął tłoczek.

-O kurwa! - pisnął Devlin.

Walnął Jeffrey a na odlew w bok głowy. Cios ogłuszył go, posyłając w kąt samochodu.

Devlin opuścił rękę chcąc zbadać źródło piekącego bólu w prawym boku. Natknął się na pięciocentymetrową strzykawkę, której igła była cała wbita w jego ciało.

-O Boże - wyszeptał zaciskając zęby. — Lekarze ze swoją fantazją są sto razy bardziej kłopotliwi niż wielokrotni mordercy.

Z grymasem bólu na twarzy, delikatnie wyciągnął strzykawkę i rzucił na tylne siedzenie. Jeffrey ocknął się po ciosie, próbując rozpaczliwie otworzyć swoje drzwi. Jednak skute ręce nie sięgały tak wysoko. Usiłował zębami wyciągnąć guzik zabezpieczający. W tym momencie Devlin chwycił go za kark potrząsając jak szmacianą lalką.

-Co mi, u diabła, wstrzyknąłeś?! Odpowiedz! - wrzasnął ściskając szyję jeszcze mocniej. Oczy lekarza wychodziły z orbit, a z gardła dobywało się charczenie.

Devlin puścił swoją ofiarę. Zamachnął się.

— Odpowiedz mi!

— Nic ci nie będzie, to ci nie zaszkodzi... - powiedział Jeffrey.

Unosząc ręce chciał osłonić się przed nadchodzącym ciosem. Ale uderzenia nie było!



Z pięścią w górze, napastnik zaczął się kołysać. Oczy traciły ostrość, wściekłość malująca się na twarzy ustąpiła zmieszaniu. Złapał kurczowo kierownicę, lecz nie potrafił utrzymać ciężkiego ciała. Osunął się na bok, w kierunku Jeffrey a. Próbował coś powiedzieć.

-To ci nie zaszkodzi, dostałeś małą dawkę scoliny.

Za parę minut będziesz czuł się normalnie. Nie denerwuj się.

Popchnął Devlina do pozycji siedzącej. Sięgnął do jego prawej kieszeni. Niestety nie znalazł kluczyka od kajdanek. Pochylił się do przodu, pozwalając bezwładnemu ciału osunąć się bokiem na fotel. Niezgrabnie przeszukał pozostałe kieszenie. Bez rezultatu. Już miał dać za wygraną, gdy spostrzegł mały kluczyk wiszący na kółeczku przy stacyjce. Kolejna czynność kosztowała go wiele wysiłku. Aby wyciągnąć kluczyki, musiał wstać i zgarbić się, odwrócony twarzą w stronę miejsca dla pasażera. Po kilku nieudanych próbach odniósł sukces. Włożył kluczyk w zameczek i otworzył kajdanki.

Teraz mógł zabrać z tylnego siedzenia swoją torbę.

Zanim opuścił samochód, zbadał Devlina. Był kompletnie sparaliżowany. Oddech miał wolny i równomierny.

Przy silniejszej dawce zostałaaby zaatakowana przepona.

Mogło to spowodować uduszenie w ciągu kilku minut.

Z wysiłkiem ułożył bezwładne ciało tak, by nie narazić na szwank krążenia. Wreszcie mógł opuścić samochód.

Zrobił krok w stronę hotelu. Recepcjonisty nie było widać. Zatrzymał się. Pomyślał o dobytku. Zdecydował, że zabieranie rzeczy będzie w tej sytuacji zbyt ryzykowne.

Urzędnik z hotelu w każdej chwili może wykręcić 911 - numer policji. Poza tym co tracił?

Żałował jedynie rozstania z notatkami Chrisa Eversona, wiedział na szczęście, że Kelly chciała pozbyć się wszystkich materiałów męża.

Obrócił się na pięcie i poszedł szybko w stronę centrum. Pragnął zniknąć w tłumie. Gdy poczuje się pewniej, wszystko spokojnie rozważy. Im dalej od Devlina, tym lepiej. Wciąż trudno mu było uwierzyć, że poradził sobie z zastrzykiem scoliny. Myślał o stanie, w jakim obudzi się Devlin. Boże, ale będzie wściekły! Epizod na lotnisku, a teraz dzisiejsza historia! Jedyne nadzieje w tym, że podczas następnego spotkania potrafi udowodnić swoją niewinność.

Tego dnia długo nie nadarzała się okazja, aby Trent mógł wrócić do składnicy leków.

Wieczorna zmiana rozpoczęła już pracę dosyć dawno, nim uporał się ze swoimi obowiązkami. Wyjątkowo długo trwała operacja tętniaka. Musiał wszystko uprzątnąć. W trakcie zmiany ekip pielęgniarskich nie było nikogo, kto by go zastąpił. Czy mu się to podobało, czy nie, musiał zostać dłużej. Zdarzało się to rzadko. Zwykle taka sytuacja nie przeszkadzała Trentowi. Jednak dzisiaj przekroczenie czasu było mu zdecydowanie nie na rękę.

Od rana pracował spięty, czekając na jemu tylko wiadomą wieść o tragedii. Za każdym razem, kiedy pielęgniarka dyspozycyjna wracała na salę operacyjną, spodziewał się nowiny o okropnych komplikacjach anestezyjologicznych. Nic z tego.

Podczas lunchu w barku drgnął, słysząc podniesiony głos jednej z pielęgniarek.

- Słuchajcie, wiecie, co się wydarzyło w sali numer osiem?

Gdy zapadła cisza, uraczyła ich opowieścią o tym, jak jednemu z chirurgów w tajemniczy sposób rozwiązały się spodnie i w trakcie badania pacjentki zsunęły do kolan.

Opowiadanie wszystkich ubawiło. Wszystkich, ale nie Trenta.

Zatrzymał się przed składnicą leków. Zabrał wcześniej z przebieralni i schował w slipach dobrą ampulkę marcainy. Jeszcze wiele osób kręciło się po korytarzu, choć zamieszanie spowodowane zmianą dyżurów ustąpiło.

Martwiła go taka sytuacja. Ponieważ nie miał dyżuru, wejście do składnicy leków było ryzykowne. Niewiele miał argumentów na swą obronę, jeżeli ktoś by zakwestionował jego obecność. Musiał wejść. Nie mógł pozostawić sfałszowanej ampulki bez opieki. Przekonał się, że musi być w momencie zużycia spreparowanego medykamentu. W powstałym zamieszaniu zawsze usuwał pustą fiolkę lub na jej miejsce podkładał inną, o podobnej zawartości. Nie mógł ryzykować, że ktokolwiek odszuka marcainę, by sprawdzić jej jakość.

Zrobił małą rundę wokół składnicy, zanim wszedł do działu zawierającego środki do znieczuleń miejscowych.

Na razie wszystko przebiegało po jego myśli. Upewniając się, że nikt go nie widzi, uniósł przykrywkę napoczętego pudełka marcainy i przyjrzał się uważnie jego zawartości. Zostały dwie ampulki. Jedną zużyto dzisiaj.

Bez trudu rozpoznał sfałszowaną. Szybko zamienił ją na dobrą, którą wyciągnął ze slipów. Zamknął pudełko i wsunął z powrotem na miejsce. Kiedy odwrócił się, by iść prosto do przebieralni, stanął jak wryty. Wstrząsnął nim widok wysokiej blondynki, blokującej drogę. Pielęgniarka wyglądała na tak samo zaskoczoną jak on. Stała w lekkim rozkroku, trzymając ręce na biodrach.

Próbując wymyślić wiarygodny powód obecności, poczuł, że się czerwieni. Miał nadzieję, że ampulka w slipach nie odznacza się zbyt.

— Czy mogę ci w czymś pomóc? - spytała. Ton przeczył pytaniu.

— Nie, dziękuję, właśnie wychodziłem, odniosłem resztę płynu infuzyjnego, nie zużytego przy tętniaku, w sali operacyjnej numer pięć.

Nie wyglądała na przekonaną. Wyciągała szyję starając się zajrzeć przez jego ramię. Zerknął na plakietkę. Gail Shaffer.

— Tętniak trwał siedem godzin.

— Słyszałam. Czy nie jesteś przypadkiem po dyżurze?

— Nareszcie - odpowiedział odzyskując zimną krew. - Dzień był bardzo długi, zasłużyłem na kilka piw. Mam nadzieję, że na wieczornej zmianie będzie spokój. Trzymaj się.

Prześliznął się obok pielęgniarki i ruszył korytarzem w kierunku hallu chirurgii. Obejrzał się po kilkunastu krokach. Gail Shaffer stała w wejściu do składnicy leków patrząc na niego. Cholera, pomyślał, coś podejrzewa. Pomachał do niej. Odwzajemniła gest.

Pchnął wahadłowe drzwi do hallu. Skąd, u diabła, wzięła się ta Gail Shaffer? Był zły, że nie zachował należytej ostrożności. Nikt nigdy nie przyłapał go przy regale z lekami.

Nie dochodząc do przebieralni, zatrzymał się w hallu przy tablicy informacyjnej. Wśród wielu notatek i komunikatów odnalazł nazwisko Gail Shaffer. Widniało na liście amatorskiej, szpitalnej drużyny koszykówki. Obok podano numery telefonów zawodniczek. Zanotował numer Gail na skrawku papieru. Z pierwszych trzech cyfr zorientował się, że była to centrala telefoniczna Back Bay.

Jakie to smutne, myślał wchodząc do przebieralni, by włożyć codzienne ubranie.

Fałszywą fiolkę wsunął znowu do kieszeni fartucha. Po drodze cały czas analizował fatalne wydarzenie. Gdy znalazł się w domu, był już absolutnie zdecydowany - musi coś zrobić z Gail Shaffer. W jego sytuacji nie można dopuścić do lekceważenia nawet Najdrobniejszych niedociągnięć.

ŚRODA

17 MAJA 1989 r. GODZINA 16.37

Devlin nienawidził szpitali. Gdy był małym chłopcem, wzdychającym w Dorchester, w Massachusetts, wręcz bał się ich. Matka wykorzystywała to, grożąc: "Jeżeli nie zrobisz tego czy owego, pojedziemy do szpitala i pan doktor zrobi ci zastrzyk". Awersja do zastrzyków trwała do dzisiaj. Stanowiła jeden z powodów, dla którego chciał złapać Jeffreya Rhodesa, nie zważając, czy Michael Mosconi zapłaci, czy nie. No, może nie do końca.

Wzdrygnął się. Doktorek zastraszył go tak skutecznie, że jeszcze w tej chwili nie otrząsnął się z tego stanu.

Podczas incydentu w samochodzie pozostawał świadomy zdając sobie dokładnie sprawę z przebiegu wydarzeń.

Odnosił wrażenie/ że przyciąganie ziemskie wzrosło tysiąckrotnie. Był całkowicie sparaliżowany. Nie mógł nawet mówić. Oddychał z ogromnym wysiłkiem i chociaż z całych sił starał się nabierać jak najwięcej powietrza, obawa przed uduszeniem nie ustępowała.

Recepcjonista hotelu Essex, wyjątkowy idiota, zjawiał się dopiero po ucieczce Jeffreya. Wielokrotnie bębnił w szybę pytając Devlina, czy z nim wszystko w porządku.

Otwieranie cholernych drzwi zabrało temu głupcowi dziesięć minut. Jeszcze kilka razy pytał o samopoczucie, zanim zorientował się, o co chodzi, i pognął do hotelu wezwać ambulans.

Upłynęło około czterdziestu minut od fatalnego wydarzenia, nim Devlin trafił do szpitala.

Ku ogromnej uldze paraliż ustąpił. Podczas jazdy ambulansiem ustąpiło także uczucie potwornej wagi ciała. Ale mogło w każdej chwili powrócić, dlatego pozwolił się wnieść do sali nagłych przypadków i poddać badaniom, mimo cholernej obawy przed szpitalem.

W dziale nagłych przypadków nikt nie zwracał na niego uwagi, wyjąwszy krótką wizytę umundurowanego policjanta. Oficer Hank Stanley, którego mgliście pamiętał, przyszedł przeprowadzić z nim rozmowę. Najwidoczniej ktoś z obsługi ambulansu zwrócił uwagę na pistolet. Kiedy Stanley go poznał, problem przestał istnieć. Pistolet był zarejestrowany, a właściciel miał pozwolenie.

W końcu zjawiał się lekarz. Był w wieku, który chyba pozwalał już na prowadzenie samochodu. Nazywał się Tardoff. Miał cerę jak niemowlak. Przez chwilę Devlin zastanawiał się, czy już się goli. Opowiedział, co się stało. Młodzieniec zbadał go, po czym ulotnił się bez słowa zostawiając Devlina w wydzielonym pomieszczeniu Sali nagłych przypadków.

Spuścił nogi z kozetki lekarskiej i wstał. Ubranie leżało na krześle.

-Weź się w garść! - powiedział do siebie.

Miał wrażenie, że czeka całe godziny. Lekceważąc procedurę szpitalną ubrał się szybko. Podszedł do stanowiska pielęgniarek prosząc o pistolet. Nalegały, by wrócił na kozetkę.

-Doktor Tardoff nie skończył jeszcze z panem - powiedziała wielka kobieta, prawie jego wzrostu.

-Obawiam się, że umrę ze starości, zanim wróci.

W tym momencie z pokoju do badań wyłonił się lekarz, ściągając gumowe rękawiczki.

-Przepraszam, że kazałem panu czekać - powiedział. - Musiałem zeszyć ranę. Rozmawiałem z anestezjologiem. Powiedział, że wstrzyknięto panu środek paraliżujący. Devlin podniósł ręce do twarzy i przetarł oczy, biorąc głęboki oddech. Jego cierpliwość kończyła się.

-Nie musiałem jechać taki kawał do waszego szpitala, żeby się dowiedzieć tego, co już wiem. Tylko po to miałem czekać?

— Przypuszczam, że chodzi o scolinę - doktor Tardoff ignorował jego uwagi.

— Przecież powiedziałem to panu.

Pamiętając, co mówił do niego Jeffrey, przytoczył nazwę leku, może niezupełnie dokładnie, ale wystarczająco podobnie.

— Jest to środek używany rutynowo w anestezjologii

- kontynuował niewzruszenie lekarz. -- Jest podobny do tego, jaki Indianie stosują w swych zatrutych strzałach, chociaż fizjologicznie środek ten uruchamia inne mechanizmy.

— Ta interesująca informacja przyda mi się najbardziej - powiedział ironicznie Devlin. - A teraz może usłyszę coś bardziej praktycznego, na przykład czy muszę się martwić, że paraliż powróci w najnieodpowiedniejszym momencie, może kiedy będę za kółkiem samochodu jadącego dziewięćdziesiąt mil na godzinę?

— Z pewnością nie, organizm całkowicie przetworzył lekarstwo. Aby osiągnąć taki sam stan, musi mieć pan wstrzykniętą kolejną dawkę.

— Myślę, że jej uniknę. Co z pistoletem?

Po podpisaniu kilku papierków wręczono mu dwie szare koperty. W jednej "był pistolet, w drugiej naboje.

Ostentacyjnie załadował broń i włożył ją do kabury. Dotykając wskazującym palcem czoła, wykonał coś w rodzaju salutu i wyszedł. Uff... Był zadowolony, że wy dostał się stamtąd.

Pojechał taksówką do hotelu Essex. Samochód wciąż stał, zaparkowany przy hydrancie. Zanim go zabrał, wszedł z hałasem do hallu.

Recepcjonista nerwowo przejawiał zainteresowanie jego zdrowiem.

— W porządku, ale nie dzięki tobie. Dlaczego tak wiele czasu zabrało ci wezwanie ambulansu? Mogłem umrzeć, do jasnej cholery!

— Myślałem, że pan śpi.

Pozostawił to bez komentarza. Obawiał się, że jeśli dłużej będzie o tym myślał, nabierze ochoty na uduszenie kretyna. Czy normalny człowiek decyduje się na drzemkę bezpośrednio po zatrzymaniu uciekiniera połączonym ze strzelaniną? Absurd!

-Czy Bard wrócił do hotelu, kiedy-ja, powiedzmy, zasnąłem?

Mężczyzna zaprzeczył.

— Daj mi klucz do 5F. Nie wchodziłeś tam?

— Nie, proszę pana.

Powoli wspinał się po schodach do pokoju Jeffreya.

Pośpiech nie był potrzebny. Popatrzył na przedziurawione pociskiem drzwi. Jakim cudem nie trafił doktora?

Otwór był pośrodku, na wysokości półtora metra od podłogi. Nabój powinien ugodzić Jeffreya!

Wnętrze pokoju świadczyło o tym, że recepcjonista kłamał. Był tutaj szukając wartościowych rzeczy. W łazience zorientował się, że zabrano większość przyborów toaletowych. Devlin podniósł kilka kartek ze stosiku leżącego na nocnym stoliku. Ponownie zaczął się zastanawiać, kim jest Chris Everson.

Jeffrey błędził po ulicach Bostonu z daleka omijając każdego zauważonego policjanta. Miał wrażenie, że wszyscy go obserwują. Wszedł do Filenesa, zaszywając się w podziemiach. Tłum dawał poczucie bezpieczeństwa. Chciał tak długo przeglądać ubrania na wieszakach, aż odzyska spokój i wymyśli następny krok.

Po godzinie zorientował się, że detektywi sklepowi śledzą go jak złodzieja specjalizującego się w okradaniu domów towarowych.

Poszedł w okolice przystanku metra przy Park Street.

Była godzina szczytu. Z zazdrością patrzył na pasażerów z biletami miesięcznymi, spieszących do domów. Marzył o domu, do którego mógłby spokojnie pójść. Zatrzymał się przy automatach telefonicznych, przyglądając się strumieniowi przechodniów. Kiedy ujrzał dwóch konnych policjantów jadących pod prąd Tremont Street, zdecydował przenieść się do Boston Common. Przez chwilę miał ochotę zejść na dół, do stacji kolejki, i razem z innymi wsiąść do zielonej linii do Brooklinu. Zrezygnował w ostatniej chwili. Pragnął iść prosto do Kelly. Wspomnienie przytulnego domu i myśl o spokojnym wypiciu filiżanki herbaty w jej towarzystwie były bardzo kuszące. Och, gdyby sytuacja wyglądała inaczej... Był kryminalistą, zbiegiem, bezdomnym wałęsającym się bez celu po mieście. Z tą różnicą, że dźwigał w torbie furę pieniędzy.

Pragnienie powrotu do Kelly walczyło z obawą wciągnięcia jej w wir kłopotów, tym bardziej że na tropie był zwariowany, uzbrojony łowca kaucji. Nie mógł zaprowadzić takiego maniaka pod jej drzwi. Wstrząsnął się na wspomnienie odgłosu strzałów. Gdzie iść? Czyż Devlin nie przeszuka wszystkich hoteli w mieście? Zdał sobie nagle sprawę, że teraz nie pomoże nawet przebranie. Prześladowca je znał! W związku z tym na pewno skorygowano rysopis.

Wyszedł z Common i znalazł się na rogu ulic Beacon i Charles. Skręcił w Charles. Nie opodal skrzyżowania trafił na ruchliwy sklep warzywny. Kupił trochę owoców. Nie jadł zbyt wiele tego dnia.

Jedząc, włóczył się po ulicy. Widok licznych taksówek nasunął mu wyjaśnienie obecności Devlina w hotelu. Prawdopodobnie zameldował o nim taksówkarz, kiedy zabrał go z lotniska. Przypominając sobie zachowanie w taksówce, musiał przyznać, że było raczej osobliwe.

Ale jeżeli kierowca poszedł na policję, dlaczego zjawił się łowca kaucji? Przystając od czasu do czasu, rozmyślał nad rozwiązaniem tej kwestii. Doszedł do wniosku, że do przedsięwzięcia taksówkowego osobiście zgłosił się Devlin. Dowodziło to, że nie tylko potrafił zastraszyć, ale był również przebiegły. Musi zachować większą ostrożność. Przekonał się już, że skuteczność ukrycia wymaga wysiłku i praktyki.

Doszedł do Charles Circle w miejscu, gdzie metro wyłania się spod Beacon Hill, biegnąc dalej przez most Longfellow.

Odpoczął, nie wiedząc, w którą stronę iść. Mógł skręcić w prawo, w Cambridge Street, i pójść z powrotem w stronę śródmieścia. Nie wyglądało to zachęcająco, kierunek kojarzył się z Devlinem. Patrząc pod słońce, dostrzegł kładkę łączącą Storrow Drive z bulwarem wzdłuż Charles River. Lepsze to niż nic.

Gdy osiągnął brzeg rzeki, ruszył wolnym krokiem po kiedyś eleganckiej drodze spacerowej z granitowymi stopniami i balustradami. Teraz wszystko było zaniedbane. Cudowna rzeka - brudna i rozciągająca bagienny zapach. Na jej połyskującej powierzchni rozsiane były małe żaglówki.

Zatrzymał się na wysokości Hatch Shell. Na scenie tej muszli koncertowej odbywały się w sezonie letnim darmowe koncerty. Usiadł na ławce, w alei dębów. Nie był sam. W parku zobaczył wielu biegaczy, graczy we frisbee, wrotkarzy popisujących się w labiryncie spacerowych ale- jek i ludzi odpoczywających po prostu na murawie.

Choć do zachodu zostało kilka godzin, wydawało się, że słońce straciło nagle swoją moc. Wysoko na niebie tworzyła się mgielka chmur, zwiastująca zmianę pogody. Zerwał się wiatr, przywiewając z wody zimne powietrze. Jeffrey zadrżał.

Musiał stawić się do pracy o godzinie 23.30. Do tego czasu nie miał co ze sobą zrobić.

Znowu pomyślał o Kelly. Przypomniał sobie, jak swobodnie czuł się u niej w domu. Od dawna nie pokładał w kimś takiego zaufania, od dawna nikomu się nie zwierzał.

Powróciła myśl o udaniu się do Brooklinu. Przecież Kelly zobowiązała go, by pozostawał w kontakcie.

Czyż nie chciała oczyścić nazwiska męża? Potrzebował pomocy, a ona wyglądała na osobę, która może mu pomóc.

Wyraźnie powiedziała, że chce tego. Co prawda miało to miejsce przed ostatnimi wydarzeniami. Będzie wobec niej całkowicie szczery. Opowie wszystko, nie zatai strzałów Devlina. Da możliwość wyboru. Jeżeli Kelly odmówi, zrozumie to. Musi się z nią zobaczyć. Jest dorosła i potrafi podjąć samodzielną decyzję, nawet ryzykowną.

Zdecydował, że najłatwiej dostanie się do jej domu metrem ze stacji przy Charles Street.

Wyobraził sobie Kelly siedzącą przy nim na wygodnej kanapie, usłyszał jej krystaliczny śmiech. Zerwał się do biegu. , Carol Rhodes wróciła z biura do domu. Dzień był wyczerpujący, lecz udany. Zakończyła przekazywanie większości klientów innym pracownikom banku. Pozostawało spokojnie oczekiwać służbowego przeniesienia do oddziału w Los Angeles. Zwątpiła już w to, kiedy kilka miesięcy temu zobaczyła odroczenie wyjazdu. Jednak w ostatnich dniach przyszło oficjalne potwierdzenie przeniesienia do południowej Kalifornii.

Sprawdziła w lodówce, czy ma coś na obiad. Został kawałek cielęciny, tak starannie przygotowany dla Jeffrey'a. Zauważyła też kilka liści sałaty.

Zanim zaczęła przygotowywać obiad, przeszłuchała taśmę automatycznej sekretarki. Nie było wiadomości.

Jeffrey nie odezwał się przez cały dzień. Gdzie jest, co się z nim dzieje? Wiedziała tylko, że podwyższając zadłużenie domu podjął z banku czterdzieści pięć tysięcy dolarów.

Co planuje? Gdyby potrafiła to przewidzieć! Nie zgodziłaby się na podpisanie nowego długu hipotecznego! Niech czeka na apelację w więzieniu. Marzyła o zakończeniu spraw związanych z rozwodem. Co ją kiedyś pociągało w tym mężczyźnie?

Spotkała Jeffrey'a w Bostonie. Rozpocząła właśnie naukę w Harvard Business School. Przyjechała z zachodniego wybrzeża, gdzie studiowała w Stanford. Była bardzo samotna i to zdecydowało, że poczuła do niego sympatię. Mieszkała w akademiku w Allston. Nie znała żywej duszy, kiedy się poznali. Nigdy, przenigdy nie myślała o zostaniu na stałe w Bostonie. Miasto było prowincjonalne w porównaniu z Los Angeles, a ludzie tak zimni jak klimat.

W przyszłym tygodniu wszystko będzie przeszłością.

Sprawy z Jeffreyem załatwić będzie przez prawnika, a sama zacznie nową pracę. Rozległ się dzwonek do drzwi. Spojrzała na zegarek.

Dochodziła siódma. Kto to może być? Z przyzwyczajenia zerknęła w wizjer. Cofnęła się na widok mężczyzny stojącego za drzwiami.

— Męża nie ma w domu. panie O'Shea! -zawołała. - Nie mam pojęcia, gdzie jest, i nie spodziewam się go.

— Chciałbym dwie minutki z panią porozmawiać, pani Rhodes.

— O czym?

Nie miała zamiaru dyskutować z tym nikczemnikiem.

-Trudno rozmawiać przez drzwi. Zajmę tylko trochę pani cennego czasu.

Pomyślała o wezwaniu policji. Tylko co im powie?

Jak wyjaśni nieobecność Jeffreya? Z tego, co wiedziała, racja może być dokładnie po stronie tego potwora. Poza tym mąż ulotnił się z pieniędzmi, które był winien Mosconiemu. Miała nadzieję, że nie wpadł w jeszcze większe tarapaty.

-- Chciałem zadać tylko parę pytań o tym, gdzie przebywa pani małżonek. - Gdy nie odpowiadała, dodał: -- Proszę pozwolić mi coś wytłumaczyć: jeżeli nie odnajdę go, Mosconi wezwie dużo twardszych zawodowców. Mogą poważnie skrzywdzić doktora. Jeżeli znajdę go pierwszy, może rozwiążemy całą historię, zanim kaucja zostanie skonfiskowana.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że Jeffrey może stracić pieniądze przeznaczone na kaucje przez konfiskatę.

Może powinna dojść do porozumienia z tym mężczyzną? Oprócz normalnego zamka i zasuw drzwi frontowe posiadały łańcuch zabezpieczający, którego ani Carol, ani Jeffrey nigdy nie używali. Wsunęła końcówkę łańcucha w szczelinę, zwolniła zasuwę i otworzyła drzwi. Zabezpieczone w ten sposób, uchyliły się zaledwie na parę centymetrów.

Chciała powiedzieć jeszcze raz, że nie ma pojęcia, gdzie jest Jeffrey. Nie zdążyła powiedzieć słowa. Zanim się zorientowała, drzwi zostały otworzone przy odgłosie rozłupywanego drewna. Na końcu łańcucha wisiał kawałek wyrwanej futryny.

W pierwszej chwili chciała uciekać, lecz Devlin chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Śmiał się bezczelnie.

-Kto ci pozwolił wejść do domu?! Nie życzę sobie tego!

Starła się, by głos brzmiał groźnie. Bezskutecznie usiłowała wyswobodzić się z uchwytu.

— Nie życzysz sobie? - udawał zdziwienie. - Wydaje się, że już wszedłem, no i jest to także dom doktora. Ciekaw jestem, czy ten diabelski pomiot wrócił po zrobieniu mnie w konia, wstrzyknięcie indiańskiej trucizny. Muszę przyznać, że jestem trochę zmęczony twoim mężem.

— Nie ty jeden - pokusiła się o komentarz. — Nie ma go - powiedziała przerywając raptownie pierwszą myśl.

— Tak? No to chodźmy troszkę się rozejrzeć.

— Wynoś się! - krzyczała, próbując stawić opór.

Bez efektu.

Devlin mocno trzymał jej nadgarstek, wlokąc z pokoju do pokoju. Nigdzie nie znalazł najmniejszego śladu obecności Jeffreya. Przez cały czas ponawiała próby wyswobodzenia. Ciągnąc ją na górę, nagle mocniej ścisnął rękę.

— Czy możesz się uspokoić?! - ryknął. - Ukrywanie lub współdziałanie z przestępcą, który zwał pod, kaucją, jest łamaniem prawa. Jeżeli doktorek jest tutaj, lepiej będzie dla ciebie, jeśli ja go znajdę, a nie policja.

— Jego nie ma! Nie wiem, gdzie jest, i jeśli mam być szczerą, nie dbam o to!

— No, no no! - zdziwił się ostatnim komentarzem.

Rozluźnił chwyt.

— Czyżbyśmy się troszkę poprztykali?

Wykorzystała jego szczerę zdziwienie i wyrwała rękę.

Bez chwili wahania trzasnęła Devlina prosto w twarz.

Po pierwszym oszołomieniu zaśmiał się głośno, chwytając ją ponownie za nadgarstek.

-Sprytna bestyjka! Taka sama jak mąż.

Chciałbym ci wierzyć. A teraz bądź tak uprzejma i oprowadź mnie po piętrze.

Dygotała ze strachu, gdy ciągnął ją na górę. Szedł tak szybko, że z trudem dotrzymywała mu kroku. Potknęła się na kilku stopniach, siniacząc nogi.

Szybko przeszli przez piętro. Patrząc na sypialnię z porozrzucanymi w nieładzie ubraniami i zaglądając do garderoby z podłogą zawałoną butami, powiedział:

-Nie bardzo się przepracowujesz.

Pobyt w sypialni przeraził ją, niepewną co do prawdziwych intencji Devlina. Starła się być czujna i wymyślić coś, zanim poczuje na sobie tę świnię.

Jednak najwyraźniej nie był zainteresowany Carol.

Powłókł ją wyżej kręconymi schodami, na poddasze, potem dwa piętra w dół, do piwnic. Nie było wątpliwości, że Jeffreya nie ma i nie było. Uspokojony, odprowadził ją do kuchni. Zajrzał do lodówki.

-Mówiłaś prawdę. Puszczę cię, mam nadzieję, że będziesz zachowywać się grzecznie.

Zrozumiano?

Przeszła go wzrokiem.

-Pani Rhodes, pytałem, czy rozumiano!

Przytaknęła w milczeniu.

Puścił nadgarstek.

— A teraz rozgoszczę się tutaj, na wypadek gdyby doktorek zadzwonił albo przyszedł po czystą bieliznę.

— Żądam, żeby pan wyszedł - powiedziała z wściekłością. - Albo pan wyjdzie, albo zawołam policję.

— Nie możesz wezwać policji.

— A to dlaczego?

— Ponieważ ci nie pozwolę. Mówię to niechętnie, ale w tych dniach Jeffrey nie ma dużego znaczenia dla policji, poza tym jestem jednym z tych, którzy egzekwują prawo i porządek, natomiast on utracił swoje prawa w chwili, gdy zapadł wyrok.

— Tak, on był sądzony - powiedziała - ale ja nie byłam.

— To czysta formalność - machnął ręką - porozmawiajmy o czymś ważniejszym. Co z obiadem?

Jeffrey dojechał kolejką do Cleveland Circle. Zanim zagłębił się w płataninę podmiejskich uliczek, poszedł spacerem wzdłuż Chestnut Hill Avenue. W kuchennych oknach paliły się światła, czekały psy i dzieci bawiły się na zewnątrz. Był to przyjemny wizerunek przedmieścia, w który idealnie wkomponowano stację Ford Taurus z pociągami



przejeżdżającymi naprzeciwko świeżo pomalowanych drzwi garażowych. Słońce opadło nisko nad horyzont. Było prawie ciemno.

Nie mógł doczekać się spotkania z Kelly, choć im bliżej znajdował się jej domu, tym większe ogarniały go wątpliwości. Nigdy nie miał problemów z podejmowaniem decyzji. Na karierę medyczną zdecydował się jeszcze w gimnazjum. Kiedy postanowili kupić dom, po prostu pojechał do Marblehead, przeszedł przez próg i powiedział - "to ten".

Ale nie dzisiaj. Gdy w końcu doszedł do drzwi frontowych i odważył się nacisnąć guziczek dzwonka, prawie marzył, żeby jej nie było.

-Jeffrey! - wykrzyknęła otwierając drzwi. - A to dzień niespodzianek, wejdz!

Wszedł do środka, zdając sobie natychmiast sprawę, jak ogromną ulgę poczuł na jej widok.

-Zdejmij marynarkę. Co się stało z okularami?

Podniósł rękę do twarzy. Dopiero teraz zorientował się, że je zgubił. Prawdopodobnie podczas ucieczki z hotelu.

— Nie zrozum mnie źle, bardzo się cieszę, że cię widzę, ale co tutaj robisz? - spytała prowadząc go do rodzinnego pokoju.

— Obawiam się, że mam gościa w pokoju hotelowym, czeka na mnie.

— O Boże! Opowiedz!

Jeszcze raz zwierzył się ze wszystkiego. Niczego nie pominął - spotkania w pokoju, strzałów, zastrzyku ze scoliny.

-Tylko anestezjolog mógł wymyślić coś takiego jak obezwładnienie łowcy kaucji scoliną - zachichotała mimo powagi sytuacji.

— Nie ma w tym nic śmiesznego - powiedział ponuro - kłopot w tym, że teraz stawka jest wyższa, a w związku z tym rośnie i ryzyko. Zwłaszcza jeśli odnajdzie mnie Devlin. Przeżyłem ciężkie chwile decydując się przyjść tutaj. Sądzę, że powinnaś na nowo przemyśleć swą ofertę pomocy.

— Bzdura, kiedy opuściłeś szpital, miałam wyrzuty sumienia, że nie zaprosiłam cię, byś u mnie zamieszkał.

Obserwował twarz Kelly. Jej szczerłość była rozbrajająca.

-Ten łajdak Devlin strzelał do mnie dwukrotnie.

Ostrymi nabojami. Śmiał się przy tym, jak gdyby bawił się w polowanie. Chcę mieć pewność, że rozumiesz skalę niebezpieczeństwa.

Patrzyła prosto w jego oczy.

— Dokładnie rozumiem, ponadto rozumiem, że musisz gdzieś mieszkać. Mam gościnny pokój. Prawdę mówiąc, będę obrażona, jeżeli nie skorzystasz z mojej propozycji. No jak, zgoda?

— Zgoda!

— Dobrze. Skoro ustaliliśmy wszystko, może coś zjemy. Założę się, że nie jadłeś nic przez cały dzień.

— Niezupełnie, zjadłem jabłko i banana.

— Co powiesz na spaghetti? Będzie gotowe za pół godziny.

— Spaghetti! Wspaniale!

Poszła do kuchni. W kilka minut przysmażyła w starym rondlu pokrojoną w kostkę cebulę i czosnek.

-Kiedy uciekłem Devlinowi, nie wróciłem już do pokoju hotelowego - odezwał się Jeffrey. Siedział wygodnie rozparty na kanapie, obserwując jej krzątanie w kuchni.

— Mam nadzieję, że nie wróciłeś - powiedziała wyjmując wielki kawał mięsa z lodówki.

— Wspominam o tym, ponieważ obawiam się, że straciłem notatki Chrisa.

— Nie ma zmartwienia, mówiłam, że zamierzam pozbyć się ich w jakiś sposób.

Wybawiłeś mnie z kłopotu.

— Jednak przykro mi.

Zabrała się do otwierania elektrycznym otwieraczem puszki obranych włoskich pomidorów.

— Ojej, zupełnie zapomniałam. Porozumiałam się z Charlotte Henning z Valley Hospital. Dostają marcinę z zakładów farmaceutycznych Ridgeway.

— Ridgeway? - spytał zaszepiony.

— Tak, dokładnie - potwierdziła dodając mięso do cebuli i czosnku. - Charlotte powiedziała, że Ridgeway jest dostawcą od czasu, kiedy marciną weszła do ogólnego użycia.

Obrócił się na kanapie i utkwiał niewidzący wzrok w ciemnościach ogrodu za oknem. Był wstrząśnięty. Fakt, że marciną z Memorial i Valley pochodziła z tych samych zakładów farmaceutycznych, był najważniejszym punktem zaczepienia w teorii o, zanieczyszczeniach.

Jeżeli marciną użyta podczas operacji Owen i Noble'a pochodziła z różnych źródeł, w żaden sposób nie można było uznać, że należała do tej samej zanieczyszczonej serii.

Nieświadoma wrażenia, jakie wywarła jej informacja, Kelly dodawała pomidory do mięsa, czosnku i cebuli.

Wsypała trochę oregano, wymieszała i zmniejszyła gaz, by wszystko dusiło się powoli.

Wydostała wielki garnek, napełniła wodą i postawiła na palniku.

Podszedł do niej. Oparł się o kuchenny blat.

— O co chodzi? - spytała.

— Jeżeli dostawcą Valley jest Ridgeway, to tezę o zanieczyszczeniu można wyrzucić za okno. Marciną przychodzi w szczelnych, szklanych ampułkach, zanieczyszczenie może być wprowadzone tylko podczas cyklu produkcyjnego.

Wytarła ręce.

— Nie może być coś dodane później?

— Wątpię.

— Co myślisz o dodaniu zanieczyszczenia po otwarciu ampułki?

—

Nie. Sam otwieram ampułki natychmiast nabierając lekarstwa. Pewien jestem, że Chris robił tak samo.

— No, ale musi być jakiś sposób, nie poddawaj się tak łatwo. Nie popełniaj błędów Chrisa.

— Wprowadzić zanieczyszczenie do ampułki to znaczy przebić szkło - powiedział prawie ze złością. - To niemożliwe. Kapsułki - tak, ale szklane ampułki - nie.

Gdy tylko to powiedział, zaczął się zastanawiać. Pamiętał zajęcia w laboratorium chemicznym na uczelni.

Zażądano od niego wykonania pipety przy użyciu palnika bunsenowskiego i szklanych prętów. Przypomniał sobie, że roztopione szkło było miękkie jak cukierek toffi, zanim rozgrzało się do czerwoności i dało wyciągnąć do stanu wiotkiego cylindra.

— Masz w domu jakieś strzykawki?

— Jest torba lekarska Chrisa, mogą tam być. Mam ją przynieść?

Kiwnął głową. Podeszedł do kuchenki gazowej i włączył palnik obok pyrkoczącego sosu do spaghetti.

Półmiej powinien być wystarczająco gorący. Kelly wróciła z torbą. Znalazł w niej strzykawkę i kilka ampulek z jakimś medykamentem.

Rozgrzał koniuszek igły, aż metal stał się czerwony.

Spróbował szybko wbić strzykawkę w szkło. Nic z tego.

Następnie spróbował ogrzewać szkło i wbijać zimną igłę.

Również bez efektu. Potem rozgrzał szkło i igłę. Bez trudu przebił ampulkę. Obejrzał dokładnie jej zakończenie.

Gładkie zaokrąglenie zostało zniekształcone, a maleńka dziurka wskazywała na miejsce wbicia igły. Włożył ampulkę z powrotem w płomień. Kiedy szkło stało się miękkie, próbował zalać dziurkę przez obracanie szklanego naczynka. Roztopione szkło zniekształciło się jeszcze

bardziej psując zakończenie ampulki.

— Co ty kombinujesz? - spytała Kelly, zaglądając przez ramię.

— Myślę, że masz rację - powiedział, znowu pełen nadziei. - To jest możliwe, chociaż wcale nie łatwe.

Spartaczyłem dokładnie ampulkę, ale doświadczenie dowodzi, że można to zrobić idealnie. Kwestia wprawy i przyrządów. Na pewno gorętszy, wąski płomień, łatwiejszy do nakierowania, ułatwiłby całą operację.

Podawała mu kawałek lodu owinięty w ściereczkę do przyłożenia na poparzony palec.

— Jaki rodzaj zanieczyszczenia podejrzewasz?

— Nie potrafię ściśle określić, ale myślę o jakimś rodzaju toksyny. Cokolwiek to było, wywołało efekty w bardzo małym stężeniu. Biorąc pod uwagę notatki Chrisa, musi to wywoływać zniekształcenie komórki nerwowej bez uszczerbku dla nerek lub wątroby. W ten sposób eliminujemy wiele zwykłych trucizn. Powinienem wiedzieć więcej, kiedy dotrę do wyników autopsji Patty Owen. Interesuje mnie szczególnie raport toksykologiczny. Przeglądałem go pobieżnie podczas procesu i pamiętam, że wynik toksykologiczny był negatywny. Nigdy nie zbadałem tego dokładnie. Wtedy nie wydawało się to istotne.

Kelly wrzuciła makaron do wściekle bulgoczącej w garnku wody. Spojrzała na Jeffreya.

— Jeżeli w taki sposób toksyna dostała się do marcainy - wskazała na ampulki i strzykawkę leżące na blacie - to znaczy, że ktoś fałszuje ją, by z premedytacją truć.

— Mordować - poprawił.

— O Boże! - ogarnęło ją przerażenie. - Dlaczego? - spytała - dlaczego ktoś miałby to robić?

Wzruszył ramionami.

— Jest to pytanie, na które nie potrafię odpowiedzieć. Jeżeli tak jest, nie pierwszy raz zdarza się, że ktoś fałszuje leki lub celowo ich używa ze szkodą dla pacjenta.

Czy można przewidzieć motyw? A doktor X z New Jersey, zabijający pacjentów przez przedawkowanie scoliny?

— A teraz to.

Była wyraźnie wstrząśnięta. Ciężko jest pogodzić się z

myślą, że ktoś nienormalny grasuje po korytarzach bostońskich szpitali.

-Jeżeli jesteś przekonany, że to prawda, nie sądzisz, że powinniśmy zawiadomić policję?

—

Chciałbym! Nie możemy jednak z dwóch powodów. Przede wszystkim w świetle prawa jestem mordercą i zbiegiem. Ale nawet w innej sytuacji musielibyśmy przyznać, że nie mamy najmniejszego dowodu.

Jeżeli ktokolwiek zgłosiłby się na policję z takim opowiadaniem, wątpię, czy cokolwiek by zrobiono w tej sprawie. Potrzebny jest dowód, zanim zwrócimy się do władz.

— Ależ my musimy powstrzymać tego osobnika!

— Zgadzam się! Zanim nastąpią nowe zgony i zostanie oskarżonych więcej lekarzy.

Kelly dodała jeszcze jedno zdanie do tego, co powiedział. Zrobiła to tak cicho, że ledwie usłyszał.

-Zanim nastąpią kolejne samobójstwa.

Jej oczy napełniły się łzami.

By ukryć zmieszanie, odwróciła się do kuchenki gazowej. Wyłowila kłębek spaghetti i wyrzuciła go na półmisek. Kluski były sklezione.

— Chodźmy jeść - powiedziała wycierając łzy.

— Zadzwoń do ciebie zaraz po skończonym zabiegu

- powiedziała Karen Hodges do matki. Sterczała przy telefonie prawie godzinę, zaczynała odczuwać irytację.

Uważała, że powinno być odwrotnie - to nie ona ma uspokajać matkę.

— Czy jesteś pewna, że ten lekarz jest dobry? - spytała pani Hodges.

Karen przewróciła oczami, porozumiewając się w ten sposób ze współlokatorką Marcją Ginsburg. Dziewczyna uśmiechnęła się porozumiewawczo. Dokładnie wiedziała, przez co przechodzi Karen. Miała podobne telefony. Matka nieustannie ostrzegała ją przed mężczyznami, AIDS, narkotykami i nadwagą.

— Tak, to dobry lekarz, mam - nawet nie starała się ukryć rozdrażnienia.

— Powiedz mi jeszcze raz, jak do niego trafiłaś.

— Mamo! Mówiłam ci milion razy.

— No już dobrze, dobrze - powiedziała starsza pani - tylko zadzwoń na pewno, jak tylko będziesz mogła. Słyszysz?

Wiedziała, że córka jest rozdrażniona, ale nie była w stanie nic na to poradzić, ponieważ sama była bardzo zdenerwowana. Proponowała mężowi przyjazd do Bostonu, chciała być z Karen podczas laparoskopii. Niestety pan Hodges twierdził, że nie może opuścić biura. Poza tym przekonywał ją, że laparoscopia jest zwykłym zabiegiem diagnostycznym, a nie "prawdziwą operacją".

- Jest prawdziwą operacją, jeżeli dotyczy mojego dziecka - replikowała.

Ostatecznie pozostali w Chicago.

— Zadzwoń, gdy tylko będę mogła - obiecała Karen.

— Powiedz mi, jakiego rodzaju znieczulenie będziesz miała robione - pani Hodges przeciągała rozmowę.

— Zewnątrzoponowe.

— Przeliteruj.

Zrobiła to.

— Czy jest stosowane przy porodach?

-Tak, także przy takich zabiegach jak laparoscopia, jeżeli nie ma pewności, jak długo będzie trwała. Lekarz nie wie, co zobaczy. Może przedłużać się. Nie chce, żebym była nieświadoma. Oj, mam, przedyskutuj to z Cheryl.

Cheryl była starszą siostrą Karen. Ona także miała kłopoty z endometriozą.

— Ale to nie będzie skrobanka?

— Mamo, muszę iść.

Ostatnie pytanie wyprowadziło ją z równowagi. Po całej tej rozmowie matka myślała, że Karen ją oszukuje.

Bez sensu!

-Powiedz mi... - usiłowała jeszcze coś wtrącić pani Hodges.

Rozłączyła rozmowę. Odwróciła się do Marci. Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

— Oj, te mamuśki!

— Gatunek jedyny w swoim rodzaju.

- Nie chce uwierzyć, że mam dwadzieścia trzy lata i dyplom college'u. Ciekawe, czy będzie traktowała mnie ten sposób, kiedy skończę studia prawnicze.

- Jeżeli chodzi o mnie, nie mam wątpliwości - powiedziała Marcia. Karen uzyskała dyplom Simmons College w ubiegłym roku. Pracowała teraz dla wyjątkowo napastliwego i wziętego prawnika specjalizującego się w sprawach rozwodowych. Została jego prawą ręką. Gerald McLellan stał się dla niej bardziej mentorem niż szefem.

Doceniając jej inteligencję, nakłonił do zapisania się na studia prawnicze. Miała rozpocząć jesienią naukę w Boston College.

Chociaż była okazem zdrowia, od okresu dojrzewania cierpiała na endometriozę. Na przestrzeni roku choroba nasiliła się. By rozpocząć leczenie, lekarz skierował ją na laparoskopię.

— Nie zdajesz sobie sprawy, jaka jestem szczęśliwa, że pójdziesz ze mną jutro, a nie matka - powiedziała Karen.

— Zrobię to z przyjemnością.

Marcia wzięła wolny dzień w banku, by towarzyszyć jej w dniu zabiegu i jeżeli okaże się, że Karen nie musi zostać na noc w szpitalu, odwiedzić do domu.

-Trochę się martwię jutrzejszym dniem - przyznała Karen.

W wieku dziesięciu lat była na pogotowiu, po upadku z roweru. Od tamtej pory nie odwiedzała szpitala.

— To szybko minie, też się bałam przed operacją wyrostka robaczkowego. Okazało się, że niepotrzebnie. Na- prawdę

— Nigdy nie miałam znieczulenia. Co będzie, jeżeli nie zadziała i wszystko będę czuła?

— Nawet u dentysty nie byłaś znieczulana?

Karen potrząsnęła przecząco głową. - Nigdy, tak się złożyło.

Trent Harding zdjął z półki szklanki i usunął fałszywy tył szafki. Wyjął ze skrytki pistolet kaliber 45. Pozwolił mu dopasować się do dłoni. Kochał tę spluwę. Dostrzegł ledwie widoczną plamkę na lufie. Wziął papierowy ręcznik i pieszczotliwie wypolerował broń.

Ponownie sięgnął do skrytki po magazynek z nabojami. Trzymając pistolet lewą ręką włożył magazynek od dołu rękojeści i pchnął go na miejsce. Usłyszał szcęk mechanizmu. Czynność ta sprawiła mu zmysłową przyjemność. Ważąc pistolet w dłoni, czuł różnicę - był załadowany. Trzymając go w ten sam sposób jak Crockett w Miami Vice, wycelował przez kuchenne drzwi w plakat Harleja-Davidsona, wiszący na ścianie w salonie. Przez chwilę zastanawiał się, czy może postrzelać we własnym mieszkaniu. Doszedł do wniosku, że nie jest to warte ryzyka. Czterdziestka piątka robi piekielny hałas - nie chciał, żeby sąsiedzi zawołali gliny.

Położył pistolet na stole i wrócił do ukrytych skarbów.

Wyciągnął ze skrytki fiolkę z żółtym płynem. Wstrząsnął nią i popatrzył pod światło. Nie miał pojęcia, jak zdołano uzyskać ten wyciąg ze skóry żab. Kupił to od kolumbijskiego sprzedawcy narkotyków w Miami. Surowiec rzeczywiście był przedni. Wszystko, co ten facet obiecywał, sprawdziło się.

Nabrał w małą, pięciocentymetrową strzykawkę trochę płynu i dopełnił wodą do iniekcji. Nie miał pojęcia, ile użyć, sytuacja była zupełnie nowa. Nie znał nawet efektu, na jaki może liczyć.

Ostrożnie odłożył fiolkę do skrytki, założył ściankę i ustawił szklanki. Schował do kieszeni zabezpieczoną strzykawkę pełną rozpuszczonej toksyny. Wetknął pistolet za pasek. Poczul zimno metalu na plecach.

Poszedł do przedpokoju i założył wyjętą z szafy kurtkę firmy Levis. Upewnił się przed lustrem w łazience, czy pistolet nie jest widoczny. Na szczęście krój kurtki skutecznie go maskował.

Z żalem zwalniał miejsce do parkowania na Beacon Hill wiedząc, że kiedy wróci, cholernie dużo czasu zajmie mu wyszukanie nowego. Ale czy miał inne wyjście?

Pokonał dystans do St. Joseph's mniej więcej w jedną czwartą tego czasu, jaki musiałby stracić korzystając z miejskiej komunikacji. Parkowanie stanowiło kolejną przyczynę niechęci, do lekarzy. Wolno im było parkować przy szpitalu przez cały dzień. Przywilej nie dotyczył personelu pielęgniarskiego, z wyjątkiem przełożonych i pracujących na nocnej zmianie.

Zaparkował na publicznym parkingu, jak najbliżej pracowniczego. Zamknął samochód i nie spiesząc się ruszył do szpitala. Podziękował grzecznie wolontariuszce pytającej, czy może mu w czymś pomóc. W szpitalnym kiosku kupił "Globe" i usadowił się w rogu hallu. Przyszedł za wcześnie, jednak nie chciał stracić najmniejszej szansy. Musiał być na miejscu, kiedy Gail Shaffer będzie wychodziła z pracy.

Devlin beknął. Czasami tak reagował na wypite piwo.

Zerknął na Carol - patrzyła z oburzeniem. Siedziała w przeciwległym końcu pokoju rodzinnego, ze złością przerzucając kartki ilustrowanego magazynu. Widać było, że jest zdenerwowana.

Ponownie skoncentrował się na grze Red Sox. Uznał ją za dobry relaks. Bardzo go pasjonowała, choć denerwował się, kiedy przegrywali. Gorycz porażki osładzał mu widok nawet małej szansy na zwycięstwo.

Podjadł całkiem przyzwoicie. Po cielęciny na zimno i sałatce zostało jeszcze trochę miejsca, zappełnił je czterema piwami. Przed wizytą w gospodarstwie Rhodesów nigdy nie słyszał o piwie Kronenbourg. Nie było złe, co prawda nadal preferował Bud.

Doktorek ani się nie pojawił, ani nie zadzwonił. Devlin, chociaż dostał przyzwoity posiłek podczas wykonywania czynności służbowych, czyli nieustannego czuwania - musiał pogodzić się z towarzystwem Carol. Po jednym spędzonym z nią wieczorze zrozumiał, dlaczego Jeffrey nie skorzystał z możliwości powrotu do domu.

Rozluźnił się. Usiadł głębiej i wygodniej na kanapie.

Zsunął kowbojskie buty, opierając nogi o jedno z kuchennych krzeseł. Ziewnął. Taka praca była o wiele przyjemniejsza niż siedzenie w samochodzie przed domem, nawet jeżeli Red Sox przegrywali. Zamrugał, poczuł, że zapada w sen.

Carol nie mogła uwierzyć, że tak będzie wyglądała jedna z ostatnich nocy spędzonych w Bostonie, w towarzystwie zbira zainteresowanego miejscem pobytu Jeffreya.

Wkrótce nie będzie miała możliwości spotkania byłego męża, choć może warto, by powiedziała, co o nim sądzi.

Obserwowała Devlina kątem oka. Sądziła, że zasnął.

Jednak wstał i poszedł po jeszcze jedno piwo. Z otworzoną butelką wrócił do horyzontalnej pozycji i przymknął oczy.

Po pewnym czasie jego głowa opadła na piersi, a z butelki, którą trzymał w przechylonej dłoni, zaczęło wylewać się piwo. Oddech stał się chrapliwy. Zapadł w głośny i głęboki sen. Carol siedziała w bezruchu, bojąc się przewrócić stronę pisma. Nagle z odbiornika telewizyjnego dobiegł hałas - jeden z graczy drużyny Red Sox dobiegł do bazy końcowej. Drgnęła. Była przekonana, że wrzask tłumu na stadionie obudzi Devlina. Ale nie, zaczął donośniej chrapać.

Odważyła się zmienić pozycję. Wolno wstała, odkładając pismo na obudowę telewizora. Wstrzymując oddech, minęła na palcach Devlina, przeszła przez kuchnię i weszła na górę. Zamknęła drzwi sypialni na klucz.

Bez wahania podeszła do telefonu. Po wykręceniu numeru 911 powiedziała dyżurnemu oficerowi, że ma w domu intruza i prosi o natychmiastową interwencję policji. Spokojnie podała adres. Skoro Jeffrey rozwiązywał problemy swoimi metodami, mogła stosować własne. Dyżurny oficer zapewnił ją, że pomoc jest już w drodze.

Mimo wszystko wolała zachować ostrożność. Weszła do łazienki, zamknęła drzwi na klucz i usiadła na opuszczonej klapie sedesu. Czekwała. Po niespełna dziesięciu minutach zadzwieczał dzwonek do drzwi. Błyskawicznie wybiegła z łazienki, przebiegła przez sypialnię zatrzymując się pod drzwiami. Usłyszała głośną wymianę zdań.

Wyszła z sypialni stając na szczycie schodów. Z dołu docierały fragmenty rozmowy, a potem, ku jej ogromnemu zdziwieniu - śmiech!

Ruszyła po schodach. W hallu przy wejściu stali dwaj umundurowani policjanci.

Chichotali i poklepywali Devlina po plecach. Wyglądało, jakby wszyscy byli dobrymi przyjaciółmi.

-Przepraszam bardzo! - odezwała się podniesionym głosem, przystając na ostatnim schodku.

Wszyscy trzej podnieśli głowy.

— Carol, kochanie - powiedział Devlin – okazuje się, że zaszło nieporozumienie. Ktoś wezwał policję z powodu jakiegoś intruza.

— Ja wezwałam policję - i wskazując na niego dodała - on jest tym intruzem.

-Ja?! - zawołał z przesadnym zdziwieniem.

Zwracając się do policjantów ciągnął dalej:

-Jaki ze mnie intruz, spałem grzecznie, o tam, przed telewizorem. Prawdę mówiąc, Carol zatrzymała mnie dobrym obiadem. Zaprosiła mnie...

-Nigdy go nie zapraszałam! - wrzasnęła.

— Jeżeli chłopcy zechcecie wejść do kuchni, zobaczycie brudne talerze po naszym romantycznym obiedzie. Podejrzewam, że kogoś rozczarowałem zasypiając.

— Zmusił mnie do zrobienia obiadu - warknęła.

Devlina wyglądał na autentycznie skrzywdzonego.

Manifestując oburzenie przemaszerowała przez przedpokój, chwyciła łańcuch z kawałkiem futryny. Machnęła nim przed policjantami.

— Czy to tak wygląda, jakbym zapraszała tę świnię?

— Nie mam pojęcia jak to się wyrwało. Naprawdę nie mam z tym nic wspólnego - znacząco przewrócił oczami - ale jeżeli ta mała kobietka chce, żebym odszedł, to odejdę. Tylko rozumiesz, Harold, i ty Willy, że mogła po prostu poprosić, żebym wyszedł. Nie lubię przebywać tam, gdzie mnie nie chcą.

— Willy, czy mógłbyś na chwilę wyjść z panem O'Shea na zewnątrz? - powiedział starszy z policjantów. - Pogawędzę przez moment z panią Rhodes. Devlin wrócił do pokoju po buty. Kiedy je wciągnął, wyszli z Willym przed dom i stanęli obok samochodu patrolowego.

-Te kobiety - powiedział łowca kaucji unosząc głowę w kierunku domu Rhodesów - sprawiają tyle kłopotów. Zawsze coś jest nie tak!

— Uch, ona jest niczym piorun kulisty -- dodał Harold, dołączając do nich.

— Co, u diabła, zrobiłeś, że doprowadziłeś ją do takiej złości?

Devlin wzruszył ramionami.

— Może zraniłem jej uczucia? Skąd mogłem wiedzieć, że moje zaśnięcie tak ją dotknie? Zależy mi jedynie na tym, by odnaleźć jej męża, mam nadzieję, że przed konfiskatą kaucji.

— Staralem się ją uspokoić - powiedział Harold - ale proszę cię, postępuj rozważnie i błagam, nie niszcz niczego więcej.

— Rozwaga? Do diabła, to moja dewiza życiowa - powiedział ze śmiechem Devlin. - Przepraszam, chłopaki, że sprawiłem wam trochę kłopotu.

Harold zaczął wypytywać o jednego z policjantów, wydalonego z policji razem z Devlinem za udział w aferze korupcyjnej.

-Przeprowadził się na Florydę, pracuje w charakterze prywatnego detektywa, w Miami - odpowiedział zapytany.

Na pożegnanie uściśnieli sobie ręce, wsiedli do samochodów i odjechali. Ale Devlin nie odjechał daleko. Zrobił pętlę wokół domu i zaparkował w miejscu z którego mógł dogodnie prowadzić obserwację. Ubolewał, że będzie musiał nająć kolesia do śledzenia Carol, jeżeli Jeffrey nie pojawi się w domu.

Jednak po tym wieczorze nie miał już takiego przeświadczenia, że Carol doprowadzi go do doktora. Łącząc komentarz Mosconiego, że nie wyglądają na bardzo zakochanych, z zachowaniem Carol i kilkoma jej uwagami, widział coraz większą potrzebę znalezienia innego sposobu na zlokalizowanie miejsca pobytu Jeffreya.

Jedna rzecz na pewno ułatwi sprawę - podsłuch, który zamontował w telefonie Rhodesów, gdy Carol przygotowywała obiad. Jeżeli Jeffrey zadzwoni - będzie o tym wiedział.

Jeffrey rozejrzał się po pokoju gościnnym Kelly. Zostawił swoją płócienną torbę pod łóżkiem. Było to najbezpieczniejsze miejsce. Postanowił nie mówić o pieniądzach. Nie chciał przysparzać jej nowych zmartwień.

Cicho wyszedł ze swojego pokoju. Znalazł Kelly w sypialni. Siedziała oparta w łóżku, z książką na kolanach.

Drzwi były uchylone, jak gdyby czekała, aż Jeffrey powie jej dobranoc. Miała na sobie różową, trykotową piżamę z ciemnozielonymi lamówkami. Obok niej leżały dwa koty - jeden syjamski, drugi typowy dachowiec.

-Cóż za swojski obrazek - powiedział.



Rozejrzał się po pokoju. Był uroczo kobiecy, z tapetami we francuskim, wiejskim stylu i znakomicie dobranymi zasłonami. Widać było dbałość o każdy detal. Na wierzchu nie leżały żadne ubrania. Nie mógł oprzeć się porównaniu tego pokoju z wiecznie zabałaganionym legowiskiem Carol.

-Właśnie miałam do ciebie wejść i sprawdzić, czy obudziłeś się. Podejrzewam, że nie spotkamy się rano.

Wychodzę do pracy o 6.25. Zostawię klucz wewnątrz lampy kolejowej, na ganku.

-Nadal chcesz, żebym został?

Zrobiła smutną minę.

-Myślałam, że już to uzgodniliśmy. Zdecydowanie chcę, żebyś został. To był mój pomysł, zwłaszcza że gdzieś grasuje ten maniak.

Zbliżył się do łóżka. Syjamski kot prychnął.

-Daj spokój, Samson, nie bądź zazdrosny - skarciła kota. - Nie jest przyzwyczajony do obecności mężczyzn w tym domu.

— Skąd się wzięły te zwierzaki? Jak to się stało, że nie poznałem ich wcześniej?

— To jest Samson - wskazała na syjamskiego - przebywa raczej poza domem, siejąc postrach w sąsiedztwie. A to Delilah, jest w ciąży, jak widać. Śpi całymi dniami w spiżarni.

— Czy to małżeństwo?

Zaśmiała się w charakterystyczny sposób. Uśmiechnął się również.

Ten mały żart nie wydawał mu się zbyt zabawny, ale jej wesołość była zaraźliwa.

-Kelly - zaczął lekko zakłopotany - nie wiem, jak to wyrazić, ale nie masz pojęcia, jak bardzo doceniam twoją wyrozumiałość i gościnność. Nigdy nie będę w stanie odwdziaczyć się.

Spuściła głowę, głaszcząc pieszczotliwie Delilah. Pomyślał, że się, "zaczerwieniła, ale trudno było zauważyć to w przyćmionym świetle.

— Chciałem, żebyś o tym wiedziała.

Zmieniając temat, powiedział:

— No to pogadamy jutro, nie wiem, o której.

— Bądź ostrożny. I powodzenia. Jeżeli wpadniesz w tarapaty, daj znać. Wszystko jedno, o jakiej porze.

— Nie będzie żadnych problemów - powiedział z przekonaniem.

Pół godziny później, wspinając się po schodach Boston Memorial Hospital, nie był już tak pewien siebie.

Śmiałość uzyskana podczas obchodu szpitala z Martinezem ustąpiła, znowu obawiał się spotkania z kimś znajomym. Nie mógł odzłować okularów, pozostała jedynie nadzieja, że nie stanowiły kluczowego rekwizytu w przebraniu.

Po założeniu uniformu sprzątacza nabrał większej pewności. Na swojej szafce zastał zawieszoną kopertę, zawierającą plakietkę z nazwiskiem i kartę identyfikacyjną ze zdjęciem.

Podskoczył, czym wystraszył mężczyznę klepiącego go po ramieniu.

— Kolego, spokojnie, jesteś nerwowy, czy co?

— Przepraszam - powiedział Jeffrey - chyba jestem trochę zdenerwowany, to moja pierwsza noc w pracy.

Stał przed małym człowiekiem o pociągłej twarzy i ciemnych rysach.

— Nie ma co się denerwować. Nazywam się David Arnold, jestem szefem zmiany. Przez kilka pierwszych nocy będziemy pracowali razem. Nie martw się, wtajemniczę cię we wszystko.

— Miło mi. Ale mam bogate doświadczenia szpitalne, jeżeli chcesz, żebym pracował samodzielnie, jestem pewien, że się sprawdzę.

— Zawsze kilka pierwszych dni spędzam z "nowym".

Nie bierz tego do siebie. Daje to możliwość dokładnego pokazania naszych wymagań, stosownie do panujących zwyczajów.

Jeffrey zorientował się, że lepiej się nie spierać. David wprowadził go do wąskiego pomieszczenia bez okien, skromnie umeblowanego stołami i ławkami, wyposażonego w automat do napojów i elektryczny ekspres do kawy. Przedstawił go pracującym na "cementarnej" zmianie. Dwóch mówiło tylko po hiszpańsku. Trzeci używał ulicznego slangu, a do tego podskakiwał i kołysał się bez przerwy w takt muzyki, dochodzącej ze słuchawek na uszach.

Arnold zebrał swoich pracowników minutę przed jedenastą.

-W porządku, wyruszamy - rzucił komendę.

Jeffrey skojarzył tę scenę z wymarszem patrolu wojskowego. Opuścili pomieszczenie zabierając ze sobą wózki. Każdy pracownik był odpowiedzialny za wyposażenie swojego. Podążył za przykładem innych, upewniając się, czy jego wózek ma potrzebny zestaw przyborów i środków czyszczących. Ich pojazdy były prawie dwukrotnie większe od tych normalnych, używanych do zakupów w sklepach.

Jeden koniec zajmowały przyrządy z długimi rączkami mopy do zmywania podłóg, kurzawki i miotły.

W drugim wisiała wielka, plastikowa torba na odpadki. Środkowa część składała się z trzech półek. Mieściły się na nich rzeczy różnego rodzaju - środki do czyszczenia szkła, płytek ceramicznych, środki dezynfekcyjne do blatów stołów, papierowe ręczniki, zapasowy papier toaletowy. Niżej leżały mydła, pasty, środki do polerowania, a nawet smar WD-40.

Jeffrey podążył za Davidem w stronę wind zachodniego skrzydła. Kierunek ten dodawał otuchy, szarpiając jednocześnie nerwy. W zachodnim skrzydle znajdował się blok operacyjny i laboratoria. Bardzo chciał się tam znaleźć, ale z lękiem myślał o tych, na których mógł się natknąć.

-Zaczniemy na bloku operacyjnym - powiedział

David, potęgując strach Jeffreya. - Czy kiedykolwiek wdziewałeś jałowe ubranie?

-- Kilka razy - odpowiedział z roztargnieniem, zdając sobie sprawę, że z chwilą przebrania nastąpi koniec mistyfikacji. Marzył o okularach w czarnej oprawce. Powinien bez przerwy chodzić w masce chirurgicznej. David prawdopodobnie nie zgodzi się na to, gdyż maskę nosi się zazwyczaj tylko w trakcie operacji. Powie, że jest przeziębiony.

Jednak nie od razu poszli na blok operacyjny. David zarządził, że na pierwszy ogień idą szatnie i hall chirurgii.

-Ty zrób hall, ja zaczęną przebieralnie - powiedział, kiedy znaleźli się na oddziale.

Jeffrey potaknął.

Zajrzał do hallu i szybko cofnął głowę. Na kanapie siedziały dwie pielęgniarki anestetyczki i piły kawę.

Znał je.

— Coś nie tak? - spytał David.

— Nie, nic, wszystko dobrze...

— Dasz sobie radę, nie martw się, najpierw odkurz.

Nie zapomnij o rogach przy suficie. Potem zetrzyj stoły.

Na końcu podłogę na mokro. Dobra?

Popchnął wózek do przebieralni zamykając drzwi za sobą.

Jeffrey głośno przełknął ślinę. Musi zacząć! Wziął kurzwawkę na długim kijku i wszedł do hallu. Starał się odwracać twarz od pielęgniarek. Nie zwracały na niego najmniejszej uwagi. Uniform sprzątacza był tak samo dobry jak czapka niewidka.

8

ŚRODA

17 MAJA 1989 r. GODZINA 23.23

Gail Shaffer z plecakiem przewieszonym przez ramię wyszła z windy. Była w towarzystwie Reginy Puksar. Szły głównym korytarzem w kierunku wyjścia. Znały się prawie od pięciu lat. Dyskutowały często o osobistych problemach, choć poza szpitalem nie przyjaźniły się. Opowiedziała Reginie o ostatniej sprzeczce z przyjacielem, z którym była od dwóch lat.

— Zgadzasz się z tobą - powiedziała Regina - jeżeli

Robert oznajmiłby nagle, że chce się umówić z innymi ludźmi, odrzekłabym: dobra, ale muszą odpowiadać nam obojgu. Znajomości nie działają wstecz. Albo rozwijają się, albo umierają. Przynajmniej takie mam doświadczenia.

— Mam takie same - westchnęła Gail.

Nie zauważyły wstającego Trenta. Był tuż za nimi, gdy przechodziły przez obrotowe drzwi. Słyszał nawet ich rozmowę.

Przekonany, że kobiety skierują się na parking dla pracowników, został trochę w tyle.

Przystanął obok sportowego, czerwonego pontiaca fiero, rozmawiając przez kilka minut.

W końcu pożegnały się. Gail wsiadła do samochodu, a Regina poszła dalej, do swojego.

Podszedł do corvetty. Nie był to najlepszy samochód do śledzenia. Był zbyt jaskrawy. Nie przypuszczał, by miało to w tym przypadku jakiegokolwiek znaczenie. Gail nie miała najmniejszych powodów do podejrzeń.

Jej samochód również rzucał się w oczy, co ułatwiało jazdę za nim. Skierowała się prosto do Back Bay, spodziewał się tego, pamiętając numer jej telefonu. Na Boylston Street zaparkowała na drugiego i weszła do sklepu.

Boylston była ulicą jednokierunkową, toteż Trent zjechał na drugą stronę, zatrzymując się w pobliżu postoju taksówek. Stąd mógł łatwo obserwować sklep i samochód Gail.

Kiedy ukazała się z jedną paczuszką, poczekał chwilę, aż odjedzie. Wśliznął się tuż za nią.

Skręciła w lewo, w Berkeley, lekko zwalniając. Zorientował się, że poluje na miejsce do parkowania, nie było to łatwe o tak późnej porze. Mógł zwiększyć dystans. W końcu znalazła miejsce na Marlborough Street, jednak za nic w świecie nie potrafiła wjechać w nie tyłem.

-Niekompetentna dziwka - wymamrotał, przyglądając się trzeciej próbie cofania.

Zaparkował w niedozwolonym miejscu. Nie przejmował się tym. Jeżeli dostanie mandat - no to co? To był interes. Każda suma będzie wliczona w koszt. Obawiał się jedynie odholowania samochodu, jednak wiedział z doświadczenia, że istniało małe prawdopodobieństwo takiego obrotu rzeczy.

Wreszcie, ku własnemu zadowoleniu, ale nie Trenta, zaparkowała. Według niego mogła zahamować dobre pół metra dalej. Wsiadła zabierając swoje pakunki, zamknęła drzwi kluczykiem i ruszyła pieszo. Obserwował ją, pozostając niewidoczny po przeciwległej stronie ulicy.

Minęła kilka domów i weszła do budynku, którego wejście otoczone było murkiem z brązowych kamieni.

Odczekał parę minut, wszedł i kolejno sprawdził nazwiska lokatorów umieszczone przy dzwoneczkach do poszczególnych apartamentów. Znalazł "G. Shaffer" wpisaną razem z "A. Winthrop".

-Do diabła - szepnął.

Miał nadzieję, że Gail mieszka sama. Rozgniewany wrócił na ulicę. Nie mógł przecież wpakować się do mieszkania, jeżeli siedzi tam współlokatorka. Musiał działać bez świadków.

Spojrzał w Beacon Street, w kierunku Boston Garden. Zobaczył, że znajduje się w pobliżu popularnego pubu znanego dzięki serialowi telewizyjnemu Cheers.

Skonkretyzowało to jego zamiary. Może wyciągnie Gail lub współlokatorkę z mieszkania. Zdecydowanym krokiem pokonał krótką odległość dzielącą go od Hampshire House. Skorzystał z automatu telefonicznego. Wybrał numer Gail, wynotowany z tablicy informacyjnej szpitalnego hallu. Gdy telefon dzwonił, zastanawiał się nad różnymi wariantami rozmowy. Wszystko zależało od tego, kto odbierze.

— Hallo - usłyszał głos po drugiej stronie linii.

To była Gail.

— Czy mogę prosić panią Winthrop?

— Przykro mi, nie ma jej w domu.

Twarz Trenta rozjaśniła się. Może mimo wszystko pójdzie gładko.

— Kiedy wróci?

— Przepraszam, kto mówi?

— Przyjaciel rodziny. Przyjechałem do Bostonu w interesach i podano mi ten numer.

Miałem przekazać pozdrowienia.

— Jest w pracy, na nocnej zmianie w St. Joseph's Hospital, czy chce pan jej numer telefonu? Można ją tam złapać. W każdym razie będzie w domu około 7.30, jeżeli woli pan jeszcze raz zadzwonić.

Trent uśmiechnął się, że zapisuje numer, podziękował i rozłączył się. Nie potrafił pohamować uśmiechu.

Wszedł z Hampshire House i pośpieszył z powrotem do budynku Gail. Pozostało jedynie dostać się do jej mieszkania. Wszedł na klatkę schodową. Włożył czarne, skórzane rękawiczki, których zwykle używał do prowadzenia samochodu. Nacisnął przycisk dzwoneczka.

Po chwili przez siateczkę domofonu zatrzeszczał kobiecy głos.

— Czy to Gail?

— Tak, kto tam?

— Duncan Wagner - było to pierwsze nazwisko, jakie przyszło mu na myśl. Wagnerowie mieszkali obok Hardingów, niedaleko bazy wojskowej w San Antonio.

Duncan był kilka lat starszy od Trenta. Bawili się razem, zanim ojciec Duncana nie doszedł do wniosku, że Trent ma na jego syna zły wpływ.

— Czy my się znamy? - spytała Gail.

- Z widzenia, nie z nazwiska, pracuję wieczorami na dziecięcym.
- Pomyślał, że pediatria zabrzmi niewinnie,
- Na trzecim piętrze?
- Zgadza się. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam, ale nasza paczka ze szpitala wylądowała w Bull Finch Pub. Padło twoje nazwisko i ktoś powiedział, że mieszkasz właśnie na tej ulicy. Zagraliśmy w marynarza o to, kto pójdzie po ciebie i poprosi o przyłączenie się do nas. Wygląda na to, że wygrałem.
- To mile z twojej strony, ale właśnie weszłam do domu. Jestem prosto po pracy.
- My też, przyłącz się do nas. Znasz wszystkich.
- Kto jest jeszcze?
- Między innymi Regina Puksar.
- Dopiero co się z nią rozstałam. Mówiła, że ma się spotkać z chłopakiem.
- Nic o tym nie wiem. Może zmieniła zdanie, może chłopak nie przyszedł. W każdym razie jest. Bardzo nalegała, by cię ktoś przyprowadził. Uważa, że powinnaś się zabawić.
- Nastąpiła pauza. Wiedział, że już ją ma.
- Jestem jeszcze w "mundurku" - powiedziała Gail.
- Tak samo jak parę innych osób - miał odpowiedź na wszystko.
- No dobra, ale muszę wziąć prysznic.
- Nie ma sprawy, poczekam.
- Może spotkamy się tam na miejscu?
- Nie, poczekam, tylko zabrzęcz i wpuść mnie.
- Zajmie mi to mniej więcej dziesięć minut.
- Szykuj się tak długo, jak potrzebujesz.
- W porządku - poddała się - jeśli chcesz zaczekać, mieszkam w 3C.

Nagle zamek wewnętrznych drzwi na klatkę schodową zaczął brzęczeć. Błyskawicznie pchnął uchwyt. Wchodząc do środka, uśmiechnął się znowu. To nie tylko było łatwe, ale zaczynało być zabawne. Sprawdził pistolet. Był zabezpieczony. Dotknął strzykawki bezpiecznie ukrytej w kieszeni.

Wspiął się szybko na trzecie piętro. Sztuką było osiągnąć mieszkanie Gail, zanim ktokolwiek go zobaczy. Jeżeli spotka kogoś z jej piętra, uda, że idzie gdzie indziej. Na szczęście, na korytarzu trzeciego piętra nie było nikogo w zasięgu wzroku. Co więcej, zostawiła dla niego otwarte drzwi. Wszedł do środka i przekręcił zamek. Chciał mieć pewność, że nikt mu nie przeszkodzi. Z łazienki dobiegał szum wody. Gail była pod prysznicem.

- Rozgość się - zawołała słysząc zamykane drzwi
- wyjdę piorunem!

Rozejrzał się. Zaczął od kuchni. Nikogo w niej nie było. Sprawdził drugą sypialnię. Zapalając światło, upewnił się, że też jest pusta. Gail była w łazience dotykającej do jej sypialni. Znakomity rozkład.

Wyciągnął ukochaną broń, objął rękojeść kładąc delikatnie palec na spuście. Pasowała do dłoni idealnie. Podszedł do drzwi sypialni Gail i popchnął je ostrożnie.

Uchyliły się na parę centymetrów. Trent zajrzał do środka. Łóżko było rozesłane. Gail rzuciła na nie niedbale pielęgniarzki mundurek. Na podłodze leżały majteczki i para białych pończoch z paskiem. Zza zamkniętych drzwi łazienki dochodził szum wody.

Podszedł do paska i trącił go nogą. Jego matka zawsze nosiła taki sam. Powtarzała setki razy, że rajstopy są niewygodne. Ojciec często wyjeżdżał w misjach wojskowych, wtedy nalegała, by z nią spał. Toteż rósł oglądając paski do pończoch częściej, niż tego chciał. Cicho podszedł do drzwi łazienki i spróbował przekręcić gałkę. Łatwo ustąpiła. Drzwi zaskrzypiały i przez niewielką szparę dmuchnęło wilgotnym, ciepłym powietrzem.

Wycelował pistolet tak jak Don Johnson w Miami Vice.

Trzymał go oburącz. Stopą otworzył drzwi na całą szerokość. Urządzenie łazienki było starego typu, z porcelanową wanną na wygiętych nogach i zasłoną kąpielową z nadrukiem w duże irysy. Rozpoznał przez nią sylwetkę Gail myjącą szamponem włosy.

Zrobił dwa kroki w kierunku wanny i płynnym ruchem odsłonił zasłonę. Pręt, na którym wisiała, odczepił się i wszystko ze szczękiem runęło na podłogę.

Osłoniła rękami piersi.

- Co.... kto... - wybełkotała plując wodą. Potem wrzasnęła ze złością: - Wynoś się!!!

Woda spływała po dokładnie namydlonym ciele dziewczyny. Minęło parę sekund, zanim odzyskał równowagę. Ta kobieta miała na pewno lepszą figurę niż jego matka.

- Wychodź spod prysznicy - powiedział z zimną krwią, celując z pistoletu. - Wyłaź! - powtórzył, kiedy się nie poruszyła.

Była sparaliżowana strachem. Przyłożył pistolet do jej głowy.

Zacząła krzyczeć. W małym pomieszczeniu łazienki wrzask zabrzmiał przeraźliwie. Chcąc uciszyć ją jak najszybciej, uniósł wysoko broń i wałną mocno rękojęścią.

Uderzył dokładnie na linii włosów. Zdał sobie sprawę, że cios był za silny. Bezwładnie osunęła się do wanny. Długie rozcięcie biegło od czoła aż do ucha. Rana wyglądała na głęboką. Zobaczył biel kości. Woda w wannie zaróżowiła się natychmiast od dużej ilości krwi.

Zakręcił prysznic. Wpadł do salonu nasłuchując.

Gdzieś obok włączony był telewizor. Nie słyszał nic innego. Przyłożył ucho do drzwi - na korytarzu i klatce schodowej panowała cisza. Nikt nie słyszał krzyku Gail. Nikt nie kwapił się do przyścia z pomocą. Wrócił do łazienki.

Gail zatrzymała się w pozycji półsiedzącej z podwiniętymi pod siebie nogami i głową opartą o róg ściany. Oczy miała zamknięte.

Wepchnął pistolet za pasek. Chwytnąc ją za nogi chciał położyć bezwładne ciało wzdłuż wanny. Nagle przerwał ogarnięty furią. Spodziewał się, że na widok obnażonej dziewczyny odczuje coś w rodzaju podniecenia seksualnego.

Tymczasem widok ten wywołał w nim jakby wstręt albo lekki strach.

Wyciągnął z wściekłością pistolet. Trzymając za lufę uniósł kolbę wysoko nad głowę. Miał ochotę zmasakrować jej spokojną twarz. Powstrzymał się w ostatniej chwili. Powoli opuścił pistolet. Zdał sobie sprawę, że popełniłby błąd. Miała wyglądać, jakby śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych, nie na skutek morderstwa. Na tym polegała genialność jego planu.

Ponownie wepchnął pistolet za pasek i wyjął z kieszeni strzykawkę. Pochylając się nad ofiarą usunął zabezpieczenie igły. Wykorzystując głębokie rozcięcie na linii włosów, wstrzyknął zawartość bezpośrednio w ranę. Dawało to pewność, że miejsce wkłucia nie zostanie nigdy odkryte.

Wyprostował się. Nałożył kapturek z powrotem na igłę i wsunął pustą strzykawkę do kieszeni. Czekał i obserwował. W ciągu minuty twarz Gail wykrzywiły skurcze

mięśni, zniekształcając ją coraz bardziej i układając usta w groteskowym grymasie. Skurcze szybko rozprzestrzeniły się na resztę ciała.

Parę minut później drgawki przeistoczyły się w silne szarpnięcia, doprowadzając w rezultacie do gwałtownego ataku typu padaczkowego. Głowa bezwładnie uderzała z przyprawiającym o mdłości odgłosem o glazurę. Trent skrzywił się..

Zrobił krok do tyłu, wstrząśnięty siłą medykamentu.

Efekt był przerażający. Kiedy zauważył, że dziewczyna nie panuje nad czynnościami fizjologicznymi, odwrócił się i uciekł do salonu.

Otworzył drzwi na klatkę schodową. Nie było nikogo.

Wyszedł zatrząskując je. Na palcach doszedł do schodów i ruszył w dół. Wyszedł z budynku wolno, jakby na spacer. Musiał mieć pewność, że niczym nie zwróci na siebie uwagi.

Odczuwał zdenerwowanie. Skręcił w prawo, w Beacon Street, a potem skierował się do Bull Finch Pub. Nie rozumiał swojego zaniepokojenia. Liczył, że przemoc wywoła podekscytowanie, podobne temu, jakie odczuwał oglądając kasety z Miami Vice.

Podczas spaceru wmawiał sobie, że Gail nie była aż tak atrakcyjną dziewczyną. Doszedł do wniosku, że właściwie była całkiem brzydka. To tłumaczyło brak podniecenia na widok jej nagiego ciała. Była cholernie chuda i w ogóle bez piersi. Co do jednego miał absolutną pewność - nie był homoseksualistą. Co prawda wojsko użyło właśnie takiej wymówki, ale tylko dlatego, że nie zgadzał się z lekarzami.

Aby potwierdzić swą normalność, postanowił poderwać czarną, pewną siebie dziewczynę, siedzącą przy barze. Nie była atrakcyjna, ale to nie miało znaczenia. Prowadząc pogawędkę zauważył, że jest pod wrażeniem jego ciała. Nawet spytała, czy nad sobą pracuje. Co za głupie pytanie, pomyślał. Każdy prawdziwy mężczyzna, który dba o siebie - ćwiczy. Jedynie te szczeniaki, słabeusze, na których Trent sporadycznie natrafiał, kiedy wychodził na Cambridge Street szukając zaczepki, na pewno nie ćwiczą.

Niewiele czasu zajęło Jeffreyowi doprowadzenie hallu chirurgii do czystości, jakiej nie było tu od lat.

W pobliżu pomieszczenia przeznaczonego do wypoczynku sprzątający mieli swoją szafkę, w której znalazł odkurzacz. Nie poprzestał na wyczyszczeniu pokoju wypoczynkowego, przydzielił sobie hall i drogę do wind. Posprzątał znajdującą się tuż obok kuchenkę. Zawsze miał wrażenie, że jest brudna: Skorzystał z okazji. Zadowolony wymyślił lodówkę, zlew i kuchenkę gazową.

David nie przychodził. Kiedy Jeffrey wszedł do przebieralni, zorientował się natychmiast, co było przyczyną nieobecności szefa. Jego system polegał na pięciu lub dziesięciu minutach pracy, po których następowała pięcio- lub dziesięciominutowa przerwa na papierosa. Czasami dochodziła do tego kawa.

David nie był zachwycony tym, że nowy pracownik wykonał tak wiele w tak krótkim czasie. Poradził nawet, żeby zwolnił tempo, inaczej spali się w robocie. Ale Jeffrey czuł się zdecydowanie gorzej stojąc i nic nie robiąc.

Kiedy David zaniechał wszelkich zamiarów odgrywania roli nadzorcy, wręczył podwładnemu oddzielny komplet kluczy. Powiedział, że Jeffrey może samodzielnie iść do kompleksu sal operacyjnych.

-Zostanę tutaj i skończę szatnię - dodał – potem przyjdę i pomogę ci. Zaczynij od korytarza bloku operacyjnego. Nie zapomnij zetrzeć wielkiej tablicy z rozkładem zajęć. Właściwie zrób to najpierw. Przełożona pielęgniarek dostaje szau, gdy zapominamy umyć tablicę od góry do dołu. Potem zajmij się salą operacyjną używaną dzisiaj w nocy. Inne powinny być sprzątnięte podczas wieczornej zmiany.

Co prawda wolałby pójść prosto do patologii i wyszukać raport patologiczny Patty Owen, ale i tak był zadowolony, że dostanie się na blok operacyjny. Wdział jałowe ubranie, tak jak został poinstruowany. Zaalarmowało go spojrzenie w lustro - stał się znowu bardziej podobny do siebie, anestezjologa, mimo innego koloru włosów i zgolonych wąsów.

Szybko naciągnął maseczkę chirurgiczną.

— Niepotrzebna ci maska - odezwał się David.

— Jestem przeziębiony. Myślę, że chcieliby, żebym to nosił.

— Dobra myśl - skinął głową szef zmiany.

Popychając przed sobą wózek ze wszystkimi przyborami i środkami czyszczącymi, Jeffrey przeszedł przez wahadłowe drzwi do bloku operacyjnego. Nie był w nim od chwili zawieszenia w czynnościach lekarza. Nie zauważył żadnej zmiany.

Postępując wedle wskazówek Davida, uporał się najpierw z wielką tablicą. Kilka osób podeszło coś na niej sprawdzając. Niektórych znał z nazwiska, ale nikt nie poświęcił mu nawet przelotnego spojrzenia. Uwierzył, że praca, którą wykonuje, ukrywa równie dobrze jego prawdziwą tożsamość jak zmieniony wygląd. Postanowił nie oddalać się od wózka.

Jednak kiedy wszedł na salę operacyjną, gdzie usuwano wyrostek robaczkowy, postanowił trzymać się plecami do całej grupy, aż operacja się skończy. Anestezjolog i chirurg byli jego dobrymi kolegami.

Drzwi zamknęły się za wychodzącą ekipą i zapadła cisza. Łowił tylko nikłe dźwięki radia dochodzące od strony składnicy leków.

Ścierał podłogę na mokro, kierując się do głównego pulpitu bloku operacyjnego. Pulpit ten był czymś więcej niż dużym blatem ze stanowiskami pracy dla kilku osób.

Służył do wydawania poleceń dotyczących przysyłania lekarzy i pielęgniarek do bloku operacyjnego, jak i oddelegowania ich gdzie indziej. Z tego miejsca wzywano do transportowania pacjentów z ich pokojów lub innych oddziałów. Tu koordynowano pracę personelu. Pod środkową częścią pulpitu znajdowały się duże szuflady kartoteczne.

Jedna z nich oznaczona była napisem "Planowe operacje".

Rozejrzał się po korytarzu, upewniając się, że jest naprawdę pusty. Otworzył szufladę.

Ponieważ plany operacji posegregowane były według dat, szybko znalazł plan na fatalny dzień 9 września.

Przeglądał po kolei przypadki z tego dnia. Szukał znieczuleń, które potrzebowały marcainy 0,75%, ale nic takiego nie znalazł. Było kilka operacji kręgosłupa, lecz użyto by do nich spinalmarcainy, o ile w ogóle marcainy.

W każdym razie na pewno nie tej w trzydziestocentymetrowych ampulkach, stosowanej przy znieczuleniach i blokadach.

Postanowił sprawdzić dzień poprzedni. Wyciągnął plan operacji na 8. września. Choć pojemnik z odpadkami znajdujący się przy zestawie urządzeń, anestetycznych opróżniano każdego dnia, istniało prawdopodobieństwo, że z jakiegoś powodu został pominięty. Plan z 8 września nie dostarczył żadnych wyjaśnień. Zmusiło to Jeffreya do ponownego zastanowienia się, czy jednak nie odczytał źle etykiетки na marcainie, którą zaaplikował Patty Owen.



W jaki inny sposób można wytłumaczyć znalezienie pustej fiolki po marcainie 0,75% w pojemniku z odpadkami?

Właśnie miał zamiar schować plany operacji, gdy wahadłowe drzwi do bloku otworzyły się z hałasem. Chwycił szczotkę i z przerażeniem zaczął zmywać podłogę.

Przez chwilę nie śmiał unieść głowy. Gdy stało się jasne, że nikt się nie zbliżał, podniósł wzrok i w tym samym momencie zobaczył zespół chirurgiczny wiozący pacjenta w kierunku sali operacyjnej przystosowanej do nagłych przypadków. Nad noszami wisiało kilka porcji krwi. Domyślił się, że była to ofiara wypadku samochodowego.

Gdy tylko odzyskał spokój, wrócił do planów operacji. Odłożył je na miejsce i zamknął szufladę. Nagły wypadek, który miano właśnie operować, pobudził go do myślenia. Takie przypadki nie były planowane i nie mogły być wykazane w planach operacji. Dlatego nie znalazł również przypadku Patty Owen. Nie przewidziano jej cesarskiego cięcia. Jak mogło być usystematyzowane? Sięgnął po rejestr operacji z roku poprzedniego. Była to duża księga zawierająca listę operacji wykonanych, włączając w to nagłe wypadki i operacje planowe, z różnych względów odwołane lub odłożone na później.

Znieczulenia zewnątrzoponowego nie stosowano na ogół przy innych nagłych wypadkach niż cesarskie. Wiedział o tym, mimo to postanowił sprawdzić rejestr. Chciał mieć całkowitą pewność. Zdarzały się wyjątki. Przesuwał palcem wzdłuż spisu zaczynając od 8. września. Odczytywanie nie było łatwe, listę sporządzano odręcznie, różnymi charakterami pisma. Odwrócił stronę na 9. Września i zaczął ponownie śledzić spis. Nie szukał długo. W Sali numer 15, tej samej, w której operowano Patty Owen, przeprowadzono zabieg zranionej rogówki. Puls Jeffreya przyspieszył. Wypadek okulistyczny wyglądał naprawdę obiecująco.

Wyrwał kartkę z bloczka leżącego na blacie i szybko wynotował wszystkie dane. Zamknął rejestr i odłożył z powrotem na półkę. Popychając wiadro umył korytarz do pokoju-biura anestezjologów.

Otworzył drzwi i zapalił światło. Podbiegając do kartoteki wyciągnął kartę znieczuleń pacjenta, którego nazwisko miał zapisane.

-Zgadza się! - wyszeptał.

W karcie znieczuleń zapisano, że pacjent otrzymał marcainę 0,75%! Wsunął papier z powrotem na miejsce i zamknął szufladę. Kelly miała rację! Trudno było w to uwierzyć! Odzyskał zaufanie do siebie! Może myśleć z większą pewnością o przyszłych rozprawach sądowych.

Zdawał sobie sprawę, że to, co znalazł, nie będzie miało większego znaczenia w sądzie, ale dla niego był to cały świat! Nie odczytał błędnie nalepki na marcainie!

Tuż przed przerwą nadszedł David. Jeffrey posprzątał już główny korytarz bloku operacyjnego i dwie sale, wykorzystane przy nagłych wypadkach. Szef zmiany znalazł go sprzątającego podłogę w składnicy leków.

— Właśnie zabrałem się do roboty - powiedział Jeffrey. - Nie jestem głodny. Gdy to skończę, przejdę do laboratoriów.

— Musisz zwolnić tempo - zauważył David mniej życzliwie niż poprzednio - stawiasz pozostałych w złym świetle.

— Podejrzewam, że jestem tak gorliwy, bo to mój pierwszy dzień. Nie martw się, zwolnię.

— Mam nadzieję - wymamrotał David. Odwrócił się i wyszedł.

Jeffrey skończył pracę w magazynie leków. Pchając wózek wzdłuż korytarza bloku

operacyjnego, wyjechał przez wahadłowe drzwi. Ponownie założył uniform sprzątacza i popchnął wózek dalej, do oddziału patologii.

Chciał skorzystać z okazji, że David i inni poszli na "lunch".

Po kilku nieudanych próbach znalazł właściwy klucz do części administracyjnej oddziału patologii. Gdy otworzył zamek, ogarnęło go zdumienie, gdzie przywiódł go strój sprzątacza i zapasowe klucze.

Miejsce było opustoszałe. O tej porze na oddziale przebywali jedynie technicy z laboratoriów chemicznych, hematologicznych i mikrobiologicznych. Oparł szczotkę o masywny regał kartoteki i zabrał się do szukania karty patologii na nazwisko Patty Owen. Znalazł ją łatwo.

Położył otworzoną teczkę na biurku. Przerzucając kartki trafił na kopię raportu autopsji, sporządzoną przez anatomopatologa. Doszedł do części toksykologicznej.

Zawarte w niej były wykresy odczytów chromatografu i spektroskopu. Badaniu poddano krew, płyn mózgowo-rdzeniowy i mocz. Jako jedyny wykryty związek chemiczny wymieniono bupivacainę, była to rodzajowa nazwa marcainy. Żadne inne związki chemiczne nie zostały wykryte w płynach ciała Patty.

Przewertował pozostałe papiery, przeglądając każdą stronę. Zdziwił się na widok kilku zestawów, po 8-10 zdjęć w każdym. Rozłożył je na biurku. Były to zdjęcia mikroskopowe, wykonane w Boston Memorial. Zainteresowały go, ponieważ wykonywanie tego typu zdjęć nie było regułą stosowaną podczas każdej sekcji. Żałował, że nie miał dostatecznych kwalifikacji, by zinterpretować to, co zobaczył. Ba, nawet nie bardzo wiedział, gdzie jest góra, gdzie dół. Po uważnym przyjrzeniu zorientował się, że patrzy na powiększone obrazy zwojów komórek nerwowych i na wypustki komórki nerwowej.

Po przeczytaniu napisów umieszczonych na odwrocie każdego ze zdjęć dowiedział się, że badania mikroskopowe wykazały znaczne zniekształcenia w budowie wewnątrzkomórkowej. Zdjęć nie ujawniono podczas wstępnego dochodzenia. Ponieważ szpital był oskarżony w takim samym stopniu co Jeffrey, oddział patologii nie działał w myśl najlepszego interesu lekarza. Nawet nie został poinformowany o istnieniu zdjęć! Na ich podstawie podczas rozprawy sądowej mogli z Randolphem wnioskować, że to nie lekarz jest konkretnie odpowiedzialny za możliwe zniekształcenia aksonalne.

Ewidentne zniekształcenia komórkowe w wynikach badań Patty Owen przypomniały mu o takiej samej aksonalnej degeneracji wykrytej podczas sekcji pacjenta Chrisa Eversona.

Najbardziej wstrząsający był fakt, że miejscowe znieczulenie nie mogło być odpowiedzialne za zmiany komórkowe, występujące w obydwu przypadkach. Czyli musiało istnieć jakieś inne wytłumaczenie!

Podszedł do kopiarki. Wybrał te części raportu, które podejrzewał, że będą mu potrzebne. Skopiował opis badania mikroskopowego i wyniki toksykologiczne zawierające wykresy chromatografu i spektrografu. Wiedział, że będzie musiał spędzić dużo czasu w bibliotece, by prawidłowo odczytać skopiowane wyniki.

Wyszukał dużą, szarą kopertę i włożył do niej swój materiał. Odłożył oryginały do teczki i wsunął ją w odpowiednie miejsce kartoteki. Schował szarą kopertę na najniższą półkę swojego wózka, pod opakowanie papieru toaletowego.

Mógł wrócić do sprzątanego. Wciąż był podekscytowany tym, co znalazł. Pomysł o istnieniu zanieczyszczenia nie tracił na aktualności. Od kiedy miał wyniki przekrojów mikroskopowych, stało się to nieomal pewnikiem.

Pod koniec nocy zaczęła opuszczać go energia.

Kiedy niebo zaczęło się rozjaśniać, był kompletnie wyczerpany.

Przez kilka godzin trwał w ogromnym napięciu nerwowym. Około 6.15 wykorzystał sytuację i zatelefonował do

Kelly z pustego pokoju socjalnego. Miał nadzieję, że już wstała.

Gdy tylko usłyszał jej głos w słuchawce, podniecony opowiedział o nagłym okulistycznym przypadku, jaki wydarzył się tego samego ranka co katastrofa Patty Owen, i o użytej marcainie 0,75%.

-Miałaś całkowitą rację. Nie rozumiem, dlaczego nikt na to nie wpadł. Ani Randolph, ani ja.

Powiedział jej o zdjęciach.

— Czy to sugeruje zanieczyszczenie? - spytała.

— Jest prawie pewnikiem! Następny krok to wyjaśnienie, co to mogło być i dlaczego nie jest ujawnione w wynikach toksykologicznych.

— Przeraza mnie cała ta sprawa - powiedziała Kelly.

— Mnie też - zgodził się. - Znasz kogoś z patologii w Valley Hospital?

— Nie, na patologii nie mam nikogo, ale znam kilku anestezjologów stamtąd. Hart Ruddock był najlepszym przyjacielem Chrisa, jestem przekonana, że zna kogoś z patologii.

— Czy możesz do niego zadzwonić? Zorientuj się, czy zechce wykonać kopie wszystkiego, co oddział patologii ma na temat Noble'a. Interesuje mnie szczególnie raport patologa lub wynik badania histopatologicznego zwojów nerwowych.

— Co powie, jeżeli zapyta, po co mi to wszystko?

— Nie wiem. Powiedz, że interesuje cię to, bo jesteś w trakcie studiowania notatek Chrisa i przeczytałaś tam o zniekształceniu aksonalnym.

— W porządku. Wracaj i odpocznij. Pewnie zasypiasz na stojąco.

— Jestem wykończony - przyznał Jeffrey. - Sprzątanie jest o wiele bardziej męczące niż paranie się anestezjologią.

Wcześniej rano Trent szedł korytarzem bloku operacyjnego szpitala St. Joseph's, z ukrytą w slipach sfalszowaną fiolką. Powtarzał te same czynności co poprzedniego ranka, upewniając się, czy nie ma nikogo w pobliżu składnicy leków, gdzie znowu miał dokonać zamiany ampulek. Ponieważ tym razem w pudełku znajdowały się tylko dwie marcainy 0,5%, szansa, że właśnie jego ampulka zostanie zużyta, była wyjątkowo duża. Zwłaszcza że z tablicy dowiedział się o dwóch zaplanowanych przypadkach znieczulenia zewnątrzoponowego. Oczywiście, nie miał żadnych gwarancji, że zostanie użyta marcaina, tym bardziej 0,5%. W. jednym przypadku miała być to operacja przepukliny, w drugim - badanie zwane laparoskopią. Jeżeli mógłby decydować, wybrałby laparoskopię. To piękne - na anestezjologa wyznaczony został ten kutas Doherty. Niedbałym krokiem wrócił do szatni i ukrył dobrą ampulkę w swojej szafie.

Zamykając zamek, myślał o Gail Shaffer. Załatwienie jej nie dostarczyło mu takiej uciechy, jakiej z góry oczekiwał, ale na swój sposób był jej wdzięczny za dostarczone doświadczenie. To, że przyłapała go w składnicy leków, dało mu nauczkę. Musi być czujny. Nie może pozwolić sobie na cień roztargnienia.

Stawka była zbyt wysoka. Jeżeli ktoś go nakryje - potwornie za to zapłaci. Nie mógł oprzeć się przypuszczeniu, że władze są jego najmniejszym zmartwieniem.

Budzik w radiu nastawiony był na godzinę 6.45 i dostrojony do stacji WBZ. Cichy głos budził Karen stopniowo.

W końcu podniosła powieki, przeciągnęła się i usiadła na brzegu łóżka. Wciąż odczuwała działanie leku zaaplikowanego jej na sen przez doktora Salivana. Dalmane działał lepiej, niż się spodziewała.

— Obudziłaś się? - spytała Marcia przez zamknięte drzwi.

— Tak, już nie śpię.

Stała się chwiejnie na nogach. Przez moment zakreśliła jej się w głowie. Musiała przytrzymać się łóżka, żeby utrzymać równowagę. Weszła do łazienki.

Pomimo suchości w gardle i nieprzyjemnego wrażenia, jakby język wyścielony był watą, skrupulatnie przestrzegła zalecenia doktora Salivana i niczego nie piła. Nawet podczas mycia zębów. Nie łyknęła wody.

Marzyła o końcu tego dnia. Byłoby już po wszystkim.

Wiedziała, że to głupie, jednak nie mogła opanować strachu. Na to dalmane nie pomagał. Starła się skoncentrować na myciu i ubieraniu.

Kiedy nadszedł czas wyjazdu do szpitala, za kierownicą usiadła Marcia. Przez całą drogę usiłowała podtrzymać rozmowę, lecz Karen sprawiała wrażenie nieobecnej. Ledwie odpowiadała. Ostatni odcinek drogi pokonały w milczeniu.

— Jesteś okropnie wystraszona, czy tak? - przerwała ciszę Marcia.

— Nic na to nie poradzę - przyznała Karen -- wiem, że to głupota.

— To nie głupota, ale gwarantuję ci, że nie będziesz nic czuła.

Złe samopoczucie nadejdzie później, chociaż i tak będzie łatwiejsze do zniesienia, niż myślisz. Teraz jest najgorszy etap tego wszystkiego - strach przed...

-Mam nadzieję...

Nawet pogoda nie sprzyjała. Znowu padało, a niebo wyglądało tak ponuro jak jej samopoczucie.

Dzień był jednym z wyznaczonych specjalnie na zabiegi chirurgiczne. Czekwały około piętnastu minut razem z tuzinami innych osób. Łatwo było rozpoznać w tłumie potencjalnych pacjentów. Zamiast czytać zaledwie przerzucali strony czasopism. Zdażyła przekartkować trzy pisma, zanim wezwano ją do rejestracji.

Rejestratorka przeczytała historię choroby Karen, upewniając się, czy niczego nie brakuje. Pacjentka miała zrobione poprzedniego dnia badanie krwi i EKG.

Zgoda na operację była podpisana i poświadczona.

Przygotowano również bransoletkę identyfikacyjną. Pielęgniarka pomogła zapiąć jej zatrzask.

Karen otrzymała szpitalny Jasiek i koszulę. Wskazano jej przebieralnię. Poczwała lekką panikę, wspinając się na ruchome łóżko, którym została przewieziona do zamkniętego obszaru szpitala. Pozwolono na moment przyłączyć się Marci. Trzymała torbę z ubraniami koleżanki usiłując bezskutecznie poprawić jej humor. Karen była tak spięta, że nie reagowała na żarty. Salowy sprawdził kartę wiszącą w nogach łóżka i nazwisko wypisane na bransoletce.

Przerywając rozmowę dwóch młodych dziewczyn powiedział:

— Pora iść.

— Będę czekała - przyrzekła Marcia, patrząc na oddalające się łóżko.

Karen pomachała jej na pożegnanie. Przez chwilę miała ochotę poprosić salowego, by się zatrzymał. Mogłaby zawrócić do przebieralni, zabrać ubranie od Marci, założyć je i

spokojnie wyjść ze szpitala. Endometrioza nie była aż tak uciążliwa. Żyła przecież z tym tak długo.

Ale nie zrobiła nic. Została porwana przez nieuchronny bieg wypadków, toczących się swoim torem, niezależnie od tego, co by zrobiła.

W pewnym miejscu procesu myślowego, podczas podejmowania decyzji o laparoskopii, straciła wolność wyboru. Została więźniem systemu.

Drzwi windy zamknęły się. Poczowała, jak mknie do góry tracąc ostatnią szansę ucieczki. Salowy zostawił ją w obszarze przejściowym, wśród tuzina innych łóżek-wózków. Zerknęła na towarzyszy niedoli. Większość odpoczywała wygodnie z zamkniętymi oczami. Kilka osób rozglądało się, jednak nie wyglądały one na bardzo przestraszone.

-Karen Hodges? - usłyszała głos.

Odwróciła głowę. Zobaczyła lekarza w chirurgicznym stroju. Pojawił się tak szybko, że nie zorientowała się, skąd przyszedł.

-Jestem doktor Bili Doherty - powiedział. Był mniej więcej w wieku jej ojca. Miał wąsy i życzliwe, brązowe oczy. - Będę twoim anestezjologiem.

Skinęła głową. Lekarz przejrzał historię choroby. Nie było tego wiele. Zadał rutynowe pytania o uczulenia i przebyte choroby. Wyjaśnił, że na życzenie lekarza Karen zostanie znieczulona zewnątrzoponowo.

— Wiesz, na czym polega ZO?

— Mój lekarz wyjaśnił mi wszystko.

Przytaknęła, ale dokładnie, jeszcze raz wyjaśnił działanie tego typu znieczulenia, podkreślając konkretne korzyści, jakie przyniesie w jej przypadku.

— Spowoduje rozluźnienie mięśni, co ułatwi badanie

doktorowi Salivanowi. Oprócz tego ZO jest bezpieczniejsze od ogólnej narkozy.

— Jest pan pewien, że zadziała i nic nie będę czuła podczas badania?

Uścisnął jej ramię.

— Jestem absolutnie pewien. I wiesz co? Każdy martwi się, że znieczulenie nie podziała na niego, kiedy ma je po raz pierwszy. Ale to zawsze działa. Nie martw się. Dobrze?

— Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

— Możesz zadać tyle pytań, ile tylko zapragniesz.

— Czy czytał pan może książkę pod tytułem Coma?

— Czytałem i widziałem film - zaśmiał się lekarz.

— Coś takiego się zdarza?

— Nie, nic takiego się nie zdarza - zapewnił ją. -

Nie ma więcej pytań?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Dobra, w takim razie zlecę pielęgniarce, by zrobiła ci mały zastrzyk uspokajający.

Kiedy dowiemy się, że twój lekarz jest w przebieralni, każę dostarczyć cię na salę operacyjną. Naprawdę nie będziesz nic czuła, zaufaj mi, robiłem to milion razy.

— Ufam panu - powiedziała Karen, zdobywając się na uśmiech.

Doktor Doherty opuścił obszar przejściowy wchodząc przez wahadłowe drzwi do kompleksu operacyjnego. Wypisał zlecenie na lek uspokajający dla Karen, po czym udał się do pokoju anestezjologów, skąd odebrał narkotyki potrzebne w dzisiejszym dniu. Następnie skierował się w stronę składnicy leków.

Wziął parę butelek płynów dożylnych i zonglując nimi sięgnął do otwartego pudełka z marcainą. 0,5%. Wyciągnął ampułkę. Zawsze dokładny w takich sprawach, uważnie sprawdził nalepkę. Była to marcaina 0,5%.

W porządku. Nie zauważył niewielkiej nieregularności tej części, którą odłamywał nabierając lekarstwo.

Annie Winthrop kończyła swoją wędrówkę do domu, zmęczona bardziej niż zwykle. Rozłożony parasol chronił ją przed ulewą. Temperatura spadła poniżej zera, pogoda przypominała bardziej zbliżającą się zimę niż nadchodzące lato.

Co za noc, pomyślała, trzy zatrzymania pracy serca na oddziale intensywnej opieki. Był to rekord ostatnich czterech miesięcy. Podtrzymanie trzech pacjentów i jednocześnie czuwanie nad innymi wyczerpało siły i cierpliwość całego personelu. Marzyła o gorącym prysznicu i łóżku.

Przed drzwiami mieszkania zaczęła szperać w torbie w poszukiwaniu kluczy. Wypadły na podłogę. Przemęczenie uczyniło ją niezdarną. Podniosła i włożyła odpowiedni klucz do zamka. Zorientowała się, że drzwi są otwarte.

Zatrzymała się. Zamykały zawsze, nawet kiedy były wewnątrz mieszkania. Tę zasadę uzgodniły wyraźnie.

Z lękiem przekreśliła gałkę i pchnęła drzwi. Światła w salonie były zapalone. Zastanawiała się przez chwilę, czy Gail jest w domu. Intuicja kazała zatrzymać się na progu.

Coś uprzedzało ją o niebezpieczeństwie. Jednak nie było

słychać żadnych odgłosów. Pchnęła drzwi otwierając je szerzej. Wszystko wyglądało normalnie. Przekroczyła próg. Natychmiast poczuła okropny zapach. Jako pielęgniarzka domyślała się, co to jest.

- Gail! - zawołała. Normalnie przyjaciółka spała, kiedy ona wracała do domu.

Podeszła do sypialni Gail, zaglądając przez otwarte drzwi. Tutaj również światła były zapalone. Jeszcze raz zawołała i weszła do pokoju. Drzwi łazienki były uchylone. Zajrzała do niej. Zaczęła krzyczeć.

Tego dnia Trent został przydzielony do sali numer cztery jako pielęgniarz dyspozycyjny. Zaplanowano w niej biopsję mostków. Sądził, że będzie to łatwy dzień, o ile operacje skończą się pozytywnie, choć rzadko się to zdarzało. Zadowolony był z przydziału, bo dawał mu możliwość śledzenia losów fałszywej" fiołki marcainy. Nie mógł tego robić poprzedniego dnia.

Zacząto wykonywać pierwszą biopsję, kiedy pielęgniarzka anestetyczka poprosiła Trenta o przyniesienie następnego litra płynu Ringera. Jak rzadko był szczęśliwy, że może wyświadczyć jej tę przysługę.

W składnicy leków kręciło się wiele osób spośród personelu. Wiedział, że musi zachować szczególną ostrożność przy sprawdzaniu swojej fiołki. Ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy zajęci byli kompletowaniem zestawów chirurgicznych potrzebnych w dzisiejszym dniu. Wycofał się w rejon, gdzie przechowywano płyny dożylnie. Środki nienarkotyczne znajdowały się na lewo od niego.

Wziął butelkę z półki. Dzięki temu, że przejście do środkowej części składnicy nie miało drzwi, mógł obserwować tych, którzy liczyli instrumenty w zestawach.

Nie spuszczał oka z kolegów, wsunął rękę w otwarte pudełko z marcainą. Poczul dreszcz. Pozostała tylko jedna ampułka, jej zaokrąglony wierzchołek był gładki.

Jego została zabrana!

Ledwo ukrywając podniecenie, opuścił składnicę i wrócił na salę operacyjną. Oddał pielęgniarce butelkę z płynem Ringera. Spytał, czy jeszcze czegoś potrzebuje.

Pokręciła przecząco głową. Biopsja przebiegła gładko.

Kiedy zabieg wkraczał w etap zamrażania wycinka, powiedział instrumentariuszce, że za chwilę wróci.

Pospieszył do wielkiej tablicy. To, co zobaczył, uradowało go niezmiernie. Jedynym znieczuleniem ZO zaplanowanym na godzinę 7.30 była laparoscopia, przy której anesteziologiem był doktor Doherty! Operację przepukliny zaplanowano na popołudnie. A więc jego fiolka została zabrana dla laparoskopii!

Sprawdził salę wyznaczoną na ten zabieg. Dwunastka.

Pospieszył do wnęki anestezyjnej przy sali numer dwanaście. Doherty już tam był.

Pacjentka również. Na blacie stołu z nierdzewnej stali stała jego ampulka marcainy.

Nie wierzył we własne szczęście. Nie tylko Doherty - anesteziolog, ale pacjentka - młoda, silna dziewczyna.

Lepiej nie mogło się złożyć.

Nie chcąc, by ktokolwiek widział, że przebywa w pobliżu, wrócił do sali. Był tak podniecony, że nie mógł ustać w miejscu. Chirurg wykonujący biopsję poprosił go, żeby albo usiadł, albo wyszedł.

Normalnie wściekłby się na taką komendę lekarza.

Ale nie dzisiaj. Za bardzo podniecała go myśl o tym, co się za chwilę wydarzy i co będzie musiał zrobić.

A musiał wrócić do sali numer dwanaście, gdy tylko wszyscy się tam zbiegną, i zabrać pustą ampulkę.

Zawsze się tego najbardziej obawiał, chociaż w przeszłości powstawało istne piekło, idealnie odwracające od niego uwagę. Jednak wciąż był to najsłabszy punkt w całym przedsięwzięciu. Nikt nie może zauważyć, jak zabiera fiolkę.

Trent liczył mijające sekundy. Wszystko wydarzy się w ciągu najbliższych minut. Dreszcz rozkoszy przebiegł wzdłuż jego kręgosłupa - kochał niepewność, błogi stan zawieszenia.

9

CZWARTEK

18 MAJA 1989 r. GODZINA 7.25

Z wyciem syreny karetka wioząca Gail Shaffer skierowała się do oddziału pogotowia w St. Joseph's Hospital i tyłem wjechała na podjazd. Z ambulansu uprzedzono telefonicznie o rodzaju przypadku, jaki będą przyjmować. Zawiadomiono, że niezbędne będzie wsparcie kardiologiczne i neurologiczne.

Kiedy karetka reanimacyjna w bardzo krótkim czasie po otrzymaniu wiadomości od Annie Winthrop dotarła do mieszkania Gail, ekipa ambulansu szybko zorientowała się, co zaszło. Gail Shaffer doznała silnego ataku typu padaczkowego podczas kąpieli pod prysznicem. Ponieważ współlokatorka upierała się, że woda w kranie była zakręcona, uwierzyli, że ofiara wypadku musiała wcześniej odczuwać oznaki nadchodzącego ataku.

Na nieszczęście nie była w stanie wyjść spod prysznica, co doprowadziło do wielokrotnego uderzenia głową o kran i wannę. Miała wiele ran we włosach, liczne obrażenia twarzy i wyjątkowo głębokie rozcięcie wysoko na czole.

Podczas wyjmowania Gail z wanny od razu zwrócono uwagę na całkowity brak napięcia mięśni, tak jakby była kompletnie bezwładna. Stwierdzono także znaczne kłopoty w pracy serca. Puls był nieregularny. Próbowano umiarować pracę serca przez dożylnie podawane leki i aplikowanie czystego tlenu.

Gdy tylko otworzono drzwi karetki, Gail została błyskawicznie zabrana do oddziału nagłych przypadków.

Dzięki wcześniej wysłanej wiadomości na miejscu czekał już kardiolog i neurolog.

Ekipa medyczna pracowała gorączkowo. Życie dziewczyny wisiało na włosku. Aktywność elektryczna pobudzająca serce, odpowiedzialna za miarowość jego uderzeń, kilkakrotnie zanikała.

Neurolog szybko potwierdził wstępne rozpoznanie pogotowia. Gail doznała totalnego porażenia, które objęło również nerwy czaszkowe. Wyjątkowo dziwne w tym porażeniu było to, że niektóre grupy mięśniowe wykazywały działanie odruchowe, z tym że nie odpowiadały tym częściom ciała, którym powinny. Ich działanie było przypadkowe. Wkrótce uzgodniono, że silny atak nastąpił na skutek wewnątrzczaszkowego wylewu krwi i spowodowany był guzem mózgu. Była to diagnoza prowizoryczna, pomijająca fakt, że płyn mózgowo-rdzeniowy okazał się czysty.

Jedna z młodych lekarek, specjalizująca się w internie, była odmiennego zdania.

Przypuszczała, że całe to zdarzenie było następstwem zatrucia jakimś narkotykiem.

Upierała się, by dokonano analizy krwi pod kątem wykrycia środków pobudzających, zwłaszcza pochodzenia niesyntety cznego.

Inny młody lekarz, robiący specjalizację z neurologii, także z rezerwą odnosił się do tymczasowej diagnozy.

Miał wrażenie, że tego typu zmiany chorobowe nie tłumaczą problemu porażenia. Stał po stronie koleżanki, popierając podejrzenie ostrego zatrucia nieznanym środkiem. Nie był w stanie przewidzieć więcej do czasu, aż otrzyma wyniki dodatkowych testów.

Natomiast wszyscy zgodzili się co do urazu głowy. Namacalne dowody były aż za bardzo oczywiste. Poruszył ich widok lewostronnego prześwietlenia. Obrażenie na linii włosów spowodowało wgniecenie jednej z zatok czołowych. Wyczuwało się jednak, że nawet tak poważny uraz nie wystarczał, by wyjaśnić stan Gail.

Pomimo wątpliwej kondycji serca zaplanowano wykonanie rezonansu magnetycznego.

Dyżurujący neurolog szybko pokonał biurokratyczne przepisy. Gail została przewieziona w asyście lekarzy na radiologię i wsunięta w ogromną, okrągłą maszynę. Obawiano się, że pole magnetyczne może źle wpłynąć na jej niestabilny układ krążenia, lecz potrzeba potwierdzenia diagnozy mówiącej o guzie mózgu wyparła wszelkie wątpliwości. Kiedy zaczęły pojawiać się pierwsze obrazy, wszyscy wbili wzrok w ekran.

We wnęce anestezyjnej Bili Doherty trzymał pięciocentymetrową szklaną strzykawkę pod światło i delikatnie pukał o jej krawędź. Kilka pęcherzyków przyczepionych do ścianek wypłynęło na powierzchnię. Strzykawka zawierała dwa centymetry spinalmarcainy z epinefryną.

Doktor Doherty przeprowadzał znieczulenie zewnątrz- oponowe u pacjentki Karen Hodges. Wszystko przebiegało bez zakłóceń i zgodnie z planem. Wstępne nakłucie nie sprawiło pacjentce najmniejszego bólu. Igła Touheya weszła wspaniale.

Ku własnemu zadowoleniu zademonstrował takie mistrzostwo, że udało mu się umiejscowić igłę w przestrzeni zewnątrzoponowej bez wyczuwania oporu tłoczka małej, szklanej strzykawki.

Dawka testowa, którą podał, potwierdziła również precyzję wykonania. Na koniec mały cewnik wśliznął się na swoje miejsce ze zwodniczą łatwością. Wszystko to potwierdzało,



że cewnik znajduje się w przestrzeni zewnątrzoponowej. Mógł przystąpić do podania dawki terapeutycznej.

-Jak się czujesz?

Karen leżała na prawym boku, tyłem do niego. Mógł odwrócić ją na wznak dopiero po podaniu znieczulenia.

-Chyba dobrze. Czy pan już skończył? Nadal nic nie odczuwam.

-Jeszcze nie czas, byś cokolwiek czuła.

Wstrzyknął dawkę testową i napompował rękaw od ciśnieniomierza. Ciśnienie nie zmieniło się. Puls również.

Czekając wykonał mały opatrunek mocujący cewnik. Po kilku minutach ponownie zmierzył ciśnienie krwi. Nie zmieniło się. Sprawdził czucie w nogach. Nie były objęte znieczuleniem, co oznaczało, że cewnik na pewno nie dostał się do przestrzeni znieczulenia rdzeniowego.

Był zadowolony. Cewnik musiał być usytuowany prawidłowo.

Wszystko zostało przygotowane do głównego wstrzyknięcia.

— Nogi czuję najnormalniej - narzekała Karen.

Wciąż martwiła się, że znieczulenie nie podziała.

— Bardzo dobrze, na tym etapie nie powinnaś czuć jakiegokolwiek różnicy w nogach - zapewnił ją Doherty - przypomnij sobie, co powiedziałem ci na początku.

Ponownie cierpliwie wytłumaczył jej, czego może się spodziewać. Nie dziwił się, że zapomniała. Wykazywał wiele zrozumienia, zdając sobie sprawę z jej zdenerwowania.

-Jak leci?

Doherty spojrzał w górę. Zobaczył doktora Salivana przebranego w strój chirurgiczny.

— Będziemy gotowi za dziesięć minut - odpowiedział. Odwrócił się w kierunku metalowego blatu biorąc z niego trzydziestocentymetrową ampułkę marcainy. Ponownie sprawdził etykietkę.

— Właśnie miałem wstrzykiwać znieczulenie - dodał.

— Dobrze się składa - powiedział Salivan – umyję się i zaczniemy.

Poklepał Karen po ramieniu ostrożnie, by nie poruszyć jałowego prześcieradła, którym misternie okrył ją Doherty.

-Rozluźnij się, słyszysz?

Anestezjolog odłamał czubek ampułki nabierając do strzykawki marcainę. Zachowywał się dokładnie tak samo jak w przypadku mniejszej strzykawki. Stukał o krawędź, by usunąć pęcherzyki powietrza, chociaż wprowadzenie ich do przestrzeni zewnątrzoponowej nie powodowało żadnych następstw. Gest był nawykiem.

Pochylając się lekko, połączył strzykawkę z cewnikiem do ZO. Rozpoczął równomierne naciskanie tłoczka.

Wąski rozmiar cewnika wywoływał pewien opór. Nacisnął energiczniej. Karen poruszyła się nagle, gdy prawie opróżnił strzykawkę.

-Nie ruszaj się jeszcze - skarcił ją.

- Czuję okropny skurcz! - krzyknęła.

— Gdzie? W nogach?

— Nie, mój żołądek - jęknęła i wyprężyła nogi.

Przytrzymał ją za biodro. Usiłował unieruchomić.

Pielęgniarka asystująca lekarzowi chwyciła Karen za kostki nóg.

Mimo że Doherty z całych sił, wykorzystując do tego wolną rękę, usiłował utrzymać pacjentkę w odpowiedniej pozycji, przekręcała się na plecy. Spojrzała na niego, dźwigając się na łokciu. Miała wystraszone, szeroko otwarte oczy.

~ Pomóż mi! - krzyknęła rozpaczliwie.

Doktor Doherty był zmieszany. Kompletnie nie miał pojęcia, gdzie tkwił błąd. W pierwszej chwili pomyślał, że Karen histeryzuje. Wyciągnął strzykawkę i obydwoma rękami chwycił ją za ramiona, próbując siłą zmusić do położenia na łóżku. Pielęgniarka zacieśniła chwyt na kostkach nóg.

Zdecydował, że poda dożylnie diazepam, lecz zanim zdążył to zrobić, twarz Karen zniekształciły drgania wiązek mięśni. W tym samym momencie z ust potoczyła się ślina, a z oczu popłynęły łzy. Na całą skórę błyskawicznie wystąpił pot. Oddech zmienił się w zaflegmione charczenie.

Doherty zastosował atropinę. Plecy Karen wygięły się w łuk. Ciało stało się sztywne, wstrząsnęła nim seria konwulsyjnych ataków. By uchronić pacjentkę przed upadkiem na podłogę, pielęgniarka puściła kostki i podbiegła do boku łóżka. Słyszając zamieszanie, doktor Salivan wybiegł z umywalni. Chciał pomóc.

Doherty nabrał do strzykawki scoliny, podając ją prosto do żyły. Tak samo postąpił z diazepamem. Odwrócił się, przygotował tlen i umocował maskę na twarzy Karen. EKG zaczęło rejestrować nieregularności w systemie przewodzenia.

Zacząła nadchodzić pomoc. Aby mieć więcej miejsca, błyskawicznie przewieziono pacjentkę do sali operacyjnej. Scolina powstrzymała atak konwulsji. Doherty oczyszczał drogi oddechowe. Sprawdzając ciśnienie krwi, stwierdził, że opada. Puls był nieregularny.

Wstrzyknął więcej atropiny. Nigdy nie zetknął się z tak obfitym ślinotokiem i łzawieniem. Przymocował oksymetr, lecz wkrótce nastąpiło nagłe zatrzymanie krążenia.

Zła wiadomość błyskawicznie rozniosła się po oddziale. Spieszono z pomocą. W pewnym momencie w Sali operacyjnej znajdowało się ponad dwadzieścia osób. Nikt nie zwrócił uwagi, jak we wnęce anestezyjnej pewna ręka sięgnęła po na wpół opróżnioną fiolkę marcainy, wylała zawartość do zlewu i zabrała pustą ampulkę.

Na oddziale intensywnej opieki Kelly odkładała słuchawkę. Otrzymała wyjątkowo bolesną wiadomość. Poinformowano ją, że czekają na przyjęcie trudnego nagłego przypadku. Nie to wytrąciło ją z równowagi. Ubolewała nad tym, że pacjentką miała być jedna z pielęgniarek bloku operacyjnego, koleżanka.

Znała Gail dość dobrze. Dziewczyna spotykała się z lekarzem robiącym specjalizację z anestezjologii w Valley Hospital, studentem Chrisa. Została kiedyś zaproszona do domu Eversonów, na coroczny obiad, wydawany dla rezydentów anestezjologii. Po przeniesieniu się Kelly do St. Joseph's Gail była tak miła, że przedstawiła ją wielu osobom pracującym od lat w szpitalu. Kelly nie dopuszczała do sytuacji, by osobiste uczucia wpływały na jej zachowanie. Było to niezbędne w jej zawodzie. Zwróciła się do jednej z pielęgniarek o pomoc w przyjęciu, prosząc o przygotowanie łóżka numer trzy dla nowej pacjentki.

Grupa ludzi przeniosła Gail na oddział intensywnej opieki. Pomogli w podłączeniu jej do monitorów i respiratora. Oddech nie zapewniał odpowiedniego poziomu tlenu we krwi. W tym czasie dostarczono dane.

Nadal nie było diagnozy. Utrudniało to leczenie. Rezonans magnetyczny nie wykazał nic, oprócz zmiążdżenia zatoki czołowej. Tym samym wyeliminowano guz lub wylew

wewnątrzczaszkowy. Nadal nie odzyskiwała przytomności, a stan porażenia pogłębiał się raczej, niż ustępował. Największe i bezpośrednie zagrożenie dla życia stanowiła niestabilizowana praca serca. Już w radiologii spodziewano się nagłego zatrzymania krążenia ze względu na częstokurcz komorowy. Prawie cudem to nie nastąpiło. Zanim Gail została całkowicie ulokowana na oddziale intensywnej opieki, przysłano wynik testu na kokainę.

Był negatywny. Nadal trwały badania pod kątem innych środków pobudzających. Kelly była absolutnie przekonana, że Gail nie używała narkotyków.

Ekipa towarzysząca przez cały czas pacjentce nie zdążyła jeszcze opuścić oddziału, gdy serce chorej zatrzymało się. Uderzenia prądem eliminowały arytmie, lecz ostateczne zatrzymanie znaczyło, że nie ma żadnej aktywności elektrycznej. Rozrusznik wepchnięty w serce w pewnym sensie przywrócił uderzenia, jednak rokowania nie były pomyślne.

-W moim fachu stawiałem czoło różnym przeciwnościom - pistolety, noże, ołowiane rurki, ale zastrzyk w tyłek jakąś amazońską strzałą, i to od faceta zakutego w kajdanki... Michael Mosconi mógł jedynie pokręcić z niedowierzaniem głową. Przecież Devlin to najskuteczniejszy łowca kaucji, o jakim słyszał. Doprowadzał do więzień grube ryby handlu narkotykami, ludzi sukcesu, przywódców mafii i pomniejszych złodziei. Mosconi nie pojmował, jakim cudem miał tyle kłopotów z tym zasranym doktorkiem. Może stracił swojego "nosa"?

— Pozwól, że uściślę. Czy Rhodes siedział skuty w twoim samochodzie? To niewiarygodne!

— Mówiłem ci, wstrzyknął jakieś świństwo, które obezwładniło mnie. Przez pierwszą minutę czułem się w porządku, w następnej nie mogłem się ruszyć.

W tej sytuacji nie byłem w stanie nic zrobić. Ten facet wykorzystał nowoczesną medycynę na własny użytek.

— Martwię się o ciebie - wymamrotał Mosconi nerwowo przegarniając cienkie włosy - może powinieneś pomyśleć o zmianie stylu pracy. Co sądzisz o przekwalifikowaniu się na oficera w stanie spoczynku?

— Bardzo dowcipne.

— Myślisz, że dasz radę złapać prawdziwego kryminalistę, jeżeli nie jesteś w stanie doprowadzić tego sukinsyna anestezjologa? Cały szkopuł w tym, że za każdym razem, gdy dzwoni telefon, dostaję palpacji, że to z sądu zawiadamiają o przypadku kaucji. Czy rozumiesz powagę sytuacji? Nie chcę więcej żadnych wyjaśnień.

Chcę tego faceta!

— Dorwę go, mam kogoś, kto śledzi żonę, a co ważniejsze, założyłem podsłuch w jej telefonie. Małżonek kiedyś zadzwoni.

— Za mało. Wymyśl coś więcej. Obawiam się, że policja przestanie interesować się pilnowaniem, by nie wy dostał się z miasta. Nie stać nas na zrezygnowanie z tego faceta. Nie możemy pozwolić, by się wymknął.

— Nie sądzę, by się dokądkolwiek wybierał.

— Oo! Czyżbyś demonstrował nową siłę przewidywania, czy to tylko pobożne życzenia? Devlin obserwował Michaela ze swojego miejsca na niewygodnej kanapie. Sarkazm tego człowieka zaczynał działać mu na nerwy. Nic nie powiedział. Pochylił się tylko do przodu i sięgnął do tylnej kieszeni. Wyciągnął plik kartek, położył na biurku i wygładził je.

-Doktorek zostawił ten śmietnik w pokoju hotelowym - powiedział popychając papiery w kierunku Mosconiego. - Nie sądzę, by się dokądkolwiek wybierał.

Właściwie myślę, że zajmuje się czymś. Czymś, co go tu zatrzymuje. Co byś zrobił z tymi papierami?

Michael podniósł stronę notatek Chrisa Eversona.

— To jakieś naukowe wywody. Nic bym z tym nie zrobił.

— Niektóre są pisane ręką-doktorka, ale większość nie. Doszedłem do wniosku, że pisane są przez Chrisa Eversona, kimkolwiek jest. Jego nazwisko figuruje na niektórych stronach. Mówi ci coś?

— Nic a nic.

— Podaj mi książkę telefoniczną.

Wyszukał stronę z Eversonami. Było ich mnóstwo, ale żadnego Chrisa. Trochę podobnie brzmiało - K.C.

Everson w Brooklinie.

— Nie ma tego człowieka w spisie - powiedział Devlin - podejrzewam, że byłoby to za proste.

— Może jest także lekarzem? - zasugerował Michael.

Potaknął. Istniało takie prawdopodobieństwo.

Otworzył książkę telefoniczną na żółtych stronach i poszukał pod hasłem "lekarze". Nie znalazł żadnych

Eversonów. Zamknął książkę.

— Fakty są takie. Doktor pracował nad tymi papierami, gdy został przyskrzyniony w tym zapchlonym hotelu. To wiele nie wyjaśnia. Ale coś odkrył. Nie wiem, co. Najlepiej będzie, jeżeli znajdę Chrisa i spytam go o to.

— Taaak - Mosconi tracił cierpliwość.

— Tylko niech ci to nie zajmie czterech lat studiowania medycyny. Chcę wyników. Jeżeli nie potrafisz go złapać, powiedz tylko słowo. Wezmę kogoś innego.

Devlin wstał. Położył książkę na biurku Michaela i zgarnął notatki Jeffreya i Chrisa.

-Znajdę go, W tej chwili to moja osobista sprawa.

Rozstali się. Padał dużo większy deszcz. Na szczęście zaparkował niedaleko arkady.

Samochód stał w strefie przeznaczony dla samochodów dostawczych, na Cambridge Street. Jedną z ubocznych korzyści pracy w policji było to, że mógł parkować wszędzie.

Gliniarze z drogówki przymykali na niego oczy. Ot, zawodowa uprzejmość.

Uruchomił silnik i pojechał wokół State House, chcąc dostać się na Beacon Street. Droga była kręta i skomplikowana, jak większość bostońskich tras ruchu. Skręcił w lewo, w

Exter, i zaparkował przy szafce hydrantu usytuowanego w pobliżu Biblioteki Publicznej. Wysiadł z samochodu i pognał do wejścia.

W dziale informacji skorzystał ze spisu mieszkańców

Bostonu oraz okolicznych miasteczek. Tu również było mnóstwo Eversonów, ale żadnego Christophera. Mimo to zrobił listę ludzi o tym nazwisku, spisując adresy i numery telefonów.

Korzystając z najbliższego automatu wykreślił jako pierwszy numer K.C. Everson w Brooklinie. Inicjały kojarzyły się z kobietą, ale doszedł do wniosku, że powinien spróbować. Przez moment nabral otuchy. Zaspiany, męski głos odezwał się w słuchawce.

— Czy to Christopher Everson? - spytał Devlin.

Nastąpiła pauza.

— Nie. Czy chce pan rozmawiać z Kelly?

Odwiesił słuchawkę. Miał rację. K.C. Everson była kobietą. Studiując swoją listę, zastanawiał się, kto jest najbardziej obiecujący. Trudno zdecydować. Nikt inny nie miał literki "C", nawet pośrodku. Znaczyło to, że musi zadzwonić z domu do wszystkich. Zajmie to dużo czasu, jednak nie innego nie potrafił wymyślić. Jeden z tych Eversonów musi znać Chrisa Eversona. Miał przeczucie, że jest to najlepszy trop.

Jeffrey był bardzo zmęczony. Obudził go telefon i nie mógł ponownie zasnąć. Czy był całkowicie rozbudzony podnosząc słuchawkę? Nie potrafił na to odpowiedzieć. Zapomniał uzgodnić z Kelly, w jaki sposób ma reagować na telefony. Prawdopodobnie najbezpieczniej było ich nie odbierać. Leżąc w łóżku, przypomniał sobie ledwo uchwytnie zakłopotanie dzwoniącego. Kto mógł pytać o Chrisa? W pierwszej chwili potraktował telefon jak okrutny żart. W takim razie dlaczego od razu przerwano rozmowę? Musieli wybrać nazwisko Chrisa na chybił trafił z jakiegoś spisu. Może lepiej ukryć tę rozmowę przed Kelly? Nie chciał wracać do przeszłości, zwłaszcza że zaczynała o niej zapominać.

Wracając myślami do teorii zanieczyszczenia, zapomniał o tajemniczym rozmówcy. Leżąc na wznak weryfikował wszystkie detale. Po dłuższej chwili wstał, ogolił się i wziął szybki prysznic.

Podczas parzenia kawy nadal błądził myślami wokół jednej i tej samej sprawy, gdy nasunęło mu się nowe pytanie. Czy tragiczne przypadki, zarówno Chrisa jak i jego, były odosobnione? Może zdarzyły się inne? Jeżeli morderca sfalszował marcainę więcej niż te dwa razy, o których wiedział Jeffrey? Jeżeli tak, to powinny dotrzeć do niego raporty o tak niecodziennych reakcjach. Musiały przeniknąć do fachowej prasy medycznej. Z kolei patrząc na to, co się stało z nim i Chrisem - każdemu z nich natychmiast wręczono nakaz stawienia się na rozprawę o zaniedbania w leczeniu, - najistotniejszą sprawą było oczyszczenie się z zarzutów, a nie szukanie innego, prawdopodobnego rozwiązania.

Pamiętając, że zakres działalności Urzędu Statystyki Medycznej stanu Massachusetts został ustawowo poszerzony o obowiązek rejestrowania "poważnych przypadków" w celu usprawnienia opieki zdrowotnej, Jeffrey postanowił tam zadzwonić.

Po kilku telefonach dotarł do pracownika komitetu do spraw odszkodowań dla pacjentów. Wyjaśnił, jaki rodzaj wypadków go interesuje. Urzędniczka kazała mu czekać parę minut.

— Czy zainteresowany jest pan zgonami podczas znieczulenia zewnątrzoponowego?

— Dokładnie tak.

— Odnalazłam cztery - powiedziała kobieta - wszystkie nastąpiły w ciągu ostatnich czterech lat.

Był zdumiony. Strasznie dużo. Nieszczęśliwe wypadki zdarzały się wyjątkowo rzadko podczas ZO, szczególnie od czasu, gdy wprowadzono zakaz używania marcainy 0,75% w położnictwie.

Zarejestrowanie czterech zgonów powinno spowodować wszczęcie alarmu.

-Interesuje pana, gdzie one wystąpiły?

— Tak, proszę.

— Jeden w zeszłym roku w Boston Memorial Hospital.

Zanotował: "Memorial - 1988 r." To był jego przypadek.

-Następny miał miejsce w Valley Hospital w 1987 roku.

Zanotował przypadek Chrisa Eversona.

-Potem w Commonwealth Hospital w 1986 i w Suffolk General w 1985 roku. To wszystko.

Aż za dużo, pomyślał. Był zaskoczony, że wszystkie wypadki miały miejsce w Bostonie.

— Czy wasz urząd zrobił coś w związku z tymi przypadkami?

— Nie, nie zrobiliśmy nic. Jeżeli wszystkie wydarzyłyby się w jednym szpitalu, musielibyśmy poddać to analizie. Widząc, że dotyczą czterech różnych szpitali i czterech różnych lekarzy, nie uznaliśmy za konieczne zajmować się tą sprawą. Ponadto mam notatkę, że wszystkie trafiły do sądu.

— Jakie są nazwiska lekarzy zamieszanych w te sprawy w Commonwealth i Suffolk? Pragnął omówić najdrobniejsze szczegóły z tymi lekarzami, by dowiedzieć się, na ile podobne mają doświadczenia. Przede wszystkim chciał przekonać się, czy używali również marcainy w trzydziestocentymetrowych ampulkach.

- Nazwiska lekarzy? Przykro mi, ale ta informacja jest poufna.

Zastanowił się moment.

- A nazwiska pacjentów, lub oskarżycieli, w tych dwóch sprawach? Czy może mi je pani podać?

-Nie wiem. Sprawdzę. Chwileczkę.

Jeffrey nie był w stanie pojąć, jak się stało, że Boston miał cztery zgony podczas znieczuleń ZO, a on nic o tym nie wiedział. Nie rozumiał, dlaczego tragiczna seria nie stała się powodem do niepokoju i analizy. Zdał sobie sprawę z niefortunnego wyjaśnienia

- we wszystkich czterech przypadkach odbyły się procesy o zaniedbania w leczeniu.

O ironio, najbardziej zdradzieckim wynikiem tych procesów była dyskrecja, o którą zabiegali adwokaci. Przypomniał sobie swojego prawnika, Randolpha, który na wstępie uprzedził go, by nie dyskutował z nikim na temat sprawy.

- Nikt nie wie, czy te dane są poufne - wyrwał go z zamyślenia głos urzędniczeki - sędzę, że były podane do publicznej wiadomości. Ci pacjenci to Clark DeYries i Lucy Havalin.

Jeffrey zanotował nazwiska, podziękował i rozłączył się. Kiedy wrócił do przygotowanego dla niego pokoju gościnnego, wyciągnął spod łóżka płócienną torbę i wyjął z niej kilka studolarowych banknotów. Musiał wygospodarować trochę czasu na kupienie nowej odzieży, która zastąpi tę zostawioną w hotelu Essex. Przez moment zastanawiał się, co linie lotnicze Panam zrobiły z małą walizką. Nie miało to większego znaczenia. I tak nie zamierzał jej tropić.

Wezwał taksówkę. Pogoda nie poprawiła się. Przekopał szafkę przy wejściu w poszukiwaniu parasola i osłonięty nim czekał we frontowych drzwiach na jej przyjazd.

Pierwszym zadaniem Jeffreya było kupno okularów w ciemnej oprawce. Po drodze, prosząc taksówkarza o zaczekanie, wstąpił do sklepu optycznego.

Celem wyprawy był sąd. Z niesamowitym uczuciem wkraczał do gmachu, w którym zaledwie kilka dni wcześniej sędziowie przysięgli uznali go za winnego morderstwa drugiego stopnia.

Z rosnącym niepokojem przeszedł przez wykrywacz metali, przypominając sobie niedawne wydarzenia z lotniska. Starał się sprawiać wrażenie spokojnego. Zdawał sobie sprawę, że nerwowe zachowanie tylko przyciągnie uwagę innych. Pomimo najszczerzych intencji nie potrafił opanować emocji podchodząc do urzędnika.

Czekał na swoją kolej przy długim kontuarze. Większość interesantów wyglądała na typowych prawników.

Przeważały ciemne garnitury i - rzecz ciekawa - przykrótkie nogawki spodni. W końcu jedna z kobiet zza kontuaru spojrzała na niego mówiąc:

-Następny, proszę.

Przysunął się i spytał, jak zdobyć dane o konkretnej sprawie sądowej.

— Orzeczonej czy nie orzeczonej? - spytała kobieta.

— Orzeczonej.

Wskazała przez jego ramię.

-Proszę wziąć numer rejestru sądowego według segregatora "oskarżony-oskarżający" - powiedziała ziewając. - Segregatory są tam. Kiedy znajdzie pan numer rejestru sprawy sądowej, proszę przynieść go tutaj. Ktoś z nas przyniesie akta sprawy z piwnicy.

Podziękował i podszedł do półek wskazanych przez kobietę. Sprawy usystematyzowano alfabetycznie, rok po roku. Zaczął od 1986, szukając nazwiska Clark DeYries jako oskarżającego. Kiedy znalazł kartę sprawy, zorientował się, że informacja, jakiej poszukiwał, była po prostu tutaj - nie potrzebował kompletnych akt.

W karcie informacyjnej wymieniono oskarżonych, oskarżających i prawników.

Anestezjologiem w tej sprawie był doktor Lawrence Mann. Jeffrey skorzystał z podręcznej kopiarki, na wypadek gdyby potrzebował kiedyś numeru rejestru.

, To samo zrobił z kartą informacyjną dotyczącą sprawy Lucy Havalin. Tym razem oskarżenie wniesiono przeciwko anestezjologowi o nazwisku Madaline Bowman. Zetknął się kiedyś z nią na gruncie zawodowym, ale od lat nie widział jej. Wydostając odbitki z kopiarki sprawdził ich czytelność. Przyglądając się im bacznie, zauważył nazwisko prokuratora - Matthew Davidson.

Drgnął. Kopia nieomal wypadła mu z rąk. Matthew

Davidson był prawnikiem oskarżającym Jeffrey'ego o zaniedbania w leczeniu występując o odszkodowanie dla Patty Owen.

Racjonalnie rzecz ujmując, zdawał sobie sprawę, że absurdem jest nienawiść do tego człowieka.

Wykonywał jedynie swoją pracę, a w sprawie o odszkodowanie występował jako prawny reprezentant. Jednak te wszystkie argumenty nie zmieniały nastawienia Jeffrey'ego. Davidson go zrujnował, ujawniając nie mający nic wspólnego ze sprawą epizod dotyczący jego dawnego problemu z uzależnieniem. To nie było fair, to był precyzyjnie wyliczony manewr, pomagający wygrać proces. Sprawiedliwość i prawda nie stanowiły celu. Nie było żadnych zaniedbań w leczeniu. Pozbył się zwątpienia. Rosło jego przekonanie o istnieniu zanieczyszczenia.

Rozpamiętywanie niesprawiedliwości doznanych ze strony systemu prawnego nie miało sensu. Zmieniając zdanie, postanowił zajrzeć jednak do akt sądowych. Czasami nie wiadomo, czego się szuka, dopóki się tego nie znajdzie. Wrócił do kontuaru i tej samej kobiecie podał numery rejestrów.

-Proszę wypełnić zamówienie, formularze leżą tam - wskazała plik kartek.

Zrobił, co mu kazano, choć typowy przejaw biurokracji irytował go trochę. Po wypełnieniu formularzy musiał po raz trzeci czekać w kolejce. Tym razem ktoś inny załatwiał jego sprawę. Wręczył urzędniczce dwie kartki zamówienia. Spojrzała na nie i kiwając głową powiedziała:

-Zajmie to co najmniej godzinę.

Korzystając z wolnego czasu poszedł do automatów z jedzeniem, które zauważył wchodząc do sądu. Zaserwował sobie szybkie danie składające się z soku

pomarańczowego i kanapki z tuńczykiem. Usiadł na ławce obserwując wchodzących i wychodzących z gmachu. Musiał przyzwyczaić się do dużej liczby policjantów. Zaczął ich obserwować. Stanowiło to rodzaj terapii mającej doprowadzić do zmniejszenia stanu napięcia, w jakim trwał bez przerwy.

Po godzinie wrócił do kontuaru. Akta czekały na niego. Przeniósł duże tekturowe teczki w miejsce, gdzie mógł je uważnie przejrzeć. Wyglądały okazale. Zbyt grube, pisane fachowym, prawniczym językiem, były praktycznie nie do przyswojenia. Zawierały całe strony zeznań, różnych notatek, streszczeń, podsumowań i zestawień.

Przekartkował zeznania. Chciał dowiedzieć się, jakiego środka użyto do znieczulenia w każdym z tych przypadków. Przeglądał papiery dotyczące zgonu w Suffolk General. Jak podejrzewał, była to marcaina. Szybko odnalazł w aktach dotyczących zgonu w Commonwealth Hospital interesującą go informację. Tam także użyto marcainy. Jeżeli teoria o rozmyślnym fałszowaniu fiolek była prawdziwa, znaczyło to, że morderca, osoba z Bostonu, pani doktor X lub pan doktor X, zadał cios już cztery razy. Ach, żeby zdążył to udowodnić, zanim morderca uderzy znowu.

Chował papiery sprawy Commonwealth do papierowej torby, kiedy jego wzrok padł na sentencję wyroku.

Z przerażeniem pokręcił głową. Postanowienie opiewało na miliony dolarów, tak samo jak w jego sprawie. Co za marnotrawstwo. Sprawdził postanowienie w drugiej sprawie. Było jeszcze wyższe.

Odłożył akta do kosza przeznaczanego na zwroty.

Opuścił gmach sądu. Było zimno. Przestało padać, ale niebo było zasnuwane ciemnymi chmurami. Deszcz mógł lunąć w każdej chwili.

Złapał taksówkę na Cambridge Street. Kazał zawieźć się do biblioteki medycznej. Usiadł z tyłu i odprężył się.

Zaplanował spędzenie deszczowego popołudnia w bibliotece. Przede wszystkim chciał postudiować toksykologię i odświeżyć w pamięci zakres działania dwóch urządzeń diagnostycznych - chromatografu i spektroskopu.

10

CZWARTEK

18 MAJA 1989 r. GODZINA 16.07

Kelly otworzyła kluczem frontowe drzwi i pchnęła je nogą. Przed sobą, w obydwu rękach, trzymała małą torebkę z warzywami, parasol i ogromną kopertę.

— Jeffrey! - zawołała stawiając kopertę i torebkę w przedpokoju na stoliku, odsuwając jednocześnie na bok srebrny serwis do herbaty. Położyła parasol na kafelkowej podłodze, wróciła do drzwi i zatrzasnęła je.

— Jeffrey! - zawołała ponownie.

Zaczynała podejrzewać, że nie ma go w domu. Nie mogła powstrzymać cichego okrzyku zdziwienia, kiedy odwróciła się, by wejść do pokoju. Stał w łukowym przejściu prowadzącym do jadalni.

— Przestraszyłeś mnie - powiedziała z ręką przyciśniętą do piersi.

— Nie słyszałaś mnie? Odzywałem się z pokoju rodzinnego.

— Uch - odezwała się odzyskując równowagę - cieszę się, że jesteś. Mam coś dla ciebie. Zgarnęła kopertę ze stolika i wetknęła Jeffreyowi w rękę.



-Muszę ci wiele opowiedzieć - dodała.  
Zabrała warzywa i zniosła je do kuchni.

- Co to jest? - spytał idąc za nią.

— Odbitki z kartoteki Valley Hospital dotyczące Noble'a.

— Już? Jakim cudem udało ci się zdobyć je tak szybko?

-Bardzo łatwo. Hart Ruddock przesłał je przez posłańca. Nawet nie pytał, do czego mi potrzebne. Jeffrey wyjął zawartość koperty. Nie było wykresów toksykologicznych. I tak nie spodziewał się ich. Tego typu badań nie przeprowadzano przy rutynowej autopsji. Materiał wyglądał skąpo. Spostrzegł adnotację, że więcej danych znajduje się w kartotece Ośrodka Badań Medycznych. Wyjaśniało to wszystko.

Wsunął się do pokoju rodzinnego. Kelly rozpakowywała warzywa w kuchni. Siedząc na kanapie studiował otrzymane kopie. Wśród nich było streszczenie raportu z autopsji znajdującego się w Ośrodku Badań Medycznych.

Dowiedział się z niego, że badania toksykologiczne zostały wykonane, jednak wyniki nie wykazały nic podejrzanego. Dowiedział się również, że badania kolejnych warstw wycinków pod mikroskopem ujawniły zmiany histologiczne komórek nerwowych.

Kelly dołączyła do niego, siadając obok, na kanapie.

Wyczuwał, że coś ją gnębi.

-Mieliśmy dzisiaj w St. Joseph's bardzo poważne komplikacje anestezyjologiczne. Nikt nie chciał mówić za wiele, zorientowałam się jednak, że chodziło o nieudane znieczulenie zewnątrzoponowe. Pacjentką była młoda kobieta o nazwisku Karen Hodges.

Zwiesił głowę.

— I co się stało?

— Zmarła.

— Marcaina?

— Nie wiem na pewno, dowiem się prawdopodobnie jutro. Osoba, która o tym mówiła, sądzi, że tak.

— Ofiara numer pięć - westchnął.

— Co masz na myśli?

Opowiedział jej o wynikach poszukiwań prowadzonych dzisiejszego dnia, zaczynając od telefonu do Urzędu

Statystyki Medycznej.

-Sądzę, że fakt występowania zgonów w różnych szpitalach potwierdza rozmyślne fałszowanie ampulek.

Mamy do czynienia z kimś szalenie przebiegłym, z kimś, kto doskonale wie, że w jednym szpitalu mógłby wzbudzić podejrzenia i spowodować formalne dochodzenie.

— Naprawdę myślisz, że ktoś stoi za tym wszystkim?

— Jestem coraz bardziej przekonany. Właściwie mam prawie pewność, że mamy do czynienia z truciem pacjentów. Byłem dzisiaj w bibliotece. Sprawdziłem, by nie mieć najmniejszych wątpliwości, że środki do miejscowych znieczuleń, konkretnie marcaina, nie powodują zmian komórkowych, opisanych w raporcie z autopsji Noble'a czy ujawnionych w badaniach histopatologicznych Patty Owen. Nie czysta marcaina.

— A czym są powodowane?

— Wciąż nie jestem pewien. Przeczytałem też wiele na temat toksykologii i trucizn. Jestem przekonany, że nie może to być któraś z tradycyjnych trucizn, z łatwością wyłapano by ją na wykresie toksykologicznym. Sądzę, że chodzi o toksynę,

— To nie to samo?

— Nie. Trucizna jest bardziej ogólnym terminem. Tę nazwę stosuje się do wszystkiego, co powoduje zmiany komórkowe lub przerywa ich funkcje. Zwykle mówiąc o truciznie ludzie mają na myśli rtęć, nikotynę, strychninę...

— Albo arszenik - dodała Kelly.

— Dokładnie tak. Wszystkie są nieorganicznymi związkami chemicznymi lub pierwiastkami. Toksyna przeciwnie, chociaż jest rodzajem trucizny, jest produktem żywej komórki. I tak na przykład toksyna, która powoduje syndrom wstrząsu toksycznego, pochodzi od bakterii.

— Czy wszystkie toksyny pochodzą od bakterii?

— Nie. Niektóre, silniejsze, pochodzą od roślin, na przykład rycyna - substancja białkowa otrzymana z nasion rącznika. "Najpopularniejsze" są toksyny pochodzące z jadu węzów, skorpionów lub pewnych pajaków.

Cokolwiek domieszano do marcainy, musiało to być wyjątkowo silne. Coś, co w mikroskopijnej ilości powoduje śmierć, jednocześnie w dużym stopniu imitując środki do znieczuleń miejscowych. W przeciwnym razie natychmiast wzbudziłoby podejrzenia. Różnica polega na tym, że "to coś" zniszczyłoby komórki nerwowe, a nie jak środki do znieczuleń miejscowych zablokowało jedynie ich funkcje.

— No dobrze, skoro coś zostało wstrzyknięte z mar- cainą, dlaczego nie wykazał tego test toksykologiczny?

— Z dwóch powodów. Po pierwsze, prawdopodobnie wprowadzono tak minimalną ilość, że jest tego za mało w wycinku tkanki, żeby mogło być wykryte. Po drugie, jest to składnik organiczny, a więc może ukryć się wśród tysięcy innych składników organicznych egzystujących w każdej próbce tkanki. W laboratorium toksykologicznym do oddzielenia wszystkich składników służy urządzenie o nazwie chromatograf. Jednak nie oddziela ono wszystkiego idealnie wyraźnie. Zawsze zachodzą pewne nasunięcia. Dzięki temu urządzeniu otrzymujemy wykres przedstawiający rzędy szczytów i dolin. Szczyty obrazują obecność wielu substancji. Natomiast spektrograf ujawnia wszystkie składniki znajdujące się w próbce. Toksyna nadal może być trudno widoczna w jednym ze szczytów. Jeżeli nie podejrzewasz jej obecności, konkretnie nie wiesz, czego szukasz, możesz jej nie znaleźć.

— Ooo! A więc jeżeli ktoś się za tym kryje, naprawdę wie, co robi. Rozumiem, że zna podstawy toksykologii, co ty na to?

— Doszedłem do takiego samego wniosku wracając z biblioteki do domu. Myślę, że mordercą musi być lekarz, ktoś z obszernymi wiadomościami z dziedziny fizjologii i farmakologii. Poza tym lekarz ma dostęp do różnego rodzaju toksyn i fiolek marcainy. Szczerze mówiąc, może to być ktoś z moich bliskich znajomych - kolega anestezjolog.

— Możesz podać przyczyny, dla których lekarz mógłby robić coś takiego?

— Istnieje prawdopodobieństwo, że nigdy nie znajdziemy odpowiedzi na to pytanie. A dlaczego zabijał doktor X? Dlaczego ktoś inny wkładał truciznę do kapsułek z tylenolem? Nie sądę, by ktokolwiek to zrozumiał.

To jasne, że byli niezrównoważeni. Przyglądając się temu uważniej, mamy więcej pytań niż odpowiedzi. Może powody leżą w psychopatycznej osobowości kogoś wściekłego na

cały świat lub na profesję lekarską, a może na szpitala? W swoim wypaczonym umyśle wierzy, że znalazł najskuteczniejszy sposób na wzięcie odwetu.

— Przeraza mnie myśl o takim lekarzu, przebywającym na wolności.

— Mnie także. Ktokolwiek to jest, mógł być normalny do czasu, aż nagle został dotknięty chorobą psychiczną. On lub ona mogą znajdować się poza wszelkimi podejrzeniami.

Kimkolwiek jest, musi mieć pozycję człowieka godnego zaufania, żeby mieć dostęp do tak wielu sal operacyjnych.

— Czy wielu lekarzy ma takie przywileje, w tej klasy szpitalach?

— Nie mam-zielonego pojęcia, sprawdzenie tego powinno być następnym krokiem. Czy potrafisz zdobyć ze szpitala St. Joseph's kompletną listę wyższego personelu medycznego?

— Sądzę, że tak. Jestem w dobrej komitywie z Polly Arnsdorf - naczelną pielęgniarką. Chcesz także listę pozostałych pracowników szpitala?

— Czemu nie - powiedział Jeffrey.

Jej pytanie przypomniało mu o nadzwyczaj łatwym dostępie do pomieszczeń w Boston Memorial, jakie miał dzięki swojemu stanowisku sprzątacza. Zadrżał na myśl o ogromnym znaczeniu tak słabego punktu w szpitalnictwie.

— Jesteś pewien, że nie powinniśmy udać się na policję?

— Żadnej policji. Jeszcze nie. Choć dla nas to wszystko brzmi przekonująco, musimy pamiętać, że nadal nie mamy najmniejszego dowodu broniącego naszej teorii. Czysta spekulacja, nic więcej. W momencie zdobycia dowodu, tylko wtedy, będziemy mogli udać się do władz. Wszystko jedno, na policję albo gdzie indziej, nie wiem.

— Ale im dłużej czekamy, rosną szansę mordercy na ponowny atak.

— Wiem. Jednak bez większej ilości świadectw, lub chociaż najmniejszego pomysłu, kim jest morderca, nie jesteśmy w stanie go zatrzymać.

— Lub jej - powiedziała Kelly z zawziętą miną.

— Lub jej...

— Co możemy zrobić, by przyspieszyć dochodzenie?

— Jakie są szanse na zdobycie listy wyższego personelu medycznego i pozostałych pracowników z Valley Hospital? Ideałem by było, żeby lista odpowiadała okresowi, w którym zmarł pacjent Chrisa.

Kelly gwizdnęła. - To trudne zadanie. Mogę zadzwonić ponownie do Harta Ruddocka albo spróbować pogadać z kilkoma pielęgniarkami przełożonymi. Wiem, które tam jeszcze pracują. Tak czy tak - jutro zdecyduję. \

-Spróbuję wydostać takie same listy z Memorial.

Zastanawiał się, w którym pokoju biurowym mogą być.

-Im szybciej uzyskamy te informacje, tym lepiej.

-Dlaczego nie zadzwonić do Polly teraz? - zaproponowała Kelly sprawdzając godzinę. - Zostaje w pracy do piątej lub dłużej.

Poszła do telefonu stojącego w kuchni. Zastanawiał się w tym czasie nad dzisiejszym horrorem, kolejnym nieszczęściem, które wydarzyło się w St. Joseph's. Piąty wypadek potwierdzał jego teorię. Jak nigdy był pewien - na terenie Bostonu grasował doktor X. Chociaż przypuszczał, że najprawdopodobniej przestępcą jest lekarz, dopuszczał możliwość, że marcinę mógł fałszować każdy z doświadczeniem farmaceutycznym. Nie musiał być to absolwent medycyny. Problem dotyczył lekarstw, dlatego zastanawiał się nad kimś z farmacji.

Kelly wróciła do pokoju rodzinnego. Nie usiadła.

-Polly powiedziała, że mogę dostać listę bez problemu. Zaproponowała, że jeżeli chcę, mogę przyjechać teraz. Uzgodniłyśmy, że będę za chwilę.

— Wspaniale, mam nadzieję, że w innych szpitalach pójdzie tak samo - powiedział wstając.

— Gdzie się wybierasz?

— Z tobą.

— O, nie. Zostaniesz i odpoczniesz. Mizernie wyglądasz. Miałaś się wyspać, a zamiast tego wybrałaś się do biblioteki. Zostajesz. Będę migiem z powrotem.

Zgodził się. Miała rację. Był wykończony. Położył się na kanapie i zamknął oczy. Usłyszał, jak Kelly uruchamia samochód i odjeżdża. Zapadła cisza. Z salonu dobiegało tykanie starego zegara. W ogródku zaskrzeczał drozd.

Otworzył oczy. O spaniu nie było mowy. Był za bardzo podekscytowany. Poszedł do kuchni. Zadzwoił do Ośrodka Badań Medycznych. Chciał dowiedzieć się o Karen Hodges. Jeżeli komplikacje wystąpiły po wstrzyknięciu medykamentu, musiała nieuchronnie trafić w kompetencje anatomopatologa.

Sekretarka poinformowała go, że sekcja zwłok Karen Hodges zaplanowana została na jutro rano.

Z informacji uzyskał telefony do Commonwealth Hospital i Suffolk General. Najpierw zadzwonił do Commonwealth. Poprosił dziewczynę z centrali, by połączyła się z oddziałem anestezjologii. Gdy uzyskał połączenie, spytał, czy w szpitalu pracuje doktor Mann.

— Lawrence Mann?

— Tak, chodzi o niego - powiedział Jeffrey.

— Panie, nie pracuje tutaj od dobrych dwóch lat.

— A gdzie?

— Dokładnie nie wiem. Gdzieś w Londynie. Ale on już nie zajmuje się medycyną. Chyba handluje antykami.

Jeszcze jedna ofiara procesu o zaniedbania w leczeniu, pomyślał. Słyszał o lekarzach uwikłanych w takie procesy.

Często nie wracali do zawodu. Kiedyś bagatelizował te pogłoski. Co za marnotrawstwo wykształcenia i talentu!

Połączył się z oddziałem anestezjologii w Suffolk General. W słuchawce usłyszał pogodny, kobiecy głos.

-Czy w szpitalu nadal pracuje doktor Madaline Bowman? - spytał.

— A kto mówi? - usłyszał pytanie. Głos zdecydowanie stracił pogodny charakter.

— Doktor Webber - podał pierwsze lepsze nazwisko.

— Przepraszam, doktorze Webber, jestem doktor Asher. Proszę nie odbierać tego jako nieuprzejmości.

Pana pytanie było dla mnie zaskoczeniem. Ostatnio niewielu ludzi pyta o panią Bowman. Niestety, popełniła samobójstwo parę lat temu.

Powoli odłożył słuchawkę. Ofiarami mordercy były nie tylko osoby na stołach operacyjnych, pomyślał rozgoryczony. Co za łańcuch katastrof! Im dłużej nad tym myślał, tym większą miał pewność, że ktoś stoi za serią pozornie nie związanych ze sobą nieszczęśliwych wypadków medycznych. Ktoś, kto ma dostęp do sal operacyjnych w tych pięciu szpitalach, ktoś, komu nieobce są podstawy toksykologii. Ale kto? Jeszcze nigdy nie był tak zdeterminowany w dojściu do sedna sprawy.

Poszedł do gabinetu Chrisa. Znalazł na biurku rozprawę z dziedziny toksykologii. Przeglądał ją w trakcie pierwszej wizyty. Wziął książkę ze sobą, wrócił do pokoju rodzinnego i zsuwając buty wyciągnął się wygodnie na kanapie. Zaczął szukać w spisie treści hasła "toksyny".

Devlin zaparkował przed domem. Pochylając się obejrzał przez okno samochodu fasadę. Budynek z czerwonej cegły nie miał numeru, jak wiele innych w Bostonie. W spisie Devlina figurował jako Brighton - rezydencja Jacka Eversona.

Odwiedził już siedem adresów Eversonów. Nie dopisywało mu szczęście. Zaczynał wątpić w powodzenie akcji. Nawet jeżeli znajdzie Christophera, któż zagwarantuje, że doprowadzi go do Rhodesa?

Ponadto uznał klan Eversonów za zdecydowanie niekomunikatywny. Można by pomyśleć, że wypytuje tych ludzi o ich życie seksualne, a nie zadaje proste pytanie o Christophera Eversona.

Zastanawiało go również, co czyni z przeciętnego bostończyka tak cholernego paranoika. W jednym z domów musiał dosłownie chwycić za klapy niechlujnego, opasłego piwosza i solidnie nim potrząsnąć. Żona, jeszcze szpetniejsza od męża, widząc to wyniosła się. Sądził, że wykonał plan, ale kobieta wyglądająca jak postać z karykatury wróciła trzymając w ręku wałek do ciasta. Usiłowała uderzyć nim Devlina wrzeszcząc, by puścił jej męża. Musiał wyrwać wałek i cisnąć nim na sąsiednią posesję.

Dopiero wtedy powiedzieli, że nigdy nie słyszeli o człowieku nazywającym się Christopher Everson. Czemu nie powiedzieli tego od razu - pozostawało ich tajemnicą. Wysiadł z samochodu i przeciągnął się. Nie ma sensu odkładać tego, co nieuniknione, choć nie był o tym tak zupełnie przekonany. Wszedł po schodach i nacisnął guziczek dzwonka. Rozejrzał się badawczo po sąsiedztwie.

Domy wyglądały na nigdy nie odnawiane, lecz podwórka były dobrze utrzymane.

Po raz kolejny stawał przed podwójnymi drzwiami, z których zewnętrzne, aluminiowe, miały dużą, dzieloną na pół szybę. Miał nadzieję, że nie trafił na kolejny pusty dom.

Znaczyłoby to, że musi przyjechać tutaj jeszcze raz, o ile nie trafi na ślad Christophera Eversona wśród pozostałych adresów. Doszedł do wniosku, że w domu nie ma nikogo. Ponieważ zabrnął już tak daleko, do Watertown, nacisnął dzwonek jeszcze raz. Już miał odejść, kiedy zauważył lokatora przyglądającego mu się przez świetlik po prawej stronie drzwi. Mężczyzna był następnym przystojniakiem o brzuchatym profilu. Miał na sobie podkoszulek na ramiączkach, który nie wystarczał do przykrycia całego brzucha. Spod pach sterczały kępki włosów, a pięciodniowy zarost pokrywał twarz.

Zawołał, że chce zadać mu pytanie. Grubas otworzył wewnętrzne drzwi na kilka centymetrów.

- Dobry wieczór - powiedział Devlin. - Przepraszam, że przeszkadzam.

— Wynoś się, koleś!

— Nie jest to zbyt uprzejme z pana strony. Chciałem tylko zadać pytanie.

— Co z tobą? Nie masz uszu? Powiedziałem: wynoś się, albo będą kłopoty.

— Kłopoty?

Mężczyzna chciał zamknąć drzwi. Devlin stracił cierpliwość. Szybkim ciosem karate zbił górną szybę w zewnętrznych drzwiach. Prędkim uderzeniem buta wybił dolną i kopniakiem otworzył wewnętrzne drzwi. W mgnieniu oka znalazł się przy lokatorze, trzymając go za szyję. Jego oczy zaczęły wychodzić na wierzch.

-Zadaję pytanie - oto ono. Szukam Christophera Eversona. Znasz go?

Mężczyzna zakasłał, krztusząc się śliną.

— Nie każ mi czekać - ponaglał Devlin.

— Mam na imię Jack - powiedział ochryple grubas  
- Jack Everson.

— To wiem. A co z Christopherem Eversonem?

Znasz go? Słyszałeś kiedykolwiek o nim? Może być lekarzem.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

Devlin wrócił do samochodu, wściekły na pechowy los. Skreślił Jacka Eversona i sprawdził następne nazwisko na liście. Zobaczył K.C. Everson - Brookline. Z wcześniejszej rozmowy telefonicznej wiedział, że "K" jest skrótem od Kelly. Zastanawiał się, co oznacza "C".

Zrobił nawrót wydostając się-z powrotem na Washington Street. Pomyślał, że dojedzie do K.C. Eversonów w pięć minut, najwyżej w dziesięć, jeżeli na Cleveland Circle będzie duży ruch.

-Panna Arnsdorf przyjmie pana teraz – powiedział sekretarz.

Musi być młodszy ode mnie o jakieś dwa, trzy lata, pomyślał Trent. Mężczyzna miał znakomitą sylwetkę.

Wyglądał jak napompowany żelazem. Do czego to doszło - pielęgniarka naczelna miała sekretarza mężczyznę!

Podejrzewał, że jest to celowa demonstracja siły ze strony kobiety. Nie lubił Polly Arnsdorf.

Wstał z fotela i przeciągnął się leniwie. Nie miał zamiaru pędzić do biura, gdy kazała mu czekać pół godziny. Cisnął na stolik magazyn "Time" z zeszłego tygodnia i spojrzał na sekretarza, który bezczelnie mu się przyglądał.

— Coś nie tak? - spytał Trent.

— Jeżeli chcesz pomówić z panną Arnsdorf, proponuję, abyś poszedł prosto do jej biura. Ma bardzo napięty plan zajęć.

Odwał się, pomyślał. Zastanawiał się, dlaczego wszyscy pracownicy administracji uważają, że ich czas jest droższy od czasu innych. Z przyjemnością coś by odpowiedział, ale ugryził się w język. Zamiast tego pochylił się do dołu, dotknął palców u nóg i rozciągnął ścięgna pod kolanami.

-Lekko zeszywniałem przesiadując tutaj - powiedział.

Wyciągnął się teraz do góry i pstryknął palcami. W końcu wszedł do biura panny Arnsdorf.

Musiał uśmiechnąć się na jej widok. Wszystkie naczelne były takie same, ostre jak siekiery. Nigdy nie potrafiły zdecydować, czy chcą być pielęgniarkami, czy urzędniczkami. Czuł do wszystkich nienawiść.

Ponieważ pracował w każdym ze szpitali mniej więcej osiem miesięcy, dochodziło prędzej czy później do spotkania Trent-naczelna. Nie dbał o to.

Lecz dzisiejsze spotkanie było z rodzaju tych, które lubił najbardziej. Kochał sprawiać kierownictwu kłopoty.

Wiedział, jak to robić, znał ogromny niedobór personelu pielęgniarskiego.

-Co mogę dla pana zrobić, panie Harding? Przepraszam, że kazałam czekać, jestem pewna, że zrozumie pan to wiedząc o problemie na bloku operacyjnym.

Uśmiechnął się. Potrafił zrozumieć. Ach, żeby wiedziała, jak dobrze potrafi.

-Odchodzę z St. Joseph's Hospital - powiedział.

- Chcę złożyć wymówienie ze skutkiem natychmiastowym.

Wyprostowała się na fotelu. Wiedział, że zaintrygował ją. Ubóstwiał to.

— Przykro słyszeć. Czy jest może jakiś kłopot, wart przedyskutowania?

— Nie czuję się wykorzystywany zgodnie z pełnymi możliwościami. Jak pani wie, uczyłem się w wojsku i posiadałem tam dużo większą niezależność.

— Może bylibyśmy w stanie przesunąć pana na inny oddział - zaproponowała.

— Obawiam się, że to nie jest wyjście z sytuacji. Widzi pani, lubię pracę na bloku operacyjnym, pomyślałem, że lepiej byłoby, gdybym pracował w bardziej naukowym otoczeniu, na przykład w Boston City Hospital. Podjąłem decyzję o zatrudnieniu się tam.

— Czy jest pan pewien, że nie zmieni zdania?

— Obawiam się, że nie. Jest jeszcze inny problem.

Nigdy nie byłem w dobrych układach z przełożoną, panią

Raleigh. Między nami mówiąc, nie wie, jak poprowadzić okręt. Jeśli pani rozumie, co mam na myśli.

— Nie jestem pewna, czy rozumiem.

Wtedy podał jej przygotowaną listę zauważonych niedociągnięć w organizacji i funkcjonowaniu bloku operacyjnego. Gardził panią Raleigh i miał nadzieję, że pogawędka z naczelną poważnie osłabi pozycję przełożonej.

Wyszedł z gabinetu czując się ważną osobą. Pomyślał o krótkiej pogawędce z sekretarzem. Chciał się dowiedzieć, gdzie ten chłopak trenuje, lecz w sekretariacie ktoś czekał na rozmowę z naczelną. Rozpoznał tę kobietę - była przełożoną dziennej zmiany na oddziale intensywnej opieki.

W niecałe pół godziny od złożenia wymówienia wychodził ze szpitala z workiem wypchanym rzeczami osobistymi, zabranymi ze swojej szafki. Rzadko miał tak dobre samopoczucie. Poszło lepiej, niż się spodziewał. Idąc w kierunku pomarańczowej linii metra, zastanawiał się, czy lepiej odłożyć sprawę do jutra, czy prosto jechać do Boston City i złożyć podanie o pracę. Zerkając na zegarek zauważył, że jest już za późno. Myślał, gdzie przeniesie się po Boston City Hospital. Może do San Francisco? Słyszał, że jest to miejsce, gdzie chłopcy mogą się dobrze zabawić.

Kiedy dzwonek do drzwi frontowych zadzwonił po raz pierwszy, umysł Jeffreya zarejestrował go idealnie wkomponowując w sen. Był znowu w college'u i stawał do końcowego egzaminu. Zapomniał o nim i nigdy nie chodził na zajęcia z tego przedmiotu. Sen był przerażający, pot wystąpił mu na czoło. Był zawsze sumiennym studentem, pełnym obaw, że obleje. We śnie dzwonek do drzwi zmienił się w dzwonek szkolny. Spał z ciężką księgą z dziedziny toksykologii kołyszącą się na piersi. Kiedy dzwonek zadzwonił po raz drugi, poruszył się i z trudem otworzył oczy. Książka z hałasem upadła na podłogę. Nie zdając sobie sprawy z tego, gdzie jest, usiadł sztywno i rozejrzał się dookoła. Błyskawicznie odzyskał świadomość.

Pomyślał, że to Kelly, ale przypomniał sobie natychmiast, że pojechała do St. Joseph's. Zbyt gwałtownie zerwał się na nogi. Poczł zawroty głowy. Musiał dla złapania równowagi przytrzymać się o oparcie kanapy. Krótka drzemka po maksymalnym ogólnym wyczerpaniu zrobiła swoje. Potrzebował dobrej chwili na uspokojenie. Podreptał w skarpetkach trasą przez kuchnię i jadalnię do szerokiego korytarza wejściowego.

Prawie przekręcił gałkę w drzwiach, kiedy zauważył wizjerek. Spojrzał przez niego, lekko się pochylając. Nie był jeszcze w pełni przytomny, nadal ledwo trzymał się na chwiejnych nogach. Serce skoczyło mu do gardła, gdy zorientował się, że patrzy prosto w bulwiasty nos i czerwone, zażawione oczy Devlina.

Z trudem przełknął ślinę i ostrożnie spojrział drugi raz. Nie było wątpliwości. Devlin. Nikt inny nie mógł być tak szpetny.

Dzwonek ponownie zadźwięczał. Zrobił unik z pola widzenia i cofnął się o krok. Strach ścisnął gardło. Gdzie pójdzie? Co zrobi? Jakim cudem Devlin zawsze potrafił go wytopić? Bał się schwytania lub zastrzelenia, zwłaszcza teraz, kiedy poczynili ogromne postępy w prywatnym śledztwie. Jeżeli teraz nie odkryją prawdy, kto wie, kiedy morderca odpowiedzialny za tyle zgonów i cierpienie zostanie schwytany, a co ważniejsze - powstrzymany?

Ku jego przerażeniu gałka w drzwiach zaczęła się obracać. Nabral absolutnego przekonania, że strzała śmierci została wystrzelona, pozostawało tylko czekać, aż go dosięgnie. Wiedział z doświadczenia, że jeżeli Devlin postanowił gdzieś wejść, to można iść o zakład, że wejdzie.

Wpatrywał się w gałkę obracającą się tym razem w drugą stronę. Zrobił krok do tyłu potracając serwis do herbaty, stojący w przedpokoju na stoliku.

Srebrny dzbanuszek do śmietanki i srebrna cukiernica z przeraźliwym brzękiem upadły i potoczyły się po podłodze. Serce mu łomotało. Dzwonek dzwonił bez przerwy.

Bał się, że jest już po wszystkim. Jest skończony. Napastnik musiał słyszeć hałas.

Nagle zobaczył twarz Devlina przyciśniętą do szyby jednego z wąskich świetlików, którymi obramowano frontowe drzwi. Nie miał pojęcia, co widać przez wiszące w nich nylonowe firanki. Na wszelki wypadek szybko usunął się w bok, wchodząc przez łukowe przejście do jadalni.

Jak gdyby uprzedzony o ruchu Jeffreya, Devlin pojawił się w oknie. Zanim przytknął osłoniętą rękami twarz do szyby, Jeffrey zdążył upaść na kolana i wczłogać się pod stół. Pomknął jak krab do kuchni.

Jego serce biło przyśpieszonym rytmem. Mógł stanąć na nogi. Wiedział, że potrzebuje kryjówki. Do spiżarni zapraszały na wpół otwarte drzwi. Zagłębił się w aromatyczne ciemności. Zrobił to niezręcznie, zderzając się ze szczotką do mycia podłogi, opartą o ścianę tuż za drzwiami. Przewróciła się na kuchenną podłogę.

Głośne walenie do frontowych drzwi nieomal wstrząsnęło domem. Dziwił się, że Devlin nie toruje sobie drogi strzałami. Zamknął się w spiżarni. Martwił się o szczotkę leżącą w kuchni, jednak nie chciał ryzykować ponownego otworzenia drzwi i wciągnięcia jej do środka. Co będzie, jeżeli napastnik okrążając dom zobaczy go przez jedno z okien na tyłach!

Coś musnęło nogę Jeffreya. Podskoczył uderzając głową o półkę z zapasami. Usłyszał rozzierający, koci wrzask. Była to ciężarna kotka Delilah. Co za pech.

Głośne dobijanie do drzwi frontowych ustało. Cisza ogarnęła dom. Spocony, wyteżył słuch, chcąc wyłować najmniejszy szmer świadczący o tym, co robi Devlin.

Nagle usłyszał ciężkie kroki na chodniku biegnącym

na tyłach domu: Drugie drzwi zostały szarpnięte z porywczą zapowiadającą wyrwanie ich z zawiasów. Domyślał się, że Devlin chce sforsować z tarasu wejście do rodzinnego pokoju. Spodziewał się usłyszeć dźwięk tłuczonej szyby, oznaczający, że wdarł się do środka.



Zamiast tego, po ostatnim łomocie, na taras powróciła cisza. Minęły dwie, potem trzy minuty. Nie potrafił określić, ile czasu upłynęło. Mogło minąć dziesięć minut, zanim odważył się puścić drzwi. Czas wydawał się wiecznością.

Delilah zwracała na siebie uwagę, łaszcząc się u jego nogi. Chciał ją udobruchać. Schylił się i parę razy pogłaskał kotkę. Ta, czując pieszczoty, z wdzięcznością wygięła grzbiet. Przez chwilę stracił poczucie czasu. Słyszał pulsowanie w uszach. Nie widział nic w atramentowej ciemności. Pot spływał po szyi i plecach. W małej spizarnce temperatura stopniowo rosła.

Nagle usłyszał hałas. Bał się, że są to odgłosy forsowania drzwi frontowych. Niestety, miał rację – strzeliły z siłą, która wstrząsnęła całym domem.

Zmęczone palce wbiły się ponownie w drewno drzwi.

Devlinowi udało się wejść! Prawdopodobnie otworzył zamek. Nie musiał słyszeć odgłosu zatraskiwanych drzwi, by zorientować się, że napastnik jest wściekły.

Znowu zaczął martwić się o nieszczęsną szczotkę leżącą na kuchennej podłodze. Stanowiła coś w rodzaju strzałki wskazującej na spizarnię. Żałował, że od razu jej nie zabrał. Nadzieja w tym, że Devlin pójdzie schodami na górę, co umożliwi ucieczkę tylnymi drzwiami.

Usłyszał lekkie kroki na parterze, potem w kuchni, gdzie raptownie ucichły. Wstrzymał oddech. Oczami wyobraźni widział Devlina drapiącego się w głowę i gapiącego na szczotkę wskazującą spizarnię. Ostatnim wysiłkiem zacisnął palce, wbijając paznokcie w drzwi. Może pomyśli, że są zamknięte?

Poczuł, że drgnęły. Nerwowo przyciągnął je do siebie.

Devlin trzymał rękę na zewnętrznej klamce i szarpał.

Mimo ogromnego wysiłku Jeffreya drzwi łomotały. Jedno zdecydowane szarpnięcie spowodowało, że otworzyły się na centymetr.

Następne szarpnięcie okazało się decydujące. Wypadł ze spizarni. Potknął się osłaniając głowę przed ciosami.

Kelly skoczyła przerażona do tyłu i przyciskając ręce do piersi głośno krzyknęła. Upuściła dopiero co podniesioną szczotkę i kopertę, przyniesioną ze szpitala. Delilah wyskoczyła jak z procy, znikając w sypialni.

Przez chwilę stali w osłupieniu patrząc jedno na drugie. Kelly pierwsza doszła do siebie.

-Czy to rodzaj zabawy, że straszysz mnie za każdym razem, kiedy wracam do domu?

Weszłam tutaj na paluszkach. Myślałam, że śpisz.

Wszystko, co zdołał powiedzieć, to to, że przeprasza, że nie miał zamiaru jej straszyc.

Chwycił Kelly za rękę, pociągnął i oparł o ścianę oddzielającą jadalnię od kuchni.

-Co robisz? - spytała z niepokojem.

Przyłożył palec do ust.

-Pamiętasz mężczyznę, o którym opowiadałem, tego od strzelaniny? Devlina? - wyszeptał.

Skinęła głową.

— Był tutaj. Przy frontowych drzwiach, próbował dostać się też od tyłu, przez taras.

— Kiedy wchodziłam, nikogo na zewnątrz nie było.

— Jesteś pewna?

— Najzupełniej, >ale jeszcze sprawdzę. Zobaczyła, jak bardzo jest wystraszony.

— On może mieć broń.

— Chcesz, abym zawiadomiła policję?

— Nie - odpowiedział. Właściwie nie wiedział, czego od niej chce.

-Może wrócisz do spiżarni. Rozejrzę się dookoła.

Zgodził się. Niezbyt podobał mu się pomysł, który mógł doprowadzić do spotkania Devlina z Kelly. Jednocześnie wiedział, że ten poluje na niego, co upewniło go, że jej nic nie grozi. Tak czy siak, musieli dowiedzieć się, czy łowca kaucji nie siedzi ukryty gdzieś w pobliżu. Wrócił do spiżarni.

Kelly wyszła przed dom rozglądając się uważnie na wszystkie strony. Przeszła dookoła, na tyły. Sprawdziła ogród. Spostrzegła jedynie zabłocone ślady stóp na tarasie, nic więcej. Wróciła do środka i wyprowadziła Jeffreya ze spiżarni. Delilah natychmiast wskoczyła do ukochanego pomieszczenia.

Nie był do końca przekonany. Zrobił swój własny obchód. Najpierw w środku, potem na zewnątrz. Kelly deptała mu po piętach. Był autentycznie zaintrygowany zagadką.

Dlaczego Devlin zdecydował się na odwrót?

Oczywiście nie zamierzał kwestionować tego cudownie niespodziewanego zrządzenia losu.

— Jak On mnie odnalazł, do cholery? - odezwał się do Kelly, kiedy wrócili do domu. - Nikomu nie mówiłem, że jestem tutaj. A ty?

— Żywej duszy.

Poszedł do pokoju gościnnego i wyciągnął płócienną torbę z kryjówki pod łóżkiem. Kelly stała w drzwiach.

— Co robisz?

— Muszę odejść, zanim wróci.

— Poczekaj minutkę. Pomówmy o tym. To nasza wspólna sprawa.

— Nie mogę być tutaj, kiedy wróci.

— Czy jesteś przekonany, że Devlin wie o tobie?

— Oczywiście - powiedział z irytacją. - A co ty myślisz, że jeździ po Bostonie i tak sobie dzwoni do wszystkich drzwi?

— Nie musisz być złośliwy.

— Przepraszam, nie jestem zbyt taktowny, ale ten facet zastraszył mnie.

— Myślę, że znam powód jego przyścia - powiedziała Kelly. - Zostawiłeś notatki Chrisa w pokoju hotelowym. Było na nich jego nazwisko.

Prawdopodobnie idzie tym tropem. Chce zadać mi kilka pytań.

Do Jeffreya dotarło, że jest to całkiem możliwe.

— Serio tak myślisz? - spytał zapalając się do pomysłu.

— Im więcej o tym myślę, tym bardziej wygląda na najlogiczniejsze wyjaśnienie. Poza tym, dlaczego się wycofał? Jeżeli wiedziałby, że jesteś, zaszyłby się na zewnątrz i czekał. Wykazałby większą wytrwałość.

Skinął potakująco głową. Argumenty miały sens.

-Myślę, że może wrócić. Nie sądzę, by wiedział, że jesteś tutaj. Musimy zachować większą ostrożność. Powinniśmy wymyślić wytłumaczenie w sprawie notatek Chrisa. Na wypadek, jeżeli Devlin spyta, skąd je miałeś.

Znowu przytaknął.

-Masz jakieś pomysły? - spytała.

Wzruszył ramionami.

— Jesteśmy obydwaj anestezjologami. Możesz powiedzieć, że pracowaliśmy naukowo razem.

— To nie wystarczy, ale jest to już jakaś myśl. Tak czy siak, zostajesz, nigdzie nie idziesz, połóż torbę z powrotem pod łóżkiem.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

Odetchnął z ulgą. Nie chciał wyprowadzać się od niej.

Cisnął torbę pod łóżko i poszedł za Kelly.

Zaciągnęła szczelnie zasłony w kuchni i pokoju rodzinnym. Podniosła szczotkę i z powrotem schowała do spiżarni. Wreszcie dała mu kopertę z St. Joseph's. Zawierała listę lekarzy i pozostałych pracowników szpitala.

Usiadł z kopertą na kanapie. Wyjął papier komputerowy i rozłożył go. Widniało na nim mnóstwo nazwisk.

Interesowała go najbardziej lista wyższego personelu medycznego. Ciekaw był, czy ktoś, kogo znał z Memorial, jest teraz w St. Joseph's.

-Czy nie powinniśmy zjeść obiadu? – spytała Kelly.

-Przypuszczam, że tak - powiedział podnosząc wzrok. Pół godziny wcześniej nigdy by nie podejrzewał, że za jakiś czas będzie w stanie odpoczywać na kanapie, myśląc o obiedzie.

11

CZWARTEK

18 MAJA 1989 r. GODZINA 6.30

- Przepraszam - zaczął Devlin.

Drzwi domu w Newton otworzyła starsza, siwa pani około sześćdziesiątki. Ubrana była z ogromną starannością w lnianą, białą spódnicę i błękitny sweter. Na szyi pysznił się pojedynczy sznur pereł. Koncentrując uwagę na Devlinie, sięgnęła po okulary zwisające na złotym łańcuszku.

— Daję słowo, młody człowieku - powiedziała po dokładnej lustracji - wyglądasz jak członek Aniołów Piekła.

— Podobieństwo jest, być może, zauważalne, proszę pani, ale szczerze mówiąc nigdy nie postawiłem stopy na motorze. Są cholernie niebezpieczne. — A więc dlaczego ubiera się pan w tak dziwnym stylu? - spytała z nieklamany zainteresowaniem.

Spojrzał kobiecie w oczy. Wyglądała na autentycznie zaciekawioną. Przyjęcie było daleko inne od tego, z jakim spotykał się ze strony Eversonów.

— Chce pani naprawdę wiedzieć?

— Zawsze interesowały mnie motywy działania młodych ludzi.

Serce Devlina stopniało, został zaliczony do młodych.

W wieku czterdziestu ośmiu lat!

— Uznałem, że ten sposób ubierania pomaga w mojej pracy.

— Proszę wybaczyć, ale jaką pracę pan wykonuje, że wymaga, by wyglądał pan tak... - przerwała szukając odpowiedniego słowa - tak groźnie?

Zaśmiał się, a potem zakasłał. Powinien przestać palić.

— Jestem łowcą kaucji. Dostarczam kryminalistów, którzy próbują uchylić się od prawa.

— O, jakie to podniecające - powiedziała kobieta - i jakie szlachetne.

— Nie jestem pewien, na ile jest to szlachetne zajęcie, proszę pani. Robię to dla pieniędzy.

— Każdy musi zarabiać. Co, na Boga, przywiodło pana do moich drzwi?

Wyjaśnił, że chodzi mu o Christophera Eversona, podkreślając, że nie jest zbiegiem, ale może mieć jakieś informacje o poszukiwanym.

— Nikt w naszej rodzinie nie nosi imienia Christopher, ale przypomina mi to kogoś, kto parę lat temu wspomniał o Christopherze Eversonie, o ile pamiętam, chodziło o lekarza.

— Brzmi zachęcająco, przypuszczam, że Christopher Everson jest lekarzem.

— Spytaam męża, kiedy wróci do domu. Zna lepiej linię Eversonów w naszej rodzinie. Zwłaszcza, że to jego strona. Jak mogę pana szukać?

Podał kobiecie nazwisko i numer telefonu do biura Michaela Mosconiego. Uprzedził, że może zostawić tam wiadomość. Podziękował za pomoc i wrócił do samochodu.

Zakreślając nazwisko Ralpa Eversona na liście pomyślał, że warto tutaj wrócić, jeżeli nic nie zmieni się na lepsze.

Uruchomił silnik i wyjechał na ulicę. Następnym miastem było Dedham. Miał w nim dwa adresy do sprawdzenia. Postanowił posuwać się na południe, odwiedzając Dedham, Canton i Milton.

Pojechał Hammond Street, do Tremont, by ostatecznie dojechać do starej Route One. Zawiedzie go ona prosto do centrum Dedham. W czasie jazdy śmiał się z doświadczeń zmieniających się z jednej skrajności w drugą.

Rozmyślał o wizycie u Kelly C. Everson. Był przekonany, że ktoś jest w domu, słysząc, jak coś z brzękiem upadło na podłogę. Chyba, że rozrabiał jakiś zwierzak. I tak

zakreślił ten adres, z zamiarem powrotu, jeżeli nic nie wyniknie z dalszego sprawdzania.

Jak przypuszczał, odnalezienie doktora nie było łatwym zajęciem. Po raz pierwszy zastanawiał się, jakie okoliczności sprawiły, że Jeffrey został uznany za winnego morderstwa drugiego stopnia. Na ogół nie zaprzętał sobie głowy poszukiwaniem dodatkowych informacji o naturze zbrodni, którą się zajmował. Chyba że pomagało to w ustaleniu siły ognia, jaką miał zastosować. Winny, niewinny - wszystko jedno. Jeffrey Rhodes stawał się tajemnicą i wyzwaniem.

Mosconi ograniczył się do wyjaśnienia sytuacji jego kaucji i uwagi, że nie podejrzewa doktora, aby działał jak typowy kryminalista. Wszelkie prośby o informacje kierowane do ludzi ze światka przestępczego pozostawały bez echa. Nikt nic nie wiedział o Jeffreyu Rhodesie. Najwidoczniej ten gość nie zrobił nic złego. Było to zupełnie nowe doświadczenie w karierze Devlina. Skąd wzięła się tak kolosalna kaucja? Co takiego zrobił Jeffrey Rhodes?

Najdziwniejsze było jego zachowanie. Najpierw chciał zwać do Rio, teraz, przeciwnie, chciał koniecznie zostać.

Nie zachowywał się jak typowy zbieg podczas ucieczki.

Od momentu kiedy zabrał mu bilet do Ameryki Południowej, nic nie wskazywało na to, by dokądkolwiek się wybierał. On nad czymś pracował - Devlin był o tym przekonany.

Dowodzą tego papiery znalezione w hotelu Essex.

Myślał, czy warto pokazać je lekarzowi policyjnemu.

Może materiały powinien przeczytać fachowiec? Jeżeli nic nie wyniknie ze sprawdzania adresów, spróbuje z innej strony.

Pomimo sprzeciwów Kelly, Jeffrey pomógł w sprzątaniu po obiedzie. Stała przy zlewie, myjąc zebrane przez niego ze stołu talerze.

-Nie tylko na bloku operacyjnym wydarzyła się dzisiaj tragedia - powiedziała wycierając czoło zewnętrzną stroną dłoni, nad rękawiczką gumową. - Mieliśmy też problemy na oddziale intensywnej opieki.

Wycierał stół gąbką.

— Co się stało? - spytał trochę nieprzytomnie. Absorbowała go myśl o nieuchronnej wizycie Devlina.

— Zmarła pielęgniarka z naszego szpitala. Była dobrą koleżanką i dobrą pielęgniarką.

— Podczas pracy?

— Nie. Pracowała na wieczornej zmianie w bloku operacyjnym. Przywieziono ją karetką dzisiaj, około ósmej.

— Wypadek samochodowy?

Potrząsnęła głową i zaczęła splukiwać naczynia.

-Nic takiego. Przypominało to najbardziej silny atak padaczkowy. Przytrafił się jej w domu.

Przestał wycierać stół. Wyprostował się. Słowa "silny atak typu padaczkowego" przypomniały mu Patty Owen.

Tak jakby to było wczoraj, widział jej twarz, tuż przed atakiem, patrzącą na niego błagalnym wzrokiem.

— To straszne - ciągnęła Kelly - atak, czy cokolwiek to było, zastał ją w wannie.

Pozbawiona kompletnie kontroli, bezwładna, uderzała głową o coś tak mocno, że miała strzaskaną czaszkę.

— Och, to okropne. Czy to stanowiło przyczynę śmierci?

— Nie, nie to ją zabiło. Miała zaburzenia w systemie krążenia. Serce biło nieregularnie.

Było pobudzane prądem. W końcu nastąpiło nagłe zatrzymanie krążenia, u nas na oddziale. Przez chwilę utrzymywaliśmy ją rozrusznikiem, ale serce było już słabe.

— Przerwij na chwilę - powiedział Jeffrey. Oszołomiony był zbieżnością przebiegu wypadków opisanych przez Kelly z przebiegiem reakcji Patty Owen na marceinę podczas zgubnego cesarskiego cięcia. Chciał mieć pewność, że rozumiał prawidłowo.

— Pielęgniarka z bloku operacyjnego została przywieziona do szpitala po silnym ataku typu padaczkowego i z pewnymi zaburzeniami pracy serca. Czy tak?

-Właśnie tak. Było to tak smutne, jakby umierał członek rodziny.

-Czy są jakieś diagnozy?

\_Pokręciła przecząco głową.

— Żadnych. Najpierw myśleli o guzie mózgu, jednak rezonans magnetyczny niczego nie wykazał. Musiała mieć problemy rozwojowe z sercem. Tak powiedział lekarz z interny.

— Jak się nazywała?

— Gail Shaffer.

— Wiesz cokolwiek o jej życiu prywatnym?

— Trochę.

— Opowiedz mi.

— Była panną, ale chyba miała stałego przyjaciela.

— Znałaś go?

— Nie. Wiem tylko, że to student medycyny. Hej, dlaczego się dopytujesz?

— Nie jestem pewien, ale gdy zaczęłaś opowiadać o

Gail, nie mogłem powstrzymać się od porównania z Patty. Przebieg tragedii był identyczny. Atak i kłopoty z przewodzeniem serca...

— Nie sugerujesz chyba, że... - Kelly nie mogła skończyć zdania.  
— Wiem, wiem. Zaczynam zachowywać się jak wariat widząc kryjący się za wszystkim spisem. Podejrzewam, że w tym przypadku jestem wyczulony na wszystko, co brzmi nawet mało prawdopodobnie.

Dochodziła 23.00. Devlin doszedł do wniosku, że już najwyższy czas udać się na spoczynek. O tej porze nie mógł liczyć, że ludzie będą chętnie otwierali drzwi przed obcym. I tak przekroczył plan. Czuł się wyczerpany. Zastanawiał się nad celowością założenia, że Chris Everson znajduje się na terenie Bostonu lub w najbliższej okolicy miasta. Sprawdził wszystkie adresy w południowych dzielnicach, bez widocznych rezultatów.

Ktoś mówił, że słyszał o lekarzu o tym nazwisku, jednak nie wiedział, gdzie ten mężczyzna mieszka i pracuje.

Ponieważ dotarł do centrum, postanowił złożyć szybką wizytę Michaelowi Mosconiemu. Nie dbał o to, że jest tak późno. Pojechał do North End i zaparkował na Hanover Street.

Piechotą poszedł ciasnymi uliczkami do

Unity Street, gdzie stał splecany przez Michaela skromny, trzypoziomowy dom.

-Mam nadzieję, że wizyta oznacza dobre wiadomości - powiedział Michael na widok stojącego w drzwiach

Devlina.

Pan domu ubrany był w szlafrok koloru kasztanowego, ze sztucznego włókna przypominającego atlas. Stopy wepchnął w skórzane, wiekowe kapcie. Na szczycie schodów pojawiła się pani Mosconi, sprawdzając, kto jest tak późnym gościem. Była w koronkowym szlafroku. Włosy miała zakręcone na lokówki, które zgodnie z wiedzą Devlina wyszły z "mody" w latach pięćdziesiątych. Twarz zakłajstrowała czymś, co, jak podejrzewał, miało działać opóźniająco na nieuchronny proces starzenia. Dzięki Bogu, że to nie jakiś włamywacz wtargnął do domu. Jedno spojrzenie na panią Mosconi w ciemności i biedak umiera z przerażenia.

Michael zaprowadził Devlina do kuchni, proponując piwo, co gość przyjął z entuzjazmem. Gospodarz podał mu wyjętą prosto z lodówki butelkę rolling rocka.

— Bez szklanki? - spytał Devlin ze śmiechem.

— Nie wymagaj za wiele - burknął Mosconi.

• Devlin pociągnął duży łyk, po czym otarł usta wierzchem dłoni.

— No więc, złapałeś go?

— Jeszcze nie.

— Co to jest? Wizyta działu socjalnego? - spytał

Mosconi ze zwykłym sarkazmem.

— Interes. Za co Jeffrey Rhodes był skazany?

— Boże, daj mi cierpliwość - Michael spojrzał w niebo z błagalnym gestem - już mówiłem, morderstwo.

Zostało mu udowodnione morderstwo drugiego stopnia.

— Czy on to zrobił?

— Skąd mam, do cholery, wiedzieć! Mnie to wystarczy. Udowodniono morderstwo. Co za różnica?

— Ten przypadek to nie jest pogoń za byle czym, potrzebuję więcej informacji.

Mosconi coraz bardziej zirytowany westchnął.

— Ten facet jest lekarzem. Morderstwo ma coś wspólnego z zaniedbaniami w leczeniu i narkotykami. Nie wiem. Do diabła, Dev, co się z tobą dzieje? Co za różnicę ci to wszystko sprawia? Chcę Rhodesa, rozumiesz?

— Chcę więcej informacji - powtórzył Devlin - chcę, byś wyszukał więcej szczegółów na temat przestępstwa. Będę mógł lepiej przewidzieć jego sztuczki.

— Może po prostu powinienem wezwać posiłki.

Może małe, przyjacielskie zawody między, powiedzmy, pół tuzinem takich jak ty "myśliwych" dadzą rezultaty.

Współzawodnictwo. Nie tego oczekiwał Devlin. Za dużo pieniędzy zginie po drodze. Zareagował szybko.

— W tym momencie jedynym przychylnym dla nas faktem jest pobyt doktorka w Bostonie. Jeżeli chcesz, żeby uciekł, na przykład do Ameryki Południowej, gdzie raz już się wybierał i tylko dzięki mnie został w mieście - to zwołuj posiłki.

— Chcę wiedzieć tylko jedno: kiedy doprowadzisz go do więzienia?

- Daj mi tydzień - powiedział Devlin - cały tydzień. To znaczy jeszcze pięć dni. Ale musisz wydestakować potrzebną mi informację. Doktorka coś tutaj zatrzymuje.

Gdy dojdę co to - znajdę go.

Devlin wyszedł z domu Mosconiego i wrócił do samochodu. Jadąc do swojego mieszkania w Charlestown, ostatkiem sił bronił się przed zaśnięciem. Musiał jeszcze zadzwonić do Billa Bartleya, kolesia, którego najął do obserwacji Carol Rhodes. Wywołał go przez telefon z samochodu.

Połączenie nie było najlepsze. Musiał wrzeszczeć do mikrofonu.

-Żadnych wiadomości od doktorka? Jakiś telefon?

— Ani jednego - powiedział Bili. Głos dochodził jak z księżyca.

— Jedyną chyba interesującą wiadomością dla ciebie był telefon, najwyraźniej od kochanka. Jakiś makler z Los Angeles. Wiedziałaś, że ona przeprowadza się do LA?

— Jesteś pewien, że to nie był Rhodes?

— Nie sądzę, żartowali na temat doktorka w niezbyt pochlebny sposób.

Devlin rozłączył się. Wspaniale, pomyślał. Kto by przypuszczał? Mosconi wyczuł, że Carol i Jeffrey nie są tak bardzo zakochani. A wygląda, że się rozchodzą. Miał wrażenie, że wyrzuca pieniądze w błoto trzymając Billa na liście płac, ale z drugiej strony nie mógł pozwolić sobie na zaprzepaszczenie jakiegokolwiek szansy. Nie rezygnował ze śledzenia Carol. Jeszcze nie.

Wspinał się do swojego mieszkania - segmentu naprzeciw Monument Square. Gdy pokonywał Bunker Hill jego nogi były jak z ołowiu. Nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz leżał we własnym łóżku. Czuł, że zaśnie, zanim przyłoży głowę do poduszki.

Zapalił światło i zatrzymał się w drzwiach. Mieszkanie przypominało śmietnik. Gazety, pisma, puste butelki po piwie i resztki jedzenia walały się wszędzie. W powietrzu unosił się trudny do wytrzymania zapach pleśni. Nieoczekiwanie poczuł się bardzo samotny. Pięć lat temu miał żonę, dwoje dzieci i psa. Dał się skusić. "Dalej, Dev, co się z tobą dzieje? Nie powiesz mi, że nie masz na co wydać pięciu kawałków ekstra. Wszystko, co musisz zrobić, to trzymać gębę na kłódkę. No, dawaj. Wszyscy to robimy. Prawie każdy w policji".

Cisnął drelichową kurtkę na kanapę. Ściągnął kowbojskie buty. Poszedł do kuchni po puszkę ulubionego piwa BUD. Wrócił do salonu i usiadł w jednym ze zniszczonych foteli. Wspominanie przeszłości zawsze wpędzało go w fatalny nastrój.

Wszystko okazało się bolesną pułapką. Devlina i garstkę innych funkcjonariuszy wyrzucono z policji. Przylapano go na gorącym uczynku, kiedy wpłacał pierwszą ratę na mały, wiejski domek w Maine. Chciał, żeby dzieciaki miały gdzie wyjeżdżać latem. Zaciągnął się głęboko. Spowodowało to atak niepohamowanego kaszlu. Pochylił się gasząc papierosa o podłogę. Pstryknął niedopałkiem w kąt pokoju. Pociągnął następny łyk piwa. Zimny płyn ukoił przeżarte nikotyną gardło.

Konflikty, jakie istniały między nim a Sheilą, potrafił w przeszłości bez trudu rozwiązywać. W końcu wybuchła sprawa łapownictwa. Zabrała dzieci i wyniosła się z powrotem do Indiany. Potem odbyła się przepychanka z aresztowaniem. Był bez szans, przy udowodnionym przestępstwie i krótkim pobycie w Walpole, który miał na swoim koncie.

Rozmyślał o Jeffreyu Rhodesie. Jego życie też najwyraźniej przeciekło między palcami. Z jakiego rodzaju pokusą się zetknął? Jaki błąd uczynił? Zaniedbania w leczeniu, narkotyki, wygląda to na niesamowitą kombinację. Ale Jeffrey nie sprawiał wrażenia narkomana.

Devlin uśmiechnął się. Może Mosconi ma rację?

Może rzeczywiście robi się miękki?

Jeffrey sprzątał z dużo mniejszym entuzjazmem niż poprzedniej nocy, co i tak nie zadowalało Davida. Ponowił koleżeńskie rady, a nawet pokazał kilka zręcznych sztuczek ułatwiających sprzątanie. Chodziło o wmiatanie kurzu pod dywany, co stanowiło wyższy stopień wtajemniczenia.

Po ostatniej wizycie Devlina wyjazd do pracy potraktował jak ciężką próbę ogniową. Był przekonany, że ten łotr czeka na zewnątrz. Obawa i strach tak nim zawładnęły, że rozważał możliwość zawiadomienia Bodanskiego o nagłej chorobie.

Kelly znalazła wspaniałe rozwiązanie. Postanowiła odwieźć go do pracy. Było to dużo bezpieczniejsze niż skorzystanie z komunikacji publicznej czy taksówki. Z bólem serca narażał jej życie na ryzyko. Dlatego ukrył się w samochodzie jeszcze w garażu. Jeżeli Devlin ich obserwuje, pomyśli, że został w domu. Położył się płasko na tylnym siedzeniu i dla większej pewności przykrył kocem.

Gdy tylko odjechali około mili od domu, wydostał się z kryjówki i przesiadł na przednie siedzenie.

O trzeciej nad ranem David zapowiedział czas na

"lunch". Jeffrey znowu Wykręcił się od zjedzenia posiłku, czym zasłużył na długie, pełne dezaprobaty spojrzenie.

Kiedy, "koledzy" oddalili się do małej jadalni dla sprzątających, mógł zabrać wózek na dół.

Popychając "warsztat pracy", minął główne wejście i skręcił w lewo, w główny korytarz. Po drodze widział ludzi wędrujących korytarzami. W większości byli to pracownicy szpitala udający się na posiłek do głównej kafeterii. Jak zwykle nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, mimo hałasu, jaki czynił wózek.

Zatrzymał się przed biurem personalnego. Nie był pewien, czy jego komplet zapasowych kluczy otworzy i te drzwi. Kiedy proponował Davidowi, że posprząta i tutaj, usłyszał, że wszystkie pokoje administracyjne leżą w polu działania zmiany wieczornej.

Zaczął od przeszukania biurka. Zajrzał do każdej szuflady. Nie wiedział, czy lista, której potrzebował, istnieje, a tym bardziej, gdzie jest trzymana. Chodziło o spis wyższego



personelu medycznego i pozostałych pracowników szpitala, włącznie z administracją, zatrudnionych we wrześniu 1988 roku.

Włączył komputer. Przez kwadrans bez powodzenia usiłował znaleźć potrzebne dane. Co prawda dobrze znał komputer szpitalny, odkąd wprowadzano do niego historie chorób pacjentów, jednak tutaj nie potrafił sobie poradzić. Widocznie administracja korzystała z innego programu. Ostatecznie zaprzestał bezowocnych prób. Przeniósł uwagę na szafę kartoteczną zajmującą całą ścianę biura. Z charakterystycznym szczęknięciem otworzył wybraną na chybił trafił szufladę. Nagle usłyszał odgłos otwierania drzwi do działu personalnego.

Zdażył tylko rzucić się w poprzek pokoju i wcisnąć za otwarte drzwi gabinetu Bodanskiego. Usłyszał, jak ktoś przeszedł przez pierwszy pokój, wszedł do drugiego i usiadł przy biurku sekretarki kadrowca.

Spoglądając przez szparę między drzwiami a futryną, widział tylko fragment postaci pochylonej nad blatem.

Słyszał podnoszenie słuchawki, sygnał i wybieranie numeru. "Halo, mama? Jak sobie dajesz radę? A jak tam stara, dobra Hawajska Pogoda?" Krzesło sekretarki zapiszczało i rozmówca dotknął plecami oparcia, znajdując się w polu widzenia Jeffreya. Był to David Arnold.

Czekał dwadzieścia minut, aż David usłyszał wszystkie zaległe wiadomości z domu.

Wreszcie skończył rozmowę i opuścił biuro. Ten drobny incydent odebrał Jeffreyowi odwagę, jednak po chwili wrócił do wyciągniętej szuflady. Zawierała indywidualne akta wszystkich pracowników, posegregowane według oddziałów szpitalnych

Otworzył szufladę obok. Kolejno czytał plastikowe etykiety przymocowane do górnych krawędzi teczek.

Kończył, kiedy jego wzrok padł na etykietkę z napisem: "Fundusze Łączne".

Wyciągnął teczkę. Wewnątrz znajdowały się oddzielne koperty z ostatnich sześciu lat.

Wyjął tę z danymi z 1988 roku. Wiedział, że rozliczenie funduszy odbywa się w październiku, a więc koperta dotyczyła września.

Zawierała spisy, których potrzebował.

Skopiował poszukiwany materiał, odłożył teczkę dokładnie na miejsce, a kopie schował na półkę wózka.

Chwilę później szedł głównym korytarzem.

Nie poszedł prosto do wind, by wrócić na piętro chirurgii. Popchnął wózek w drugą stronę, minął pomieszczenia oddziału nagłych przypadków. Zmierzał do apteki. Pod wpływem chwilowego impulsu postanowił raz jeszcze sprawdzić, na ile chroni go uniform sprzątacza.

Apteka miała ladę, gdzie rozdzielano i wydawano zamówione wcześniej przez różne oddziały lekarstwa. Przypominała normalną, detaliczną aptekę. Obok lady znajdowały się zamknięte na klucz drzwi.

Ponownie próbował kolejno kluczy ze swojego kompletu. Jeden z nich otworzył zamek. Wiedział, że podejmuje ryzykowną próbę, mimo to pchnął wózek przez drzwi. Szedł szerokim przejściem, mając po obu stronach rzędy metalowych regałów z półkami

sięgającymi sufitu. Dostęp do nich ułatwiały węższe przejścia, prowadzące w głąb. Przy każdym takim przejściu widniał wykaz leków tutaj magazynowanych.

Popychał powoli wózek uważnie czytając wykazy.

Szukał środków do znieczuleń miejscowych.

Nagle zza regału wyszła jedna z farmaceutek pracujących na nocnej zmianie. Zbliżyła się w kierunku Jeffreya niosąc naręcze butelek. Zatrzymał się, podejrzewając, że będzie zmuszony do wyjaśniania swojej obecności. Jednak kobieta skinęła tylko głową i poszła w stronę lady wychodzącej na główny korytarz.

Zdumiony i ośmielony zarazem, kontynuował poszukiwania środków do znieczuleń miejscowych. Znalazł je na końcu magazynu. Stały na dolnej półce. Między innymi zobaczył pudełka z marcaina w różnych dawkach, także z ampułkami trzydziestocentymetrowymi. Zdał sobie sprawę, jak łatwo były dostępne. Każdy z aptekarzy miał możliwość włożenia sfałszowanej fiołki. Posiadali również niezbędną do tego wiedzę.

Westchnął. Wyglądało na to, że zamiast zawęzić krąg podejrzanych poszerza go. Jak można mieć nadzieję na wykrycie mordercy? W każdym razie bacznie należy przyjrzeć się farmaceutom. Choć jeden szczególnie przemawiał na ich korzyść. Nie mieli tych samych możliwości w różnych placówkach. Było to przywilejem lekarzy. Jeżeli farmaceuta korzystał z całkowitego dostępu do magazynów w jednym ze szpitali, nie wchodziło to w grę w innym.

Zawrócił wózek i skierował się do wyjścia z apteki.

Pomyślał, że powinien zainteresować się nie tylko farmaceutami. A sprzątacze? Drugiego dnia pracy w szpitalu zdał sobie sprawę, jak łatwo każdy członek ekipy porządkowej mógł wśliznąć się do apteki, jak on.

Problem polegał na tym, że nie mieli niezbędnych do popełnienia takiego przestępstwa podstaw z fizjologii i farmakologii.

Mogli wejść wszędzie, ale prawdopodobnie zabrakłoby im wiedzy.

Nagle zatrzymał wózek. Pomyślał o sobie. Nikt nie wie, że jest anestezjologiem z ogromnym zasobem wiadomości. Co stało na przeszkodzie równie wykształconej osobie skryć się w uniformie sprzątającego? Krąg podejrzanych poszerzał się.

Zbliżyła się godzina siódma. Znowu myślał o Devlinie. Obawiał się jego powrotu i możliwości sterroryzowania Kelly. Jeżeli cokolwiek jej się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczy. Zadzwoił do niej około szóstej trzydzieści.

Spytał, jak się czuje i czy nie miała znaków obecności Devlina.

— Nie widziałam go, nic nie słyszałam przez całą noc. Pół godziny temu sprawdziłam dom na zewnątrz.

Nie zobaczyłam żadnego obcego samochodu, nikogo w zasięgu wzroku.

— Może powinienem iść do hotelu?

— Wolę, żebyś został u mnie, jestem przekonana, że to bezpieczne. Prawdę mówiąc, czuję się z tobą pewniej.

Jeżeli boisz się wejść frontowymi drzwiami, zostawię otwarte od tarasu. Powiedz taksówkarzowi, że wysiadasz przy ulicy, a potem pobiegnij między drzewami za dom.

Jeffrey poczuł wzruszenie. Kelly bardzo chce, żeby nie odchodził. Oczywiście nieskończenie bardziej wolał zostać niż przenieść się do hotelu. Tak naprawdę to wolał jej dom niż swój własny.

-Zostawię zaciągnięte zasłony. Nie odpowiadaj na dzwonki do drzwi ani nie odbieraj telefonów. Nikt nie będzie wiedział, że tam jesteś.

-- Dobrze, dobrze - powiedział Jeffrey - zostanę.

— Ale mam jedną prośbę.

— Słucham.

— Nie wypadaj ze spizarni i nie strasz mnie, kiedy wrócę po południu do domu.

— Obiecuję.

Zastanawiał się, kto kogo bardziej nastraszył.

O siódmej przyciągnął wózek z powrotem do pomieszczeń dla personelu porządkowego. Gdy winda mknęła w dół, zamknął oczy. Pod powiekami miał piach. Był bardzo zmęczony - prawie chory.

Odstawił wózek na miejsce i poszedł do przebieralni zmienić uniform na ubranie prywatne. Listę skopiowaną z teczki "Fundusze Łączne" schował do tylnej kieszeni. Zamknął szafkę, przekręcił kombinację zamka i rozprostował się. W drzwiach pojawił się David. Szedł w stronę Jeffreya.

— Mam przekazać - powiedział patrząc podejrzliwie - że pan Bodanski oczekuje cię w tej chwili w swoim biurze.

— Mnie?

Przeżywał męczarnie strachu. Czyżby został rozpoznany?

David badał go wzrokiem, przekrzywiając głowę na bok.

-Coś jest z tobą podejrzanego, Frank. Jesteś wtyka administracji? Próbujesz sprawdzić, czy wykonujemy swoje obowiązki?

Jeffrey zaśmiał się nerwowo, -O tak! Naa peewno...

Nigdy nie wpadłoby mu do głowy, że David może go o coś takiego podejrzewać.

— No to jak wyjaśnisz, że kierownik chce cię widzieć o godzinie siódmej rano? Ten człowiek zwykle nie przychodzi wcześniej niż o ósmej.

— Nie mam zielonego pojęcia - odpowiedział Jeffrey i omijając Davida podszedł do drzwi. Szef zmiany ruszył za nim. Poszli razem schodami.

— Jak wyjaśnisz, że nie jesz lunchów jak zwykli ludzie?

— Po prostu nie jestem głodny.

Najmniej przejmował się jego podejrzliwością. Martwił się, dlaczego Bodanski chce go widzieć.

Sądził, że wyszła na jaw jego prawdziwa tożsamość, jednak w takiej sytuacji wezwanie Bodanskiego nie miało sensu. Po prostu przysłano by po niego policję.

Dotarł na dół i otworzył drzwi na korytarz. Mógł skierować się do głównego wyjścia, jednak włókł się za nim cały czas David, podejrzewając wciąż Jeffreya, że jest pewnego rodzaju szpiegiem administracji. Skręcił do działu spraw pracowniczych.

Pomyślał o innym powodzie wezwania. Może ktoś widział, jak kopiuje potrzebne dokumenty? Może w aptece? Nie. W tym przypadku przede wszystkim zawiadomiono by Davida - szefa zmiany, lub Jose Martineza - szefa ekipy porządkowej.

Czuł się zgubiony. Wziął głęboki oddech i pchnął drzwi działu personalnego. Pokoje były tak samo opustoszałe jak o trzeciej rano. Wszystkie biurka stały wolne.

Maszyny do pisania milczały. Ekran komputera były ciemne. Jedyne odgłosy dochodziły z okolic kopiarki, gdzie miło perkotał dzbanek do parzenia kawy.

Podchodząc do drzwi pokoju zobaczył siedzącego za biurkiem mężczyznę. Był to Bodanski. Miał przed sobą wydruk komputerowy i czerwony długopis w dłoni. Zapukał dwukrotnie do otwartych drzwi. Kierownik podniósł wzrok.

-Aa, pan Amendola - powiedział, zrywając się na równe nogi, jakby Jeffrey był ważnym wizytatorem.

-Dziękuję, że pan przyszedł. Proszę usiąść.

Usiadł zmieszany. Bodanski zapytał, czy ma ochotę na kawę.

— Po pierwsze, z przyjemnością pana zawiadamiam, że jak donoszą wszystkie raporty, stał się pan pełnowartościowym pracownikiem Boston Memorial Hospital.

— Miło słyszeć.

— Przyjemnie by nam było, gdyby został pan u nas tak długo, jak tylko będzie pan chciał, właściwie mamy nadzieję, że pan zostanie.

Odchrząknął bawiąc się czerwonym długopisem. Jeffrey odniósł wrażenie, że Bodanski jest bardziej zdenerwowany niż on.

-Przypuszczam, że zastanawia się pan, dlaczego został wezwany dzisiaj rano. Dla mnie jest to trochę za wcześnie, ale chciałem złapać pana przed pójściem do domu. Jestem pewien, że jest pan zmęczony i chciałby się wyspać.

Wykrztuś to z siebie, pomyślał Jeffrey.

— Na pewno nie napije się pan kawy?

— Prawdę mówiąc, chciałbym iść do domu, do łóżka.

Po prostu niech pan powie, o co chodzi.

— Tak, oczywiście.

Wstał i zaczął przechadzać się po małej przestrzeni za swoim biurkiem.

-Nie jestem dobry w tego typu sprawach. Może powinienem wystąpić o pomoc do działu psychiatrii lub opieki socjalnej? Naprawdę nie lubię mieszać się w prywatne życie.

W umyśle Jeffreyego zapaliło się czerwone światło. Nadchodziło coś złego - przeczuwał to.

— Uściślijmy: co pan próbuje powiedzieć? - spytał.

— Pozwolę sobie wyłożyć to w ten sposób. Wiem, że pan się ukrywa.

Jeffrey poczuł suchość w ustach. On wie, myślał, on wie...

-Jestem w stanie zrozumieć, ma pan duże problemy. Pomyślałem, że może, oczywiście w małej mierze, mógłbym jednak pomóc. Tak więc zawiadomiłem pańską żonę.

Jeffrey chwycił oparcie fotela i pochylił się do przodu.

— Pan zawiadomił moją żonę? - spytał z niedowierzaniem.

— Ależ proszę się nie martwić.

Spokojnie, pomyślał Jeffrey, mając się na baczności.

Nie był w stanie pojąć, dlaczego kadrowiec zawiadomił Carol.

-Prawdę mówiąc, żona jest tutaj. Gorąco pragnie zobaczyć się z panem, ale czuję, że lepiej będzie uprzedzić pana, iż jest tutaj, niż pozwolić na niespodziankę.

Poczuł w sobie narastającą wściekłość. Musiało się to wydarzyć właśnie, kiedy poczynił pewne postępy w prywatnym śledztwie.

— Czy zawiadomił pan policję? - starał się przygotować na najgorsze.

— Nie, oczywiście, że nie - powiedział Bodanski podchodząc do dwuskrzydłowych drzwi.

Poszedł za nim. W głowie kołatało tylko jedno pytanie, czy będzie w stanie opanować katastrofę. Bodanski otworzył jedną część drzwi, usuwając się na bok, i przepuścił

Jeffreya. Na jego twarzy widniał jeden z tych opiekuńczych uśmiechów, drażniących bardziej niż wszystko.

Przekroczył próg sali konferencyjnej z długim stołem otoczonym krzesłami.

Kątem oka Jeffrey zobaczył postać, która poruszyła się w jego kierunku. W jednej chwili pomyślał, że to pułapka. To nie była Carol, to był Devlin! Ale postać idąca w jego stronę była kobietą. Rzuciła się na niego i mocno objęła. Wtuliła głowę w pierś zanosząc się płaczem.

Patrzył na Bodanskiego oczekując pomocy. To było dokładne przeciwieństwo Carol. Kobieta była blisko trzy razy cięższa od jego żony, a jej potargane włosy miały kolor jasnej słomy.

Szloch ucichł. Jedną ręką zwolniła uścisk, przykładając do nosa chusteczkę. Dmuchnęła głośno i wreszcie podniosła oczy.

Wlepił wzrok w jej szeroką twarz. Oczy, które przez moment odbijały pewien rodzaj rozbawienia, natychmiast rozbłysnęły złością. Łzy zatrzymały się tak gwałtownie, jak się pojawiły.

— Ty nie jesteś moim mężem - powiedziała z oburzeniem i odepchnęła Jeffreya.

— Nie jestem? - spytał, usiłując pojąć znaczenie tej sceny.

— Nie! - wrzasnęła w przypływie pasji. Podskoczyła z podniesionymi pięściami. Łzy znowu trysnęły z oczu, zalewając policzki.

Jeffrey pomknął dookoła stołu konferencyjnego. Zaszokowany kierownik próbował przyjść mu z pomocą.

Kobieta skierowała swoją złość przeciwko Bodanskiemu piszcząc, że ją oszukał. Po minucie kompletnie się załamała i runęła w jego ramiona. To było ponad jego siły. Z nadludzkim wysiłkiem udało mu się wymanewrować kobietę w kierunku najbliższego krzesła, na które opadła zanosząc się łkaniem.

Oślupiały Bodanski wyciągnął białą chusteczkę z kieszonki marynarki i osuszył usta, lekko uszkodzone pięścią kobiety. Na jedwabnym materiale została niewielka plamka krwi.

-Nie powinnam mieć żadnych nadziei – zawodziła kobieta - powinnam wiedzieć, że Frank nigdy nie podjąłby się pracy sprzątacza w szpitalu.

Jeffrey w końcu zrozumiał. To była pani Amendola, żona człowieka w podartym garniturze. Nie mógł pojąć, dlaczego tak długo na to nie wpadł. Zdał sobie sprawę, że za chwilę-Bodanski zorientuje się, na czym polega nieporozumienie. Być może będzie chciał wezwać policję, a on nie zdoła sensownie wyjaśnić incydentu.

Podczas gdy kierownik próbował pocieszyć jego domniemaną żonę, wycofał się za drzwi. Zignorował wołanie Bodanskiego, by poczekał, wydostał się z działu personalnego i pobiegł do głównego wyjścia. Na zewnątrz szpitala zwolnił kroku. Nie chciał zwracać na siebie uwagi.

Energicznym krokiem doszedł do postoju taksówek.

Wsiadł do najbliższej. Zamówił kurs do Brooklinu. Gdy samochód skręcał w prawo, w Beacon Street, zaryzykował i obejrzał się. Przed szpitalem panował spokój. Nie zaczęły się jeszcze poranne przyjęcia chorych, a Carla Bodanskiego nie było widać.

Kiedy kierowca przejechał przez Kenmore Square, zerknął we wsteczne lusterko na Jeffreya.

-Musi pan być bardziej konkretny - powiedział. - Brooklin jest wielki.

Podał kierowcy nazwę ulicy na tyłach domu Kelly.

Powiedział, że nie zna numeru, ale rozpozna miejsce.

Trudno mu było dojść do siebie po konfrontacji z panią Amendola, poza tym w miarę zbliżania się do domu coraz bardziej niepokoila go ewentualna konfrontacja z Devlinem. Żołądek stał się ciasnym, bolesnym węzłem.

Zastanawiał się, jak długo ciało wytrzyma napięcie ostatnich dni. W pracy anestezjologa miał do czynienia z chwilami pełnymi grozy, ale trwały krótko. Nie był przyzwyczajony do przedłużającego się stanu napięcia. Na domiar złego był zmęczony.

Kazał taksówkarzowi kluczyć po uliczkach dookoła domu Kelly, tłumacząc, że nie jest stąd i tylko raz, kiedyś, był w tej okolicy. Pochylił się na siedzeniu wyglądając Devlina. Nie było najmniejszego śladu tego człowieka. Widział jedynie ludzi wychodzących do pracy. Przy domu Kelly nie było żadnego zaparkowanego samochodu. Dom wyglądał kusząco spokojnie.

W rezultacie postąpił tak, jak radziła Kelly. Gdy taksówka schowała się za rogiem, okrążył sąsiedni dom i wskoczył w gąszcz drzew oddzielający go od posiadłości Eversonów. Ukryty, obserwował przez parę minut okolicę, po czym przeciął ogród i wszedł drzwiami od tarasu.

Wewnątrz przez chwilę nasłuchiwał. Zamknął tylne drzwi na klucz dopiero po dokładnym przeszukaniu wszystkich pokoi.

Przygotował płatki na mleku, w nadziei, że ukoji obolały żołądek. Zaniósł talerz do pokoju rodzinnego. Wziął wydruk komputerowy przyniesiony przez Kelly ze szpitala St.

Joseph's. Z kieszeni wyciągnął kopię listy zdobytą dzisiejszej nocy w Boston Memorial i położył obydwie kartki jedna przy drugiej, przed sobą na stole.

Jedząc porównywał wykazy nazwisk wyższego personelu medycznego. Niecierpliwie sprawdzał, którzy lekarze pracowali poprzednio w obydwu szpitalach. Skonsternowany, że było ich tak wielu, zaczął sporządzać własną listę nazwisk pojawiających się dwukrotnie. Był przerażony, gdy zobaczył, że lista wydłuża się do ponad trzydziestu lekarzy. Trzydzieści cztery osoby, było to stanowczo za dużo, by wyśledzić przestępcę, zwłaszcza gdy tak gonił go czas. Podeszedł do telefonu, zadzwonił do St. Joseph's i poprosił o połączenie z Kelly.

— Miło, że się odzywasz - powiedziała wesoło. -

Żadnych problemów z dotarciem do domu?

— Żadnych. Dzwonię, żeby przypomnieć ci o telefonie do Valley Hospital w sprawie list pracowników.

— Już to zrobiłam. Nie mogłam się zdecydować, do kogo zadzwonić, więc prosiłam kilka osób, także Harta.

On jest taki kochany.

Powiedział jej, że wyróżnił trzydziestu czterech lekarzy z jej szpitala i z Boston Memorial. Natychmiast zrozumiała, w czym tkwi problem.

-Mam nadzieję, że listy z Valley przyniosę dziś po południu. To powinno zawęzić krąg do kilku osób pasujących do naszej koncepcji trzech szpitali.

Już miał odkładać słuchawkę.

— Oj, jeszcze jedno. Jak nazywała się twoja koleżanka zmarła wczoraj?

— Gail Shaffer. Dlaczego pytasz?

— Nie wiem, jak i o której, ale chcę iść dzisiaj do Ośrodka Badań Medycznych przekonać się, co z Karen Hodges. Może dowiem się czegoś o Gail Shaffer.

-Znowu mnie straszysz.

- Sam siebie straszę.

Wrócił do skromnego posiłku. Skończył jeść, odłożył talerz do zlewu i ponownie skupił uwagę na listach. Postanowił dla zachowania maksymalnej rzetelności porównać także spisy pozostałego personelu szpitalnego. Wykazy nazwisk lekarzy uporządkowano alfabetycznie, natomiast listy pracowników sporządzono według innego klucza. Ta z St. Joseph's wymieniała nazwiska z poszczególnych oddziałów. Lista z Memorial ułożona była zgodnie z wysokością zarobków.

Dla uniknięcia błędu musiał uszeregować obie listy alfabetycznie. Powieki zaczęły mu opadać przy literze "E", lecz rozbudziło go pewne odkrycie. W obu szpitalach pracowała Maureen Gallop.

Odszukał ją na liście z St. Joseph's. Okazało się, że pracuje w tym szpitalu na stanowisku sprzątaczk.

Przetarł oczy, przypominając sobie, z jaką łatwością wałęsał się po szpitalnej aptece. Dopisał Maureen Gallop do wykazu trzydziestu czterech lekarzy wyodrębnionych z obydwu szpitali.

.Ożywiony niespodziewanym odkryciem, wrócił do alfabetycznego porządkowania list.

Przy kolejnej literze natknął się na jeszcze jedno powtarzające się nazwisko -

Trent Harding. Widniało wśród personelu pielęgniarstwa. Wpisał je pod Maureen Gallop. Był zdumiony. Nie spodziewał się, że znajdzie powtarzające się nazwiska wśród pozostałych pracowników szpitali. Potraktował to jako zbieg okoliczności. Zdecydowanie rozbudzony, dokończył czasochłonne odhaczanie, nic więcej nie znajdując.

Maureen Gallop i Trent Harding pozostali jedynymi osobami na obydwu listach, nie będącymi lekarzami.

Był tak zmęczony po skończeniu porównywania list, że wszystko, co był w stanie zrobić, to przenieść się na kanapę, gdzie zapadł w głęboki sen. Nie poruszył się nawet, kiedy ze spiżarni wyłoniła się Delilah, wskoczyła i zwinęła w kłębuszek obok niego.

Było coś w atmosferze Boston City Hospital, co sprawiało, że chwila, w której Trent przekraczał jego progi, stała się przyjemnością. Przypuszczał, że powoduje to surowy charakter szpitala, położonego w samym centrum miasta. Nie było tu cicho skradających się ludzi, jak w korytarzach wykładanych dywanami szpitali na przedmieściach.

Przekonany był, że w Boston City Hospital odbywają się nie tylko rutynowe operacje.

Miał nadzieję, że będzie miał do czynienia z ofiarami strzelanin czy bójek na noże.

Dostanie się w wir wypadków spowodowanych prawdziwym zagrożeniem miasta, prawie jak Don Johnson w Miami Vice.

W dziale zatrudnienia natknął się na kolejkę. Stali w niej ludzie szukający pracy w gastronomii szpitalnej. Jako pielęgniarz został skierowany bezpośrednio do biura do spraw niższego personelu medycznego. Doskonale wiedział, dlaczego. Jak wszystkie szpitale i ten cierpiał na permanentny brak personelu pielęgniarstwa. Tym bardziej pielęgniarz-mężczyzna był szczególnie poszukiwany.

W oddziałach, gdzie potrzebna była siła mięśni, jak na przykład w oddziale nagłych przypadków - dla takich jak on zapalono zielone światło. Jednak nie chciał pracować w oddziale nagłych przypadków, jego interesował blok operacyjny.

Po wypełnieniu podania poddano go wywiadowi. Zastanawiał się, dlaczego zwracano sobie głowę takimi głupotami. Był zadowolony. Chciano go - kochał to uczucie. W

dzieciństwie ciągle słyszał od ojca, że jest nic niewart i że mazgai się jak dziewczyna. Wyzywał go od zniewieściałych chłopaczków, szczególnie kiedy Trent zrezygnował z gry w futbolowej lidze juniorów. Jednak w pewnym momencie ojciec wziął się za niego i w bazie wojskowej w San Antonio zrobił z niego prawdziwego mężczyznę. Obserwował twarz kobiety czytającej podanie. Na tabliczce stojącej na biurku widniał napis "Mrs. Dianę Mecklenburg - dyplomowana pielęgniarka naczelna". Naczelna! Co za nedorzecznosc, pomyślał. Podejrzewał, że nie wie, z której strony jest tyłek do robienia zastrzyków. Wszystkie przełożone mniej więcej tyle wiedziały. Ta kobieta prawdopodobnie otrzymała stopień pielęgniarki w czasach, kiedy do znieczulenia używano whisky. Od tamtej pory ukończyła pewnie całą furę kursów, ale mógł założyć się o sto dolarów, że nie odróżniała zwykłych nożyczek od kleszczy. W sali operacyjnej byłaby tak przydatna jak orangutan. Wybiegł myślami naprzód, do dni-a, kiedy wkroczy do tego pokoju i złoży rezygnację, rujnując jej dobre samopoczucie.

- Panie Harding - odezwała się, przenosząc uwagę na petenta. Jej owalna twarz była częściowo osłonięta dużymi, okrągłymi okularami. - Napomknął pan w podaniu, że pracował w czterech bostońskich szpitalach. Trochę to niezwykle.

Miał ochotę jęknąć głośno. Ta pani Mecklenburg ma ochotę do upadłego prowadzić tę zabawę w rozmowę!

Zdawał sobie sprawę, że może powiedzieć cokolwiek, a i tak zostanie zatrudniony.

Zdecydował grać dalej. Przygotowany był na takie pytania.

— Każdy ze szpitali oferuje inne możliwości, jeżeli chodzi o wykształcenie i odpowiedzialność. Moim celem jest zdobycie maksimum doświadczenia. Pracuję w jednej placówce około roku. Doszedłem do wniosku, że akademickie otoczenie w Boston City Hospital pomoże w pełnym rozwoju moich możliwości.

— Rozumiem.

Nie wyczerpał tematu. Dodał:

— Ufam, że mogę liczyć na poparcie. Nie boję się pracy ani przeciwności, jakie mogę spotkać, ale muszę postawić jeden warunek. Chcę pracować na bloku operacyjnym.

— Myślę, że nie stanowi to problemu. Kiedy może pan zacząć?

Uśmiechnął się. Było to jednak cholernie proste.

Dzisiejszy dzień Devlina nie przebiegał lepiej od wczorajszego. Był na północnym wybrzeżu, w North Shore, odwiedził dwie posiadłości Eversonów, w Peabody i Salem. Zjeżdżał właśnie z grobli w stronę jeszcze jednej, w przesmyku Marblehead. Port miał po prawej stronie, a ocean po lewej. Całe szczęście, że pogoda i krajobraz były przyjemne.

Tak się pomyślnie złożyło, że w każdym z odwiedzonych domów kogoś zastał. Wykonana tura, odhaczanie kolejnych adresów z listy, nie zdała się na wiele. Nikt nie znał nawet ze słyszenia Christophera Eversona. Zaczynał wątpić w swoją intuicję podpowiadającą, że poszukiwany pochodził z okolic Bostonu.

Skręcił w lewo z Harbor Avenue. Szereg imponujących domów przyciągało wzrok. Jak miło byłoby mieć odpowiednią ilość pieniędzy, by tak pięknie mieszkać i spokojnie żyć.

Co prawda sporo zarobił na przestrzeni ostatnich lat, ale wszystko przepuścił w Vegas i Atlantic City.



Pierwszą rzeczą, jaką zrobił tego ranka, było odwiedzenie głównej siedziby policji i złożenie wizyty Sawbonesowi Bromlley. Doktor Bromlley współpracował z bostońskim wydziałem policji na Berkeley Street od początku wieku, jak głosiła legenda. Prowadził ćwiczenia gimnastyczne z oficerami, leczył proste zaziębenia i opatrywał niewielkie skaleczenia czy zdrapania. Nie wzbudzał wielkiego zaufania.

Devlin pokazał mu notatki zabrane z pokoju hotelowego Rhodesa i zadał proste pytanie - o czym są. Podziało na Sawbonesa jak woda na młyn. Wygłosił dwudziestominutowy wykład na temat układu nerwowego, na dodatek o jego obydwu częściach. Jedna odpowiada za wykonywane czynności, które planujesz, na przykład picie piwa, natomiast druga steruje funkcjami i działaniami, o których nie myślisz, jak oddychanie czy trawienie befsztyka.

Do tego punktu rozumiał wszystko. Potem Bromlley powiedział, że ta część systemu, odpowiadająca za czynności, o których nie chcesz myśleć, ma również dwie części - współczulną i przywspółczulną. Części te przeciwko sobie walczą, na przykład jedna powoduje powiększenie źrenic, druga zmniejszenie, jedna wywołuje biegunkę, druga ją zatrzymuje.

Zniósł całkiem dobrze i to, ale potem Bromlley przeszedł do wywodów na temat funkcjonowania nerwów i jak środki do miejscowych znieczuleń blokują ich funkcje. Od tej chwili nastąpiły dla Devlina ciężkie momenty, ale ponieważ to, co mówił lekarz, dotyczyło tylko notatek, miał nadzieję, że niedługo wyczerpie temat. Bromlley uwielbiał dorwać słuchacza. Devlin pozwolił mu spokojnie nadawać. Kiedy wyglądało na to, że wykład zbliża się do końca, przypomniał mu o początkowym pytaniu.

- Wspaniale, doktorze, wspaniale! Ale wróćmy na chwilę do notatek. Czy jest w nich coś, co pana zdziwiło lub wzbudziło podejrzenie?

-Wszystko wydaje się całkiem jasne i ktokolwiek napisał te informacje o systemie nerwowym, zrobił to prawidłowo.

Devlin podziękował i wyszedł. Wycieczka była pożyteczna z jednego względu. Zdobył całkowite przekonanie, że Christopher Everson był lekarzem.

Na przesmyku Marblehead podjechał do niskiego domu w stylu rancia. Sprawdził numer ze swoją listą.

Zgadzał się. Wsiadł z samochodu i przeciągnął się. Dom nie stał nad samą wodą, ale widać ją było, jak połyskuje między drzewami tworzącymi szpaler wzdłuż alei prowadzącej do portu.

Podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. Otworzyła atrakcyjna blondynka w jego wieku.

Gdy tylko spojrzała na Devlina, próbowała zamknąć drzwi z powrotem.

Umieścił spokojnie czubek kowbojskiego buta w szparze.

Drzwi zatrzymały się. Kobieta spojrzała w dół.

-Myślę, że twój but blokuje moje drzwi - powiedziała bez zająknięcia. Patrzyła mu prosto w oczy. - Pozwól mi zgadywać - jesteś sprzedawcą ciasteczek pieczonych przez skautów. Devlin zarechotał i potrząsnął głową z niedowierzaniem. Nigdy nie potrafił przewidzieć ludzkich reakcji. Jedno cenil ponad wszystko - poczucie humoru. Ta kobieta podobała mu się.

— Proszę wybaczyć, że sprawiłem wrażenie intruza, chciałem zadać tylko proste pytanie i obawiałem się, że miałaś zamiar zamknąć drzwi.

— Mam czarny pas karate - powiedziała.

— Nie musisz grozić. Szukam Christophera Eversona. Ponieważ dom jest wymieniony jako własność rodziny o tym nazwisku, pomyślałem, choć to mało prawdopodobne, że może ktoś słyszał o tym mężczyźnie.

-Po co ci to potrzebne?

Kiedy wyjaśnił, puściła drzwi.

-Wydaje mi się, że czytałam o Christopherze Eversonie w gazetach - powiedziała marszcząc czoło - tak, jestem absolutnie pewna, że to był Christopher.

— W bostońskiej gazecie?

— W "Globe". Jakiś czas temu. Rok albo więcej.

Moją uwagę zwróciło oczywiście nazwisko. Tu w okolicy nie ma wielu Eversonów. Mój mąż i jego rodzina pochodzą z Minnesoty.

Devlin nie całkiem zgadzał się z nią co do braku Eversonów w okolicy, ale nie poruszył tej kwestii.

— Przypominasz sobie, o czym był artykuł?

— Tak, tak, to było na stronie nekrologów. Ten mężczyzna zmarł.

Wrócił wściekły do samochodu. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Christopher Everson nie żyje. Uruchomił silnik, zrobił nawrót i skierował się w drogę powrotną do Bostonu.

Wiedział dokładnie, gdzie chce jechać. Dojazd na miejsce zajął pół godziny. Zaparkował przy hydrancie na West Street, doszedł do Tremont i wkroczył do stanowego - departamentu zdrowia.

Na pierwszym piętrze znajdował się urząd stanu cywilnego i statystyki. Wypełnił formularz potrzebny do otrzymania aktu zgonu Christophera Eversona. Podając rok, wpisał 1988. Wiedział, że jeżeli zajdzie potrzeba, będzie mógł zmienić datę. Zapłacił przy kontuarze pięć dolarów i spokojnie usiadł. Nie czekał długo. Mylnie podał rok, ale zmieniono go na 1987. Po dwudziestu minutach wracał do samochodu z aktem zgonu Christophera Eversona.

Zamiast uruchomić silnik uważnie przeczytał dokument. Pierwsza informacja oszołomiła go. Everson był żonaty, a pozostała przy życiu małżonka nazywała się Kelly Everson. Doskonale pamiętał wycieczkę do jej domu. To tam, gdzie słyszał okropny hałas, jak gdyby po podłodze toczyły się puszki, i gdzie nikt nie podszedł do drzwi. Wyciągnął listę, na której była zakreślona K.C. Everson. Porównał adres z tym na akcie zgonu. Były identyczne.

Uważnie czytał dopiero co otrzymany dokument.

Zmarły był lekarzem. Spoglądając na dół strony, w rubrykę "przyczyny śmierci", zobaczył, że zostało stwierdzone samobójstwo. Jako bezpośredni powód wymieniono uduszenie, ale poniżej był opis mówiący, że było ono skutkiem samodzielnego wstrzyknięcia scolicy.

Uruchomił silnik i włączył się do ruchu na Tremont Street. Z nieoczekiwaną złością zmiął akt zgonu i cisnął nim na tylne siedzenie. Scolina - to samo świństwo wstrzyknął mu Jeffrey Rhodes. Cud, że ten kretyn go nie zamordował.

Ze szczególną przyjemnością patrzył w przyszłość, nie mógł się doczekać, kiedy dostanie doktora w swoje ręce.

Minęło południe. Masa samochodów wolno posuwała się do przodu. Stracił więcej czasu na jazdę z Bostonu do Brooklinu niż na podróż z Marblehead do miasta. Dochodziła pierwsza, kiedy podjechał pod dom Kelly Everson.

Nic nie wskazywało na obecność właścicielki, zauważył jednak wyraźną zmianę. Wszystkie zasłony na parterze były szczelnie zaciągnięte. Poprzedniego dnia tego nie było. Dobrze pamiętał, jak osłaniał twarz, zaglądając przez okno jadalni. Uśmiechnął się. Nie trzeba być psychologiem, by zorientować się, że coś tutaj zaszło. Zrobił nawrót na następnej przecznicy, a potem zaparkował dwa numery poniżej domu Kelly, po przeciwnej stronie ulicy. Z doświadczenia wiedział, że jeżeli sprawa była pewna, a nie mógł zdecydować się na konkretną metodę działania - najlepiej było nie robić nic.

12

PIĄTEK

19 MAJA 1989 r. GODZINA 11.25

- Reszty nie trzeba - powiedział Jeffrey do kierowcy taksówki wysiadając przed frontem budynku kostnicy miejskiej. Usłyszał coś, czego nie zrozumiał.

— Przepraszam, co pan mówi?

— Mówię, do diabła, co to za napiwek - 50 centów?!

By dosadniej wyrazić, co myśli o kliencie, wyrzucił resztę przez okno i wystartował z piskiem opon.

Dwie ćwiartki dolara wirowały na chodniku. Jeffrey pokręcił głową. Bostońscy taksówkarze rozpanoszyli się na dobre. Schylił się i podniósł monety. Spojrzał na fasadę kostnicy.

Była to stara budowla, pokryta patyną brudu zalegającego od czasów, kiedy węgiel był głównym źródłem ogrzewania miasta. Gmach upiększono stylizowanymi egipskimi motywami, co mimo wszystko nie tworzyło królewskiego efektu. Wyglądał bardziej na hollywoodzką dekorację do horroru niż na medyczną placówkę naukową.

Wszedł głównym wejściem i podążając za napisami informacyjnymi - "Ośrodek Badań Medycznych", dostał się schodami na pierwsze piętro.

-W czym mogę pomóc? - spytała stateczna kobieta, kiedy zbliżył się do długiej lady. Stało za nią pięć rozmieszczonych przypadkowo, metalowych biurek. Na wszystkich piętrzyły się stosy listów, formularzy, kopert i segregatorów. Miał wrażenie, że cofnął się dwadzieścia lat w przeszłość. Telefony, równie stare jak biurka, były czarne i miały obrotowe tarcze.

-Jestem lekarzem z St. Joseph's Hospital. Interesuje mnie przypadek wyznaczony prawdopodobnie dzisiaj do autopsji. Chodzi o Karen Hodges.

Zamiast odpowiedzi kobieta przejechała palcem w dół listy z nazwiskami. Zatrzymała się w połowie strony.

— Zajmuje się tym doktor Warren Seibert. Nie jestem pewna, gdzie jest.

Prawdopodobnie w prosektorium.

— Gdzie to jest? - spytał Jeffrey.

Chociaż dwadzieścia lat praktykował w Bostonie, nigdy nie był w prosektorium miejskim.

-Może pojechać pan windą, ale nie radzę. Proszę skrócić za rogiem i pójść schodami na górę. Ze schodów w prawo, potem w lewo. Na pewno nie przeoczy pan tego miejsca.

Poszedł według wskazówek. Wiele razy, pytając o drogę, słyszał zdanie - "na pewno pan nie przeoczy".

Tym razem była to prawda. Zanim doszedł do prosektorium, poczuł je.

Drzwi były szeroko otwarte. Nieśmiało zajrzał przez próg. Zobaczył ogromne

pomieszczenie. Jedną ze ścian zajmował rząd metalowych okien. Cuchnące powietrze

wirowało dzięki starego typu obrotowemu wentylatorowi ustawionemu na wierzchu metalowej kartoteki.

Znajdowały się tutaj trzy stoły autopsyjne z nierdzewnej stali, na wszystkich leżały nagie ciała. Dwaj mężczyźni i kobieta. Była młoda, z jasnymi włosami, a jej skóra o barwie kości słoniowej miała nikły, błękitnawy odcień.

Przy każdym ze stołów pracowała dwuosobowa ekipa.

Salę wypełniały odgłosy cięcia, krojenia, piłowania i przytłumionych rozmów. Wyglądało na to, że trzy ekipy złożone są z samych mężczyzn, choć Jeffrey nie był tego pewien.

Wszyscy ubrani byli w chirurgiczne stroje przykryte gumowymi fartuchami. Oczy zabezpieczały ochronne, z pleksi, gogle. Twarze zakrywały maski chirurgiczne, a na rękach mieli grube, gumowe rękawice. W kącie Sali znajdował się wielki kamienny zlew z nieprzerwanie płynącą wodą.

Na jego krawędzi niebezpiecznie balansowało radio, z którego dochodziła absurdalnie przyjemna muzyka rockowa. Ciekawe, co powiedziałby Billy Ocean, widząc tę scenę - pomyślał Jeffrey.

Stał w drzwiach prawie kwadrans, walcząc z lekkimi nudnościami. Nigdy nie uznawał patologii. Jeszcze na studiach sekcje zwłok stanowiły dla niego ciężką próbę. W końcu zauważył go jeden z mężczyzn idący w kierunku zlewu z czymś, co wyglądało jak wątroba.

— O co chodzi? - spytał podejrzliwie.

— Szukam doktora Seiberta.

— Hej, Seibert, masz towarzystwo! - krzyknął przez ramię mężczyzna.

Jedna z postaci pochylonych nad ciałem kobiety podniosła głowę i spojrzała w ich stronę. W jednej ręce trzymała skalpel, drugą zagłębiała wewnątrz zwłok.

-Słucham, w czym mogę pomóc?

Jeffrey przełknął ślinę. Czuł lekkie zawroty głowy.

- Jestem lekarzem z St. Joseph's, anestezjologiem.

Ciekaw jestem, czy coś wykryto u pacjentki o nazwisku Karen Hodges.

Doktor Seibert dał znak asystentowi i podszedł do

Jeffreya. Był od niego dużo wyższy.

— Czy to ty na zawsze znieczuliłeś tę kobietę? – W ręce wciąż trzymał skalpel. Jeffrey nie był w stanie patrzeć poniżej jego ramion, na ohydnie schlapany krwią fartuch.

Skoncentrował się na oczach patologa, niebieskich i zadziwiająco nieruchomych.

— Nie, to nie ja. Słyszałem jednak, że zgon nastąpił, podczas ZO. Interesuję się tym przypadkiem, ponieważ wiem o czterech porównywalnych na przestrzeni ostatnich czterech lat. Czy użyto marcainy?

— Jeszcze nie wiem, karta jest w moim biurze. Idź tam i rozgość się. Jest na dole, po lewej stronie, za biblioteką. Uporam się z tym tutaj za piętnaście, dwadzieścia minut.

— Czy ciało, nad którym pracujesz, to nie Gail Shaffer?

- Dokładnie tak. Po raz pierwszy w karierze mam pod rządem dwie przystojne kobiety. To mój szczęśliwy dzień.

Jeffrey puścił komentarz mimo uszu. Nigdy nie odpowiadało mu poczucie humoru patologów.

— Jest już jakaś wskazówka co do przyczyn śmierci?

— Proszę podejść - powiedział Seibert, czyniąc zapraszający gest zakrwawioną ręką.

Ruszył z powrotem w kierunku stołu.

Podążył za nim, jednak nie chciał podchodzić zbyt blisko.

-Widzisz to? - rączką skalpela wskazał na rozcięcie wysoko na czole Gail. - Jedno diabelne uderzenie.

Czaszka zmiażdżona do wnętrza zatoki czołowej.

Jeffrey skinął głową. Zaczął oddychać ustami, nie mogąc znieść zapachu. Harold zajęty był wyjmowaniem jelit.

— Czy to uderzenie mogło ją zabić?

— Prawdopodobnie, jednak prześwietlenie tego nie potwierdza. Zobaczmy po wyjęciu mózgu. Miała też jakieś kłopoty z sercem, być może nawet przed uderzeniem, będziemy badać je wyjątkowo dokładnie.

— Robicie testy na leki?

— Oczywiście, zrobimy pełny, toksykologiczny obraz krwi, płynu mózgowo-rdzeniowego, żółci, moczu, a nawet tego, co wyciągniemy z żołądka.

— Pozwól, że pomogę - zwrócił się Seibert do asystenta.

Harold skończył właśnie uwalnianie brzusznych organów kobiety. Patolog chwycił długą, płaską tacę, na którą asystent przeniósł śliską zawartość wyjętą z wnętrza ciała.

Jeffrey odwrócił się. Kiedy spojrział ponownie, Harold zmierzał z kuwetą w kierunku zlewu.

Seibert nadal grzebał wewnątrz jamy brzusznej.

— Zawsze musisz być przygotowany na coś niespodziewanego. Nigdy nie wiesz, co chcesz znaleźć.

— A jeżeli zasugeruję ci, że obydwie kobiety zostały otrute? - powiedział nagle Jeffrey. —

Czy działałbyś wtedy inaczej? Czy wchodziłyby w grę jakieś inne testy?

.Patolog znieruchomiał. Zagłębiał właśnie prawą rękę w miednicę Gail. Podniósł powoli głowę, by jeszcze raz przyjrzeć się Jeffreyowi.

— Czy wiesz coś, o czym powinienem wiedzieć? - spytał znacznie poważniejszym tonem.

— Powiedzmy, że stawiam hipotetyczne pytanie.

Obydwie kobiety miały ataki padaczkowe i kłopoty z sercem, nie będąc świadome swych chorób. Tak to rozumiem.

Seibert wyciągnął rękę, stając twarzą w twarz z Jeffreyem w poprzek rozkrojonego ciała Gail Shaffer. Myślał

przez chwilę, potem spojrział w dół, na zmarłą kobietę.

-Nie, nie działałbym inaczej, nie istnieje rzeczywista różnica między samodzielnym otruciem się, eufemistycznie zwanym jako użycie leków dla pokrzepienia, a otruciem przez kogoś - w każdym razie nie z punktu widzenia patologii. Trucizna albo jest w organizmie zmarłego, albo jej nie ma. Gdyby powiadomiono mnie o wchodzącej w grę konkretnej truciznie, przypuszczam, że mogłoby to wpłynąć na moje postępowanie wobec poszczególnych tkanek. Istnieją odrębne barwniki dla odrębnych trucizn.

-A jeśli chodzi o toksyny?

Seibert gwizdnął.

-Mówisz o wyjątkowym paskudztwie. Masz na myśli fitotoksyny lub tetrodotoksynę? Słyszałeś o niej? Pochodzi od tej jakby nadmuchianej ryby -- sushi. Czy jesteś w stanie uwierzyć, że istnieją lokale, które mają pozwolenie na podawanie tego świństwa? Do diabła, nawet bym tego nie tknął.

Jeffrey zauważył, że trafił na czuły punkt zainteresowań patologa. Jego entuzjazm w stosunku do toksyn był oczywisty.

-Toksyny są fenomenalne. Człowieku, jeżeli chciałbym wysłać kogoś na tamten świat, bez wątpienia użyłbym toksyn.

W wielu przypadkach nikt nawet nie myśli o szukaniu ich śladów. Przyczyny śmierci wydają się naturalne. Hej, czy pamiętasz tego tureckiego dyplomate, który skończył w Paryżu? To musiała być toksyna. Umieszczono ją w czubku parasola i ktoś po prostu, przechodząc obok faceta, leciutko ukłuł go w tyłek. Trafilem? Gość wił się w konwulsjach na trybunie. Śmierć w parę minut.

A czy wykryto, co to było? Do diabła, nie. Toksyny są morderczo trudne do zidentyfikowania.

Uśmiechnął się szeroko ze swojego żartu.

-- Ale czy można je wychwycić? - spytał Jeffrey.

Seibert przybrał zakłopotany wyraz twarzy.

-Właśnie dlatego użyłbym ich, gdybym chciał kogoś sprzątnąć, że są kurewskie do wytropienia, i na pytanie, czy można je wysledzić, muszę odpowiedzieć - tak i nie. Duży problem tkwi w tym, że bardzo mała ilość toksyn przebywa długą drogę. Potrzebują jedynie kilku molekuł, by wykonać swoją brudną robotę. Mówię o miliardowych częściach gramocząsteczek. Znaczy to, że nasza zwykła, stara podpora - chromatograf w połączeniu ze spektrografem często nie potrafią wychwycić toksyn wśród innych związków organicznych pływających w próbce. Ale jeżeli wiesz, czego szukasz, na przykład tetradotoksyny, dlatego że facet stał się nieboszczykiem po zjedzeniu kawałka sushi, to znajdziemy przeciwciała monoklonalne łączące się z fluoresceiną lub znacznikiem radioaktywnym i wtedy możemy wyróżnić to świństwo. Ale, mówię ci, nie jest to łatwe.

— A więc czasami nie jesteś w stanie wychwycić toksyny, jeżeli nie wiesz konkretnie, czego szukasz? - powiedział Jeffrey ogarnięty nagłym zniechęceniem. -

Brzmi to jak cytat z "Paragrafu 22" - dodał.

— Oto przyczyny, w wyniku których może to być zbrodnia idealna.

Od zlewu wrócił Harold z tacą pełną wymytych organów. Jeffrey poświęcił się dokładnemu zbadaniu sufitu.

-Harold, chcesz wyjąć mózg? - spytał Seibert.

Mężczyzna skinął głową, odłożył tacę na koniec stołu, okrążył go i podszedł do głowy.

- Przepraszam, że bez umawiania przerwałem wam pracę - powiedział Jeffrey.

— Nie ma sprawy, tego rodzaju przerwę zawsze mogę sobie zafundować. Ta część autopsji jest trochę nudna.

Cała przyjemność pracy leży w analizowaniu. Kiedy łowię ryby, nie lubię ich czyścić. Nie ma wielkiej różnicy między wędkarstwem a prowadzeniem sekcji. Podsyciłeś tylko moją ciekawość. Skąd zainteresowanie toksynami?

Człowiek tak zajęty jak ty nie przychodzi tutaj, by grać w dwadzieścia pytań.

— Powiedziałem, że były już cztery zgony podczas ZO. To bardzo niezwykle. Do tego przy dwóch z nich początkowe symptomy okazały się nieuchwytnie inne. Mogły być potraktowane jako reakcja na środek do znieczulenia miejscowego.

— A więc? - spytał Seibert.

Jeden z patologów podniósł głowę i zawołał:

-Hej, czy to dlatego, że ona ma dobre ciało, zamierzasz zrobić z tego przypadku dzieło swojego życia?

- Zamknij się, Nelson. On po prostu zazdrości, że dostałem dwie pod rząd. Tak się złożyło. Następnymi zwłokami będzie prawdopodobnie sześćdziesięcioletni alkoholik, który pływał w bostońskim porcie przez trzy tygodnie. Powinieneś zobaczyć coś takiego. Fuu! Na gazie, który z niego wychodzi, twój samochód może jeździć przez cały tydzień. Próbował się uśmiechnąć. Wyobraźnia tych ludzi była równie odrażająca jak i okoliczności.

W odpowiedzi na docinki kolegów patolog wziął grube nici, nawłókł je na mocno ściętą igłę i zaczął zszywać cięcie sekcyjne w kształcie litery Y.

— Na czym skończyliśmy? - spytał. - Ach, tak. Jak różniły się symptomy?

— Natychmiast po podaniu marcainy pacjenci doznali gwałtownych reakcji przywspółczulnych z bólem brzuszny, ślinieniem, poceniem, a nawet zwężeniem źrenic. Trwało to zaledwie parę sekund, po czym następowały silne ataki typu padaczkowego.

Harold wykonał skalpelem cięcie dookoła głowy Gail.

Z okropnym, rozdzierającym odgłosem pociągnął skalp na dół twarzy. Czaszka była obnażona. Jeffrey starał się stać bokiem. Chciał widzieć jak najmniej.

-Nigdy nie zaobserwowałeś tego typu symptomów przy reakcji uczuleniowej na środki do znieczuleń miejscowych? - spytał Seibert.

Zakładając szew, podnosił igłę wysoko nad głowę, jak szewc, dobrze naciągając nić.

— I tak, i nie. Drgawki, ataki konwulsji - na pewno.

Zwężenie źrenic też jest opisane w literaturze medycznej, chociaż za nic w świecie nie jestem w stanie wyjaśnić mechanizmu fizjologicznego, nie spotkałem się z tym symptomem. Jednak przejściowe i krótkotrwałe ślinienie, pocenie i łzawienie - nigdy nawet o tym nie czytałem.

— Myślę, że mam obraz sytuacji - powiedział Seibert. -

W tym momencie prosektorium wypełnił warkot. Ciało Gail zaczęło wibrować. Harold wycinał ciemność przy pomocy elektrycznej piłki, żeby wyjąć mózg. Patolog musiał mówić głośniej.

-- Ponieważ jako pierwsze blokowane są włókna nerwowe hamujące, nie powinno wystąpić żadne początkowe pobudzenie. Czy dobrze pamiętam?

— Robisz na mnie duże wrażenie, mów dalej.

— Blokada pochodzi od powstrzymywania jonów sodu przed przekraczaniem błon. Dobrze mówię?

— Musiałeś mieć podczas studiów A z plusem z neurofizjologii.

— To jest ten rodzaj materiału, którym się najbardziej interesuję. Zajmowałem się tym przy okazji ciężkiego osłabienia mięśni. Wiadomości pochodzą także z opracowania, w którym czytałem o tetrodotoksynie. Wiesz, że to świństwo naśladuje środki do miejscowych znieczuleń?

Niektórzy stawiają nawet hipotezę, że może to być naturalny środek znieczulający.

Jeffrey niejasno przypomniał sobie, że coś na ten temat czytał.

Warkot elektrycznej piłki nagle ustał. Nie chciał oglądać następnego etapu. Odwrócił się.

— Tak czy siak - powiedział Seibert - z tego, co pamiętam, to przy ZO, jeżeli można spodziewać się zmian, to raczej w systemie współczulnym, nie przywspółczulnym, i to z powodu ryzyka nieuwważnego wstrzyknięcia medykamentu w przestrzeń znieczulenia rdzeniowego?

Mam rację?

— Jak najbardziej.

— Ale czy prawdziwe kłopoty nie następują czasami, jeżeli przez pomyłkę wstrzykniesz środek znieczulający bezpośrednio do krwi?

— Oczywiście, że tak, stąd pochodzą ataki silnych drgawek czy intoksykacja serca. Ale nie jest to sposób na wytłumaczenie nagłych oznak pobudzenia przywspółczulnego. Trzeba myśleć, że wchodzi tutaj w grę jakiś inny środek. Coś, co powoduje nie tylko ataki czy intoksykację serca, "ale także przez krótką chwilę pobudzenie przywspółczulne.

— Fakt! - wykrzyknął Seibert. - To jest mój przypadek. To jest coś dla patologa.

— Tak przypuszczam - powiedział Jeffrey - prawdę mówiąc, sądziłem, że dla anestezjologa.

— Nie będziemy się spierać. Patolog jest bardziej wyrafinowany w wymyślaniu sposobu na zabijanie ludzi.

Jeffrey przerwał sprzeczkę, uświadamiając sobie absurdalność sporu na temat, która ze specjalności kształci bardziej wyrafinowanego zabójcę.

— W obu przypadkach, o których mówiłem, jest jeszcze coś. Podczas autopsji ujawniono zniekształcenia komórek nerwowych i wypustek nerwowych. Jeden z przypadków miał nawet robione zdjęcia mikroskopowe, które wykazały znaczne zmiany w nerwach i mięśniach.

— Nie żartujesz?

Patolog przerwał zszywanie. Widać było, że jest zafascynowany.

-A więc pozostało nam jedynie wyłuskać toksynę, która powoduje silne ataki i intoksykację serca poprzez uszkodzenie komórek nerwowych i mięśniowych, plus pobudzenie przywspółczulne! Oczywiście jedynie początkowo. Wiesz co? Masz rację. To brzmi jak pytanie testowe podczas egzaminu z neurofizjologii na pierwszym roku. Muszę to przemyśleć.

-Czy wiesz, że Karen Hodges miała początkowo symptomy tego samego rodzaju? Seibert wzruszył ramionami.

- Nie wiedziałem, mam zwyczaj szczegółowo studiować karty dopiero po autopsji. Lubię mieć otwartą głowę. Postępując tak zmniejszam szansę na przeoczenie czegoś.

— Nie masz nic przeciwko temu, że pójde przejrzeć kartę? - spytał Jeffrey.

— Nie, u licha! Rozgość się w moim gabinecie. Tutaj nie potrwa już długo.

Zadowolony, że wydostaje się z przykrego zapachu prosektorium, skierował się na dół, do małego biura Seiberta. Pokój był najprzytulniejszym ze Wszystkich, jakie miał okazję spotkać podczas prywatnych wizyt w kostnicy. Na biurku leżał doskonale dopasowany bibularz, stały koszycki i pojemniki na pióra i ołówki oraz fotografia w ramce. Na zdjęciu widniał patolog z krótko dzieci. Ubrana w narciarskie stroje rodzina pozowała na tle ośnieżonej góry.

Pośrodku bibularza leżały dwie karty. Na wierzchu - Gail Shaffer. Odłożył ją na bok. Wziął do ręki kartę Karen Hodges. Usiadł w fotelu. Zapis znieczulenia interesował go najbardziej.

Anestezjologiem był William Doherty. Znał go słabo z medycznych spotkań. Zerkając na dół strony zobaczył, że środkiem znieczulającym była marcaina 0,5%. Sądząc po dawce wydedukował, że Doherty używał trzydziestocentymetrowej ampułki. Przeczytał lapidarne streszczenie przebiegu wypadku. Czytając nie był w stanie nie wrócić



myślami do tragicznej śmierci Patty Owen. Zrobiło mu się zimno. Karen Hodges doznała tych samych, zaskakujących symptomów przywspółczulnych, zanim jej ciało ogarnął atak typu padaczkowego.

Był pełen współczucia dla doktora Doherty. Wiedział aż za dobrze, przez co przeszedł. Pchnięty nagłym impulsem, sięgnął po telefon Seiberta i zadzwonił do St. Joseph's Hospital. Poprosił o połączenie z pokojem anestezjologów. Czekał, aż przywołają Doherty'ego.

Kiedy lekarz zgłosił się, powiedział, jak jest mu przykro z powodu wczorajszego tragicznego wypadku, dodając, że zdaje sobie sprawę z jego udręki, ponieważ sam miał podobne doświadczenia.

— Kto mówi? - spytał Doherty, przerywając w pół słowa.

— Jeffrey Rhodes - po raz pierwszy od wielu dni przedstawił się swoim prawdziwym nazwiskiem.

— Doktor Jeffrey Rhodes z Memorial?

— Tak. Chciałem panu zadać jedno pytanie na temat wypadku. Kiedy podawał pan testową dawkę...

— Przykro mi - ponownie przerwał" Doherty - otrzymałem kategoryczne polecenie od adwokata, by nie dyskutować z nikim na temat tego wypadku.

— Rozumiem. Czy została wytoczona sprawa o zaniedbania w leczeniu?

— Jeszcze nie. Ale, niestety, wszyscy się tego spodziewamy. Naprawdę nie mogę dyskutować dłużej, ale doceniam, że pan zadzwonił. Dziękuję.

Rozczarowany, odłożył słuchawkę. Nie skorzystał nic z najnowszego doświadczenia doktora Doherty. Rozumiał w pełni motywy, jakimi kierował się ten człowiek, pozostając tak ostrożnym. Otrzymał taki sam zakaz od Randolpha, odnoszący się do wypadku Patty Owen.

-Mam pewien pomysł!

Seibert wbiegł do małego gabinetu w czystym ubraniu lekarskim. Po raz pierwszy mógł mu się dobrze przyjrzeć, nie miał na sobie stroju chirurgicznego, maski i czepka.

Był atletycznej budowy. Z kolorem niebieskich oczu współgrały piaskowoblond włosy. Miał kanciastą, przystojną twarz. Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat.

Usiadł wygodnie w fotelu za biurkiem, opierając nogi o brzeg blatu.

-To, o czym mówimy, to pewien rodzaj histotoksycznej blokady depolaryzującej. Możesz wywołać taki początkowy wstrząs, jeżeli do wszystkich zwojowych złączy nerwowych i do płytek nerwów ruchowych dotrze wstrzyknięta duża dawka acetylocholin. Teraz szybko wystąpią objawy pobudzenia układu przywspółczulnego, zanim całe to diabelstwo zwróci się ku drugorzędnemu działaniu, niszczenia komórek nerwowych i mięśniowych. Jedyny kłopot w tym, że to spowoduje także drgania mięśni!

-- Ależ tam występowały drgania wiązek mięśni - zainteresowanie Jeffreya rosło.

Wyglądało na to, że Seibert był na tropie.

- To mnie nie dziwi - odpowiedział zdejmując nogi z biurka. Patrząc mu prosto w oczy spytał:

— Co z ostatnim pacjentem? Czy Karen Hodges również miała tego rodzaju symptomy, o których mówimy?

— Dokładnie takie same.

— I jesteś pewien, że nie były spowodowane środkami znieczulającymi?

— Tak.

- W takim razie z zainteresowaniem obejrzę wyniki toksykologiczne.
  - Miałem wgląd w autopsje dwóch z czterech przypadków. Testy toksykologiczne były negatywne.
  - Jakże są te cztery nazwiska? - spytał Seibert biorąc do ręki pióro.
  - Patty Owen, Henry Noble, Clark De Vries, Lucy Havalin. Przeglądałem autopsje Owen i Noble'a.
  - Nie znam żadnego z tych przypadków. Muszę sprawdzić i zobaczyć, co mamy w naszych kartotekach.
  - Czy istnieje szansa, że zachowały się płyny cieleśne kogoś z nich?
  - Zamrożone próbki wybranych przypadków przechowujemy około roku. Który jest najbliższy?
  - Patty Owen. Jeżeli miałbyś serum, będziesz w stanie przeprowadzić testy na toksyny?
  - Brzmi całkiem prosto, ale jak ci powiedziałem wcześniej, bardzo trudno jest znaleźć toksynę, chyba że będziesz miał tyle szczęścia, że trafisz na konkretną antytoksynę w określonej formie. Nie można po prostu próbować na chybił trafił grupy antytoksyn i oczekiwać, że akurat ta będzie najlepsza.
  - Jest sposób, by zawęzić krąg możliwości?
  - Być może należy podejść do problemu od innej strony. Jeżeli była to toksyna, jak ją dostali pacjenci?
  - To zupełnie inna kwestia - przyznał Jeffrey.
- Nie chciał przedstawiać teorii o doktorze X właśnie teraz.
- Pozwól, że zostawimy to na chwilę. Kiedy tutaj wszedłeś, wyobrażałem sobie, że masz coś konkretnego na myśli.
  - Miałem. Myślałem o całej grupie toksyn powodujących duży zamęt. Pochodzą z gruczołów skórnych pewnego gatunku ropuch żyjących w Kolumbii.
  - Czy udokumentowane jest, że zawierają tę tajemniczą toksynę, o której dyskutujemy?
  - Musiałbym coś przeczytać, by być absolutnie pewnym, ale. o ile sobie przypominam, zostało to udokumentowane. Została odkryta jak kurara. Indianie mieli w zwyczaju wyciskanie skór ropuch, a powstałego w ten sposób ekstraktu używali do zatruwania strzał. Może to jest to - jeden z kolumbijskich Indian wstąpił na wojenną ścieżkę. Seibert roześmiał się.
  - Możesz mi udostępnić jakąś publikację? Chciałbym poczytać trochę na ten temat.
  - Jasne.
- Ruszył w kierunku kartoteki, po drodze zatrzymał się i odwrócił w stronę Jeffrey'a.
- Dyskusja nasunęła mi pomysł na znakomity koktajl, służący do popelnienia zbrodni doskonałej. Zalecam dodanie do leku używanego przy znieczuleniu miejscowym tetrodotoksyny. Daje pozornie takie same efekty i nikt niczego nie podejrzewa.
- Mamy tutaj chwilowe symptomy przywspółczulne, sprawiające tyle kłopotów, przy tetrodotoksynie nie byłoby żadnych.
- O czymś jednak zapomniałeś - powiedział Jeffrey. - Po tetrodotoksynie pacjent jest chyba do odratowania. Paraliżuje ona zdolność oddychania, co podczas wykonywania znieczulenia nie ma znaczenia. Oddech pacjenta można utrzymać. Seibert, zawiedziony, strzelił palcami.
  - Masz rację. Zapomniałem o tym. To musi niszczyć komórki, jak i blokować ich funkcje. Znowu skierował się w stronę kartoteki i wysunął najwyższą szufladę.

-Gdzie, u diabła, schowałem ten materiał? - mruzczał. Wertował teczki przez parę minut, wyraźnie niezadowolony. - O! Jest tutaj! - powiedział wyjmując tryumfalnie teczkę z szuflady. - Zaszeregowałem ten materiał pod "żaby", co za dureń ze mnie!

Teczka zawierała szereg artykułów, powielonych z wielu pism, nawet tak popularnych jak "Science". Inne pochodziły z mniej znanych, fachowych periodyków.

Przez parę minut w milczeniu przerzucał kartki.

— W jaki sposób zgromadziłeś to wszystko?

— W moim zawodzie wszystko, co powoduje śmierć, jest interesujące, zwłaszcza coś tak skutecznego jak toksyna. No i jak oprzeć się magii nazw, na przykład tutaj - toksyna teatralna.

Położył artykuł przed Jeffreyem. - A tutaj mamy lulu - trzymał inny wycinek uderzając nim o drugą, wolną rękę. - Jest to jedna z najbardziej toksycznych substancji znanych ludziom - batrachotoksyna.

-Pozwól mi na to spojrzeć.

Jeffrey pamiętał tę nazwę z rozdziału o toksynach w książce Chrisa. Wziął artykuł i przeczytał streszczenie.

Brzmiało obiecująco. Jak sugerował Seibert, działała na złącza komórkowe jak czynnik depolaryzujący. Przeczytał również, że powoduje rozległe zniekształcenia w komórkach nerwowych i mięśniowych.

Podnosząc głowę znad tekstu, podał artykuł patologowi.

- Co powiesz o poszukaniu tej toksyny w serum któregoś z naszych przypadków?

-Będzie jedną z najtrudniejszych do wykrycia. Cholernie skutecznie się maskuje. Jest steroidowym alkaloidem, co oznacza, że z łatwością chowa się w lipidach i steroidach komórek. Może wyciąg z tkanki mięśniowej, byłby lepszy od próbki serum, gdyż działa ona na płytki nerwów ruchowych. Prawdopodobnie jedyną szansą wykrycia batrachotoksyny jest znalezienie sposobu na skuteczne skoncentrowanie jej w próbce.

— Jak byś do tego doszedł?

— Jako steroid będzie przetworzona na glikonian w wątrobie i wydzielona przez żółć. Tak więc próbka żółci może być dobra, pomijając drobny problem.

— Jaki problem?

— To świństwo zabija tak szybko, że wątroba nie ma najmniejszej szansy, by je przetworzyć.

— Jeden z przypadków nie zakończył się tak szybkim zgonem - powiedział Jeffrey mając na myśli Noble'a - najwidoczniej otrzymał mniejszą dawkę, żył jeszcze przez tydzień.

Może to w czymś pomóc?

— Jeżeli miałbym zaryzykować przypuszczenie – to tak. Jego żółć najprawdopodobniej skoncentrowała większą ilość toksyny niż wszystkie pozostałe miejsca ciała.

— Zmarł prawie dwa lata temu. Podejrzewam, iż nie ma szansy na to, że jego płyny cieleśne są nadal gdzieś przechowywane.

— Nie ma takiej szansy. Fakt. W naszej chłodni nie ma tyle miejsca.

— Czy można wziąć próbkę z ekshumowanego ciała?

— Może... Zależy od stopnia rozkładu. Jeżeli ciało zachowało możliwości do zaakceptowania kształt, jeżeli zostało pochowane w zacienionym miejscu i rozsądnie zabalsamowane, może coś z tego być. Ale ekshumacja nie jest najłatwiejszą sprawą. Musisz otrzymać zezwolenie -to nigdy nie jest łatwe. Musisz mieć albo nakaz sądu, albo zezwolenie od

najbliższych krewnych. Nietrudno sobie wyobrazić, że ani sąd, ani rodzina nie będą chętne.

Jeffrey spojrzął na zegarek. Było już po drugiej. W dłoni trzymał artykuł.

— Czy mógłbym go pożyczyć?

— Aż do zwrotu - powiedział Seibert. - Mogę dać ci znać o wynikach toksykologicznych Karen Hodges i tych, zrobionych na serum Patty Owen. Kłopot w tym, że nie znam twojego nazwiska.

— Przepraszam, nazywam się Peter Webber. W szpitalu trudno mnie złapać, będzie prościej, jak ja się odezwę. Kiedy powinienem zadzwonić?

— Może jutro? Jeśli nalegają, pracujemy również w weekendy. Ponieważ jesteś tak zaabsorbowany sprawą, zobaczę, może będę mógł coś przyspieszyć.

Po opuszczeniu kostnicy • Jeffrey złapał taksówkę.

Chciał tak zgrać czas, by wrócić do domu z Kelly. Zamówił kurs do St. Joseph's Hospital. Podczas jazdy pobieżnie przeczytał artykuł o batrachotoksynie. Lektura szła opornie ze względu na wyjątkową profesjonalność tekstu. Zrozumiał jednak, że toksyna bezsprzecznie powoduje nieodwracalne uszkodzenia w komórkach nerwowych i mięśniowych, a chociaż nie było to powiedziane wprost, wywołuje również ślinienie, łzawienie i zwężenie źrenic. Zaznaczono, że pobudza system przywspółczulny i powoduje drgawki mięśni.

Znalazł Kelly przy jej zwykłym stanowisku pracy, za pulpitem pielęgniarskim oddziału intensywnej opieki.

Była bardzo zajęta. Przed chwilą przyjmowali nowy przypadek, na dodatek trwała zmiana dyżurów.

— Mam tylko sekundę - powiedziała. - Ojej, zapomniałam ci to dać - wręczyła Jeffreyowi kopertę szpitala St. Joseph's.

— Co to jest?

— Listy z Valley Hospital. Hart znowu pomógł. Przesłał faxem dziś po południu.

Niemniej był trochę zdziwiony.

— Co powiedziałaś?

— Powiedziałam prawdę, że jest coś w przypadku

Chrisa, co mnie wciąż dręczy. Ale, Jeffrey, nie mogę w tej chwili rozmawiać. Wejdz do pokoiku na zapleczu. Za parę minut będę po dyżurze.

Wszedł do wąskiego pokoju i usiadł. Pomieszczenie stwarzało uderzający kontrast z ruchliwym oddziałem intensywnej opieki. Jedyne hałas dochodził z kompresora małej lodówki i wszechobecnego dzbanka do parzenia kawy. Otworzył kopertę i wyjął papiery przysłane faxem.

Były to dwie oddzielne kartki papieru. Jedna zawierała listę lekarzy z przydzielonymi im miejscami parkingowymi na rok 1987. Była podzielona na oddziały. Na drugiej znajdowała się lista płac pracowników szpitala z tego samego roku.

Niecierpliwie wyciągnął swoją, z nazwiskami trzydziestu czterech lekarzy, wyłonionych ze szpitali St. Joseph's i Memorial. Sprawdzając kolejno, udało mu się zawęzić swoją listę do sześciu nazwisk. Wśród nich znalazła się doktor Nancy Bennett - anestezjolog. Przez chwilę była podejrzana nr 1. Marzył o posiadaniu list z Commonwealth Hospital i Suffolk General. Był przekonany, że kiedy je zdobędzie, lista jeszcze się zmniejszy. Właściwie miał nadzieję, że zostanie na niej tylko jedno nazwisko.

Weszła Kelly. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Usiadła obok Jeffrey'a, na fotelu.

- Co za dzień - westchnęła - pięć przyjęć. I to tylko na naszej zmianie.
- Mam zachęcające wiadomości - powiedział Jeffrey ożywiony. Na podstawie listy z Valley zesłaliśmy do sześciu lekarzy. Musimy znaleźć sposób na wydostanie wykazów z dwóch pozostałych szpitali.
- Nie sądzę, bym mogła w tym pomóc. Nie znam tam żywej duszy.
- Może jedźmy i odwiedzmy biura naczelnych pielęgniarek?
- Poczekaj sekundę! Przecież Amy pracowała w Suffolkna oddziale intensywnej opieki!
- Kto to jest Amy?

-Jedna z moich pielęgniarek, poczekaj, zobaczę, może jeszcze nie wyszła.  
Zerwała się z fotela i zniknęła za drzwiami.

Ponownie przyjrzał się liście sześciu lekarzy. Potem wrócił do tej z trzydziestoma czterema nazwiskami. Rzeczywiście, postęp był niesłychany. Sześć osób to o wiele rozsądniejsza liczba do sprawdzenia. Nagle dostrzegł dwa nazwiska, dopisane po prawej stronie. Zapomniał o tych pracownikach. Wodząc palcem po wykazie z Valley szukał nazwiska Maureen Gallop. Zgodnie z oczekiwaniami nie było go tam. Został Trent Harding. Ku absolutnemu zaskoczeniu nazwisko tego mężczyzny widniało w wykazie. W roku 1987 pracował tam w dziale pielęgniarskim.

Serce zaczęło bić mu w przyspieszonym rytmie. Nazwisko wprost krzyczało ze strony!  
Trent Harding pracował w Valley Hospital, Boston Memorial i St. Joseph's!

Zachowaj spokój, radził sam sobie. Prawdopodobnie jest to zbieg okoliczności, trzeba przyznać, że niesamowity, o wiele trudniejszy do wytłumaczenia niż przypadki lekarzy, mających duże przywileje, jeżeli chodzi o zmianę pracy.

Do pokoju wróciła Kelly. Zdyszana, odrzucając z czoła włosy opadła na fotel.

— Nie dogoniłam jej - powiedziała rozczarowana - ale będę się z nią widziała jutro.

— Nie jestem pewien, czy to będzie potrzebne, popatrz, co znalazłem!

Położył przed nią wykaz pracowników Valley Hospital i wskazał nazwisko Trenta Hardinga.

— Ten facet pracował we wszystkich trzech szpitalach w krytycznym czasie. Zdaję sobie sprawę, że to jeszcze nie dowód, jednak trudno uwierzyć, by był to jedynie zwykły zbieg okoliczności.

— I aktualnie pracuje w St. Joseph's?

— Zgodnie z listą, tak.

— Na jakim oddziale?

— Nie wiem, gdzie, znam stanowisko. Jest pielęgniarem

Wstrzymała oddech.

— Nie!

— To wynika ze spisu. Znasz go?

— Nigdy wcześniej nawet nie słyszałam tego nazwiska. No tak, przecież nie znam wszystkich.

— Musimy dowiedzieć się, gdzie pracuje.

— Chodźmy do Polly Arnsdorf - zerwała się na równe nogi.

Chwył ją za ramię.

— Zatrzymaj się. Nie chcę, by spłoszyła tego faceta.

Pamiętaj, że nie mamy dowodów. Jedynie domysły. Jeżeli ten osobnik, Harding, nabierze podejrzeń, że wpadliśmy na trop, po prostu zwieje, a to całkowita klęska. Poza tym nie mogę podać swojego prawdziwego nazwiska.

Może je rozpoznać.

— Jeżeli Harding jest mordercą, nie możemy pozwolić, by grasował w szpitalu.

— Przerwy między tragediami trwały osiem lub więcej miesięcy, parę dni nie robi różnicy.

— A sprawa Gail? - nalegała.

— Wciąż nie wiadomo, co kryje się za jej śmiercią.

— Ale kojarzyłeś... - zaczęła.

— To tylko podejrzania, uspokój się, jesteś bardziej przepracowana niż ja. Pamiętaj, jedyny pewnik to to, że Harding pracował we wszystkich trzech szpitalach, kiedy wydarzyły się tragedie związane ze środkiem do miejscowego znieczulenia. Musimy zdobyć więcej dowodów.

W każdej chwili może się okazać, że jesteśmy w błędzie. Nie mówię, że nie powinniśmy rozmawiać z Polly, jednak musimy uwiarygodnić naszą historię. To wszystko.

— W porządku. Jak mam cię przedstawić?

— Używałem nazwiska Webber, obawiam się, że nie byłem konsekwentny, jeżeli chodzi o imiona. Niech będzie doktor Justin Webber. Co do Hardinga - powiedzmy, że interesuje nas jego fachowość.

Zeszli na dół, do działu administracji. Kiedy dochodzili do biura, usłyszeli, że Polly Arnsdorf rozmawia przez telefon. Usiedli w sekretariacie, czekając cierpliwie na przyjęcie. Z ożywienia panującego wokół gabinetu jasno wynikało, że była bardzo zajęta. W końcu pozwolono im wejść. Kelly przedstawiła Jeffreya zgodnie z planem jako doktora Justina Webbera.

— Co mogę dla ciebie zrobić? - spytała Polly. Ton był przyjazny, lecz zasadniczy.

— Chcielibyśmy zasięgnąć informacji na temat jednego z tutejszych pielęgniarzy. Nazywa się Trent Harding.

Polly skinęła głową i czekała na dalsze pytania. Po chwili spytała:

— Co chcecie wiedzieć?

— Po pierwsze, interesuje nas, na jakim oddziale pracuje.

— Pracował - poprawiła - pan Harding zwolnił się wczoraj.

Jeffrey doznał bolesnego zawodu. O nie! Czyżby go stracił? Będąc tak blisko?! Z drugiej strony, złożenie wymówienia po ostatnich problemach przy ZO stanowiło kolejną, pośrednio obciążającą informację.

— Gdzie pracował? - spytał.

— Na bloku operacyjnym.

Przenosiła wzrok z Jeffreya na Kelly. Instynkt podpowiadał jej, że stało się coś naprawdę poważnego.

— Na jakiej zmianie? - spytała Kelly:

— Przez pierwsze miesiące pracował po południu, potem przesunięto go na dzienną zmianę. Tak było do wczoraj.

— Czy wymówienie było zaskoczeniem?

— Niezupełnie. Jeżeli nie odczuwałabym takiego niedoboru personelu pielęgniarstwa, dałabym wypowiedzenie wcześniej. Harding ma jakieś kłopoty z ogólnie przyjętymi normami zachowania. Chodzi o współpracę z przełożonymi. Nie tylko tutaj je miał.

Dostarczał wielu zmartwień pani Raleigh, bez przerwy zwracał uwagę, jak ma kierować

blokiem operacyjnym. Jednak jako pielęgniarz był znakomity. Dodam, że jest wyjątkowo inteligentny.

— Gdzie jeszcze pracował? - spytał Jeffrey.

— W większości bostońskich szpitali. Z większych, w których jeszcze nie pracował, został tylko Boston City.

— Czy był zatrudniony w Commonwealth i Suffolk General?

— O ile mnie pamięć nie myli, tak.

Starał się zachować spokój.

— Można obejrzeć jego akta?

— Na to nie mogę pozwolić. Nasze akta są tajne.

Skinął głową, zrozumiał, że oczekuje zbyt wiele.

— Można zobaczyć zdjęcie?

-Z pewnością, to życzenie mogę spełnić.

Korzystając z intercomu poprosiła sekretarza, by wyszukał i przyniósł zdjęcie Trenta Hardinga. Następnie zwróciła się do Jeffreya i Kelly.

-Czy wolno mi zapytać, dlaczego tak interesujecie się wszystkim, co dotyczy Trenta Hardinga?

Zaczęli odpowiadać jednocześnie. Jeffrey przerwał, pozwalając mówić Kelly.

-Jest parę wątpliwości na temat jego listów uwierzytelniających i kompetencji.

- To nie dotyczy mojego pytania.

Powiedziała to w momencie, gdy do gabinetu wszedł sekretarz. Odebrała od niego zdjęcia i podała Jeffreyowi.

Przy wielu różnych okazjach widywał tego mężczyznę na bloku operacyjnym w Memorial. Nigdy z nim bezpośrednio nie rozmawiał. O ile pamiętał, przypominał raczej pełnego szacunku i sumiennego pracownika. Absolutnie nie wyglądał na mordercę.

Kojarzył się raczej z typowym Amerykaninem - graczem w futbol z teksaskiego college'u.

— Wiadomo coś na temat planów tego mężczyzny? - spytał.

— O tak! Pan Harding był całkowicie zdecydowany.

Powiedział, że zamierza zatrudnić się w Boston City, ponieważ zależy mu na kontakcie z bardziej naukowym otoczeniem.

— Jeszcze jedno. Czy może nam pani podać adres i numer telefonu Hardinga?

-Myślę, że tak. Jestem pewna, że i tak jest w książce telefonicznej.

Wzięła karteczkę i ołówek, sięgnęła przez biurko odbierając fotografię od Kelly.

Przepisała informację z drugiej strony zdjęcia i podała kartkę Jeffreyowi.

Kelly podziękowała serdecznie. Przeprosili za zabranie cennego czasu, po czym opuścili dział administracyjny i wyszli ze szpitala kierując się w stronę samochodu.

— To może być naprawdę to! - upewniając się, że nikt nie słyszy, powiedział podniecony Jeffrey – Trent Harding może być mordercą, wszystko pasuje!

— Też tak myślę - zgodziła się.

Doszli do samochodu. Kelly otwierała drzwi, rozmawiali ponad jego dachem.

— Uważam, że naszym obowiązkiem jest jechać prosto na policję. Musimy go powstrzymać, zanim uderzy znowu. Jeżeli w ogóle jest człowiekiem, to postradał zmysły.

— Nie możemy tam jechać - Jeffrey był trochę wyprowadzony z równowagi - z tych samych powodów, o których ostatnio mówiłem. Informacje, tak według nas

obciążające, nadal są jedynie pośrednie. Pamiętaj, nie mamy dowodu. Żadnego! Nawet nie istnieje dowód, że pacjenci zostali otruci. Poprosiłem patologa o wyszukanie toksyny, ale szansę wyizolowania tej właściwej są znikome. Ograniczają je możliwości badań toksykologicznych.

— Przeraza mnie myśl, że ktoś taki jest na wolności

- powiedziała Kelly.

— Ależ zgadzam się z tobą. Cały szkopuł w tym, że władze nie będą w stanie nic zrobić w tej sprawie. Nawet jeżeli nam uwierzą. Poza tym i tak nie ma go w szpitalu.

Niechętnie otworzyła drzwi samochodu. Wsiedli obydwój.

— Teraz potrzebny nam dowód - powiedział. -

Musimy sprawdzić, czy ten zimny drań jest jeszcze w mieście.

— Jak to zrobić? Spojrzał na kartkę, którą dostał od Polly.

— Pojedziemy do jego mieszkania. Upewnimy się, czy nadal je zajmuje.

— Chyba nie masz zamiaru z nim rozmawiać?

— Teraz nie, ale prawdopodobnie będę musiał, w odpowiednim czasie. Jedźmy. Mieszka przy Garden" Street,

Poddała się, chociaż nie przypadł jej do gustu pomysł nawet zbliżenia się do domu tego maniaka. Z dowodami czy bez, była absolutnie pewna, że Harding jest winny.

Jak inaczej można wytłumaczyć, że pracował we wszystkich tych szpitalach dokładnie w czasie tragicznych wydarzeń?

Ze Storrow Drive skręciła w prawo, w Revere Street, która doprowadziła ich na sam szczyt Beacon Hill. Zjeżdżali w dół Garden Street, w kierunku Cambridge Street.

Nie rozmawiali, aż dotarli pod podany adres. Kelly zaparkowała zaciągając ręczny hamulec. Samochód stał na stromym zboczu.

Jeffrey pochylił się w poprzek jej kolan, by przyjrzeć się budynkowi. Różnił się od sąsiednich. Był zbudowany z żółtej, nie z czerwonej cegły. Ale jak inne miał cztery piętra. Stromizna ulicy powodowała, że linia dachów biegła w dół, z budynku na budynek, tworząc gigantyczne schody. Dom Trenta zwieńczony był dekoracyjnym gzymsem z pokrytej zieloną patyną miedzi. Gdyby nie zwisający z prawego narożnika kawał oderwanej blachy, wyglądałoby to ładnie. Drzwi frontowe, schody przeciwpożarowe, właściwie cały budynek domagał się natychmiastowego remontu, podobnie jak sąsiednie, zniszczone kamienice.

-Nie wygląda na dobrą dzielnicę – powiedziała Kelly.

Śmieci zalegały ulicę, a samochody zaparkowane po jej obydwu stronach były poobijanymi gratami. Jeden wyróżniał się wyraźnie - lśniącą, czerwona corvette.

- Zaraz wracam - Jeffrey zaczął otwierać drzwi.

Schwyciła go za ramię.

-Jesteś pewien, że powinieneś to zrobić?

- Masz lepszy pomysł? Wejdę na klatkę schodową i sprawdzę, czy figuruje w spisie lokatorów. Zaraz będę z powrotem.

Jej niepokój na chwilę go ostudził. Stał na ulicy, zastanawiając się, czy słusznie postępuje. Musiał upewnić się, że Harding przebywa w Bostonie. Wziął głęboki oddech i ruszył między zaparkowanymi samochodami w kierunku frontowych drzwi żółtego budynku. Otworzył je i wszedł do małego przedsionka.

-Wnętrze było jeszcze nędzniejsze. Tandetny tynk zwisał z nieprzymocowanego do sufitu przewodu. Wewnętrzne drzwi sforsowano kiedyś za pomocą łomu i nigdy nie



zreperowano. Z plastikowego, rozerwanego worka, wepchniętego w kąt przedsionka, wysypywały się śmieci, roztaczając przykry zapach.

Przy domofonie wymienionych było sześć mieszkań.

Domyślił się, że każde z nich zajmuje jedno piętro, wliczając również suterynę i parter. Nazwisko Hardinga widniało na liście najwyżej. Zauważył je też na skrzynce pocztowej. Miała wyłamane wszystkie zamki. Chciał skorzystać z okazji i sprawdzić, czy są jakieś listy do Hardinga. W chwili gdy wyciągał rękę, ktoś szarpnięciem otworzył wewnętrzne drzwi.

Stał twarzą w twarz z Trentem Hardingiem. Nie pamiętał, że mężczyzna był uosobieniem siły. Było w nim również coś nikczemnego, czego nigdy nie zauważył widując go w Memorial. Miał zimne, niebieskie oczy, osadzone głęboko, pod grubymi brwiami. Na twarzy widniała duża blizna, o której zapomniał. Nie było jej na fotografii. Jeffreyowi udało się w samą porę cofnąć rękę od skrzynki. W pierwszej chwili obawiał się, że zostanie rozpoznany, lecz mężczyzna z drwiącą miną, bez zatrzymywania, brutalnie przepchnął się obok niego.

Jeffrey odetchnął. Oparł się o ścianę ze skrzynką na listy. Musiał się uspokoić. Krótkie, niespodziewane spotkanie wyprowadziło go z równowagi. Ale ostatecznie ustalił to, co chciał.

Wiedział, że Trent Harding nie opuścił miasta. Mimo zwolnienia z St. Joseph's wciąż przebywał w Bostonie.

Wyszedł z budynku, przeszedł między odrapanymi autami i wszedł do samochodu Kelly. Siedziała wściekła.

— Ten facet właśnie wyszedł - warknęła - wiedziałam, że nie powinieneś tam wchodzić. Wiedziałam!

— Nic się nie stało. Wiemy już, że nie czmychnął z miasta, ale muszę przyznać, że mnie nastraszył. Nie potrafię udowodnić, że jest mordercą, jednak jego okropny wygląd to potwierdza. Nad okiem ma szramę, która nie jest widoczna na zdjęciu, a w spojrzeniu coś dzikiego.

— Musi być niepoczytalny, skoro dodaje coś do marcainy.

Uruchomiła silnik. Przytrzymał ją za ramię.

— Poczekaj.

— Co znowu?

— Tylko sekundę.

Wyskoczył z samochodu i podbiegł do rogu Revere Street. Spojrzał w dół ulicy - Trent był daleko.

Przybiegł z powrotem do samochodu, ale zamiast wsiąść zjawił się przy okienku od jej strony.

— Nie mogę przepuścić okazji.

— Co masz na myśli? - Cokolwiek by to było, miała pewność, że nie będzie jej się podobało.

— Wewnętrzne drzwi na klatkę schodową są otwarte.

Chcę szybko rozejrzeć się po jego mieszkaniu. Może znajdę dowód na poparcie naszych podejrzeń.

— Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Jak się tam dostaniesz?

Wskazał na dach. Wychyliła się.

— Widzisz okno przy zejściu pożarowym na najwyższym piętrze? Jest otwarte. Trent Harding mieszka na ostatnim piętrze. Mogę wejść na dach, zeskoczyć na podest schodów pożarowych i dostać się do środka.

— Myślę, że powinniśmy się stąd wynosić.

— Jeszcze parę minut temu niepokoiłaś się, że facet jest na wolności. Czy nie jest warte ryzyka znalezienie tak potrzebnego dowodu? Nie możemy zaprzepaścić szansy.

— A jeżeli ten mięśniolud wróci, kiedy będziesz w środku? Może rozerwać cię na strzępy swoimi łapami.

— Będę szybki, Na wszelki wypadek, gdyby wrócił, pozwól mu jedynie wejść do budynku, odczekaj pięć sekund, wejdź do przedsionka i naciśnij dzwonek do jego mieszkania.

Kiedy usłyszysz brzęczyk, wyjdę przez okno i wskoczę na dach.

— Coś może się nie udać.

— Wszystko pójdzie dobrze. Zaufaj mi.

Klepnął ją po ramieniu i pobiegł w kierunku budynku. Wszedł do przedsionka i popchnął drzwi wewnętrzne.

Wąskie schody skręcały w prawo. Każdy zakręt oświetlała jedna żarówka. Popatrzył w górę, wysoko nad nim znajdował się mały świetlik.

Prawie tracąc oddech, wbiegł szybko po schodach.

Dotarł do ostatnich drzwi, prowadzących na dach. Z dużym wysiłkiem udało mu się je otworzyć.

Dach był wysmołowany i posypany żwirem. Wysoka na cztery stopy ściana odgradzała następny, stojący wyżej budynek. Każdy miał własne wyjście na dach. Niektóre z budek były pomalowane i solidnie zabezpieczone, jednak większość przedstawiała opłakany stan. Nie miały nawet drzwi. Kilka dachów stanowiło prowizorycznie urządzone tarasy z zardzewiałymi meblami ogrodowymi.

Podszedł do krawędzi spoglądając w dół, na ulicę.

Widział dokładnie samochód Kelly. Nigdy nie czuł się dobrze na dużych wysokościach i dlatego skok na ażurowy, metalowy podest przeciwpożarowego zejścia wymagał zmobilizowania całej odwagi. Poruszając się ostrożnie, opuścił się o jedną kondygnację schodów, do poziomu okna Trenta. Pod stopami, cztery piętra niżej, widział ceglany chodnik. Czuł się wystawiony na widok. Nagle pomyślał, że może zobaczyć go ktoś z sąsiadów, co gorsze - może wezwać policję. To na pewno nie było mu potrzebne.

Musiał jeszcze uporać się z roletami starego typu stojącymi na drodze do mieszkania. Wskoczył do środka.

Wychylił się przez okno, pokazując Kelly wystawiony do góry kciuk, po czym zniknął we wnętrzu pokoju.

Trent stał przed stojakiem z czasopismami. Zainteresowało go szczególnie jedno -

"Playgirl". Zastanawiał się, czy po nie sięgnąć, oczywiście po to tylko, by zorientować się, co dziewczyny preferują w męskim ciele. Jednak nie zrobił tego. Był w sklepiku Gary'ego na Charles Street. Kątem oka widział właściciela stojącego za ladą, po lewej stronie. Nie miał ochoty, by mężczyzna wyrobił sobie o nim mylne zdanie. Dlatego wziął ze stojaka magazyn turystyczny, którego okładka zachęcała do wakacji w San Francisco.

Podszedł do sprzedawcy, rzucił na ladę magazyn i wziął leżący obok "Globe". Poprosił jeszcze o ulubiony gatunek papierosów - camele bez filtra. Jeżeli palić, to coś mocnego.

Po zapłaceniu wyszedł na ulicę. Zastanawiał się, czy pójść do pobliskiego biura podróży i porozmawiać na temat krótkich wakacji w San Francisco. Miał czas, nie podjął jeszcze nowej pracy i miał też forszę do przepuszczenia. Czuł się jednak rozleniwiony. Może lepiej załatwić to jutro. Odwrócił się, przeszedł przez ulicę i wstąpił do sklepu z napojami. Chciał kupić kilka piw.

Postanowił wrócić do domu i uciąć sobie solidną drzemkę. W ten sposób będzie mógł wstać późno w nocy.

Może zafunduje sobie kino, a potem zobaczy, może trafi na maolatów chętnych do zaczepki.

Jeffrey rozejrzał się uważnie po salonie, ustalając swoje położenie w mieszkaniu. Zlustrował przypadkowo dobrane meble, puste butelki po piwie i plakat Harleja-Davidsona. Nie bardzo wiedział, czego szuka lub co spodziewa się zobaczyć. Czysta loteria. Choć udawał przed Kelly, że wejście do mieszkania będzie drobnostką, czuł się bardziej zdenerwowany, niż wskazywała na to sytuacja. Nie potrafił wyzbyć się podejrzania, że ktoś z sąsiadów wezwał policję. Przez moment wydawało mu się, że słyszy w oddali syreny.

Zaczął od szybkiego przejścia przez całe mieszkanie.

Chciał upewnić się, że nie ma drugiego lokatora. Był sam. Wrócił do salonu i zaczął przyglądać się wszystkiemu uważniej.

Na małym stoliku leżały pisma typu - "Jak przetrwać", "Jak zrobić karierę", a także kilka wydawnictw pornograficznych. Obok zauważył parę kajdanek z kluczykiem w zamku.

Przy ścianie graniczącej z sypialnią stała drewniana biblioteczka. Przeważały w niej książki chemiczne, psychologiczne i podręczniki pielęgniarstwa.

Było również kilka opracowań na temat holocaustu.

Obok kanapy, w szklanym terrarium, leżał nieruchomo duży boa dusiciel. Miły dodatek, pomyślał.

Przy drugiej ścianie stało biurko. W kontraście z resztą mieszkania jego powierzchnia była idealnie uporządkowana. Między mosiężnymi ogranicznikami w kształcie sów starannie ustawiono książki informacyjne. Obok stał telefon wyposażony w automatyczną sekretarkę.

Podszedł do biurka i wysunął środkową szufladę.

Ujrzał pedantycznie ułożone długopisy, kawałki papieru, dwie talie kart do pokera, notes z adresami i książeczkę czekową. Przekartkował notes. Bez wahania wsunął go do kieszeni. Przejrzał również książeczkę czekową. Zdziwił go bilans oszczędności. Harding miał około tysiąca dolarów na koncie. Odłożył ją na miejsce.

Pochylając się otworzył jedną z niższych szuflad. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Zamarł. Sekretarka włączyła się po paru dzwoneczkach. Odzyskał spokój i kontynuował poszukiwania. Szuflada zawierała szereg podobnych. Zaczął się zastanawiać, czy nie posądzał zbyt pochopnie tego mężczyzny.

W chwili gdy sekretarka automatyczna skończyła wygłaszać swój "zawsze ten sam tekst", urządzenie szczyknęło i usłyszał, jak dzwoniący do Trenta zostawia wiadomość.

- "Cześć Trent. Tu Matt. Dzwonię tylko po to, by powiedzieć ci, jak jestem zadowolony. Jesteś fantastyczny. Zadzwoń później. Trzymaj się".

Jeffrey był ciekaw, kto to jest Matt i dlaczego jest zadowolony. Poszedł do sypialni. Został rozesłane łóżko i mało mebli - nocny stolik, komoda, krzesło. Drzwi szafy w ścianie były

szeroko otwarte. Na wieszakach wisały marynarskie mundury, wyprasowane i gotowe do włożenia. Pomacał materiał. Zastanawiał się, dlaczego Harding je przechowuje i skąd je ma.

Na szczycie komody stał telewizor. Obok porozrzucone były kasety video w większości o tematyce sado-masochistycznej. Ich pudełka ozdobiono fotografiami mężczyzn i kobiet omotanych łańcuchami. Na nocnym stoliku obok łóżka leżała książka z mało ambitnej serii, pod tytułem "Gestapo". Na okładce zamieszczono wizerunek brodatego mężczyzny w nazistowskim mundurze, górującego nad nagą blondynką w łańcuchach.

Otworzył najwyższą szufladę komody. Znalazł w niej skarpetkę wypełnioną marihuaną i kolekcję damskiej bielizny. Rzeczywiście twardy chłopak, pomyślał z sarkazmem. Przy bieliźnie spostrzegł stosik odbitek wykonanych polaroidem. Były to zdjęcia Trenta Hardinga. Najwyraźniej robił je sam. Pozował na łóżku podczas kolejnych faz rozbierania. Na kilku był w damskiej bieliźnie, tej z szuflady. Już miał odłożyć je na miejsce, gdy wpadł na pewien pomysł. Wybrał trzy odbitki i schował głęboko do kieszeni. Resztę włożył do szuflady i zamknął ją. Przeniósł się do łazienki. Włączył światło i podszedł do apteczki. Otworzył lustrzane drzwiczki. Znalazł typowy zestaw opatrunkowy, aspirynę i jakieś witaminy. Niczego niezwykłego w rodzaju ampulki z marciną nie było.

Po zamknięciu apteczki poszedł do części kuchennej. Jedną po drugiej zaczął przeszukiwać szafki obok zlewu.

Kelly nerwowo bębniła palcami o kierownicę. Czekać nie podobało się jej ani trochę. Nie chciała, żeby Jeffrey wchodził do mieszkania. Nieustannie zerkała w górę na otwarte okno czwartego piętra.

Błękitna firanka wypchnięta na zewnątrz lekko powiewała na wietrze. Tak jak ją zostawił Jeffrey, roleta wisiała zaczepiona o ceglany występ gzymsu.

Spojrzała w dół, w Garden Street. Poniżej, na Cambridge Street, widziała przejeżdżające samochody. Zmieniając pozycję spojrzała na zegarek. Był w mieszkaniu prawie dwadzieścia minut. Co, u diabła, tam robił?

Nie mogąc dłużej usiedzieć na miejscu, postanowiła wysiąść z samochodu. Otworzyła drzwi i w momencie kiedy stawiła stopę na chodniku, zauważyła Trenta Hardinga. Wracal! Był o dwa budynki niżej od swojego. Kierował się prosto do drzwi. Nie było wątpliwości - wracał do domu.

Znieruchomiała. Mężczyzna zbliżał się. Widziała wyraz jego twarzy, jego spojrzenie, opisywane przez Jeffreya. Błyskiem oczu przypominał kota. Sądziła, że na nią patrzy, jednak nie przerywając marszu dotarł do drzwi.

Szarpnął je i zniknął jej z oczu.

Minęła dobra chwila, zanim otrząsnęła się z odrętwienia wywołanego wyglądem tego człowieka. W panice pchnęła drzwi samochodu otwierając je na całą szerokość i wyskoczyła na ulicę. Popędziła w stronę budynku. Chwyciła za klamkę chcąc szybko otworzyć drzwi. Ale nie zrobiła tego. Zastanawiała się, czy minęło dość czasu, aby Trent mógł przejść przez przedsionek. Po chwili wahania uchyliła je na kilka centymetrów i zajrzała do środka. Widząc pusty przedsionek szybko weszła. Prawie oszalała zaczęła szukać nazwiska Trenta na tablicy domofonu. Znajdując je na samej górze, sięgnęła drżącym palcem i nacisnęła przycisk.

- Nie! - krzyknęła.

Łzy strachu i rozpacz napłynęły jej do oczu. Przycisk nie działał! Nic nie brzęczało. Przyglądając się uważniej, zobaczyła, że domofon jest odłączony. Urwany przewód

zwisał z sufitu, a przycisk był wepchnięty na stałe. Walnęła pięścią w domofon. Musiała coś wymyślić. Jaki miała wybór? Niewielki.

Popędziła na zewnątrz, wybiegając na środek ulicy. Składając dłonie w trąbkę, zawołała w górę, w kierunku otwartego okna:

- Jeeeffreyyyy!

Nie było odpowiedzi. Krzyknęła jeszcze głośniej, powtarzając imię dwukrotnie.

Jeżeli słyszał, dlaczego nie dawał żadnego znaku?

Była w rozterce. Co mogła zrobić? Wyobraziła sobie Hardinga wspinającego się po schodach. Prawdopodobnie dochodził już do drzwi. Podbiegła do samochodu.

Wskoczyła do środka i położyła się na klaksonie.

Jeffrey wyprostował się i przeciągnął. Przeszukał w kuchni większość dolnych szafek, nie znajdując nic ciekawego, oprócz okazałej kolonii karaluchów. Z oddali dobiegał nieprzerwany dźwięk klaksonu samochodowego. Co też mogło się wydarzyć? Cokolwiek to było, kierowca był wyjątkowo uparty.

Miał nadzieję, że znajdzie coś obciążającego w mieszkaniu Trenta, tymczasem na nic takiego nie trafił. Jedyne na podstawie różnych oznak potrafił określić dziwną, brutalną osobowość Hardinga, która nasuwała poważne pytania o jego tożsamość seksualną. Jednak to nie dowodziło, że jest wielokrotnym mordercą, fałszującym lek do znieczulenia miejscowego.

Zaczął otwierać kuchenne szuflady. I tu nie było nic niezwykłego - tradycyjne sztucce, otwieracze i inne

przydatne w gospodarstwie drobiazgi. Zajrzał do szafki pod zlewem. Znalazł w niej pojemnik na śmieci, plik niepotrzebnych gazet i małą butlę gazową z palnikiem. Wyjął palnik z szafki i przyjrzał się mu bliżej. Typowy, używany w zestawach "mały majsterkowicz". Z boku leżał złożony, przenośny trójnóg. Czy ten palnik mógł być używany do fałszowania fiolek marcainy? Przywołał w pamięci swój prowizoryczny eksperyment z użyciem

kuchenki gazowej Kelly. Palnik tego typu na pewno ułatwiał kierowanie płomieniem. Nadal nie stanowił jednak dowodu. Tego rodzaju sprzęt znajdował wiele zastosowań.

Nagle usłyszał odgłos ciężkich kroków zbliżających się po schodach. Serce zaczęło bić szybciej. Szybko włożył palnik na miejsce zamykając drzwi szafki. Ruszył w kierunku salonu, na wypadek konieczności szybkiej ucieczki z mieszkania. Co prawda nie słyszał dzwonka, wolał jednak być ostrożny, gdyby Harding nie zauważony przez Kelly dostał się do budynku.

Sparaliżował go odgłos wsuwanego w zamek klucza.

Otwarte okno było około siedmiu metrów dalej, dokładnie naprzeciw drzwi wejściowych. Zrozumiał, że nie zdąży wyskoczyć. Pozostało mu jedynie przyłgnąć płasko do kuchennej ściany i mieć nadzieję, że jest poza zasięgiem wzroku.

Serce łomotało. Usłyszał trzaśnięcie drzwi i odgłos rzucania czegoś na mały stolik w salonie. Te same kroki przecięły pokój i wkrótce niski, perkusyjny rytm muzyki rockowej wypełnił mieszkanie.

Gorączkowo zastanawiał się, co może zrobić. Okno kuchni wychodziło na podwórko. Nie było tam jednak schodów przeciwpożarowych. Cztery piętra do ziemi! Jedyną drogą ucieczki pozostawało okno od frontu, chyba że błyskawicznie dotrze do wyjścia. Co z tego?! Gdyby nawet! Były zabezpieczone szeregiem zamków. Nigdy nie otworzy ich wystarczająco szybko. Musi coś zrobić! Zauważenie podciągniętych rolet było tylko kwestią czasu. Zanim zdążył podjąć jakąkolwiek decyzję, zaskoczył go Trent. Przeszedł tuż obok, niosąc do lodówki karton z sześcioma piwami.

Wiedząc, że za kilka sekund zostanie złapany, Jeffrey wykorzystał przewagę paru metrów i pędem rzucił się w kierunku otwartego okna.

- Niespodziewany hałas wystraszył Trenta, ale tylko na moment. Ostro klnąc puścił piwo na podłogę i pomknął za nim.

Jeffrey miał jeden cel - wyskoczyć przez okno. Opierając biodro o parapet, chwycił za żelazną, kutą poręcz na zewnątrz i usiłował wyciągnąć nogi z pokoju. Nie był wystarczająco szybki. Trent złapał prawą nogę przy kolanie. Zaczął ciągnąć. Wyglądało to jak zawody w przeciąganiu liny. Nie mógł równać się z siłą młodego, wysportowanego mężczyzny. Zdając sobie sprawę, że jest wciągany z powrotem do pokoju, podciągnął wolną nogę i tak mocno, jak tylko potrafił, kopnął Trenta w pierś.

Na skutek ciosu Harding rozluźnił chwyt. Jeszcze jeden kopniak i Jeffrey był wolny. Zeskoczył z parapetu i na czworakach wgramolił się po schodach.

Trent wyjrzał przez okno. Widząc uciekającego w górę Jeffreya, cofnął się do pokoju. Chwyając po drodze młotek z pazurem do wyciągania gwoździ, który trzymał w biblioteczce, postanowił złapać intruza korzystając z głównych schodów.

Jeffrey nigdy w życiu nie poruszał się tak szybko. Na dachu nie stracił ani sekundy. Pobiegnął prosto do ściany sąsiedniego budynku i wskoczył na jego dach. Pognął do budki. Szarpnął drzwi. Były zamknięte. Biegając do następnej ściany, usłyszał, jak drzwi budki na dachu domu Trenta roztrzaskują się o ścianę.

Obejrzał się w momencie, gdy Harding rzucał się w pogoń. Z jego twarzy biła wściekłość i determinacja. Dostrzegł młotek.

Dobiegł do drugiej budki, dwa budynki powyżej domu Trenta. Szarpnął drzwi. Ku największej uldze otworzyły się. Wpadł do środka. Usiłując je zamknąć, nieporadnie manipulował zamkiem. Bez skutku. Był zepsuty. Po sekundzie zauważył haczyk. Ręce trzęsły się tak bardzo, że nie potrafił wcelować haczykiem w петельkę. W końcu trafił. W tym samym momencie usłyszał łomot w drzwi. Prześladowca dobijał się z drugiej strony. Cofnął się mając nadzieję, że haczyk wytrzyma. Tymczasem Trent dawał upust wściekłości waląc młotkiem w cienkie drewno.- Po kilku ciosach do wewnątrz posypały się drzazgi. Widząc to, Jeffrey odwrócił się i popędził

schodami w dół. Okrążając kolejne piętro potknął się, na szczęście zdążył chwycić poręcz i resztkami sił utrzymać równowagę. Nie upadł. Był blisko parteru.

Po chwili, pchając z impetem drzwi, wybiegł na ulicę. Kelly stała obok samochodu.

- Uciekajmy! - wrzasnęła, pędząc w kierunku auta. Zanim dotarł do niego, uruchomiła silnik. W tym mo-

mencie pojawił się Harding. Ruszyła gwałtownie. Rozległo się głucho uderzenie w dach. Trent rzucił młotkiem. Kelly gnała wzdłuż Garden Street. Pęd wbijał w fotele. Z piskiem opon, ostro hamując u stóp wzgórze, bez zatrzymania, skręciła w prawo, w ruchliwą arterię komunikacyjną - Cambridge Street. Kierowała się w stronę centrum Bostonu.

Nie powiedzieli ani słowa do chwili, kiedy musieli zatrzymać się na światłach przy New Chardon Street. Wtedy Kelly z furią odezwała się do Jeffeya.

— Nic nie pójdzie źle, zaufaj mi - powiedziała parodiując jego wcześniejsze zapewnienia. - Mówiłam, żebyś tam nie chodził! - wrzasnęła.

— Powinnaś dać znać domofonem! - krzyknął w odpowiedzi, wciąż z trudem łapiąc powietrze.

— Próbowałam - warknęła - sprawdziłeś, czy działa? Oczywiście, że nie! Zbyteczna ostrożność! Brzęczyk był rozwalony, sam mogłeś stać się winnym śmierci. Ten bandyta miał młotek. Dlaczego pozwoliłam ci tam pójść? - lamentowała pukając się w czoło.

Ruszyli po zmianie światła. Milczał. Cóż mógł powiedzieć? Miała rację. Prawdopodobnie nie powinien wchodzić do mieszkania Trenta. Jednak sytuacja wyglądała na idealną.

Jechali w milczeniu przez kilka mil. Wreszcie spytała:

— Znalazłeś chociaż coś warte takiego ryzyka?

— Właściwie nie. Jedynie palnik propanowy, ale to wątpliwe świadectwo.

— Nie było żadnych fiolek z trucizną na kuchennym stole? • •

— Przykro mi, ale nie.

Zaczynał po trosze odczuwać złość do samego siebie. Rozumiał, że była wstrząśnięta. Miała powód wściekać się na amatorskie śledztwo. Jednak posuwała się za daleko. Mimo wszystko to on nastawiał karku, nie ona.

— Myślę, że najwyższy czas wezwać policję, wszystko jedno, czy są dowody, czy ich nie ma. Ten szaleniec wywijał młotkiem. To wystarczający dowód. Policja powinna wdrapywać się do mieszkania - nie ty.

— Nie! - wrzasnął.

Był dokładnie wyprowadzony z równowagi. Nie zamierzał powtarzać dyskusji od nowa. Ale gdy na nią spojrział, zrobiło mu się przykro. Przecież robiła wszystko ze względu na niego. Zasługiwała na coś więcej. Jeszcze raz, od początku, zaczął tłumaczyć.

- Policja nie rozpocznie śledztwa na podstawie czys-



tych domysłów.

Jechali w stronę Brooklinu w milczeniu. Kiedy zbliżali się do domu Kelly, powiedział:

— Przepraszam, że krzyczałem. Ten facet naprawdę napędził mi strachu. Boję się myśleć, co by zrobił, gdyby mnie dogonił.

— Mnie też poniosły nerwy - przyznała - byłam przerażona widząc, jak wchodzi do budynku, nie mówiąc o tym, co było później, kiedy zdałam sobie sprawę, że nie mogę cię ostrzec. Czułam się bezsilna. Widząc szamotaninę w oknie, odchodziłam od zmysłów. Jak uciekłeś?  
-- Szczęście.

Zdał sobie sprawę, w jak wielkim był niebezpieczeństwie.

Gdy skręcili w ulicę Kelly, przypomniał sobie o następnym zagrożeniu - Devlin! Chciał wskoczyć na tylne siedzenie, jednak brakowało czasu. Zsunął się tak, że kolanami dotykał do deski rozdzielczej.

— A to co znowu?

— Prawie zapomniałem o Devlinie - powiedział, gdy wjeżdżała na podjazd garażu. Nacisnęła automatyczne otwieranie drzwi i wjechała. Drzwi zamknęły się za nimi.

- Teraz brakuje, żebym dostał w głowę od niego - powiedział wysiadając z samochodu.

Nie wiedział, kogo boi się bardziej, Trenta czy Devlina.

Weszli razem do domu.

— Co powiesz na herbatę ziołową? Może nas uspokoi?

— Myślę, że lepsze byłoby dziesięć miligramów walerianu prosto do żyły, ale przystaję na herbatę. To przyjemniejsze. Dodajmy koniaku, lepiej podziała.

Zrzucając buty, osunął się na kanapę w pokoju rodzinnym. Kelly nastawiła wodę.

- Musimy dowiedzieć się, czy Harding jest winny. Cały sęk w tym, że nie mamy zbyt wiele czasu. Devlin znajdzie mnie lada dzień. Prawdopodobnie wcześniej niż później.

- Zawsze jest jeszcze policja - powiedziała.

Gdy tylko zaczął protestować, dodała:

- Wiem, wiem, nie możemy iść na policję, i tak dalej, i tak dalej. Ale pamiętaj, ty jesteś zbiegiem, nie ja. Może mnie wysłuchają.

Zignorował ją. Jeżeli nie zrozumiała do tej pory, nie zamierzał po raz kolejny wyjaśniać. Jeżeli nie ma konkre-

tnego dowodu, absurdem jest zwracanie się do władz.  
Był realistą.

Opierając stopy o stolik, zagłębił się wygodnie w kanapie. Ciągle był pod wrażeniem spotkania z Trentem Hardingiem. Widok doganiającego go mężczyzny z młotkiem będzie go prześladował do końca życia.

Próbował podsumować, do czego doszedł w śledztwie. Chociaż nie miał żadnego dowodu potwierdzającego zanieczyszczenie marcainy, instynkt podpowiadał, że istniało na pewno. Nie było innego wytłumaczenia szeregu symptomów występujących u wyróżnionych pacjentów. Nie miał wielkich nadziei, że doktor Seibert cokolwiek znajdzie, jednak rozmowa z tym człowiekiem utwierdziła go w przekonaniu, że zamieszana w tę sprawę musi być jakaś toksyna, może nawet batrachotoksyna. Poza tym

patolog wydawał się zainteresowany szukaniem właśnie jej-

Miał także całkowitą pewność, że to Harding morduje. Praca we wszystkich pięciu szpitalach nie mogła być jedynie zbiegiem okoliczności. Może powinien zająć się wydostaniem list personelu z pozostałych dwóch szpitali? Miałby pewność, że daty się zgadzają.

- Może powinieneś do niego zadzwonić? - odezwała się Kelly z kuchni.

— Zadzwoń do kogo?

— Do Hardinga.

— Oo, na pewno! I co powiem? Hej, Trent! Czy ty jesteś facetem, który dodaje truciznę do marcainy?

- Nie jest to głębszy pomysł od twojego pójścia do mieszkania - powiedziała zdejmując czajnik z gazu.

Popatrzył na nią. Chciał zobaczyć, czy nie żartuje.

Uniosła brwi> jakby kwestionowała jego zdanie.

Odwrócił się i utkwił wzrok w suficie. Przeprowadzał hipotetyczną rozmowę z Hardingiem. Może propozycja nie jest"taka głupia?

- Oczywiście, nie możesz zapytać go wprost - Kelly niosąc herbatę okrążyła kanapę -~- ale przecież możesz być dwuznaczny i zobaczyć, czy sam się nie wkopie.

Potaknął. Za nic w świecie nie chciał przyznać, że pomysł był rewelacyjny.

— Znalazłem coś w szufladzie jego komody, może przydać się w takiej rozmowie.

— Co to takiego?

— Idiotyczne odbitki. Zdjęcia nago.

— Czyje?

— Jego. Były i inne rzeczy w mieszkaniu - kajdanki,

damska bielizna, przemoc i pornografia na kasetach video. Pomyślałem, że oprócz predyspozycji do morderstw pielęgniarz Harding ma problemy z określeniem płci i jakieś poważne zahamowania seksualne. Tknięty przecuciem, zabrałem kilka zdjęć ze sobą. Może użyjemy ich jako przynęty.

-- Jak to?

—

Nie wiem, jednak trudno wyobrazić sobie, by chciał, żeby ujrzały światło dzienne.

— Myślisz, że to pedał?

— Nie można tego wykluczyć. Mam wrażenie, że nie jest tego zupełnie pewien. Jest jakby zażenowany i walczy z tym. Może ten problem doprowadza go do szaleńczych posunięć. Pewnie tak, jeżeli to on rzeczywiście morduje.

— Czarujący chłopczyk.

-- Takich synów tylko matki są w stanie kochać.

Sięgnął do kieszeni i wyjął trzy zdjęcia. Podał je Kelly.

- Zauważ płęć - powiedział.

Jednym spojrzeniem ogarnęła odbitki i oddała je Jeffreyowi.

— Mam jedno pytanie. Jeżeli twój pomysł okaże się dobry, czy uznają w sądzie jako dowód nagranie na taśmie magnetofonowej? Nadszedł czas, bym odezwał się do starego Randolpha.

— Kto to jest? - Sprawdziła, czy herbata naciągnęła odpowiednio, po czym napełniła filiżanki.

— Mój prawnik.

Poszedł do kuchni. Kazano mu czekać, gdy przedstawił się przez telefon. Wziął łyk bardzo gorącej herbaty, którą przyniosła Kelly i postawiła na blacie. W słuchawce usłyszał głos Randolpha. Z jego tonu zorientował się, że rozmowa nie będzie przyjemna.

— Gdzie jesteś, Jeffrey? - spytał bez wstępu.

— Ciągle w Bostonie.

— Sąd został powiadomiony o twojej próbie ucieczki do Ameryki Południowej. Jesteś bliski utraty kaucji przez konfiskatę. Nalegam, byś się ujawnił.

— Randolph, mam w tej chwili inne sprawy na głowie.

— Nie jestem pewien, czy rozumiesz powagę sytuacji. Wydano formalny nakaz zatrzymania i odstawienia do aresztu.

— Zamknij się, Randolph! Pozwól mi coś powie-

dzieć. Zdaję sobie w pełni sprawę z powagi sytuacji, od pierwszego dnia. Jeżeli ktokolwiek myli się co do tego, to ty, nie ja. Dla was, prawników, taka zabawa jest codziennym dniem pracy. Więc pozwól mi coś powiedzieć. Waży się moje życie. Nie biegam w kółko po plaży w Ipanema, spędzając cudownie czas. Jestem na tropie czegoś, co skutecznie obali oskarżenie. Wszystko, co teraz pragnę zrobić, to zadać ci fachowe pytanie. Może uzyskam odpowiedź, skoro wydałem na ciebie tyle forsy.

Nastąpiła chwila ciszy. Obawiał się, że adwokat rozłączy rozmowę.

— Randolph, jesteś tam?

— Słucham, jakie jest twoje pytanie?

— Czy nagranie magnetofonowe zostanie uznane w sądzie za dowód?

— Czy ta osoba wie, że będzie nagrywana?

— Nie, nie, wie.

— A więc nie będzie uznane.

— Dlaczego nie, do cholery?

— Jest to związane z dochowaniem tajemnicy - odparł prawnik, zaczynając wyjaśniać odpowiednie reguły prawne.

Jeffrey rozłączył się rozgoryczony.

— Ciągłe nic - powiedział do Kelly. Przeniósł się z herbatą na kanapę i usiadł obok niej. - Nie wierzę w tego człowieka. Pomyśl, on zawsze wszystko sprowadza do jednego.

— Nie ustanawiał praw.

— Nie jestem pewien, wydaje mi się, że większością decydującą o kształcie prawa są prawnicy. Zupełnie jak prywatny klub. Ustanawiają własne zasady i wtykają nos w sprawy innych.

— No to co, że nie możesz nagrywać? Mogę słuchać przez drugi aparat i zaświadczyć w razie potrzeby. Po prostu będę świadkiem.

Spojrzał na nią z podziwem,

- To prawda, nigdy bym na to nie wpadł. Pozostaje jedynie zastanowić się, co powiem Hardingowi.

13

PIĄTEK

19 MAJA 1989 r. GODZINA 19.46

Devlin był niezdecydowany. Tkwił wciąż w samochodzie zaparkowanym w okolicach domu Kelly Everson. Dwadzieścia pięć minut wcześniej widział wjeżdżające na podjazd i znikające w garażu auto z ładną brunetką z długimi włosami. Domyślił się, że to ona. Godzinę temu podszedł

do domu i zadzwonił. Nikt nie otworzył. Wyglądało na to, że nikogo nie ma. Było cicho jak makiem zasiał, nie jak podczas pierwszej wizyty. Wycofując się do samochodu postanowił cierpliwie czekać. Teraz, kiedy przyjechała, nie miał pojęcia, czy iść od razu, czy jakiś czas odczekać. Może zjawi się gość? Może ona się gdzieś wybierze? Siedział spokojnie nie potrafiąc podjąć decyzji, wiedział, że sprawa wyklaruje się sama. Jedno było pewne. Nie otworzyła drzwi i nie rozsunęła zasłon. Trochę to wyglądało podejrzanie.

W samochodzie zadzwonił telefon. Na linii był Mosconi. Tak donośnie krzyczał o rychłej stracie kaucji, że Devlin musiał trzymać słuchawkę daleko od ucha.

- Dlaczego jeszcze nie znalazłeś doktora?

Zażądał wyjaśnień, kończąc tym samym histeryczny monolog. Odpowiedział, że ustalony tydzień jeszcze się nie skończył, lecz Michael był głuchy na jakiegokolwiek tłumaczenia.

— Jestem w kontakcie z kilkoma innymi łowcami kaucji.

— No nie! Dlaczego to zrobiłeś? I to teraz! Powiedziałem, że go złapię, i tak będzie. Poczynilem pewne

postępy, mam nadzieję, że powiesz swoim nowym ludziom, iż nie są potrzebni.

— A obiecasz, że sprawa zakończy się w ciągu dwudziestu czterech godzin?

— Jestem na dobrej drodze. Mam przecucie, że dzisiejszej nocy zobaczę doktora.

— Nie odpowiedziałeś na pytanie! Chcę wyników w ciągu dwudziestu czterech godzin, w przeciwnym razie zrywam interes.

— W porządku, dwadzieścia cztery godziny.

— Mam nadzieję, że nie oszukujesz na odczepnego, co Dev?

— A czy kiedykolwiek tak postąpiłem?

— Cały czas to robisz, ale tym razem zamierzam trzymać cię za słowo. Zrozumiałeś?

— Dobra, dobra. Znalazłeś coś na temat procesu doktora? ....

Pytał, mimo że Mosconi tego popołudnia wyjaśnił mu istotę sprawy. Słuchając historii poczuł do Rhodesa coś w rodzaju sympatii. Wydawało mu się nielogiczne uzależnienie od morfiny, wyleczenie się z tego po to tylko, by przy pierwszym potknięciu znowu dać sobie w żyłę. Teraz, gdy wiedział, jakiego rodzaju przestępcą jest doktor, czuł nawet pewnego rodzaju wyrzuty sumie-

nia, przypominając sobie niepotrzebne żarty w hotelu Essex. Całe to strzelanie do niego. Prowadził wtedy tak ostrą grę, gdyż był przekonany, że ma do czynienia z prawdziwym kryminalistą, bezwzględnym zbrodniarzem w "białych rękawiczkach". Takim zawsze spuszczał lanie. Ale gdy dowiedział się więcej na temat natury zbrodni, zlecenie rozpracowania faceta przyjął jako kolejny cios od złego losu.

Jednak nie mógł pozwolić na to, by kierowały nim uczucia. Musi być i w tym wypadku profesjonalistą. Zgoda, dostarczy Jeffrey Rhodesa. Był absolutnie pewien jednego - dostarczy go żywego, a nie umarłego.

- Przestań sobie wreszcie zawracać głowę orzeczeniem winy tego faceta - warknął Mosconi. - Po prostu

zapuszkuj skurwysyna albo najmę kogoś innego. Słyszysz mnie?

Devlin odłożył słuchawkę. Czasami Michael wyprowadzał go z równowagi i zrobił to właśnie teraz. Nie miał zamiaru tracić nagrody. Nie odpowiadały mu groźby, że taka możliwość istnieje. Nie znosił, jak zmuszano go do składania obietnic, których być może nie będzie w stanie dotrzymać. Próbował załatwić wszystko, jak potrafił najlepiej

Jednak teraz nie mógł pozwolić sobie na luksus czekania, aż coś się wydarzy. Musiał sprowokować los. Ruszył samochodem i wjechał na podjazd domu Kelly. Wysiadł, podszedł do drzwi i nacisnął guziczek dzwonka.

Dźwięk dzwonka wyrwał Jeffrey z głębokiego zamyślenia. Natarczywy sygnał nieomal wgniół go w kanapę.

— Upewnij się, kto to.

— Zawsze to robię - powiedziała rozdrażnionym głosem Kelly, zatrzymując się w przejściu do jadalni. Pokręcił głową. Przykro mu było, że mają tak zszarpane nerwy. Może powinien jednak przenieść się do hotelu? Napięta sytuacja była chyba ponad jej siły. Na moment wrócił myślami do przyszłej rozmowy z Trentem Hardingiem. Musi być sposób, żeby połknął przynętę. Gdyby tylko udało się przeciągnąć rozmowę. Żeby nie odłożył za wcześnie słuchawki...

Kelly weszła na palcach do pokoju.

— Przy drzwiach - szeptała - stoi nieznajomy. To może być ten łotr Devlin. Koński ogon, drelichowe ubranie, koleczyk w kształcie krzyża maltańskiego. Chyba powinien zobaczyć.

— O, nie!

Wstał z kanapy i powlókł się za nią przez jadalnię do

przedpokoju. Nie interesowało go kolejne spotkanie. Gdy dotarli pod drzwi, ponownie rozległ się natarczywy dźwięk dzwonka. Przysuwając się delikatnie przyłożył oko do wizjerka.

Starał się zachować zimną krew. To był Devlin, wszy-

stko się zgadzało! Odskokzył i kiwnął na nią, by poszła za nim do jadalni.

— Zgadza się, Devlin - wyszeptał. - Bądźmy cicho, pomyśli, że nie ma nikogo, i odejdzie. Jak ostatnim razem.

— Dopiero co przyjechaliśmy. Jeżeli widział samochód, wie, że ktoś jest. Jeżeli nie otworzę, domyśli się, że jesteś.

— Dlaczego mam wrażenie, że jesteś lepsza w te kločki niż ja? - popatrzył na nią z podziwem.

-- Nie można dopuścić, by nabrał podejrzeń - ruszyła z powrotem w kierunku drzwi. - Ukryj się, porozmawiam z nim, ale nie pozwolę wejść.

Zgodził się. Co innego mógł zrobić? Miała rację.

Devlin prawdopodobnie obserwował dom. Pozostawiało mieć nadzieję, że nie zauważył go w samochodzie. Nie chciał wracać do spiżarni. Wśliznął się do szafy pod schodami w przedpokoju. Skryły go palta.

Kelly podeszła do drzwi.

— Kto tam?

— Przepraszam, że przeszkadzam - usłyszała. -

Moja praca polega na egzekwowaniu prawa. Poszukuję niebezpiecznego człowieka, udowodniono mu zbrodnię. Chciałem przez chwilę porozmawiać.

— Obawiam się, że pora jest nieodpowiednia. Właśnie wyszłam spod prysznica. Jestem sama w domu. Nie lubię otwierać drzwi nieznanym. Mam nadzieję, że pan zrozumie.

— Oczywiście, potrafię to zrozumieć. Zwłaszcza takim z moim wyglądem. Mężczyzna nazywa się Jeffrey Rhodes, chociaż korzysta z różnych nazwisk. Powód, dla którego chciałem rozmawiać właśnie z panią, jest następujący - ktoś powiedział mi, że widziano ostatnio was razem.

— Oo! - Kelly poczuła zmieszanie. - Kto panu powiedział coś takiego? - usiłowała szybko zgadnąć, z kim mógł rozmawiać. Sąsiadka? Polly Arnsdorf?

— Nie zostałem upoważniony do wyjawienia nazwiska. Czyż nie jest prawdą, że pani go zna?

Błyskawicznie odzyskała równowagę, wyczuwając blef.

— Słyszałam to nazwisko. Parę lat temu, kiedy jeszcze żył mój mąż, prowadził chyba jakieś badania wspólnie z Jeffreyem Rhodesem. Nie widziałam tego mężczyzny od czasu pogrzebu męża.

— W takim razie przepraszam, że przeszkadzałem. Widocznie informacje nie były rzetelne. Coś pani powiem. Wsunę mój numer telefonu pod drzwi. Jeżeli zobaczy pani Jeffreya Rhodesa, proszę dać znać.

— Popatrzyła w dół, na biały kartonik wyłaniający się spod drzwi.

— Ma pani?

— Tak. Z pewnością zadzwonię, gdy tylko go zobaczę.

Uchyliła firankę w okienku obok drzwi, obserwując schodzącego po frontowych schodach Devlina, Po chwili był poza zasięgiem wzroku. Usłyszała ruszający samochód. Czarny buick regat wytyłował na ulicę i przyśpieszył oddalając się. Zaczekała jakiś czas, wyszła na zewnątrz i wyjrzała za róg domu. Obserwowała oddalające się w kierunku Bostonu auto. Wbiegła z powrotem, przekręcając klucz w zamku. Otworzyła drzwi szafy. Jeffrey siedział wciśnięty głęboko w ubrania. Mrużył oczy broniąc się przed światłem.

Devlin uśmiechnął się. Czasami nawet bardzo rozgarnięci ludzie tracili głowę. Kelly przegrała w momencie, gdy powiedział, że widziano ją z Jeffreyem Rhodesem. Zorientowała się za późno. Wiedział, że kłamie. Poza tym odjeżdżając zauważył ją wyglądającą zza domu.

Zrobił szybki nawrót. Klucząc małymi, bocznymi uliczkami, zbliżył się ponownie do jej domu, tym razem z przeciwnego kierunku. Zaparkował na zwirowym podjeździe pobliskiej rezydencji, która wyglądała na nie zamieszkaną. Zza brzoź mógł doskonale obserwować dom Kelly.

Wiedział, że młoda kobieta coś wie. Zorientował się po sposobie zachowania. Pytanie: jak dużo wie? Uważał za całkiem prawdopodobne, że będzie chciała ostrzec doktora o niebezpieczeństwie. Marzył o założeniu w jej telefonie podsłuchu. Przez chwilę zastanawiał się nad odszukaniem przyłącza na tyłach domu. Jednak nie chciał zbyt ryzykować. Był dzień. Z taką sztuczką musiał czekać do nocy.

Jeżeli szczęście dopisze, a uważał, że zasłużył na choć trochę, Kelly pojedzie do Jeffreya, wszystko jedno, gdzie się ukrywa. Była też mała szansa, że może siedzi gdzieś u



niej. Czekał i patrzył. Dużo jeszcze może się wydarzyć. Jednego był pewien - następnym razem, kiedy natknie się na doktorka, nie pozwoli mu uciec.

Jeffrey wyszedł z szafy.

— Słyszałeś, co powiedział? - spytała Kelly.

— Nie. Słyszałem tylko ciebie.

— Powiedział, że widziano nas razem. Odpowiedziałam, że nie jestem z tobą w kontakcie od pogrzebu Chrisa. Zostawił nazwisko i numer telefonu na wypadek, gdybyś się odezwał. Nie wie, że jesteś tutaj. Nie rezygnowałby tak łatwo.

— Jednak przychodzi drugi raz. Musi coś wiedzieć. Nie wracałby tak uparcie. I tak mamy sporo szczęścia. Ten facet nosi broń i używa jej według własnego widzimisię.

— Blef o wał - dodała z przekonaniem. - Nie wie, że jesteś tutaj. Zaufaj mi!

— Jemu nie można ufać. Stanowi prawdziwe zagrożenie. Czuję się winny narażając twoje bezpieczeństwo.

— Wcale nie narażasz. To ja narażam swoje bezpieczeństwo. Uczestniczę aktywnie w wydarzeniach. Nie odstraszysz mnie. Nie zrobili tego ani Devlin, ani Harding - tym bardziej ty nie dasz rady. A poza tym - potrzebujesz mnie.

Obserwował jej twarz. Zauważył złote plamki w ciemnobrązowych oczach. Po raz pierwszy poczuł, że wszys-

tko, przez co przeszedł przez ostatnich kilka dni, warte było tylko tej jednej chwili. Zawsze myślał o niej jak o atrakcyjnej dziewczynie, ale nagle stała się piękna. Tak - piękna, pełna ciepła, opiekuńcza i jakże kobieca. Siedział na kanapie. Zastłony były nadal zaciągnięte i jedynie przez gęsto dzielone okienko nad zlewem sączyło się zmierzchające światło. Sprawiało, że oświetlenie pokoju było delikatne i mroczne. Z ogrodu dochodziły głosy ptaków.

- Mimo tak dużego niebezpieczeństwa naprawdę chcesz, żebym został?

Trzymał rękę na tylnym oparciu kanapy.

- Jak ty ciężko myślisz - powiedziała z uśmiechem.

- Typowy mężczyzna.

Usłyszał jej krystaliczny śmiech. Oczy i piękne zęby lśniły w łagodnym świetle.

— A więc ustalone - oparła miękko głowę na jego ramieniu, wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła końca jego nosa, a potem czubka górnej wargi. - Musiałeś czuć się bardzo samotny przez te wszystkie dni i miesiące.

Rozumiem to. Czuję się tak samo. Zobaczyłam to w twoich oczach, kiedy przyjechałeś do mnie pierwszy raz.

— Tak było widać? - spytał nie oczekując odpowiedzi.

Pytanie było retoryczne. Czuł, jak wszystko w nim się zmienia. Wszechświat skurczył się do rozmiaru pokoju. Delikatnie pocałował jej pełne wargi. Jak w zwolnionym filmie wchodzili w czułe, wrażliwe, miłosne pożądanie. Początkowo kochali się nieśmiało, powoli, potem z ożywieniem - gorąco spragnieni miłości. Związek, którego wzajemne potrzeby zaspokojone zostały obopólnym zadowoleniem, promieniował szczęściem.

W pewnej chwili zaczęły ponownie docierać do nich głosy ptaków dobiegające z ogrodu. Nieoczekiwane i obezwładniające uniesienie miłosne odsunęło rzeczywistość na dalszy plan. Przez chwilę byli jedynymi ludźmi na ziemi i w kosmosie. Czas zatrzymał się. Oderwali się od siebie z dziwnym zakłopotaniem, przypominającym utra-

tę niewinności. Chichocząc patrzyli w swoje oczy. Przypominali parę nastolatków.

- No to jak, zostajesz? - powiedziała Kelly przerywając milczenie.

Wybuchnęli śmiechem.

— Zostaję.

— Co z obiadem?

— Oo? Cóż za nagła zmiana! Nie myślałem o jedzeniu. Jesteś głodna?

— Zawsze jestem głodna - powiedziała uwalniając się z jego ramion.

Obiad przygotowywali wspólnie. Przydzielając takie czynności jak płukanie i odwirowywanie sałaty Jeffreyowi, Kelly wykonała lwią część pracy.

Był zdumiony odczuwanym spokojem. Strach przed Devlinem ciągle istniał, potrafił jednak nad nim panować, kontrolować go. Nie był już samotny. Miał ją przy boku. Doszedł do wniosku, że miała rację. Devlin nie wie, że jest tutaj. W innym razie sforsowałby drzwi, obójtne - otwarte czy zamknięte.

Nagle zorientował się, która godzina. Natychmiast przerwał zajęcia i zadzwonił do kostnicy. Miał nadzieję, że złapie jeszcze doktora Warrena Seiberta, chciał spytać, czy zidentyfikował jakieś toksyny.

-- Na razie nie mam szczęścia - powiedział patolog.

- Przepuściłem próbki Karen Hodges, Gail Shaffer, a nawet Patty Owen przez chromatograf.

— Doceniam wysiłki. To nie jest niespodzianka, po

tym, co mówiłeś rano. Jednak to, że nie znalazłeś, nie oznacza, że jej tam nie ma. Mam rację?

— Dokładnie. Może ukrywać się w jednym z wierzchołków wykresu. Zostawiłem telefoniczną wiadomość pewnemu patologowi z Kalifornii, prowadzącemu badania na batrachotoksynach i im podobnych. Mam nadzieję, że oddzwoni i podpowie, w której kolumnie może być wykazane to świństwo. Kto wie, może podsunie, skąd wy dostać przywiązaną do tego anty toksynę. Przeczytałem na ten temat więcej, biorąc pod uwagę wszystkie warunki

jakie postawiłeś. Uważam, że batrachotoksyna jest pierwszą kandydatką.

— Dziękuję za okazaną pomoc.

— Drobiazg. To jest akurat przypadek, który pozwala mi zagłębić się w tę dziedzinę. Podnieca mnie. Jeżeli twoje podejrzenia są słuszne, nadejdą ciężkie czasy dla tego świństwa. Wydamy na ten temat parę wielkich prac. Kiedy skończył rozmowę, odezwała się Kelly.

— Bez powodzenia?

— Jest podekscytowany. Niczego nie znalazł. Dotrzeć tak blisko i nadal nie mieć żadnego dowodu ani o zbrodni, ani o winie głównego podejrzanego to przygnębiające. Objęła go.

— Nie martw się, dotrzemy do sedna, nie tym, to innym sposobem.

— Mam szczerą nadzieję, że nastąpi to, zanim Devlin lub policja położą na mnie łapę. Trzeba przeprowadzić rozmowę z Trentem Hardingiem.

— Po obiedzie. Kolejność jest ważna. Otwórz wino.

Myślę, że możemy się trochę napić.

Wyjął z lodówki butelkę chardonnaya.

— Jeżeli Trent to ta osoba, z przyjemnością poznałbym jego dzieciństwo. Musi istnieć wyjaśnienie, nawet irracjonalne.

— Kłopot w tym, że wygląda zupełnie normalnie - powiedziała Kelly - co prawda oczy są tak intensywne, ale może chcemy to w nich widzieć. Wygląda jak chłopak, który był kapitanem drużyny futbolowej z mojej klasy w średniej szkole.

— Zastanawia mnie przypadkowość zbrodni - powiedział Jeffrey wyciągając korkociąg.

— Morderstwo jest czynem wystarczająco karygodnym. Ale fałszowanie leków i zabijanie na chybił trafił? Trudno pojąć.

— Jak udawało mu się tak dobrze funkcjonować, jeżeli jest mordercą? - spytała.

— Zwłaszcza zostając pielęgniarzem - dodał, uwalniając korek z butelki. - Jego motywacje musiały być al-

truistyczne. Pielęgniarze mają powołanie do autentycznej, życzliwej pomocy chorym. Jest na pewno inteligentny. Jeżeli okaże się, że to batrachotoksyna, to wybór był cholernie pomysłowy. Nigdy bym na to nie wpadł, nie znając podejrzeń Chrisa.

- Miło, że to mówisz.

- Wszystko wskazuje, że to prawda. Jeżeli Trent jest winny, przyznaję, że chyba nigdy nie pojmę motywacji. Psychiatria zawsze sprawiała mi kłopoty.

- Siadajmy do stołu - powiedziała Kelly otwierając piekarnik.

Obiad był wyborny. Nie zdawał sobie sprawy, jak był głodny. Zjadł dodatkową porcję ryby i brokułów gotowanych na parze.

— Jeżeli Seibert nie będzie w stanie wyizolować toksyny ze świeżych zwłok, trzeba pomyśleć o ekshumacji Noble'a.

— Ależ zmarł i został pochowany prawie dwa lata temu!

— Wiem, że brzmi to upiornie. Jednak fakt, że żył jeszcze przez tydzień po niepomysłnej reakcji, może okazać się wyjątkowo pomocny. Batrachotoksyna koncentruje się w wątrobie i wydzielana jest do żółci. Jeżeli użył jej Harding, żółć Noble'a jest najlepszym miejscem do znalezienia tego świństwa.

— Po dwóch latach?

— Seibert powiedział, że jeśli organy wewnętrzne nieboszczyka zostały rzetelnie zabalsamowane i został pochowany w cieniście miejscu, toksyna może być ciągle do wytropienia.

— Brrr! Jemy obiad! Może pomówmy o czym innym. Wróćmy do rozmowy z Hardingiem.

— Powinniśmy mówić otwarcie. Pozwólmy, aby dowiedział się o naszych podejrzaniach. Nie będzie chciał, żeby zdjęcia poszły w obieg.

— Możemy go tylko rozwścieczyć.

— O to chodzi. W złości może powiedzieć coś, co go zdemaskuje.

- Na przykład groźba pod twoim adresem - powiedziała Kelly z powątpiewaniem - zabiłem wcześniej, zabiję znowu! Coś w tym sensie?

Potrząsnęła głową. Pomysł Jeffrey'a wymagał sprawdzenia. I tak nie mieli innego wyjścia.

- Przyniosę drugi aparat, gniazdko jest przy telewizorze.

Próbował przygotować się do rozmowy. Usiłował postawić się w pozycji Trenta. Jeżeli jest niewinny, prawdopodobnie zaraz się rozłączy. Jeżeli winny, okaże zdenerwowanie i ze wszystkich sił będzie starał się dowiedzieć, co wie rozmówca. Czyste domysły! Jeżeli nawet nie przerwie rozmowy, nie ma szans na zakwalifikowanie tego jako dowodu winy. Weszła Kelly niosąc zakurzony, czerwony telefon.

- Przyszło mi do głowy, że będzie dziwnie w porządku, jeżeli skorzystamy z aparatu Chrisa.

Odsunęła stolik z telewizorem i podłączyła aparat do gniazdka. Podniosła słuchawkę, upewniając się, czy jest sygnał.

— Wolisz skorzystać z tego czy w kuchni?

— W kuchni.

Wyjął kartkę od Polly Arnsdorf z adresem i numerem telefonu Trenta. Wybrał cyfry i dał jej znak, by podniosła słuchawkę.

Trent odezwał się po trzech dzwonekach. Głos był o wiele łagodniejszy, niż się spodziewał usłyszeć.

— Halo... Matt? - usłyszał, zanim cokolwiek zdążył powiedzieć.

— To nie Matt.

— Kto mówi? - głos Hardinga stał się zimny, a nawet nieprzyjazny.

— Wielbiciel twojej pracy.

— Kto?

— Jeffrey Rhodes.

— Znam cię?

— Jestem pewien, że tak. Byłem anestezjologiem w Boston Memorial, lecz zwolniono mnie. Problemy na bloku operacyjnym. Nic ci nie świta?

Nastąpiła przerwa, po której Harding wybuchnął z furją.

— Po co, do cholery, dzwonisz? Nie pracuję już w Boston Memorial. Zwolniłem się prawie rok temu.

— Wiem. Zatrudniłeś się w St. Joseph's, skąd ostatnio też się zwolniłeś. Wiem trochę o tobie, Trent. Znam twoje sztuczki.

— O czym mówisz, do cholery?

— Patty Owen, Henry Noble, Karen Hodges, nic ci nie mówią te nazwiska?

— Człowieku, nie wiem, czego chcesz.

— O, wiesz z pewnością, Trent. Jesteś skromny, to wszystko.. Nie chcesz, żeby ludzie się o tym dowiedzieli,

muszę przyznać, że doprowadziłeś do zamieszania używając odpowiedniej toksyny. Wiesz, co mam na myśli?

— Człowieku, nie wiem, co masz na myśli, i nie wiem, po co do mnie dzwonisz.

— Ale ty wiesz, kim jestem, czyż nie tak?

— Tak, znam cię, pamiętam z Boston Memorial. Czytałem też w gazetach.

— No pewnie, czytałeś o mnie wszystko. Może nie upłynie wiele czasu, jak ludzie będą czytać o tobie.

— Co masz na myśli?

Zorientował się, że zaniepokoił Hardinga. Fakt, że rozmowa trwała, dodawał mu odwagi.

— Jest sposób, żeby te rzeczy wyszły na jaw, ale na pewno nie mówię niczego nowego.

— Nie wiem, o czym mówisz, złapałeś nie tego chłopaka.

— Nie, nie. Złapałem jak, najbardziej odpowiedniego chłopaka. Jak powiedziałem, tak czy inaczej będziesz w kronikach. Posiadam pewne obrazki, wspaniałe będą wyglądały w druku. Powiedzmy, że ich kopie zostaną rozprowadzone po całym Bostonie. Koledzy będą mogli poznać dokładnie twoje drugie oblicze.

— O jakich obrazkach mówisz?

— Były dla mnie prawdziwą ucztą i całkowitą niespodzianką.

—

Wciąż nie wiem, o czym mówisz.

— Odbitki wykonane polaroidem. Kolorowy połysk twojego ciała i prawie niczego więcej. Sprawdź szufladę w komodzie, tuż obok skarbu w skarpetce. Zauważysz, że straciłeś kilka fotografii.

Harding wymamrotał parę grubych przekleństw. Jeffreyowi wydawało się, że cisnął telefonem. Po minucie wrócił wrzeszcząc w słuchawkę.

— A więc to ty, Rhodes, skończony bydlaku, byłeś u mnie. Ostrzegam - chcę mieć obrazki z powrotem.

— Nie wątpię, są, uczciwie mówiąc... rewelacyjne.

Wspaniała bielizna. Najbardziej przypadły mi do gustu różowe majteczki.

Kelly spojrzała z niesmakiem.

— Czego żądasz?

— Chcę się z tobą zobaczyć. - Dla Jeffrey'a stawało się jasne, że przez telefon nic od Trenta nie wyciągnie,

— A jeżeli ja nie zechcę?

— Masz prawo, ale jeżeli nie spotkamy się, nie potrafię ci zagwarantować, gdzie wylądują odbitki.

— To szantaż.

— Masz rację. Jestem zadowolony, że się rozumiemy.

A teraz umawiamy się czy nie?

— No pewnie - Trent nagle zmienił ton - wpadnij do mnie. Nie potrzebuję ci nawet mówić, gdzie mieszkam. Kelly, wymachując ręką, wymawiała bezgłośnie słowo "nie".

— Wolę intymniejsze miejsce, w którym ja czułbym się przyjemnie. Nie sędzę, aby twoje mieszkanie tak na mnie działało. Chcę, żeby naokoło byli ludzie.

— Wyznacz je.

Mógł stwierdzić z całym przekonaniem, że miał Hardinga w garści. Myślał nad bezpiecznym, publicznym miejscem na spotkanie. Pamiętał, jak wałęsał się wzdłuż Charles River. Tam zawsze było dużo ludzi i pod dostatkiem otwartej przestrzeni.

- Co powiesz na promenadę nad Charles River?

—

Jak cię poznam?

— Nie martw się. Rozpoznam cię. Nawet ubranego.

Szukaj mnie na scenie muszli koncertowej. Co ty na to?

— Podaj godzinę - powiedział Trent, ledwo powstrzymując furię.

— Powiedzmy 21.30.

• Zakładam, że będziesz sam.

— Nie mam ostatnio zbyt wielu przyjaciół, a mamusia jest chwilowo zajęta.

— Mam nadzieję, że nie opowiedziałeś swojej bajeczki nikomu. Nie zniosę oszczerstw.

— Z pewnością. Do zobaczenia na promenadzie - powiedział Jeffrey nie pozwalając Hardingowi nic dodać.

— Jesteś szalony! - wybuchnęła Kelly. - Nie możesz spotkać się z tym obłąkańcem! Tego nie było w planach.

— Musiałem improwizować: Ten facet jest kuty na cztery nogi. Nie posunąłem się ani kroku do przodu. W bezpośredniej rozmowie będę w stanie obserwować twarz, osądzić reakcje.

— To maniak! Dopiero co gonił cię z młotkiem.

— W innych okolicznościach. Przyłapał mnie w swoim mieszkaniu. Miał prawo być wściekły.

— A teraz jest oskarżony o serię morderstw - powiedziała Kelly patrząc w sufit.

— Teraz on chce swoje obrazki. Nic mi nie zrobi do tego czasu. Nie będę ich nawet zabierał. Zostawię tutaj.

— Myślę, że powinniśmy powrócić do pomysłu odkopania Noble'a. To będzie jak niedzielny piknik, w po-

równaniu ze spotkaniem twarzą w twarz z tym szaleńcem.

— Znalezienie toksyny w ciele Noble'a rozwiąże przypadek Chrisa i oczyści jego imię, nie pograży jednak Trenta. On jest kluczem do całego tego makabrycznego przedsięwzięcia.

— To strasznie niebezpieczne. I nie mów znowu, że nic się nie stanie. Wiem lepiej.

— Muszę przyznać, że istnieje pewne niebezpieczeń-

stwo. Głupotą jest myśleć inaczej. Jednak spotkamy się w publicznym miejscu. Nie przypuszczam, żeby próbował sztuczek w tłumie.

— Zapominasz o ogromnej różnicy. Ty myślisz racjonalnie, Trent nie.

— Do tej pory był bardzo bystrym mordercą.

— Teraz jest wyjątkowo zdesperowany. Kto wie, co wymyśli?

Przyciągnął ją do siebie.

— Zobacz, Seibert do niczego nie doszedł. Ja próbowałem. To nasza jedyna nadzieja. Nie mam wiele czasu.

— Jak sobie wyobrażasz moje podsłuchiwanie w tej sytuacji? Nawet jeśli dopisze ci szczęście i Harding przyzna się, nadal nie będziesz miał swojego drogiego dowodu.

— Nie pomyślałem o tym.

— Nie myślisz o wielu sprawach - powiedziała przez łzy - a przede wszystkim o tym, że nie chcę cię stracić.

— Jeżeli nie przekonamy się, że Harding jest tym, kogo szukamy, i tak mnie stracisz. Musimy wymyślić sposób, byś słyszała rozmowę. Może wezmę go na spacer...

Zawiesił głos. Rzeczywiście nie miał żadnego pomysłu. Siedzieli w ponurej ciszy.

— Wiem - odezwała się Kelly - jest wyjście.

— Jakie?

— Tylko się nie śmieję. Widziałam takie urządzenie w katalogu Sharper Image. Istnieje przyrząd zwany "wspomagaczem słuchu". Wygląda jak walkman, ale w zasadzie łowi odgłosy wzmacniając je. Używają tego myśliwi i obserwatorzy ptaków. Również teatromani. Może sprawdzić się idealnie, skoro będziecie stali na scenie muszli koncertowej.

— Fantastyczny pomysł.

— Gdzie jest najbliższy sklep?

— W Copley Place.

— Wspaniale - powiedział Jeffrey. - Kupimy po drodze.



— Jest jeszcze jeden problem.

- Jaki?

- Zapewnienie ci bezpieczeństwa!

- Bez odwagi nie ma chwały - powiedział z wymuszonym uśmiechem.

— Nie żartuję.

— W porządku, wezmę coś w rękaw, na wypadek gdyby zachowywał się niesfornie.

— Co na przykład? Strzelbę na słońca?

— Niekoniecznie - odpowiedział - masz w samochodzie lewarek?

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Jestem pewien, że masz. Wezmę go. Zawsze dobrze mieć coś w zanadrzu. Szczerze mówiąc, nie wierzę, żeby Harding podejmował jakieś próby w publicznym miejscu. Nie będę musiał wyciągać tego żelastwa.

— A jeżeli będziesz musiał?

— Nie martw się o to. Nie wyeliminujemy ryzyka. Jeżeli na coś się odważy, może pomóc nam w uzyskaniu dowodu. Chodź, nie mamy wiele czasu. Musimy być w mu-  
szli przed 21.30, a przedtem jeszcze wstąpić do Copley Place.

- Cholera jasna! - zaryczał Trent. Podniósł rękę, zacisnął pięść i prowadząc ją jak kafar, walnął w ścianę nad telefonem. Z chrzęstem, który nawet jego zaskoczył, pięść przeszła gładko przez gipsową ścianę. Wyswobodził rękę przyglądając się, czy nie uszkodził knykci. Nie były nawet zadrapane. Kopnął niski stolik, łamiąc jedną nóżkę. Pozostałe potoczyły się uderzając o ścianę. Czasopisma, kajdanki i książki rozsypały się na podłodze.

Szukając następnego obiektu, na którym mógłby wyładować furie, spostrzegł butelkę. Porwał ją i cisnął z całych sił o ścianę graniczącą z kuchnią. Butelka stłukła się, rozpryskując kawałki szkła po całym pomieszczeniu. Wtedy dopiero zaczął odzyskiwać kontrolę nad sobą. Jak to się stało? Zawsze był taki uważny. Asekurował się ze wszystkich stron. Najpierw pielęgniarzka, teraz ten zwariowany lekarz. Jakim cudem, do cholery, dowiedział

się tak wiele? Do tego te zdjęcia. Wiedział, że nie powinien ich robić. Nie miał w tym żadnego celu. Chciał tylko zobaczyć, jak wygląda... Nikt by tego nie zrozumiał.

Musi odzyskać obrazki od cholernego doktora. Nie do uwierzenia, facet miał na tyle silne nerwy, by przeszukać jego mieszkanie.

Nagle przestał myśleć. W panice popędził do kuchni.

Szarpnął drzwiczki szafki wiszącej obok lodówki. Wyjął szybkim ruchem szklanki. Kilka upadło i stłukło się o blat.

Drżącymi palcami odsunął fałszywy tył szafki i uważnie przyjrzał się wnętrzu skrytki. Odetchnął z ulgą. Wszystko było w porządku.

Wyciągnął swój ukochany pistolet kaliber 45. Wytarł lufę o gors koszuli. Broń była czysta, naoliwiona i gotowa do strzału. Sięgnął po magazynek. Po sprawdzeniu, że jest pełny, wsunął go w rękojeść, słysząc charakterystyczny trzask.

Obawiał się, że Jeffrey wtajemniczył jeszcze kogoś w swoje odkrycie. Był zbiegiem, a więc można było przypuszczać, że nie. Zresztą i tak zjawi się osobiście. Zachichotał. Doktor najwyraźniej nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia.

Wrócił do prowizorycznej skrytki. Wydostał pięciocentymetrową strzykawkę i tak jak wcześniej, przed spotkaniem z Gail Shaffer, naciągnął odrobinę żółtego płynu i dopełnił wodą destylowaną. Odłożył fiolkę na miejsce. Oczami wyobraźni widział Jeffreya Rhodesa targanego silnym atakiem konwulsji na scenie muszli koncertowej. Obraz ten wywołał na jego twarzy uśmiech. Prawdziwe przedstawienie.

Umieścił spokojnie kwadrat sklejki w plecach szafki i wstawił na miejsce szklanki. Stłuczone pozostawił tam, gdzie leżały. Mieszkanie posprząta po powrocie z promenady.

Po zakończeniu przygotowań sprawdził czas. Do randki pozostało półtorej godziny. Poszedł do salonu i wpatrując się w telefon, zastanawiał się, co powinien zrobić.

Rhodes wścibiał nosa stanowiąc ten typ potencjalnej przeszkody, o której został ostrzeżony. Ważył w myślach - zadzwonić czy nie? Wreszcie podniósł słuchawkę. Zadzwoił zgodnie z instrukcją. Wybierając numer powiedział do siebie:

- Tylko by powiadomić, nie z prośbą o pomoc.

14

PIĄTEK

19 MAJA 1989 r. GODZINA 20.42

- Aa, jednak wyjeżdżamy - powiedział Devlin na widok unoszących się drzwi garażu,

Honda Kelly zadrżała w momencie, gdy silnik zaczął pracować. Samochód wyjechał tyłem na ulicę, z szybkością dwukrotnie większą, niż można się było spodziewać.

Zostawiając ślady hamowania pomknął w kierunku Bostonu.

Guzdrał się z uruchomieniem samochodu. Nie przypuszczał, że Kelly tak szybko wyjedzie, toteż zanim ruszył, była już prawie niewidoczna. Musiał naprawdę popędzić swojego buicka, by ją dogonić.

- Ho, ho, ho! - wykrzyknął po przejechaniu kilku mil. Niespodziewanie z tylnego siedzenia wyrosła druga głowa. Postać przeskoczyła przez oparcie przedniego fotela i usiadła na nim.

Devlin powstrzymywał się, by za bardzo nie ulegać podnieceniu na skutek tak nieoczekiwanego, lecz interesującego rozwoju wypadków. Nie miał powodów do zmartwień. Kiedy Kelly zatrzymała się przed głównym wejściem do pasażu Copley Place, z samochodu wyskoczył Jeffrey Rhodes i wbiegł do środka.

- Nieźle, nieźle.

Nie posiadał się z radości, zatrzymując samochód w pewnej odległości. Wreszcie szczęście zaczęło mu sprzyjać. Wyłączył silnik, gdy doktor był w połowie drogi do windy. Zsunął się z fotela. Miał zamiar chyłkiem opuścić samochód. Nagle zauważył, że okno wypełnia się niebies-

ką płamą munduru. Zobaczył czarny, skórzany pasek i kaburę od pistoletu Smith and Wesson kaliber 38.

- Przykro mi, ale tu nie wolno parkować - powiedział policjant.

Spojrzał na twarz człowieka z patrolu. Wyglądał na mniej niż osiemnaście lat. Typowy rekrut, pomyślał Devlin. Któż inny robiłby taką hecę w piątek wieczorem?

Wyciągnął legitymację pozwalającą na parkowanie w każdym miejscu miasta, jednak młodzieniec w mundurze odmówił jej obejrzenia.

— Ruszaj się - powiedział mało serdecznie.

— Ale ja jestem... - usiłował wyjaśnić, kim jest, chociaż i tak nie było to już potrzebne. Jeffrey zniknął.

— Na pewno nie jesteś gubernator Dukakis - dodał policjant. - Nie wolno ci tu parkować, ruszaj stąd! - wskazał pałką do przodu.

Devlin wyprostował się i uruchomił silnik. Szybko przejechał dookoła skrzyżowania. Widząc samochód Kelly przestał się martwić. Może mała przepychanka z policjantem wyszła na dobre? Może nie stracił Rhodesa w zatłoczonym pasażu? Zaparkował w odległości mniej więcej pół przecznicy za śledzonym samochodem. Wyłączył silnik. Teraz obydwoje - Devlin w swoim, a Kelly, nieświadoma, w swoim - czekali na pojawienie się Jeffrey'a.

Sprzedawca instruował klienta, jak posługiwać się urządzeniem. Po założeniu słuchawek Jeffrey przekreślił małą gałkę tak, jak został pouczony, i skierował przyrząd w stronę pary kupującej coś w drugim końcu sklepu.

- Czyż nie będzie to wyglądało imponująco na naszym stoliku? - zapytał kobietę mężczyzna.

Stali przed szklaną kulą, wyglądającą jak rekwizyt ze starego filmu o Frankensteinie. Zawierała plazmę emitującą niebieską poświatę, jak z miniaturowych błyskawic.

- O, na pewno - odpowiedziała kobieta. - Ale spójrz na cenę - mogę za to kupić parę butów od Ferragma.

Jeffrey był zaskoczony. Słyszał również przytłumiony gwar, lecz z rozmowy tej pary rozumiał każde słowo.

— Czy zna pan Hatch Shell na promenadzie? - zapytał sprzedawcę.

— Znam, oczywiście.

— Jak pan myśli, czy będzie można tam korzystać z urządzenia nawet na większą odległość, niż podano w instrukcji?

— Nawet z daleka usłyszysz pan spadającą na scenie muszli szpilkę.

Kupił aparat i pobiegł z powrotem do samochodu. Stał w tym samym miejscu.

— Dostałeś? - spytała, gdy zamknął drzwi.

— Wszystko przygotowane - wskazał na paczkę. - Naprawdę działa, zademonstrowano mi.

Pojechali w kierunku promenady. Nie oglądali się. Nie zdawali sobie sprawy, że czarny buick podąża za nimi.

Kelly pojechała Storror Drive. Chciała dostać się na Beacon Hill. Gdy tylko wylonili się z tunelu, Jeffrey spojrzął na trawnik przed Hatch Shell, przy promenadzie. Mimo że słońce już zaszło, nadal było widno i mnóstwo ludzi korzystało z ładnej, wiosennej pogody. Widok ten rozwił jego obawy.

Skreśli w prawo, w Revere Street, potem jeszcze raz, w Charles Street. Minęli sklepy i po jeszcze jednym skręceniu w prawo znaleźli się na Chesnut. Zaparkowali u wylotu ulicy i wysiedli z samochodu.

Nie odzywali się przez ostatnie kilka minut. Podniecenie wywołane przygotowaniami i jazdą osłabło. Zastąpiła je narastająca obawa, czy wszystko potoczy się zgodnie z planem. Przerwał milczenie, prosząc o kluczyki. Przerzuciła je nad dachem samochodu.

— Zapomniałeś czegoś?

— Lewarka.

Wyjął z bagażnika stalowy pręt długości około czterdziestu centymetrów. Pełnił on funkcję dźwigni lewarka. Klepnął nim o dłoń, nabierając przekonania, że nadaje

się idealnie. Jedno dobre uderzenie tym żelastwem powali każdego. Miał nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Szli na promenadę przez most dla pieszych. Kolorowe żaglówki wpływały do przystani klubów. W oddali dudniło jadące przez Longfellow Bridge metro.

Devlin przeklinał soczyscie. Na Beacon Hill trudno było znaleźć wolne miejsce nawet przy hydrancie. Zanim znalazł wolny placyk z napisem "nie parkować", Jeffrey i Kelly byli już na moście dla pieszych idąc prosto na promenadę. Złapał z samochodu kajdanki i pobiegł dołem do podnóża mostu.

- O co, u diabła, tutaj chodzi? - szeptał zaintrygowany.

Sądzony za zbrodnię zbieg, który wie, że jest ścigany przez zawodowego łowcę kaucji, spędza wieczór na promenadzie! Bardzo dziwne!

Jeffrey ciągnący dziewczynę za sobą pędził jak na spotkanie. Jak gdyby ktoś na niego czekał. Devlin podejrzewał, że w powietrzu wisi coś interesującego. Jego ciekawość rosła. Jeszcze niedawno dzielił się swoimi przypuszczeniami z Mosconim, twierdząc, że doktor coś odkrył. A może to było to?

Przecinając most, opuścił się po balustradzie i zeskokczył na skraj zielonego, wiosennego trawnika. Nie musiał natychmiast aresztować Rhodesa. Zbieg był skutecznie osaczony między Storrow Drive a Charles River. Tym bardziej, że więzienie przy Charles Street znajdowało się dosłownie o rzut kamieniem od Charles Circle. Mógł spokojnie odczekać kilka minut folgując ciekawości.

Nagle kątem oka dostrzegł coś zbliżającego się z prawej strony. Przymotnie zrobił unik w lewo, jednocześnie obracając się. Dłoń powędrowała pod drelichową kurtkę, po pistolet wetknięty w kaburę zawieszoną na ramieniu. Poczul, jak się czerwieni. Obok wirowało frisbee. Zanim dotknęło ziemi, schwycił je nadbiegający gracz. Wyprostował się i głęboko zaczerpnął powietrza. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był rozstrojony.

Promenadę okupywały dwa, może trzy tuziny ludzi. Zajęci byli własnymi przyjemnościami. Oprócz graczy we frisbee zauważył grających w zbijaka i kąpiących zośkę.

Dokładnie po drugiej stronie trawnika, na betonowej płycie przed muszlą koncertową, jeździli wrotkarze, poruszający się w takt rytmów dobiegających z magnetofonów. Żwirowe alejki zajęte były przez biegaczy i rowerzystów.

Zastanawiał się, co przygnało tutaj Jeffreya i Kelly.

Nie brali udziału w żadnej zabawie. Stali po prostu w cieniu drzew otaczających trawnik przeznaczony dla widzów. Coś mówili. Zobaczył, jak Rhodes pomaga dziewczynie założyć walkmana.

Zaintrygowany wsparł ręce na biodrach. Co tu się dzieje? Obserwował nadal. Nagle Jeffrey zrobił coś niespodziewanego - pochylił się i pocałował Kelly.

- Oo, świntuszek - wyszeptał Devlin.

Przez chwilę nie mogli się rozstać. W końcu doktor odszedł i schylając się, podniósł z ziemi cienki pręt.

Trzymając go w dłoni pobiegł w kierunku sceny. Devlin chciał ruszyć za nim, bojąc się, że zniknie za Hatch Shell. Zrezygnował z pościgu widząc Rhodessa wspinającego się na scenę z prawej strony.

Ciekawość Devlina rosła. Jeffrey poszedł prosto na środek sceny i zaczął mówić, odwrócony twarzą do widzów. Nie mógł tego słyszeć, jedynie widział ruch ust.

Natomiast Kelly ze swojego miejsca pokazała zdecydowanym gestem uniesiony do góry kciuk. Co tu się dzieje? Czy facet recytuje Szekspira? A jeśli nawet, to co robi dziewczyna? Ma przecież na uszach walkmana. Poskrobał się w głowę. Historia z minuty na minutę stawała się coraz bardziej tajemnicza.

Trent Harding wetknął swój automatyczny pistolet kaliber 45 za pasek. Dokładnie tak samo jak wtedy, gdy szedł do Gail. Szczelnie zabezpieczoną strzykawkę włożył do prawej, przedniej kieszeni. Sprawdził godzinę. Było niewiele po dziewiątej. Czas iść.

Do Charles Circle poszedł piechotą. Aby dostać się na bulwar Charles River, skorzystał z mostu dla pieszych. Był późny wieczór. Szedł zaciemnioną aleją wyznaczoną granitowymi balustradami. Miał nad głową gęste sklepienie ze świeżych, niedawno rozwiniętych liści drzew. Rzeka połyskiwała czerwienią, odbijając przyćmione, różowe światło wieczornego nieba. Słońce zaszło pół godziny temu.

Jeszcze niedawno był zdenerwowany, ba, wyprowadzony z równowagi nagłym atakiem Jeffreya Rhodesa. Nie wiedział, co ten mężczyzna chce osiągnąć. Szantaż, którego próbował, był zaskoczeniem, czymś zgoła niesto-

sownym. Ale teraz, po wszystkich przygotowaniach, niepokój znacznie osłabł. Pragnął jedynie odzyskać zdjęcia i upewnić się, że doktor działa samodzielnie. Kiedy to załatwi, Jeffrey Rhodes przestanie go interesować. Po prostu da mu zastrzyk. Pamiętając, jak środek ten podziałał na Gail Shaffer, wiedział, że załatwi go szybko i skutecznie. Ktoś wezwie ambulans i na tym się skończy. Musiał raptownie uskoczyć, przepuszczając biegnącą prosto na niego parę biegaczy. Nieomal czuł, jak wyciąga pistolet i rozwała tych skurwysynów na miejscu. Jak w ukochanym serialu Miami Vice - szeroko rozstawione nogi, sztywno wyciągnięte do przodu ręce, broń trzymana w obydwu dłoniach.

Przed nim majaczyła wielka półkula Hatch Shell. Zbliżył się do sceny od tyłu. Za moment spotka się z doktorem Jeffreyem Rhodesem. Sięgnął do tyłu pod kurtkę. Objął rękojeść czterdziestki piątki. Palec natychmiast spoczął na języku spustowym. Pistolet był wspaniały. Na Rhodesa czekała diabelna niespodzianka.

Przystanął. Musiał podjąć decyzję. Z której strony okrążyć muszlę - z prawej czy z lewej? Przypominając sobie usytuowanie sceny, zastanawiał się, czy stanowi to różnicę. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli zostawi Storrows Drive za plecami. Gdy załatwi doktora i będzie musiał uciekać, pobiegnie najprostszą drogą.

Jeffrey nerwowo przechadzał się po scenie, trzymając się raczej prawej strony, gdzie na małej, wybetonowanej przestrzeni między sceną a trawnikiem skupili się wrotkarze. Starał się, na ile było to możliwe, przebywać jak najbliżej tej grupy. Jednak nie chciał, by Trent odniósł wrażenie, że ci ludzie mogą ich podsłuchiwać. Początkowo wrotkarze zerkali\* na niego podejrzliwie, ale po paru minutach zaczęli go ignorować.

Zaskoczyło go, że aparat wzmacniający dźwięk nie wylapywał muzyki wrotkarzy. Zakładał, że miało to coś wspólnego z faktem, że magnetofony stały poniżej, a nie w akustycznym cieniu ogromnej, wklęsłej przestrzeni muzyki koncertowej. Podejrzewał, że dotyczyło to również hałasu ulicznego na Storrows Drive.

Mrok zapadał szybko. Niebo było wciąż jasne, szafirowe. Zaczynały pojawiać się pierwsze gwiazdy, a cienie pod drzewami przybrały kolor ciemnej purpury. Nie mógł już dojrzeć Kelly. Piłkarze i gracze we frisbee kończyli zabawę. Powoli odchodzili. Zostało jeszcze kilka osób - biegacze nowicjusze i przypadkowi rowerzyści.

Spojrzał na zegarek. Dokładnie 21.30. Czas, żeby przyszedł Harding. Mijały sekundy. Zaczął zastanawiać się, co zrobi, jeżeli się nie pojawi. Szybko doszedł do wniosku, że to niemożliwe. Ten chłopak musiał być chory, a skoro tak było, najprawdopodobniej poświęci życie dla odebrania zdjęć. Przestał się przechadzać. Stał wpatrując się w zieloną przestrzeń przed sceną. Jeżeli Trent zaatakuje, wystarczy miejsca do ucieczki. No i miał w prawym rękawie metalowy pręt. W każdej chwili może znaleźć się w dłoni, choćby dla postrachu. Zerknął w dal. Nie był w stanie ujrzeć Kelly ukrytej w ciemności, pod drzewami. Pocieszał się, że Harding również nie może jej zauważyć. W żaden sposób nie zorientuje się, że rozmawiają przy świadku. Dźwięk syren dobiegający z oddali postawił Jeffreya w stan gotowości. Nasłuchiwał wstrzymując oddech. Dźwięk zbliżał się. Czy mogła to być policja? Czy Harding ich zawiadomił? Sygnał stawał się coraz głośniejszy.

Z ulgą rozpoznał jego źródło. Po Storrow Drive pędziła karetka.

Odetchnął. Napięcie opadło. Znowu zaczął spacerować. Nagle stanął jak wryty. Trent Harding patrzył na niego ze schodów po lewej stronie sceny. Jedną rękę miał opuszczoną, drugą trzymał za plecami.

Odwaga opuściła Jeffreya, gdy patrzył na stojącego w bezruchu przeciwnika. Trent ubrany był w lekką czarną, skórzaną kurtkę i sprane, wytarte dżinsy. W nikłym świetle mijającego dnia jego oczy wydawały się jaśniejsze niż poprzednio. Były prawie białe. Błyszczały lodowatym spojrzeniem.

Stał twarzą w twarz z mężczyzną, którego podejrzewał o sześć morderstw. Po raz kolejny zastanawiał się nad motywami działania tego człowieka. Pozostawały niezgłębione. Nawet z metalowym prętem w rękawie i ze wszystkimi potencjalnymi świadkami nagle poczuł strach. Trent Harding był dziką bestią. Nikt nie mógł domyślać się, jak zareaguje na atak, jakim był szantaż.

Trent wolno wspinał się po schodach sceny. Rozejrzał się dookoła, zanim pokonał ostatni stopień. Pozornie uspokojony, przeniósł wzrok na Jeffreya. Zbliżał się pewnym siebie krokiem, z wyrazem pogardy na twarzy.

— Czy ty jesteś Jeffrey Rhodes? - spytał przerywając ciszę.

— A nie pamiętasz mnie z Boston Memorial? - zachrypiał Jeffrey. Musiał przełknąć ślinę.

— Owszem, pamiętam. Chcę wiedzieć, dlaczego zwracasz mi głowę.



Serce Rhodesa waliło mocno.

- Odpowiedz mi, ale wyczerpująco - powiedział. - Jestem tym, który poniósł ciężar twojego dzieła. To już załatwione. Byłem dwukrotnie sądzony i udowodniono mi morderstwo. Po prostu z przyjemnością dowiem się o motywach, jakie miałeś.

Czuł się jak naciągnięta do granic wytrzymałości struna. W każdej chwili gotów był do ucieczki.

- Nie wiem, o czym mówisz.

—

Tak samo jak nic nie wiesz o zdjęciach wykonanych polaroidem?

— Chcę je z powrotem. Oddaj natychmiast.

— W odpowiednim czasie. Wszystko w odpowiednim czasie. Dlaczego nie opowiesz mi najpierw o Patty Owen czy Henrym Noble? Zaczynaj!

— Chcę wiedzieć, czyja to zasługa, że wysnułeś tak zwariowaną teorię?

— Niczyja, jestem wyrzutkiem, zbiegiem uchylającym się od prawa. Człowiekiem bez przyjaciół. Kogo mogę wymienić?

— Przyniosłeś fotografie?

— A czyż nie po to się tutaj spotkaliśmy?

— To wszystko, co chciałem wiedzieć - powiedział Harding.

Płynn timer i nieoczekiwanie wyciągnął rękę zza pleców.

Chwył oburącz pistolet, tak jak robił to Crockett, i wycelował prosto w czoło Jeffreya.

Doktor zeszytniał. Serce łomotało coraz szybciej.

Nie spodziewał się pistoletu. Gapił się, kompletnie zaszczony, w mroczną czerń otworu lufy. Metalowy pręt stał się żartem w porównaniu z czymś takim:

- W tył zwrot - komenderował Harding.

Jeffrey nie był w stanie się poruszyć.

Wciąż celując, Trent usiłował wyciągnąć z kieszeni strzykawkę. Nie potrafił tego zrobić lewą ręką. Opuścił broń i prawą bez trudu wy dostał strzykawkę. Jeffrey wpatrywał się w niego przerażony. Nagle w ciemnościach usłyszeli przeraźliwy pisk. Kelly! O Boże, pomyślał, wyobrażając sobie, jak biegnie przez trawnik w kierunku sceny.

- Myślałem, że przyszedłeś sam - warknął Trent.

Postąpił krok do przodu i usztywniając ramię wycelował ponownie. Jeffrey zobaczył, jak palec na spuście zaczyna drgać.

Zanim zdążył zareagować, usłyszał huk wystrzału, a po nim wrzaski wrotkarzy rozpierzchających się we

wszystkich kierunkach. Stanął na chwiejnych nogach.

Metalowy pręt wypadł z brzękiem na scenę. Nie czuł bólu. Był przekonany, że dostał kulę, jednak to na czole Trenta pojawił się mały otwór. Harding zatoczył się. W tym samym momencie dał się słyszeć drugi, nieprzerwany świst serii strzałów. Jeffrey zorientował się, że pochodzi zza jego ramienia, z prawej strony sceny.

Dodatkowe strzały wyznaczyły krwawy kwadrat na piersi Trenta i powaliły go na plecy. Oniemiały, jeszcze w szoku, Jeffrey spojrzał na swoje stopy. Zatrzymał się na nich sunący po scenie pistolet Trenta. Strzykawka, która pacnęła o drewnianą podłogę, leżała wciąż na swoim miejscu. Wszystko to było ponad jego siły. Spojrzał na Hardinga. Wiedział, że nie żyje. Tylne części jego głowy odpadła.

W chwili gdy zabrzmiał wystrzał z karabinu i blond chłopak zatoczył się, jakby został trafiony, Devlin rzucił się na trawę. Był w połowie drogi do sceny. Opuścił pozycję obserwacyjną, gdy tylko zobaczył, że blondyn wyciąga pistolet. Poruszał się ostrożnie, na wpół schylony, starając się podejść nie zauważony do tej pary. Zignorował krzyk Kelly. Za moment rozległa się dodatkowa seria strzałów. Z praktyki policyjnej, głównie jednak ze swoich wietnamskich doświadczeń, ocenił broń jako automatyczny karabin typu szturmowego o dużym kalibrze.

Nie rozpoznawał blondyna. Zakładał, że jest nowym talentem spoza miasta, którego Mosconi, zgodnie z obietnicą, wezwał do pomocy. Za wszelką cenę postanowił nie dać się tak łatwo wyślizgać z udziału w nagrodzie. Będzie musiał powiedzieć parę słów Michaelowi, ale na razie trzeba uporać się ze sprawą zmieniającą się w istną komedię. Strzały z karabinu automatycznego znaczyły, że w przedstawieniu biorą udział trzej łowcy kaucji. Niejednokrotnie miał do czynienia z konkurencją, jednak nigdy nie słyszał o łowcy kaucji, który w tak gangsterski sposób, bez powiedzenia najmniejszego słowa, pozbywa się współzawodników.

Nie zdradzając swej obecności, rozplaszczony na traw-

niku, uniósł głowę badając sytuację na scenie. Patrząc pod niekorzystnym kątem nie widział blondyna. Natomiast Rhodes stał jak głupiec z rozdziawionymi ustami. Musiał się powstrzymać, by nie krzyknąć: "Padnij na scenę". Nie chciał jednak zwracać na siebie uwagi. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej na temat pochodzenia strzałów z karabinu.

Obok, przeraźliwie piszcząc, przebiegła Kelly. Pędziła w stronę sceny, nie myśląc o niebezpieczeństwie, narażona na serię strzałów. Nieomal przetarł oczy. Dobrana para, pomyślał.

Wyglądało na to, że jej wrzaski wyrwały w końcu z transu Jeffreya. Odwrócił się i ryknął, by stanęła. Zrobiła to. Devlin przykucnął na trawniku. Dopiero z tej pozycji zobaczył blondyna leżącego bez ruchu na środku sceny. Zobaczył również dwóch mężczyzn. Wyszli jak gdyby nigdy nic z cienia i wspinali się po schodach. Jeden z nich niósł karabin szturmowy. Obydwaj byli w ciemnych garniturach, białych koszulach i tradycyjnych krawatach. Jakby mieli nie wiadomo ile czasu, spokojnie zbliżali się do doktora, odwróconego teraz do nich twarzą. Devlin pomyślał, że jak na łowców kaucji reprezentują niespotykany styl. Byli równie efektowni co bezwzględni. Interesował ich Jeffrey Rhodes. To oczywiste.

Wyciągając broń z kabury i ujmując ją w obydwie dłonie, podbiegł do sceny.

- Nie ruszać się! - ryknął stanowczo, celując w pierś mężczyzny z karabinem.

- Rhodes należy do mnie! Ja go zabieram, jasne?!  
Mężczyźni stanęli jak wryci, kompletnie zaskoczeni pojawieniem się Devlina.

- Jestem tak samo zaskoczony waszym widokiem, chłopcy - wyszeptał trochę do siebie, trochę do ludzi w garniturach.

Stali dokładnie na wprost niego, w odległości siedmiu metrów. Jeffrey widział kątem oka, po swojej prawej stronie. Nagle rozpoznał jednego z nich. To nie był łowca kaucji.

Jeffrey czuł w skroniach dudniący puls. Serce mu waliło. Gardło było tak suche, że nie był w stanie przełknąć śliny. Nagłe pojawienie się Devlina zaskoczyło go w takim samym stopniu jak pojawienie się mężczyzn w garniturach.

Żeby tylko Kelly wyszła z tego cało, pomyślał. Nie powinien wciągać jej w tę aferę. Na wyrzuty nie było jednak czasu. Mężczyźni przestali kroczyć nieuchronnie w jego kierunku. Całą uwagę skierowali na Devlina, stojącego przy krawędzi sceny z wymierzonym w nich pistoletem. Nikt nic nie mówił. Nikt się nie poruszył.

— Frank? - spytał Devlin, przerywając w końcu ciszę. - Frank Feranno? - Co się, u diabła, tutaj dzieje?

— Sądzę, że nie powinieneś się wtrącać, Devlin - odparł mężczyzna z karabinem - to ciebie nie dotyczy.

Chcemy tylko doktora.

— Doktor "należy do mnie.

— Przykro mi - powiedział Frank.

Powoli mężczyźni zaczęli od siebie odchodzić.

— Nie ruszać się! - ryknął Devlin.

Zignorowali go. Nadal oddalali się od siebie. Jeffrey zaczął się cofać. Najpierw niepewnie zrobił tylko jeden krok. Ale gdy zorientował się, że napastnicy trzymają się nawzajem w szachu, że nawet przez moment nie jest celem, postanowił wykorzystać sytuację. Kiedy był już blisko schodów, odwrócił się na pięcie i uciekł.

Za plecami słyszał, jak Devlin rozkazuje mężczyznom, by stali spokojnie, bo w przeciwnym razie zaczną strzelać. Wbiegł na trawnik, złapał Kelly stojącą tuż przed wybetonowanym placykiem i trzymając ją mocno za ręce, pobiegł w kierunku mostu Arthura Fiedlera.

Dotarli do ślimaka prowadzącego na most. Po paru okrążeniach znaleźli się na prostej. Zadrżeli, jednocześnie słysząc nagły huk strzału. Nie oglądając się, biegli dalej. Po pojedynczym wystrzale usłyszeli ciągły dźwięk broni automatycznej. Przecięli, zwalniając na moment, Storow Drive i pognali drugą stroną ulicy. Zdyszani do-

padli samochodu. Kelly przerażona szukała kluczyków. Jeffrey, nie panując nad nerwami, z niecierpliwością uderzał dłonią w dach samochodu.

- Ty je masz! - krzyknęła.

Wyjął kluczyki z kieszeni. Przerzucił nad dachem.

Otworzyła drzwi i obydwójce wskoczyli do środka. Uruchomiła silnik i pomknęła do przodu, skręcając w Storow Drive. Szybko rozpędziła samochód do sześćdziesięciu mil. Przy końcu Storow Drive, by zmylić pogoń, wjechała w wąskie uliczki.

— O co tutaj chodzi, do cholery? - spytała kompletnie zdezorientowana.

— Też chciałbym wiedzieć! Nie mam pojęcia. Wygląda na to, że walczyli o mnie!

— Że też dałam namówić się na ten plan! Po raz drugi powinnam usłuchać intuicji.

— W żaden sposób nie dowiemy się, o co tu chodziło - powiedział Jeffrey. - Plan nie był zły. Tu jest coś nie w porządku. Nic z tego nie rozumiem, oprócz jednego - osoba, która zrujnowała moje życie, leży teraz martwa. Zadygotał przywołując makabryczny widok Trenta trafionego w czoło.

— Teraz musimy iść na policję - zdecydowała Kelly.

- Nie możemy.
- Ależ widzieliśmy mężczyznę, który zabił!
- Ja nie mogę iść, ale jeżeli musisz iść dla uspokojenia sumienia, proszę bardzo, idź. Z tego, co wiem, oskarżyliby mnie o zamordowanie Trenta Hardinga. Kompletna ironia.
- No to co zrobisz?
- Prawdopodobnie to, co postanowiłem parę dni temu. Ucieknę do Ameryki Południowej. Biorąc pod uwagę śmierć Trenta nie mam zbyt wielkiego wyboru.
- Wróćmy do mnie i przemyślmy całą sprawę jeszcze raz. W tej chwili żadne z nas nie nadaje się do podjęcia tak poważnej decyzji.
- Nie jestem pewien, czy możemy tam wracać. Devlin

musiał jechać za nami od twojego domu. Wie, że zamieszkałem u ciebie. Lepiej będzie, jak wysiądę przy hotelu.

- Pójdę tam z tobą.
  - Naprawdę chcesz zostać ze mną po tym, co się właśnie wydarzyło?
  - Przysięgam sobie wytrwać do końca. Jeffrey był wzruszony. Zdawał sobie sprawę, że nie może dłużej jej narażać. Jednocześnie pragnął jej przy sobie. Byli razem zaledwie od kilku dni, a już nie wyobrażał sobie bez niej życia.
- Co do jednego miała rację - na pewno nie był w nastroju do podejmowania jakichkolwiek decyzji. Zamknął oczy. Czuł się bezsilny. Wydarzyło się zbyt dużo. Był wyparty z emocji.

— Co powiesz na wyjazd z miasta i zamieszkanie w jakimś małym zajeździe?

— Dobrze"- odparł bezwiednie.

Myśli krążyły wokół strasznych i pełnych napięcia chwil na scenie. Przypomniał sobie, że Devlin rozpoznał jednego z mężczyzn. Nazwał go Frank Feranno. Zgadzał, że wszyscy byli łowcami kaucji, walczącymi zachłannie o pokaźną nagrodę pieniężną wyznaczoną za jego głowę. Ale dlaczego zginął Harding? To nie miało sensu. Może jego też wzięto za łowcę kaucji? Czy oni zabijają się nawzajem?

Otworzył oczy. Kelly prowadziła samochód wśród normalnego, piątkowego tłoku na ulicy.

— Czujesz się na siłach, by normalnie prowadzić? - spytał.

— Tak, całkiem dobrze.

— Mogę cię zmienić.

- Spróbuj się odprężyć po tym, co przeszedłeś. Zgodził się. Nie mógł się spierać. Musiał przyznać jej rację. Podzielił się swoim pomysłem - mężczyźni w garniturach byli tak jak Devlin łowcami kaucji i walczyli o niego dla nagrody pieniężnej. •
- Nie sądzę - odpowiedziała. - Kiedy zobaczyłam

ich pierwszy raz, pomyślałam, że są z Trentem. Przybyli na miejsce zaraz po nim. Ale kiedy ich dłużej obserwowałam, zorientowałam się, że przyszli za nim, nie z nim. Zastrzelili go całkowicie świadomie. Nie musieli tego robić, chcieli to zrobić. Nie ty byłeś celem.

- Dlaczego zabili Trenta? Bez sensu. No, może z jednej strony ma to sens. Widzę pewną korzyść. Przekonany jestem, że Harding był mordercą. Bez niego świat będzie o wiele lepszy.

Roześmiał się raptownie.

— A co w tym śmiesznego?

— Nie mogę wprost pojąć mojej naiwności. Wierzyłem, że sprowokuję go do przyznania się poprzez zaaranżowane spotkanie. Idę o zakład, że on widział w tym okazję do wykończenia mnie. I to nie strzałem, ale swoją toksyną.

— Gwałtownie nacisnęła hamulec i zjechała na pobocze.

— Co się stało? - spytał wystraszony.

- Właśnie coś wymyśliłam - była wyraźnie podekscytowana.

Przyjrzał się jej. Samochody przejeżdżały obok, oświetlając ich twarze. Odwróciła się w stronę Jeffreya.

— Może śmierć Trenta ma ukryte znaczenie?

— O czym mówisz?

— Może jego śmierć poprowadzi nas nowym tropem, którego byśmy nawet nie podejrzewali, gdyby żył.

— Nie nadążam za tobą.

— Mężczyźni w garniturach zostali wysłani po to, by zastrzelić Hardinga, nie ciebie. Jestem tego pewna. To nie był humanitarny gest. To nam coś mówi. Może nie chciano, by z tobą rozmawiał. Myślę, że ludzie w garniturach to zawodowi mordercy. Sprawa może być o wiele bardziej skomplikowana, niż przypuszczamy.

— Myślisz, że Harding nie był działającym samotnie szaleńcem?

— Dokładnie to mam na myśli. Po dzisiejszych wydarzeniach dochodzę do wniosku, że mamy do czynienia ze

spiskiem. Może to wszystko ma coś wspólnego ze szpital-

nictwem? Im dłużej o tym myślę, tym bardziej wierzę, że istnieje inny aspekt, który zupełnie przeoczyliśmy koncentrując się na historii o samotnym psychopacie. Po prostu nie wierzę, by działał sam.

Jeffrey przypomniał sobie wymianę zdań między Devlinem a Frankiem Feranno. Frank powiedział: "To cię nie dotyczy, chcemy tylko doktora". Chcieli go, ale żywego. Swobodnie mogli zastrzelić go razem z Hardingiem.

- A co powiesz o towarzystwach ubezpieczeniowych? - spytała Kelly.

Nie przepadała za tymi instytucjami, zwłaszcza po śmierci Chrisa.

- A teraz o co ci chodzi? - spytał.

Wiele było przyczyn, z powodu których jego umysł był oziębiały. Nie potrafił podążać za tokiem jej rozumowania.

- Ktoś czerpie korzyści z tych morderstw. Pamiętaj, tak jak lekarze, zostały oskarżone wszystkie szpitale. Zgodnie z orzeczeniem sądu w sprawie Chrisa ubezpieczenie szpitalne zapłaciło ogromną sumę, może nawet większą od ubezpieczenia mojego męża. To było to samo towarzystwo ubezpieczeniowe.

Zastanowił się przez chwilę.

— Byłby to plan wybiegający daleko w przyszłość.

Wydaje się trochę naciągany. Tracić w krótkim czasie, i to tracić tak dużo, tylko po to, by podnieść stawki ubezpieczeniowe lekarzom i wynagrodzić sobie tak ekstrawaganckie wyroki? Fakt, towarzystwa ubezpieczeniowe odnoszą korzyści, ale powtarzam, to jest długofalowy proces.

— Tak czy siak, będą miały zysk - powiedziała Kelly. - A skoro odnoszą korzyści w wyniku tych morderstw, musimy mieć je na uwadze.

— Jest to jakiś pomysł.

Nie był przekonany.

— Nie chciałbym działać deprimująco na twoje go-

rączkowe poszukiwania, ale w sytuacji, kiedy Trent wypadł z gry, dyskusja jest akademicka. Nadal nie mamy dowodu na to, że był zamieszany w całą tę historię. Nie mamy też dowodu na istnienie toksyny. I mimo ogromnego zaangażowania Seiberta możemy nic nie uzyskać.

Przypomniał sobie strzykawkę na scenie. Była przeznaczona dla niego. Gdyby był na tyle przytomny, żeby ją zabrać! Seibert miałby odpowiednią ilość do swoich te-

stów. Szybko się rozgrzeszył. Przecież mógł zostać zabity. Natychmiast pomyślał o mieszkaniu Trenta.

— Dlaczego nie wpadłem na to wcześniej - powiedział podekscytowany, uderzając się w czoło. - Cały czas mamy jeszcze jedną szansę na udowodnienie udziału Hardinga i na istnienie toksyny. Jego mieszkanie! Gdzieś musi być obciążające świadectwo!

— O nie! - potrząsnęła głową - proszę, powiedz mi, że nie proponujesz powrotu do jego mieszkania.

— To nasza ostatnia szansa. Wykorzystajmy ją. Na pewno tam nie wróci. Władze dotrą dopiero jutro. Musimy dostać się do mieszkania dzisiaj w nocy. Im szybciej, tym lepiej.

Kręciła z niedowierzaniem głową, ale uruchomiła silnik, wrzuciła bieg i zwolniła ręczny hamulec.

Frank Feranno czuł się podle. Jak daleko sięgał pamięcią, była to najgorsza noc w jego życiu. A wszystko zaczynało się tak obiecująco. On i Tony zamierzali zgarnąć dziesięć kawalków za zlikwidowanie blond dzieciaka o nazwisku Trent Harding i za nafaszerowanie narkotykami doktora Jeffreya Rhodesa. Następnie mieli pojechać na lotnisko Logan i dostarczyć doktora do czekającej na lotnisku awionetki. Zadanie było łatwe, ponieważ dzieciak i doktor mieli spotkanie w Hatch Shell o 21.30. Jednym rzutem kamienia strącali dwa ptaszki. Nie mogło być prostszego układu.

Ale nie wyszło tak, jak było zaplanowane. Nie wzięli pod uwagę pojawienia się Devlina.

Frank wyszedł ze sklepu Phillipsa na Charles Circle i wsiadł do czarnego lincolna. Odgiął ochraniacz przeciw-słoneczny zamocowany nad przednią szybą i dokładnie obejrzał draśnięcie wzdłuż skroni we wmontowanym w nim lusterku. Przemyślał je właśnie kupionym alkoholem. Ostro zapiekło. Devlin o mało go nie zabił. Ścisnęło go w żołądku na myśl, jak blisko był śmierci. Odpieczętował drugi nabytek, butelkę maalox i włożył do ust dwie tabletki. Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer swojego kontaktu w St. Louis.

Zanim odezwał się męski głos, przez moment trwały zakłócenia.

— Matt - powiedział - to ja, Feranno.

— Chwileczkę.

Usłyszał, jak Matt mówi żonie, że będzie rozmawiał z drugiego pokoju i żeby odłożyła słuchawkę w odpowiednim momencie. W minutę później usłyszał podnoszenie słuchawki i Matta krzyczącego do żony, że już odebrał.



Słuchawka została odłożona.

— O co chodzi? Miałeś nie używać tego numeru, o ile nie nastąpią komplikacje. Nie mów tylko, że spartaczyliście robotę.

— Był kłopot. Duży kłopot. Tony został trafiony.

Nie żyje. Zapomniałeś nam o czymś powiedzieć, Matt.

Musi być wyznaczona cena-za głowę doktora. Na miejscu zjawił się jeden z najnikczemniejszych łowców kaucji. W grę muszą wchodzić duże pieniądze.

— Co z pielęgniarzem?

— To już historia. Bez kłopotu. Trudniejsze okazało się dostanie doktora. O jakie pieniądze idzie gra?

— Zasądzono kaucję wysokości pół miliona.

— Wiedziałeś Matt, że to nie jest błaży szczegół. Powinieneś nas uprzedzić. Gdybyśmy wiedzieli, można było pokierować sprawą trochę inaczej. Nie wiem, jak ważny jest dla ciebie doktor, ale muszę powiedzieć, że moja cena wzrosła. Przypuszczam, że ustaliłeś wynagrodzenie na minimalnym poziomie. Straciłem najlepszego zabijakę. Muszę powiedzieć, że bardzo mnie rozczarowałeś,

Matt. Myślałem, że się rozumiemy. Powinieneś powiedzieć o kaucji na samym wstępie.

— Wyrównamy ci, Frank. Doktor jest dla nas ważny.

Nie tak ważny jak uwolnienie się od Hardinga, no, prawie tak samo. Wiesz, co ci powiem? Jeżeli dostarczysz doktora, podniesiemy wynagrodzenie do siedemdziesięciu pięciu tysięcy. Jak to brzmi?

— Siedemdziesiąt pięć tysięcy to okrągła sumka. Wygląda na to, że doktor jest dla was całkiem ważny. Wiesz, gdzie mogę go znaleźć?

— Nie i jest to po części powód, dla którego jesteśmy skłonni tak dużo zapłacić. Mówiłeś, że jesteś dobry - masz szansę to udowodnić. Co z ciałem Hardinga?

— Zrobiłem, jak prosiłeś. Na szczęście trafiłem Devlina, gdy już on zastrzelił Tony'ego. Nie miałem zbyt wiele czasu, ale ciało jest czyste. Żadnych znaków identyfikacyjnych. I miałeś rację - tam była strzykawka. Dostarczę ją do samolotu.

— Wspaniale, Frank, a co z mieszkaniem Hardinga?

— To następny punkt programu.

— Pamiętaj, chcę, żeby było wyczyszczone, nie zapomnij o skrytce w szafce obok lodówki. Wyjmij wszystko i też dostarcz do samolotu. I poszukaj jeszcze notesu z adresami. Ten dzieciak był tak tępym osłem, że może coś w nim zapisał. Jeżeli znajdziesz, dołącz do reszty materiału.

Zrób bałagan. Nadaj sprawie pozory rabunku. Zabrałeś jego klucze?

— Tak, mam klucze, nie będzie problemu z dostaniem się do mieszkania.

— Znakomicie. Przykro mi z powodu Tony'ego.

— No cóż, życie to ryzyko.

Wybitnie poprawiło mu się samopoczucie po rozmowie z Mattem. Pomyślał o siedemdziesięciu pięciu tysiącach dolarów. Ładny grosz!

Ponownie zadzwonił.

- Nicky, tu Frank. Potrzebuję pomocy. Nic wielkiego, po prostu należy wyczyścić mieszkanie i zrobić w nim

demolkę. Zabiorę cię sprzed Via Veneto Cafe na Hanover Street. Na wszelki wypadek weź gnata.

Skręcając w lewo, w Garden Street, Kelly miała nieprzyjemne wrażenie, że to wszystko już kiedyś przeżyła.

Nie mogła uwolnić się od widoku Trenta Hardinga biegnącego z młotkiem w dłoni. Zaparkowała po prawej stronie ulicy. Wychylając się przez okno, spojrzała w górę, na okno mieszkania Hardinga.

— Oo, światło jest zapalone.

— Prawdopodobnie zostawił je myśląc, że wróci za jakieś pół godzinki.

— Jesteś pewien?

— Oczywiście, że nie jestem pewien, ale to chyba jedyne wytłumaczenie. Nie dodawaj mi strachu. I tak jestem dostatecznie zdenerwowany.

— Może to policja?

— Wątpię czy dojechali do Hatch Shell, co dopiero tutaj. Będę ostrożny. Wyteżę słuch przed wejściem do środka. Jeżeli przyjedzie policja, połóż się na klaksonie, a potem zrób nawrót na skrzyżowaniu i jedź do Revere Street. Przebiegnę dachami, wyjdę przez któryś budynek i dogonię cię tam.

- Ostatnio też próbowałam trąbić klaksonem.

— Teraz usłyszę.

— Co zrobisz, jeżeli znajdziesz coś obciążającego?

— Zostawię na miejscu i zadzwonię do Randolpha, może da radę namówić policję, by weszła tam z nakazem rewizji. Przekażę dochodzenie ekspertom i pozwolę uruchomić powolny tok postępowania prawnego. A dopóki nie zostaną zrehabilitowani, wyjadę z kraju.

— To wszystko wydaje się takie proste.

— Będzie proste, jeżeli znajdę toksynę lub coś w tym rodzaju. I jeszcze coś, Kelly, jeżeli wyjadę, pragnę byś pomyślała o dołączeniu do mnie.

Zacząła mówić, przerwał jej w pół słowa.

— Tylko to przemyśl.

— Ależ pojedę, wierz mi.

Uśmiechnął się.

— Będziemy mieli czas jeszcze o tym porozmawiać, na razie życz mi szczęścia.

— Powodzenia. I pośpiesz się.

Wysiadł z samochodu spoglądając w stronę otwartego okna w mieszkaniu Trenta. Rolety nie były poprawione.

Dobrze się składa, pomyślał. Zaoszczędzę czasu.

Przeciął ulicę i wszedł frontowym wejściem. Otworzył bez trudu wewnętrzne drzwi. Uderzył go zapach cebuli i dźwięk dobiegający z wielu odbiorników stereo. Niepokój wzrastał w miarę wspinania się po zaśmieconych schodach. Wiedział, że nie powinien pozwolić, by zawaładnął nim strach. Z tym mocnym postanowieniem wyszedł na dach i opuścił się na wejście przeciwpożarowe. Wetknął głowę do salonu nasłuchując. Słyszał tylko oddalone dźwięki muzyki. Zadowolony, że mieszkanie jest puste, wskoczył do środka.

Od razu zauważył o wiele większy bałagan niż poprzedniego wieczora. Stolik do kawy leżał wywrócony, bez jednej nogi. To, co na nim stało, walało się po podłodze. Przy telefonie, w gipsowej ścianie widniała okrągła dziura na wylot. W pobliżu kuchennych drzwi podłogę pokrywały kawałki szkła. Wśród nich leżała zbita butelka po piwie.

Szybko ruszył w głąb mieszkania upewniając się, że jest puste. Zabezpieczył łańcuchem drzwi w przedpokoju. Nie chciał narazić się na ponowne zaskoczenie. Teraz mógł rozpocząć poszukiwania. Przede wszystkim myślał o odnalezieniu korespondencji. Nie chciał jej czytać tutaj, chciał jedynie zabrać i przejrzeć bez pośpiechu w stosowniejszym miejscu. Interesowało go biurko. Ale zanim się do niego dobrał, poszedł do kuchni poszukać pustej torby na interesujące go znaleziska. Zastał tam jeszcze więcej stłuczonego szkła.

Przypatrywał się leżącym kawałkom. Były nie tylko na podłodze, ale również na blacie obok lodówki. Wyglądały na rozmyślnie potłuczoną stertę szklanek. Otworzył szafkę wiszącą dokładnie nad szklanymi odłamkami. We-

wnątrz na pierwszej półce zobaczył więcej szklanek tego samego rodzaju. Na wyższej półce stały talerzyki.

Zastanawiał się, co zaszło przed wyjściem Trenta z mieszkania. Nagle zauważył, że coś jest nie tak z głębo-

kością szafki. Szklanki stały dużo bliżej niż talerze. Wyjął je i zastukał w tył szafki. Poczul, że sklejka się rusza. Spróbował wyjąć tylną ściankę. Nie ustępowała. Zmieniając taktykę, usiłował ją wepchnąć. Odskoczyła po naciśnięciu prawego górnego rogu. Złapał za wystający koniec i wyciągnął ją.

- Nie pójde do więzienia! - krzyknął na widok nie rozpieczętowanego pudełka trzydziestocentymetrowych ampulek marcainy, zapasu strzykawek i fiolki z gumowym korkiem, zawierającej żółty płyn niewiadomego pochodzenia. Obok stało pudełko po cygarach. Rozejrzał się za jakąś szmatką. Na uchwycie obok lodówki wisiał ręcznik. Używając go, wyjął fiolkę. Wyglądała na wyprodukowaną poza Ameryką. Typem przypominała fiolki służące do sterylne go przechowywania środków do iniekcji.

Nadal posługując się ręcznikiem, wyjął pudełko po cygarach i postawił je na blacie. Uniósł wieczko. Wnętrze kryło okazały stosik nowiutkich, studolarowych banknotów. Porównując z własnym zasobem gotówki oszacował, że pudełko zawiera od dwudziestu do trzydziestu tysięcy dolarów.

Włożył wszystko z powrotem do skrytki. Wytarł tył szafki i szklanki, których dotykał. Był podekscytowany i zachęcony nowym odkryciem. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że żółty płyn w fiolce to upiorna toksyna, że poddany analizie wskaże Seibertowi, czego powinien szukać w serum Patty Owen. Znalezione pieniądze też stanowiły mocny argument. Wskazywały na słuszność podejrzeń Kelly o istnieniu swego rodzaju spisku.

Oszołomiony sukcesem, zapragnął czegoś więcej. W mieszkaniu musi znajdować się choćby cień dowodu, ujawniający istotę spisku. Przeszukując szybko pozostałe szafki, znalazł to, po co w zasadzie przyszedł - brązową, papierową torbę na zakupy.

Wrócił do salonu. Dobrał się do biurka. Włożył do torby listy i rachunki, jakie znalazł. Poszedł do sypialni. Zaczął od komody. W drugiej szufladzie znalazł bogatą kolekcję magazynów Playgirl. Zostawił ją w spokoju. Trzecia szuflada zawierała listy. Zaczął je z grubsza sortować, kiedy zorientował się, że nie zdoła wszystkich upchnąć do torby.

Kelly, wierząc się, nerwowo bębniła o kierownicę. Zwolniło się miejsce do parkowania dwa domy poniżej. Skorzystała z okazji tyłując i równo ustawiając samochód na zdobytej przestrzeni. Tym samym skróciła niemiłosiernie dłużeńce się chwile oczekiwania. Zerkając w górę, na

otwarte okno Trenta, zastanawiała się, co tak długo zatrzymało Jeffreya. Była niespokojna. Co on może robić? Aż tyle czasu potrzeba na przeszukanie mieszkania z jedną sypialnią?

Garden Street nie była ruchliwą ulicą, choć w tym czasie co najmniej pół tuzina samochodów skręciło, mijając ją, z Revere Street. Kierowcy sprawiali wrażenie szukających miejsca do zaparkowania. Nie zdziwiła jej kolejna para świateł, które ukazały się od strony Revere Street i sunęły w jej kierunku. Drgnęła dopiero w momencie, gdy samochód zatrzymał się dokładnie przy domu Trenta. Główne światła zgasły i zapaliły się pozycyjne.

Odwróciła się. Zobaczyła mężczyznę w ciemnym swetrze, wysiadającego od strony pasażera. Okrążył samochód, stanął na chodniku i przeciągając się czekał na kierowcę. Drugi mężczyzna miał na sobie białą koszulę z podwiniętymi rękawami. W rękę trzymał skórzaną torbę. Zaśmiewali się z czegoś. Nie sprawiali wrażenia zbyt szybko spieszących. Młodszy skończył palić papierosa i wrzucił niedopałek do rynsztoka. Weszli do budynku Trenta. Obserwowała samochód. Był to duży, błyszczący, czarny lincoln limuzyna. Jego tył był najeżony różnego rodzaju antenami. Samochód zdecydowanie wyróżniał się w takim miejscu. Wzbudziło to jej podejrzenia. Zastanawiała się nad naciśnięciem klaksonu, nie chciała jednak

niepotrzebnie alarmować Jeffreya. Postanowiła cierpliwie czekać.

— Jeżeli dowiedziesz, że mogę na ciebie liczyć, będę miał duże plany co do twojej osoby, Nicky - mówił Frank, gdy wspinali się po schodach. - Z odejściem Tony'ego powstała luka w mojej organizacji. Wiesz, co mam na myśli?

— Powiedz tylko, co i kiedy. Możesz uważać to za zrobione - odparł Nicky.

Frank zastanawiał się, jakim cudem uda mu się odnaleźć doktora. Potrzebował kogoś, kto potrafi się dobrze rozglądać. Nicky był znakomity, może tylko trochę za głupi.

Dotarli do czwartego piętra. Nie mógł złapać tchu.

- Muszę zbastować z żarciem - powiedział wyciągając klucze Hardinga.

Patrzył na zamek, próbując zgadnąć, który jest odpowiedni. W końcu włożył pierwszy lepszy. Bez powodzenia. Drugi pasował. Pchnął drzwi, lecz zatrzymały się gwałtownie, zabezpieczone łańcuchem.

- A to co, u diabła? - zdumiał się.

Jeffrey usłyszał chrobot pierwszego klucza. Przerazony skoczył na równe nogi. Pierwsza myśl była bez sensu - Trent żyje. Zanim Frank przekręcił drugi klucz, pędził w panice do okna. Wskoczył na nie w chwili, gdy Nicky wyważył drzwi i wpadł potykając się do pokoju.

- To doktor! - usłyszał za swoimi plecami.

Tym razem jednym susem, jak płotkarz, pokonał parapet i w parę sekund wspiał się wejściem przeciwpożarowym na dach. -Biegł tą samą drogą wskakując na kolejne dachy. Ominął budkę, z której skorzystał poprzedniego dnia. Obawiał się, że haczyk będzie zaczepiony tak, jak go zostawił. Słyszał łomot goniących go kroków. Po-dejrzewał, że to mężczyźni z Hatch Shell, ci, których Kelly określiła jako zawodowych morderców. Zupełnie o nich zapomniał.

Rozdygotany, próbował dostać się do którejś z budek. Jednak wszystkie były zaryglowane. Dopiero w narożnym domu natrafił na uchylone wejście. Zatrzasnął drzwi, usiłując wymacać zamek. Nic takiego nie było. Odwrócił się i pognął schodami w dół. Mężczyźni doganiali go. Gdy dobiegał do poziomu ulicy, zdał sobie sprawę, że są tuż za nim.

Podjął błyskawiczną decyzję. Wiedział, że nie zdąży dobiec do samochodu Kelly. Złapią go. Skręcił i pognął Revere Street. Nie miał zamiaru narażać na szwank jej bezpieczeństwa. Zrobił to już o parę razy za dużo. Musi zgubić pościg, zanim do niej wróci.

Słyszał ich, biegnących ulicą. Nie miał dużej przewagi. Skręcił w lewo, w Cedar, mijając pralnię i duży sklep. Chodnikiem szło mnóstwo ludzi. Zaczął odróżniać pośpieszne kroki prześladowców. Jeden sprawiał wrażenie dużo szybszego, był bliżej.

Znowu skręcił. Zbiegał ze wzgórza Pickney Street.

Nie znał za dobrze planu ulic na Beacon Hill. Modlił się, by nie wpaść w ślepą. Dzięki Bogu Pickney Street wychodziła na Louisburg Square.

Musi się ukryć, jeżeli chce zginąć z pola widzenia ścigających. Nigdy ich nie zmyli. Pobiegnął w kierunku kute-go, żelaznego ogrodzenia otaczającego centralną, zieloną część placu. Nie zważając na to, że sięga mu do piersi i jest zakończone ostrymi szpikulcami, wgramolił się na nie, po czym runął na trawę po drugiej stronie. Buty wbiły się głęboko w darń. Podniósł się. Pobiegnął przed siebie w kierunku gęstych krzaków. Przyłgął do wilgotnej ziemi. Czekał, wstrzymując oddech.

Słyszał prześladowców zbliżających się od strony Pi-

ckney Street. Odgłosy kroków uderzających o chodnik odbijały się echem od fasad eleganckich, ceglanych budynków. Wkrótce zobaczył jednego z mężczyzn wbiegającego na plac. Nie widząc uciekającego, zwolnił i zatrzymał się. Za chwilę dołączył drugi. Zamienili kilka słów z trudem łapiąc powietrze. W świetle lamp otaczających plac ujrzał, jak się rozdzielają. Jednego rozpoznał ze sceny

Hatch Shell. Drugiego, z pistoletem w dłoni, nigdy nie widział.

Metodycznie przeszukiwali dojścia do budynków, schody, zaglądali też pod samochody. Kiedy zniknęli mu z oczu, nawet nie drgnął. Bał się, że najmniejszy ruch przyciągnie ich uwagę.

Gdy stwierdził, że są po przeciwległej stronie placu, pomyślał przez chwilę o ponownym sforsowaniu ogrodzenia i ucieczce w kierunku samochodu. Jednak obawiał się, że podczas przeskakiwania stanie się zbyt widoczny. Nagle w pobliżu zamiauczał kot. Jeffrey skoczył z wrażenia. Bura istota znajdowała się pół metra od jego twarzy. Zwierzak miał wyprężony ogon wyglądający jak -wycior. Zamiauczał znowu. Przysunął się i zaczął ocierać o głowę, głośno przy tym mrużąc. Przypomnił sobie przerażenie spowodowane widokiem Delilah w spiżarni Kelly. Wcześniej koty nie zwracały na niego większej uwagi, teraz wyglądało na to, że będą pojawiały się za każdym razem. Przy każdej próbie ukrycia się!

Odwracając głowę i ostrożnie wyglądając z gęstwiny krzaków, ujrzał mężczyzn naradzających się na końcu placu, przy Mount Vernon. Chodnikiem szedł samotny przechodzień. Zastanawiał się, czy nie krzyknąć o pomoc, jednak człowiek na dobre zniknął w jednym z domów. Mimo wszystko myślał o wołaniu. Co to da? Najwyżej zapali się światło w kilku domach. W najlepszym wypadku, gdyby ktoś zadzwonił pod 911, policja zjawi się dopiero za dziesięć, piętnaście minut.

Panika wracała. Kot nachalnie domagał się pieśczoł. Zdał sobie sprawę, że nie zdoła pozostać w miejscu. Musi się ruszyć!

Pognał sprintem w kierunku ogrodzenia. Wskoczył na nie tak szybko jak poprzednio, ale upadając na brukowaną ulicę skrzył prawą nogę w kostce. Przeszywający ból dosięgnął kręgosłupa.

Nie zwracając uwagi na zwichniętą nogę, rzucił się w dół, w Pickney Street. Usłyszał za sobą krzyjących mężczyzn. Ich kroki wypełniły ulicę. Minał West Cedar i ku-

szykając pognął w dół, do Charles. Zdesperowany bólem, wbiegł prosto na jezdnię, próbując zatrzymać przejeżdżające samochody. Kierowcy mijali go obojętnie.

Pogoń była już na Pickney Street. Przeciął Charles i biegł dalej w dół, do Brimmer. Skręcił w lewo. Dobiegł do końca przecznicy. Szybszy z mężczyzn zdecydowanie zmniejszył dzielący ich dystans.

Zrozpaczony, rzucił się w kierunku kościoła Adwentystów, mając nadzieję, że w jego wnętrzu znajdzie kryjówkę. Dotarł do ciężkich, ozdobionych gotyckim łukiem drzwi. Chwycił wielką klamkę i nacisnął. Drzwi nie ustępowały. Były zamknięte. Zawrócił na ulicę. W tym momencie pojawił się jeden z mężczyzn, ten z pistoletem. Za chwilę dołączył drugi, bardziej zasapany. Jeffrey widział go na scenie muszli koncertowej. Razem powoli szli ku niemu.

Cofnął się do drzwi kościoła. W bezsilności walnął w nie pięścią. Poczul przyłożoną do głowy lufę pistoletu. Usłyszał, jak bardziej zdyszany mężczyzna mówi:

- Do widzenia, doktorze!

Kelly walnęła ręką o tablicę rozdzielczą.

- Po prostu nie wierzę! - powiedziała na głos.

Co go tak długo zatrzymuje? Popatrzyła w górę, w okno Trenta, tak samo błagalnie jak sto razy przedtem.

Wciąż nie było śladu Jeffrey'a.

Wysiadła z samochodu i oparła się o dach. Zastanawiała się, co może zrobić. Użyć klaksonu? Tylko dlatego przeszkodzić mu, że jest pełna napięcia i złych przeczuć? Iść na górę? Pukanie do drzwi może go wystraszyć do tego stopnia, że zacznie uciekać.

Zauważyła wracający na ulicę lśniący, czarny samochód. Niecałe dziesięć minut wcześniej widziała jednego z mężczyzn, który przyszedł po limuzynę. Pojawił się z dołu ulicy, a nie z budynku Trenta. Obserwowała, jak samochód parkuje w tym samym miejscu co przedtem. Wyszli z niego znani z widzenia mężczyźni i ponownie weszli do domu.

Wzbudziło to jej ciekawość. Wyprostowała się i poszła w kierunku lincolna. Pochyliła się zaglądając do wnętrza. Samochód posiadał telefon, poza tym wyglądał zupełnie normalnie. Przesunęła się o dwa kroki, zaglądając na tył samochodu. Zastanawiało ją, dlaczego ma tak dużo anten.

Wyprostowała się szybko. Na tylnym siedzeniu ktoś spał skulony. Jeszcze -raz, powoli, zajrzała do wnętrza. Śpiący miał nienaturalnie wykręconą rękę. Mój Boże, po-



myślała, to Jeffrey!

Oszalała z rozpacz, szarpnęła klamkę. Drzwi były zamknięte. Okrążyła samochód sprawdzając wszystkie zamki. Nic z tego. Zdesperowana, zaczęła rozglądać się za czymś ciężkim. Wyrwała z chodnika jedną z obluzowanych cegieł i podbiegając do lincolna, cisnęła nią w okno tylnych drzwi. Musiała uderzyć jeszcze kilka razy, zanim szyba rozprysnęła się w milion drobnych kawałeczków. Włożyła rękę do środka i otworzyła drzwi.

Usiłując podnieść Jeffreya, usłyszała wołanie z okna na górze. Jeden z mężczyzn wyrzwał słysząc brzęk tłuczonej szyby.

-- Jeffrey! Jeffrey! - krzyczała.

Musiała wydostać go z samochodu. Zaczął poruszać się na dźwięk imienia. Próbował coś powiedzieć, jednak z gardła wydobywał się jedynie bełkot. Marszcząc czoło z wysiłku, powoli uchylił powieki.

Wiedziała, że ma za mało czasu. Chwyając go za nadgarstki, przyciągnęła do siebie. Bezwładne nogi uderzyły o ziemię. Ciało było śmiertelnie ciężkie. Puściła nadgarstki obejmując go wokół klatki piersiowej. Sprawiał wrażenie zemdlonego. Wyciągnęła Jeffreya z samochodu.,

- Jeffrey! Spróbuj stanąć! - błagała.

Zachowywał (się jak szmaciana lalka. Zdawała sobie sprawę, że gdy go puści, runie na chodnik. Wyglądał na nafaszerowanego narkotykami.

- Jeffrey! - krzyczała. - Idź! Spróbuj iść!

Mobilizując wszystkie siły powlokła bezwładne ciało

chodnikiem. Próbował jej pomagać, jednak jego ruchy były nieskoordynowane. Dopiero przy samochodzie Kelly ocknął się na tyle, by choć w minimalnym stopniu kontrolować ciało. Był zbyt rozbity, by ogarnąć grozę sytuacji. Położyła go na samochodzie, asekurując własnym ciałem. Otworzyła tylne drzwi i resztkami sił wepchnęła go do środka. Upewniając się, że leży na tylnym siedzeniu, trzasnęła drzwiami.

Wskoczyła do samochodu. W tym samym momencie usłyszała mężczyzn wybiegających z budynku. Uruchomiła silnik i skręcając kierownicą ostro w lewo, raptownie dodała gazu. Walnęła w stojący przed nią samochód z siłą, która zrzuciła Jeffreya na podłogę. Wrzuciła wsteczny bieg. Cofając potrąciła samochód stojący za nią. Dagonił ją jeden z mężczyzn otwierając drzwi od jej strony. Chwył brutalnie za ramię.

- Nie tak szybko, panienko - warknął prosto do

ucha.

Wolną ręką skierowała samochód na ulicę i gwałtownie nacisnęła pedał gazu. Czując, jak bydlak przy drzwiach ciągnie ją w bok, ścisnęła kurczowo kierownicę. Honda wyrwała do przodu, wymijając o parę centymetrów stojący przed nią samochód. Szarpnęła kierownicą w lewo, zawadzając otwartymi drzwiami o zaparkowane po przeciwnej stronie ulicy auta. Mężczyzna, który trzymał jej rękę, wrzeszczał teraz z bólu, gnieciony między zaparkowanym pojazdem a bujającymi się drzwiami.

Trzymała wciśnięty gaz. Zjeżdżała ciężko w dół Garden Street z ciągle otwartymi drzwiami. W ostatniej chwili, unikając wjechania w grupę pieszych przechodzących przez ruchliwe skrzyżowanie Garden i Cambridge, nacisnęła hamulec. Ludzie rozpierzchli się na wszystkie strony słysząc przeraźliwy pisk opon.

Zamknęła oczy, spodziewając się najgorszego. Co prawda zatrzymała się, lecz samochód w wyniku poślizgu obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Stała pod prąd, mając przed sobą kilku rozwścieczonych kierowców. Niektórzy wysiedli z aut i biegli w jej kierunku. Wrzuciła

wsteczny bieg, zrobiła łuk skierowując samochód w odpowiednią stronę. Wtedy zobaczyła czarnego lincolna. Zjechał z Garden Street. Wpasował się dokładnie za nią, dosłownie kilka centymetrów od tylnego zderzaka. Pomyślała, że jedyną szansą na zgubienie limuzyny jest wjechanie w wąskie uliczki Beacon Hill, gdzie mała honda będzie o wiele szybsza i łatwiejsza w manewrowaniu. Błyskawicznie skręciła z Cambridge Street w lewo. Robiąc skręt, wjechała na krawężnik, uderzając w kosz na śmieci. Jej drzwi bujnęły się, otworzyły szeroko, po czym natychmiast trzasnęły, zamykając się na dobre. Na pełnym gazie pomknęła w górę wzgórza. Na szczycie zwolniła na tyle, żeby skręcić w lewo, w wąską Myrtle Street. Zerkając we wsteczne lusterko, stwierdziła z radością, że fortel powiódł się. Lincoln został w tyle. Był za duży na wykonanie tak ostrego zakrętu, przy tak dużej szybkości.

Mieszkając kilka lat na Beacon Hill, przed wyjściem za mąż, znakomicie orientowała się w labiryncie wąskich, jednokierunkowych uliczek. Skręcając w prawo, w ruchliwą Joy Street, podjęła ryzyko dostania się do Mount Vernon. Tam skręciła w prawo i skierowała się w dół wzgórza, w stronę Charles. Chciała przemknąć przez Louisburg Square, a następnie zniknąć w ruchu ulicznym na Pickney. Zahamowała przy placu. Niestety, obydwie drogi

były chwilowo zablokowane. Jedna przez taksówkę, druga przez samochód, z którego wysiadali właśnie pasażerowie.

Zmieniając zamiar pojechała dalej w dół Mount Vernon. Jednak nawet tak krótkie hamowanie kosztowało ją drogo. We wstecznym lusterku znowu dostrzegła lincolna. Patrząc przed siebie, zorientowała się, że nie zdąży na zielone światło przy Charles Street. Błyskawicznie skręciła w lewo, przy West Cedar.

Po ponownym skręceniu, tym razem w prawo, dodała gazu. Na wprost niej światło przy Charles zmieniło się na żółte. Nie zwolniła. Wjeżdżając na skrzyżowanie dostrzegła z prawej strony nadjeżdżającą taksówkę. Samo-

chód jechał prawidłowo, mając zielone światło. Zaha-mowała odbijając kierownicą w lewo. Honda ponownie wpadła w poślizg. Zamiast ostrego, bezpośredniego zderzenia poczuła jedynie lekkie stuknięcie. Silnik pracował nadal.

Nie zatrzymała się. Z taksówki, wygrażając pięścią, wychylił się kierowca. Coś krzyczał..Jadąc wzdłuż Chesnut, dotarła do Brimmer i skręciła w lewo. Podczas zakrętu, w przelocie, złapała wzrokiem lincolna omijającego unieruchomioną taksówkę.

Poczuła narastającą panikę. Plan nie działał tak, jak tego pragnęła. Lincoln cały czas podążał za nią.

Wyglądało na to, że kierowca znał doskonale Beacon Hill.

Pomyślała, że musi wymyślić coś nadzwyczajnego.

Skręciła w lewo, w Byron Street, potem znowu w lewo, w parking-garaż na Brimmer Street. Przejechała bez zatrzymania obok oszklonej kabiny strażników, ostro zmieniając kierunek w prawo. Pomknęła prosto do windy dla samochodów.

Dwaj strażnicy obserwowali ją w osłupieniu. Jeden z nich wzruszył ramionami i otworzył bramkę. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, krzyknęła:

- Ściga mnie mężczyzna w czarnym lincolnie. Musicie mi pomóc! Chce mnie zabić!

Popatrzyli obojętnie na siebie. Ten, który wszedł do windy, pociągnął za sznurek. Drzwi zwarły się z loskotem, jak szczęki monstualnych ust. Platforma uniosła się z jękiem.

Strażnik podszedł do samochodu i zajrzał do okna.

— Jak do tego doszło, że ktoś chce cię zabić? - spytał spokojnie.

— Nawet gdybym ci opowiedziała, i tak byś nie uwie-

rzył - odparła. - A co z twoim kolegą? Odprawi tego mężczyznę, jeżeli zjawi się w garażu?

— Przypuszczam, że tak. Nie każdej nocy ratujemy kobietę z opresji.

Zamknęła oczy kładąc czoło na kierownicy.

- A co z tym facetem z tyłu, na podłodze? - spytał strażnik.

Nie otworzyła oczu.

- Pijany - powiedziała. - Za dużo ginu.

Kiedy Frank zadzwonił po raz drugi, musiał poczekać, aż Matt znowu przejdzie przez tę samą, nonsensowną zmianę telefonów. Feranno był w domu, stąd połączenie było dużo lepsze niż z samochodu.

- Znowu kłopoty? - spytał Matt. - Nie zachwy-  
casz mnie, Frank.

— W żaden sposób nie można było przewidzieć tego,,  
co się wydarzy. Kiedy Nicky-i ja dostaliśmy się do miesz-  
kania Trenta, doktor już tam był.

— A co z materiałem z szafki?

— Załatwione. Leżał nietknięty.

— Złapaliście doktora?

— Z tym był problem. Zanim go dostaliśmy, ganiał-  
my się po całym Beacon Hill.

— Fantastycznie.

— Nie całkiem. Straciliśmy go jeszcze raz. Wstrzyk-  
nęliśmy mu to świństwo, które przysłałeś samolotem,  
podziało jak zakłęcie. Załadowaliśmy go do mojego  
samochodu. Potem poszliśmy na górę zaopiekować się  
mieszkańcem Hardinga i zabrać ten materiał, na któ-  
rym tak ci zależy. Pomyśleliśmy, że nie warto robić  
dwa razy tej samej drogi na Logan. Ale zjawiała się  
dziewczyna faceta. Dostała się do samochodu rozwała-  
jąc cholerną szybkość cegłą. Naturalnie pobiegliśmy w dół  
po schodach, ale mieszkanie tego dzieciaka jest na  
czwartym piętrze. Nicky, jeden z moich ludzi, wybiegł  
na ulicę, by ją zatrzymać, ale nie zdążył - odjechała  
wcześniej. Złamała mu rękę. Ścigałem ją samochodem.  
W końcu zniknęła.

— Co z mieszkaniem?

— Z tym w porządku. Wróciłem tam, zrobiłem de-  
molkę, a cały materiał, jak chciałeś, dostarczyłem do sa-  
molotu. Tak więc wszystko jest wykonane oprócz tego> że

nie mamy doktorka. Ale myślę, że i z tym nie będzie pro-  
blemu, jeżeli użyjesz trochę swoich wpływów. Mam nu-  
mer rejestracyjny samochodu dziewczyny. Myślę, że je-

steś w stanie dowiedzieć się o jej nazwisko i adres.  
- To nie powinno być problemem - powiedział  
Matt. - Pierwszą rzeczą, jaką zrobię jutro, będzie telefon do ciebie.

15

SOBOTA

20 MAJA 1989 r. GODZINA 8.11

Jeffrey odzyskiwał świadomość etapami. Powoli uwalniał się od fatalnych, niesamowitych snów. Wysuszone gardło piekło przy każdym oddechu. Nie mógł nic przełknąć. Ciało było ciężkie i zeszywniałe. Otworzył oczy i rozglądając się dookoła, usiłował zorientować się, gdzie jest. Był w nieznanym pokoju z błękitnymi ścianami. Zauważył kroplówkę. Natychmiast sprawdził lewą rękę. Wszystko jedno, co wydarzyło się ubiegłej nocy - teraz podawano mu kroplówkę!

Umysł pracował jaśniej. Odwrócił się. Promienie słońca przedzierały się przez okienne żaluzje. Obok łóżka stała szpitalna szafka z dzbankiem i szklanką. Zachłannie wypił orzeźwiającą wodę.

Siadając, zlustrował pomieszczenie. Był to pokój szpitalny, wyposażony w zwykłą, metalową szafkę, zasłony przymocowane do karnisza nad łóżkiem i niewygodny, winylowy fotel, stojący w rogu. Spała na nim zwinięta w kłębek Kelly. Jedna ręka zwisała w stronę kąta pokoju, a przy niej na podłodze leżała gazeta.

Zwiesił nogi z łóżka. Chciał do niej podejść. Powstrzymała go kroplówka. Zauważył, że jej zawartość stanowiła ledwie spływająca woda destylowana.

Nagle przypomniał sobie ucieczkę przed mężczyznami na Beacon Hill. Strach powrócił z zadziwiającą ostrością. Uprzytomnił sobie, że został przyparty do drzwi kościoła Adwentystów, że przyłożono mu pistolet do głowy i zrobiono zastrzyk w tył uda. Tyle pamiętał. Jego umysł nie zarejestrował tego, co wydarzyło się później.

- Kelly - zawołał cicho. Mruknęła coś, ale nie obudziła się. - Kelly! - tym razem zawołał głośniejszym głosem.

Jej powieki drgnęły. Mrugnęła kilka razy, zerwała się z fotela i podbiegła w jego kierunku. Chwyciła w ramiona, spoglądając prosto w twarz.

- Och, Jeffrey, dzięki Bogu, że z tobą wszystko w porządku. Jak się czujesz?

- Dobrze. Czuję się dobrze.

- W nocy byłam przerażona, nie miałam pojęcia, co ci dali.

- Gdzie jestem?

— W St. Joseph's. Nie wiedziałam, co zrobić. Przywiozłam cię tutaj, na oddział nagłych przypadków. Bałam się, że coś się stanie. Mogły wystąpić kłopoty z oddychaniem.

— I przyjęli mnie bez zadawania pytań?

— Zmyślałam na poczekaniu. Powiedziałam, że jesteś moim kuzynem spoza miasta. Nikt tego nie kwestionował. Znam tutaj obydwu lekarzy i pielęgniarki. Opróżniłam ci kieszenie, łącznie z portfelem. Nie miałam żadnych problemów do momentu, aż z laboratorium przyszła wiadomość, że wzięłeś ketaminę. Zaczęłam trochę kłamać, w końcu powiedziałam, że jesteś anesteziologiem.

— Ale co, u diabła, wydarzyło się ubiegłej nocy?

Jak do tego doszło, że w rezultacie wylądowałem przy tobie?

— Po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności - powiedziała siadając na krawędzi łóżka.

Opowiedziała mu wszystko, od chwili zniknięcia w mieszkaniu Trenta.

Zadrżał.

— Och, Kelly, nie powinienem nigdy cię w to mieszać.

Nie wiem, co mnie opętało... - Jego głos załamał się.

— Sama się wmieszałam. Mniejsza z tym. Najważniejsze, że nic się nam nie stało. Mów, jak poszło w mieszkaniu Hardinga.

— Do chwili, kiedy mnie zaskoczyli, dobrze. Znalaz-

łem to, czego szukaliśmy. Odkryłem sekretny schowek, a w nim zapas marcainy, strzykawek, mnóstwo pieniędzy i toksynę. Wszystko było ukryte za fałszywymi plecami kuchennej szafki. Nie ma żadnych wątpliwości, że nasze podejrzania względem Trenta Hardinga były słuszne. Mamy dowód, którego szukaliśmy.

— Pieniądze w gotówce?

— Wiem dokładnie, o czym myślisz. Gdy tylko je zobaczyłem, przypomniała mi się twoja hipoteza o spisku. Musiał dla kogoś pracować. O Boże! Gdyby żył! Wyśpiewałby wszystko. Mógłbym wrócić do dawnego, normalnego życia. - Jeffrey zwiesił głowę. - Ale musimy zadowolić się tym, co mamy. Mogło być lepiej. Trudno, stało się.

— No to jaki jest nasz następny ruch? >

— Pojedziemy do Randolpha Bingham i opowiemy całą historię. Musi zaciągnąć policję do mieszkania Trenta. Niech się sami martwią o charakter spisku.

Przerzucił nogi na drugą stronę łóżka, gdzie podłączo-

ny był do kroplówki. Wstał. Przez moment kręciło mu się w głowie. Niezdarnie przytrzymał rurkę przymocowaną do tkwiącego w żyłę venflonu. Widząc, że się chwieje, podała mu dłoń.

— Dochodzę do wniosku, że jesteś mi potrzebna przez cały czas - powiedział odzyskując równowagę.

— Potrzebujemy siebie nawzajem.

Uśmiechnął się i spuścił głowę. Myślał inaczej - potrzebowała go w tym samym stopniu co na przykład przebiegnięcia przed pędzącą ciężarówką. Nie zapewnił jej niczego oprócz kłopotów. Miał jedynie nadzieję, że potrafi wszystko wynagrodzić.

- Gdzie, jest moje ubranie?

Otworzyła szafę. Jeffrey zatamował kroplówkę i krzywiąc się wyjął venflon z żyły. Podeszedł do Kelly po ubranie.

-- Moja płócienna torba! - krzyknął, zdziwiony.

Wisiła na jednym z haczyków w szafie.

- Wcześniej rano pojechałam do domu, wzięłam dla

siebie coś z ubrania, nakarmiłam koty i zabrałam twoją torbę.

— To było ryzykowne. Co z Devlinem? Czy zauważyłaś kogoś obserwującego dom?

— Myślałam o tym, ale po przeczytaniu rannej gazety doszłam do wniosku, że nic mi nie grozi.

Podniosła numer "Globe" leżący na podłodze przy fotelu i podała Jeffreyowi, wskazując małą notatkę w rubryce "Kronika policyjna".

Przeczytał opis incydentu, jaki wydarzył się poprzedniego wieczoru na scenie Hatch Shell. Prasa donosiła, że został zastrzelony pielęgniarz zatrudniony ostatnio w St. Joseph's Hospital. Strzelającym okazał się zawodowy kryminalista - Tony Marcello. Były bostoński oficer policji Devlin O'Shea oddał strzał zabijając napastnika, sam jednak został poważnie ranny podczas strzelaniny. O'Shea przyjęto do Boston Memorial Hospital. Życiu jego nie zagraża już niebezpieczeństwo. Dodano, że policja bostońska prowadzi śledztwo, gdyż przypuszcza się, iż w grę wchodziły narkotyki.

Odłożył gazetę na łóżko. Wziął Kelly w ramiona.

- Naprawdę bardzo, bardzo przepraszam, że narażiłem cię na to wszystko. Myślę, że jesteśmy blisko końca.

Zwalniając uścisk odchylił się do tyłu i dodał:

— Chodźmy do Randolpha. Potem zastanowimy się, gdzie wyjechać. Może samochodem do Kanady, a dalej w

jakieś odludne miejsce? Ulotnimy się na czas trwania prawdziwego dochodzenia.

— Nie wiem, czy mogę wyjechać. Będąc w domu zdałam sobie sprawę, że termin Delilah zbliża się.

— Zostaniesz z powodu kota?!

— Przecież nie zostawię jej po prostu w spiżarni. Jest gotowa urodzić w tych dniach.

Wreszcie dotarło do niego, jak bardzo jest przywiązana do swoich kotów.

- No dobrze, już dobrze - powiedział naprawiając błąd. - Wymyślmy coś. Na razie musimy jechać do

Randolpha. No i muszę się stąd wydostać. Jak się nazywam?

- Richard Widdicomb. Zostań, pójdę do pielęgniarek po odpowiednie papiery.

Ubrał się, gdy Kelly wyszła. Pomijając tępy ból głowy, czuł się całkiem znośnie. Zastanawiał się, jak dużo dostał ketaminy. Biorąc pod uwagę tak głęboki sen, doszedł do wniosku, że mogli do niej dodać coś takiego jak innovar.

Otworzył płócienną torbę. Znalazł w niej przybory toaletowe, czystą bieliznę, pieniądze, trochę własnych notatek robionych w bibliotece, karty informacyjne skopiowane w sądzie z segregatorów "oskarżony-oskarżyciel" i swój portfel. Znalazł również czarny, mały zeszynek.

Włożył portfel do kieszeni i sięgnął po zeszynek.

Otworzył go nadal nie rozumiejąc, skąd znalazł się w torbie. Był to najwyraźniej notes z adresami. Nie należał do niego.

Kelly wróciła z lekarzem.

-- To jest doktor Sean Apple. Musi cię zbadać przed wypisem.

Jeffrey pozwolił lekarzowi osłuchać klatkę piersiową, zmierzyć ciśnienie i przeprowadzić pobieżne badanie neurologiczne. Polegało ono na przejściu po linii prostej przez pokój i stawianiu jednej stopy dokładnie przed drugą.

Podczas badania Jeffrey zapytał ją o pochodzenie czarnego notesu.

- Był w twojej kieszeni.

Milczał do chwili, aż doktor Apple wyszedł po oświadczeniu, że pacjent nadaje się do zwolnienia.

- Zeszynek nie jest mój - powiedział machając notesem.

Nagle przypomniał sobie. Był to notes adresowy



Trenta Hardinga. Zapomniał o tym w natłoku wydarzeń. Wyjaśnił to Kelly, i razem zaczęli przerzucać strony notesu.

- To może być ważne - stwierdził. - Oddamy go Randolphowi. - Wsunął notes do kieszeni. - Jesteśmy gotowi?

- Musisz pójść do stanowiska pielęgniarki i złożyć podpis. Pamiętaj, że jesteś Richardem Widdicomb. Wyjście ze szpitala nie dostarczyło, na szczęście, nowych emocji. Poszło jak po maśle. Szedł z płócienną torbą przewieszoną przez ramię. Również Kelly miała niewielką torbę z osobistymi rzeczami. Wsiedli do samochodu. Po opuszczeniu terenu szpitala mówił jej, którądy ma" jechać. Byli w połowie drogi do biura Randolpha, gdy nagle odwrócił się do niej. Jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło, by poczuła strach.

— O co chodzi? - spytała z niepokojem.

— Czy powiedziałaś, że mężczyźni wrócili do mieszkania Trenta po zapakowaniu do samochodu?

— Nie wiem, czy poszli do mieszkania. Weszli do budynku.

— O Boże! - jęknął. Odwrócił twarz, patrząc bezmyślnie przed siebie. - Wszedłem do mieszkania przez okno. Oni dostali się bez problemu, bo mieli klucze. Z tego wynika, że przyszli w konkretnym celu. - Znowu na nią spojrzał. - Musimy najpierw jechać na Garden Street.

— Chyba nie do mieszkania Trenta? - spytała z niedowierzaniem.

— Musimy! Musimy mieć absolutną pewność, że marcaina i toksyna nadal są w skrytce. Jeżeli jest inaczej, wracamy do punktu wyjścia.

— Jeffrey, nie! - krzyknęła.

Nie wierzyła, że chce wrócić tam po raz trzeci. Za każdym razem zaskakiwało ich nowe niebezpieczeństwo. Jednak poznała go zbyt dobrze. Wiedziała, że nie wyperswaduje mu kolejnej ryzykownej wizyty. Bez słowa protestu pojechała w kierunku Garden Street.

- Jedyne wyjście - powiedział bardziej dla przekonania samego siebie.

Zaparkowała samochód kilka domów dalej od budynku z żółtej cegły. Przez chwilę siedzieli, zbierając myśli.

- Czy okno jest nadal otwarte? - spytał Jeffrey.

Lustrował uważnie okolicę, sprawdzając, czy nikt nie pilnuje wejścia do budynku. Obawiał się spotkania z po-

licją.

- Tak, jest ciągle otwarte - potwierdziła Kelly.  
Zaczął wygłaszać swój stary tekst, że będzie z powrotem za dwie minuty. Przerwała mu:

- Nie czekam tutaj. Idę z tobą.

Nawet nie usiłował protestować. Przeszli przez frontowe drzwi, potem wewnętrzne. W budynku panowała niesamowita cisza. Dopiero na trzecim piętrze usłyszeli zza zamkniętych drzwi ciche odgłosy sobotniej audycji telewizyjnej dla dzieci.

Dochodząc do ostatniego piętra, położył palec na ustach, nakazując absolutne milczenie. Drzwi do mieszkania Hardinga były uchylone. Podszedł nasłuchując. Rozpoznał jedynie odgłosy ruchu ulicznego, docierające przez otwarte okno.

Popchnął drzwi, otwierając je szerzej. Widok nie był zachęcający. Mieszkanie było w o wiele gorszym stanie niż poprzednio, po prostu kompletnie zdemolowane. Biurko stało bez szuflad. Ich zawartość poniewierała się po podłodze.

- O cholera - wyszeptał.

Wszedł do środka i pomknął do kuchni. Kelly przystanąła w drzwiach, obserwując pobojuwisko.

Wrócił za sekundę. Nie musiała pytać. Twarz odzwierciedlała porażkę.

- Wszystko zniknęło - rzekł, bliski załamania - nawet fałszywe plecy szafki zostały usunięte.

- Co teraz zrobimy? - spytała obejmując go.

Przegarnął włosy, ledwo hamując łzy.

- Nie wiem. Harding nie żyje, mieszkanie wyczyszczone z dowodów...

Nie był w stanie dokończyć zdania.

- Nie możemy się poddać - powiedziała Kelly. -

A co z Noble'em, pacjentem Chrisa? Mówiłeś, że toksyna może być w jego woreczku żółciowym.

- Tak, ale on, zmarł dwa lata temu.

— Poczekaj chwilę. Ostatnio kiedy o tym rozmawialiśmy, sam mnie przekonywałeś. Byłeś pełen nadziei. Co się stało z postanowieniem, że należy zadowolić się tym, co mamy?

— Masz rację. Jest jeszcze szansa. Pojedziemy do Ośrodka Badań Medycznych. Myślę, że najwyższy czas, aby opowiedzieć Warrenowi Seibertowi całą historię. Pojechali szybko do kostnicy miejskiej.

— Myślisz, że zastaniemy go tutaj w sobotę rano? - spytała Kelly, gdy wysiedli z samochodu.

— Mówił mi, że często się to zdarza, zwłaszcza kiedy mają dużo przypadków. Wtedy pracują codziennie. Przepuścił ją przodem w drzwiach. Spojrzała na motywy egipskie zdobiące hall wejściowy.

- Kojarzą się z inskrypcjami nagrobnymi.

Drzwi biura zamknięte były na klucz. Poszli klatką schodową.

— Ależ dziwny zapach - narzekła.

— To jeszcze nic, poczekaj, aż wejdziemy wyżej.

Na drugim piętrze nie zastali żywej duszy. Drzwi do prosektorium były otwarte, również tam nie było nikogo, żywego ani umarłego. Zapach nie był tak przykry jak podczas poprzedniej wizyty. Wrócili na dół, mijając hall i zakurzoną bibliotekę. Zajrzeli do pokoju Seiberta. Siedział zgarbiony nad biurkiem. Obok sterty raportów z autopsji stał duży kubek kawy.

Jeffrey zapukał w otwarte drzwi. Seibert zerwał się, ale widząc wchodzącego, uśmiechnął się szeroko.

- Doktorze Webber, przestraszyłeś mnie.

— Powinniśmy zadzwonić - zaczął przeproszać Jeffrey.

— Nie ma sprawy - przerwał patolog. - Nie dostałem jeszcze wiadomości z Kalifornii. Wątpię, czy będę coś wiedział do poniedziałku.

— W zasadzie nie po to przyszliśmy.

Wykorzystał moment i przedstawił Kelly. Seibert wstał i uściśnął jej rękę.

- Może przejdziemy do biblioteki? Mój gabinet nie jest na tyle duży, by pomieścić trzy fotele.

Kiedy ulokowali się tam, zachęcił ich mówiąc:

- A teraz, moi kochani, co mogę dla was zrobić?

Jeffrey wziął głęboki oddech.

- Po pierwsze - powiedział - nazywam się Jeffrey Rhodes.

Potem opowiedział Seibertowi całą, niewiarygodną historię. Kelly od czasu do czasu pomagała, uzupełniając ją istotnymi szczegółami. Prawie po półgodzinie dobrnął do końca opowiadania.

— Teraz znasz nasze położenie. Nie mamy żadnego dowodu. Jestem zbiegiem. Nie mamy dużo czasu. Wygląda na to, że Noble jest naszą ostatnią nadzieją. Musimy dotrzeć do toksyny, żeby później móc udowodnić jej istnienie w którymś z tych przypadków.

— Wielkie nieba! - wykrzyknął Seibert.

Były to pierwsze słowa od momentu, kiedy Jeffrey zaczął mówić.

— Od początku wiedziałem, że sprawa jest interesująca, ale teraz muszę przyznać, że jest najbardziej interesująca ze wszystkich, o jakich słyszałem. No cóż, wyciągniemy starego Noble'a i zobaczymy, co będzie można dalej robić.

— Ile czasu zajmie zorganizowanie tego? - spytał Jeffrey,-

— Musimy zdobyć zezwolenie na ekshumację, jak i zezwolenie z urzędu stanu cywilnego na otwarcie grobu. Jako naukowiec patolog nie będę miał żadnych problemów z uzyskaniem tych dwóch dokumentów. Powinniśmy również przez grzeczność zawiadomić najbliższą rodzinę. Przypuszczam, że zajmie to tydzień lub dwa.

— Za długo. Musimy zrobić to od razu.

— Na to potrzeba sądowego nakazu, nawet to zajmie trzy lub cztery dni.

—

I tak za długo - westchnął Jeffrey.

— Jednak to najkrótsza droga.

- Najpierw odnajdźmy, gdzie jest pochowany. Mówiłeś, że masz tę informację u siebie.

- Mamy raport z autopsji i powinniśmy mieć kopię aktu zgonu. Zwykle podają tam miejsce pochówku. Poczekaście, zaraz wszystko przyniosę.

Wyszedł z pokoju. Kelly przyglądała się Jeffreyowi.

- Podejrzewam, że coś kombinujesz.

- To całkiem proste. Myślę, że powinniśmy po prostu tam jechać i odkopać faceta. W mojej sytuacji nie mogę cierpliwie stosować się do biurokratycznych nonsensów.

Seibert wrócił z kopią aktu zgonu Noble'a. Położył ją na stole przed Jeffreyem.

— W tym punkcie rodzina wpisuje swoje dyspozycje.

Na szczęście, ciała nie poddano kremacji.

— O Boże, nawet o tym nie pomyślałem - przyznał Jeffrey.

— Edgartown, Massachusetts - Seibert czytał mu przez ramię - nie mieszkam tu na tyle długo, by znać ten stan. Gdzie jest Edgartown?

— Na wyspie Martha's Vineyard, zjeżdżając z jej szczytu.

— Tutaj podany jest dom pogrzebowy - wskazał patolog - Vineyard Haven, Dom Pogrzebowy Boscowneya. Nazwisko właściciela - Chester Boscowney. Jest to ważna informacja, ponieważ on musi brać udział w całym przedsięwzięciu.

— A po co?

Jeffrey chciał maksymalnie uprościć wszystko. Jeżeli będzie taka potrzeba, pojedzie tam samotnie, w środku nocy, z łopatą i łomem.

- Musi być ktoś, kto zaręczy, że jest to właściwa trumna i właściwe ciało - tłumaczył Seibert. - Rozumiesz chyba, że, tak jak w innych sprawach, tu również zdarzają się pomyłki, zwłaszcza jeżeli podczas pogrzebu trumna była zamknięta.

—

Nie słyszałeś o takich przypadkach? - spytała Kelly.

— Jak wyglądają zezwolenia na ekshumację? - zmienił temat Jeffrey.

— Nie są zbyt skomplikowane. Tak się składa, że mam jedno na biurku. W tym przypadku rodzina jest zaniepokojona zabraniami organów dziecka. Chcesz zobaczyć zezwolenie?

Jeffrey skinął głową. Kiedy Seibert po nie poszedł, przysunął się do Kelly szepcząc:

- Nie mam nic przeciwko łyknięciu odrobiny morskiego powietrza, a ty?

Wrócił Seibert. Położył przed nim następny papier. Napisany na maszynie, typowy dokument urzędowy.

— Nie wyróżnia się niczym szczególnym - powiedział Jeffrey.

— Co masz na myśli?

— Jeżeli przyszedłbym do ciebie i poprosił o ekshumację ciała, o sprawdzenie tego, co mnie w nim interesuje, co byś odpowiedział?

— Wszyscy od czasu do czasu robimy jakieś fuchy. Podejrzewam, że powiedziałbym - to będzie dużo kosztowało.

— Ile?

Seibert wzruszył ramionami.

- Stawka nie jest ustalona. Przy prostej robocie może parę tysięcy.

Jeffrey chwycił płócienną torbę. Wyciągnął z niej jedną paczkę pieniędzy. Odliczył dwadzieścia studolarowych banknotów i położył je na stole przed Seibertem.

— Jeżeli mogę skorzystać z maszyny do pisania, będę za godzinę miał jedno z dwóch potrzebnych zezwoleń na ekshumację.

— Nie możesz tego zrobić. To niezgodne z prawem.

— Tak, ale to ja ponoszę ryzyko, nie ty. Założę się, że nigdy nie sprawdzasz, czy zezwolenia są zasadne i wydane legalnie. Z twojego punktu widzenia będzie właśnie

takie. Ja będę tym, który łamie prawo, nie ty.

Seibert zagryzł wargi.

- Sytuacja jest wyjątkowa - podniósł pieniądze - zrobię to, ale nie dla gotówki. Zrobię to, ponieważ wierzę w historię, którą mi opowiedziałeś. Dojście do prawdy leży w interesie publicznym.

Cisnął pieniądze na kolana Jeffreya.

— No to jazda - powiedział - otworzę biuro i możesz pisać zezwolenie na ekshumację. Od razu zrób też zezwolenie na otwarcie grobu. Zadzwoń tymczasem do pana Boscowneya, każę mu przygotować ludzi i upewnić się, czy nie został pomyłony podany tutaj numer kwatery.

— Jak długo to potrwa? - spytała Kelly.

— Trochę potrwa - spojrzał na zegarek - będzie dobrze, jeżeli dotrzemy tam wczesnym popołudniem. Jeżeli zdobędziemy grabarza, zrobimy to dzisiaj wieczorem. Ale może zrobić się późno.

— Musimy załatwić nocleg - powiedziała. - W Edgartown jest zajazd "Charlotte Inn". Czemu nie zgłosić rezerwacji?

Jeffrey zaakceptował znakomity pomysł. Seibert zaprowadził Kelly do gabinetu kolegi, żeby mogła skorzystać z telefonu. Następnie otworzył biuro Jeffreyowi i zostawił go przy maszynie do pisania.

Kelly bez problemu dodzwoniła się do "Charlotte Inn". Zamówiła rezerwację dwóch pokoi. Podczas planowania tej ryzykownej eskapady ze wstydem złapała się na tym, że cały czas myśli o Delilah. Co będzie, jeżeli akurat urodzi? Ostatnim razem nastąpiły poważne komplikacje i nie obyło się bez wizyty u weterynarza.

Zadzwoiła ponownie, tym razem do Kay Buchanan, mieszkającej w sąsiednim domu. Kay miała trzy koty. Przy różnych okazjach wyręczały się w opiece nad zwierzętami.

— Kay, planujesz wyjazd na weekend?

— Nie, Harold musi pracować. Będziemy na miejscu.

Pewnie chcesz, żebym karmiła twoje potwory?

— Obawiam się, że muszę prosić o więcej. Wyjeżd-

dżam, a Delilah jest bliska terminu. Niepokoję się, że może lada dzień urodzić.

— Ojej, ostatnio prawie umierała.

— Tak, zamierzałam poddać ją sterylizacji, ale ubiegła mnie. Niestety, muszę wyjechać. Nie mam wyboru.

— Będę mogła się z tobą skontaktować, jeżeli coś

pójdzie nie tak?

— Jasne, będę w "Charlotte Inn" na wyspie Martha's Vineyard.

Podawała numer telefonu.

— No to jesteś mi winna parę puszek kociego zarcia za tę przysługę.

— Jak najbardziej. I wpuść Samsona do domu. Zostawiłam go na dworze.

— To wiem, właśnie miał małą utarczkę z moim Burmese. Baw się dobrze. Zaopiekuję się zgrają.

— Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna - powiedziała Kelly. ""~

Odłożyła słuchawkę, szczęśliwa, że ma taką koleżankę.

- Halo? - Frank odebrał telefon.

Nic nie słyszał. Dzieciaki wyły ze śmiechu, oglądając ulubiony sobotni program telewizyjny.

— Nie rozłączaj się - powiedział odkładając słuchawkę na bok. Stał w progu salonu.

— Hej, Donna, uspokój dzieciaki albo telewizor wyląduje za oknem.

Zamknął rozsuwane drzwi. Poczłapał z powrotem do telefonu. Był jeszcze w błękitnym, frotowym szlafroku i miękkich kłapkach. Wziął słuchawkę ze stolika.

— Kto mówi?

— Tu Matt. Dostałem informację, której potrzebujesz. Trwało to trochę dłużej, niż sądziłem. Zapomniałem, że dzisiaj sobota.

Frank wyjął ołówek z szuflady.

— W porządku, dyktuj.

— Numer rejestracyjny samochodu należy do Kelly

C. Everson. Jej adres - 418 Willard Street w Brooklinie. To daleko od ciebie?

— Zaraz za rogiem, nie ma problemu.

— Samolot nadal czeka - powiedział Matt - chcę doktora.

— Będziesz go miał.

— Posłuchaj, nie tak łatwo doprowadzić mnie do szalu - mówił Devlin do Mosconiego - ale uprzedzam, teraz jestem naprawdę wściekły. Jest coś w sprawie Jeffreya Rhodesa, coś, czego nie powiedziałaś, coś, o czym powinienem wiedzieć.

— Powiedziałem wszystko, co wiem - odparł Mosconi. - Mało tego, wiesz o tym przypadku o wiele więcej, niż wiedziałaś o innych, w które byłeś zaangażowany. Dlaczego miałbym coś ukrywać? Przecież to mnie wysliz-

gano z interesu.

— No to jak doszło do tego, że w Hatch Shell zjawił się Frank Feranno z jednym ze swoich zabijaków? Devlin krzywiąc się zmienił pozycję. Z szyny nad łóżkiem zwisał trapez.

— Odkąd pamiętam, nigdy nie zajmował się polowaniem na kaucję.

— A skąd mogę wiedzieć? Teraz posłuchaj. Nie przyszedłem tutaj wysłuchiwać obelg. Przyszedłem zobaczyć, czy jest z tobą tak źle, jak sugerowano w gazetach.

— Nie kręć, przyszedłeś sprawdzić, czy nadaję się jeszcze do przyprowadzenia doktorka, tak jak obiecałem.

— To poważne?

Mosconi przyglądał się rozcięciu nad prawym uchem Devlina. By móc założyć szwy na paskudną ranę, zgolono mu z tej strony głowy część włosów.

- Jeżeli ty byś leżał na moim miejscu, byłoby bardzo poważne.

-• Naprawdę dostałeś trzy kule? - spytał Michael wskazując na starannie założony bandaż, okrywający lewe ramię Devlina. /

- Ta w głowę chybiła. I dzięki Bogu, w innym razie

byłyby tu zasłony. Tylko mnie ogłuszyła. Dostałem też w pierś. Naszczęście, zatrzymała pocisk kamizelka kuloodporna. Zostawił jedynie bolące miejsce na żebrach. Ta, która trafiła w ramię, przeszła na wylot. Frank miał cholerny karabin szturmowy. Nie mówiąc o tym, że naboje, których używał, nie przechodziły zbyt gładko.

- To zakrawa na dowcip. Wysyłam cię po wielokrotnych morderców i wracasz bez zadrapania. Wysyłam cię po doktora, sążonego za jakieś problemy podczas przeprowadzania znieczulenia, doprowadzasz się prawie do śmierci.

— Stąd podejrzenie, że o coś jeszcze chodzi w tej sprawie. Coś, co dotyczy dzieciaka załatwionego przez Tony'ego Marcello. Byłem przekonany, że rozmawiałeś z Frankiem.

— Nigdy! To kryminalista.

— Jeżeli w- sprawę jest wmieszany Frank, wydarzy się coś wielkiego. Jeżeli jest w pobliżu, w grę wchodzi ogromne sumy albo wielcy gracze. Zwykle jedno i drugie.

Mosconiego zaskoczył nagły łomot. Boczna poręcz łóżka runęła w dół. To Devlin zwolnił zaczep. Używając zdrowej ręki, podciągnął się do pozycji siedzącej. Krzywiąc się z bólu, zwiesił nogi. Szarpnął rurkę kroplówki



podłączonej od spodu lewej ręki. Igła wyszła razem z pla-  
strem, którym była przymocowana. Na podłogę zaczął  
kapać płyn.

— Co robisz, u diabła? - spytał zaszokowany Mós-  
coni, odwracając głowę.

— A jak, do cholery, myślisz? Wyjmij z szafy moje  
ubranie.

— Ależ nie możesz opuścić szpitala!

— Spójrz na mnie - powiedział Devlin - po co  
mam zostawać? Dostałem zastrzyk przeciwko tężcowi.  
Jestem wściekły. Obiecałem ci doktorka w ciągu dwu-  
dziestu czterech godzin. Zostało trochę czasu.

W pół godziny później podpisywał zwolnienie ze szpi-  
tala na własną prośbę, wbrew zaleceniom lekarzy.

—  
Od tej chwili bierze pan na siebie pełną odpowie-  
dzialność - uprzedziła pielęgniarzka.

— Daj mi antybiotyki i tabletki przeciwbólowe. O-  
szczędź wykładu.

Pojechali do Beacon Hill po samochód Devlina. Auto  
wciąż stało na niedozwolonym do parkowania miejscu, u  
samego podnóża wzgórza.

— Szykuj rękę do podpisania czeku - powiedział  
Devlin rozstając się z Mosconim. - Zawiadomię cię.

— Nadal jesteś przekonany, że nie powinienem ścią-  
gnąć posiłków?

— Strata czasu. Mógłbym wściec się na ciebie. Jak na  
Franka Feranno.

Wsiadł do samochodu. Pierwszym celem podróży była  
kwatery główna policji na Berkeley Street. Chciał odzys-  
kać broń.

Kiedy to załatwił, zadzwonił do koleśki wynajętego w  
celu obserwacji Carol Rhodes. Tym razem zlecił mu ob-  
serwację domu Kelly Everson.

— Chcę wiedzieć o wszystkim, co się tam wydarzy,  
kapujesz?

— Mogę jechać dopiero późnym popołudniem.

— Jedź, kiedy tylko będziesz mógł.

Kiedy już załatwił obserwację uroczej pary, pojechał  
do North End. Zaparkował na Hanover Street.

Gdy tylko wszedł do kawiarni Via Veneto, usłyszał  
szuranie stóp w kierunku tylnego wyjścia znajdującego  
się tuż obok ściennego malowidła przedstawiającego frag-  
ment Forum Romanum. Na podłogę przewróciło się wy-  
platane plastikowym kablem krzesło. Za uciekającymi  
brzęczała zasłona z drewnianych koralików.

Nie tracąc czasu, wybiegł na ulicę. Klucząc wśród pie-

szych, wpadł na Bennet Street. Skręcił w lewo. Na skrótach, wąską alejką, biegł za niskim, łysym mężczyzną z okrągłą twarzą.

Chwycił go za marynarkę przyciskając do ściany.

- Nie jesteś najszczęśliwszy na mój widok, co, Dominic?

Człowiek ten był maleńką częścią siatki jego informatorów. Wiedząc, że od pewnego czasu współpracuje z Ferrano, koniecznie chciał z nim pogadać.

— Nie mam nic wspólnego z tym, że Frank do ciebie strzelał - wyznał drżąc ze strachu. Kiedyś wiele ich łączyło.

— Gdybym tak myślał, nie rozmawiałbym z tobą - powiedział Devlin z uśmiechem - interesuje mnie, czym się teraz zajmuje Frank. Doszedłem do wniosku, że powiesz mi wszystko.

— Nic nie mogę powiedzieć. Daj mi spokój. Wiesz, co stałoby się ze mną.

— Tak, pod warunkiem, że przekażę to dalej. Czy kiedykolwiek powiedziałem komukolwiek coś na twój temat, choćby policji?

Dominic milczał.

- Poza tym Frank to czysto teoretyczne zagrożenie, teraz martw się mną. I przyznam, że nie jestem w najlepszym nastroju. ~

Sięgnął pod kurtkę, wyciągnął pistolet. Wiedział, że wywoła odpowiedni efekt.

— Dużo nie wiem - powiedział nerwowo Dominic.

— Dla mnie to znaczy wszystko - wsunął pistolet do kabury. - Dla kogo pracuje Frank? Kto mu kazał usunąć tego dzieciaka na promenadzie?

- Nie wiem.

Ponownie sięgnął po broń.

— Matt - powiedział Dominic - to wszystko, co wiem. Tony powiedział mi przed wyjazdem na promenadę. Pracuje dla faceta o imieniu Matt, z St. Louis.

— Mam nadzieję, że nie łiesz, co, Dominic?

To, co mówił ten człowiek, wyraźnie odbiegało od scenariusza, jaki ułożył.

— Powiedziałem całą prawdę. Dlaczego miałbym kłamać?

— Czy Frank wysłał doktora do St. Louis?

— Nie. Zgubili go. Po śmierci Tony'ego Ferrano wziął Nicky'ego. Tym razem dziewczyna odbiła doktora, uciekając samochodem. Złamała Nicky'emu rękę.

Devlin był wstrząśnięty. Nie on jeden miał kłopoty z

doktorkiem.

— A więc Frank jest zainteresowany tą sprawą?

— O ile wiem, "tak. Obiło mi się o uszy, że rozmawiał z Vinnie D'Agostino. Przypuszczalnie w grę wchodzi duże pieniądze.

— Chcę mieć wiadomość o facecie z St. Louis i o tym, co kombinują Frank i Vinnie. Dzwon pod moje dawne numery. I, Dominic, jeżeli nie zadzwonisz, zranisz moje uczucia. Chyba nie muszę podawać ci przykładów?

Puścił go wolno. Odszedł nie oglądając się. Ten człowiek musi donieść. Nie miał ochoty na dalsze targi. Chciał wiedzieć jedno - w co jest wplątany Frank Ferrano.

Frank stracił humor na widok domu Kelly. Zastłony były szczelnie zaciągnięte. Dom wyglądał na opuszczony przez mieszkańców. Siedemdziesiąt pięć kawałków oddalało się.

Siedział pół godziny, gapiąc się bezmyślnie w okna. Nie zauważył żadnego znaku życia oprócz syjamskiego kota, rozciągniętego na środku trawnika.

W końcu wysiadł z samochodu. Chciał sprawdzić, czy garaż ma okna. Były. Zajrzał do środka, osłaniając twarz rękami. Czerwonej hondy accord, którą tropił ubiegłej nocy na Beacon Hill, nie było. Podeszedł do drzwi frontowych. Dla zachowania bezpieczeństwa położył dłoń na broni. Nacisnął przycisk dzwonka.

Nic się nie działo. Przyłożył do drzwi ucho, naciskając ponownie. Usłyszał dźwięczącą w środku melodyjkę. Dzwonek działał. Przykładając znowu ręce do twarzy, zajrzał przez wąskie, boczne okienko przy drzwiach. Nie wiele dostrzegł przez wiszącą po drugiej stronie firankę. Szlag by to trafił, pomyślał odwracając się w stronę ulicy. Kot ciągle płaszczył się na środku trawnika. Pogłaskał go. Samson obserwował go podejrzliwie, ale nie czmychnął.

- Lubisz to, kotku? - powiedział Frank.

Z sąsiedniego domu wyszła kobieta.

— Znalazłeś przyjaciela, Samson? - spytała idąc w jego kierunku.

— To pani pupil?

— Powiedzmy - odpowiedziała chichocząc - jest śmiertelnym wrogiem mojego Burmese, ale jako sąsiedzi muszą się jakoś dogadywać.

— Miły, duży kocur.

Już miał ją spytać o panią Everson, kiedy zaczęła iść

w stronę frontowych drzwi Kelly.

— Chodź tutaj, Samson - zawołała. - Sprawdzimy Delilah.

— Czy pani idzie do domu Kelly?

— Tak.

— Wspaniale - Frank podszedł do niej. - Nazywam się Frank Carter. Jestem jej kuzynem. Miałem, nadzieję, że zastanę Kelly w domu.

— Kay Buchanan - powiedziała wyciągając rękę. - Jestem jej sąsiadką i czasami opiekunką kotów. Obawiam się, że będzie pan musiał trochę poczekać. Wyjechała na weekend.

— A to pech. Moja matka dała mi adres, żebym ją pozdrowił. Nie jestem stąd. Do Bostonu przyjechałem na kilka dni, w interesach. Kiedy wraca?

— Nie powiedziała dokładnie.

— To naprawdę pech, tym bardziej że akurat dzisiaj mam trochę wolnego czasu. Może wie pani, gdzie pojechała?

— Chyba do Edgartown na Martha's Vineyard. Mówiła, że musi jechać. Podejrzewam, że to jakaś romantyczna historia. Ale nie mam nic przeciwko temu. Mówiąc prawdę, nawet mnie to cieszy. Żałoba trwa wystarczająco długo. Nie sądzi pan?

— Myślę dokładnie tak samo.

— Miło mi było pana poznać. Muszę zająć się kotami. Jest jeszcze drugi, prawdziwe zmartwienie. Mówił pan, że Samson jest duży, powinien pan zobaczyć Dęli-

lah. Nadaje ona nowe znaczenie terminowi "gruby kot". Gotowa w każdej chwili rodzić. Może zdoła pan wrócić w poniedziałek? Mam wrażenie, że do tego czasu Kelly wróci. Lepiej, żeby była. Nie mam zamiaru niańczyć tych wszystkich młodych kociąt.

— Może mógłbym do niej zadzwonić? - Zachwycony był określeniem "romantyczna historia". Prawdopodobnie znaczyło to, że wyjechała z doktorem. - Wie pani, gdzie się zatrzymała?

— Mówiła o "Charlotte Inn". No, chodź, Samson, idziemy.

Posłał jej jeden ze swych najszczerzych uśmiechów, widząc, jak wchodzi na ganek i wylawia klucz z lampy kolejowej.

Wrócił do samochodu. Uruchomił silnik. Myśląc o siedemdziesięciu pięciu kawałkach, wiedział jedno - na pewno nie powie o nich Donnie. Może zafunduje sobie wycieczkę do Caymans?

Myślał o małym rekonesansie na Martha's Vineyard. Nagle doznał olśnienia. Skoro i tak musiał wsadzić doktora do samolotu Matta, to czemu by nie polecieć nim od razu na wyspę. To się nazywa ruszyć głową, pomyślał. W drodze powrotnej do miasta zastanawiał się, kogo ze sobą wziąć, jeżeli nie złapie Vinniego D'Agostino. Brakowało mu Tony'ego. To, co się stało, było hańbą? Myślał też o Devlinie. Właściwie powinien odwiedzić go w szpitalu. Powiedzieć, że nic do niego nie miał. Może później. Teraz nie było czasu.

Jadąc w dół Hanover Street, w pewnym momencie przyhamował. Stał przed frontem Via Veneto. Naciśnął klakson. Po chwili ktoś wybiegł z kawiarni i przestał swój samochód, pozwalając Frankowi wygodnie zaparkować. W górę ulicy natychmiast utworzył się korek. Kilku kierowców trąbiło na niego za wywołane zamieszanie.

- Hej, odwalcie się! - zawołał przez okno. Był zdumiony, jak niektórzy ludzie nie potrafią okazać należytego szacunku.

Wszedł do kawiarni i uściśnął dłoń właściciela, który wybiegł w tym celu zza kasy. Usiadł przy frontowym stoliku z napisem "zarezerwowany". Zamówił podwójną espresso i przypalił papierosa.

Kiedy wzrok oswoił się z przyćmionym światłem, rozejrzał się po sali. Nie widział Vinniego, był jednak Dominic. Skinął na właściciela. Poleciał przekazać Dominico wi, że chce z nim rozmawiać.

Zdenerwowany Dominic zbliżył się do jego stolika.

— Co się z tobą dzieje? - spytał widząc, jak ten się trzęsie.

— Nic. Może wypilem za dużo kawy?

— Wiesz, gdzie jest Vinnie?

— W domu. Był tutaj pół godziny temu.

— Idź i powiedz, żeby przyszedł. Powiedz, że to ważne. - Dominic kiwnął potakująco głową i wyszedł frontowymi drzwiami.

— Może podasz mi kanapeczkę? - zagadnął właściciela.

Jedząc usiłował przypomnieć sobie, gdzie w Edgartown jest "Charlotte Inn". Był tam kilka razy. Pamiętał miasto, było małe. Duży był tam właściwie tylko cmentarz.

Wszedł Vinnie z Dominikiem. Był to młody, muskularny chłopak. Wyglądał na takiego, który myśli, że nie oprze mu się żadna kobieta. Frank niechętnie korzystał z jego

usług, ponieważ zachowywał się brawurowo, jakby próbując samego siebie sprawdzać. Jednak w tej sytuacji musiał sięgnąć "dna beczki". Wiedział, że nie może skorzystać z usług Dominica, ten z kolei był skończonym osłem. Nigdy nie potrafił zapanować nad nerwami! nie daj Boże, gdy coś szło nie tak, wtedy stawał się ciężarem. Frank traktował wyjazd na wyspę jako ciężką i niebezpieczną próbę.

- Siadaj, Vinnie - powiedział. - Jak ci się podoba darmowa wycieczka do "Charlotte Inn" w Edgartown? Vinnie przekreślił krzesło siadając przodem do oparcia. Jego mięśnie napęcznieły. Musi się jeszcze wiele nauczyć, pomyślał Frank.

- Dominic, sprawdź, czy cię nie ma za drzwiami - powiedział.

Dominic wymknął się z kawiarni przez zaplecze i pobiegł w kierunku sklepu ze słodyczami na Salem Street. Na tyłach magazynów był automat telefoniczny. Wyjął numery Devlina i wykręcił pierwszy. Łowca kaucji zgłosił się od razu. Zanim zaczął mówić, otoczył mikrofon dłonią. Nie chciał, by ktokolwiek słyszał, co przekazuje.

16

SOBOTA

20 MAJA 1989 r. GODZINA 19.52

- Dobrze, że nie próbowaliśmy lecieć samolotem - powiedziała Kelly do Jeffreya, słysząc dudniący w oddali odrzutowiec. - Jeszcze by nas tutaj nie było. Wygląda na to, że mgła dopiero teraz zaczyna się podnosić.

- No i przestało padać - odpowiedział obserwując rów wydrążony w miękkiej ziemi przez koparkę.

Na wyspę przeprawili się promem z Woods Hole. Pomógł im w tym służbowy samochód Seiberta z napisem na drzwiach - "Ośrodek Badań Medycznych". Prywatny samochód miałby poważne trudności z wjechaniem na prom. Natomiast van patologa dowodził służbowego charakteru podróży. I tak nie obyło się bez utyskiwania ze strony członków załogi. Byli ostatnim zaokrętowanym pojazdem.

Podróż przebiegała bez przeszkód. Znaleźli miejsce pod pokładem dla niepalących. Na zewnątrz zostawili mgłę i drobny deszczyk. Kelly i Jeffrey większość czasu spędzili przeglądając notes adresowy Trenta. Bez specjalnych rezultatów.

Uwagę przykuwał jedynie adres człowieka o imieniu Matt, wpisany pod literą "D". Czy jest to ten sam Matt,

który zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce podczas pierwszej wizyty w mieszkaniu Hardinga? Zano-  
towany był też kod pocztowy - 314.

- Jaki stan ma 314?

Nie wiedziała. Zapytała Seiberta przeglądającego za-  
brane na podróż pisma fachowe.

- Missouri - odpowiedział - mam ciotkę w St. Louis.  
Kiedy wjechali do Vineyard Haven, największego  
miasta wyspy Martha's Vineyard, udali się prosto do  
Domu Pogrzebowego Boscowneya. Dzięki wcześniejsze-  
mu telefonowi Seiberta Chester Boscowney oczekiwał  
ich.

Był to mężczyzna dobiegający sześćdziesiątki, otyły, z  
policzkami tak rumianymi, że wyglądały na pokryte ró-  
żem. Miał na sobie ciemny garnitur z kamizelką, z kie-  
szonki której zwisała dewizka ukrytego zegarka. Było coś  
obłudnego, wręcz służalczego w jego sposobie bycia.  
Skwapliwie wziął parę setek dolarów, które zapropono-  
wał mu za radą Seiberta Jeffrey. Nie potrafił ukryć chci-  
wości.

- Wszystko przygotowane - powiedział szeptem,  
jak przed pogrzebem - spotkamy się na cmentarzu.  
Pojechali do Edgartown, do zajazdu. Kelly i Jeffrey  
zameldowali się w "Charlotte Inn" jako państwo Everso-  
nowie.

Rozpoczęcie akcji wstrzymywał jedynie operator  
koparki - Harvey Tabor. Pracował w Chappaquid-  
dick, robiąc wykopy pod kanalizację dla domu plażo-  
wego. Miał wrócić do Edgartown dopiero po czwartej.  
Później czekał na niego specjalny, urodzinowy obiad,  
który żona przygotowała dla córki. Dopiero po skoń-  
czonej uroczystości miał dołączyć do grupy na cmen-  
tarzu.

W związku z tym nieprzyjemne przedsięwzięcie miało  
zacząć się kilka minut po siódmej. Jeffrey nie omieszkął  
wytknąć Seibertowi, że nikt nie pytał o zezwolenia.  
Boscowneya nie interesowało nawet, czy je posiadają.  
Seibert upierał się jednak, że bezpieczniej jest trzymać je  
przy sobie.

- Nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz - potrak-  
tował uwagę Jeffrey'a przysłowiem.

Dozorcą cmentarza był mężczyzna o nazwisku Martin  
Cabot. Miał szczupłą sylwetkę i nieprzeniknioną twarz.  
Bardziej przypominał ogorzałego żeglarza niż pracownika

cmentarnego. Przyglądał się Seibertowi przez dobrą mi-

nutę.

- Ty, młodzieńcze, z pewnością jesteś koronerem. Warren zachnął się, mówiąc, że udało mu się zrobić dwa lata studiów w jeden rok i tym samym skrócił czas nauki. Dodał, że jest lekarzem, anatomopatologiem z Ośrodka Badań Medycznych. Nie koronerem. Jeffrey odniósł wrażenie, że jest szczególnie wrażliwy na tym punkcie.

Dozorca i operator koparki grabarz, najwyraźniej nie żyli w zgodzie. Martin pouczał Harveya, którądy ma dojechać do kwatery i co będzie musiał zrobić. Ten, urażony, odparł, że jest wystarczająco długo grabarzem. Wie, co ma robić.

Grób zaczęto otwierać o 19.30. Koparka podjechała z tyłu granitowego nagrobka Henry'ego Noble'a. Był usytuowany w przyjemnym miejscu, pod ogromnym kłosem.

- Wygląda zachęcająco - powiedział Seibert - w tym cieniu rozkład ciała powinien przebiegać znacznie wolniej.

Kelly poczuła, jak jej żołądek wędruje do gardła.

U podstawy grobu rozległ się ostry zgrzyt.

- Puściło! - krzyknął Martin. - Oderwij płytę!

W świeżej ziemi ukazała się linia brudnego betonu.

— Zamknij się, Martin - odpowiedział Harvey opuszczając do jamy ramię koparki. Delikatnie uderzył łyżką o beton. Następnie przyciągnął ramię, odsłaniając wierzch grobowca.

— Nie urwij uchwyty! - krzyczał Martin.

Kelly, Jeffrey i Warren stali z boku grobu. Chester i Martin po drugiej stronie. Słońce przysłonięte ciemnymi, deszczowymi chmurami było już bardzo nisko nad horyzontem.

Kępki trawy toczyły się po cmentarnych nagrobkach popychane siłą morskiego wiatru. Martin przywiązał długą linkę do jednego z konarów klonu. Jeffreyowi skojarzyło się to z węzłem katowskim, chociaż na końcu linki

wisiała jedynie silna latarka, rzucająca światło prosto do rowu wykopanego przez koparkę.

Kelly dygotała bardziej z emocji niż zimna, pomimo że temperatura znacznie się obniżyła. Przytulny pokój z wiktoriańskimi tapetami w "Charlotte Inn" wydawał się bardzo odległy z perspektywy cmentarza. Wsunęła rękę pod ramię Jeffreya.

Usuwanie warstwy brudnego piachu z betonowej przykrywy zajęło niecały kwadrans. W pewnym momen-



cie Harvey i Martin zeskoczyli na jej powierzchnię i łopatami zdjęli resztki ziemi.

Po chwili Harvey wygramolił się z dołu, wsiadł do koparki i manewrując jej ramieniem ustawił łyżkę dokładnie nie nad płytą.

Ponownie zszedł do jamy. Przeciągnęli z Martinem stalowe liny przez uchwyty płyty i zęby łyżki.

- W porządku, Martin, wylaż z dziury - powiedział Harvey.

Widać było, że z przyjemnością rewanżuje się wydając polecenie.

Potem patrząc na Jeffreya, Kelly i Warrena dodał:

- Wy, kochani, będziecie musieli się ruszyć. Mam zamiar unieść ten płat betonu i położyć go na to miejsce. Spełnili prośbę bez słowa protestu. Kiedy usunęli się z drogi, Harvey znowu zasiadł w koparce.

Ramię jęknęło i wyprężyło się. Przykrywa grobu ze skrzypieniem podjechała w górę. Koparka przekołysała płytę na bok i opuściła na ziemię.

Stłoczyli się na krawędzi dołu. Wewnątrz spoczywała srebrna trumna.

— Czyż nie jest piękna? - odezwał się Chester Boscowney. - To nasz najmodniejszy model. Nie ma nic lepszego niż kasetka "Millbronne".

— W grobowcu nie ma wody - powiedział Seibert - następny dobry znak.

Jeffrey rozejrzał się dookoła. Widok był niesamowity. Noc zapadała szybko. Nagrobki rzucały wąskie, purpurowe cienie w poprzek cmentarza.

- Co mamy dla pana zrobić, doktorze? - spytał Martin. - Czy chce pan, żebyśmy wyciągnęli trumnę na powierzchnię, czy woli pan wskoczyć i otworzyć ją w dole?

Seibert zastanawiał się przez chwilę.

- Nie przepadam za wchodzeniem do grobów, ale wyciągnięcie trumny zabierze jedynie więcej czasu. Moim zdaniem im szybciej, tym lepiej. Prędzej zasiądziemy do pysznego obiadku.

Zołądek Kelly znowu dał znać o sobie.

- Może ci pomogę? - spytał Jeffrey.

Seibert spojrział na niego.

— Robiłeś kiedykolwiek coś takiego? Może być trochę makabryczne. Nie mogę ręczyć, jaki będzie zapach, zwłaszcza że w środku może być woda.

— Nic mi nie będzie.

— To jest kasetka typu "Millbronne" - odezwał się z

dumą Chester Boscowney - wyposażamy ją w gumową uszczelkę. W środku nie będzie kropli wody.

- Nieraz to słyszałem, dobra, do roboty.

Opuścili się do trumny. Seibert stanął przy tym końcu, gdzie znajdowały się nogi, Jeffrey przy głowie.

- Poproszę korbkę - powiedział patolog.

Chester podał mu ją.

Seibert przesunął palcami wzdłuż wąskiego boku trumny, aż wymacał puste miejsce. Włożył korbkę w otwór. Musiał użyć ciężaru swojego ciała, żeby ustąpiła. W końcu obróciła się z przerażającym zgrzytem.

Plomba trumny puściła z cichym sykiem.

— Słyszeliście ten dźwięk? - spytał Chester Boscowney - daję słowo, nie ma tam śladu wody.

— Włóż palce pod krawędź - powiedział Seibert do Jeffreya - i unieś.

Wieko otworzyło się ze skrzypnięciem. Zajrzeli do środka. Twarz i ręce Henry'ego Noble'a były pokryte cienką warstwą białych właczków. Prześwitywała spod nich ciemnoszara skóra. Nieboszczyk miał na sobie granatowy garnitur, białą koszulę i gładki krawat. Buty pozostały

lśniące i nowe. Biała satyna, która wyściełała wnętrze trumny, pokryta była zielonymi punkcikami pleśni. Jeffrey starał się oddychać ustami. Ku jego zdziwieniu zapach był znośny, nie obrzydliwie cuchnący, raczej stęchły, jak z zamkniętej od lat piwnicy.

— Wygląda bardzo dobrze - powiedział Seibert - moje uznanie dla właściciela domu pogrzebowego. Nie ma śladu wody.

— Dziękuję. I co najważniejsze, mogę zapewnić państwa, że patrzycie na ciało Henry'ego Noble'a.

— Co to jest ten biały nalot? - spytał Jeffrey. -

- Jakiś rodzaj grzyba - odpowiedział Seibert.

Poprosił Kelly, by podała mu zestaw narzędzi. Spuściła do dołu czarny neseser.

Przesunął się, by stanąć przy dłuższym boku trumny. Miejsca starczało ledwie na jego stopy. Ustawił neseser na udach nieboszczyka. Otworzył i wyjął parę grubych, gumowych rękawic. Po ich włożeniu zabrał się do rozpinania koszuli mężczyzny.

— Co mogę zrobić? - spytał Jeffrey.

— W tej chwili nic.

Odsłonił szew cięcia wykonanego podczas autopsji.

Wydostał z nesesera parę nożyc, przeciął nici i rozciągnął na boki skórę w miejscu rozcięcia. Tkanka była sucha.

Jeffrey rozprostował się. Zapach, był o wiele bardziej

przykry. Seibert nie zwracał na to uwagi.

Sięgnął do powstałej w zwłokach jamy i wyciągnął ciężką, plastikową, przezrystą torbę. Ze względu na dużą ilość płynu zawartość nie była zbyt widoczna. Trzymając torbę pod światło, zawołał:

- Eureka! Jest wątroba.

Wyciągnął torbę w stronę Jeffreya. Ten nie był przekonany, czy chce koniecznie zobaczyć, jednak zdecydował się zrobić przyjemność patologowi.

- Podejrzewam, że woreczek żółciowy jest nadal przyczepiony.

Seibert położył plastikowy worek na torsie Noble'a i odbezpieczył zacisk. Wilgotne, nocne powietrze wypełnił

cuchnący zapach. Wyciągnął ze środka wątrobę. Odwracając ją, wskazał na woreczek żółciowy.

- Znakomicie - powiedział - jest jeszcze miękki. -

Myślałem, że będzie płaski i wysuszony - obmacał mały organ - jest w nim trochę treści.

Odłożył wątrobę z woreczkiem żółciowym na wierzch plastikowej torby i wydobył z nesesera strzykawkę oraz kilka probówek. Nakłuwając woreczek, wy dostał tyle żółci, ile tylko zdołał. Rozdzielił ją do kilku szklanych pojemniczków.

Wszyscy byli tak zaabsorbowani tym, co robi, że zapomnieli o otaczającej ich rzeczywistości. Nie zauważyli chevroleta celebrity wjeżdżającego z wygaszonymi światłami na cmentarz. Nie usłyszeli odgłosu otwieranych drzwi ani kroków dwóch mężczyzn.

Popołudnie nie było dla Franka najszcześniejsze. To, co wydawało się\* najprostszą operacją w jego przestępczej karierze, zamieniło się w wyjątkowo trudne przedsięwzięcie. Nigdy wcześniej nie trafiła mu się taka okazja, z przyjemnością więc myślał o czekającym go locie prywatną awionetką. Jednak po zajęciu miejsca i zapięciu pasów zaczęła dawać mu się we znaki klaustrofobia. Nigdy nie zdawał sobie sprawy, jak małe są prywatne samoloty. Na domiar złego, ze względu na natężenie przylotów, natychmiastowy start z Logan okazał się niemożliwy. Kolejną przeciwnością losu była gwałtowna zmiana pogody.

Tumany mgły spowily najpierw przylądek i wyspy, potem z zachodu nadciągnęła potężna burza z piorunami, która zasypała całe miasto gradem. Wy dostał się z samolotu. Chciał przeczekać kataklizm w terminalu. Docho działa 18.00, kiedy mieli wreszcie wolną drogę do startu i odpowiednią widoczność, umożliwiającą lądowanie na wyspie.

Później nastąpiło coś jeszcze gorszego. Dla Franka lot był jednym wielkim koszmarem. W wyniku turbulencji samolot obracał się jak korek na falach strumyka. Zawodowy morderca, cierpiąc na chorobę powietrzną, wymio-

tował kilka razy w papierową torebkę. Natomiast Vinnie był cały czas zachwycony. Podziwiał lot i maszynę, chrupiąc orzeszki i chipsy.

Po wylądowaniu na Martha's Vineyard wysłał Vinniego, by wypożyczył samochód. Sam czuł się tak osłabiony, że wolał zostać w pobliżu toalety. Poczł się lepiej dopiero po zjedzeniu dużej porcji krakersów i wypiciu butelki coki.

Pojechali prosto do "Charlotte Inn". W recepcji uzyskali informację na temat Kelly Everson. Frank użył tego samego fortelu, ale upiększył tym razem historię mówiąc, że koniecznie chce zrobić kuzynce niespodziankę. Mrugnął przy tym do Vinniego. Naprawdę planował zaskoczenie.

Obydwaj byli uzbrojeni w pistolety, schowane dyskretnie w kaburach pod pachami. W kieszeni Franka spoczywała grzecznie następna dawka nienarkotycznego leku uspokajającego.

Przygotowywana niespodzianka okazała się równie zaskakująca dla Franka. Kobieta z recepcji powiedziała, że państwo Eversonowie, o ile jej wiadomo, są na cmentarzu w Edgartown. Dodała, że pan Everson spędził trochę czasu przy telefonie obok recepcji, organizując spotkanie z Harveyem Taborem, operatorem koparki. -

- Cmentarz, samo słowo brzmi okropnie - odezwał się Frank już w samochodzie.

Najpierw okrążyli teren. Był duży. Jednak bez trudu spostrzegli grupkę ludzi. Silna latarka zawieszona na drzewie oświetlała cztery osoby stojące obok koparki.

— Jak jechać? - spytał

Vinnie.

— Co u diabła robią? - spytał Frank nie potrafiąc podjąć decyzji.

— Wygląda, jakby kogoś -odkopywali. Scena jak z horroru.

— Nie podoba mi się to. Najpierw Devlin pojawia się na promenadzie, teraz cmentarz, noc i doktor odkopujący nieboszczyka. Coś nie tak. Sam widok przyprawia mnie o gęsią skórę.

Kazał Vinniemu po raz drugi okrążyć cmentarz.

Chciał więcej czasu na zastanowienie. Decyzja musiała

być bezbłędna. Dostrzegli jeszcze dwie osoby w otwartym grobie.

- No, kończmy z tym - odezwał się - wyłącz światła i podjedź do połowy drogi. Potem pójdziemy pieszo.

Devlin nie miał o wiele więcej szczęścia od Franka Feranno. Postanowił polecieć liniami lokalnymi. Spędził dłuższy czas siedząc w samolocie na pasie startowym bostońskiego lotniska. Po wystartowaniu okazało się na domiar złego, że nie lecą prosto na wyspę. Po drodze wylądowali w Hyannis, co zwiększyło opóźnienie samolotu do czterdziestu minut. Był na miejscu dopiero po 19.00. Musiał jeszcze czekać na zwrot broni, zabezpieczonej przez ochronę lotniska, nie pozwalającą na wnie-sienie jej na pokład. Do "Charlotte Inn" dotarł tuż przed 21.00.

- Przepraszam - powiedział do kobiety siedzącej za kontuarem recepcji.

Zdawał sobie sprawę, że wygląda gorzej niż zwykle z ogromną, szytą raną na głowie. Ze względu na to, że w szpitalu pozbawiono go części włosów, nie mógł uczesać się jak zawsze, w koński ogon. Zamiast tego, usiłując zakryć szramę, przerzucił włosy z jednej strony głowy na drugą. Musiał przyznać, że efekt, naj oględniej mówiąc, był zaskakujący. Kobieta spojrzała w górę, zamrugła i wlepiła w niego oczy. Podejrzewał, że rzadko miała okazję rozmawiać z tak dziwnym typem. Na dokładkę w jego uchu dyndał krzyżyk maltański.

— Chciałbym zasięgnąć informacji o kilku waszych gościach. Niestety, mogą używać innych nazwisk, Jedną z osób jest młoda kobieta o nazwisku Kelly Everson. Druga to mężczyzna około czterdziestki. Jest lekarzem, nazywa się Jeffrey Rhodes.

— Przykro mi, ale nie udzielamy informacji o naszych gościach - wyrecytowała lakoniczną formułkę.

Wstała i cofnęła się o krok. Jakby spodziewała się, że Devlin wytrząśnie z niej pożądane informacje.

— Oo, nie najlepiej się składa, może udzieli mi pani w takim razie innej informacji, czy był tutaj i wypytywał się o tę samą parę mężczyzn, raczej otyły, z głęboko osadzonymi oczami? Nazywa się Frank Feranno, ale w czasie pracy przybieranie innych nazwisk nie sprawia mu najmniejszego kłopotu.

— Może powinien pan porozmawiać z kierownikiem.

— No dobra. Gadasz czy nie? Był tutaj ten dzentelmen? Jest mniej więcej tego wzrostu.

Wystawił rękę na wysokość metra pięćdziesięciu centymetrów.

Była najwyraźniej zdezorientowana. Złagodniała, mając nadzieję, że gdy odpowie, nieznajomy odejdzie.

— Tak, był tutaj Frank Everson, kuzyn pani Kelly Everson. Nie Frank Feranno, w każdym razie nie w tym czasie, kiedy byłam w recepcji.

— Co pani powiedziała rzekomemu kuzynowi? Nie pytam o gości, tylko o rozmowę z kuzynem.

— Powiedziałam, że Eversonowie najprawdopodobniej są na cmentarzu.

Devlin zamrugał. Obserwował twarz kobiety, czekając, że zawaha się podczas opowiadania tej historyjki.

Wytrzymała jego wzrok. Cmentarz? Chyba nie kłamała. Czyżby jeszcze jeden dziwaczny zwrot w tym i tak dziwnym przypadku?

- Jak najszybciej tam dotrę? - spytał.

Cokolwiek się działo, miał wrażenie, że nie ma wiele czasu.

- Proszę pojechać ulicą w dół i skręcić w pierwszą w prawo. Nie ma możliwości, by nie trafić.

Podziękował uprzejmie i popędził do samochodu tak szybko, jak tylko pozwalało mu zabandażowane ramię.

Jeffrey obserwował Seiberta trzymającego wątrobę Henry'ego Noble'a w wyciągniętej przed siebie lewej ręce. Starał się, by ani kropla płynu konserwującego nie

spadła na ubranie. Drugą ręką otwierał plastikową torbę zawierającą pozostałe organy wewnętrzne pacjenta Chrisa. Skrzywił się, gdy patolog bezceremonialnie wrzucił z powrotem wątrobę do torby, zaciskając szczelnie zamknięcie.

Już miał wepchnąć torbę w ciało nieboszczyka, gdy nagle usłyszeli głos.

- Co się tu dzieje?

W krąg światła wszedł mężczyzna. Ubrany był w ciemne spodnie, białą koszulę, sweter i ciemną wiatrówkę. W dłoni trzymał pistolet.

- O Boże! - wykrztusił Frank Feranno.

Makabryczny widok otwartego grobu podziałał na niego paralizująco. Odwrócił się. Mdłości, na które cierpiał wcześniej, powróciły z jeszcze większą siłą.

Jeffrey rozpoznał w nim mężczyznę z promenady i spod kościoła Adwentystów. Jak trafił na ich trop? Czego chce?

Frankowi zbierało się na wymioty od przerażającego widoku i odpychającego zapachu. Osłaniając usta dłonią,

spojrzał na Kelly, Chestera i Martina. Ruchem pistoletu nakazał Jeffreyowi i Seibertowi wyjść z grobu.

Patolog wyskoczył z dołu. Zastanawiał się, czy intruz jest spokrewniony z Henrym Noble'em.

- Jestem anatomopatologiem - powiedział w nadziei, że zabrzmi to urzędowo i rozładuje napięcie. Wcześniej kilkakrotnie miał do czynienia z rozgniewanymi członkami rodziny. Nikt nie kocha ekshumacji, zwłaszcza krewni.

Jeffrey zauważył reakcję Franka na widok zwłok. Wyciągnął rękę i chwycił plastikową torbę z wewnętrznymi organami Noble'a. Ważyła około dwudziestu kilogramów. Wygramolił się z grobu i wyprostowany stanął na trawie. Trzymał torbę blisko ciała, chowając ją nieznacznie za siebie.

- Nie interesujesz mnie - powiedział Frank do Warrena. - Podejdź tutaj, doktorze Rhodes. Pogrzebał w kieszeni szukając strzykawki.

- Odwróć się! - nakazał Jeffreyowi. - Vinnie, osłaniaj...

Jeffrey rozbijał torbę obydwoma rękami przenosząc ją nad głowę. Trafił Franka z góry, z siłą, na jaką tylko mógł się zdobyć. Torba rozerwała się z impetem, uderzając go w rękę i kolana. Strzykawka upadła na kupę nieczystości, a pistolet ześlizgnął się do grobu wpadając z łoskotem do trumny. Kompletnie zaskoczony Frank początkowo nie zdawał sobie sprawy z tego, czym został trafiony. Patrzył z przerażeniem na to, co rozmaszało się na nim i co wałało się dookoła na ziemi. Rozpoznając mózg i pociemniałą płataninę jelit, gwałtownie zwymiotował. Między napadami torsji usiłował zrzucić posokę z głowy i ramion.

Jeffrey stał z pustą plastikową torbą, kiedy Vinnie rzucił się do przodu wpadając w krąg światła. Spięty i zdenerwowany, trzymał pistolet w obydwu dłoniach.

- Nie ruszać się! - krzyczał. - Kto się ruszy, jest martwy!

Przesuwał pistolet nierównymi łukami od jednej osoby do drugiej. Jeffrey nie widział współnika Franka, tylko dlatego zaryzykował zadanie ciosu.

Z pistoletem wymierzonym w grupę Vinnie podszedł do Feranno chwiejącego się na nogach i usiłującego strząsnąć makabryczną ciecz z dłoni.

— Dobrze się czujesz?

— Gdzie, do cholery, jest mój pistolet?

— Wpadł do grobu.

— Dawaj go! - rozkazał Frank.

Odpiął kurtkę, ostrożnie zdjął i rzucił na ziemię. Vinnie podszedł do grobu i nerwowo zajrzał do dołu, próbując wypatrzeć pistolet. Broń leżała dokładnie między kolanami nieboszczyka. Wydawało się, że Henry Noble patrzy w górę, prosto na intruza.

- Nigdy przedtem nie byłem w grobie.

- Wydostań broń! - wrzasnął Frank.

Posłał Jeffreyowi piorunujące spojrzenie,

- Ty, skurwysynu, myślisz, że pozwolę ci się wymknąć dzięki tej małej sztuczce?

- Nie ruszać się - powtórzył Vinnie.

Podszedł do krawędzi grobu. Wskoczył po krótkiej chwili namysłu. Przez moment odwrócony był plecami. Głowa wystawała nad poziomem ziemi. Pistolet trzymał wycelowany prosto w Chestera, stojącego na ugiętych nogach między Kelly a Martinem. Harvey stał po lewej stronie Martina. Jeffrey był bliżej Franka, Seibert zaś między Frankiem a resztą.

Kiedy Vinnie pochylił się, by podnieść pistolet, Jeffrey podjął decyzję o ucieczce. Miał nadzieję, że osiągnie podwójną korzyść. Po pierwsze, ucieczka ma szansę powodzenia, po drugie, był jedynym, którego chcieli porwać napastnicy, w związku z tym obydwaj mężczyźni pobiegną za nim, zostawiając innych w spokoju.

Miał rację, ale tylko w pierwszej kwestii.

Gdy gnał cmentarną aleją w ciemność, usłyszał wrzask Franka:

- Rzuć mi broń, ty ośle!

Mrok otoczył Jeffreya. Minęło parę chwil, zanim wzrok przyzwyczaił się do nowych warunków. Zdał sobie sprawę, że nie jest tak ciemno, jak sądził. Świetlne refleksy otaczającego cmentarz miasta migotały w wilgotnej trawie.

Nagle, naprzeciwko Jeffreya, wynurzył się zaparkowany samochód. Zwalniając bieg, sprawdził, czy w stacyjce są kluczyki. Niestety. Oglądając się do tyłu, w stronę latarki zawieszanej nad grobem, dostrzegł niezdarną sylwetkę biegnącą w jego stronę. Vinnie trzymał pozostałych na muszce.

Minął samochód i popędził w ciemność. Wiedział, że Frank pomimo zwodniczej wagi jest zadziwiająco szybki i zwinny. Obawiał się, że nie da rady mu umknąć. Musi coś wymyślić. Jakiś plan. Może łatwiej zmylić ślad w centrum miasta? Powinno być ruchliwe w sobotnią noc, chociaż nie rozpoczął się jeszcze w pełni sezon turystyczny. Usłyszał za sobą śmiertelny trzask wystrzału. Frank



do niego strzelał! Kula świsnęła obok głowy. Zmieniając szybko kierunek, skręcił w lewo, uskakując z cmentarnej

alei. Nisko skulony przy ziemi, pędził wśród nagrobków. Żywił nadzieję, że przestanie być łatwym celem. Miał dziwne przeczucie, że Frank nie zamierza cackać się dłużej i oszczędzać jego życia. Kiedy zboczył z drogi, biegł z większym trudem. Pomniki i płaskie tablice nagrobne powodowały zwolnienie tempa. W pewnym momencie potknął się. Przed upadkiem uratował go granitowy obelisk, który objął obydwoma rękami. Zakołysał się na cokole, jakby miał runąć. Frank strzelił drugi raz.

Pocisk uderzył w granit, tuż poniżej ręki Jeffreya. Uskoczył do tyłu. Sądząc po błysku, który towarzyszył wystrzałowi, wywnioskował, że Feranno dogania go.

Zmniejszył dystans!

Przyśpieszył z rosnącą paniką. Oddychał ciężko. W boku czuł kolkę. Zaczynał tracić orientację wśród nagrobków. Nie wiedział, w którym kierunku biec. Nie był pewien, czy podąża w stronę miasta.

Kątem oka dostrzegł rzędy niskich budowli. Zgadywał, że to mauzolea. Klucząc w ich stronę, natknął się na jedną z cmentarnych alejek. Doprowadziła go do pierwszego szeregu. Natychmiast skrył się między dwoma najbliższymi mauzoleami. Czając się za kolejnymi narożnikami, posuwał się wzdłuż szeregu. Wychylając się zza rogu, wyjrzał na drogę - szukał wzrokiem Franka.

Mężczyzna był jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej.

Dochodził do frontu pierwszego mauzoleum. Zawahał się przez chwilę, po czym obrał właściwy kierunek. Jeffrey już miał odwrócić się i kontynuować ucieczkę, kiedy Frank nagle wszedł między dwa grobowce, znikając z pola widzenia.

Teraz trzeba było coś wymyślić. Jeden fałszywy ruch, i wpadnie w jego łapy. Pamiętał wyraźnie twarz tego człowieka, gdy uderzył go torbą z wnętrznościami Henry'ego Noble'a. Trudno było liczyć nawet na odrobinę litości.

Dokładnie naprzeciwko znajdowało się marmurowe mauzoleum. Wyglądało na dużo starsze od innych. Pomiędzy ciemności dostrzegł lekko uchylone żelazne drzwi.

Sprawdzając, czy na drodze nie ma Franka, popędził w tym kierunku. Popchnął drzwi tylko na tyle, by wślizgnąć się do wnętrza. Próbował je zamknąć, ale gdy pociągnął, zazgrzytały o podłogę. Natychmiast zaniechał pomysłu. Nie miał zamiaru ryzykować wywołania jeszcze większe-

go hałasu. Pozostała szpara mniej więcej na dziesięć centymetrów.

Lustrując wnętrze wąskiej komory, zobaczył, że jedyne światło dochodzi z małego, eliptycznego okienka, usytuowanego wysoko, w tylnej ścianie. Po omacku skierował się w tę stronę. Za każdym krokiem przesuwał do przodu prawą nogę, dołączając ostrożnie lewą. Wymacał na ścianie kwadratowe wgłębienia. Zdał sobie sprawę, że były to nisze przeznaczone na trumny. Dotarł do tylnej ściany. Przykucnął w kącie. Gdy wzrok oswoił się z głęboką ciemnością, był nawet w stanie wyróżnić cieniutką smugę pionowego światła, dostającego się przez uchylone drzwi.

Czekał w ciszy. Sądził, że minęło pięć minut. Zastanawiał się, ile czasu tutaj spędzi, nim odważy się wyjść.

Nagle, z rozdzierającym zgrzytem metalu trącego o kamień, otworzyły się stare drzwi mauzoleum. Szczęknęły o kamienną ścianę. Zerwał się na równe nogi.

Błysnęła zapalniczka. Płomień oświetlił powalaną nieczystościami twarz Franka. Przesunął się do przodu, na długość wyciągniętej ręki. Zobaczył, że Frank patrzy na niego z uśmiechem.

- No, no. Czyż nie pasuje to wprost idealnie? Jesteś już w grobowcu.

Jego koszula była poplamiona, włosy zlepione płynem balsamującym. Uśmiechał się szyderczo, chodząc po mauzoleum z pistoletem w jednej, a zapalniczką w drugiej ręce.

Zatrzymał się w odległości około dwóch metrów od Jeffreya. Wycelował pistolet prosto w twarz ofiary. W świetle małego płomyka rysy jego twarzy były groteskowe. Głębokie oczodoły wyglądały jak puste, czarne dziury. Zęby wydawały się zupełnie żółte.

- Miałem wysłać cię do St. Louis żywego - wark-

nął - ale kiedy walnąłeś mnie tymi cuchnącymi pomyjami, zmieniłem zdanie. Masz pojechać do St. Louis? W porządku, ale w sosnowym futerale, mój przyjacielu.

Po raz drugi w życiu Jeffrey zmuszony był obserwować bezradnie koniec lufy poruszający się do przodu i drgający leciutko pod naciskiem palca kładzionego na język spustowy.

- Frank! - rozległ się chrapliwy głos.

Imię odbiło się w małym pomieszczeniu.

Feranno odwrócił się od Jeffreya, przenosząc błyskawicznie broń w drugą stronę. Świsł przeszył maleńką komorę. Natychmiast rozległ się następny. Jeffrey uderzył o ziemię. Płomień zgasł. Zapadła dzwoniąca cisza i całko-

wita ciemność.

Leżał w bezruchu z głową nakrytą rękami i twarzą przyciśniętą do kamiennej podłogi, kiedy usłyszał charakterystyczny dźwięk zapalanej zapalniczki. Powoli uniósł głowę, przerażony tym, co może zobaczyć. Frank leżał przed nim, rozciągnięty na podłodze, twarzą do dołu. Tuż obok jego ręki połyskiwał pistolet. Za Frankiem dostrzegł parę nóg. Unosząc głowę wyżej, spojrzał prosto w twarz Devlina O'Shea.

- Co za niespodzianka. Czy to mój ulubieniec doktorek?

Trzymał zapaloną zapalniczkę w jednej ręce, a pistolet w drugiej, identycznie jak Feranno.

Jeffrey z wysiłkiem stanął na nogi. Devlin podszedł do Franka i przewrócił go na plecy. Kucnął, usiłując wyczuć puls na tętnicy szyjnej.

— O cholera. Za dobrze wycelowałem. Naprawdę nie chciałem go zabić. Przynajmniej tak mi się wydaje. - Wyprostował się.

— Tylko tym razem bez żadnych zatrutych strzał - ostrzegł.

Jeffrey cofnął się pod ścianę. Napastnik wyglądał gorzej niż Frank.

- Jak moja nowa fryzura? To dzięki temu łajnu na podłodze - wskazał na Franka. - Posłuchaj, doktorku,

mam dla ciebie dwie wiadomości, dobrą i złą. Którą chcesz pierwszą?

Jeffrey wzruszył ramionami. Było mu wszystko jedno. Żałował, że Devlin wkroczył do akcji, gdy byli tak blisko upragnionego dowodu.

- No, jazda - odezwał się O'Shea - nie mamy całej nocy. Tam dalej, na cmentarzu, stoi pewien młody bandyta i nadal trzyma twoich przyjaciół na muszce. Powiesz mi teraz, którą chcesz wiadomość?

- Złą.

Zastanawiał się, czy odpowiedzią będzie śmiertelny strzał. W takim razie dobrą wiadomością, której nigdy nie usłyszy, będzie to, że został zabity szybko.

— I tak mogę założyć się o grube pieniądze, że wolałbyś najpierw dobrą. Biorąc pod uwagę, przez co przeszedłeś, myślę, że ci się należy. Ale skoro chcesz złych wieści, proszę bardzo. Zamierzam odstawić cię do więzienia. Chcę zainkasować nagrodę pieniężną od Mosconiego. Ale pozwól powiedzieć mi dobrą wiadomość. Wykryłem pewną informację, która prawdopodobnie odmieni twoje oskarżenie.

— O czym ty mówisz?! - spytał Jeffrey, oszołomiony rewelacją.

— Nie sądzę, żeby był to czas i miejsce na przyjacielską pogawędkę. Tam ciągle stoi ten przemądrzały, uzbrojony osioł D'Agostino. Zamierzam ubić z tobą interes. Chcę od ciebie współpracy. To znaczy żadnych ucieczek, żadnego traktowania mnie igłami ani walenia neseserem. Zaopiekuję się Vinniem, postaram się, żeby nikt nie został zraniony, ale musisz być tak dobry i odwrócić trochę uwagę. Po odebraniu Vinniemu pistoletu przykuję go do przykrywy grobu leżącej na ziemi. Następnie wezwiemy policję z Edgartown. Na pewno będzie to dla nich bardziej ekscytujące niż topielcy wyrzucani na plażę w Chappaquiddick. Potem wszyscy pójdziemy na dobry obiad. Co ty na to? - Chodź, doktoru - dodał - nie mamy całej nocy. Robimy interes czy nie?

— Robimy - odparł Jeffrey - umowa stoi.

Zajazd "Charlotte Inn" miał uroczą restaurację wychodzącą na mały ogródek z fontanną. Wokół stolików, pokrytych śnieżnobiałymi obrusami, stały wygodne krzesła. Ugrzeczniejsi kelnerzy i kelnerki reagowali na każde życzenie biesiadujących.

Jeżeli ktoś opisałby tę scenę słowami: "...Jeffrey bawił się znakomicie do białego rana...", czytelnik potraktowałby to jako absurd.

Przy stoliku siedziały cztery osoby. Kelly zajęła miejsce po prawej stronie Jeffreya. Była wciąż spięta, ale wyglądała promiennie. Po jego lewej ręce siedział Seibert. Nie był w najlepszym nastroju. Martwił się podrobionymi dokumentami zezwalającymi na ekshumację i tym, że cała afera na cmentarzu została objęta oficjalnym śledztwem. Naprzeciwko siedział Devlin. Był jedyną całkowicie zrelaksowaną osobą przy stoliku. Zamiast wina popijał piwo. Właśnie napoczyznał czwarte.

— Doktoru! - zwrócił się do Jeffreya. - Jesteś jednak wyjątkowo cierpliwym człowiekiem. Nadal nie pytasz o informację, która oczyści cię z podejrzeń. Wspominałem o niej podczas pogawędki w mauzoleum.

— Boję się pytać - przyznał uczciwie - nie chcę zniszczyć cudownego nastroju, w jakim trwam od momentu wyjścia z grobowca.

Wypadki potoczyły się zgodnie z planem Devlina.

Jeffrey już z daleka podniósł wrzawę, udając, że stoczył zwycięską walkę z leżącym obok samochodu ogłuszonym Frankiem Feranno. Kiedy Vinnie ruszył na odsiecz szefowi, zaszedł go od tyłu Devlin, rozbijając

w mgnieniu oka. Poszły w ruch kajdanki. W jednym punkcie Devlin odstąpił od planu, nie przykuł Vinniego do betonowej płyty, tylko bezpośrednio do uchwytów trumny.

- Ty i Henry - powiedział - będziecie dotrzymać sobie towarzystwa.

Pozostali wrócili do "Charlotte Inn". Stąd Devlin, jak obiecał, zadzwonił na policję w Edgartown. Chociaż

Chester, Harvey i Martin zostali zaproszeni na późny obiad, grzecznie odmówili. Woleli jak najszybciej znaleźć się w domach po ciężkich doświadczeniach na cmentarzu.

- A więc podzielę się z tobą tą informacją, niezależnie od tego, czy pytasz, czy nie - kontynuował Devlin.

- Ale najpierw dorzucę kilka uwag. Po pierwsze, chciałem przeprosić za to, że strzelałem do ciebie w tym obskurnym hotelu. Byłem zalany i w dodatku myślałem, że jesteś prawdziwym kryminalistą. Człowiekiem tego pokroju, którego nauczyłem się nienawidzić. Z czasem dowadywałem się coraz więcej o twoim przypadku. Zbliżałem się do prawdy krok po kroku. Nie było łatwo. Mosconi nie chciał pomagać. W każdym razie zorientowałem się, że coś jest nie tak, w momencie kiedy przestałeś postępować jak typowy zbieg pod kaucją. Później, kiedy na horyzoncie pojawił się Frank, nabrałem przekonania, że dzieje się coś niezwykłego. Ponadto dostałem cynk. Feranno spodziewał się siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów za doholowanie cię do St. Louis. Wszystko nie trzymało się kupy do chwili, aż wpadłem na pomysł, że ludzie, którzy wynajęli Franka, koniecznie chcą cię przesłuchać. Doszedłem do wniosku, że chcą wiedzieć, jak dużo o nich wiesz. Zdecydowałem wykryć, kto jest tą grubą rybą spoza miasta, gotową wydać tyle forsy. Początkowo podejrzewałem, że za tego rodzaju sumami muszą kryć się narkotyki. Okazało się, że nie. I teraz dochodzę do mojego odkrycia, które z pewnością wzbudzi twoje zainteresowanie. Co powiesz na wiadomość, że facet, który wynajął Franka Feranno, nazywa się Matt Davidson? Matt Davidson z St. Louis?

Jeffreyowi wypadła łyżka z rąk. Spojrzał na Kelly.

— Matt z notesu adresowego Hardinga - powiedziała.

— Powiem więcej - Jeffrey sięgnął pod stół do swojej płóciennej torby. Grzebał w niej, szukając właściwych papierów. Wyjął dwie skopiowane karty z segregatora "oskarżony-oskarżyciel", które odbił w sądzie. Ułożył na stole tak, by wszyscy mogli zobaczyć.

Wskazał nazwisko Matthew Davidson. Figurował jako pełnomocnik strony skarżącej w sprawie o zaniedbania w leczeniu, dotyczącej Suffolk General Hospital.

- Matthew Davidson był również oskarżycielem w mojej sprawie - wyjaśnił Jeffrey.

Kelly chwyciła kopię zawierającą informacje o procesie przeciwko Commonwealth.

— Oskarżycielem jest Sheldon Faber, ten sam co w procesie mojego męża. Teraz przypominam sobie, że był także z St. Louis.

— Pozwólcie mi coś sprawdzić - powiedział Jeffrey odsuwając się od stołu. - Zostań, zaraz wracam - dodał patrząc na Devlina.

Ten z przyzwyczajenia podniósł się, chcąc za nim pójść, jednak uśmiechnął się tylko i usiadł spokojnie. Jeffrey poszedł do telefonu. Zadzwoił do informacji w St. Louis i spytał o numery telefonów biurowych obydwu prokuratorów. Były takie same!

Wrócił do stolika.

— Davidson i Faber są współnikami. Trent Harding pracował dla nich. Kelly, miałaś rację. To był spisek. Całe to zamieszanie inspirowali prokuratorzy, kreując wysokość odszkodowań, a tym samym swoich wynagrodzeń. Brali pieniądze za zgony, których sami byli sprawcami.

— Wyjawię teraz, w jaki sposób do tego doszedłem -- powiedział śmiejąc się Devlin. - Słyszałem o prawnikach, którzy też żerowali na ludzkim nieszczęściu, ale ci faceci aranżowali wypadki samochodowe. Nie muszę dodawać, że według mnie to wszystko pozytywnie wpłynie na twoją apelację.

— Teraz ja muszę spełnić swój obowiązek - powiedział Seibert - ja i mój chromatograf. Oskarżający o zaniedbania w leczeniu musieli zrekrutować Hardinga do fałszowania ampulek marcainy i podrzucania ich do składnic leków w blokach operacyjnych. Mogę wyrazić jedynie nadzieję, że Henry Noble niepokojony był po raz ostatni. Wyizoluję toksynę.

—

Zastanawiam się, czy w innych miastach też są prawnicy zamieszani w podobne sprawy - powiedziała Kelly. - Jaki zasięg ma ich pole działania?

— To tylko podejrzenia - odpowiedział Jeffrey. -

Uważam, że wszystko zależy od tego, ilu psychopatów w rodzaju Hardinga byli w stanie znaleźć. - Pokiwał głową. - Kelly - odezwał się ponownie, nie mogąc opano-

wać wzruszenia - czy ty wiesz, co to wszystko znaczy?

— Nie jedziemy do Ameryki Południowej - uśmiechnęła się.

Porwał ją w ramiona. Nie mógł w to uwierzyć. Na przekór wszystkiemu wrócił do swojego dawnego życia, do tego w samą porę, by dzielić je z kobietą, którą kochał.

- Hej! - zawołał Devlin do jednego z kelnerów - podaj jeszcze jedno piwo i butlę szampana dla zakochanych!

## EPILOG

### PONIEDZIAŁEK

29 MAJA 1989 r. GODZINA 11.30

Randolph założył służące do czytania okulary i przełknął ślinę. Jeffrey siedział bębniąc palcami po odrapanym blacie prostego, dębowego stołu. Skórzana teczka prawnika stała po jego prawej stronie. Była otwarta. Bezwiednie można było poznać jej zawartość. Obok pary znoszonych trampek mieściła mnóstwo prawniczych broszur i formularzy.

Jeffrey był w błękitnej, drelichowej koszuli i granatowych, bawełnianych spodniach. Zgodnie z obietnicą został doprowadzony przez Devlina do Bostonu i przekazany władzom.

Traktował pobyt w więzieniu jako zło konieczne, usiłując również z niego wyciągnąć korzyści. Podtrzymywał się na duchu, powtarzając, że przybył tu na krótko. Miał teraz czas na grę w koszykówkę, czego nie robił od chwili ukończenia studiów medycznych.

Skontaktował się z Randolphem jeszcze z "Charlotte Inn", bezpośrednio po uroczystym obiedzie z Devlinem. Adwokat nadał sprawom, tak przynajmniej utrzymywał, tok prawny. Było to ponad tydzień temu. Jeffrey zaczął tracić cierpliwość.

— Rozumiem. Uważasz, że powinno zakończyć się to w ciągu jednej nocy - odezwał się Randolph - ale maszina prawa potrzebuje czasu, by się obrócić.

— Przejdźmy do konkretów, przedstaw mi linię postępowania.

— Otóż linia postępowania jest taka - formalnie wy-

stąpiłem z trzema wnioskami. Pierwszy i najważniejszy jest taki, że założyłem nową sprawę karną, wnosząc wraz z sędzią Janice Maloney o unieważnienie werdyktu z racji błędów, które zaistniały podczas rozprawy...

- A kto zatroszczył się o te błędy w rozprawie?! -

krzyknął wyprowadzony z równowagi Jeffrey. - Czy nie ważniejsze jest to, że całe to przedsięwzięcie wyreżyserowała para prokuratorów, tylko po to, by napełnić swoje kabzy?

Randolph zdjął okulary.

- Pozwolisz mi dokończyć? Wiem, że jesteś zniecierpliwiony. Masz ku temu powody.

- Kończ - Jeffrey uzbrajał się w cierpliwość.

Adwokat ponownie założył okulary i zajął do notatek.

— Tak jak powiedziałem, złożyłem formalny wniosek o wszczęcie nowej sprawy z racji zaistniałych błędów w twojej rozprawie i na podstawie nowo odkrytych dowodów, które uzasadniają rewizję.

— Mój Boże! Dlaczego nie możesz przekazać tego prostymi słowami? Po co owijać w bawełnę?

— Jeffrey, proszę. Istnieją przepisy proceduralne, które muszą być przestrzegane w tego rodzaju sytuacji. Nie możesz żądać nowego procesu li tylko z powodu znalezienia nowego świadectwa. Muszę to jasno udowodnić, że nowy dowód, który mamy, nie jest czymś, co mogłem poznać dzięki należytej staranności. Nie można wnioskować o wszczęcie nowego procesu z powodu zaniedbań w pracy prawników. Mogę kontynuować?

Jeffrey skinął głową.

- Drugi mój wniosek dotyczył uzupełnienia aktu dającego podstawę prawną do odwołania się od orzeczenia w sprawie o zaniedbania w leczeniu. Jest to petycja o nadzwyczajne, oparte na prawie słuszności, uwolnienie od zarzutów z powodu nowo odkrytych dowodów.

Jeffrey z niedowierzaniem przetarł oczy.

- Po trzecie, wniosłem o nowe przesłuchania w sprawie kaucji. Rozmawiałem z sędzią Maloney, wyjaśnia-

jąc, że twoje intencje nie były szkodliwe, że nie uciekałeś pod kaucją, ale po prostu prowadziłeś chwalebne i uwieńczone sukcesem dochodzenie, prowadzące do odkrycia nowego dowodu.

— Myślę, że można to wyrazić trochę prościej, a więc co ona na to?

— Powiedziała, że rozpatrzy wniosek.

— Wspaniale, podczas gdy ja gniję w więzieniu, ona rozpatrzy wniosek. To dobre. Jeżeli prawnicy zostaliby lekarzami, wszyscy pacjenci zmarliby w trakcie załatwiania formalności!

— Musisz zachować cierpliwość - poradził Randolph, przyzwyczajony do jego sarkazmu. - Przypusz-



czam, że jutro będę miał odpowiedź co do przesłuchania w sprawie kaucji. Powinniśmy wyciągnąć cię następnego dnia, no, może w ciągu kilku następnych dni. Kolejne kwestie zabiorą trochę więcej czasu. Prawnicy, tak jak lekarze, nie są w stanie przedstawić gwarancji, jednak jestem głęboko przekonany, że zostaniesz całkowicie zrehabilitowany.

— Dziękuję. A co z Davidsonem?

- Obawiam się, że to zupełnie inna historia - westchnął Randolph - będziemy oczywiście współpracowali z prokuratorem okręgowym w St. Louis. Zapewnił, że będzie wszczęte dochodzenie. Jednak podejrzewam, że widzi niewielkie szansę na postawienie Davidsona w stan oskarżenia. Oprócz pogłosek nie istnieją żadne konkretne dowody świadczące o jego współdziałaniu z Trentem Hardingiem. Jedynym świadectwem ich współpracy jest wpis w notiesie adresowym Hardinga. Nie ma też żadnego dowodu łączącego Trenta Hardinga z batrachotoksyną, którą doktor Seibert znalazł we wszystkich przypadkach po wyizolowaniu jej z woreczka żółciowego pana Henry'ego Noble'a. Biorąc pod uwagę śmierć Franka Feranno, rzekome powiązania między nim a Davidsonem również opierają się na pogłosce. Jak dotąd, sprawa przeciwko Davidsonowi i Faberowi stoi pod dużym znakiem zapytania.

—

Wprost nie mogę w to uwierzyć. A więc Davidson i jego koledzy wkrótce wrócą do swojego czarnego interesu, chociaż prawdopodobnie nie w Bostonie.

— Nic nie wiem na ten temat. Jak wspomniałem, będzie prowadzone dochodzenie. Jeżeli nie pojawi się nowy, przekonujący dowód, podejrzewam, że Davidson może znowu spróbować swojej przestępczej działalności. Jego firma jest wielce poważana w dziedzinie spraw o zaniedbania w leczeniu. A dziedzina ta wygląda na wysoce lukratywną. Może popełni błąd następnym razem? Kto wie?

— A co z moim rozwodem? Musisz mieć jakieś dobre wiadomości.

— Obawiam się, że tu także mogą wystąpić kłopoty - powiedział Randolph wkładając notatki do teczki.

— Dlaczego? Między mną i Carol nie było różnicy zdań. Jest to, rozwód za obopólną zgodą.

— Był taki, zanim twoja małżonka nie wynajęła na adwokata Hyrama Clarka.

— Co za różnica, z czyich usług korzysta?

— Hiram Clark dostaje "żyły", że tak powiem, oczy-

wiecie tylko podczas procesu. Nawet srebro twoich plomb będzie traktował jako część majątku. Musimy być na to przygotowani i zaangażować kogoś równie agresywnego.

Jeffrey jęknął głośno.

- Randolph, pobierzmy się. Znosi się na to, że zawsze będziemy razem.

Adwokat roześmiał się dyskretnie, nie tracąc nic ze swojego arystokratycznego stylu.

- Pomówmy o jaśniejszej stronie. Jakie masz plany? - spytał wstając.

Twarz Jeffreya rozpozodziła się.

- Gdy tylko się stąd wydostanę, wybieramy się z Kelly na urlop. Gdzieś na słońce. Prawdopodobnie Karaiby - odpowiedział również wstając.

- Co z medycyną?

- Rozmawiałem z szefem anestezjologii w Memo-

rial. Będą działać szybciej niż machina prawa i lada moment zostaną przywrócony na stanowisko.

— A więc wrócisz tam?

— Wątpię. Zdecydowaliśmy z Kelly, że przeniesiemy się do innego stanu.

— Och! Wygląda to na poważny związek.

— Bo jest taki naprawdę, najpoważniejszy, jaki tylko może istnieć.

— A więc może powinienem przygotować wstępną umowę przedmażeńską?

Jeffrey patrzył w osłupieniu na Randolpha, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał. Dostrzegł, że kąciki ust prawnika składają się do uśmiechu.

- To był żart. Gdzie podziało się twoje poczucie humoru?

Koniec